

# KSIĘGA ŚWIATA

WŁADOMOSCI

Z DZIEDZINY WIAK PRZYRODZOSTEL, HISTORJI ABADOW I MUDOW

BEWOTY KRAMOMIETCOW S. 1888.

WYDANE W WARSZAWIE W KSIĘGARNI "SWIAT" W 1912 ROKU.

WAZNIEJSZE ZAJECIA PRZYRODOWE

OBRAZY TOWARZYSZAJACE STAFELKAZNE, EKONOMIENNE

## **KSIĘGA ŚWIATA.**

CENA TRZY

WARSZAWA

WYDAWCA "SWIAT" WARSZAWA

1912



# KSIĘGA ŚWIATA.

## WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW,

**ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,**

**PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH, ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,**

**WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,**

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE

i t. p.

Z RYCINAMI NA STALI CZARNEJ I KOLOROWANEM, ORAZ DRZEWORYTAMI.

## CZEŚĆ DRUGA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA, KSIĘGARZA

przy ulicy Miodowej, Nr. 486.

—∞—

1852.

# KSIĘGA WIAŃ

## WIADOMOŚCI

WOLNO Drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie, dnia 4 (16) Grudnia 1852 r.

Starszy Cenzor,  
Radca Dworu, **L. T. Tripplin.**

Drukiem St. Strąbskiego.

WARSZAWA

## NATARCIE MINGÓW

### W PIERWOTNYCH LASACH AMERYKI PÓLNOCNÉJ.

Niezmierne przestrzenie Ameryki północnej, przed odkryciem téj części świata, zamieszkane były przez potężne szczepy Lenapów, Mengwów, Mingów i t. p., które zwolna ustępując przed napaścią zdobywców, wypędzone z pobrzeży, siedliska swoje coraz dalej w głąb kraju przenosiły. Zaborcy europejscy, a mianowicie Hiszpanie i Anglicy, walczyli z sobą o lepszą w wytępieniu i gnębieniu nieszczęśliwych Indyan; a ci nawzajem palali żądzą zemsty przeciw znienawidzonym najeźdźcom. Opowiedziany poniżej epizod może dać wyobrażenie o zawziętości, z jaką toczyła się nieraz walka o życie lub śmierć między plemionami starego i nowego świata.

W jednym z tych pięknych dni jesieni, które, jakby dla obudzenia większego żalu po przejściu swoim, jaśnieją całym urokiem promiennego lata, porucznik angielski Heyward, z dwiema siostrami wybrał się konno do osady William Henry, w celu odwiedzenia krewnego, generała Munro. Podróżni, korzystając z pogody i chcąc się nasycić cudowną pięknnością dziewiczej przyrody, zboczyli ze zwykłej drogi w głąb lasów pierwotnych, nie tkniętych dotąd stopą Europejczyka, pod przewodnictwem Indyanina, któremu, zdaniem Heyward'a, można było zaufać.

Bez najmniejszego podejrzenia młode towarzystwo oddawało się wrażeniu nieznanym i dziwnym, a zawsze wzniosłym i czarującym widoków, nie spostrzegając nawet że słońce chyliło się ku zachodowi. Ale gdy mrok już zapadał, a wędrowcy nasi, zamiast się zbliżać do William Henry, w coraz czarniejszą wjeżdżali gęstwinę; gdy postępujący przed nimi Indyanin na zapytania Heyward'a nie odpowiadał wcale, lub zbaczając, młody porucznik stawał się niespokojnym. Bystre jego spojrzenie starało się przeniknąć te gęstwie drzew niebotycznych, splecionych pasorzytnym zielskiem, co nieprzebytą zastoną zieleni dookoła ich otaczały. Na skręcie ścieżki coś mignęło.

— Patrz, to jakby błyszcząca żrenica ludzka! — zawołała przelękniona młodsza siostra.

— Nie, moje dziecię, to pewno jagoda leśna prze-  
razila cię swym szkarłatnym połyskiem, odpowiedział porucznik z uśmiechem i jechał dalej, starając się przez swobodną rozmowę uspokoić truchlejące siostry.

Zaledwo jednak podróżni postąpili kilkanaście kroków, gdy poza nimi jakaś ręka niewidzialna ostrożnie rozsunęła gałęzie i wychyliła się oliwkowa twarz Indyanina. Oko mieszkańca lasów dziką zaiskrzało radością; powiódł niem w ślad za wędrowcami, jako za pewną zdobyczą, a ci tymczasem coraz bardziej się oddalali. Nadobne postacie dwóch dziewcząt majaczyły jeszcze w półcieniu, za nimi Heyward, na wszystkie strony bacznie rzucający spojrzenia; nareszcie wszyscy znikli w zaroślach.

Już ciemność wieczorna, a w smętnym lesie noc prawie zupełna. Dziewice drżą jak listeczki; i mężny Heyward nie może już ukryć obawy. Z gęstego chrapu występuje trzech ludzi. Porucznik zatrzymał konia, gotując się do obrony; lecz wkrótce przekonał się o błędzie. Nowoprzybyli należeli do przyjaznego wówczas Anglikom plemienia Mohikanów. Kilka wymienionych wyrazów utwierdziło w nim przekonanie, że chytry przewodnik umyślnie poprowadził ich na bezdroża. Do William Henry było daleko. Rozgniewany Heyward zeskoczył z konia, by ująć podstępnego Indyanina; lecz ten, korzystając z ciemności, znikł gdzieś pomiędzy drzewami.

— Cóż teraz począć? — zawołał porucznik — nie opuszczajcie nas przyjaciele! Generał Munro, nasz krewny, sowiec was wynagrodzi.

Nieznajomi po tych słowach zaczęli się z sobą naradzać w języku, którego Heyward nie rozumiał. Jeden z nich, lubo w stroju dzikich i twarzy ogorzalęj, miał jednak cerę nieco bielszą od swoich towarzyszy i zdawał się pochodzić z ra-

sy europejskiej. Postać jego zdradzała człowieka, którego wcześniej zahartowały niebezpieczeństwa i trudy. W jędrnym ciele każdy muskuł zdawał się wytężony i jakby ze stali. Nosił ubranie myśliwskie, za pasem nóż szeroki, na ramionach torbę, róg i długą strzelbę. *Sokole oko*, tak go nazywali towarzysze, miał wyraz twarzy pełen szlachetnej otwartości i prostoty. Dwaj inni pochodzili widocznie z czystej krwi indyjskiej: starszy z nich był prawie nagi; z ogolonej głowy jego, na której, oprócz zwykłego u dzikich Amerykanów kosmyka w samym środku ciemienia, nie było ani jednego włosa, spływało orle pióro; w pasie zatkwiony berdysz, a w ręku trzymał niedbale mały karabinek; sklepione piersi i surowa postawa wskazywały w nim wojownika; nazywano go *Chingachgook*. Syn jego, *Unkas*, był smagłej lecz silnej budowy; czarne oko, zpod brwi kępiastych i wypukłego czoła, rzucało groźne spojrzenia; uzbrojony był jak ojciec. Pomalowanie ciała kolorem czarnym i białym dopełniało stroju obu Indian. Podróżni, widząc w nich, obok dzikości, tyle oznak szlachetnej dumy i nieugiętej prawości, postanowili zaufać im zupełnie.

— Możemy was ocalić od niezawodnej śmierci — odezwał się nareszcie *Sokole oko* — i to wyrzekając się wszelkiej nagrody; ale pod dwoma warunkami.

— Wymień je, rzekł Heyward.

— Milczenie i tajemnica! — zawołał uroczyście Amerykanin — milczenie, cokolwiek bądź zajdzie, wieczna tajemnica — względem miejsca w które was powieziemy.

— Przymierzamy — odpowiedział Heyward w imieniu swoim i rodzeństwa.

— Więc idźcie za mną: każda chwila droższą jest dla nas, aniżeli dla ranionego jelenia krew ciekąca mu zpod serca.

W milczeniu towarzystwo kroczyło przez wieki lasy ku brzegom krętej rzeki, w której środku wznosił się mały lecz wysoki ostrów, poprzerzynany jaskiniami i otoczony szumiącymi wodospadami. Tu Europejczycy zsiadli z koni, które Indianie przeprowadzili przez wodę i ukryli w rozpadlinie skały. Tymczasem myśliwy skoczył w czołno i kierując niem wprawną ręką, płynął ku ostrowowi.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Heyward, spostrzegłszy że myśliwy przestał wiosłować.

— Znajdujecie się u stóp *Glen'u* — odpowiedział *Sokole oko* — wejdźcie na skałę, a my tymczasem dostarczymy wam żywności.

Zaledwo stopa podróżnych dotknęła brzegu, gdy czołno kręcąc się i kołysząc popędziło w nurt rzeki.

Widać było wysoką postać myśliwca sunącą po falach, dopóki czołno i ten co niem kierował nie znikli w nocnej ciemności. Po chwili znów było słychać uderzenia wiosel: *Sokole oko* powracał z Indianami i żywnością. Przywiązawszy czołno, powiodł całe towarzystwo do obszernej jaskini. Tu rozpalono ogień i rozłożono się pokotem.

Uczucie bezpieczeństwa przejęło podróżnych nieopisaną błogością; rozmawiając i spożywając wieczerzę przepędzili kilka godzin z Indianami, w mniemaniu że są ocaleni.

Wtém nagle krzyk jakiś przerażający rozległ się po powietrzu; byłto krzyk nie ludzki, jakby nie ziemski, lecz tak okropny a razem żalosny, iż przejmował trwogą i wnikał w głębię serca słuchaczów. Zaraz potem zupełna nastąpiła cisza; zdawało się że nawet fale przestały huczeć i szumić, by się przysłuchać z zadziwieniem nieznanemu głosowi.

— Co to było? — zapytał cicho Heyward.

Indianie nie odpowiadali, słuchając jeszcze z wyrazem osłupienia, jak gdyby się spodziewali powtórzenia krzyku. W istocie za małą chwilę zabrzmiał on przeciągle po raz drugi, i znów nastąpiła cisza, a w duszy słuchaczów niespokojne oczekiwanie. Nareszcie *Unkas* podniósł się i opuścił jaskinię. Po wyjściu jego *Sokole oko* pierwszy przerwał milczenie.

— Na twoje zapytanie — rzekł głosem stłumionym — żaden z nas odpowiedzieć nie może. Od lat trzydziestu jak przebiegamy te lasy, mieliśmy sposobność poznać wszystkie głosy ludzkie i zwierzęce i odróżniamy je najdokładniej; lecz takiego nie słyszeliśmy nigdy.

— Może to był okrzyk wojenny ścigających nas Indian — wyjąknęła trwożliwie jedna z dziewczec.

— O nie, to było straszniejsze! krzyk wojenny łatwy do poznania, komu się raz tylko obil o uszy;



*Watacie Mingo.*





w tym głosie było coś nadludzkiego!.... I cóż? — zapytał powracającego Unkas'a — czy wykryłeś przyczynę?

— Nic nie widać — odrzekł młodzieniec stanowczo.

— Spocznijcie więc w jednej z pobocznych jaskiń — odezwał się myśliwy do dziewczyc — bo trzeba nam ruszyć przed świtem i odbyć większą część drogi do William Henry, póki zdradzieccy Mingowie jeszcze we śnie pogrążeni. My tymczasem z porucznikiem będziemy czuwać na skale. Wszak nie odmówisz nam swój pomocy?

— Nie lękam się nigdy niebezpieczeństw — odpowiedział Heyward.

— W istocie niebezpieczeństwo jest wielkie — ciągnął dalej Sokole oko. — Od lat trzydziestu badam te lasy i wszystko co w nich żyje, z usilnością człowieka, który bystrości słuchu zawdzięcza nie raz życie. Od wycia pantery do świstu drozdka, znam wszystkie głosy zwierzęce; nie złudzą mnie również nasładowania dzikich. Słyszałem jęk lasów, podobny do skomlenia konających, słuchałem dzikiej harmonii wiatrów, śledziłem błyskawic, jak z trzaskiem palącego się stosu przeryniają powietrze: ale w tém wszystkiém podziwiałem tylko Stwórcę, który igra z dziełem swój ręki. Krzyk zaś, któryśmy dopiero co słyszeli, uważam za znak zesłany nam na przestrożę.“

Występując z jaskini, świeży powiew chłodnego powietrza dobroczynnie ich orzeźwił. Wiatr nocny chodził po wodzie, uderzając o spadającą kaskadę, jak gdyby ją w pędzie chciał zatrzymać: a ta tymczasem, z łoskotem podobnym do huk odległego grzmotu, toczyła bezustannie rozpryszczone fale. Księżyc malowniczo oświecał wyższe części wodospadu, gdy przeciwnie miejsce gdzie stali czterej sprzymierzeni w głębokim pogrążone było cieniu.

— Nic tu nie widać, prócz piękności czarującego wieczoru — rzekł Heyward do swych towarzyszków, toczących bystre dokoła spojrzenia — prawdziwie uwielbiałoby trzeba ten obraz wspaniały gdyby.....

— Słuchajcie! — przerwał mu Unkas, i poraz trzeci rozległ się ów krzyk przenikający, tym razem jakby z łona rzeki.

— Wiem teraz — odezwał się porucznik, gdy echo odwtarzało głos nieznany, coraz go słabiej

powtarzało — przyczynę naszej trwogi. Jestto krzyk który wydają konie w śmiertelnéj boleści lub obawie. W jaskini mogłem nie dosłyszeć, lecz tu natychmiast go poznałem. Koniom naszym zagraża niebezpieczeństwo, którego uniknąć nie mogą; może napad dzikiego zwierza.

Myśliwy i towarzysze jego słuchali téj mowy z uwagą ludzi pojmujących nową dla siebie prawdę.

— Nie mogę przeczyć twym słowom — rzekł Sokole oko — bo koń nie naszych stron jest mieszkańcem. Może wilki krążą w pobliżu, a biedne zwierzęta wołają o pomoc. Podjedź czółnem Unkas'ie, i rzuć w to miejsce kilka głowien rozpalonych, by je rozpędzić.

Młodzieniec zbliżył się już do czółna, kiedy z nad brzegu przeciągle odezwało się wycie, które coraz słabiej oddalało się w głąb lasu, jak gdyby nagły postrach zmusił napastników do ustąpienia zdobyczy. Unkas spiesznie powrócił, i trzech mieszkańców lasów zaczęli coś szeptać między sobą.

— Niema wątpliwości — rzekł w końcu Sokole oko do Heyward'a, — że Mingowie wytropili nas po krzyku konia i gotują się do napaści. Teraz bracia baczność i cisza!

Myśliwiec wymówił te słowa głosem poważnym, uroczystym, niewyrażającym jednak najmniejszej obawy. Gotował się do odparcia grożącego niebezpieczeństwa z zimną krwią męża, który już nie raz śmierci zajrzał w oczy. Odwagę jego podzielali Chingachgook i Unkas; każdy z nich obrał sobie miejsce, z którego nie będąc sam widzianym, mógł widzieć oba brzegi. Z wyteżoną uwagą, leżąc nieruchomie na skale, spoglądali oni przez kilka godzin na ciemne pasma drzew pokrywających brzegi rzeki. Najłżejsze nawet tchnienie nie zdradzało, że były tam żyjące istoty, i nadzwyczajna ta ostrożność nie ustawała dopóty, póki księżyc nie spuścił się za góry, a pas bladawego światła na wschodzie zwiastował zbliżanie się ranku.

Teraz Sokole oko poczołgał się wzdłuż skały do Heywarda i rzekł po cichu:

— Sprobujmy uciec, unikając nierównéj walki; trzeba obudzić kobiety. Może nam się uda uniknąć czujności nieprzyjaciół. Pojdę odwiązać czółno.

Podczas gdy myśliwy skradał się powoli ku brzegowi, porucznik powstał.

Ale w téj samej chwili powietrze zatrzęsło się krzykiem, jak gdyby piekielne zaludniały je duchy.

Ze wszystkich stron lasu, nawet zpod kaskady i z koryta rzeki szerzyła się dzika wrzawa. Heyward rzucił się na twarz i tym sposobem uniknął strzałów, które doń z przeciwnego brzegu wymierzono. Mingowie, sądząc że go zabili, wydali okrzyk tryumfu; lecz Mohikanie odpowiedzieli z urąganiem i posłali im wzamian dobrze skierowaną salwę.

Z niecierpliwym oczekiwaniem Heyward spoglądał w tę stronę gdzie było czółno, spodziewając się myśliwca. Rzeka bystro płynąca błyszczała teraz w różowym świetle jutrzeńki; ale w tym potoku złota i szkarłatu nic nie zaczerniało. Porucznik powziął na chwilę podejrzenie, iż Sokole oko opuścił ich w niebezpieczeństwie; gdy wtém zpod skały, na której leżał, rozległ się huk, a na przeciwniej stronie jęk boleści; było strzał przyczajonego myśliwca, którego wprawna ręka nie chybiała nigdy celu. Po stracie pierwszego człowieka, zwyczajem dzikich ludów, nastąpił chwilowy odwrót i wkrótce zupełna nastąpiła cisza. Heyward wszedł do jaskini by uspokoić przerażone siostry; towarzysze pospieszyli za nim.

— Czy sądzicie, że dzicy ponowią napad? — zapytał młody oficer.

— Chcesz-li by wilk zgłodniały porzucił swą zdobycz, na jednym poprzestawszy kęsie?—odpowiedział Sokole oko. — Cofnęli się po stracie, bo taki u nich zwyczaj; lecz niezadługo powrócą z większą jeszcze wściekłością. O ucieczce—dodał z wyrazem niespokojności — już teraz ani myśleć. Jedyny dla nas ratunek, bronić się jak najdłużej; tymczasem może w William Henry usłyszą wystrzały i generał Munro, niespokojny o was, wyszle nam w pomoc oddział wojska.

— Spodzielam się tego, rzekł Heyward, bądźcie więc dobrej myśli, kochane siostry, i zaufajcie naszemu mężstwu.

Nie czekając odpowiedzi wyszli, każdy na swoje stanowisko. Indianie udali się ku rozpadlinom, zkad oko ich pańowało nad wszystkimi drogami wiodącemi do wodospadu. Wpośrodku wyspy wznosiła się kępa karłowatych sosen, w którą rzucili się Heyward i Sokole oko, ukrywając się za pniami, jak było można. Długo tu czatowali bezskutecznie: największa wkoło panowała cisza, a Heyward łudził się już nadzieją że dzicy zupełnie odparci.

— Nie znasz natury Mingów — szepnął Sokole oko—jeśli mniemasz że ustąpią, nie zdobywszy ani jednej czaszki nieprzyjacielskiej. Szczupła liczba nasza aż nadto dobrze im znana; będą z tego korzystać. Ale ciszej! czy widzisz?... tam na skraju wodospadu!... jeżeli mnie oczy nie mylą, to ci piekielni śmiałkowie rzucili się w nurt rzeki i może dosięgli już wyspy. Teraz, na miłość Boską milczenie! inaczéj w oka mgnieniu zedrą ci skórę z ciemienia.

Heyward wychylił głowę z kryjówki i ujrzał rzeczywiście cud zręczności i odwagi. Bystry pęd wody, myjąc powierzchnię skały, zaokrąglił pierwszy jéj odstęp; w tém przeto miejscu spadek nie był zbyt nagły, a dosięgłszy drugiego odstępu, cała masa wody zwracała się ku ostrowowi. Korzystając z tego kilku nieprzyjaciół spuściło się z wierzchołka wodospadu, a w chwili gdy Sokole oko mówić przestał, czterech z nich uchwyciło szczęśliwie olbrzymi pień, który uwiązał w zaroślach ostrowu. Po jakimś czasie piąty wynurzył się z fali, nieopodal już lądu. Widać było jak walczył potężnie z prądem, i już wyciągał rękę do towarzyszków, gdy wir powtórnie go uchwycił i jednym rzutem zepchnął w przepaść ziejącą.

Myśliwy włożył palec w usta i gwiznął; Indianie zpod skały odpowiedzieli. Wkrótce Heyward usłyszał lekkie trzeszczenie, odwrócił się i ujrzał o kilka kroków Unkas'a, który poczołgał się w górę na brzuchu. Sokole oko przemówił doń kilka wyrazów, pocém młody Indianin zajął wskazane sobie stanowisko. W téj samej chwili lasy zabrzmiały znów okrzykiem, a czterej dzicy, co tak zuchwale kataraktę przepłynęli, wdrapawszy się na ląd, wielkimi susami zaczęli przeskakiwać urwiska. Już byli niedaleko, gdy myśliwy podniósł z wolna strzelbę i ruszył cynglem; pierwszy z nieprzyjaciół zwinął się i głową naprzód padł w rozpadlinę.

— Teraz ty spraw ostatniego! rzekł do Unkas'a, dobywając noża z zaiskrzonemi oczyma, a wtedy nie ujdzie i reszta.

Unkas usłuchał rozkazu, a tymczasem Heyward, oddawszy jeden z swych pistoletów myśliwemu, rzucił się z nim na spotkanie dwóch pozostałych napastników. Dwa strzały padły jednocześnie, lecz oba chybiły.

— Mogłem się tego spodziéwać! — zawołał Sokole oko, rzucając pogardliwie pistolet o ziemię.

Zaledwo wymówił te słowa, gdy jeden z dzikich, człowiek olbrzymiej postawy, rzucił się na niego z wściekłością. Przez kilka minut godni siebie zapasnicy zawziętą toczyli walkę; każdy z nich ujął wzniesioną rękę przeciwnika, w której zabójcze błyszczało żelazo, i tak przez chwilę stali prawie nieruchomi; nareszcie przemogła wytrwałość Europejczyka: ręka Indyanina zaczęła się uginać i w mgnieniu oka nagą pierś jego przeszło ostrze myśliwca.

Tymczasem Heyward straszliwszą jeszcze utarczkę rozpoczął z drugim Indyaninem. Przy pierwszym zaraz spotkaniu słaba jego szpada strzaskała się, lecz i przeciwnik, lekko w rękę raniony, upuścił nóż, który potoczył się w wodę. Nie mając już innej broni, prócz siły muszkułów i zręczności, obaj szermierze ujęli się wpół, i zaczęło się okropne pasowanie, podczas którego każdy starał się zrzucić przeciwnika w szumiące nurty wodospadu. Każde usiłowanie zbliżało ich do brzegu, i już się obaj zachwili nad przepaścią; gdy udało się Indyaninowi schwycić Heyward'a za gardło. Osłabiony tém porucznik uczuł że członki jego ustępują niewstrzymanej sile, widział dziką radość błyszczącą w twarzy przeciwnika, a o kilka kroków od siebie śmierć nieuniknioną. W tej chwili stanowczej tuż przed nim mignął nóż Unkas'a; przecięta ręka Mingo'sa opadła bezwładnie, podczas gdy oko z wyrazem nienawiści na nowego zwróciło się nieprzyjaciela; lecz jedno pchnięcie młodego Mohikana wtrąciło go w otchłań bezdenną.

— Ukryjcie się! zawołał Sokole oko, jeśli wam życie miłe; dzieło nasze w połowie dopiero ukończone!

Unkas wydał okrzyk tryumfalny i spiesznie wraz z Heyward'em schronił się za skały. Rzeczywiście zaraz po ukończeniu walki, Mingowie, będąc świadkami klęski swych braci, ryknęli głosem wściekłości i zemsty, a kule jak grad sypnęły się przez rzekę. Na ogień ten pomieszany odpowiadały rzadkie, lecz celnie wymierzone strzały Chingachgook'a, który ani na chwilę nie opuścił obranego stanowiska. Na zwycięzkie wołanie Unkas'a ucieszony ojciec jednym tylko odpowiedział krzykiem, i znów spokojnie nabijał karabinek. Przez czas niejaki obie strony wymieniały tym sposo-

bem salwy i pojedyncze wystrzały. Już drzewa, krzaki i skały w wielu miejscach były podziurawione lub poobrywane; lecz broniący tak dobre mieli kryjówki i tyle zachowali ostrożności, że żaden z nich nie był jeszcze ranny.

— Szkoda prochu! odezwał się Sokole oko, sprzykrzy im się zabawka, zanim te glazy poproszą o pardon.

— Ten strzał był dobry! zawołał porucznik, zrywając się mimowoli, gdy tuż koło niego kula odbiła się od skały.

Sokole oko podjął splaszczony olów, i rzekł potrząsając głową: „Kula poziomo wystrzelona nigdy się nie płaszczy, musiała ona paść z wysokości. Tymczasem Unkas w milczeniu podniósł strzelbę, wskazując nią ku górze; spojrzenia wszystkich zwróciły się w jej kierunku, i otóż odkryto tajemnicę strzału. Nad samym brzegiem rzeczki stał dąb rozłożysty, wysoki i mocno ku ostrowowi pochylony, tak że niektóre jego gałęzie były prawie w równi ze skałą. Na wierzchołku tego dębu usadowił się Indyanin, i ztamtąd słał skrytobójcze pociski, tak zręcznie ukryty za pniem, że nawet wtedy mało go było widać, gdy się składał do strzału.

— Te licha gotowe wspiąć się na chmury, aby nas zgubić! zawołał myśliwy. Chłopcze, nie spuść go z oka, póki ja nie nabiję, a potem weźmiemy go we dwa ognie.

Na dany znak przez myśliwca strzelby błysły razem, gałęzie zaszumiały, a kora z liśćmi prysnęła w powietrze. Lecz Indyanin szyderczo się zaśmiał i w odpowiedzi posłał im kulę, która Unkas'owi przeszła czapkę. Znow odezwało się wycie Mingów, ale tym razem radosne; gęste wystrzały szły ponad głowami, tudzież w prawo i w lewo obleżonych, tak iż niepodobna im było, opuścić miejsca, nad którym panował człowiek ukryty w dębie.

— To tak pozostać nie może! rzekł po chwili Sokole oko. Unkas'ie, przywołaj swego ojca; potrzeba nam wszystkiej broni, by tego ptaszka wypłoszyć z gniazda.

Na umówione hasło przybiegł natychmiast Chingachgook. Unkas wskazał mu kryjówkę niebezpiecznego wroga: potem Sokole oko odbył krótką naradę z Indyanami i każdy udał się w swoje miejsce, dla wykonania umówionego planu.

Dziki, od czasu gdy został spostrzeżony, utrzymywał żwawy, chociaż bezskuteczny ogień. Czułość nieprzyjaciół nie dozwalała mu celować należycie, bo skoro tylko wystawiał jaką część ciała, zaraz doń wymierzano. Jednakże strzały jego mocno niepokoiły broniących, a Heyward, którego odznaczał przed innemi mundur oficerski, był nawet raniony w lewą rękę. Ośmielony długą nieczynnością przeciwników, Mingo usiłował wreszcie przybrać dogodniejsze położenie, a ruch ten nieostrożny odsłonił bystremu wzrokowi Mohikanów jego nogi.

Rozległy się jednocześnie dwa strzały; raniony Mingo przysiadł i wychylił jedno ramię. W tej samej chwili Sokole oko, korzystając ze sposobności wypalił.

Znów zaszumiały liście; niebezpieczna strzelba spadła z wysokości, a po kilku sekundach daremnej walki, ukazało się ciało Indyanina, napół w powietrzu zawieszona, którego ręce konwulsyjnie jeszcze chwytaly się grubej gałęzi. Heyward poznał w nim swego przewodnika.

— Bądźcie miłosierni, dobijcie go! zawołał, odwracając oczy od okropnego widoku.

— Niewart ziareczka prochu, odpowiedział surowo Sokole oko, śmierć jego pewna; pocóż marnować amunicją, której i tak mamy niewiele.

Teraz nastął chwilowy rozejm: obie strony spoglądały na nieszczęśliwego, co się kołysał w powietrzu między niebem a wodą. Na ciemnej twarzy jego malowała się rozpacz śmiertelnej walki; lecz żaden jęk boleści nie wyrwał się z jego piersi. Sokole oko potrzykroć podniósł strzelbę, i potrzykroć ją spuścił. Wtém jedna ręka Indyanina zsunęła się z gałęzi; przez chwilę silił się napróżno, by znów ją uchwycić rzucając się dziko w powietrzu. Widok był tak straszliwy, że Sokole oko mimo woli prawie wystrzelił. Członki nieszczęśliwego zatrzęsły się i drgnęły, głowa spuściła się na piersi i ciężko jak bryła ołowiu, ciało runęło w przepaść.

Zwycięztwu temu nie towarzyszyły wołania tryumfu. Mohikanie oniemieli z przerażenia; po stronie zaś przeciwniej rozległ się okrzyk trwogi. Sokole oko, który sam jeden zachował zimną odwagę, niekontent z chwilowej słabości swojej, zawołał:

— Byłto ostatni ładunek, ostatnia kula z mojej torby. Chłopcze przynieś mi z czółna resztę prochu, użyjemy go co do ziarna.

Młody Mohikanin uczynił jak mu kazano, lecz niezadługo powrócił pędem, wołając głosem rozpaczy: „czółno porwane!“ Szyderczy śmiech zabrzmiał po lesie na te słowa, jak gdyby duchy piekielne urągały ich nieszczęściu.

— Śmiejcie się łotry! rzekł z rezygnacją myśliwy, najlepsze strzelby tych lasów niewarte teraz więcej od kija dębowego. Nie pozostaje nam jak cofnąć się do jaskini i bronić jej wejścia, póki będzie można.

Skradając się cicho po manowcach, oblężeni dostali się do schronienia dziewic, które przyjęły ich z radością, mniemając że walka zwycięzko ukończona. Surową twarz myśliwca przebiegło rozrzewnienie.

— Kochane dzieci, rzekł ponuro, Mingowie gonią za nami; przepędźmy na modlitwie chwile jakie nam pozostają.

— Tak jest mój bracie, dodał Chingachgook, ta walka była ostatnią! Mingowie cieszyć się będą ze śmierci Mohikanów i Sokolego oka o białej twarzy, którego wzrok przenikał ciemność nocy, a gęste chmury przeszywał jak lekki tuman wiosenny.

Dziewice tuliły się do brata, a ten z suchym okiem, lecz z gwałtownością rozpaczy, przyciskał je do serca. Trzej inni, szeptaając pacierze, w przyległej jaskini oczekiwali przybycia nieprzyjaciół. Wkrótce ze stu razem gardzieli odezwał się krzyk wojenny, w dziesięcioro echem powiększony.

— Otóż są, rzekł spokojnie Sokole oko, godzina nasza wybiła.

Coraz wyraźniej słyhać było stapania i głosy dzikich. Już docierają do jaskini, w której bezbronne ofiary odważnie czekają śmierci; już ich zoczyli i z rykiem wściekłości rzucają się na wejście.

Wtém nagle, poza niemi zagrzmiały karabiny: kilku napastników padło, reszta zatrzymała się w pomieszaniu. Salwa powtórzyła się, czerwone mundury mignęły za krzakami. Indyanie poszli w rozsypkę, a sam generał Munro z otwartemi rękoma pospieszył na spotkanie krewnych. Pomoc przybyła w ostatecznej chwili; wszyscy zostali ocaleni.





## M O T Y L E.

Nie dziwny się widząc w pięknych dniach wiosny, dzieci na kwiecistej łące, jak wszystko porzucawszy, z kapeluszami, czapkami w rękę, jedne przez drugie zapamiętałe pędzą. Cóż je tak zajęło? Motyl się im pokazał; Motyl, świetny ubarwieniem, nadobny kształtem, hoży życiem, lekki lotem. Motyl łączy w sobie wszystko co dzieci zająć, zachwycić może. Biada i z dzieckiem i dziecku, dla którego to żywe cacko jest obojętném! Piękne człowieka tylko zająć, na nim tylko wrażenie sprawić może; motyl téż zachwyca dzieci jako małych ludzi. Złowiły go przecie, ciekawie oglądają, podziwiają... piękny... śliczny! Otóż hołd Stwórcy od małych jego wielbicieli.

Któż wie? Może któremu z tych dzieci pierwszy ten motyl otworzy głowę, zapali serce, obudzi chęć i zdolności do badania dzieł natury, które samym tylko blaskiem kolorów oczy jego dziś uderzają; może to są pierwsze wrażenia jakiego nowego Linneusza, Réaumura, Kopernika albo naszego jakiego Krzysztofa Kolumba! Wszakże z małych początków powstają wielcy, znakomici częstokroć w małych objawiają się rzeczach. Wszakże motyl, oprócz ogólnej, powierzchownej piękności misterném jest, w swych szczegółach, w naturze stworzeniem. Nie same tylko słonie, lwy, orły, położy, między zwierzętami godne są badania, opisów; motyle, a nawet oddzielne ich grupy, kilka rodzajów, które już dzisiaj stami liczą, zająć mogą mile. Ileż tu się okaże piękności? ile dziwów, rozmaitości? A wszystko bogate, osobliwe, nadobne, wszystko zachwycające! Nie wiem czy co innego mieli w myśli Linneusz i inni po nim naturaliści, gdy te drobne stworzenia skojarzyli z imionami najznakomitszych ludzi, jakich nam pamiętki przekazała nietylko historia ale i mitologia grecka i rzymska.

Przedostatniemu a szczególnie bieżącemu studium, z ogólnego, wielkiego postępu historii naturalnej, winniśmy niezmierne zbogacenie zbiorów

i opisów motyli. Nim zamieścimy na końcu niniejszego artykułu opisy dwóch tu na dołączonej tablicy wyobrażonych gatunków, przebieżemy krótko treść badań składu ciała, życia i obyczajów samych motyli, zostawiając do innego artykułu wiadomości o ich gąsienicach i poczwarkach. Obaczmy ile to drobne, piękne wprawdzie, ale napozór proste w swym składzie stworzenie, dostarczyć może względów badawczej uwadze człowieka, aby rzec mógł, że je choć powierzchownie poznał.

Wszystkie owady nazywane pospolicie *motyle*, przezwali naturaliści *łuskoskzydłe* (owady), z przyczyny budowy ich skrzydeł, których mają cztery pokrytych po obydwóch stronach drobną, kolorową łuską, na oko do pyłku podobną. Trąbka spiralnie zwinięta wystaje z pomiędzy dwóch macków z trzech stawów złożonych, osadzonych na nieruchomej war-dze. Dwa różnego kształtu różki, zawsze składające się z mnóstwa członków, są narzędziami zmysłu dotykania. Tułów bez żądła, wyraźnie ukształcona przysadka przy osadzie wierzchnich skrzydeł; indywidua zawsze tylko dwojaki, to jest samczyk i samiczka, takie są stałe znamiona wszystkich motylów. Wszystkie, bez wyjątku powstają z *gąsienic*, tém różnych od gąsienic innych owadów, że nigdy nie mają mniej niż dziesięć, ani więcej nad szesnaście łapek. Gąsienice należycie dorosłe zamieniają się w *poczwarki*, z których po pewnym czasie wychodzi w doskonałej postaci motyl, zupełnie podobny swym rodzicom.

Jestto zbyt ogólny rys motylów, wejdźmy w jego szczegóły, kiedy już jest w stanie doskonałym.

Jak wszystkich owadów tak i motyla ciało składa się z głowy, gorseta i tułowa. Na drugiej z tych części prawie zawsze osadzonych jest cztery skrzydeł i sześć nóg. Gorset, część odpowiednia klatce piersiowej zwierząt czerwoną krew mających, składa się zawsze z trzech wyraźnych, oddzielne naukowe nazwy mających części. Ostatnia

kończy się zawsze na wierzchu trójkątną *tarczą*. Wierzchnia strona gorseta nazywa się *grzbietem*, spodnia *piersiami*. Grzbiet okryty bywa zwykle dwiema przysadkami, które mniej więcej zmieniają kształt gorseta. Gorseta kształt, zwykle owalny, bywa dla naturalistów znamieniem natury i sposobu życia tych owadów. Zresztą kolor piersi bywa zwykle ciemny, a grzbietu odpowiedni kolorowi wierzchnich skrzydeł.

Głowa w ogólności jest okrągła, z przodu przypłaszczona, szersza niż długa, zawsze nieco węższa od gorseta, u dziennych bardziej, u nocnych mniej wydatna, delikatnymi włoskami okryta. Oczy składają się z niezliczonej liczby płaszczyzn, jak wielobocznie szlifowany brylant, a każda płaszczyzna otoczona jest włoskami, jak się zdaje powieki zastępującymi. Kolor oczu za życia u jednych świetnie zielony, u innych brunatny, lub czerwony.

*Różki*, zwykle przy oczach osadzone, są pospolicie krótsze od długości ciała, i z wielu składają członków czyli stawów. Kształt ich bywa rozmaity: u motyli dziennych są pospolicie nitkowate, mniej więcej wydatnie pałeczkowato zakończone. Te to pałeczkowate końce lub całe różki rozmaitem ukształceniem nastroczają stałe, pewne cechy rodzajów. Ze czterech macków dwa są właściwymi wargami, a drugie dwa szczękami. Delikatna, w czasie spoczynku zawsze spiralnie zwinięta trąbka, jak się przekonano z poprzecznego jej przecięcia, składa się z trzech kanalików, z których podobno jeden tylko służy do ciągnięcia soków.

Tułów, a jeżeli się podoba, brzuch, owalnie podługowaty lub walcowaty, składa się z siedmiu obrączek, a każda z łuczka dolnego i wierzchniego, błonką połączonych, i znacznie rozszerzać się może, jak to widać u samiczek przed zniesieniem jajek. Kolor tułowa większej części motylów nocnych bywa ten sam co spodnich skrzydeł, u niektórych jest świetny równie jak skrzydła, u innych znowu ciemniejszy od gorseta.

*Skrzydła*, które osadzone są na bokach gorseta u wierzchu, zawsze jest cztery, wyjąwszy przypadkowo zdarzające się samiczki, które ich miewają tylko początki, niezdatne do lotu. Każde skrzydło, oddzielnie uważane, składa się z dwóch błonkowatych blaszek, ściśle z sobą połączonych wewnętrznymi stronami i podzielonych na kilka

wyraźnych części rogowymi włókienkami *żyłki* zwanymi. Dwie te blaszki, stanowiące dwie strony skrzydła, okryte są pyłkiem mączystym, który odstaje za dotknięciem. Przy pomocy mikroskopu, a nawet często gołym okiem, dostrzedz można, że ten pyłek, to są kolorowe łuseczki osadzone na błonkowatej blaszce każda małym haczykiem, i to rzędami, tak samo jak dachówki na dachu. Kształt ich, według gatunków motyli, jest nieskończenie rozmaity, a nawet różne bywają na jednym gatunku, stosownie do części skrzydła, na której są osadzone. Na motylach jednych grup są większe, na innych znowu mniejsze; na niektórych rodzajach podobne do rybięj łuski. Tak bogate i rozmaite kolory motyli skrzydeł należą do samych łusek, a bynajmniej do blaszek skrzydłowych, bo te są zawsze i u wszystkich motyli przezroczyste, tak iż obetrzeć z nich pyłek a wszystkie będą jednakowe. Łuska każda zwykle po obydwóch stronach jednakowego jest koloru. Dlatego skrzydło motyla odcisnąć można na papierze naklejonym gummą lub czem podobnym; otrzymany tym sposobem odcisk będzie ze wszystkiemi podobny do naturalnego skrzydła, tylko że to będzie widziane z odwrotnej strony łusek. Żyłki w skrzydłach są organy rurkowate, nitkowate, mniej więcej rozgałęzione, a przeznaczeniem ich zdaje się być podporą dwóch blaszek skrzydła stanowiących: dlatego budowa ich rurkowata jest razem mocna i lekka. Rozchodzą się w skrzydło, jak pręty w parasolu, od jego osady do obwodu, coraz dzieląc się na odnogi. Liczba tych żyłek w skrzydło bywa różna w różnych rodzajach, zaczawszy od ośmiu aż do dwunastu, i różna jest w skrzydłach wierzchnich a spodnich. Liczba, podział i rozkład tych żyłek służą naturalistom za cechy do podziału motyli na rodzaje, grupy i t. d. Skrzydło spodnie, jakkolwiek budową podobne do wierzchniego, miewa zawsze odmienny kształt; w ogólności bywa ono zaokrąglone lub owalnie podługne, kiedy skrzydło wierzchnie zwykle jest mniej więcej trójkątne. Ogólnie jeszcze uważane skrzydło dostało oddzielne nazwy różnych jego części, środek zowie się *tarczą*, część od gorseta *podstawą*, a jej przeciwna *brzegiem tylnym*, i t. d. i t. d. Tylny brzeg każdego skrzydła obwiedziony jest delikatnymi jakby fręzla włoskami, i to jest *firanka* skrzydłowa.



Co do kolorów, skrzydła motyli przedstawiają ich taką różnorodność jak korony kwiatów, z tą jeszcze różnicą, że na skrzydłach motyli, z najżywszymi kolorami, łączy się częstokroć połysk metaliczny. W żadnym innym rodzie zwierząt natura nie była tyle hojną w ozdoby. Szczególniej odznaczają się ich przepychem motyle dzienne; nocnych zaś w ogólności kolory mniej są żywe, a za to rysunki ich ozdób bywają wydatniejsze.

Nóżki motyla, jak w innych owadach, składają się zawsze z pięciu wyraźnych części, z których ostatnia dolna, nastopnik, ma pięć widocznych członków, nie licząc w to kończących ją pazurków. Nóżki u większej liczby wszystkie sześć równo długie, są w ogólności mniej więcej kosmate, łuską pokryte.

Między samcem a samiczką ta tylko częstokroć zachodzi różnica, że ostatniej tułów bywa grubszy, i w ogólności bywa ona większa od samca; kolory na niej mniej są świetne, a ich rysunek wydatniejszy. W niektórych jednak rodzajach samiec jest od samicy większy. Co do kolorów samiec tak się częstokroć różni od samicy, iż zdają się do oddzielnych należeć gatunków; mniej zaś bywa różnicy w rysunkach ubarwienia.

Życie motyli pospolicie trwa bardzo krótko; samiec umiera czasem zaraz po widzeniu się z samiczką, ona zaś po ukończonem niesieniu jajek. Czasem więc życie samca od wyjścia z powię poczwarki ledwo potrwa trzy lub cztery dni. Zresztą spotkanie obojg płci nie zależy od ich woli i nastąpić może wcześniej lub później. Samiczka sama zamknięta żyje znacznie dłużej, i wtedy najczęściej umiera bez niesienia się. Wszakże i te prawa nie są bez wyjątku; niektóre, jak np. rusałki, wylęgłszy się w lecie, łączą się w pary dopiero następnej wiosny, przebywszy zimę w odrętwieniu. Spostrzegano szczególniej delikatny węch u motyli, tak iż samce częstokroć lecą milę i więcej ku samicom, które zwęszyły.

Większa część motyli żywią się ssaniem soków miodnych z kwiatów za pomocą trąbki, już to w dzień już po zachodzie słońca. Niektóre, organu tego należycie rozwiniętego niemające, umierają bez użycia pokarmu. Są gatunki które wolą ssać sok z ran roślin płynący, inne szukają wyrzutów różnych zwierząt a nawet padliny. Widzimy niektóre gatunki zbiegające się latem na

brzegi strumyków, na błotne drogi dla ssania wilgoci ziemnej.

Samica składa jaja na drzewie lub roślinie, która ma być pożywieniem jej potomstwa; jajka te mają kształt mniej więcej kulisty, a ich skorupka bywa rowkowana. Zaraz po zniesieniu jajka okryte są klejką, w wodzie się nierozpuszczającą wilgocią, która służy do ich przytwierdzenia do gałęzi lub liścia rośliny. Samice gatunków, których gąsienice żyją towarzysko, składają każda swe jajka w jedną kupkę. Czasem okrywają je włoskami oskubanymi z tylnej części tułowa, dla ochrony od zimna i wilgoci, albo osłaniają je całkiem pianistą wilgocią.

Gdy przyszłe gąsieniczki żyć mają na drzewach tracących liście w jesieni, i gdy jaja przetrwać mają zimę, wtedy samica, przez dziwną przezorność, składa je na pniu lub gałęzi, co wykonywa częstokroć bardzo symetrycznie. Inne składając je po dwa, po trzy i większymi kupkami, starają się przykryć każdą włoskami ze swego ciała oskubanymi. Wielkość jajek bywa różna według wielkości gatunku owadu, a kolor tyleż przedstawia odmian, co na jajach ptaków. Płodność motyli przyrównać można do płodności ryb; jedne nie znoszą jaj więcej nad sto, kiedy innych tysiącami je liczyć można. Wytrwałość żywotności jaj godna zadziwienia; wielka liczba wytrzymuje 50 do 60 stopni gorąca i równie mocne mrozy. Można według upodobania przechowywać je długo w sztucznie zimnie, a potem przyprowadzić do wylęgania dawszy im odpowiedni stopień ciepła. Dlatego największe mrozy Syberyi nie wywierają szkodliwego wpływu na jaja nie tylko tamtejszych, ale i z innych krajów sprowadzonych motyli. Gąsienice większej części motyli naszych klimatów wylęgle przed zimą, przebywają tę porę w odrętwieniu lub w stanie poczwarki.

Skorupka jajka jest twarda, jakby rogowa; w chwili wylęgania mała gąsieniczka wygryza ją swemi szczękami i wychodzić mając podnosi i zrzuca jak nakrywkę.

Taki jest ogólny, bardzo krótki rys natury motyla. Ileż to jeszcze pozostaje jego historii w stanie gąsienicy i poczwarki. Któreż to z najokazalszych zwierząt przedstawić nam może tyle rozmaitych okoliczności w swym składzie i w różnych epokach swego życia!

Jakkolwiek wiele jest u nas pięknych i okazałych motyli, nie mogą się jednak porównać w świetności ubarwienia, w jego blasku, tudzież w okazałej wielkości z motylami ciepłych krajów, mianowicie południowej Azji, Australii i południowej Ameryki. Widzieć to już można na obrazach następujących dwóch gatunków zamorskich, wystawionych na załączonej tu tablicy.

1. *Motyl indyjszyk*, *Papilio Ideus*. Fabrycyusz pierwszy go opisał, a Donovan podał rysunek. Ci autorowie utrzymują, że pochodzi z Madras w Indiach Wschodnich, inni jednak twierdzą, że ojczyzną jego ma być także południowa Ameryka. Lubo dosyć byłoby dla wielu czytelników obejrzć piękny i dokładny jego obraz, obaczmy jednak, jak go opisują naturaliści.

Skrzydła czarne; wierzchnie mają brzeg zewnętrzny nieco buchtowaty, oznaczone są plamą poprzeczną, krótką, biało-żółtawą, dosyć wąską, zaczynającą się na żebrze, przechodzącą ukośnie przez koniec komórki kręgowej, a kończącą się na trzecim ramieniu promienia środkowego. Skrzydła spodnie tępo zębate, a ich wcięcia białawo obwiedzione, w tyle poza komórką kręgową idzie szereg krwawo-czerwonych dziewięciu plam, z których trzy środkowe obdłużne, dosyć duże, reszta okrągławe, znacznie mniejsze; po obu stronach plam obdłużnych widać po dwie mniejszych, jedna na drugą, co uzupełnia ich liczbę dziewięć, bez tych podwójnych byłoby ich tylko siedm. Spód skrzydeł jest nieco jaśniejszy. Długość rozwartych skrzydeł 4 1/2 cala.

2. Motyl pod liczbą drugą wystawiony, u każdego z autorów, którzy go opisywali, inne ma nazwi-

sko, jakoto: *Papilio Pompeus*, u Cram.—*P. Astenous* u Fabr.—*P. Amphrisius* u Horsf.—*P. Minos Swains*; najpowszechniej dziś jest przyjęta jego nazwa *Papilio Heliakon*. Jakkolwiek jest w porównaniu do naszych motyli wielki, gdyż rozciągnięniemi skrzydłami wymierza szerokość 5 1/2 cala, jest przecież o piątą część mniejszy od innego w tymże rodzaju gatunku. Taki jest rzetelny jego opis: Skrzydła wierzchnie czarne, a ich żyły drugiego rzędu mniej więcej białawo lub popielato obwiedzione. Skrzydła spodnie złocisto-żółte, połyskowne, ich zaś żyły i obwód fastonowy, czarny; powyżej obwódki szereg plam czarnych, okrągławych, w którym dwie skrajne znacznie większe, inne zaś albo mniejsze, albo ich wcale braknie (jak tu na obocznej rycinie). Głowa i tułów czarne, blisko głowy czerwony naszyjnik, także dwa punkty na spodzie przedniej części gorseta; piersi czarne, czerwono nakrapiane naprzeciw osady skrzydeł spodnich; tułów żółty na spodzie, a czarny na wierzchu. Samica, którą inni autorowie, mylnie poczytując za oddzielny gatunek, nazwali *P. Astenous*, *Minos* i *Pompeus*, małoco większa jest od samca, ma w wierzchnich skrzydłach promienie białawe jak samiec, obwódkę zupełnie białą z żyłami i niektórymi promieniami czarniawemi. Skrzydła spodnie świetnie złocisto-żółte, z obwódką jak samca.

Motyl ten jest bardzo pospolity na wyspach Sumatra i Jawa.

Gąsienica, według pana Horsfield, który ją wypielęgnował na wyspie Jawie, jest koloru żółtawego z białawą szeroką przez grzbiet wpodłuż idącą pręgą, głowa jej jest czarna.

L.

## ŚMIERĆ KROKODYŁOM.

(OPOWIADANIE PODRÓŻNEGO).

Podczas lata 1849 r. znajdowałem się w jednej z prowincyj na północo-zachód od rzeki Indus, i tu po raz pierwszy widziałem kaimana czyli kro-

kodyla indyjskiego. Nie znałem dotąd tego zwierza, jak tylko z wypchanych okazów, pozawieszanych na powalach naszych muzeów i wreszcie

z opisu podróży, którzy tyle o nim potworności opowiadają. Przypominałem sobie Watterton'a, co dosiadał krokodyla jak konia i płynął na nim po wodzie; słyszałem także o świętych krokodylach Nilu; ale to były wyobrażenia pomieszczone. W istocie skłonny byłem uważać to wszystko za senne widzenia, za twory wyobraźni, jak ptaka Rok bajecznego żeglarza Sindbad, lub człowieka leśnego, który, według twierdzenia Negrów, mówiłby tak samo jak inni ludzie, gdyby obawa pracy nie krępowała mu języka.

Z takim uprzedzeniem względem istoty kaimanów, płynąc pewnego poranku małą rzeczką Rohan, ujrzałem na zaspie coś nakształt przepalanej kłody. Kilka poruszeń wiosła zbliżyło mnie do owego przedmiotu i spostrzegłem z przerażeniem że to był ogromny krokodyl. Więc podania o tych potworach nie były urojone: przepyszny zwierz który leżał przedemną, na jakie 18 stóp długi, z podwójnym pancerzem łuszcystym, przekonywał mnie o tém dotykalnie. W nieruchomém osłupieniu patrzyłem przez kilka minut na tę dziwną, tajemniczą poczwagę. Nagle ogarnął mnie jakiś szal zuchwalstwa, jakaś gorączkowość: uderzyłem wiosłem na płask o wodę, a w téj samej chwili obudzony ze snu krokodyl powstał, rozdziawił straszliwą paszczę i ziewnął. Widziałem jamę czerwoną z drobnymi białymi zębami, które przy zamknięciu paszczy tak szczególnie szczęknęły, że aż mnie dreszcze przeszły; potem potwór zsunął się po piasku i zanurzył w głębię.

W kilka dni później siedziałem spokojnie w swém mieszkaniu, zajęty rozmową z bratem, gdy jakaś kobieta z przeraźliwym krzykiem targając sobie włosy, podbiegła ku domowi i rzuciwszy się na twarz, zaczęła tak silnie bić głową o ziemię, jak gdyby wszystek mózg chciała wytrząść; za nią postępowała zgraja niewiast wyjących. Pytam się co za nieszczęście, a dwanaście głosów odpowiada mi razem, że przed kwadransem ta biedna kobieta, piorąc nad brzegiem rzeki, położyła obok siebie niemowlę, gdy wtém ogromny krokodyl rzucił się na niewinne stworzenie i porwał je w oczach matki. Mimo niepodobieństwa ratunku chwyciliśmy za strzelby i pobiegli nad rzekę: lecz już powierzchnia wody była równa jak zwierciadło, a dokoła głębokie panowało milczenie. Ponad głowami naszymi, czatując na ryby, unosiła

się czapla o pstrokatém piérzu, z dziobem spuszczonej na piersi. Nagle spada jak strzała, daje nurka i po chwili wypływa, lecz z próżnym dziobem. Upatrzona zdobycz wymknęła się, a czapla, jak gdyby pocieszyć się chciała w nieszczęściu, ulatuje, wydając krzyk urywany, niby drwiący.

Innym razem bawiłem się strzelaniem do wielkich ryb, wypływających niekiedy na powierzchnię wody. Właśnie jedną z nich ugodziłem, a wyżeł mój chciał ją aportować. Pocziwe zwierzę płynęło samym środkiem rzeki, gdy o stóp kilkanaście za niém wynurzył się łeb krokodyla, z otwartą paszczą i krwawo-błyszczącymi oczyma. Pies zaskowyczał, podskoczył w wodzie i zwrócił się ku brzegowi; lecz potwór szybko za nim sunął i był już tylko o trzy kroki od swéj ofiary: Wymierzyłem mu w głowę i strzeliłem: woda zakręciła się, zaszumiała, a potem krwawo zafarbowała. Wierny mój wyżeł nie tracił téż czasu; podpływał coraz bliżej, wystawiając łeb swój kudłaty i mając oczy na mnie zwrócone; po chwili wyskoczył na ląd i drżąc jeszcze cały, zaczął mi się łąsić. Biedne psisko, niedługo miałem się nim cieszyć; złowił go później inny krokodyl, zanim zdążyłem pospieszyć mu w pomoc.

Nadeszła pora dészczów. Sąsiad mój, p. Hall, zapowiedział mi piśmiennie swoje odwiedziny, prosząc abym wysłał na jego spotkanie człowieka z koniem. Indyanin Sidhoo, którego posłałem, był wzorem dzielnego biegacza. Małego wzrostu, lecz pełen życia, krępy i giętki, mógł, lecąc obok konia, przebiec ośm mil angielskich na godzinę.

Słońce już zaszło gdy przybył do mnie p. Hall, cały mokry i pokryty szlamem. Widziałem iż mu się zdarzył wypadek, lecz że w Indyach o to nie trudno, a stał przedemną zdrowo i cało, zacząłem więc sobie żartować z mimowolnej kąpieli, jakiej doznać musiał w drodze.

— Niema w tém nic śmiesznego“, odpowiedział Hall, „człowiek pański przepadł.“

— Czy utonął?“ zapytałem.

— Nie, ale go pożarł krokodyl.“ I Hall tak zaczął opowiadać:

„Przybywszy nad strumień o dwie mile ztąd odległy, znaleźliśmy go tak wezbranym, że trzeba było puścić się w pław. Spałem konia ostrogą i wszedłem w wodę, trzymając w ręku koniec liny, którą Indyanin się opasał. Dostawszy się na

brzeg, zacząłem go ciągnąć ku sobie; widziałem jak czarna jego głowa, z świecącymi nakształt białej emalii zębami i szerokim zawojem, powoli nurt przerywała. Nagle Sidhoo opuszcza ręce, wydaje krzyk okropny i znika. Ręka moja była dwa razy liną okręcona, pociągnął mnie więc za sobą i wpadłem w wodę. Skorom się podniósł ujrzałem o kilka tylko stóp od siebie ogromny, wyzębiony jak piła, 'ogon krokodyla. Przerażony niebezpieczeństwem puściłem linę i nie bez trudności po ślizkim brzegu strumienia wdrapałem się na ląd. Obejrzałem się: największa wszędzie spokojność; tylko rozpuszczony zawój Indyanina płynął środkiem; wyłowilem go za pomocą długiego kija i zachowałem, jako ostatnią po biednym Sidhoo pamiątkę.“

Złe wieści zwykle prędko się rozchodzą: żona Sidhoo, dowiedziawszy się o swém nieszczęściu, przybiegła ze łkaniem i złożyła dziecię swoje u stóp poczciwego Hall'a, który usiłując ją pocieszyć, sam się rozplakał, a nakoniec uspokoił ją nieco przyrzeczeniem, że będzie pamiętał o niej i o dziecku.

Hall nie był skłonny do melancholii, owszem nadzwyczaj wesoły; lecz ten wypadek głębokie na nas zrobił wrażenie. Siedzieliśmy pałac Shirout'y, jedną tylko zajęci myślą: jakby pomścić śmierć brata i przyłożyć się do wytępienia krokodyłów. Tworzyliśmy różne plany, lecz żaden z nich nie był praktycznym.

Na drugi dzień pokazywałem gościowi swojemu galwano-elektryczny przyrząd, który niedawno otrzymałem z Anglii, a którego użyć chciałem do karczowania pniów podwodnych, tamujących żeglugę. Tłumaczyłem mu właśnie zastosowanie i skutki aparatu, gdy Hall przerwał mi mowę:

— A toć to właśnie“, zawołał, „czego nam potrzeba! Zamiast karczować pnie wodne, rozsadzajmy lepiej krokodyle.— Przyznałem, że jedynie trudność założenia miny mogła być temu na przeszkodzie. Lecz im dłużej rozbiéraliśmy dziwny ten pomysł, tém łatwiejszym okazał się w wykonaniu.

Krokodyl trzyma się zwykle jednej okolicy, dopóki w niej ryb podostatkiem znajduje. Dowiedzieliśmy się, że morderca nieszczęśliwego Sidhoo znany był oddawna przez krajowców. Pożerał im kozy, owce, dzieci; raz nawet porwał się na ba-

wołu pijącego wodę ze strumienia; lecz z téj rozprawy nie wyszedł zwycięzko. Nie było bowiem dosyć wody aby bawołu utopić, a krokodyl znalazł swego mistrza; potężne uderzenia rogów napastowanego zwierzęcia zmusiły go do spieszego odwrotu.

Gdy wszystko było umówione, Hall, brat mój i ja puściliśmy się małym czółenkiem po rzęce Rohan, wzięwszy z sobą aparat galwaniczny i kilku ludzi. Przy ujściu owego strumienia zatrzymaliśmy się; Hall poszedł do wsi poblizkiej i kupił za kilka annasów (1) padłą kozę.

Wciao tego zwierzęcia włożyliśmy róg zawierający 6 funtów prochu, połączony z drutem komunikacyjnym. Do tak przygotowanej ponęty przywiązaliśmy dwie mocne liny, każdą około 90 stóp długości; do jednej z nich przytwierdzony był drut łączący, a po obu końcach znajdowały się wydęte nakształt balonów skóry kozie, których Indyanie używają do noszenia wody. Hall szedł po jednym brzegu strumienia, mój brat po drugim; każdy z nich trzymał pod pachą jeden balon skorzany, mając linę okręconą koło ręki. Bratu mojemu dostała się lina z drutem; szedłem więc obok niego, a za mną ludzie dźwigający na kiju naładowaną już baterią.

Tak przygotowani postępowaliśmy w wyż strumienia, wlekąc za sobą ciało kozy i przeciągając je to na tę, to na tamtą stronę, by żadnej nie pominąć kryjówek. Koryto wody miało tylko 36 stóp szerokości, trudno więc było zminąć się z potworem. Jakoż po upływie kwadransa brat mój i Hall uczuli szarpnięcie; krokodyl widać chwycił, i można było poznać po gwałtowném poruszeniu strumienia, że płynął z nadzwyczajną szybkością. Popuścili więc liny i biegli w cwał za nim, lecz nie mogąc nadażyć, zmuszeni byli rzucić balony na wodę. Kaiman popłynął jeszcze nieco, lecz przybywszy na miejsce gdzie się brzegi zwięzały, spoczął. Zbliżyłem się aby przyciągnąć linę z drutem i wyglądałem z niecierpliwością ludzi niosących baterią elektryczną; bo gdyby krokodyl zerwał się przed ich nadejściem, musielibyśmy nową rozpocząć gonitwę, a tymczasem potężne jego zęby mogły skruszyć linę wraz z drutem. Nareszcie usłyszałem ich stapania i głos mego brata na-

(1) Moneta indyjska.

kazujący im pośpiech; lecz zaledwo głowy Indyan pokazały się z za wzgórza, kiedy piérwszy z nich potknął się i upadł. Byłem w rozpacz, gdyż maszyna skutkiem wstrząśnienia straciła znaczną ilość kwasu siarkowego. Na szczęście mieliśmy jeszcze zapas: wypróbniliśmy jedną flaszkę i aparat był znowu czynnym. Zacząłem teraz ciągnąć ku sobie linę, ale z największą ostrożnością, by nie poruszyć krokodyla; mimo wszakże usiłowań moich balon skórzany oberwał bryłę ziemi, która plusnęła w wodę. Obawiałem się czy to nie spłoszy potworu; lecz ten najspokojniej leżał sobie na dnie, nie przewidując grożącego mu niebezpieczeństwa, nie wiedząc że potknął minę co go rozsadzi, zapalona iskrą piekielnego przyrządu, przez jedną z tych istot dwunożnych, które nieraz za pokarm mu złożyły.

Z uśmiechem zadowolenia na ustach trzymałem wreszcie oba końce drutów łączących. Brat mój przytwierdził jeden z nich do baterji, ja przytknąłem drugi i wszystko było skończone. Uczuliśmy silne wstrząśnienie, jak gdyby ogromny ciężar padł na brzeg: potem woda głucho zaszumiała, zionęła gęstym dymem i brudne męty wystąpiły na jęj powierzchnię. Cały strumień zawrzał, a w końcu wypłynęła czerwona jakaś i niekształtna bryła. Zamysł nasz udał się najpomyślniej: poszarpane kawały łuszczystej skóry porozrzucane były dokoła; kilka z nich przynieśli nam Indyanie z okrzykiem radości, jako trofea odniesionego zwycięstwa. Kadłub rozerwanego krokodyla popłynął dalej i wkrótce znikł nam z oczu.

W tydzień później dowiedzieliśmy się że przedsięwzięcie nasze chybiło istotnego celu. Morderca biédnego Sidhoo żył jeszcze i nie przestawał być postrachem okolicy: galwanizowany zaś przez nas krokodyl był jednym z mniej srogich jego braci. Zrobiliśmy przeto powtórną wyprawę, nie zmieniając planu natarcia; tylko że tym razem postanowiliśmy nie napełniać baterji, aż w chwili stanowczej. Ciągnąc za sobą kozę, uszliśmy blisko milę bezskutecznie; nakoniec zniechęceni niepowo-

dzeniem, zapaliwszy Shirout'y, usiedliśmy na brzegu. Hall zrobił sobie dość wygodne siedzenie ze zwiniętej liny, na której położył balon skórzany. Brat mój poszedł za jego przykładem; ja zaś, szukając cienia, położyłem się w sitowiu ponad brzegiem. Tak umieszczeni rozmawialiśmy o możliwości pomyslnego skutku naszego polowania, gdy w jedném mgnieniu oka brat mój na jednej, a Hall na drugiej stronie strumienia zlecieli z swych siedzeń; liny wraz z balonami zanurzyły się w wodzie; my zaś, śmiejąc się z niespodzianej przygody, zaczęliśmy gonić krokodyla. Niedaleko małego przyładka skóry wypłynęły; ale w tém miejscu brzeg był tak stromy, że nie mogliśmy zbliżyć się do nich bez spłoszenia naszej zwierzyny. Zaczęliśmy więc rzucać kamieniami w to miejsce, gdzie prawdopodobnie krokodyl spoczywał, i wkrótce ujrzeliliśmy z zadowoleniem że skóry zaczęły się znowu poruszać, ale zwolna; potwór nie spieszył się widać, tylko łaził ociężale na dnie, szukając spokojniejszego schronienia.

Zleciłem bratu napełnienie baterji, a sam pobiegłem coprędzej ku miejscu gdzie brzegi się zniżały. Szczęśliwym trafem balony tak blisko tu podpłynęły, iż mogłem je dostać ręką. Uchwyciłem linę po której szedł drut łączący, i zawołałem o podanie aparatu. Za chwilę miałem go pod ręką. Brat mój napełnił go kwasem, a że krokodyl był jeszcze w ruchu, co można było poznać po kołysaniu się drugiego balonu, musiałem się więc pospieszyć. Zbliżyłem koniec drutu łączącego do baterji i zetknąłem go z jęj biegunem.

Tym razem, zapewne skutkiem częściowego odosobnienia się drutu, wybuch chwilowej doznał zwłoki. Potem nastąpiło uderzenie, huk, dym, i znów wynurzyła się masa bezkształtna poszarpanego w kawały mięsa. Hall chciał ją przyciągnąć do brzegu, w nadziei iż może znajdzie ślad jaki nieszczęśliwego Sidhoo, ale widok był tak okropny, że żaden z nas znieść go nie mógł. Sidhoo był pomszczony, bo odtąd w całej okolicy nie pokazywały się już krokodyle.

## POŁÓW WIELORYBÓW.

Od XII już wieku ród wielorybów, a mianowicie jeden ich gatunek, wieloryb pospolity czyli grenlandski (*Balaena mysticetus*) stał się przedmiotem gorliwych poszukiwań ze strony narodów północnych, stanowiąc dla nich obfite źródło bogactwa. Jest on największym ze znanych nam zwierząt żyjących. W czasie pierwszych wypraw Holandczyków na morze lodowate, celem odkrycia północno-wschodniego przepływu do Indyj, łowiono podobno egzemplarze mające od 120 do 200 stóp długości, i 3000 centnarów wagi. Dziś zwykle długość ich nie przechodzi 60 do 70 stóp, a ciężar 1000 centnarów; ale i to jest ogrom, który niezaprzeczenie wieloryba czyni olbrzymem królestwa zwierzęcego.

Po odkryciu w r. 1596 wyspy Spitzbergu, przyległe morze lodowate ożywiły statki ścigające za połowem wielorybów. Holandczycy, Anglicy, Hamburgczycy, Francuzi i Duńczycy ubiegali się w nim o pierwszeństwo. Każdy z tych narodów zagarnął pewien obręb, w którym wyłącznie się trudnił tym zyskownym przedsięwzięciem. Wkrótce jednak skrzętność Holandczyków zapewniła im przewagę. Połów ich tak się rozszerzył, że zmuszeni byli założyć na północnym brzegu Spitzbergu osadę, umyślnie dla wytapiania sadła. Odtąd osada ta stała się ogniskiem handlowym i stacją dla okrętów holenderskich, które znów zaopatrywały mieszkańców we wszystkie potrzeby życia. Były tam nawet bogate sklepy i wyborne gospody, tak iż w odległości 11 stopni od bieguna znajdowano większą część przyjemności, jakich wówczas wymagały wykwintne Antwerpii obyczaje. Przytaczają między innymi, że każdy z majtków i robotników spożywał co rano na śniadanie gorące wafle, jeden z artykułów zbytku, który Holandczycy za nieodzowny prawie uważają. W epoce największego kwitnienia, około r. 1680, połów wielorybów zatrudniał 260 okrętów i 14,000 marynarzy holenderskich; na przewiezienie zaś tranu musiano wysyłać całe floty. Czasy te przeminęły bezpo-

wrotnie: dziś przemysł Holandyi w tej gałęzi zeszedł na zero, a najnowsze usiłowania celem nadania mu żywszego popędu, spełzły na niczym.

Obecnie znajduje się on w ręku Anglików, Amerykanów i Francuzów; tylko że jego widownia w inne przeniosła się strony. Odkrycia Ross'a i Parry'ego wskazały nowe tych zwierząt siedliska; ztąd połów przeniósł się z morza grenlandzkiego dalej na zachód ku cieśninie Davis'a i zatoce Hudson. W tych jednak stronach niebezpieczeństwa nierównie są większe, a zyski mniej bogate. Gdy bowiem w czterech latach, od 1814 do 1817 Anglia, z 586 okrętów wyprawionych na morze grenlandzkie, straciła, tylko 8, w r. 1819 na cieśninie Davis'a zginęło ich 10 na 63, a w r. 1830 aż 19 na 97. Spodziewać się należy, że ciągle przesładowanie człowieka wypłoszy z czasem i ztamtąd wielorybów, jak ich spłoszyło z pobrzeży Grenlandyi. Przeniosą się one zapewne w odleglejsze jeszcze okolice, w krainę lodów nieprzebytych, dokąd statki łowieckie ścigać ich nie zdołają.

Rozmaite są sposoby nacierania na tego władcę świata wodnego, z których najdziwniejszy, a razem najbardziej niebezpieczny jest używany przez dzikie ludy Ameryki północnej. Znaczna liczba małych czółen wypływa na morze, tworząc ogromne półkole; w każdym znajduje się po dwóch ludzi. Skoro zoczą wieloryba, zwłaszcza śpiącego, jedno czółno wysuwa się naprzód i zbliża się doń ile możliwości. Z dwóch znajdujących się na nim wiosłarzy, ten który ma obowiązek łowczego, uzbrojony ciężkim kamiennym młotem i klinem drewnianym, zatkwionym w pasie, podpływa, wchodzi na grzbiet wieloryba, a włożywszy koniec klina w jeden z otworów oddechowych, uderza młotem z całej siły, sam zaś rzuca się w morze. Wtedy wieloryb spuszcza głowę, grzbiet jego skula się, ogromny ogon, co jednym uderzeniem może strzaskać statek z dwudziestą ludźmi, wznosi się prostopadle w powietrze i zwierz potworny z szybkością błyskawicy



Author: F. Grinnwald & Co. Inc.

Półw Wielorybów.





nurza się w głębie. Niektórzy utrzymują że łowiec odbywa z nim razem tę podróż podwodną, chwyciwszy się klina i czekając póki wieloryb nie wypłynie dla odetchnięcia; lecz przypuszczenie to jest bajeczne. Wieloryb bawi zwykle pod wodą około kwadransa, człowiek zaś tak długo żyćby nie mógł bez powietrza; samo zresztą ciśnienie wody w głębokości 3000 stóp musiałoby go skruszyć.

Do klina przyczepiony jest postronek łączący się z czółnem. Skoro raniony wieloryb zaczyna się spuszczać, pozostały w czółnie wiosłarz unosi postronek, który się odkręca póki go starczy; jeśli nie, to do końca jego uwiązany wielki pęchérz psa morskiego, wskazuje miejsce gdzie wieloryb ma się pojawić. Wkrótce pęchérz wypływa na powierzchnię wody, a zanim z szumem olbrzymie wynurza się ciało. Wieloryb jest teraz bardzo niepokojny, porusza się w różnych kierunkach, miotając wodę pletwami i ogonem; mimo to śmiały łowiec pnie się powtórnie na grzbiet jego, i zabija mu klinem drugi otwór oddechowy. Wieloryb znów się ratuje ucieczką; ale tym razem niedługo bawi pod wodą. Nie mogąc ani odetchnąć, ani wyrzucić wody, w strasznej trwodze rzuca się ku powierzchni, kręci się wkoło jak wściekły, nurza się, znów wypływa; a ilekroć zbliży się do czółen, ranią go strzały i dzidy. Ta walka śmiertelna trwa póty, póki się biedne zwierzę nie udusi. Wtenczas dzicy zbliżają się do wyprężonego nieruchomie trupa, przywiązują postronki do pletew piersiowych, i wleką go ku brzegowi, gdzie następuje podział tak sumienny, iż dla niedźwiedzi polarnych i drapieżnego ptastwa, prócz kości, niewiele się zostaje.

Wygodniejszy nieco, choć także niebezpieczny, jest połów na sposób europejski. Budowane w tym celu okręty, z nadzwyczaj trwałych materyałów, by się oparły ciśnieniu brył lodowych, wypływają zwykle w kwietniu, a z początkiem maja dosięgają już morza Grenlandyi. Dzień pierwszy maja jest dniem uroczystości dla majtków, którego obchód Skoresby tak opisuje:

„O północy, przy odgłosie dzwonek zawieszono na powroziznie wieniec zdobny w barwiste wstążki, a nad nim figurę wyobrażającą Neptuna, oraz godła rybołówstwa. Czynność ta należała do majtka który ostatnio się ożenił. Potém wystąpił inny, w dziwaczném przebraniu, przywitał okręt,

i kazał spuścić wielki żagiel rejowy. Po chwili pojawiły się cztery postacie, przedstawiające Neptuna, jego małżonkę, golarza i starszego sternika. Cała osada wystąpiła, by oddać pokłon władcy morza, a golarz przechodzących znaczył białą i czarną pręgą na twarzy. Następnie improwizowany Neptun kazał sobie przedstawić tych wszystkich, co po raz pierwszy wpływali na morze grenlandzkie, i zadawał im różne pytania krotochwilne; poczem każdy z nich musiał się poddać operacyi golenia.

„Neptun był wysoki, okazałej postawy, z ogromnym garbem na plecach; nogi miał grubo wypchane, niby spuchnięte. Ubrany był jak majtek, z przydaniem tylko płaszcza i potwornej peruki, u której zamiast harcaba wisiała drapak. Pomochnik jego, golarz, odziany w biały nankin z charakterystycznymi ozdobami, zamiast mydlin używał mieszaniny z sadzy, smoły, sadła i innych nieczystości, a zamiast brzytwy, kawała żelaznej obręczy. W czasie namydlenia Neptun wypytywał nowicyusza o urodzenie, stan, rodzinę i t. p., a skoro się ten pokusił odpowiedzieć, zaraz penzel golarza wjeżdżał mu w usta, napelniając je czarnym płynem. Jeśli golony był człowiekiem poczciwym i lubionym, operacya odbywała się, trochę niedelikatnie wprawdzie, ale przynajmniej bez bólu; jeśli przeciwnie, obrabiano go bez litości. Dwóch szczególnie, oskarżonych o obłudę, Neptun skazał na powtórne golenie, utrzymując że obłudnik ma dwoiste oblicze, a zatem dwukrotnie poskrobać go należało.

„Po ukończeniu téj ceremonii nastąpiła maskarada, w której obecność maski kobiécój, żony Neptuna, stała się powodem rubasznych nieraz żartów i wesołych wybryków. Potém osada popisywała się w ćwiczeniach gimnastycznych; przewodniczący drapał się na maszty i wyprawiał rozmaite skoki, w czém inni musieli go naśladować.

„W tym rodzaju igrzysk każdy pragnie się odznaczyć, a współzawodnictwo nadzwyczajne niekiedy wywołuje usiłowania. Zdarzyło się raz, że z okrętu stojącego śród lodów na kotwicy, przewodnik rzucił się w morze, wołając: „za mną!“ i większa część kolegów poszła za jego przykładem, chociaż niektórzy z nich nawet pływać nie umieli. Szczęściem wszyscy dostali się na lód; niebezpieczny więc wyskok nikogo na szwank nie wystawił.

„Za temi ćwiczeniami idą tańce, nieokrzesane, lecz jędrne i żwawe, z przygrywką na wszystkich kotłach i rondlach, jakie tylko znajdują się w okręcie. Zakończa uroczystość śpiew chóralny, wykonany przez całą osadę i trzykrotne hurra, poczem wszyscy rozchodzą się, każdy do swojej roboty.“

Tym sposobem majtkowie dodają sobie otuchy wobec ciężkiej i niebezpiecznej pracy, która ich czeka za rozpoczęciem połowu; żadna bowiem w świecie wyprawa nie przedstawia tyle trudności, nie naraża na tyle wysień i przygód, ile połów wielorybów, w najszcześniejszym nawet razie.

Gdy okręt zbliża się do koła biegunowego, łowcy chciwie wyglądają zdobyczy, i skoro tylko ujrzą coś podobnego do wieloryba, wysyłają łodzie. Na osadzenie takowych wybierają najsmielszych i najdoświadczeńszych majtków, między którymi jeden albo dwóch harpunierów. Harpuna jestto dzida, z ciężkim ostrzem żelaznym, opatrzonym oseką, tak iż raz uchwyciwszy, nie da się już wydobyć. Przy okuciu znajduje się kółko, przez które przewleczony jest postronek okręcony koło walca.

Po napotkaniu wieloryba i zbliżeniu się doń na odległość rzutu, harpunier, staje na przodzie łodzi, prawą ręką chwyci harpunę a lewą postronek, poczem z całej siły wymierza pociskiem w bok zwierza. Po rzucie wytryska zwykle strumień posoki, a raniony wieloryb chroni się w głębie, w kierunku prostopadłym. Ten instynktowy sposób uciekania staje się jego zgubą; bo gdyby się zwrócił ku łodzi, to jedno uderzenie potężnego ogona położyłoby koniec połowowi; a gdyby uchodził poziomo, to znów z łatwością ukryłby się między lody, gdzie ścigać za nim byłoby niepodobieństwem. Lecz wieloryb, szukając ocalenia staje na głowie, nurza się, chłoszcze wodę ogonem i pędzi na dno jak strzała. Postronek szybko się odkręca i póki tylko starczy zapasu, łowcy sztukują go drugim i trzecim; dopiéro w ostatecznym razie przywiązują wydęty pęcherz i puszczają koniec postronka na wodę. Jestto wypadek niebardzo dla wyprawy pomyslny, bo zwierzę w niezmierzonej głębi może się zwrócić w prawo lub w lewo, czego harpunier naturalnie nie dostrzega, i nie wie gdzie się spodziewać pojawienia zdobyczy. Przeciwnie, jeśli starczy postronka, może z łatwością wszędzie za nią ścigać i czekać spokojnie jej wypłynięcia.

Gdy wieloryb spoczywa na powierzchni morza, oddychając powietrzem i wolny od ciśnienia wody, natenczas w funkcjach żywotnych mało się różni od innych zwierząt ssących; lecz skoro tylko się zanurzy, działanie organizmu jego zupełnie podlega przeistoczeniu. Nie posiadając skrzeli, tylko płuca, nie może oddychać w wodzie; ztąd krew wenalna przestaje krążyć od prawej komórki sercowej ku płucom i zamieniać się tam w arteryalną, a potem z lewej komórki rozchodzić się po ciele. Nadzwyczajna atoli rozciągliwość weń tłumaczy nam możność długiego zostawania pod wodą; cała krew bowiem zbiera się w tych naczyniach, dopóki jej prężenie nie zmusi wieloryba zaczerpnąć powietrza, a wtedy obieg już zwykłą odbywa się kolejną.

Trudniej daleko wytłumaczyć jakim sposobem ci mieszkańcy oceanu mogą znieść ciśnienie wody. Zdarzało się, że wieloryb ugodzony harpuną, spuścił się do głębokości 6,000 stóp, z prędkością niedozwalającą jego ciału stopniowego przyzwyczajania się do znoszenia ciężaru który je przygniatał, a przecież wypływał cało. Jak ogromne zaś jest ciśnienie w głębi morza, dowodzi tego przykład opowiedziany przez Skoresby'ego ojca.

„Raniony wieloryb, uciekając z nadzwyczajną szybkością, porwał z sobą czółno, od którego nie zdołano dość prędko odczepić postronka: osada schroniła się na lód. Gdy wieloryb powrócił na powierzchnię, rzucono nań kilka harpunów, które go dobiły; lecz ciało, zamiast płynąć na wodzie, zaczęło tonąć. Zdziwieni tém majtkowie puścili za nim linę i ta zadzierzgnęła ogon zwierza; mimo to jednak nie przestawał tonąć i o mało nie pociągnął w otchłań drugiego czółna. Wyrzucono inną linę z kotwicą, a ta, natrafiwszy przypadkiem na pierwszą harpunę, wyrwała ją swym ciężarem. Teraz wieloryb wypłynął na wierzch. Połączonemi siłami kilkunastu ludzi wydobyto kotwicę, a razem z nią zatopione czółno. Było ono tak ciężkie i przesiąkłe wodą, jak gdyby od potopu leżało w morzu; ułamane z niego kawałki drzewa, tonęły natychmiast, jak kamienie. Niezmierne ciśnienie we wszystkie jego pory wtłoczyło tyle wody, że w kilka minut stało się zupełnie bezużytecznym.“

Uderzeni tém zjawiskiem, Skoresby i Perkins zaczęli odtąd badać ciśnienie wody w wielkich głę-

bokościach. Doświadczenia ich wykazały, że jeśli takowe na powierzchni morza równa się 15 funtom na cal kwadratowy, to w głębokości 4,000 stóp wynosi 3,000 funtów; czyli że wieloryb mający 70 stóp długości, a 50 obwodu, znosi ciężar bajeczny *tysiąca pięciuset milionów funtów*. Domyślać się trzeba iż nadzwyczajna grubość skóry podlanej sadłem, twardość błon ocznych i drobność otworów słuchowych chroni go od prężenia potężnej masy wody ponad ciałem jego zawieszonęj.

Gdy pierwszy rzut harpuniera był szczęśliwy, wtedy wykrzykuje: „*a fall!*“ co w technicznym ich języku znaczy *trafiony*; na łódce zaś swojej, nazywanęj łodzią *chwytną*, to jest tą, która chwyciła wieloryba, zatyka flagę. Warta na okręcie wrzeszcząc całym gardłem, powtarza: „*a fall!*“ a na to hasło kto żyw wybiega na pokład. Majtkowie lecą w koszulach, z ubraniem na ręku i dopiero w czasie spuszczenia czółen jako tako się ogarniają; niektórzy jednak wsiadają prosto jak z łózka wyskoczyli.

Skoro się zbliżą do łodzi chwytnęj, wieloryb zwykle już wypływa z tajemniczęj głębi. Wtedy otaczają go wszystkie statki; kilka jednocześnie harpun zatapia się w jego ciele, a majtkowie, przytrzymując postronki, starają się zapobiedz powtór-nemu zanurzeniu zdobyczy. Słaba to wprawdzie zapora przeciw potędze morskiego olbrzyma; ale za każdym szarpnięciem osęki harpun głębiej się wbijają, okropny ból zmusza go zaniechać ucieczki; aż nareszcie, po długiej nieraz walce, uledek musi natarciu tych drobnych istot ludzkich, których krocie nie dorównałyby jeszcze jego sile.

Nie zawsze przecież połów odbywa się tak szczęśliwie: niekiedy wieloryb wypływając podważa czółno i rozbija je grzbietem; niekiedy znów kruszy je uderzeniem ogona; albo téż, co najczęściej się zdarza, pojedynczy człowiek utracą życie. Skoresby przytacza jeden z tych wypadków, którego sam był świadkiem.

„Dwie łodzie wyprawione na połów, napotkały całą trzodę wielorybów. Jeden z nich zbliżył się do statku, w którym był harpunierem niejaki William Carr. Lubo położenie nie było korzystne, bo wieloryb płynął przodem, nieustraszony majtek rzucił jednak harpunę i na nieszczęście swoje ugodził go. Zaledwo pocisk dotknął wieloryba, gdy ten z nadzwyczajną szybkością przesunął się koło

czółna i zanurzył. Tym sposobem postronek zmienił położenie, zsuwając się bokiem, zamiast przodem; łódź pochyliła się i zaczerpnęła wody. Wtedy harpunier, człowiek dzielny i przytomny, usiłował przełożyć go w miejsce właściwe; lecz, niewiedziąc jakim trafem, ręka jego uwikłała się w postronek i nieszczęśliwy został porwany. Nastąpiło to tak nagle, że jeden tylko człowiek widział zniknięcie Carra; reszta o niczem nie wiedzieli; dopiero za podniesieniem się czółna, pytali co się z nim stało. Trudno wyobrazić sobie śmierć naglejszą i bardziej niespodzianą; nawet kula armatnia rzadko kiedy zadaje ją z taką szybkością. Wieloryb, uciekając w głębie przebywa około 15 stóp na sekundę; a że harpunier stał właśnie na brzegu, katastrofa przeto nie trwała nawet jednéj trzecięj sekundy.“

Po zabiciu wieloryba, łodzie prowadzą go do okrętu, przytwierdzają tam łańcuchami, a potem majtkowie, opatrzeni w obuwie z kolcami na podszwach, włożą na grzbiet jego i zaczynają wykrawać sadło, które w szerokich pasach winduje się na okręt i tam, pocięte w kawały, układa się w beczki. Jestto robota bardzo nieprzyjemna: sadło bowiem w dotknięciu staje się płynném, i nie tylko plugawi pracujących, lecz nadto, ściekając na pokład, czyni go tak śliskim, iż majtkowie, za najmniejszym pochyleniem okrętu, przewracają się i pławią w téj kałuży tłustości i tranu.

Oprócz sadła główną wartość wieloryba stanowi fiszbin, mieszczący się w górnej szczęce. Długie jego pręty ucinają przy osadzie, czyszczą i pakują w wyższym dziale okrętu, jako najlżejszą część ładunku. Sadło, lub jeśli starczyło czasu na jego wytopienie, gotowy już tran, spoczywa w wielkich beczkach na spodzie.

Fiszbin, jak wiadomo, jest ważnym artykułem handlu. Wyrabiają z niego deszczochrony, laseczki, szpierzugi, koszyki i kapelusze, a nawet w ostatnich czasach z delikatnych jego włókien sporządzono peruki; mieszkańcy zaś północy używają go na łuki, strzały, postronki i sieci. Ogromna szczęka wieloryba służyć może za zrab pod sklepienie bramy, a z żeber jego w Hamburgu stawiają płoty; język, stosownie przyprawiony, posilną jest strawą, z mózgu zaś otrzymuje się olbrot.

Szczególny gatunek wieloryba, zwany *Kaszelot* (*Physeter macrocephalus*), dostarcza drogocennęj

substancyi, znanéj pod nazwiskiem *ambry*. Jestto chorobliwa wydzielka, powstała według jednych z niedotrąwionych pokarmów, zdaniem zaś innych z rozlania żółci.

Znajduje się ona w wnętrznościach zwierza, albo téż, (w strefie cieplejszój, mianowicie koło Chin, Japonii i Brazylii), poławia się w kawałach płynących na powierzchni morza, lub przyczepionych do skał. Ambra za potarciem wydaje woń nader przyjemną i w wysokiéj zawsze była cenie; dlatego téż w handlu najczęściej ją fałszują. Używana dawniej jako lekarstwo, ustąpiła dziś miejsce piżmu; mimo to wszakże wartość jej nie zniżyła się. Jako najprzedniejsze kadzidło, wyrabianą dotąd bywa na proszki i rozmaite olejki pachnące, tudzież na drobne przedmioty zbytkownego stroju.

Ogólny dochód z połowu wielorybów i kaszelotów ustanowić można w przecięciu jak następuje:

Pół północny samych Anglików . rsr.	1,890,000
Pół południowy Anglo-Amerykan. rsr.	3,600,000
„ „ Anglików i kolonij. „	3,060,000
	Razem rsr. 8,550,000

Rozległość połowu innych narodów nie da się z pewnością oznaczyć; w przybliżeniu jednak roczna jego wartość wynosi:

u Francuzów . . . . .	rsr. 359,000
u Niemców . . . . .	„ 129,600

Co w okrągłej liczbie czyni ogółem rsr. 9,000,000.

Reszta północnej Europy żadnego prawie w tym przemyśle nie bierze udziału. Na morzu Białém półow byłby wprawdzie korzystnym, (bo wielorybów znaczna tu obfitość; lecz kupcy Archangelu kapitały swoje wkładają w inne przedsięwzięcia, które w ich przekonaniu pewniejszą dają rękojmię zyskowności.

## WOJCIECH JAKSA BOBOWSKI

### HALI-BEJ TERDZIUMAN-PASZA MAHOMETA IV.

Do liczby ludzi, którzy wśród nieprzyjaznych okoliczności, siłą własnego gieniuszu potrafili się wznieść i wyrobić sobie znakomite stanowisko w świecie, należy ziomek nasz Wojciech (Albert) z Bobowój Bobowski, znany na Wschodzie pod imieniem Hali-Beja.

Jak owa Roksolana, która potęgą wdzięków z ubogiej podolskiej chaty przeszła dzielić tron z władcą Wschodu; tak młodzieniec polski, niewolnik, siłą duszy i wytrwałością w postanowieniu imię swoje głośnym uczynił. Długo bardzo nie wiedzieliśmy o sławie, jaką Lwowianin, pod przybranym nazwiskiem Hali-Beja, pozyskał, i dopiero cudzoziemcy zwrócili na niego naszą uwagę. Paweł Ricaut w dziele napisanym po angielsku, a przez Briota na język francuzki przełożonym, noszącym tytuł: *Histoire de l'état présent de l'em-*

*pire Ottoman*, pierwszy zrobił wzmiankę o Bobowskim, a Tomasz Hyde Anglik, bibliotekarz sławnego zbioru Bodleya, wydał traktat Bobowskiego „*De liturgia Turcarum*.” Następnie Jakób Spon Francuz w swym opisie podróży i Franciszek Meński w słowniku języków wschodnich, wspominając o Hali-Beju Bobowskim, zainteresowali naszych badaczy.

Wzięto się do poszukiwań, przejrzano Niesieckiego, ale on w opisanu rodu Bobowskich z Bobowy, (1) nigdzie wzmianki o Wojciechu nie zrobił, sądził widać, że przyniosłby zakalę szlachetnej

(1) Marcin Bielski (str. 255) pisze: r. 1410 ku obronie tronu i kraju cała rota mężnych zbrojno stanęła i walczyła pod chorągwią Gryfa, przez Zygmunta z Bobowój, podsędka ziemi krakowskiej niesioną.

rodzinie Jaksów Bobowskich, wspomnieniem o zbi-sumarnionym członku ich rodziny.

Ztąd też nie można wiedzieć o imionach rodziców Wojciecha, ani dojsć dlaczego z Bobowój, położonej w Sandeckiem nad rzeką Białą, dotąd prawie w posiadaniu Bobowskich będącej, przeniesli się na Ruś, gdzie i Wojciech we Lwowie urodził się.

Roku 1624, w czerwcu, Kantymir Murza w 30000 Tatarów przez Wołoszczyznę wpadł na Ruś Czerwoną i z nadzwyczajnym pośpiechem przebiegłszy przestrzeń kraju od Sniatynia do Medyki, w Medyce główny obóz założył i hordę swą na rabunki i rzeź rozpuścił. Byłoto w trzy lata po okropnej klęsce cecorskiej, a tyłkoco przedtém hetman Koniecpolski, Łukasz Żółkiewski, Potocki, i wielu innych znakomitszych mężów wykupieni z niewoli tureckiej. (1) Naród przerażony klęskami nie był w stanie z dawną energią postawić czoło tłuszczy.

Zygmunt III, niezrażony sprowadzeniem na Polskę strasznój wojny tureckiej, od której ją zaledwie zwycięstwa Chodkiewicza i pokój Chocimski uwolniły, nienauczony doświadczeniem, że cesarz Ferdynand II nawet werbunku Polakom w państwach swych wzbronil, wolał posyłać mu Kozaków na pomoc przeciwko dyssydentom, aniżeli własne kraje od pożogi i mordów zasłonić. (2) Rozpuszczone hordy splondrowały Jarosław Przeworski, Sędziszów, Strzyżów, Dobiecko, Krosno, i wiele innych pomniejszych miasteczek, spaliły kilkadziesiąt wiosek, zrabowały znaczną ilość kościołów i dworów, i pędząc przed sobą tysiące niewolników w łyka powiązanych, zmierzały ku Medyce, gdzie ich Kantymir oczekiwał. Jęk rozproszonego ludu, lzy nieszczęśliwych brańców doszły do uszu Koniecpolskiego, przychodzącego zaledwie do zdrowia po trudach ciężkiej niewoli. Dzielny mąż zapomina własnych cierpień, gromadzi wokoło siebie szczupłą, bo zaledwie 3500 liczącą garstkę rycerzy, i spieszy zająć drogę uchodzącej tłuszczy.

Dopędza, rozbija, odbiera część łupów, ale nie uwalnia jeńców, bo okrucieństwo dziczy we krwi brańców szuka zemsty za odebrane łupy. Starcy, kobiety, dzieci padły pod nożami barbarzyńców; młodzież tylko zdolną dosiąść koni uprowadzili

z sobą. W tej liczbie był Wojciech Bobowski, 14 lat wówczas liczący. Piękna jego postawa, młodość i siła zachowały go od śmierci i zaprowadziły do Stambułu.

Oddany na wychowanie do domu Ichoglanów (dzieci chrześcijańskich), znajdującego się w Seraju i będącego pod dozorem Kapa Agi, umiał pozyskać względy dozorujących, i postanowiono ukształcać go na dragomana.

W takim stanie rzeczy młody jeniec polski z zapalem chwycił się nauk, widząc w nich jedyną nadzieję ratunku, i wyprzedziwszy wszystkich swoich towarzyszy, w krótkim czasie nauczył się ośmnastu języków, tak że każdy mógł rozumieć i na każdy obcą mowę tłumaczyć.

Może z przyzwyczajenia, może z musu, wychowaniec domu Ichoglanów przyjął obrządki religii mahometańskiej, chociaż dotąd nie ma pewności jaką rzeczywiście w duchu religią wyznawał. Franciszek Meniński, w przedmowie do słownika arabsko-perskiego pisze: — „Bobowski był napozór wiary tureckiej, lecz w istocie Bóg wie jakiej.“

W czasie w którym Bobowski miał już znakomite znaczenie, przybył do Stambułu statek z niewolnikami polskimi. Gdy zarzucono kotwicę, i wyprowadzono na brzeg powiązanych jeńców, jeden młody dragoman, jak powiada Paweł Rogala Borowski z Tarnówki (1) zbliżył się ku nim aby przysłuchać się ich rozmowie. Mówili widąc jego ojczystym językiem, językiem którym matka śpiewała mu nad kolebką piosenki, bo zapłakał, wziął za rękę jednego ze starców, i nie mogąc ukryć wzruszenia rzekł: Starcze, i jam Polak, i ja nie zapomniałem o ziemi, na której się urodziłem, o Bogu, któremu bracia i siostry moje służą. Nie mów o tém nikomu, ale miej nadzieję, może ty i twoi biędni towarzysze ujrzycie jeszcze kiedy swoje strony!

Najpewniej więc, że Bobowski nie wyrzekł się sercem wiary katolickiej, ale zmuszony okolicznościami, przyjąwszy strój i imię muzulmańskie, przyjął także i ich religijne obrządki, aby zasłonić się od prześladowania, które mogło zniweczyć jego zamiary. Niektórzy zagraniczni pisarze usiłują dowieść, że nie miał na celu nic innego, jak tylko

(1) Lubiński, str. 313.

(2) Bandtkie. Tom II, str. 288.

(1) Moja niewola u Turków r. P. 1645. Rękopism znajdujący się w aktach kościelnych w Wysokiem.

własne wyniesienie się, że dlatego wyrzekł się możności powrotu do rodzinnego kraju i wyparł religii. Nie można pójść za ich zdaniem, bo cudzoziemcy zwykli się na nas z własnego usposobienia zapatrywać.

Gdy zastanowimy się nad tém, że od czasu traktatu zawartego w r. 1633, przez cały ciąg panowania Władysława IV i Jana Kazimierza, państwo tureckie, widząc Polskę wystawioną na łup bezrządu, skolataną wojnami szwedzkimi i kozackimi, patrząc na chwiejące się fundamenta jój bytu, nie przyłożyło się do podkopywania chyłcego się z obojętności własnych mieszkańców gmachu, nie podało nawet ręki włączającym do niego drzwiami i oknami klęskom; gdy wejrzemy głębiej w ową łatwość, z jaką Porta za nieszczęśliwych rządów Michała Korybuta, stojąc w strasznój sile nad ogołoconą z wojsk Polską, mając ogromne zapasy wojenne, doskonałych wodzów, porę roku sprzyjającą działaniom, widząc naród rozrzucony między dwie partye szarpiące się nawzajem, mogąc w kilku posunięciach licznych wojsk zalać całą południową część Polski, przyjęła, dość korzystne wprawdzie, ale nieodpowiadające jeszcze jój stanowisku, warunki traktatu Buczackiego; ujrzymy w tém wszystkiém jakąś ukrytą przed oczyma naszymi sprężynę, jakąś rękę podtrzymującą miecz nad głowami praojców naszych wiszący. Któż odważy się powiedzieć, że oszczędzonych strumieni lez i krwi nie winniśmy naszemu ziomkowi? Któż, znając tajemne intrygi ówczesnego dworu tureckiego, nie przyzna, że częstokroć na największe wypadki polityczne wpływał jeden grymas wezyra lub muftego, jeden poszept ulubionych od nich piękności, jedna litera zmieniona w firmanie przez uczonego dragomana.

Ksiądz Teofil Rutha Jezuita misyonarz, wysłany na Wschód celem nawracania muzułmanów, będąc w Stambule około roku 1671, usilnie namawiał Bobowskiego, aby korzystając z łask Mahometa IV, wyjednał sobie powrót do kraju, i aby porzucił błędy islamizmu.

— Ja nie wiem, czy mam co porzucić, — odpowiedział Bobowski — do kraju mego tęsknię, pragnę abym choć na godzinę przed śmiercią rozejrzał się jeszcze po moich rodzinnych stronach, i aby moja ziemia zasypała mi oczy, ale wielebny Ojciec, nie uderzyła jeszcze godzina mego po-

wrotu. Nad wami ciąży chinura, lada dzień obiją się o uszy wasze jój gromy, potrzeba działać ojciec Rutho, aby nie upomniano się kiedyś u nas opuszczonej chwili, aby nas nie obwiniono o złą służbę.

„Co on rozumie, pisał ksiądz Rutha, przez złą służbę? czy on całkiem zaprzedał się już czartowi i mamonie? tego nie mogłem dociec, bo to człowiek strasznie skryty i podejrzliwy.“<sup>(1)</sup>

Piotr Bayly pisze, że Hali Bey pełniąc obowiązki dragomana Porty, odznaczał się rozsądnym postępowaniem i sprawiedliwością, przez co poważany był od swych zwierzchników, a szanowany od obcych, szczególnie chrześcian, których był zawsze protektorem.<sup>(2)</sup>

Paweł Ricaut Anglik, sprawujący urząd konsula angielskiego w Smirnie i autor historyi państwa tureckiego, wspominając o Bobowskim, że od niego najwięcej wiadomości do dzieła swego pozyskał, przytacza jedno zdarzenie w jego życiu, jako mające związek z przypuszczeniem, iż obrządki mahometańskie tylko pozornie wykonywał. Żył on (powiada Ricaut) w poufalej przyjaźni z Turkiem, kupcem ziół w Stambule, człowiekiem poczciwym ale nadzwyczaj przesądnym. Razu jednego, będąc u niego na wieczery, wśród potocznej o różnych rzeczach rozmowy, gdy mu się pies naprzykrzał, kopnął go nogą tak mocno, że skowycząc powłókł się w kąt izby. Widząc że Turek rozgniewał się o to, jął go przepraszać. Nie mnie, rzekł kupiec, ale Pana Boga obraziłeś. Ztąd wszczęła się dysputa religijna; kupiec utrzymywał, że dusze ludzkie po rozłączeniu się z ciałem przechodzą w zwierzęta, stosownie do kierujących nimi za życia namiętności, — Bobowski przeczył i wyśmiewał jego łatwowność. Z dysputy przeszli do sprzeczki, i w końcu kupiec powiedział Bobowskiemu, że z niego niedowiarek.

Pośród licznych i mozolnych obowiązków urzędu, poświęcał się jeszcze Bobowski pracom umysłowym, i nie tylko wiadomości swoich o religii, obyczajach i zwyczajach Turków innym pisarzom udzielał, ale i sam je opisał w dziele: *De Turcarum*

(1) List księdza Ruthy, w dziełku wydaném we Lwowie r. 1683 pod tytułem: *Uprawa chrześciańska na niwie pogańskiej*, in 12 w druk. Soc. Jesu.

(2) *Dictionnaire histor. et critique*, par Pierre Bayly T. II stron. 865.

liturgia, peregrinatione Meccana, circumcissione, aegrotorum visitatione etc., które przyjacielowi swemu Smith, Anglikowi bawiącemu w Konstantynopolu, do druku oddał. Nie wywiązał się jednakże Smith z przyjętego obowiązku, i dopiero Tomasz Hyde, w dziele swém noszącém tytuł: *Itinera mundi sic dicta nempe Cosmographia* (1) pracę Bobowskiego pomieścił.

Pragnąc przynieść pożytek krajowi, który w grubiej ciemnocie był pogrążony, i chcąc rozpostarciem europejskich wiadomości usposobić go do przyjęcia wyższego ukształcenia, napisał grammatykę i słownik turecki, a następnie używaną w szkołach europejskich książkę Kommeniusza, *Fauna lignarum*, na język turecki przełożył i rozmowy turecko-francuzkie napisał. Nie miał jednak widać odwagi publicznie z dziełami temi wystąpić, bo i Kommeniusz i rozmowy zostały w rękopismach. (2) Przetłumaczył także biblię na język turecki i pracę swą do Leydy do druku posłał, ale dla braku nakładcy, i to dzieło nie było odbite a księgozbiór leydyjski przechowuje rękopism razem z katechizmem kościoła anglikańskiego, także na język turecki przez niego przełożonym.

Widoczną jest rzeczą, że szlachetne usiłowania naszego ziomka, dążące do upowszechnienia wyobrażeń europejskich pomiędzy ciemnym ludem, rozbiły się o napotykaną na tej drodze trudności; nie można bowiem przypuścić aby dragoman Porty, zaszczycony łaską Mahometa IV, nie miał funduszu na wydanie przełożonej przez siebie biblii, aby zmuszony był prace swe oddawać obcym, i rozpraszać je po całym świecie.

Jakkolwiek stanowisko Bobowskiego było dość znakomite, i względy któremi go obsypywano mogły wzbudzać w nim ufność; patrząc jednakże jak za lada poszeptem intrygi spadały głowy wysokich urzędników Porty, jak wężki przesmyk dzielił złotem i kamieniami błyszczące sale od podziemnych więzień wież Bosforu, nie miał odwagi wydać się ze swym sposobem myślenia, który mógł mu być poczytany za występki, i pozbawić go możności dalszych działań.

(1) Autorem tej kosmografii jest Abraham Peristal, przypisy tylko i objaśnienia są Tomasza Hydego, który dzieło z języka hebrajskiego przełożył.

(2) Rękopisma te znajdują się w księgozbiórce królewsko-paryżkim. *Diction. histor. Bayle. T. II, p. 865.*

Nie ustawał jednakże w pracy, i mnóstwo objaśnień swoich w rzeczach obyczajów i zwyczajów kraju w którym przebywał, udzielał cudzoziemcom bawiącym wówczas w Stambule, aby przynajmniej Europa poznała lepiej naród, co ją przerażał potęgą i barbarzyństwem.

Jakób Spon, w dziele *Voyages d'Italie, de Grèce, de Dalmatie et du Levant*, mówi: „Bobowski pisał wiele i z niepospolitą łatwością; pamiętniki swe oddał przed śmiercią panu Ricaut, konsulowi angielskiemu w Smirnie, w których opisał stan państwa ottomańskiego; a Nointel, poseł francuzki w Stambule, miał od niego opis seraju, który wydał po włosku. Oprócz tego, ten sam pan Nointel z p. Galland mieszkającym w państwie tureckim, mieli wiele rzeczy jego ręką pisanych.“ (1)

Niektórzy utrzymują, że Bobowski wyniesiony był na dostojność paszy, ale niema żadnej pewności, czy rzeczywiście godność tę pozyskał. Fr. Siarczyński w jednym tylko rękopiśmie widział do nazwiska Wojciecha Bobowskiego dodane: *Hali-Bey Terdziuman Pasza Mahometa IV.* (2) Być może że sultan wynagradzając jego ważne, jako dragomana, usługi, na paszostwo Dzirmen go wyniósł; ale właściwie Terdziuman-Pasza znaczy u Turków najpierwszy tłumacz nadworny sultana, i dlatego domysł wyniesienia Bobowskiego na paszostwo poszedł zapewne z mylnego zrozumienia tytułu urzędu.

Jak wyżej przytoczyliśmy, ksiądz Rutha Jezuita Polak, gorliwy w nawracaniu Mahometanów, starał się usilnie nakłonić Bobowskiego do powrotu do kraju, ale usiłowania jego rozbiły się o stałe postanowienie naszego ziomka. Nie odrzucał wprawdzie rad księdza Ruthy, okazywał mu wiele względów, obdarzył dwoma rękopismami, ale powrót do Polski odłożył na później. Tymczasem śmierć nagła uprzędziła chwalebny zamiar, i nie dozwoliła mu rozejrzeć się po własnych stronach i własną ziemią oczy zasypać.

Umarł r. 1676, na siedmnaście lat przed zgonem Mahometa IV, który zepchnięty z tronu r. 1687, w r. 1693 życie zakończył.

Chociaż niema pewnych dowodów, aby Bobowski wpływu jaki miał u dworu ottomańskiego używał

(1) T. I. str. 259.

(2) *Czasopism naukowy księgozbióru zakładu Ossolińskich r. 1828.*

na korzyść swego kraju, jednak z tego cośmy wyżej nadmienili, silnie przekonani jesteśmy, iż była jakaś tajemna władza, która w czasach największego nacisku klęsk, wstrzymywała wylanie się potęgi ot-

tomańskiej w otwarte i nieubezpieczone brzegi skolatanego nieszczęściami kraju. Czy to było dziełem naszego ziomka? czy on nad tém pracował? to tylko Bogu wiadomo. *Ant... Wie.....*

## G A L A G O.

Galago jest zwierzę ssące z rodziny małpozwierząt, w której stanowi oddzielny, z kilku poznanych dotąd gatunków składający się rodzaj. Pierwszą o niém wiadomość winniśmy sławnemu badaczowi Adanson. Podczas jego podróży w Senegalu, towarzyszący mu tam wszędzie murzyni, widząc że zbierał wszelkie wiadomości o płodach i osobliwościach ich kraju, dostawili mu zwierzątko przez nich nazywane *galago* (któreto imię zatrzymali dlań naturaliści) i podali sposobność badania i poznania jego obyczajów, o których wiele, według swego pojęcia, ciekawości opowiadali. Wszystkie téż dotąd znane galagi z Senegalu pochodziły. Jest ich trzy lub cztery gatunki, nie dosyć jeszcze pewno rozróżnione, ile że kilka spostrzegano ich odmian. Gdy Adanson umarł, już wprzód nim zdążył ściśle opisać to zwierzę i ogłosić zebrane o jego obyczajach wiadomości, podjął ten obowiązek Geoffroy i wskazał potrzebę ustanowienia z niego osobnego rodzaju, który potem wszyscy naturaliści przyjęli. Jeliger odrzucił nazwę *galago*, a w jej miejsce położył łacińskie *otolienus*, któremu w naszym języku pan Jarocki dodał polskie *dlugouszka* a zaś pan Waga *pouch*. W dziele pana Gustawa Belke znajdujemy pierwotną nazwę *galago* i tę zatrzymujemy.

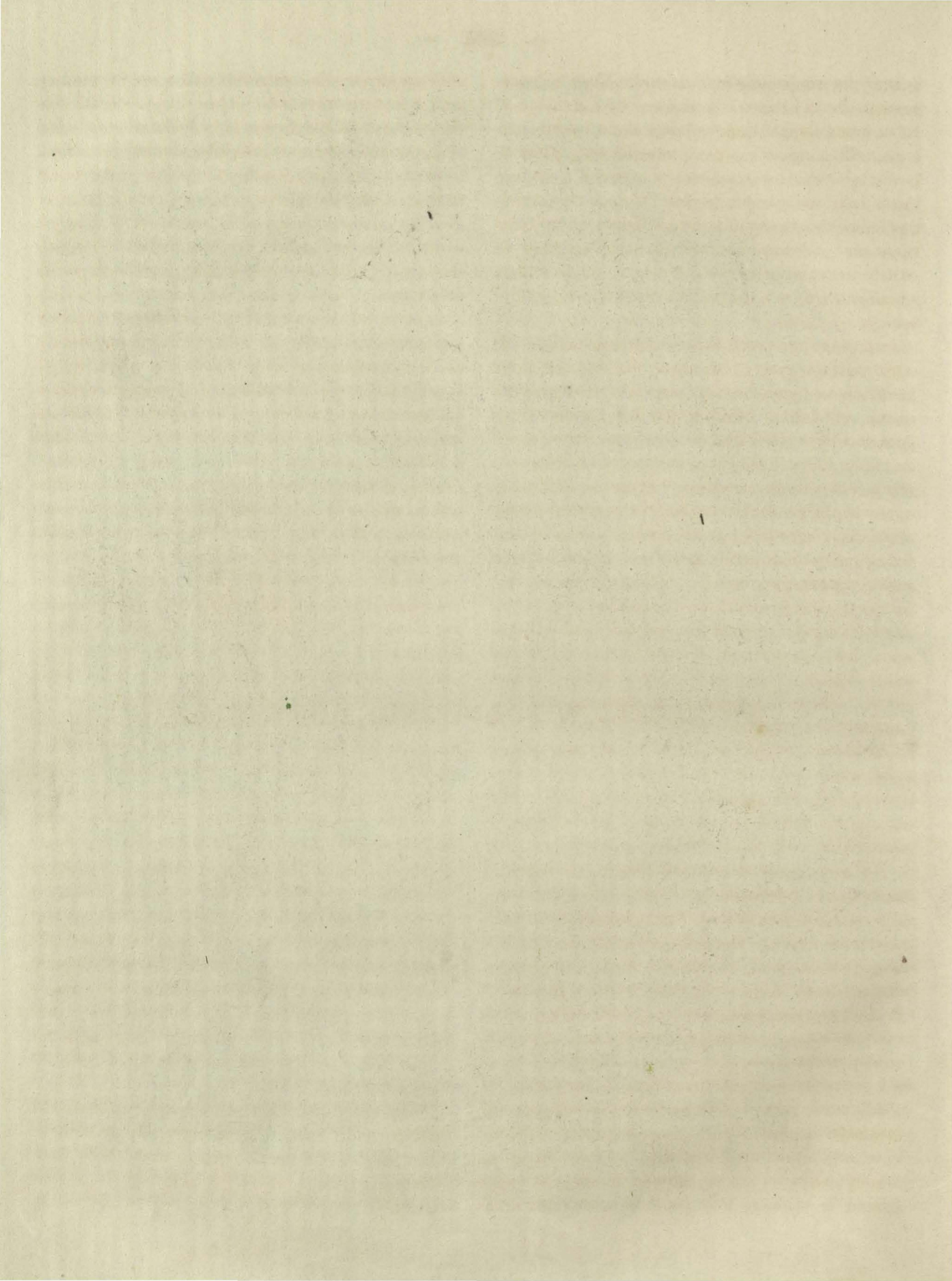
*Galagi* (*galago*, po łacinie i w innych językach) odznaczają się długością dłoni i obszernością konchy uchowej; mało zaś różnią się od małpozwierzów, innego w téjże rodzinie rodzaju zwierząt, układem zębów, i mniej więcej kształtem. Ich zęby przednie górne, małe, parami rozsunione, ustawione są w łuk; kły lekko zakrzywione, a dwa pierwsze fałszywe trzonowe, bardzo proste, bez

sęczków; trzeci trzonowy, tudzież trzy prawdziwe trzonowe, mają sęczek wewnętrzny od tylnej strony zęba, zamiast z boku od przodu, jak u małpozwierzów; w szczęce dolnej zębów trzonowych o jeden mniej niż w szczęce górnej.

Pysk galagów jest bardziej tępy niż u małpozwierzów, a oczy ukształcone do widzenia w nocy, jeszcze większe niż u poprzedzających. Uszy szerokie i błonowate, jak u Chinchilli, wiele się przyczyniają do wzmocnienia słuchu, który jest bardzo delikatny. Galago otworzywszy swe obszerne konchy uchowe, posłyszec zdoła najslabszy głos, nawet szmer przelatującej muchy; lecz dziwnym, jemu tylko właściwym darem, gdy chce spoczywać lub spać, wtedy uszy marszczy i składa, tak iż prawie znak po nich nie pozostaje. Jego więc uszy, czyli konchy uchowe, dwojakie mają przeznaczenie: raz, żeby rozwinięte posłużyły, jak głuchym ludziom, za prawdziwe trąbki akustyczne, a potem, gdy je złoży, jak ów delikatny balonik po wypędzeniu z niego gazu, żeby przytknęły otwór kanału słuchowego. Osobliwością także w organizacyi galagów, jest długość ostatnich członków, które, równie jak przednie, opatrzone rękami czteropalczastymi z piątym palcem naprzeciw innym wszystkim stawać mogącym, nadają tym zwierzętom dziwną zdolność do szybkich skoków i biegu po gałęziach drzew. Uwieszone tylnymi nogami u gałęzi, zakryte gęstym liściem, oczekują rychło przebiegać lub przelatywać będzie owad, który najulubieńszym ich jest pokarmem. Rozstawione wtedy ich uszy ostrzegają je o najmniejszym w powietrzu odgłosie, a skoro się zbliży owad, rozpręga się, iż tak powiem, *galago*, i nie opu-







szczając utrzymującą go gałęzi, łapie go natychmiast, albo też rzuca się daleko i z zadziwiającą zręcznością i szybkością odbywa skoki bardzo rozległe. W nocy szczególnie rozwija swą żywość; będąc bowiem zwierzęciem ponocnym, większą część dnia we śnie przepędza. Galago jest łagodny, niewinny, łatwy do przyswojenia, obyczajami wiele podobny do wiewiórki. Gnieździ się w dziuplach wypruchniałych drzew, gdzie uściela z suchych ziół wygodne dla swych młodych legowisko.

Galagi w ogólności, żyją w Afryce, mianowicie w Senegalu, w gęstych lasach; w okolicach świętego Ludwika, mają być bardzo pospolite. Murzyni, jak podaje Adanson, łapią je dla pożywienia się ich mięsem. Chcąc ich dostać drogą handlu, Europejczycy żądają ich pod imieniem *zwierząt gummowych*, bo tak je częstokroć nazywają i murzyni i Europejczycy trudniący się zbieraniem gummy w lasach senegalskich; albowiem zwierzątka te jedzą wprawdzie gummę i inne istoty żywiczne, ale nie z takim upodobaniem jak owady. Chowane galagi ży-

wią się doskonale różnemi gotowanemi pokarmami; bardzo także lubią nabiał i jaja. Skóra ich dosyć gęsto jest pokryta jedwabistym futerkiem, którego maść bywa zwykle jednostajna, jużto siwa, ołowista, już brudno-żółtawa, lub też ruda; ogon długi, częstokroć dłuższy od ciała, gęsto pokryty siercią, ku końcowi coraz dłuższą; wielkość tych zwierząt bywa rozmaita, nie widziano jednak większych od domowego królika, ani mniejszych od szczura.

Zpomiędzy czterech dotąd poznanych, a przynajmniej wymienionych gatunków, na załączonej tablicy wyobrażony *Galago Moholi* z wierzchu jasno myszaty, spodem niemal biały, ogon ma jasnopłowy, dolne części członków żółtawe, koniec pyszczka i uszy gołe koloru cielistego. Ciało tego zwierzątka ma 8 cali długości, ogon zaś 9 cali. Najprzód odkryty został przez *A. Smith* nad rzeką Limpopo w południowej Afryce, pod 25° szerokości, potem jednak znajdowano go na pobrzeżach Natal.

L...

## WYCIECZKI W PÓŁNOCNÉJ NORWEGII.

PRZEZ DRA T. TRIPPLINA.

### I.

Swiszczy wiatr w zmarzłe liny, i jak z drutów harfy eolskiej przenikające wytrąca z nich akordy; dmie w żagle sztywne jak blacha i wzdyma je jakby najcieńsze kitajki. Ocean huczy okropnie po wzniesionych bałwanach, przelewają się modre góry jedna na drugą i śnieżną pianą pryskają na pokład. Widnokrąg posępny, a w powietrzu walka, walka zacięta; powiedziałbyś że wody oceanu podniosły bunt przeciw niebu.

I ja tu, na tym wątlym pokładzie, pośród tych wałów niebotycznych, to na wrzącym ich szczycie, to znowu w czarnej otchłani pogrążony. I ja tu! i nie drzę, tylko ręce składam i dziękuję Bogu, że takich cudów jestem świadkiem, i korzę się przed Nim za tę odwagę, którą wlał w serce ludzi zdol-

nych znieść to wszystko, zdolnych zwyciężyć wszystko!

W oddaleniu brzegi skaliste już nikną za białą pianą wspinających się bałwanów, już wychylają groźne swe szczyty wysoko aż w obłoki. Z łoskotem rzucają się rzeki i strumienie z wyniosłych opok w huczące morze i do dna się oceanu przedzierają; jęczą głębokie pieczary potrącane falą, i piorun rozsyła trzask zagłuszający, spadając w czarną ich otchłań.

Ale rozstępują się skały przed wściekłością wody; ocean wpada w ład stały długim ramieniem i wszystkie zwałił zapory, prócz tego archipelagu, co sam bronić go musi przed napaścią burzy.

Jeszcze raz wiatr północny zadał w żagle, jeszcze kilka dościgło nas bałwanów i na swych grzbietach uniosło z huczących odmętów oceanu na spokojne zwierciadło zatoki. Tu i powietrze przezroczystsze i mila naokoło cisza. Płyniemy ze dwie mile ramieniem aż do miejsca, gdzie ono w obszerne golf się roztacza.

Na wschodnim brzegu golfu, tam gdzie rzeka do niego wpada, leży gęsta masa domów z czerwonymi dachami, a nad niemi panują na lewo ruiny jakiegoś starego zamczyska; od przodu zaś sterczą wysmukłe wieże i czarna kopuła starodawniej katedry. Nad miastem, w wielkiem oddaleniu, śnieżną płaszczyzną przegrodzoną, wznosi się pasmo gór potarganych, skalistych. Dwie kolosalne opoki, podobne do olbrzymich bastyonów, wdzierają się z każdej strony miasta w przezroczyście wody golfu, a poza jedną z tych skał sterczy pagórek, uwieńczony piękną kaplicą.

Może o pół strzału armatniego od brzegu kąpie się w ryczących falach morskich samotna, posępna twierdza, co nieraz wielkich cierpień była świadkiem; a niebo nad nią pokryte jakby czarnym kirem.

Ten golf, to Tronfiord, ta twierdza to Munkholm, ta rzeka to Nid, to pasmo gór to Hole, a to miasto starożytne to Drontheim, niegdyś stolica Norwegii.

Drontheim jest najstarszym miastem kraju; te góry, zatoki i doliny były widownią najdawniejszych dziejów narodu. Tu niegdyś mieszkał srogi Yarl Hakon, który Odnowi, tam gdzie się teraz kaplica wznosi, własną ręką poświęcił syna. W tym zamczysku co teraz w gruzy się rozpada, Harald, przezwany *dobrym*, wyprawiał cudzoziemskim rycerzom turnieje, a dla swych poddanych pisał mądre prawa. Tutaj Olaf Trygoenson żelazną dłonią nakłonił islandzkich naczelników do wyrzeczenia się bałwochwalstwa; tutaj także krwawy Olaf II, ośm wieków temu, zaczął budować największą świątynię jaka istnieje na północy, a tęto świątyni kopuła i wieże jeszcze się wznoszą nad miastem. W starym grodzie niejedyn odbył się szumny bankiet, a tuż ponad zatoką, tam gdzie te niezmierne leżą głazy, było niegdyś miejsce świetnych rozpraw na ostro i tępo, konno i pieszo, w zbroi i bez zbroi. Tu najwaleczniejszym rycerzom północy rozdawały nagrody najpiękniejsze córki Skandy-

nawii. W twierdzy zaś, której stopy zanurzone w niezglębionych odmętach, a nad której szczytami niebo w posępne zaciąga się chmury, w tej twierdzy niejedyn cierpiał, winny i niewinny. Znany w historii świata człowiek, Schuhmacher, dziecko ludu, a później hrabia Grifenfeld, wielki kanclerz Danii i Norwegii, narzeczony udziałem księżniczki Augustenburgskiej, odarty ręką kata na rusztowaniu z swych dostojności, znosił tu do końca swego życia, to jest przez lat 18 (1680—1698) najokropniejsze męki więzienia. Czy był winny lub niewinny? Ja tego nie wiem. Zawistne intrygi własnych stronników spowodowały jego upadek; ale mógłże się uskarżać na niewdzięczność ludzi, widząc łamiące się pod jego nogami szczeble, które dlatego tylko wznosił tak wysoko, żeby sam mógł się wzbić jeszcze wyżej?

Dziś czém jest Drontheim? składem towarów; liczy zaledwie 15,000 mieszkańców.—Podczas mego pobytu w tym mieście miałem sposobność poznania się z najprzewielebniejszym Janem Nordahl Bruun, biskupem Drontheimu, i częste rozmowy z tym wielce doświadczonym mężem postawiły mnie w możności oceny charakteru najważniejszych korporacyj miejscowych i bezstronnego osądzenia niejednej instytucji.

Jedyny uniwersytet norwesk, córka wszechnicy kopenhagskiej, założonym został w Krystyanii r. 1811 przez zmarłego r. 1838 króla Danii (ówczesnego króla Danii i Norwegii), Fryderyka VI. pośród trudnych bardzo okoliczności, bo kraj nekany był wojną i głodem. Zaprowadzono w nim system francuzki zapisów kwartalnych, kursów bezpłatnych i częstych egzaminów.

Do wyższego zapisu przypuszczeni są jedynie uczniowie, którzy w egzaminach dowiedli, że z poprzednich nauk korzystali w sposób zadowalniający. Uczeń ukończywszy gimnazjum i pragnący być wpisany w poczet obywateli rzeczypospolitej literackiej, winien złożyć próbę dojrzałości umysłowej przez tak nazwaną *examinatio artium*, i wtenczas dopiero uzyskuje prawo uczęszczania na fakultet filozoficzny, w którym, jeśli później chce sobie obrać zawód lekarski, prawny lub teologiczny, winien pozostać rok cały i złożyć egzamin na magistra filozofii. W wydziale tym przygotowawczym wykładają retorykę, loikę, psychologią, ogólne zasady filozofii wraz z ich histo-

ryą. Tak przysposobiony uczeń pojmie później w wyższym szczególnych nauk wykładzie, duch filozoficzny przewodniczący teologii, prawodawstwu i nauce lekarskiej. Professorowie rzeczywiście, mianowani po odbytych konkursie spośród profesorów nadzwyczajnych lub honorowych, a niepłatnych, otrzymują piękne wynagrodzenie, bo najmniej 8,000 złp. rocznie, i wysokiej używają powagi w towarzystwie.

Storthing, chociaż po największej części z wieśniaków złożony i skąpy w szafowaniu groszem publicznym, umie jednakże ocenić błogi wpływ, jaki na kraj cały wywiera wyższe wychowanie, i szlachećnym postępowaniem odpowiada na zarzuty robione przez Anglię temu *chłopskiemu parlamentowi*, przewodniczącemu losom kraju.

Uniwersytet posiada dobra ziemskie bardzo znaczne, zapisane mu częścią przez króla Fryderyka VI, częścią przez naród i obywateli prywatnych. Dobrami temi opiekuje się senat uniwersytecki przy pomocy profesorów szkoły agronomicznej, z których każdy winien zwiedzić je raz chociaż w roku własnym kosztem, i złożyć raport z swych odwiedzin, objętości przynajmniej arkusza druku; raport taki kosztem rządu drukowany jest w Rocznikach szkoły agronomicznej i podany w osobnych odbitkach sądowni profesorów szkół wyższych i wiejskich, oraz wszystkim sołtysom całego kraju. Uwielbiać tu należy duch mądrości przewodniczącej działaniom ubogiego w środku, a bogatego w pomysły narodu.

Studenci nie mieszkają w osobnych gmachach czyli kolegiach jak w Anglii, lecz zwyczajem studentów stałego ładu mieszczą się w prywatnych domach, jak komu najwygodniej. Władze zatem uniwersyteckie sprawowania ich moralnego kontrolować nie są w stanie. Pomimo to instytucja kwartalnych zapisów i obawa stracenia czasu wstrzymuje uczniów od niedbałości w naukach i od owych wybryków, przez które bursze niemieccy utracają sprężystość charakteru i zdrowie w knajpach, a uczniowie francuzcy narażają życie na barykadach. Jakoż uczniowie norwegscy dość wysoko stają w naukach, chociaż znów, przymuszeni do ciągłej i codziennie zadanej pracy, rzadziej daleko jak owa mała część wybranych spośród uczniów niemieckich i francuzkich, wznoszą się do wyższych sfer uzdolnienia umysłowego,

któremu przewodniczy raczej *gieniałość* i własnej woli wybór, jak przymus. Uczeń norwegijski tém się najwięcej różni od uczniów uniwersyteckich całego kontynentu, że nie szuka chluby w szydzeniu z tak zwanych przesądów, na których się opierają od początku świata, aż do dnia dzisiejszego pojęcia o moralności.

Uczniów w uniwersytecie Krystyanii jest przeszło 600, z których 160 na lekarzy się sposobia. Biblioteka zawiera już 150,000 tomów i ciągle się powiększa. Za 1200 złp. uczeń może się cały rok bardzo dobrze utrzymać. Koszta zapisów i egzaminów wynoszą w przecięciu 180 złp. rocznie; mieszkanie i stół kosztuje 600 złp. na dziesięć miesięcy; książki są nadzwyczaj tanie w tym pocziwym kraju, w którym ludzie piszą jeszcze dla zaszczytu posiadania tytułu autora i w nadziei, że tym tytułem zdobędą prawo do wdzięczności narodu.

Teolog, uzyskawszy tytuł kandydata, otrzymuje z łatwością posadę nauczyciela prywatnego, lub urząd nauczyciela wiejskiego, nawet wikarego w jakiej parafii, której pastor stary lub słabowity. Gdy się gdzie otworzy miejsce na pastora, wówczas zjeżdżają się kandydaci i przedstawiają *w kościele na ambonie*, nie zaś prywatnie w domach parafian, i ci też robią wybór, a nie rząd lub kollatorowie. Ostatnich ani zna Norwegia. Gdy pastor jaki wybranym zostanie na reprezentanta, co się często zdarza, wówczas udając się do Storthingu musi osadzić w miejsce swoje kandydata jako zastępcę, i płacić go z własnej kieszeni. W ogólności pastorowie dobrze są wynagradzani; nigdzie nie otrzymują mniej jak 300 tal. bitych norweskich. (Talar taki wart 9 złp.). Każda parafia posiada swój folwarczek, służący za przytułek wdowie po pastorze i jego sierotom.

Przytém w trzech głównych miastach Norwegii: w Drontheim, Bergen i Krystyanii, znajdują się zakłady zwane dyakoniczne, dla osierociałych córek pastorskich. Utrzymywane są te zakłady z małego podatku rozłożonego na pastorów, ze składek dobrowolnych pobieranych raz w rok w Zielone Świątki po kościołach, ze wsparć od rządu niekiedy udzielanych, nareszcie z zapisów zostawionych przez dobroczynne osoby. Do tych zakładów, urządzonych na sposób klasztorny, mają wstęp wszystkie sieroty pastorów od roku 15; pobierają tam nauki udzielane przez starsze siostry (tym bowiem

nazywają się tytułem), ztąd wychodzą na guwer-  
nantki, w razie gdy je zapotrzebują zacne jakie fa-  
milie, lub téż idą za mąż, co się najczęściej zdarza.  
W domu dyakonek w Drontheim było takich pa-  
nien 38. Najstarsza miała lat pięćdziesiąt kilka,  
najmłodsza piętnaście. Komitet rządzący składał  
się z siedmiu panien, z których jedna, niekoniecz-  
nie najstarsza, lecz przez komitet wybrana, zasia-  
dała jako ksieni, z fioletową wstążką i z koszto-  
wnym złotym krzyżem na piersiach. Ksienią tym  
razem była osoba zaledwie dwudziesto-dwuletnia,  
ale tak anielsko łagodna, tak nadobnie poważna,  
że nie można było patrzeć na nią bez zachwycenia  
i poszanowania. Panna Mary Hardangerson, prze-  
łożona dyakonatu, pójdzie za dobrego przyjaciela  
mego, Dra Dryverson, jak się tylko skończy rok jej  
urzędowania.

Dygnitarze kościoła Norwegii nie są płatni w sto-  
sunku do wysokich tytułów jakie posiadają. Bi-  
skup Drontheimu, prymas Norwegii, ma zale-  
dwie 11,000 złp. rocznego dochodu; ale mu to zu-  
pełnie wystarcza na bardzo przyzwoite utrzyma-  
nie, na wychowanie dzieci i na świadczenie miło-  
siernych uczynków; o los bowiem wdowy swój  
i dzieci nie potrzebując się troszczyć, nie widzi się  
zmuszonym oszczędzać grosz i składać go do skar-  
bony. Wreszcie daleki jakiś krewny zapisał  
biskupowi Drontheimu mały folwarczek, leżący  
o pięć mil od tego miasta, na drodze do Roeras,  
jeszcze o siedm mil oddalonego. Wiemy, że w Roe-  
ras, miasteczku 3,000 ludności liczącym, a w gó-  
rzystej i dzikiej okolicy wzniesionem, znajdują się  
owe sławne kopalnie miedzi, które wraz z rybo-  
łowstwem nadbrzeżnem stanowią jedno z najbo-  
gatszych źródeł dochodów krajowych.

Folwark ten, korzystając z grubiej warstwy  
zmarzłego śniegu pokrywającego ziemię, zwiedzi-  
liśmy w licznym towarzystwie, do którego należała  
cała rodzina biskupa, Dr Dryverson i jego na-  
ręczona z kilkoma koleżankami.

Góry w tej średniej strefie Norwegii nie do-  
chodzą tej wysokości, co śnieżne olbrzymy połud-  
niowe, z których jeden, między południowem a za-  
chodniem ramieniem zatoki Hardang, wznosi się wy-  
żej 6000 stóp w przestrzeni dwunastu mil geogra-  
ficznych, i szczyt jego wiecznym pokryty jest  
śniegiem. Na górach przegradzających Roeras  
śniegi latem topnieją, i dlatego téż góry te służyc

mogą za przytułek ludziom, niewiele od ziemi żą-  
dającym pożywienia. Najwyższa nie ma 3,000 stóp  
wysokości, i jest tak mało stromą, że sankami  
na wierzchołek jej dojechać można. Ale mrozy  
na tych szczytach w zimie niesłychane, do 30 stopni  
dochodzą, a czasem i wyżej. Zimno to zmusza po-  
dróżnych do użycia wielu środków ostrożności; nie-  
raz się bowiem zdarza, że ręce, nogi, nos i uszy  
odmarzają.

Jednak suwamy się wesoło po tej skrzepliej,  
a świecącej jak brylantowane srebro skorupie, bie-  
gniemy w zawody z góralami, to znikającymi jak  
widma w dolinach i przepaściach, to znów szybko-  
ścią błyskawicy pędzącymi łamanym biegiem na  
grzbiety gór. Ale tego co oni dokazać nie możemy;  
niełatwo to jeździć na tych długich drewnianych  
łyżwach; od małego dziecka trzeba się wpra-  
wić i nieraz utratą życia przyplacić bieg ten  
szalony.

Pyszne krajobrazy wszędzie; ale już nie tej gro-  
źnej, nad wszystkie opisy przestraszającej przy-  
rody, jak tam dalej ku południowi, gdzie często  
ostokrąg kryształowy, na 7,000 stóp wysoki, wy-  
skakuje zpośród zwierciadła zatoki lub jeziora,  
na którym wesoło bujają pstre gondole, lub war-  
czą tumaniąc fosforyczny żywioł koła parostatku.

I tém się téż różnią szwajcarskie widoki, tak po-  
wabne, choć podobnym żywiołom piękność swą  
zawdzięczające, od dzikich krajobrazów Norwegii.  
Z szwajcarskich wód łona powstają pagórki; góry  
coraz wyższe a zielone piętrzą się jedne za dru-  
giemi, jak głowy panien w kwiaty przystrojone;  
aż się wszystko kończy na dalekim widnokregu,  
śnieżnymi skroniami starców pławiących się w zło-  
tej jutrzence. A tu w Norwegii, ogromny Tytan  
w stalową zbroję odziany, wrywa się z ciemnych  
nurtów odmętu, pnie się ku niebu, strąca z niego  
obłoki i czaszką swą zuchwałą grozi słońcu, co  
swemi promieniami chce mu zerwać twardą zbroję.

Tu już, około Drontheimu, natura mniej dziki  
ma charakter. Lasy jodłowe, to uwieńczone milio-  
nem srebrnych bisiorów, to znów ciemno-zielone,  
stosownie do położenia i kierunku wiatru, pną się  
po stopach gór. Wygodna przerzyna je droga,  
z której dojrzyć możesz dna przepaści i zocysz  
zabudowania, kościółki i młyny. I w tej więc da-  
lekiej od nas strefie mieszkają ludzie pracujący  
tak samo jak my, nad ścinianiem drzewa, upra-

wianiem gruntu, mieleniem zboża i hodowaniem bydła.

Ale co to za huk przeraźliwy, wzmagający się z każdą stają którą ubiegamy, pędzeni wiatrem mroźnym a świszczącym? I coraz głośniejsze wycie, coraz okropniejszy łoskot! Ja się pytam: „co to jest na Boga? czy to młyn Tytanów, w którym się miela na kamienie brukowe głady norweskiskie?” — Odpowiedzi dosłyszeć nie mogę, tylko z śmiejących się oczu panien dyakonek wyczytuję że mnie czeka jakaś niespodzianka. Istotnie przewodniczące nam sanki, skręcają z drogi na prawo w głęboką dolinę, drugie za nimi, my pędzimy za drugimi, za nami jeszcze inne. Już jesteśmy na dole, łoskot okropny; zatykam uszy, bo myślę że mi pękna. Poza opoką jeszcze raz na prawo. Ha, teraz widzę! Nad mą głową potok szumiący zrzuca się z wysokości dwóchset stóp w dolinę; ale woda tam u góry kipiąca przybywa na ziemię w kształcie ogromnych potarganych warstw lodu, które, roztrzaskując się nawzajem, tworzą ten łoskot zagłuszający.

Całe towarzystwo spoziéra na mnie, zdumionego tym widokiem, z niewypowiedzianém zadowoleniem; cieszyły się pocziwe Normany z wrażenia jakie sprawił na mnie cud ich ojczysty, cieszyły się i Normanki, wykwitające jak róże zpod futrzanych czepców. Dr. Dryverson krzyczy mi w ucho:

— To nasz Geyzer Drontheimski, to Wette-Wartel, który dopiero zamarza na 33 stopni zimna, i gdy wiatr wieje z północo-wschodu.”

I tak jest w istocie. Wody te, tam na górze tak się wydziérają gorąco z łona ziemi, że w nich ręki utrzymać nie można, i w biegu dopiero stygną i zamarzają, gdy je skrzepnie wysoki stopień zimna, w tym kraju nawet nieczęsty. Czasem cała zima przejdzie i nie zdobędzie się na to zjawisko. Anglik jeden czekał tu na nie dwa lata i nie mogąc się doczekać, w łeb sobie strzelił z rozpaczy.

Ale już łoskot słabnąć zaczyna, już bryły lodu spadające z kaskady coraz mniejsze, bo wiatr ustaje, a słońce wychodzi z poza gór i obłoków i ogrzewa biédnego Wette-Wartel, tak jak niegdys I kara skrzydła ogrzało. Ja chciałem czekać aż do końca cudu i prawie gwałtem uprowadzić mnie musiano z tego miejsca tak dziwnego.

— Dalej w drogę, dalej!” — woła dobry biskup, pojutrze wracamy i jeszcze raz Wette-Wartel od-

wiedzimy, jeśli nas swym łoskotem do siebie zaprosi.

Niestety! za mym powrotem z Firdalsoren, folwarku biskupiego, Wette-Wartel milczał, nie miał się czém chwalić ani na co zaprosić. W nagrodę za tę niezwykłą, nawet w rozumnej istocie, skromność, chciałem zobaczyć kaskadę choć płynną, ale mi nie dano; spieszono się, bo śniegi topnieć zaczynały i obawiano się zagrzęznąć; taka zmienność w klimacie Norwegii.

Wracamy tedy na drogę, po niej pniemy się znów w górę, potem zbaczamy, zjeżdżamy i stajemy w pięknej wiosce należącej do barona Somnanger, jedyne go barona jakiego ma zaszczyt posiadać biédna Norwegia. Ale nie stajemy we dworze pana barona, bo on nie bawi na wsi, tylko w Stokholmie, z czego zresztą towarzystwo zdawało mi się nie być bardzo zmartwione. Baronowie jakoś nigdzie nie słyng z gościnności, a jednak wypadalo biskupowi i jego towarzystwu złożyć w przelocie hołdy owej ciekawości heraldycznej.

Nie stajemy w karczmie, lecz przed domem drewnianym, nadobnym i gankiem piętrowym otoczonym, jak domek szwajcarski; z téj miłej zaś oku i duszy siedziby spieszy na nasze powitanie starzec z siwą głową, rumianém licem, oczami modremi a tak pocziwemi, że pewno nikt nie wątpił iż należą do zacnego człowieka.

I tego starca dostojny prymas Norwegii w ramię pocałował, potem ze wzruszającą uściskał rzewnością; to jego ojciec. Tak, stary pastor téj małej osady był ojcem prymasa Norwegii, i szczęśliwym ojcem, bo własnego syna miał za zwierzchnika, bo syn jego pocziwój pracy, a nie intrydze, zawdzięczał to wysokie stanowisko.

Starzec, uściskawszy swego syna z łzami radości, wszystkich nas przywitał po kolei, znanych mu czy nieznanych, tak jak czynią ludzie uznający w gościu swego krewnego.

Jak nas było wszystkich czternaście osób, wkraczamy do obszernój izby, stanowiącej połowę pierwszego piętra. W niej piec ogromny, komin jeszcze większy, psów kudłatych kilku, tyleż starych portretów z świecącemi w blasku ognia jak karmin twarzami i w czarnym ubiorze; widać przodkowie tych dobrych księży. A i półek kilka z książkami; ogromny foliał, w którym się spisywały urodzenia

śluby i zejścia, i krucyfix z Odkupicielem, który tu mieszkał niezawodnie w sercu wszystkich ludzi, bo jakiś powiew dobroduszy wszędzie przejmował błogą wiarą i serdecznością. Teraz biskup i biskupowa wzięli mnie za rękę i przedstawili pastrowi Daleseidy, tak się bowiem wioska nazywała. Coś mu powiedzieli, czego oddać tu nie mogę, bom nie dosłyszał. A on, ochłonawszy z radości, położył rękę na mej głowie, uściskał raz jeszcze i spojrział w niebo.

Tak mnie wszyscy dobrzy ludzie przyjmowali gdziekolwiek byłem, nie stronili odemnie, ale też mnie nie szukali i dawnych ran teatralnemi nie jątrzyli obietnicami, ani płonną groźbą nie cieszyli po francuzku.

Zaczęto się krzątać około kawy, herbaty, ponczu, szynki i pieczeni. Ja się cichutko wykradłam z izby, wyszukuję futro zpod stosu innych i spieszę ku kościółkowi, który mi wpadł w oko już z bardzo daleka. Mimowolnie, i to wszędzie gdzie jestem, przyjaźń mą z ludźmi zaczynam od obejrzenia ich kościołów, tak jak gdybym tego przybytku Bogu poświęconego chciał spytać o stopień zacności pokoleń które go stawiały.

I tu kościółek drewniany, niewielki, ale dobrze utrzymany i osobliwy, czysto staro-norweskij struktury. Już to rzecz niewątpliwa dzisiaj, że Norwegia posiadała kiedyś swój własny styl architektoniczny, że znaczna liczba jej kościołów na bardzo wielką zasługuje uwagę i poszanowania godnej jest starożytności. Prawie wszystkie stawiane są w kształcie krzyża, z wieżą w środku stojącą i rodzajem kopuły uwieńczoną. Dachy są wysokie, kończące się w bardzo ostrym kącie, pokryte gontami w łuskę wykrajanemi; a te dachy piętrzą się jedne nad drugie, prawie jak domki karciane. Szczegóły wypracowane są z wielką starannością; mnóstwo galeryj i galeryjek, wyciętych misternie, filigranowe jakieś ozdoby i wielka ilość krzyżów i wieżyczek; przytém okna wąskie a bardzo wysokie, w framugach wklęsłe w ściany wszczepionych, a rynnny ozdobne głowami smoczemi. Same budowle, pokryte ciemno-czerwonym, niezmiernie trwałym pokostem, wyglądają okazale i wcale nie straszą ową ideą wåtłości, którą zwykle drewniany budynek widza przejmuje. Wiele z tych kościołów drewnianych pochodzi z XII, nawet XI wieku, a są tak zdrowe, w najmniej-

szych szczegółach tak dziwnie mocne i kształtne, że to każdego architekta zadziwi, a niejednego może zawstydzić, bo nasze nowożytnie budynki rzadko przedstawiają coś podobnego. Wewnątrz wieża spoczywa na okazałych kolumnach, z owych sosen odwiecznych, jakimi jeszcze tylko Norwegia poszczycić się może; bo te drzewa i grubsze i wyższe jak maszty okrętów admirałskich dumnej Anglii.

Blizko Bergen znajdował się jeden z tych kościółków w stanie zupełnego upadku. Król pruski, obecnie panujący, przez pana Kohn, konsula pruskiego w Bergen, kazał go zakupić, rozebrać, przewieść do Prus, zrestaurować w pierwotnym kształcie, i postawić gdzieś w Szlązku. Za otrzymaną sumę, parafianie postawili sobie nowy kościół, plebanią i szkołkę wiejską, i bardzo są szczęśliwi z tego handlu. Ale ja jednak wybaczyć im nie mogę takiego lekceważenia pamiątek narodowych; kto je sprzedaje, ten gorzej jeszcze robi, jak ten co je wydziera.

Jeśli książka ta wpadnie w ręce jakiemu architektowi, którego obchodzi część naukowa jego zawodu, to mu zalecam przeczytać, co professor Dahl napisał o starożytnych kościołach Norwegii.

— Kościółek Daleseidy jest jednym z tych, któreby król pruski chętnie nabył—rzekłem do biskupa Drontheimu, który nie widząc mnie w plebanii a znając zamiłowanie moje w kościołach, przyszedł mnie tu odszukać.

— Jego Królewska Mość nauczyła nas szanować nasze pomniki. Kupno kościoła stało się powodem do bardzo żywej polemiki w gazetach i w Storthingu. Ostre, trafnie wymierzone, głęboko uczute wyrzuty dotknęły naszych deputowanych ze wsi, i zmusiły ich do nałożenia nowego podatku na utrzymanie pomników narodowych.

Ale skąpi wieśniacy sami się nie obciążyli tym podatkiem, tylko nim obłożyli patenta adwokatów, lekarzy, aptekarzy i rzemieślników, a wkrótce nawet zniesli podatek gruntowy, dotychczas istniejący. Chłop norweskij, nawet najbogatszy, jednego szeląga podatku bezpośredniego nie wnosi do skarbu, a pośredniego bardzo też mało; unika bowiem z wielką troskliwością wszystkich pokarmów, na których ciąży cło jakie, mianowicie: kawy, cukru, wina; mięsa się strzeże nawet w mieście, a żyje tylko kapustą i wędlinami przywiezio-



nemi w beczkach ze wsi, i cienkuszem popija swój bigosik; a jeśli większą chce mieć przyjemność, to sobie podchmieli wódką, którą przezornie sam na wsi dystyluje. Pieniądze wieśniak lubi niesłychanie, ale ich nie zakopuje, tylko za nie nabywa grunta i bydło, osusza bagna, użyźnia łąki, a tak koniec końcem, kraj produkując coraz więcej zboża, zyskuje tyle pracą, móżem i skąpstwem wieśniaka, że coraz mniej wydaje pieniędzy na zakupywanie płodów rolniczych.

Wieśniak norwegijski chociaż skąpy i chciwy, nieodznaczający się ani wielką trzeźwością, ani też szczególnym zamiłowaniem pracy, jest przecieź rzetelnym, moralnym i bogobojnym; kraj swój kocha namiętnie, z gotowością poświęcenia się za jego byt i sławę, czego świetne nieraz dał dowody. W spojrzeniu Norwegczyka jaśnieje tęgie poczucie sił własnych, w jego twardych rysach błyska jakaś zastanawiająca wiedza i godność niezależności, jego ruchy nie zwawe, nie junackie ani też niecierpliwe, lecz pewne, silne i swobodne.

Ale jedźmy dalej do Firdalsoren. Opuszczamy plebanią starego pastora około pół do drugiej, mamy jeszcze dwie opętane mile przed sobą; słońce zachodzi o pół do czwartej (rzecz działa się 6 lutego), księżyc nie widać jeszcze, pozostaje jednakże światło gwiazd, blask śniegu i jakaś luna, prawie ciągle w zimowej porze od północy jaśniejąca. Najrozmaitsze obrazy, łudzące fantasmagorye powietrzne, nie dają nam uczuwać zimna; zresztą rozmowa toczy się żywo, bo nas pan pastor nie puścił na sucho, i te młode damy, choć dyakonki, musiały skosztować grzanego wina z korzeniami, zniewolone namową dygnitarza kościoła.

Na dole, w głębokiej dolinie, zbaczamy znowu z drogi i wjeżdżamy na jakieś niezmierne prześcieradło białe, w którego środku sterczy wysoki kręgiel. Byłoto jezioro zamarzone, a tym kręglem ogromna bryła skały, spadła zapewne jeszcze przed potopem ze szczytu otaczających nas gór. Poza jeziorem kilka dość wielkich zabudowań, lecz tylko z jednego jasne bije światło. Stajemy przed niem: wypada na szczudle brat biskupa, dawny oficer marynarki, który stracił nogę mając zaledwie lat dwadzieścia. Dziś ich ma pięćdziesiąt i od czterech lat gospodaruje tu na folwarku, czyta książki, uczy śpiewać ptaki i pije grok. Już nas oczeki-

wał, stół bowiem nakryty i różny z wielkimi i małymi ptakami kręca się na kotlinie.

Z drugiej strony sieni salonik, w nim harfa i książki dla kobiet, cygara zaś i karty dla mężczyzn. Na pierwszym piętrze pokoje sypialne.

Firdalsoren jest folwarkiem zajmującym 300 akrów angielskich uprawnej ziemi, 200 nieuprawnej, a przytęm posiada lasek wystarczający na wszystkie możliwe potrzeby, jeziora ile się podobą i z jaką stają rzeki. Oprócz 15 ludzi, żyje z tego gruntu 40 krów używanych do pługa i na mlęko, 10 koni, 48 reniferów, 200 owiec i nie wiem ile wieprzy. Sieją tu i pszenicę, ale w małej ilości; zbierają jęj do 20 korcy, a żyta do 40; jęczmień zebrało przeszłego roku 194 korcy z 11 korcy wysiewu, owsa zaś jeszcze więcej: zdumiewający to urodzaj. Posiadłość cała z budynkami nowo postawionemi, warta jest 18,000 dollarów; to jest 150,000 złp. Kapitan Nordahl Bruun płaci swemu bratu 4,500 złp. dzierżawy, inny musiałby płacić ze 6000. Opis tęg małej włości, najlepiej nas obznajmi ze stanem gospodarstwa wiejskiego w Norwegii.

Dodam tu jeszcze, że statystyczne obrachowanie, dokonane w r. 1840, wykazało, iż w całej Norwegii żyło wówczas 123,163 koni, 664,414 krów i wołów, 1,128,945 owiec, 194,813 kóz, 89,311 świń, i 86,255 reniferów, (te ostatnie w prowincjach Drontheimu, w Finmarku i w Nordlandyi).

Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się jeszcze przed obiadem: ale przecieź proszą do stołu. Wiemy już, że Norwegczycy wyższych klas nie żałują sobie dobrej strawy, która tutaj obficie znajduje się w morzu, na ziemi i w powietrzu. Do Bordeaux bliżej z Drontheimu jak do Krystyanii, wina zatęm nie zabrakło. Po obiedzie starsi panowie zasiedli do bostona, damy grały i śpiewały, a młodzi mężczyźni unosili się nad pięknymi głosami, nad wyborną metodą, i nad ładnemi rączkami przebiegającemi struny harfy; ściskali nawet te rączki prosząc o więcej. Ja należałem wówczas do młodszych mężczyzn, i dziś jeszcze wolę się bawić rozmową, jak stępać umysł grą w karty.

## II.

Powracamy do Drontheimu. Towarzyszy nam Gotfried Nordhal Bruun. Rzecz zastanawiająca: oficer to bardzo ukształcony i roztropny, a przecież wierzy w Krakena, z równą siłą jak brat jego w ewangelię. Ale co to jest Kraken? To ów potwór morski, ów wąż na pół mili długi, gruby jak najcieńszy bastion, z głową zdolną połknąć łódź z armatami i kanonierami, ozdobioną dwoma piękniutkiemi, od srebra i szmaragdów błyszczącemi kitami, na sposób pawiów, a tak wielkiemi jak najwyższe palmy; to ów wąż mytologiczny, zamieszkujący głębie oceanu, który, jak utrzymują Norwegczycy, od kilku wieków miał się ukazywać li tylko na brzegach ich ojczyzny, i to nadzwyczajnie rzadko. Czasem dziesięć lat minie i nie pojawi się Kraken; niekiedy tylko srebrno-szmaragdowe naczolki wychyla z pod wody. Ale raz, rzecz okropna! byłoto za biskupa Deiboldta, potwór wszedł do golfu drontheimskiego, ogromném swém ciałem zapełnił całą zatokę i tak zapowietrzył miasto, że choroby w niem wybuchły i wiele ludzi wymarło.

Bajeczném się to wszystko wydaje i bajką jest niezawodnie; a jednak naturalisci nawet, ludzie ze wszech miar godni szacunku, wierzą w Krakena, z wiarą granice rozumu przechodzącą, wierzą nietylko sami, ale nawet wpierają swe przekonanie niewierzącym i gniewają się okropnie, gdy tego dokazać nie mogą. Wiara w ów olbrzymi potwór tak się zakorzeniła w umysłach i rozposzechniła pomiędzy marynarzami, nietylko w Norwegii, ale i w krajach przyległych, że rząd angielski, proszony o to przez towarzystwo zoologiczne i fakulteta, wysłał dla sprawdzenia egzystencji potworu korwetę wojenną, pod dowództwem kapitana Brook, z rozkazem aby tenże przez trzy lata krążył około brzegów Norwegii, i dochodził na morzu i na lądzie śladów bajecznego potworu.

Kapitan Brook krążył lat cztery, patrzył i wywiadywał się bezustannie, nareszcie stracił rozum, nie doświadczywszy nawet przyjemności uwierzenia w istność Krakena.

Dziwna to rzecz z tym Krakenem: zdaje się, że umyślnie wynaleziony dla Norwegczyków, żeby im

służył za niewinny konduktor téj cząstki łatwowierności, która istnieje w każdym, choćby najmędrszym człowieku, a zwraca się częstokroć na najśmieszniejsze, ze zdrowym rozsądkiem najmniej zgodne przedmioty.

Nasz poczciwy kommodor wierzył tedy zapalczywie w Krakena, choć go nigdy nie widział. Ale raz pod Lofodami o mało co go nie zobaczył, a nad Tromsøe widział istotnie na powierzchni morza dwa blisko siebie stojące drzewa palmowe, które nagle znikły; to były bez żadnej wątpliwości owe naczolki, które zdobią głowę potworu. A znów pod Hammerfest, nocną porą, która jak wiemy trwa tutaj całe pół roku, kapitan ujrzał jakąś górę potężną, wychylającą się nad zwierciadło oceanu. A potem ta góra, ruszająca się tu i owdzie, zapadła w głęb; morze zadrżało i okręt o małego nie zatonął.

— To było niezawodnie, rzecze kapitan, kilka kłębów tego Krakena, co cielskiem swém zawałił całą zatokę drontheimską, mającą pół mili szerokości, milę długości, a głębokości ze staję.

— Toś ty był w Hammerfescie, kapitanie? krzyknąłem ucieszony; dalej, opowiedz mi co się tam dzieje na tym najzimniejszym kawale ziemi, który Europa wyrzuciła ze swego łona w ciemność północną, lecz zapomniała odebrać mu swą oświatę; i wyspa świeci nią ciągle, jak iskra wydarta słońcu przez Prometeusza.

— Poetycznie się wysławiasz, mój doktorze, odpowie mi wcale poważnie pan Nordhal Bruun, ale z mych ust niczego się nie dowiesz o Hammerfescie, jeśli nie uwierzysz w istnienie Krakena.

Widząc, że to kwestya żywotna, że to artykuł wiary Norwegczyka, a nawet część właściwości narodowej, rzekłem, że z całego serca zezwalam na uwierzenie w węża morskiego, imieniem Kraken, z nazwiska niewiadomego; że w zamian za to ustęstwo upraszam szanownego kolegę norweskiego, aby raczył opowiedzieć mi co się dzieje w Hammerfescie we dnie i w nocy, to jest w lato i w zimę.

Uspokojony kommodor tak zaczął opowiadać, nie zważając na śmiechy dwóch dyakonek, siedzą-

cych w naszych sankach, które urągały łatwowierności starego żeglarza:

— Dobrze, teraz panu opowiem: Byłem tam lat temu cztery, bo chociaż z ustrzeloną nogą, służyłem ciągle ojczyźnie. Co oficerowi marynarki po rękach, uszach i nogach, kiedy ma serce, głowę, język dobrze zawieszony i choć jedno oko, to może tyle dokazać i więcej jeszcze, jak sam Nelson. Przed czterą laty, mówię, byłem po raz ostatni w Hammerfescie, po raz pierwszy zaś dowodziłem wówczas statkiem parowym. Wysłano nas dla zgłębienia wszystkich, choćby najmniejszych, przystań Nordlandyi i Finmarku; trzymaliśmy się tedy jak najbliżej brzegów, posuwając się zwolna naprzód, a do każdej zatoki i zatoczki i ramienia i palca morskiego, musieliśmy wkraczać łodzią, by obrachować wód głębię. Przed nami, w tymże roku, dwa inne statki też samę skuteczniały robotę; aleśmy nie znali wypadku przeszłych dociekań, bo je trzymano w tajemnicy. Musieliśmy tedy działać na ślepo. Takie jest u nas w całym kraju przysłowie, że poza Drontheimem żaden człowiek wykształconego umysłu mieszkać nie może; chyba tylko chciwy skąpiec lub dobrze płatny urzędnik, i to niestety prawda, wielka prawda. W Nordlandyi i Finmarku, kupiec jest opiekunem, życiodawcą, aniołem pocieszycielem, ale też razem i pijawką kraju. Po największej części kupcy mają się dobrze, niektórzy nawet są bogaczami; niejeden z nich na tych nagich skałach, o które się rozbija wiecznie huczący ocean, zarobił 100,000 i więcej dollarów (do miliona złp.). Choć dziką tu jest przyroda, i człowiek walczyć musi bezustannie z jej nieubłaganą ostrością, to jednak do pewnego stopnia umiał on ją podbić. Nieraz goście przybywający na pokład mego parostatku, przynosili mi wielkie pęczki najmilszych dzieci natury, snopy całe kwiatów, tu na tych skałach wypielegnowanych. A były pomiędzy niemi gwoździki, rezeda, astry, lewkonie, delfinie, laki i róże. Jeszcze poza kołem biegunowym północy, poczciwi ziomkowie, jak gdyby z umowy, nieśli w darze staremu żołnierzowi swe kwiaty. Cóż mogli mi dać droższego, jak to, co z największym mozolem od ziemi wypraszał?

Statek mój w ogólności przedstawiał widok bardzo ciekawy. Nieraz znajdowali się na nim obok ludzi, których suknie 400 mil ztąd zrobiono, pastorowie i dzierżawcy w sutych skórzanych surdutach,

lub też prości wyspiarze i mieszkańcy fiordów, ubrani w niewyprawne skóry krów morskich, żujący przytém nieznośnie tytoń. Wykwintne damy z Krystyanii i z Bergen, przystrojone w nowomodne kapelusze, z welonami i piórami, żony tu przeniesionych urzędników, siedziały obok kościstych, wysokich córek nordlandzkiej arystokracji, odzianych w starodawne szuby, do czamarek podobne, z wylotami na rękawach i w czapki futrzane dziwnej, odwiecznej formy. W niższych warstwach towarzystwa, taż sama pstrocizna, taż sama oczy rażąca niejednolitość. Nordlandscy rybacy, choć silni i dobrze zbudowani, wyglądali w swych szerokich spencerach, jak dzieci obok zasadzistego majtka z Stawangeru; a ogromny Kweńczyk, ze złośliwem spojrzeniem, obok biednego struchlałego Lapończyka, podobny był do olbrzyma. Do tego dodajmy jeszcze trupę duńskich aktorów i parę sfór włoskich żydów z katarzynkami, udających się przez Nordlandyą do Archangelu, a będziemy mieli obraz prawdziwy tego, co się działo na naszym statku. Ale już jesteśmy daleko poza kołem biegunowym, już widzimy jak z łona wyspy Alsten wznosi się ku niebu owo dziwne pasmo gór, przewanych siedmioma siostrami, a tworzących fantastyczne postacie ludzkie! Siedm skał potężnych, na 400 stóp wysokich, sterczy tu nad zwierciadłem morza nieustannie huczącego. Teraz wstępujemy w nierozgmatwany labirynt skał, fiordów i wysep, jeszcze dziwniejszych kształtów. Jedna sterczy jak grot dzidy nad morzem, ta znów wygląda zupełnie jak kobieta z rękami na piersiach założonemi; dalej wznosi się ogromna ściana skalista, z dziurą na wylot wydrążoną, którą nazywają kapeluszem przedziurawionym. Ale królową tych skał jest rycerz siedzący na koniu, z ręką wyciągniętą; rozpoznasz doskonale, bez nasuwania ci podobieństwa, nos, oczy, uszy rycerza, a ten olbrzym na koniu ma wysokości stóp 1,500. Wszystko to, według mniemania wyspiarzy, są skamieniali bogowie Skandynawii.

Najludniejszą z tych wysp jest Traenen; mieszkańcami jej niezliczone chmary ptastwa morskiego, mianowicie kaczkki edredonowe. Najwięcej zaś interesującą dla geologa jest wyspa Luroe, gdzie jeszcze po dziś dzień zdarzają się trzęsienia ziemi. Od wschodu, ze strony stałego lądu, wy-

zierają owe ogromne zmarzłe góry, na których szczytach słońce w tysiączne rozbija się promienie. To lodo-góry Nordlandu, mrozące powietrze przejmującym powiewem. Ale tu na lewo liczny archipelag większych wysp: to Lofody. Scylly i Harybdy głos i strachy niczém są w porównaniu z niebezpieczeństwami, jakie tu grożą. Prąd morza jest okropny, woda napływem tu zaszła, wydziera się z niepohamowaną gwałtownością z pomiędzy ciasnych bram skalistych, oddzielających wyspę od wyspy i porywa z sobą najsilniejsze okręty, często nawet unosi na swój powierzchni, od bram urwane stucentnarowe glazy. Każdy z tych prądów ma swe osobne nazwisko i osobne niebezpieczeństwa. W chwili najwyższego stanu przyływu i najniższego stanu odpływu zupełna panuje tu spokojność, a rybacy obfity znajdują połów.

Na południe Lofodów, na stałym lądzie Norwegii, leży Bodoë. Dawna stolica Nordlandyi, i dziś jeszcze główne miejsce téj prowincyi, liczy 500 mieszkańców. Skalami zasłonięta od burz i nawałnic, wkracza tu daleko w ląd stały, pokryty jeszcze w miesiącu wrześniu kwitnącemi kartoflami, laskami bukowemi i piękną brzezina. Széroka droga prowadzi z Bodoë do kościoła na pagórku wzniesionego. Ztamtąd spieszy ku nam liczne towarzystwo nabożnych, właśnie z kościoła wychodzących, a między niemi wytworne damy w karyolkach i młodzi kawalerowie na koniach.

Płyniemy dalej zatoką zachodnią, pomiędzy stałym lądem Nordlandyi, a wyższym archipelagiem Lofodów, zdających się być ułamkami jakichś okropnych katastrof wulkanicznych, tak są potargane dziwnie w najokropniejsze kształty: jedne do rogów jelenich podobne, inne do zamków, jeszcze inne do wież i minaretów. Śnieg je tylko pokrywa gdziegdzie, ale zresztą nagie, żadnego śladu wegetacyi nie przedstawiają.

Na Vaagöe, największej z Lofodów, nad wygodną zatoką, leży mała osada kupiecka. Ważne to miejsce dla rybołówstwa. W zimie skupia się tutaj do 700 łodzi, mieszczących po pięciu ludzi, i do stu yachtów dla zabrania połowu. Około całego Archipelagu Lofodów krąży przeszło 4000 statków, w czasie połowu stokfiszu, który tutaj obfitszy niż gdziekolwiek w Europie. Do 30 milionów funtów ryb dobywa się tu rok rocznie. W ogóle wartość wszystkich ryb, tranu, raków,

ostrzyg, wyłowionych w jednym roku na brzegach Norwegii, dochodzi do 27 milionów złp.

Tak dzikie sceny i tak obfite źródło bogactw przedstawiają owe skaliste, nieurodzajne Lofody, na których wszystkiego może i dwa tysiące nie mieszka ludzi. Ale kto raz zakosztował wspaniałości wielkiego Westfiorda, kto raz podziwiał owe niezmierne masy skaliste, pnące się ku niebu w tysiące najrozmaitszych kształtów, kto je widział pławione w blasku słońca, drżące w magiczném świetle księżyca, lub też targane błyskawicznym ogniem zorzy północnej, ten nie zapomni uroków téj czarodziejskiej strefy, w której leży zaklęta wielka mytologia Odina.

Wy płynąwszy z Westfiorda, już nie spotkasz podobnego. Pod 70 stopniem szerokości północnej leży Tromsøe, małe miasteczko na wyspce tegoż nazwiska. Często dopiero w środku miesiąca lipca znikają śniegi z tego miejsca, a nieraz w początku sierpnia już na nowo spadają. A jednakże w sześciu lub siedmiu tygodniach lata ziemia wydaje jeszcze kartofle, jęczmień, a nawet i żyta cokolwiek, i piękne kwiaty kwitną w ogródkach. Tromsøe jest stolicą biskupa Nordlandyi i Finmarku, i posiada licznie odwiedzaną szkołę realną. Do bliższej tego miasteczka doliny schodzi co lato rodzina Lapończyków, posiadająca 1,100 reniferów, a dostarczająca miastu synek i ozorów tych zwierząt.

W brzegi Finmarku wkracza wielka ilość zatok. Z jednej z nich, zwanéj Loppe, widać ostatnie lodogóry Europy. Tutaj północny ocean rozwija cały majestat swych ogromnych odmętów; bałwanami wysokimi jak góry, a ciągle zapienionemi, płyniemy przez Stjernösund i stajemy w Altenfiord. To ostatni punkt w Europie, w którym ludzkiej woli i staraniom udaje się plon jaki taki wyprawiać z ziemi; a jednak dość ludny, od czasu jak towarzystwo angielskie w Kaafiord założyło kopalnię miedzi. Towarzystwo to daje kilkuset ludziom sposób utrzymania; założyło nadto dwie szkółki i płaci nauczyciela, wybudowało kościół i utrzymuje lekarza i aptekę. Nadobne domki, rozsiane są i oparte na stopach skał, a dobre drogi prowadzą do samej kopalni, która leży 600 stóp pod powierzchnią ziemi. Jest nawet i salon re-sursy, w którym znajdziesz fortepian, billard i gazety. Termometr w zimie rzadko spada niżej 30tu

stopni. Brzoza jeszcze się tu utrzymuje; jodła wyrasta wprawdzie w pień, lecz już nie może wystrzelić w koronę; czarna, jak spalona, zwiesza swe igły ku ziemi: smutny obraz bezsilności natury.

Tu w Kaafiord, rzecze dalej kommodor, widziałem po raz pierwszy w życiu, jak Lapończycy przeprowadzają trzody reniferów na pobliskie wyspy, nieraz o pół mili geograficznej od stałego lądu oddalone. Wybiierają czterech lub pięciu najstarszych, u reszty trzody w największym poszanowaniu będących renów, wiążą im liny do rogów, a potem wsiadłszy w łódź, ciągną je za sobą. Stary renifer, widząc że uledz musi, rzuca się w morze i płynie, za jego zaś przykładem idzie cała trzoda, choćby najliczniejsza.

W Kaafiord opuszczamy stały ląd Norwegii i płynąc na północ, mil niespełna piętnaście, stajemy pod brzegami wyspy Qualöe, na której leży Hammerfest, miasteczko europejskie, najwięcej na północ wysunięte. Tutaj już najmniejszego prawie śladu vegetacyi: kilka krzaków brzeziny w szczelinach skał, i nic więcej. Wątpić nie można, że wyspa Qualöe, niegdyś na jakie 40 stóp głębiej zanurzona była w morzu. Wody oceanów ustępują, przestrzeń ziemi się powiększa, mnożącemu się zatem rodzajowi ludzkiemu nie zabraknie nigdy miejsca; przyszłość jego na tysiące wieków zabezpieczona.

Na brzegu zatoki wznosi się Hammerfest, w jeden szereg domów opartych o skałę. Oto ostatnia widownia handlu i życia europejskiego, zaledwie o 14 mil od krańca Europy oddalona. Statek parowy jest dla mieszkańców Hammerfestu gołębiem zwiastującym istność lepszego świata; dlatego przyjęto nas wystrzałami z moździerzy i okrzykiem radości, a zaledwie kotwica zatoneła w nurtach, sto naraz otoczyło nas łodzi. Panowie i damy, starcy i dzieci, Kweńczyki i Lapończyki gramolili się na nasz pokład, by nas ścisnąć i witac i do siebie zapraszać. Oberży niemasz w Hammerfescie, ale każdy dom rad przyjąć gościa.

W przystani leżało kilka okrętów rosyjskich o trzech masztach. Rossyanie przebywają na nich burzliwe wody morza Lodowatego i Białego, aż do Archangelu, żeglując pośród skał, lodów i mgły. Rossyanie biało-morscy, w swych długich szubach i czerwonych brodach, niemniej posiadają odwagi jak niegdyś Goci, którzy przez morze Czarne

na krowich skórach przepływali. Kilka hamburgskich i norweskich statków było także w porcie, celem zabrania z sobą tranu, którego się tu wytapia niesłychana ilość.—Na drugi dzień po naszym przybyciu, słyszymy znów huk moździerzy i okrzyki radości. Właśnie wpływają do portu trzy wielkie szalupy, które kupcy Hammerfestu wysłali po raz pierwszy przed trzema miesiącami do Szpitzbergu, na połów krów morskich. Odtąd nic nie słyszano o statkach ani o ludziach i już zwątpiono czy żyją, aż oto Bóg ich prowadzi zdrowych na okrętach, napełnionych bogatym połowem. Niesłychana radość w mieście, bo na każdego z 600 mieszkańców, żyjących z sobą jak jedna rodzina, część korzyści spłynie. Ze Szpitzbergu do Hammerfestu wrócili we dwa dni, kiedy czasem tygodni kilka trzeba strawić w tej podróży; a krążyli dniem i nocą, ale przy ciągłym słońcu, przez 3 miesiące, nim napadli na liczną trzodę wyrosłych krów morskich, śpiących na owych bryłach lodu, które zewsząd Szpitzberg otaczają. Okropny stoczono bój z temi odważnymi i mądrymi zwierzętami, mającemi w swém spojrzeniu coś niezmiernie przestraszającego, bo do człowieka podobnego. Jak lwy ryczały biędne zwierzęta, zbierały się w plutony po dwadzieścia i trzydzieści, i zacięty stawiały opór. Ale nadaremnie, uledz musiały taktyce europejskiej, zakrwawiwszy morze swą posoką. W trzy godziny padło pod nożami majtków przeszło 300 krów i dwieście buhajów morskich; żaden nie ważył mniej jak 400 funtów, a były i takie co ważyły drugie tyle. Sławny to połów, ale zaręczyć można, że miliony tych zwierząt krąży około Szpitzbergu, wyspy dwa razy większej od całej Szwajcaryi. Przywieziono także z sobą młodego niedźwiedzia białego, żywcem w niewolę pojmanego. Zła to była niesłychanie sztuka; pomimo dzieciniego wieku swojego rzucał się na wszystko co mu tylko podano, a nawet w szynę żelazną kły na linią głębokości zatapiał.

— Wielka tedy radość w Hammerfescie, mówił dalej kommodor Nordahl Bruun, zachwycony uwagą z jaką przysłuchiwałem się jego opowiadaniu. Kupcy i inni obywatele pieniądze, których tu dosyć, bo łatwo posiąść grosz w tém mieście, kiedy się klimat zniesie i w ciemnym bitym nie jest, urządzili szumny bal *in gratiam* przybycia naszego parostatku, a więcej może jeszcze *in gratiam* powrotu

yachtów z tak bogatym połowem. Piąta część ludności całego Hammerfestu obecna była na tym balu. Mężczyźni w doskonale uszytych frakach, damy, dalibóg, w paryzkich strojach. Wzięto się do tańca, i tańczono francuzkie kontredanse, czy uwierzysz pan?”

— Nie, nie uwierzę kommodorze, gdzieby tam kontredans przeskoczył z pod 49 stopnia szerokości, aż pod 72! To trudno przypuścić.

— No, musisz pan tym razem uwierzyć i to szczerzej jak w istność Krakena, odrzekł kommodor, bo daję panu na to słowo honoru, najsiarczystsze jakie kiedykolwiek z ust moich wyszło. Wielka mi odległość z Hammerfestu do Boulogne! toć po wodzie się jedzie, a morze to miękkie łożę; z Boulogne zaś do Paryża, to fraszka. Zresztą widziałem na własne oczy, że tańczono francuzkie kontredanse, z szassami, plissami, piżonami, piruetami, tak wysokimi jak skok sztokfiszka ponad powierzchnię morza.

— To przedpotopowy kontredans, takiego Noe już tańczył w arce, gdy się upił węgrzynem.

— Co mi do tego, dość że tańczyli zamiast norweskich gigów, francuzkie kontredanse w Hammerfście, a tańcami dyrygował jakiś Francuz z wyszuwaksowanymi wąsami, z czerwoną wstążką w dziurce od guzika; był on wice-konsulem Francyi i kupcem, i metrem tańców, i profesorem magii białej, i zegarmistrzem, a nazywał się monsieur Delcourt. Tańczono wiele, odegrano komedię amatorską, tłumaczoną z francuzkiego na duńskie, a potem, zasiadłszy do stołu, korzystano z nieobecności nocy i pito może ze trzy doby. Zresztą, żeby panu skończyć opis Hammerfestu, widzę bowiem, że się do Drontheim zbliżamy i wkrótce rozmowę naszą dobrą szklanką groku przerwać będziemy musieli, dodam jeszcze, że to zapomniane w lodowatych strefach miasteczko, nie przedstawia nic a nic ciekawego. Kupcy sprzedają tam kapitanom okrętów wszystko, co im potrzeba na naprawienie szkód przez nawałnicę poniesionych, przytęm szachrują futrami, koldrami, płótnem żaglowym, grubym towarem nożowym, wódką, powrozami, tranem, skórą, mąką, kłami krów morskich, fiszbinem, rybami, i t. p. towarami, które wysyłają do Francyi, Anglii, Rosyi i Niemiec. Burze nigdy tu nie usną, grady biją, śnieg płatami spada, deszcz nielitościwie kro-

pi; niestalość w atmosferze bezprzykładna. Dziś trzeszczący mróz, jutro odwilż i wilgoć przejmująca. Noc zapada na całe pół roku, a w czasie jej trwania wszelki objaw życia ustaje. Ryby gdzieś się podziewają, brudny Lapończyk i rybak nordlandski śpią w norach podziemnych, kupcy, uregulowawszy skrupulatnie rachunki, biorą się do gry, do butelki, do bankietów i komedij. Jednakże całkowita ciemność trwa tylko trzy miesiące, a i wtenczas przyświecają gwiazdy, czasem zorza północna, częściej jeszcze luna. Około południa podczas tej długiej nocy jawi się jakaś jasność, przy której światło nawet przez pół godziny jako tako czytać można. W czerwcu i lipcu, słońce nigdy z nieba nie schodzi, okrążając widnokrąg w okół i mało się wznosząc nad poziom. Pomiędzy światłem południowym a północnym żadnej prawie niemasz różnicy. Nieraz o północy upał nieznośnie dokucza. Lecz chociaż dzień od nocy nie różni się w czasie tych dwóch miesięcy jasnością, różni się jednakże inną, bardzo charakterystyczną cechą. Podczas godzin nocnych dziwna jakaś cichość panuje w atmosferze, wiatr milczy, wszystko się uspokaja, jak gdyby natura chciała wskazać ludziom, że to czas spoczynku. Z godzinami porannymi znów się wiatr zrywa i burza hućać zaczyna.

Zrobiłem wycieczkę do wnętrza wyspy, choć mi to przyszło z trudnością na drewnianym moim szczudle. Nad samym miastem pnie się w obłoki pasmo gór skalistych, zębatach i potarganych, przeszło na 1,200 stóp wysokich. Jedna tylko istnieje droga na całej wyspie, a ta prowadzi przez wał kamienny ku jeziorowi, obok którego wzniesiono cegielnię. To jedyny spacer dla mieszkańców Hammerfestu. Ztąd wchodzi się do labiryntu błotnego, pełnego sapów i przegrodzonego skałami. Wszystko wygląda tu dziko i smutnie jak w chaosie; kilka krzaczków jeżyny dowodzi jednakże, że użyteczny ten owoc i tu nawet chować się może. Zresztą po bagnistych trzęsawiskach jest mnóstwo kęp, gęstym mchem porośłych.

Ale i ten kraj dziki, nieurodzajny, okropny, kochają ludzie na nim zrodzeni z rzewną, głęboką czułością i tęsknią do niego z pod nieba Włoch i Francyi, z tą samą siłą, z jaką Lapończyk tęskni do podziemnej nory, a Grenlandczyk do lodowatych swych

brzegów. Otóż jest, zakończył kommodor, wier-ny obraz Nordlandyi, Finmarku, Lofodów, Trom-sea i Hammerfestu, tych krain niegdyś bardzo odle-głych, a dziś, dzięki parowej żegludze, tak łatwych do zwiedzenia jak zamki i ruiny Renu. Ale posę-pną piękność północy nie każda dusza zdolną jest pojąć, ocenić, pokochać. Na to trzeba poety z jędr-ném sercem, z duszą w której tętni siła życia i dźwięczą śpiewy starożytnych Skaldów”.

Umilkł kommodor, a ja serdeczne złożyłem mu dzięki, za tak dokładne obeznanie mnie z krajami, o których dotychczas bardzo niewyraźne miałem wyobrażenie.

— Nie dziękuj mnie, panie doktorze, tylko prze-proś te młode damy, towarzyszkę naszej podróży, bo z pańskiej rozmowy przez ciąg méj odyssei ko-rzystać nie mogły.

— Ale z pańskiego opowiadania korzystały we-spół ze mną, kommodorze.

— Oh, słyszałyśmy już dziesięć razy ten opis podróży stryjaska do Hamerfestu, a nawet do Is-landyi, Grenlandyi, Labradoru i Kanady, Indyów Wschodnich i Zachodnich, Australii i Nowej Ze-landyi—odpowiė śmiejąc się Alberta Nordahl Bruun córka biskupa, a synowica kommodora.

— Widzi pan, jak się mści moja własna syno-wica za gadulstwo starego żołnierza, a może wię-ciej jeszcze zato, że przez ciąg opowiadania sama mówić nie mogła.

Jeszcze się lepiej śmiała biskupówna, i tak, w najweselszym humorze wjeżdżamy na szczyt gór, panujących nad Drontheimem. Ale kommodor, gdy zoczył miasto swe rodzinne, zapłonil się z ra-dości, zapomniał, że go piękna synowica wyśmiała za gadulstwo, i obróciwszy się do mnie rzekł z trudnym do opisania zapałem: „Oto me lube

rodzinne miasto! jestto najstarszy gród w całym kraju! Te góry, zatoki i doliny były widownią najdawniejszych dziejów narodu. Jeszcze żyje w sercach mieszkańców Drontheimu pamiątka, co mówię, *wiedza* dawniej wielkości i siły. Patrz pan jak poczciwie i dumnie spoglądają, jaki mars w twa-rzy, jaka krnąbrność w karku; a te jaskrawo-czer-wone czapki, które tak namiętnie lubią, to odzna-czenie, które sobie przed sześciami wywalczyli wie-kami, i dziś go jeszcze za nic w świecie nie porzu-cą, dla tańszego i wygodniejszego kapelusza. O, do-bre me miasto rodzinne, i dobrzy tych okolic mieszkańcy!”

Ścisnąłem rękę dzielnego kommodora, i przela-łem w jego serce tēm uściśnieniem ogień uczu-cia, wskrzeszonego w méj duszy jego tak prostemi a silnemi słowy. On pojął zapewne jaką we mnie obudził tęsknotę, i rzekł spojrzawszy bardzo ostro-żnie z ukosa na swą synowicę: „Doktorze! znaj-dziesz u nas ludzi co cię ocenić i pojąć potrafią; pobaw dłużej pomiędzy nami, a poznasz może, że w tym odległym zakątku ziemi mieszkają ludzie godni być twemi współobywatelami.

A ja odpowiedziałem: „Trzy miesiące bawię mię-dzy wami i wiele już widziałem waszego kraju, a wszy-stko co widziałem, wsiąkło w mój umysł, jak rosa w spragniony piasek Sahary, i już się nigdy z nie-go nie ulotni. Gdybym jedynie o osobiste dbał szczęście, pozostałbym pewno w krainie dowodzą-ciej świata, że postęp odbywać się może jednostaj-nie, jednozgodnie, równocześnie bez wyskoków, gwałtów, ale tēz bez cofania się w tył. Jednak przy-znaj sam, kommodorze, czym na to pchnięty okoli-cznościami od méj woli niezależnemi w świat ten obszerny, żebym zaraz na wstępie ugrzązł w kale trosk materyalnych?...”

## WATERFORD

### I MOST NATURALNY POD KILKEE.

Witaj zielona Erin (<sup>1</sup>), kraino szmaragdowych równin i pagórków! Przyroda rzucając kwitnące twe łany na podwalinę twardej opoki, bawiła się w sielankę. Tyś jest Arkadyą Europy, o której marzył Teokryt, gdy kreslił czarujące swe pieśni. Ocean, co cię otacza dokoła, bazaltowe glazy i kolumny, co jakby ręką olbrzymów napiętrzone, brzegi twe osłaniają, są naturalnym przedpiersiem twojém! Długo cię one chroniły od najazdów, czemuż dziś nie uchronią od nędzy?

Irlandya obfituje w piękne krajobrazy, lecz natura uczyniła tu wszystko, człowiek nic albo bardzo mało. Dla geologa godne są uwagi formacje bazaltowe na północnym jej brzegu, szczególnież tak zwana *grobla olbrzymów* i przylądek Pleaskin. Niedaleko *Kilkee* tworzą one most naturalny, równie zdumiewający ogromem, jak dziwacznością kształtów, którego dolna część naszej ryciny wiernej przedstawia wizerunek.

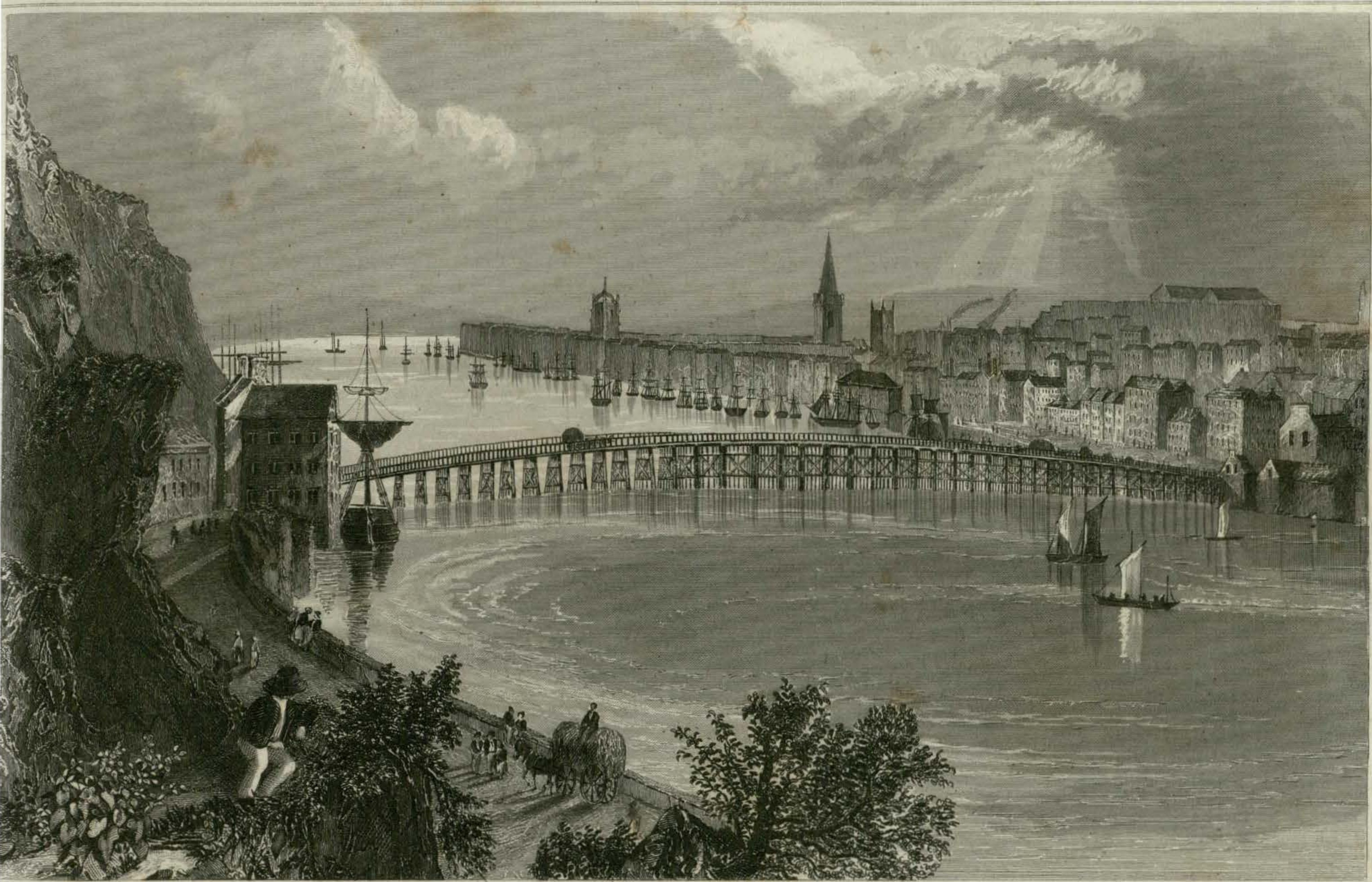
Dziwném zrzędzeniem Opatrzności, kraj co posiada nieprzebrane źródła bogactw wszelkiego rodzaju, jest siedliskiem okropnej nędzy; a obszary jego, tak niewinnym nacechowane wdziękiem, stają się widownią strasznych nieraz zbrodni. Irlandczyk z natury jest szlachetny i pochopny do dobrego, lecz gruba niewiadomość, połączona z brakiem materyalnym, stłumiła w nim popęd duchowy, a podzęgła instynkta zwierzęce. Północna, a bardziej jeszcze północno-zachodnia część wyspy znajduje się w stanie zupełnego rozstroju, i życzyby należało, aby filantropi angielscy, zamiast obracać wszystek czas swój i kapitał na wytępienie niewolnictwa w koloniach, użyli go choć cząsteczkę ku dźwignieniu nieszczęśliwych pobratymców. Niech przebiegną te strony bliżej ich obchodzące i niech zawyrokują w swém sumieniu, czy tak oplakaną

niedolę, tak ohydną ciemnotę napotkali między negrami Sierra Leony, lub niewolnikami Indyj Zachodnich! W niektórych okolicach ludność wiejska zamieszkuje, nakształt Eskimosów, podziemne szałas, i tam, wespół z bydłami, tarza się w kalle obrzydliwego niechlujstwa. Odzienie ich składa się z lachmanów, których nie zdejmują nigdy, z obawy by się zupełnie nie rozleciały. Szczęśliwy, kto raz na dzień nasycić się może kartoflami; jest on przedmiotem zazdrości dla innych, przywilejowcem pomiędzy nędzarzami. W lepiankach o jednej izbie i najczęściej bez komina rozpalają ogień na ubitej glinie. Nad ogniem wisi kocioł, a wkoło sadowią się mieszkańcy, pochyleni dla uniknienia dymu, tak, iż twarzą prawie ziemi dotykają. Wychowanie publiczne zupełnie zaniedbane, nie wyłączając nawet religii; szkoły bowiem i probostwa są tak nieliczne, iż w ogólności mały tylko przynoszą pożytek. Najgrubsze przesady panują nietylko w niższych warstwach ludności, lecz nawet w klasie miejskiej; wierzą oni szczególnież w *feralność*, i tak: zła wróżba w dzień świąteczny pójść do sąsiada po ogień; zła wróżba dla rybaka, gdy przed połowem spotka kobietę boso lub przyboś, chociaż w północno-zachodniej Irlandyi dziewiętnaście dwudziestych ludu wiejskiego nie nosi obuwia; na dnie wiader przybijają podkowy, żeby djabeł nie wypijał mléka; i wiele podobnych popełniają niedorzeczności.

Południowa Irlandya jest nieco zamożniejszą, lecz i tu system dzierżaw i poddzierżaw tamuje rozwinięcie dobrego bytu. Każdy właściciel ziemski, najczęściej Anglik w kraju niezamieszkały, ma swoich dzierżawców, którzy jednak nie zajmują się wcale uprawą gruntów, lecz wypuszczają takowe cząstkowym dzierżawcom, a ci znów dzielą je na drobniejsze jeszcze poddzierżawki, tak iż między pierwiastkowym właścicielem i uprawia-

(<sup>1</sup>) Tak nazywają Irlandczycy ojczyznę swoją.

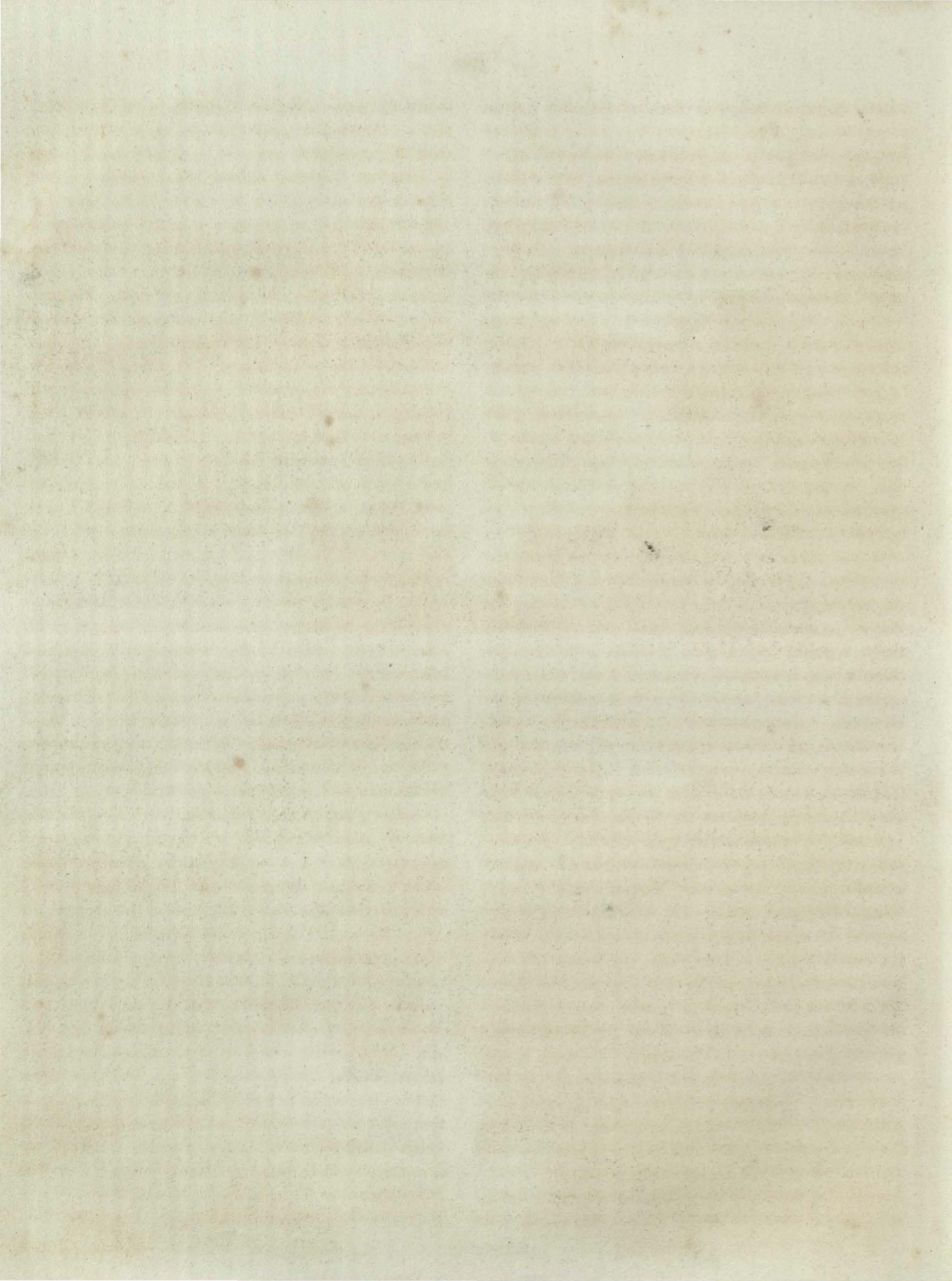




Waterfort.



Most naturalny niedaleko Kilkee.



czem, staje częstokroć kilku dzierżawców i poddzierżawców. Poddzierżawca taki odpowiedzialny jest nie tylko za czynsz, lecz także za wszelkie powinności dzierżawcy swego względem właściciela; nie mając zaś z tym ostatnim żadnej styczności bezpośredniej i żadnej rękojmi, bywa rugowany ilekroć zmienia się główny dzierżawca. Ten system, wynikły z ubóstwa irlandzkiego rolnika, zamiast zaradzić złemu, codziennie je owszem powiększa. Po znaczniejszych tylko miastach znajdziesz oświatę, dostatki a nawet zbytek, w rażącej sprzeczności z powszechną nędzą. Mimo to wszakże podróżny nigdzie może nie dozna tak uprzejmego przyjęcia, jak w Irlandyi. Gościnność nieograniczona panuje tu zarówno w pałacach magnatów i w ubogiej chatce wieśniaka; wszędzie powitają cię serdecznie i ugoszczą jak najlepszego przyjaciela. Cóż, kiedy niedola materyalna, w połączeniu z nienawiścią polityczną i religijną, wykorzenia często tę wrodzoną poczciwość i staje się powodem zbrodniczych zamachów.... Nie ulega zresztą zaprzeczeniu, iż wtenczas dopiero zmniejszą się cierpienia narodu, gdy wielcy właściciele, co dziś za granicą trwonią swe majątki, zamieszkają w kraju i sami się zajmą gospodarstwem; lub też gdy rząd angielski położy im tamę przez energiczne środki administracyjne, a mianowicie przez dobrze obmyślane *prawo o ubogich*. Wówczas ustanie i wychodźstwo, którego dziś chwycą się krocie, by ująć głodowej śmierci w krainie żyźnej i bogatej we wszystkie plody rolnicze.

Jednym z najzamożniejszych hrabstw Irlandyi jest *Waterford*, w południowo-wschodniej stronie wyspy. Leży ono między Tipperary, Kilkenny, Wexford i Cork; strome i wycięte brzegi, wycięte w liczne odnogi, otaczają dokoła rafy, a fale oceanu chłoszczą je z hukiem i szumem. Wysokie przylądki, między którymi Ramhead, Bogenbon i Minhead najgłębiej w morze wkraczają, tworzą wyborne przystanie i zatoki; z tych najznaczniejsze Dungarfan i Tramore. Wnętrze kraju zajmują góry fantastycznych kształtów, jak na północy Knockmellowe i Cumerogh, na południu Ardmore i Dungarvan, ze szczytem w kształcie trzech olbrzymich toporów; żadna z nich jednak nie dochodzi trzech tysięcy stóp wysokości. Między górami znajdują się małe, lecz głębokie jeziora i łąki obfitujące w paszę, które z łatwością mo-

żnaby uprawić. Najznaczniejszą rzeką tego hrabstwa, stanowiącą granicę jego od Wexford, jest Suir, który połączywszy się z płynącym od północy Barrow, tworzy zatokę Waterford. Rzeka Blackwater przyjmuje w siebie kilka pomniejszych strumieni, a przy ujściu do morza rozszerza się na zatokę Youghall. Pomiędzy temi zatokami wpada do oceanu znaczna liczba pomniejszych rzeczek, jak Brickly, Mahon, Tay i inne. W głębi kraju znajdują się źródła mineralne, ale dotychczas nikt prawie z nich nie korzysta.

Klimat jest wilgotny, lecz łagodny i zdrowy. Rolnictwo wydaje pszenicę, jęczmień, owies, a szczególnie w nadzwyczajnej obfitości kartofle i len. Wyborne pastwiska, między górami, sprzyjają hodowli bydła i trzody chlewniej; ztąd też Waterford słynie na całą Irlandyę z wędlin, masła i sérów. Owoców niewielka obfitość; podobnież czuć się daje brak drzewa opałowego, torfu i węgla kamiennych, które z innych hrabstw sprowadzają. Rybołówstwo znaczne przynosi korzyści; mianowicie z połowu śledzi po nadbrzeżach utrzymuje się tysiące niezamożnych mieszkańców; ale podatek od soli, jeden ze źle zrozumianych środków finansowych w Anglii, nie dozwala im używać swobodnie tego daru hojnej przyrody. Słusznie powiedział lord Erskine w parlamencie: „Zdaje się, że ręka Opatrzności dała ryby na pożywienie ubóstwa, lecz mądrość finansistów, przez wymysł podatku od soli, zaprzecza jej wyrokom.“

Ludność tego hrabstwa wynosi około 160,000, rozdzielona na 47 parafij. Przemysł ogranicza się na produkcji płótna, wódki, szkła, wyrobów żelaznych i wełnianych; znakomity także jest wywóz wędlin i nabiału. *Waterford*, stolica prowincyi nad rzeką Suir, wyobrażony na dołączonej rycinie, jest to gród stary i niepozorny, liczący do 4,000 domów i 40,000 mieszkańców. Kręte i wąskie zaułki, z brudnymi pod strzechą chałupami, i mnóstwo szlachtuzów, niebardzo ponętym czynią jego widok. W głównej wszakże części miasta znajdują się wspaniałe zabudowania. Najpiękniejsza ulica ciągnie się wzdłuż pobrzeża, pełna wykwintnych sklepów z różnemi towarami. W czasie przyływu morza przybijają tam okręty, a most ozdobny, na 830 stóp długości, łączy ją z brzegiem przeciwnym. Port, obszerny i bezpieczny, posiada latarnię morską i warownię Duncannon.

Waterford, zbudowany podobno przez Duńczyków, zdobytym został przez normańskiego barona Strongbow, i razem z częścią Irlandyi poddany zwierzchnictwu angielskiemu. Z piętnastu świątyń tego miasta odznaczają się: katolicki kościół Śój Trójcy, i katedra anglikańska, zbudowana w stylu greckim; z gmachów zaś publicznych: pałac biskupa anglikańskiego z podwójnym frontonem, ratusz, giełda, sala zebrania dla kupców, teatr i komora. Jako starożytność zasługuje na wspomnienie zamek Reginald-Tower, wystawiony w po-

czątku jedenastego stulecia przez Reginalda Duńczyka.

We względzie handlowym Waterford jest jednym z pierwszych miast Irlandyi. Wywóz jego, złożony po większej części z płodów rolniczych, wynosi rocznie do 1,700,000 f. st. Rybołówstwem nadbrzeżnym zajmuje się mnóstwo małych statków rybackich, a oprócz tego 70 okrętów wypływa corocznie do nowój Finlandyi, za połowem sztokfiszów.

L. J.

## H U M A Ń.

(WYJĄTEK Z PODRÓŻY).

.....Z Kijowa pojechaliśmy do Humani, aby tam zobaczyć znakomite ogrody, założone przez hrabiego Potockiego dla swojej małżonki hrabiny Zofii, którą namiętnie kochał. Od Taraszczy, gdzie nocowaliśmy, do Humani sto czterdzieści wiorst, i kiedyśmy przyjechali tam o godzinie 10ej w wieczór, już zupełnie było ciemno. We wszystkich domach migaly światelka, i zdaleka widać je było wzdłuż góry, na której wybudowane jest miasto w kształcie amfiteatru. Wyznaję, że chcąc zobaczyć ogrody, wslawione wierszem i prozą, wcale nie myślałem o historycznych pamiątkach Humani. Smutne to wspomnienie.

W rześisto oświetlonym Humańskim hotelu grzmiała muzyka, i wszystkie pokoje były zajęte przez obywateli, którzy przyjechali ze wsi. Naza jutrz zobaczyliśmy te znakomite ogrody. Nie dziwnego, że kosztowały przeszło dwadzieścia milionów złotych. Jestto cud nie do opisania! Lecz przyznać należy, iż z tak ogromnej summy daleko lepszy można było zrobić użytek, tak dla korzyści ogólnej, jak i dla własnej przyjemności. Rzecz dziwna, że przy takim ogrodzie, o dwie wiorsty od miasta, niema i nigdy nie było domu odpowiadającego ogrodowi. Zresztą

sam ogród nie jest wielki, daleko mniejszy od ogrodu hrabiny Branickiej, lecz, urządzony z wielkim gustem, ma takie piękności, jakie mało gdzie zdarza się zobaczyć. Nie zatrzymując się przy wejściu, poszliśmy brzegiem obszernego stawu, wpośród którego bije fontanna, przeszło na dziewięć sążni wysokości. Piękniejszą jeszcze jest kaskada, która pędzi z ogromnej skały, huczna i pieniąca się; niema na tej skale ani świątyni, ani posągu, same tylko drzewa, na ciemnej zieloności których, niby w wydatnych ramkach, błyszczy, bieleje, przelewa się z koloru w kolor szeroki prąd wody.

Nagromadzone wokoło granity krępują jej gwałtowny pęd, i strwożony podróżny wkrótce przekonywa się, że spokojnie może zachwycać się tym burzliwym potokiem. Wtedy, idąc za mimowolnym uczuciem pragnie zbliżka obejrzeć te gromady; łażąc po nich, lub przesuwając się przez ciasniny między niemi, lub nakoniec spoczywając pod niemi w chłodnych miejscach, trudno wierzyć, że wszystko to jest dziełem rąk ludzkich. Rzecz szczególna, że to zrobiono nie w odległej starożytności, lecz za naszych czasów, nie przez cyklopów, lecz przez zwyczajnych robotników. Nie

można patrzeć na to, bez podziwu i uniesienia.

Czas nam nie pozwalał zatrzymać się tutaj do 1 lipca, aby zobaczyć oświetlenie ogrodu różnokolorowemi ogniami. Musi to być prawdziwie czarodziejski widok, przy odgłosie rozstawionej po ogrodzie muzyki i natłoku ludzi rozmaitych stanów. Wprzód obchodzono tu dzień św. Piotra i Pawła, teraz będą obchodzić dzień urodzin N. Pani, lecz goście po dawnemu zjeżdżają się na dzień Piotra i Pawła, aby dłużej zachwycić się tym miejscem i zakupić rozmaite rzeczy u żydów.

Zapewne w święto będzie oświetlona i kamienna grota, gdzie w granitowej studni, sprowadzona z samorodnego źródła woda, nadzwyczajnej jest świeżości i smaku. Przy tym źródle, piękna hrabina Zofia, małżonka hrabiego Witte, wyznała pierwszy raz swoją miłość przed namiętnie ją kochającym hrabią Potockim; on zaś postanowiwszy zerwać pierwsze jej małżeństwo i sam się z nią połączyć, zamyslił jednocześnie w dowód swojej miłości, wznieść cudowny ogród i, nazwawszy go *Zofiówką*, wslawić tym sposobem ubóstwiane imię.

Lecz i ta namiętnie kochana piękność, wśród rozkoszy i pieszczot, gorzko płakała, straciwszy starszego syna, na pamiątkę którego zasadziła, obok rozbitej kolumny, jawor, gdzie sączą się po kamieniach małe kaskady, *trzy lzy*: to jest, lzy ojca, matki i jedynej jeszcze wtedy siostry. W tak nazwanym labiryncie nikt nie zabłądzi, bo za nadto jest ciasnym, a drzewa zbyt małe i rzadkie. Widzieliśmy posąg Homera naprzeciwko wielkiej kaskady, i postawionego na skale, zapewne na cześć hrabiny, amora, który rozłamuje swój łuk, tudzież brązowe popiersie poety Trembeckiego, który opiewał *Zofiówkę*.

Reparacya kaskady tyle sławniej, wewnątrz której jest świątynia Wenery, pozbawiła nas pięknego widoku, lecz zato zostaliśmy wynagrodzeni

przejażdżką przez kanał podziemny. Kiedyśmy na stawie wsiedli do czółna, woda coraz zaczęła zniżać się pod nami, światło słoneczne znikło i płynęliśmy w ciemności; tylko lampy migotały nad nami, niby gwiazdy, i słychać było, jak wiosłarze zwa-wo rozpluskowali wodę, w której odbijało się światło sklepienia. Jestto prawdziwie czarujące; mimowolnie wspominałyśmy Styx, i zdaje nam się że tyłkoco nie widać Charona i Cerbera. Czółno nasze zaczęła unosić szybko przybywająca woda i wkrótce tylko wspomnienie o cudnej przejażdżce nam pozostało. Przeszliśmy piechotą nad tym samym miejscem, przez któreśmy przepływali; tylko cztery wielkie otwory, każdy z ośmią wiszącymi lampami, wskazywały, że tu coś się kryje.

Z ogrodu pojechaliśmy do oranżeryj. W nich jest bardzo wiele pięknych roślin, lecz najwięcej zastanawia zrobiony z kamienia ogromny taras, z kąd widać w oddaleniu przedmieście, a między zielenią błyszczy w ogrodzie fontanna i pokazuje się nowy pawilon. Miejsce to zupełnie było opuszczonem. Teraz wszystko ożywia się, i wkrótce z tarasu można będzie schodzić po szerokich granitowych schodach.

Dzień był piękny. Pojechaliśmy w dalszą podróż do gubernii chersońskiej, gdzie już zaczyna się stepy. W zimie zawieje śniegowe do takiego stopnia zarzucają tu drogę, że zboczywszy z niej podróżni, szczególnie pieszo idący, łatwo mogą zginąć. Dla ostrożności, w osadach wojskowych rozstawione są kamienne słupy, po kolorze których natychmiast poznać można, w jakim znajdujemy się okręgu. W r. 1839 tyle było tu śniegu, że do Humani jeżdżono o dwunastu koniach, a prócz tego jeszcze konno posyłano ludzi dla udeptania drogi. W r. 1835, już w październiku, było siedmnaście lub ośmnaście stopni mrozu. Lecz to się zdarza bardzo rzadko; owszem po większej części całą zimę chodzą tu bez futer.

D.

## F O K I.

W naukowym układzie naturalistów *foki* (*phocae* łac., *phoques* fr., *Robben* niem.) należą do gromady zwierząt *ssących* (*mammalia*), rzędu *ziemnowodnych* (*amphibia*). Sąto zwierzęta morskie, ciekawe nie tylko z kształtu i budowy ciała, obyczajów i wielu osobliwości życia, ale i ztąd, że są przedmiotem przemysłu i zyskownego handlu ludów nadmorskich. Tysiące okrętów wypływają co rok na najodleglejsze morza przybiegunowe, dla wyszukania fok, celem uzyskania z nich tranu, skór i mięsa, które, szczególnie z młodych, ma być smaczne.

Co do kształtu fok, wystawiają nam ogólne jego podobieństwo ryciny fig. 1, 2 i 3. Sąto massy, jak widzimy, z podniesioną mniej więcej głową; w piersiach najgrubsze, ku tyłowi coraz węższe; przód ciała podpierają krótkimi przednimi nogami, tylne zaś, zwrócone w ogon, służą im razem za stér do kierowania się w pływaniu i do popychania się jak wiosłem, tém doskonałej, że wszystkie cztery są jakby potężne płetwy o pięciu błoną spiętych, hakowatemi pazurami zakończonych palcach. Tułów foki jest bardzo giętki, a ztąd jój pływanie, przy pomocy płetwowatych nóg, jest równie zręczne i zwinne, jak ryby; na lądzie zaś ciężka, bezsilna, ledwo się z boku na bok przewalać i powoli pełzająco poruszać, powłóczyć może, a to tém trudniej, że bywa aż do dwudziestu i więcej stóp długa, gruba i zwykle bardzo tłusta. Foki téż większą część życia przepędzają w wodzie, wychodzą zaś czasami tylko na ląd dla wypoczywania i wygrzania się na słońcu, dla nakarmienia dzieci i t. p.

Żeglarze i podróżnicy morscy, upatrując w różnych gatunkach tych zwierząt jakieś podobieństwo do znanych rodzajów lądowych, nadawali im nazwiska lwów, wołów, krów, cieląt, słoniów i t. d. morskich; bliższe jednak przypatrzenie się kształtowi i charakterystycznym częściom ciała, żadnego do mniemanych braci lądowych nie przedstawia

podobieństwa. Foki, jak się już nadmienilo, mają kształt rybowaty, są zwierzęta ciepłokrwiste, czworonożne, pletwo-nogie. Wszystkie trzy gatunki mają zębów, zwykle bardzo ostrych, przednich w szczęce górnej sześć lub cztery, w dolnej cztery lub dwa rozmaitego kształtu; klów w obu dwóch szczękach po dwa, czyli po jednym z każdej strony, i te są znacznie dłuższe od zębów przednich, ale przy zamknięciu pyska zupełnie wargami bywają pokryte; nareszcie zębów trzonowych, siekących i kolczatych, w górze i u dołu z obudwóch stron miewają po sześć, niekiedy tylko po pięć. Głowa okrągła do psiój nieco podobna. Oczy bardzo wielkie, wypukłe, do bytu i widzenia pod wodą, podobnie jak u ryb, usposobione, dlatego i powieki ich niezupełnie są rozwinięte. Pysk mniej więcej obdłużny, tępo zakończony. Konchy uchowe, czyli uszy zewnętrzne, małe lub wcale ich niema. Ciało sierścią porośnięte, częstokroć do dwudziestu i więcej stóp długie. Na brzuchu cyców dwa lub cztery. Ogon mały, naksztalt skórkowatej klapki, u jednych gatunków na płask czyli poziomo, u drugich na sztorc, jak u ryb, obrócony.

Foki stadami znaczne podróże po morzach odbywają; karmią się rybami, mięczakami i niektórymi roślinami morskimi, pokarm swój zwykle pod wodą pożerając. Zpomiędzy zmysłów wzrok, a szczególnie węch mają najdelikatniejszy, dotykanie bardzo słabe, pewno z przyczyny tłustości, której gruba warstwa ich ciała okrywa, tak iż z jednego samca otrzymują częstokroć łowcy 50 do 60 garncy polskich tranu. Niesłusznie dawniej uważano je za zwierzęta drapieżne, kiedy przeciwnie żyją po kilkaset razem, bardzo zgodnie, wyjąwszy chyba porę godów weselnych, w której, jak u wszystkich innych, najłagodniejszych nawet zwierząt, samce krwawe i zacięte między sobą staczają walki. Wtedyto dopiero używać mają swych potężnych klów, którymi się nawzajem strasznie kaleczą. Samice fok raz tylko na rok rodzą po jednym







a rzadko po dwoje młodych, które wychowują bardzo troskliwie, do czego samce im pomagają. Wzrost młodych postępuje bardzo szybko. Foki mieszkają po wszystkich morzach, zwiedzają wszystkie wyspy i wysepki; najwięcej atoli żyje ich w morzach przybiegunowych. Tamto szukają ich żeglarze angielscy, francuzcy, holenderscy, amerykańscy, nie zważając na trudy i niebezpieczeństwa, jakimi te podróże bywają otaczane.

Foki, jako zwierzęta ciepłokrwiste, oddychają płucami, pomimo to jednak nurzają się często i długo przebywają pod wodą, nim wypłyną na wierzch, dla właściwego sobie oddychania powietrzem. Zdolność tę winny szczególnemu rozrządzeniu natury; najprzód wyraźnie ich nozdrza opatrzone są klapkami, według woli zwierzęcia szczelnie, doskonale zamykać się mogącemi; potem w czasie ich pobytu pod wodą, krążenie krwi zatrzymuje się i część jej, do serca płynąc mająca, zbiera się do oddzielnej na to komórki w wątrobie, a tak oddychanie wtedy przestaje być potrzebnem, i zwierzę, według woli, wstrzymuje je lub nad wodę się wzniosłszy i nozdrza dla przystępu powietrza otworzywszy, znowu mu bieg nadaje.

Zresztą foki są zwierzęta łagodne, pojętne, do oswojenia nader łatwe i mocno przywiązujące się do swego opiekuna. Wielu pewno z czytelników pamięta jeszcze pokazywaną 1818 r. w Warszawie, w pałacu Blanka, która, według zapowiedzi przez gazety i afisze, opowiadała kronikę swego życia: kiedy, przez kogo i gdzie była złowiona, a rzeczywiście leżąc w wannie odpowiadała przerywanym bekami na czynione jej przez właściciela różne zapytania; w końcu śpiewała, towarzysząc sobie na hiszpańskiej gitarze, to jest beczala niebardzo syrenicznie, drapiąc łapą po strunach podanej sobie gitary.

Rzecz dziwna, że foki przez tyle ludzi wszędzie i bezustannie ścigane i zabijane, dotąd jeszcze należycie nie są poznane, dlatego niema porządnej ich klasyfikacji; dotąd liczą ich blisko trzydzieści gatunków.

Zanim opiszemy gatunki, które wyobraża załączona rycina, podamy niektóre szczegóły o łowach jakie na te zwierzęta wyprawiają Anglo-Amerykanie.

Przeznaczone do tych wypraw okręty zdolne są unieść 300 tonów (ton po 2000 f.) ładunku i mocno

są zbudowane; dno okrętów jest podwójne, drewniane; oprócz zapasu żagli, lin, kotwic i t. d., znajduje się na nich potrzebna ilość beczek na tran, sześć zapasowych łodzi o żaglu i o wiosłach, podobnie jak do łowu wielorybów, tudzież mały, czterdzieści tonów ładunku unieść mogący statek, który zabierają na okręt, a spuszcza go na wodę za przybyciem do wysp Malwińskich czyli sokolich, gdzie się polów rozpoczyna. Częstość potrzeba dwóch, nawet trzech lat, żeby uzupełnić ładunek okrętu, składający się w połowie z tranu, w połowie ze skór.

Na zimę, która tam bywa bardzo długa, polów ustaje, gdyż dopiero w pierwszych ciepłych dniach wiosny, gdy śnieg stopnieje i skały ciepłem słońca zostaną ogrzane, zjawiają się znowu foki. Całą zimę w przykrzej nieczynności przepędziwszy, majtkowie ochoczo znowu biorą się do roboty. Ludzie ci czas zimowy, wprawdzie bezrobotny, ale przytém na bardzo oszczędnym wikcie przepędzony, sownie teraz wynagradzają mnóstwem różnego z wiosną wracającego ptastwa, a szczególniej niezmierną ilością jaj żagłościgów, gęsi, kaczek i t. d., z których mają bardzo posilny i zdrowy pokarm. I w dalszym ciągu cieplej pory dosyć jest na wyspach zwierzyny, można nawet przygotować jej niejaki zapas za zimę, do pory polowania na tamtejsze dzikie woły, których solone mięso do następnego przechowują roku. Na przyległej małej wyspie tyle jest dzikich świń, iż jeden okręt amerykański zabrał na raz trzy tysiące ich skór.

Półów fok staje się coraz trudniejszym. Dla nalożenia ich produktami jednego okrętu, potrzeba 200—300 sztuk; ileż ich więc niszczyć muszą tysiące statków na ich zgubę z różnych portów wypływających! Zmniejszać się koniecznie musi liczba tych zwierząt, tém bardziej że, jak mówiliśmy, nie są zbyt mnożne. Z tych przyczyn i wieloryby już rzadkie są na oceanie Atlantyckim; Angliacy też i Amerykanie, z trudnością tylko mogą zbierać dostateczny w swych wyprawach ładunek.

Mówią, że foki opuściły już zupełnie Van Diemen, a przeniosły się na zachodnie brzegi Nowej Holandii. Polawiają je jeszcze na wyspach około Japonii, około brzegów Kalifornii, Kamczatki i na wyspach Kurylskich.

Zdaje się, że jakkolwiek foki wszystkie morza zamieszkują, niektóre przeciw ich gatunki trzymają się pewnych okolic morskich na kuli ziemskiej; dlatego następujące gatunki uszate (otaria) właściwe są morzom położonym ku biegunowi południowemu; podróże morskie kapitana *Ross* lepiej je poznać dały.

*Plaskogłów klapkowaty* (*Arctocephalus lobatus*), fig. 1 samica, fig. 2 młode, u niektórych zwana także *niedźwiedziem morskim*; jedni uważają ją po prostu za gatunek rodzaju fok, drudzy za oddzielny rodzaj w pokrewieństwie zwanym *uszate*, (otaria) czyli *skamięgi*. Ma zębów przednich w górnej szczęce 6, w dolnej 4; z pierwszych cztery środkowe, prawie równo długie, opatrzone są podwójnymi ostrzami. Skóra tylnych nóg jest klapkowato przedłużona, krótsza jednak od palców; koncha ucha czyli ucho zewnętrzne prawie rurkowate; nogi przednie płetwowate, ich podeszwy rynienkowato w podłuż kręgowate; sierść krótka, gęsta, położysta, koloru na głowie, szyi i piersiach oliwiastego. Nogi z przodu w górze brunatnawe, z tyłu jeleniasto-brunatne. Obwódki oczu i pysk żółtawe. Na młodych górne części ciała szare, głowa i wszystkie przednie części białawe. Mieszka w morzach południowych, szczególnie na północno-zachodnich brzegach Australii; nie trzeba jednak uważać tego gatunku za jedno z gatunkiem zamieszkałym na wyspach Kurylskich i na Kamczatce, zwanym *Plaskogłów niedźwiedziasty* (*Arctocephalus ursinus*), który się odznacza dobrą futrem. Gatunek klapkowaty bywa 6—8 stóp długości, samiec zwykle daleko dłuższy. Zresztą obie płcie tego gatunku, tak co do wielkości jak i co do maści, bywają bardzo różne. W czasie wiosennych u nas miesięcy, przypływa on z południa; dosyć wtedy jest tłusty, wylądowuje na brzegi stałego lądu Australii i na otaczające je wyspy, i tam przebywa przez dwa miesiące. W tym czasie kocą się samice, których na jednego samca naliczyć można trzydzieści do czterdziestu sztuk; samiec zapalczywie broni przystępu innym do tej trzody. Taka, razem z młodem, częstokroć do do stu sztuk wynosząca familia, nie łączy się z inną; chociaż kilka a niekiedy kilkanaście ich razem przybyło i każda osobne zajmuje miejsce. Gdy jedna familia przypadkiem wkroczy w granice przestrzeni zajętej już przez drugą, powstają

z tą zwady i zacięte bitwy, do których już wtedy i samice mieszają się; bywa to powszechna wojna o posiadłość. Widok człowieka nie zdaje się sprawiać w nich żadnej obawy, tylko gdy widzą niebezpieczeństwo, gotują się do obrony; wydają wtedy ryki, wcale różne od głosu, którym między sobą zwykle porozumiewają się i nawzajem się przywołują. Kto się napatrzył ich ociężałym, niezgrabnym ruchom i przewalaniem się na lądzie, dziwi się gdy je zobaczy w wodzie zwinne, obronne i pływające tak szybko, iż niczem jest dla nich przelecieć dwumilową przestrzeń w godzinie.

*Foka Mirunga* (*Mirunga* v. *Moeunga elephantina*) nazywana także *trębacz*, fig. 3 samica. Ten jeden tylko gatunek zdolny wytrzymać zaciętą walkę z przeciwnikiem poprzedzającego gatunku; mieszka na australskim oceanie, równie na wschodniej jak i na zachodniej półkuli. Najczęściej napotyka ją między 35° a 55° szerokości geograficznej południowej na wyspach Kerguelen, w południowej Georgii, w Jan Fernandez, w południowej Szkocji, tudzież na wyspach Sokolich. Jak poprzedzające tak i tego gatunku foki są zwierzętami wędrownymi: w miesiącu czerwcu, kiedy następuje zima na półkuli południowej, mirunga dąży ku zwrotnikowi koziorożca, a w miesiącu grudniu, czyli na początku tamtejszej cieplej pory roku, wraca ku mroźnemu południowi. W czasie pierwszej wędrówki, nie tylko na wymienionych wyżej, lecz także na mniejszych po drodze napotykanych wyspach leżą stadami, które patrzącym na nie z przepływających statków ludziom przedstawiają się jak mrowisko. Tamto samice wydają młode, a samce utrzymują koło nich straż, a nawet, jeżeli dać można wiarę opowiadaniom żeglarzy, samce leżą jeden za drugim w szeregu odstrotny morza, i strzegą samic aby nie opuściły swych małych synaczków. Ta niewola matek i ssanie dzieci ciągnąć się ma do dwóch miesięcy; przez ten czas samice znacznie chudną, gdyż niewolno im spuścić się do morza dla poszukania sobie jadła. Wiele nawet umierać ich ma z głodu w tym peryodzie niewoli. Po upłynionym czasie przymuszonego chowu dzieci, całe towarzystwo udaje się na morze, dla ćwiczeń młodego potomstwa, a wtedy znowu samice odkarmiają się i pokrzepiają, aby po tych, przez miesiąc trwających manewrach morskich, były zdolne do powrotu na ląd, i teraz już

są nieczynnymi świadkami zapalczywych bitew, jakie staczają między sobą samce.

Młode bardzo prędko wyrastają; nowonarodzona mirunga bywa 4 stóp długa, ledwo upłynie dwa tygodnie, a już drugie tyle jej przybywa; w trzecim zaś roku już dorasta zupełnej wielkości, to jest bywa 16 do 20 stóp długa. Samice, jak w innych, tak i w tym gatunku, są znacznie mniejsze od samców, rzadko kiedy ich długość 12 stóp przechodzi. Samce mają długi i bardzo ruchawy pysk czyli nos, który znacznie przedłużać, naksztalt trąby słonia, i chrapliwie przez nią oddychać mogą; dlatego nazywają ten gatunek *trębaczem, słoniem morskim* (*M. proboscideus, v. elephantina*). Samice nie mają takiej trąby. Dorosły samiec mirunga daje 60 do 70 gallonów dobrego tranu. Znajdują częstokroć foki tego gatunku stami śpiące po nadbrzeżach, tak iż wysiadłszy na ląd majtkowie muszą je popychać i rzucać na nie kamie-

niami, aby się z drogi usunęły. Przebudzone, podnoszą się na przednie nogi, szeroko pysk otwierają i pokazują szeregi strasznych zębów, ale nigdy nie posuwają się do kłania. Gdy tą niewinną pogrozką nie uda się im przeciwnika odstraszyć, tedy zabierają się niezgrabnie do ucieczki na morze. Młode bardzo łatwo i prędko oswajają się i okazują mocne przywiązanie do swego dozorca; nikomu jednak dotąd nie udało się przywieźć choć jedno z tego gatunku do Europy. Głos samca jest głęboki, dźwięczno-chrapliwy, straszny, bardzo daleko słyszeć się dający; samice i małe wydają tylko przerywane beczenie. Pożywieniem tych fok są po największej części mięczaki wszelkiego rodzaju, a szczególnie atramentnice, tudzież morskie trawy. Szacowny ich tran jest powodem, że wysyłają na ich połów bardzo kosztowne wyprawy z Anglii, północnej Ameryki, tudzież z innych krajów nadmorskich. L.

## PODRÓŻ FANTASTYCZNA BALONEM. (\*)

W miesiącu wrześniu 1851 r. przybyłem do Frankfurtu nad Menem. W przejeździe swoim przez znakomitsze miasta rzeszy niemieckiej, odbyłem z świetnym powodzeniem kilkanaście podróży; lecz dotąd żaden z mieszkańców nie towarzyszył mi w tych wycieczkach. Zdawało się, że ani doświadczenia Green'a i Godard'a, ani tryumfy Poitevin'a nie mogły skłonić rozważnych Germanii synów do puszczenia się w szlaki powietrzne.

Zaledwo jednak rozeszła się po Frankfurcie wieść o blizkiem wzniesieniu się mojem, gdy

(\*) W obecnym czasie, kiedy uwaga całego świata cywilizowanego zwróciła się z żywym zajęciem na żeglugę powietrzną; kiedy ta, skutkiem rozlicznych ulepszeń, zdaje się wchodzić w nowy zupełnie okres użyteczności praktycznej; czytelnicy nasi z przyjemnością zapewne przebiegną wyjęty z jednego z pism francuzkich, fantastyczny opis wzniesienia się balonem. Będzie to zarazem krótki rys dramatyczny historii napowietrznej żeglugi.

trzech znakomitych obywateli tego miasta zgłosiło się do mnie na ochotnika. Za dwa dni mieliśmy się puścić z placu teatru. Zająłem się bez zwłoki przygotowaniem do podróży: balon mój, olbrzymich rozmiarów, był cały z grubiej materyi jedwabnej, powleczonej gutta-perką, a przeto zupełnie nieprzenikliwy; kilka pomniejszych uszkodzeń zostało szybko naprawionych.

Dzień przeznaczony na nasze wzniesienie, był dniem wielkiego jarmarku wrześniowego, który zwykle mnóstwo ludu w Frankfurcie zgromadza. Mój aparat gazowy składał się z szesnastu beczek, ustawionych wkoło ogromnej, hermetycznie zamkniętej kadzi. Wodoród, wywiązany z zetknięcia żelaza, wody i kwasu siarkowego, przechodził z téj kadzi rurą do drugiego rezerwoaru, a ztamtąd do wnętrza balonu, który powoli się nadymał. Przygotowania zajęły cały prawie ranek. O godzinie

jedenastój balon był napelniony, ale tylko w trzech czwartych częściach; jestto ostrożność nieodzowna: w wyższych bowiem warstwach powietrza zmniejsza się ciśnienie zewnętrzne, a tém samym gaz uwięziony w balonie zaczyna większej nabierać sprężystości i mógłby rozsadzić swą powłokę. Ścisły obrachunek podał mi ilość wodorodu potrzebną do wzniesienia nas na jakie tysiąc metrów. (1)

Mieliśmy się puścić o południu. Już niezliczone tłumy otaczały wewnętrzne baryery, niecierpliwie rozpoczęcia widowiska. Cały obszar placu, sąsiednie ulice i dachy przyległych domów, nie mówiąc już o oknach, były jak mrowiem obsiane. W powietrzu najzupełniejsza panowała cisza; przy takiej pogodzie można było wzniesić się prostopadle i spuścić w to samo miejsce.

Zabierałem 300 funtów balastu w workach; czólenko zupełnie okrągłe, mające 4 stopy średnicy a 3 głębokości, przyczepione było do końców sieci konopianej, otaczającej górną część balonu; ustawiłem bussolę, barometr zawiesiłem o kilka stóp nad czólenkiem; ludzie moi tymczasem przystroili kotwicę w kolorowe wstążki... mogliśmy ruszyć.

Pomiędzy osobami które cisnęły się blisko baryer, uważałem młodego człowieka o bladój twarzy i niespokojnych rysach. Widok jego uderzył mnie.... Byłto niezmordowany świadek podróży moich, w kilku już miastach niemieckich. Z natężoną uwagą przypatrywał się wszystkiemu co robiłem, rzucając chciwe niekiedy spojrzenia na balon i na czólenko:

Wybiła dwunasta, a towarzysze moi nie przybywali. Posłałem do ich mieszkań, i dowiedziałem się że jeden z nich wyjechał do Hamburga, drugi do Wiednia, trzeci, największy tchórz widać, aż do Londynu. Biédakom zabrakło odwagi do napowietrznej przejażdżki; a że osoby ich stanowiły niejako część programu dziennego, obawiali się więc aby ich nie porwano gwałtem i wynieśli się z niebezpiecznej widowni. Męstwo ich było w stosunku odwrotnym odległości i szybkości z jaką uciekali.

Zawiedziona tłuszcza zaczęła się niecierpliwić: trzeba było puścić się samemu. Dla przywrócenia równowagi między siłą balonu a ciężarem, zastą-

piłem ciała obywateli frankfurtskich kilkunastą workami piasku i wszedłem do czólenka. Ludzie trzymający balon popuścili nieco liny; zostałem na kilka stóp podniesiony. Najlżejszy powiew nie ożywiał warstw powietrznych, które ciężąc ołowianém brzemieniem, zdawały się nieprzebyte.

— Wszystko gotowe—zawołałem—baczność!

Jeden rzut oka na łódkę i balon przekonał mię, że niczego nie brakowało.

— Baczność!

Ruch jakiś powstał w tłumie; zdawało mi się że widzowie zajęli ogrodzone wnętrze.

— Puścić!

Balon wzniósł się powoli; ale w téj chwili nagle wstrząśnienie przewróciło mnie na wznak. Skorom się podniósł, ujrzałem obok siebie niespodzianego towarzysza, młodzieńca o bladój twarzy.

— Witam pana!—rzekł uprzejmie.

— Jakiem prawem....

— Znajduję się tutaj?... Prawem, które mi nadaje niemożność pańska wyrzucenia mnie za drzwi.

Byłem odurzony! Ciężar nieproszonego gościa zepsuł mi równowagę; patrzyłem na niego z niechęcią i osłupieniem; lecz on, nie zważając na to mówi dalej:

— Ciężar mój panu zawadza? pozwolisz więc....

I nie czekając odpowiedzi, porwał dwa worki balastu i wysypał je w powietrze.

— Panie!—zawołałem rozgniewany—że jesteś tu ze mną, na to niéma rady.... Zostań więc!.... ale kierunek balonu należy do mnie samego!

— Zbytek to łaski! odrzekł nieznajomy; ściskam pana moralnie za rękę, ponieważ mi jój odmawiasz fizycznie. Zróbże teraz co potrzeba będę czekał aż skończysz.

— A potem?....

— Potem pogawędzimy sobie.

Barometr opadł na dwadzieścia sześć cali; byliśmy w wysokości około sześciuset metrów, prosto nad miastem. Zdawało się że stoimy w miejscu; bo kiedy balon wznosi się prostopadle, to nie zdradza jego ruchu. Jakiś tuman drgający powlekał krajobraz pod naszymi stopami; igielka magnesowa okazywała lekkie zboczenie ku południowi.

Spojrzałem na swego towarzysza.... Byłto człowiek około lat trzydziestu, porządnie lecz skromnie ubrany. Ostre zacięcie jego rysów dowodziło nie-

(1) Metr równa się prawie  $3\frac{1}{2}$  stopom miary polskiej.

złomnej energii; zdawał się bardzo muszkularny. Zajęty cudownym widokiem, siedział nieruchomie i starał się rozróżnić przedmioty.

— Niegodziwy tuman!—mruknął po chwili. Milezałem.

— Pan gniewasz się na mnie?... lecz nie mogąc opłacić podróży, cóż mi pozostawało?

— Nikt panu nie każe wysiadać!

— Chcesz mnie ubóść?—rzekł dalej,... ależ to samo przytrafiło się hrabiom Laurencin i Dampierre, gdy się wznosili w Lyonie 15 stycznia 1784 r. Młody negocyant, imieniem Fontaine, wdrapał się na galeryę, o mało nie wyrzuciwszy żeglarzy. Jednakże odbył z niemi podróż i nikomu włos jeden z głowy nie spadł.

— Wytłumaczmy się po powrocie na ziemię!—odpowiedziałem, urażony tonem lekceważenia, jakim do mnie przemawiał.

— Ba! nie myślmy o powrocie!

— Owszem, spuścimy się natychmiast.

— Spuścić?—powtórzył z zadziwieniem, toć lepiej wzniesmy się wyżej!

I nimem mu zdołał przeszkodzić, wyrzucił dwa worki z piaskiem.

— Panie!—rzekłem rozjątrzony.

— Znam zręczność pańską — odparł poważnie nieznajomy; jego świetne podróże niemało narobiły wrzawy. Doświadczenie jest siostrą praktyki, ale je łączy powinowactwo i z teorią, a ja zgłębiałem długo sztukę aeronautyczną. Aż mi się w głowie pomąciło—dodał smutnie, wpadając w nieme odrętwienie.

Balon, po chwilowym wzniesieniu, zatrzymał się. Młodzieniec spojrzął na barometr i rzekł:

— Otóż jesteśmy na ośmset metrów. Ludzie wyglądają jak owady! Zdaje mi się, że z takiej wysokości należałoby zawsze oceniać moralne ich przymioty! Plac teatru w obszerne zamieniony mrowisko! Prosto pod nami jest kościół katedralny; Men zdaje się wstęgą białawą, rozciągniętą między domami, a mosty na nim czarnymi rzucikami.

Powietrze nieco się oziębiło.

— Wszystko gotówem zrobić dla ciebie, mój gospodarzu. Jeżeli ci zimno, to okryję cię własnym odzieniem.

— Dziękuję!

KSIĘGA ŚWIATA. R. II.

— Potrzeba staje się prawem. Podaj mi pan rękę, jesteśmy rodacy. Rozmowa ze mną będzie dla pana nauczającą i wynagrodzi chwilową przykrość którą mu sprawilem.

Usiadłem w milczeniu po przeciwnej stronie czółenka. Młodzieniec wyjął z zanadru dość grubą pakę.

— Posiadam—rzekł—nader ciekawy zbiór rycin i karykatur w przedmiocie aeronautyki. O jak niegodnie wyszydzone ten cudowny wynalazek! Szczęściem nie żyjemy już w czasie kiedy bracia Montgolfier, za pomocą pary wodnej, tworzyli sztuczne obłoki, lub z mokrej słomy i pociętej wełny wydobywali gaz pełen własności elektrycznych.

— Chceszże pan ująć zasługi wynalazcom?—odpowiedziałem. — Nie byłożto dosyć, że drogą doświadczenia udowodnili możność wzniesienia się w powietrze?

— Nieśmiałybym—mówił dalej—targnąć się na sławę pierwszych żeglarzy napowietrznych. W istocie, potrzeba było niezmierniej odwagi, by się powierzyć tym wątłym powłokom, zawierającym rozrzedzone powietrze! Lecz zobaczmy czy sztuka nasza od czasu Blanchard'a zrobiła postęp rzeczywisty.

Nieznajomy pokazał mi rycinę.

— Oto pierwsza podróż balonem przez Pilâtre des Rosiers i markiza d'Arlandes, w cztery miesiące po jego wynalezieniu. Ludwik XVI odmówił im pozwolenia, miano wyprawić dwóch zbrodniarzy skazanych na karę śmierci. Pilâtre des Rosiers, oburzony tą niesłusznoscą, po wielu staraniach otrzymał wreszcie żądane upoważnienie. Nie znano jeszcze wówczas czółenek; podróżni więc stali nieruchomie po obu stronach okrągłej galeryi, otaczającej spód montgolfierki i zawałonej wilgotną słomą. Pod otworem balonu zawieszoną była fajerka z węglami, na którą, przy pomocy długich widel, przyrzucano niekiedy słomy, z niebezpieczeństwem zapalenia maszyny; przez to powietrze silniej się rozgrzewało i balon szedł w górę. Nieustraszeni żeglarze puścili się 21 listopada 1783 r. z ogrodu de la Muette. Statek powietrzny popłynął wspaniale poza Sekwanę, ku kościołowi inwalidów i szkole wojskowej; wtedy, podsyciwszy ogień, wzniesli się wyżej, minęli Bulwary i spuścili się za rogatkami d'Enfer. Dotykając ziemi, balon

ugiął się pod własnym ciężarem i ukrył na chwilę w swych fałdach Pilâtré'a des Rosiers.

— Fatalna wróżba! zawolałem, zajęty opowiadaniem szczegółów, które tak blisko mnie obchodziły.

— Wróżba śmiertelnéj katastrofy, odrzekł smutnie nieznajomy.— Nie doznałżeś pan nigdy podobnéj?

— Nigdy.

— Ależ nieszczęście przychodzi często niespodzianie—wymówił półgłosem, i zamyślony oparł się o łódkę.

Posuwaliśmy się ku południowi; igielka magnetyczna skazywała Frankfurt, który znikał pod naszymi stopami.

— Znosi się na burzę—rzekł młodzieniec.

— Więc spuśćmy się.

— Gdzie zaś! nierównie pewniej unikniemy jęj idąc w górę; i znów wyrzucił dwa worki balastu.

Balon wzniósł się szybko do wysokości 1,200 metrów. Uczułem przejmujące zimno i lekki szum w uszach. Tymczasem promienie słoneczne, rozszerzając swém ciepłem gaz wodorodny, nadawały maszynie coraz większą siłę wstępną. Byłem w osłupieniu.

— Nie obawiaj się pan—rzekł nieznajomy—mamy 3,500 sążni oddychalnego powietrza. Zresztą, co panu wglądać w moją robotę.

Chciałem się podnieść, lecz silna ręka przytrzymała mnie na siedzeniu.

— Nazwisko pańskie!—zawolałem.

— Cóż pana obchodzi moje nazwisko?

— Zapytuję pana o nazwisko! — powtórzyłem.

— Nazywam się Herostrat lub Empedokles, <sup>(1)</sup> do pańskiego wyboru. Czy wiele pracowałeś nad udoskonaleniem swéj sztuki?

Mówił to z lodowatą oziębłością, a ja pytałem sam siebie kto był ten człowiek, z którym, odcięty od świata, przepływałem powietrze.

— Panie — mówił dalej — aeronauci nie odkryli nic nowego od czasu fizyka Charles. W cztery miesiące po złożeniu pierwszego balonu zastosował on klapę do wypuszczania gazu; czólenko, tak dogodne w odbywaniu obrotów; siatkę, która osła-

(1) Herostrat, w celu wślawienia się, spalił świątynię Dyany w Efezie na 356 lat p. Chr.—Empedokles, filozof grecki i badacz przyrody, około 460 p. Chr. o którym mówi podanie, że rzucił się w krater Etny.

nia tkaninę statku powietrznego i zlewa ciężar łódki na całą jego powierzchnię; balast, jako środek wznoszenia się; powłokę z kauczuku, nadającą materji nieprzenikliwość; barometr, do mierzenia wysokości; nareszcie gaz wodorodny, który będąc czternaście razy lżejszym od powietrza, pozwala przeniknąć w najwyższe warstwy atmosfery, bez niebezpieczeństwa pożaru. Pierwszego grudnia 1783 r. trzykroć sto tysięcy widzów zgromadziło się około Tuileryów, a w chwili gdy Charles wzniósł się w powietrze, wojsko prezentowało broń. Kierował balonem tak zręcznie, jak żaden może z tegoczesnych aeronautów, i spuścił się o czternaście mil od Paryża. Król przeznaczył mu pensyi 2,000 liwrów, bo wtenczas zachęcano jeszcze użyteczne wynalazki, a dobrowolne podpisy w jednéj chwili pokryły koszta.

Nieznajomy widocznie miotany był silném wzruszeniem.

— Tak panie, przekonałem się, że pierwsi żeglarze napowietrzni kierowali balonami. Pomijając Blanchard'a, którego twierdzenia mogą być wątpliwe, Guyton-Morveaux w Dijon nadawał swéj maszynie za pomocą wiosel ruch dowolny. Niedawno w Paryżu zegarmistrz Julien odbywał w tym względzie doświadczenia i udało mu się płynąć przeciw wiatrowi w podłużnym statku, do którego odrębny zastosował mechanizm. Petin użył czterech balonów umieszczonych w rzędzie, połączył z niemi żagle i usiłował nadać przyrządowi swojemu ruch ukośny; lecz próby jego zupełnie się powiodły. Ja jeden tylko posiadam niezawodny sposób kierowania balonami, lecz nie znalazłem pomocy! nadaremnie starałem się zebrać podpisy, nadaremnie udawałem się do rządu! nie wysłuchano mnie nigdzie. O, to niegodnie!

Mówiąc to robił gwałtowne poruszenia, tak iż łódka mocno się zachwiała; zaledwom go zdołał uspokoić. Tymczasem balon, porwany bystrym prądem powietrznym, posuwał się ciągle ku południowi. Byliśmy jeszcze w wysokości 1,200 metrów i mniej więcej przyzwyczajeni do otaczającej nas temperatury.

— Otóż Darmstadt, rzekł mój towarzysz; czy widzisz pan zamek książęcy? wszystkie przedmioty drgają w elektryczném świetle; trzeba wprawno oka, aby rozpoznać miejscowość.

— Jesteś pan pewny że to Darmstadt?

— Bez wątpienia, znajdujemy się o sześć mil od Frankfurtu.

— Trzeba więc spuścić się!

— Spuścić, na wieże i dachy?—rzekł nieznajomy szyderczo.

— Nie, ale w pobliżu miasta.

— Duszno tu jakoś—zawołał—idźmy wyżej!

I uchwycił balast. Rzucił się na niego, lecz powalił mnie jedną ręką, drugą wyrzucił kilka worków, a ulżony balon wzniósł się do 1,500 metrów.

— Siadaj pan — rzekł spokojnie — i przypomnij sobie, że Brioschi, Biot i Gay-Lussac przebyli 7,000 metrów dla wykrycia nowych prawd naukowych.

— Trzeba się spuścić—odrzekłem próbując łagodności— pod nami i koło nas zbiera się burza; byłoby nierozsądkiem.....

— Wzniesiem się wyżej niż ona, a będzie nam dobrze. Niemasz nic piękniejszego jak rządzić w przestworze niebios i panować nad temi obłokami, co tumanem swoim przygniatają ziemię. Nie jestże to zaszczytem szybować tak po powietrzu? Najpierwsze osoby dobijały się o tę sławę. Markiz Montalembert z małżonką, hrabina de Podenas i panna de la Garde puścili się z przedmieścia Śgo Antoniego. Książę de Chartres okazał nadzwyczajną zręczność i przytomność umysłu w podróży swojej dnia 15 lipca 1784 r. W Lyonie, hrabowie Laurencin i Dampierre; w Nantes, pan de Luynes; w Bordeaux, d'Arbelet des Granges; we Włoszech, kawaler Andréani; za naszych czasów książę brunświcki wryli swe nazwiska w napowietrznych szlakach. By wyrównać tylu znakomitościom, trzeba iść wyżej od nich. Kto pojmuje nieskończoność, ten pragnie zbliżyć się do niej!

Skutkiem przerzedzenia atmosfery wodoród znacznie się rozszerzył; widziałem jak niezapełniona część balonu stopniowo się nadymała; trzeba było koniecznie otworzyć klapy. Lecz wątpić należało, aby mój towarzysz zostawił mi wolność działania; zaczynałem domyślać się całej okropności mego położenia. Postanowiłem przeto korzystać z uniesienia jego i pociągnąć ukradkiem za sznurek od klapy. Spojrzałem na zegar: była godzina trzy kwadranse na pierwszą; od południa zbliżały się elektryczne chmury, pędzące przeciw wiatrowi.

— Czy niemasz pan żadnej nadziei wykonania swych projektów?— zapytałem z udanym zajęciem

— Żadnej! odpowiedział ponuro nieznajomy. Zniechęconego już zawodami, dobiły mnie karykatury, te uderzenia oślego kopyta. Jestto wieczna i dotkliwa chłosta wszystkich nowatorów. Przypatrz się pan tym paszkwilom z różnych epok, nagromadzonym w mojej tece.

Ująłem sznurek i nachylając się ku rycinom, starałem się ukryć moje poruszenia. Obawiałem się jednak by świst ulatującego gazu nie zwrócił jego uwagi.

— Ileżto dowcipkowań nad chybioną podróżą opata Miolan! miał on się wznieść z panami Janninet i Bredin; lecz w czasie podpalania ogień zajął montgolfierkę, a ciemna tłuszczka rozszarpała ją w kawały. Karykatura przerobiła później ich nazwiska na *Miaulant, Jean Minet i Gredin*.<sup>(1)</sup>

Barometr zaczynał się podnosić, w stronie południowej słychać było oddalone grzmoty.

— Oto druga rycina, mówił dalej, nie uważając mego podejścia. Ogromny balon, unoszący okręt, warowne zamki, zabudowania i t. p. Karykaturzyści nie domyślają się, że fantastyczne ich wybryki staną się kiedyś prawdą. Jestto wielki okręt ze sterem i pomieszczeniem dla sterników; na przodzie jego olbrzymie organy i armaty, dla ostrzeżenia mieszkańców ziemi lub księżyca; w tyle obserwatoryum i szalupa; w środku koszary; na lewo latarnia okrętowa, potem galerye do przechadzki, żagle i żagielki; nakoniec w spodzie kawiarnie i składy żywności. Co za wspaniałe ogłoszenie: „Tym globem można się udać natychmiast do Lewantu, po powrocie zaś rozpoczną się wycieczki do obu biegunów. Wszystkie potrzeby pasażerów z góry są przewidziane. Cena podróży w najodleglejsze strony świata jest 1,000 ludiorów; opłata to bardzo umiarkowana, zważywszy szybkość przeprawy i przyjemności wszelkiego rodzaju, jakie trudno znaleźć na ziemi. I tak jednocześnie w tym samym statku jedni będą mogli tańczyć, drudzy spać; jedni grać w wista lub w szachy, drudzy strzelać jaskółki; ludzie ukształceni mieć będą dowcipne towarzystwo, głupcy znajdą sobie równych. Słowem urozmaicenie zabawy będzie duszą napowietrznych salonów.“ Dowcipnisie wy-

(1) *Miaulant*, miauczący; *minet*, kotek; *gredin*, piesek kudłaty.

stawili na szyderstwo najświetniejszy z wynalazków;..... lecz, gdyby dni moje nie były policzone, ujrzeliby wkrótce urzeczywistnienie tych pomysłów!

Balon zniżał się widocznie, nieznajomy nie spostrzegł tego.

— Przypatrz się pan téj oto grze w balona; zawiera ona całkowitą historią aeronautyki. Grający rzucają kostkami i stosownie do pola na jakim się zatrzymują, płacą lub wygrywają.

— Posiadasz pan nader szacowny zbiór dokumentów o napowietrznej żegludze.

— Jestem niższy chyba od Boga! cała nauka ziemską skupiła się w mojej głowie. Od Phaetona, od Ikara, przejrzałem, zbadalem i pojąłem wszystko! Przemennie aeronautyka wyświadczyłaby ludzkości ogromne przysługi, gdybym pozostał przy życiu! Ale tak nie będzie.

— Dlaczego?

— Bo się nazywam Empedokles-Herostrat!

Zadrzałem. Wprawdzie zbliżaliśmy się do ziemi; lecz niebezpieczeństwo jest to samo na 50 stóp, jak na 5,000 metrów. Burza postępowała.

— Przypomnij pan sobie bitwę pod Fleurus, a przyznasz użyteczność balonów. Coutelle, na rozkaz władzy, urządził kompanią aeronautów. Przy oblężeniu Maubeuge generał Jourdan uznał ten sposób obserwacji tak dogodnym, że po dwa razy na dzień puszczał się z Coutell'em w powietrze. Korrespondencja odbywała się za pomocą białych, czerwonych i żółtych chorągiewek. Gdy Jourdan gotował się zająć Charleroi, Coutelle wzniósł się w pobliżu tego miasta z generałem Morelot i czynił obserwacje przez 7 czy 8 godzin. Austriacy pospieszyli na odsiecz i nastąpiła bitwa pod Fleurus. Generał Jourdan w raporcie swoim mówi wyraźnie o znakomitych korzyściach, jakie odniósł z tych napowietrznych spostrzeżeń. Mimo to wszakże zastosowanie balonów do sztuki wojennej puszczono w niepamięć, a Bonaparte po powrocie z Egiptu zamknął szkołę aeronautyki w Meudon. „W co nam wyrośnie to dziecię nowonarodzone?” zawołał Franklin po odkryciu Montgolfiera; a dziecię zdolne było do życia, tylko je zduszono w pie-luchach!

Nieznajomy oparł czoło na rękę; potem, nie podnosząc głowy, rzekł od niechcienia:

— Mimo zakazu mojego otworzyłeś pan klapy.

Puściłem sznurek.

— Na szczęście posiadamy jeszcze dwieście funtów balastu.

— Jakież pan masz zamiary?—zapytałem prze-rażony.

— Nie przebywałeś pan nigdy morza?

Zbladłem okropnie, dreszcz zimny przebiegł mię po ciele.

— Szkoda, mówił dalej, że poruszamy się w kierunku morza adryatyckiego! To sadzawka tylko. Lecz pewnie wyżej przeciwne napotkamy prądy.

I nie patrząc na mnie, wyrzucił kilka worków.

— Nie przeszkodziłem, dodał, otworzeniu klapy, bo gaz zbyt znacznie rozszerzony byłby rozsądził balon. Lecz odtąd, wara!

Byłem zniweczony.

— Czy znasz pan przeprawę z Dover do Calais, odbytą przez Blanchard'a i Jefferies? Szczegóły jej są wspaniałe! Siódmego stycznia 1785 r. przy wietrze północno-wschodnim, wzniesli się w Dover. Niedokładne obliczenie równowagi zmusiło ich zaraz w początku podróży do wyrzucenia większej części balastu; zatrzymali tylko 30 funtów. Tymczasem przy słabym powiewie wiatru balon posuwał się zwolna ku brzegom Francji. Lecz wątła jego powłoka nie mogła utrzymać gazu; po upływie półtoręj godziny podróżni spostrzegli że się spuszcza. Co robić? rzekł Jefferies. Jesteśmy w trzech czwartych częściach przeprawy, odpowiedział Blanchard, i mało tylko wzniesieni nad powierzchnię morza; wyrzucmy resztę balastu! Balon odzyskał siłę wstępną, lecz po chwili znów zaczął opadać. Aeronauci wyrzucili książki i niektóre narzędzia, i to nie pomogło! Barometr idzie w górę, zawołał Jefferies, jesteśmy zgubieni! wszystko co niepotrzebne precz! Zapasy żywności, wiosła i stér poleciały w morze. Byli już tylko o sto metrów nad wodą; dokoła żadnego statku, żadnej łódki rybackiej. Zrzućmy odzienię! rzekł Blanchard. Nieszczęśliwi rozebrali się, lecz balon ciągle opadał. Przyjacielu, odezwał się Jefferies, miałeś sam odbyć tę podróż; ja ci się narzuciłem, więc powinienem zrobić poświęcenie. Skoczę w morze, a ulżona maszyna podniesie się. Nie, nie! co za myśl okropna! Balon coraz bardziej się wypróżniał; dolna połowa, splaszczona w kształcie spadochronu, parła wodoród o wierzchołek i przyspieszała jego ulatnianie. Bóg z tobą, Blanchardzie! zawołał doktor, i chciał się rzucić z wysoko-



ści; lecz Blanchard wstrzymał go. Mamy jeden jeszcze środek! przetnijmy liny przytrzymujące członko, a sami przyczepmy się do sieci! to będzie skuteczne! Ale patrz..... barometr opada! Wznosimy się!—Wiatr silniej wieje ku brzegom. Podróżni dosięgli Calais, i wysiedli wkrótce w lasku de Guines. Przekonany jestem, dodał nieznajomy, że w podobnej okoliczności nie wahałbyś się pan naśladować przykład doktora Jefferies.

Obłoki pod naszymi stopami w błyszczące rotaczwały się promienie, a balon okolony niemi jak aureolą, ponury cień rzucał na tę masę chmur falujących! Dokoła huczały grzmoty! Był to scena wspaniała, lecz przerażająca.

— Spuśćmy się!—zawolałem.  
— Spuścić, gdy oto słońce nas oczekuje? Precz z balastem! I wyrzucił odrazu przeszło 50 funtów. Zatrzymaliśmy się na 3,000 metrów. Nieznajomy rozprawiał bez przerwy, lecz ja zaledwo go słyszałem; znajdowałem się w stanie zupełnego rozprężenia, gdy on tymczasem zdawał się być w swym żywiole.

— Przy dobrym wietrze pójdziemy daleko; ale chciałbym przedewszystkiem wznieść się jak najwyżej!

— Jesteśmy zgubieni!  
— W Antyllach są prądy powietrzne przebiegające 100 mil na godzinę. W czasie koronacji Napoleona Garnerin puścił balon oświetlony kolorowymi lampami o godzinie jedenastej wieczorem. Wiatr był zachodnio-północny; nazajutrz o świcie mieszkańcy Rzymu widzieli przejście jego nad kościołem św. Piotra. Nam trzeba iść jeszcze dalej!

Nic prawie nie słyszałem śród huk i szumu otaczającej nas burzy. Obłoki rozstały się na chwilę.

— Czy widzisz to miasto, mój gospodarzu?— rzekł nieznajomy.—To Spira, nieinaczéj!

Nie śmiałem wychylić się z łódki; widziałem jednak gromadkę czarniawych punkcików. To była Spira! Ren wydał się wąską tasiemką, a główne trakty wyprężonemi postronkami. Ponad głowami naszymi niebo było ciemno-lazurowe; zdrewniałem z zimna i przerażenia; ptaki oddawna nas opuściły, bo w tém powietrzu przeredzoném lot ich stawał się niepodobnym. Byliśmy sami w niezmierzonej przestrzeni!

— Nie potrzebujesz wiedzieć dokąd cię prowadzę—zawołał nieznajomy, i rzucił bussolę w obłoki.—Piękna to rzecz spadnięcie z takiej wysokości! Wiadomo, że od Pilâtra des Rosiers do porucznika Gale, aeronautyka mało liczy ofiar, a prawie zawsze nieostrożność była powodem nieszczęścia. Pilâtre des Rosiers z Romain'em wznieśli się w Boulogne, 13 czerwca 1785 r. Do napelnionego gazem balonu przyczepili oni montgolfierkę z rozgrzaném powietrzem, zapewne dla oszczędzenia sobie wyrzucania balastu. Był to to samo, co sypać węgle żarzące pod barylękę prochu. Nie rozsądni w wysokości 400 metrów napotkali wiatr przeciwny, który ich pchał ku morzu. Pilâtre przeto, by spuścić się niżej, chciał otworzyć klapy; lecz postronek przyczepił się do balonu i rozdarł jego powłokę. Gaz w oka mgnieniu uleciał, balon spadł na montgolfierkę, zapalił się i porwał z sobą niebaczných żeglarzy! Nieprawdaż, to okropne! dodał nieznajomy, trzäsając mnie za ramię.

— Przez litość, spuśćmy się! to było wszystko com mu zdołał odpowiedzieć. Czarne chmury ścisnęły nas zewsząd; błyskawice gęsto się krzyżowały, a głośnie grzmoty straszliwém echem odwtarzały się w balonie.

— Nudzisz mię!—zawołał. A więc, nie będziesz już wiedział czy się zniżamy, czy wznosimy!

I barometr wyleciał za bussolą, wraz z kilką workami piasku. Stańliśmy może w wysokości 4,000 metrów. Lodowe strzałki czepiały się członka, i zaczął pruszyć śnieg gęsty a drobny, który do kości mnie przenikał. Pod nami tymczasem szalała burza. My byliśmy wyżej od niej.

— Nie bój się—rzekł mój towarzysz—to tylko nieostrożność sprowadza nieszczęście. Olivari, który zginął w Orleans, wzniósł się w papierowej montgolfierce; łódka jego, zawieszona pod fajerką i napelniona materyałami palnemi, zajęła się; Olivari spadł i zabił się. Mosment wzniósł się w Lille na płaskiej tarczy: przez wstrząśnienie balon stracił równowagę; Mosment spadł i zabił się. Papierowy balon Bittorfa w Mannheim zapalił się w powietrzu; Bittorf spadł i zabił się. Harris użył balonu, którego klapy zbyt wielkie nie zamykały się szczelnie; Harris spadł i zabił się. Sadler, wyzuwszy się z balastu podczas długiej podróży, uderzył o szczyty domów Bostonu; Sa-

dlers spadł i zabił się. Coking spuścił się wypukłym, udoskonalonym przez siebie spadochronem; Coking spadł i zabił się. Ja kocham tych nieroztropnych, co padli ofiarą swój odwagi, i zginę jak oni! Wyżej! wyżej!

Wszystkie widziadła tego ciągu nekrologów stanęły mi przed oczyma. Rozrzedzenie powietrza, w połączeniu z działaniem promieni słonecznych, powiększało sprężystość gazu; balon szedł coraz wyżej! Usiłowałem machinalnie otworzyć klapę; lecz nieznajomy przeciął postronek o kilka stóp nad moją głową.

— Czy widziałeś—rzekł do mnie—spadnięcie pani Blanchard? Byłoto w Tivoli, 6 lipca 1819 r. Pani Blanchard, dla oszczędzenia sobie kosztów, użyła niewielkiego balonu, a ztąd zmuszoną była napęłnić go całkowicie. Po wzniesieniu się statku gaz zaczął uchodzić spodem, zostawiając w powietrzu wąską wstęgę wodorodu. Pod czółenkiem zawieszona była na drucie sztuczne ognie, które aeronautka zapalić miała w locie. Doświadczenie to, wielokrotnie już przez nią powtarzane, udawało się zawsze jak najpomyślniej i huczne wywoływało oklaski. Tym razem zabięrała ona jeszcze rodzaj spadochronu otoczonego racami, co zwolna spadając z wysokości, miał tryskać ognistym deszczem. Noc była ciemna; pani Blanchard wzbiła się w przestrzeń. Lecz w chwili gdy chciała zapalić sztuczne ognie, zbliżyła płomień nieostrożnie do owęj smugi wodorodu wlekącej się za balonem. Śledziłem z zajęciem każde jej poruszenie. Nagle zabłysła olśniewająca jasność! Mniemałem że to niespodzianka zręcznej aeronautki. Jasność powiększała się, znikła na chwilę, a potem ogarnęła wierzchołek balonu, buchając ogromnymi kłęby gazowego płomienia. Jaskrawe światło zléwało się na bulwary i całą dzielnicę Montmartre. Wtedy widziałem jak nieszczęśliwa, podniosłszy się, usiłowała stłumić pożar przez zatkanie otworu, a gdy się to nie powiodło, widziałem jak usiadła w łódce, starając się jako tako sobą pokierować. Nie byłoto bowiem spadnięcie, ale raczej spuszczenie się. Balon zmniejszając się stopniowo, pędzony ku Paryżowi wiatrem północno-wschodnim, spadł na ulicy de Provence, gdzie wówczas mnóstwo znajdowało się ogrodów. Aeronautka mogła dosięgnąć w nich ziemi bez żadnego niebezpieczeństwa; lecz fatalnym zrzędzeniem trąciła

o szczyt domu pod nr. 16. Uderzenie nie było silne; nieszczęśliwa wołała ratunku! W tój właśnie chwili zdążyłem podbiec. Widziałem jak łódka, zsuwając się po dachu, natrafiła na kłamrę żelazną i to wstrząśnienie niespodziane wyrzuciło panią Blanchard. Zabiła się tuż przy mnie na bruku!

Złowrózbe te opisy zlodowaciły mnie trwogą. Nieznajomy stał przedemną z obnażoną głową, portarganemi włosami i dzikim wzrokiem. Nie mogłem już wątpić, że towarzyszem moim był—obląkany!

Wyrzucił połowę balastu i wzniesiliśmy się na jakie 7,000 metrów. Krew mi płynęła ustami i nosem.

— Jestże na świecie co większego nad męczenników nauki? potomność uświęca ich imiona! zawołał nieznajomy.

Głos jego ginął w przestworze; ukląkł więc przy mnie i dotykając prawie ucha mojego ustami, mówił dalej:

— Siódmego października 1804 r. czas był burzliwy i dżdżysty. Zapowiedziana jednak podróż Zambeccari'ego nie mogła być odłożoną. Złośliwi lub głupcy i tak już wrzeszczeli; trzeba było puścić się koniecznie, dla uchronienia od szyderstw siebie i nauki. Byłoto w Boulogne. Zambeccari, bez niczyjój pomocy, napęłnił swój balon i wznosił się o północy, w towarzystwie pp. Andréoli i de Grosetti. Nieustraszeni żeglarze czynili obserwacye przy świetle latarki. Dosiąwszy znacznej wysokości, balon przemokły od dęszczy, utracił tyle gazu, że zaczął się szybko spuszczać. Tymczasem wichur zagasił im światło, a statek nieprzestawał zniżać się, w najzupełniejszej pograżony ciemności. Za chwilę podróżni usłyszeli pod sobą jakiś szum oddalony. Światła! zawołał Zambeccari. Andréani rozniecił je wreszcie, po wielu daremnych usiłowaniach. Teraz doszedł ich wyraźnie huk bałwanów i ujrzeni powierzchnię morza. Już łódka zanurzyła się w falach; woda szła im po piersi. Precz z narzędziami i odzieżą! Aeronauci wyrzucili wszystko, a balon ulżony, zerwał się z przerażającą szybkością, która im oddech tamowała. Nieszczęśliwi, pozbywszy się odzieży, cierpieli zimno najdotkliwsze. Po półgodzinném wzniesieniu znów się spuścili w morze, a balon gnany burzą, włókł ich za sobą przez parę godzin. Nadejściem wreszcie zbliżyli się do Pesaro, i już spo-

dziewali się wylądować, gdy wiatr pędzący od brzegu znów na otwarte zepchnął ich morze. Statki rybackie uciekały od nich z przerażeniem, i dopiero o ósmój rano jakiś żeglarz oświecający podpłynął, wziął ich na pokład i wysadził w Ferrada. Był to okropny! Lecz Zambeccari, wypocząwszy zaledwo po trudach tej podróży, odbył drugą. Lampka spirytusowa, którą wziął ze sobą, rozlała się i zajęła jego odzież, tak iż cały w płomieniach i strasznie poparzony, zaledwo dostał się na ziemię. Dwudziestego pierwszego wreszcie września 1812 r. wznosił się w Bolonii; balon przyczepił się do drzewa i zapalił, a Zambeccari spadł i zabił się. I wobec tylu wzniosłych przykładów mogliśmy się wahać? Im wyżej się wzniesiemy, tém śmierć nasza będzie zaszczytniejszą!

Nieznajomy powstał i wyprostował się.

— Nadeszła chwila—rzekł—w której umrzeć nam wypada! Ludzie nas odepchnęli; oni gardzą nami! Trzeba się zemścić!

— Litości!—wyjąknąłem.

— Przetnijmy te liny! niech łódka sama pobuja sobie w powietrzu. Może się zmieni kierunek siły przyciągania i wysiadziemy na słońcu!

Rozpacz ożywiła moje siły wyczerpane. Rzuciłem się na szaleńca i walka straszliwa odbyła się między nami. Lecz zostałem pokonany; a on, przygniatając mnie kolanem, zaczął przecinać liny.

— Jedna!—zawołał.

— Litości! o mój Boże!

— Druga! trzecia!

Jedna tylko lina przytrzymała jeszcze łódkę po stronie gdzie klęczał nieznajomy. Zrobiłem nadludzkie wysilenie, odepchnąłem go i powstałem.

— Cztery!—dokończył nieznajomy.

Łódka przewróciła się na bok. Uchwyciłem się instynktowo lin pozostałych i wdrapałem się na wierzch.

Towarzysz mój znikł w przestworze.

Balon, ulżony ubytkiem jego ciała, wznosił się w mgnieniu oka do niezmierzonej wysokości. Usłyszałem trzask okropny; gaz rozsadził powłokę! Zamknąłem oczy i wpadłem w stan bezprzytomny. Po jakimś czasie wilgotne jakieś ciepło ożywiło mię; byłem wśród obłoków zionących pioruny! Balon kręcił się w pędzie, szalony zawodząc taniec. Ujęty gwałtownym prądem wiatru, z niesłychaną szybkością poruszałem się w kierunku pochyło-poziomym. Nademną krzyżowały się błyskawice.

Po dwugodzinnym może biegu ujrzałem się o 50 metrów nad ziemią. a w odległości pół mili od morza, ku któremu burza gnała mnie niewstrzymanie. Wtém nagle a silne wstrząśnienie strąciło mnie z wierzchu łódki; jakaś lina wpadła mi w ręce, i po niej zsunąłem się na dół. Była to lina kotwicy, która zamiatając pola, zaczepiła się w rozpadlinie. Dotknąwszy nogą ziemi, zemdlałem; a balon mój, odzyskując siłę, zerwał się i znikł ponad morzem.

Skorom się ocknął, znajdowałem się w mieszkaniu obywatela w Haderwick, małym miasteczku Geldryi, o piętnaście mil od Amsterdamu, nad jeziorem Zuyder.

Cudem prawie zostałem ocalony! Ale też podróż moja była ciągiem szalonych wybryków, którym zapobiedz żadną miarą nie zdołałem.

Niechże więc ten opis nie zniechęci moich kolegów, a zabawi i objaśni czytelników, którzy sami szlaków napowietrznych przebywać nie mają sposobności.

## SORRENTO.

Jak piękna kobieta, w gronie nadobnych równiennic, nadzwyczajnym chyba wdziękiem może się odznaczyć, bo tam gdzie wszystko powabne, trudno wynaléć powabniejsze; tak i miejscowość każda zwykle o tyle tylko podziwiana, o ile jest oazą na pustyni, lub przynajmniej o ile przewyższa pięknoscia okoliczne strony. We Włoszech, gdzie natura tak szcudrze dary swoje rozrzuciła, prawdziwie czarujące tylko krajobrazy rozgłosne pozyskać mogą imię.

Okolice Sorrento zjednały sobie sławę, wśród zachwycających nawet pobraży zatoki neapolitańskiej; ale bo téż na nią zasługują. Samo miasto, rozłożone po wąwozach południowo-zachodniego cypla lądowego, śliczny przedstawia widok. Sady drzew pomarańczowych i cytrynowych, winnice, tu i owdzie gaiki myrtowe, przeplatają wdzięcznie bialo-polyskujące wille jak gniazda ptasie przylepione po wzgórzach. Widząc te rzędy domów rozpięte na brzegu, co prostopadle prawie wystrzela na kilkaset stóp wysokości, a pod nim morze myjące jego stopy, rzekłbyś iż miasto przeleło się huku fali i uciekając przed niemi wspięło się na wyżyny. Zbliżając się do Sorrento od strony morza, nie domyślisz się pewnie, że poza tą ścianą czarną i nagą tak rozkoszne znajdziesz ustronie; a jeśli przybywasz z Neapolu, to przeciwieństwo wrzawy ruchliwej stolicy z uroczystą i spokojną powagą téj dziewiczej przyrody, nie tkniętej prawie jeszcze stopą cywilizacji europejskiej, natychmiast cię uderzy; jakies błogie uczucie bezpieczeństwa, swobody, przejmie twoje serce, jeżeli tylko czuć jesteś zdolny, i mimo twój woli prawie myśl dziękczynienia, myśl chwalby wzniesie się ku niebu.

Sorrento, dość porządnie zbudowane, liczy do 5,000 mieszkańców, zajmujących się po większej części uprawą wina, jedwabnictwem i rybołówstwem. Wprawdzie domy jego zbyt wysokie, ulice zbyt ciasne, lecz niewiele to stanowi w mia-

steczku, gdzie spotkanie się dwóch powozów osobliwszym jest wypadkiem. Przed każdym wniknięciem, i na każdym dziedzińcu znajdziesz cieniste drzewa, przy każdym mieszkaniu ogród. Środkiem miasta bieży głęboka rozpadlina, której boki, pokryte bluszczem, krzewami i polnemi kwiaty, połączone są mostem. Widok z niego na morze, na oddalony Neapol i wiecznie dymiący wierzchołek Wezuwiusza nieopisanéj jest wspanialosci.

Część przylądka sorrentyńskiego, niezajęta przez samo miasto, zowie się *Plano di Sorrento*. Jestto rozkoszna dolina, zasiana domkami wiejskimi, urządzonemi w większej części na letnie mieszkania. Lecz tu, w zimowej nawet porze, ciepło zawsze i sucho, w lecie zaś upały, choć wielkie, łagodzone są świeżym powiewem od morza. Nie znają tam tego skwaru co u nas oddech w piersiach tamuje, co wrzący ołów zdaje się lać na głowy. Lekkość powietrza czuć się daje nawet w upale; rozpręga wprawdzie ciało i wszystkie siły żywotne, ale w lubieźnym jego tchnieniu nie spostrzega się znużenia.

Z Sorrento do Castellammare jedzie się dość dobrze utrzymaną drogą bitą; ztamtąd prowadzi kolej żelazna przez Neapol, Acerrę i Casertę do Capui, sławnej z powabów, których miękczącemu wpływowi nie zdołali się oprzeć wojownicy kartagińscy. Nieco na zachód od przylądka leży skalista wyspa Capri, jak się zdaje przez wybuch wulkaniczny od niego oderwana. Miejsce to w starożytności było czasową siedzibą cesarza Tyberjusza, którego pałac w malowniczych przechował się ruinach. Z najwyższego punktu téj wyspy, ze szczytu góry Salaro, szeroki i pyszny krajobraz rozpościera się przed twym wzrokiem; widzisz nie tylko zatokę neapolitańską, ze wszystkimi jej wyspami, lecz cały prawie brzeg zachodni półwyspu italskiego, a nawet przy jasném niebie i dobrém oku, dostrzeżesz na prawo Korsykę i Sardinia, na lewo Sycylią ze szczytem Etny.



Sorrento.



Most Ś. Anioła w Rzymie.



Lecz największą na Capri osobliwością jest tak zwana *grota lazurowa*. Pani Ł. z G. R. w zajmującym swém dziele: „W Alpach i za Alpami“, wyraża się o tém zjawisku cudowném, jak następuje: „Żadne porównanie szkodzić jój nie może, bo świat nic do porównania z nią nie posiada; żadne wspomnienie, bo nic podobnego w naturze się nie widziało. Sąto czary neapolitańskiemu wyłącznie znane niebu, i jako czary każdy podziwiać je musi, nie rozumiejąc ich wcale i nie pytając czemu. Zmęczonym wycieczką w góry, pilno nam było do lazurowej zajrzeć pieczary, choćby już tylko dla ochłodzenia się jój cieniem. Znaleźliśmy dla nas przyrządzone łódki, tak małe, tak ciasne, jakby dla dzieci.

Po dwoje kazano nam na samém dnie się umieścić i dobrze uchylić głowę, by się przy wejściu nie roztrąciła o skałę. Ale zato gdyśmy się w pieczarę wśliznęli, gdy nam pozwolono podnieść się, doznaliśmy wrażenia, które przeszło wszelkie spodziewanie nasze. Patrzyliśmy na dół, w górę i na obie strony, a wszystko lazurowym zdawało się przesiąkniętym płynem, wszystko najpiękniejszym powlekało się szafirem. Ręce nasze lazurowe daremnie lazurową chustką usiłowały zetrzeć tę ogólną barwę, daremnie je w lazurowej maczaliśmy wodzie, nic nie pomagało: trzeba było przystać na tę chwilową metamorfozę, na tę raczej w szafir petryfikacją. Rozglądając się po grocie zdawało mi się w pierwszej omamienia chwili, że świat się przewrócił, że płyniemy w obłokach, a ziemia nad głowami nam cięży, bo całe oświetlenie pada tam z dołu.“

Sorrento jest miejscem rodzinném kilku znakomitych ludzi, jak Pasides, Rota i Torquato Tasso. Dom ostatniego stał się przedmiotem ciekawości szczególnie dla angielskich turystów, którzy umyślnie tu przybywają dla obejrzenia go lub zamieszkania w nim na krótko; dopiąwszy zaś celu, zapisują dzień i godzinę w swym dzienniku i natychmiast wyjeżdżają. Stoi on na wzniesieniu, które woda coraz bardziej podmywa, wyłobijając sobie w niem legowiska. Chcąc zwiedzić dom Tassa, trzeba wpląć pod jego fundamenta, a dopiero ztamtąd po kamiennych schodkach wdrapać się w jego wnętrze.

Torquato Tasso urodził się w r. 1544 z ojca Bernarda, także znakomitego poety. Zdolności

jego umysłowe szybko się rozwijały: w siedemnastym roku życia napisał poemat epiczny „Rinaldo“, przyjęty z oklaskiem w całych Włoszech. Odtąd Tasso poświęcił się wyłącznie filozofii i literaturze, i podobno wtenczas już powziął myśl opisania wierszem epicznym zdobycia Jerozolimy pod dowództwem Gotfryda de Bouillon. W roku 1565 powołany został na dwór księcia Alfonsa d'Este do Ferrary. Tamto, wzięła początek jego miłość platoniczna dla Eleonory, siostry księcia; lecz zarazem życie dworskie, pełne intryg, przymusu i zawiści, w połączeniu z przykrościami materialnymi, rzuciło w jego umysł zaród melancholii. Ukończywszy swój poemat „Goffredo“, udał się w r. 1575 do Rzymu, dla poddania go pod dojrzałe ocenienie, a po powrocie do Ferrary, zajął się jego wydaniem. Lecz skolatany prawdziwemi i urojonemi przeciwnościami, nie mógł się zgodzić z obłudną etykietą dworu. Po dwakroć opuścił potajemnie Ferrarę; po dwakroć żądza zaszczytów, czy tęsknota miłosna skłoniła go do powrotu. Za drugim powrotem przyjęto go z pogardą i urąganiem; ani książę ani księżniczki widzieć go nie chciały. Wtedy obrażona duma poety wybuchła w głośnie przeciw domowi ferrarskiemu obelgi, tak iż Alfons kazał go zamknąć jako obłąkanego w szpitalu św. Anny.

To siedmioletnie przeszło więzienie stargało jego siły duchowe i fizyczne i zamroczyło umysł, który w rzadkich tylko chwilach twórczość swoją odzyskiwał, a wtenczas zbolące serce poety wylewało się w smętnych pieniach lub filozoficznych rozpatrywaniach. Nowym dla niego ciosem była wiadomość, że poemat „Gerusalemme“, okropnie pokaleczony i pełen błędów drukarskich, wyszedł w Wenecyi. Po pierwszym tém wydaniu, w różnych miejscach nastąpiło pięć innych; nakładcy bogacili się, a wieszcz tymczasem, chory i zaniedbany, niknął w samotni więzienia. W roku 1585, Leonard Salviati ogłosił imieniem akademii *della crusca* rozbiór „Jerozolimy“ jego. Porównywając ją „z Orlandem“ Aryosta, oddał pierwszeństwo ostatniemu utworowi i zawyrokował, iż Tasso nie zasługuje na imię poety.

Staraniom licznych i potężnych przyjaciół udało się wreszcie pozyskać jego uwolnienie. Tasso opuścił Ferrarę i tułał się przez lat dziewięć po Włoszech, bawiąc najdłużej w Neapolu u jednego

z swych przyjaciół, w którego willi, nad brzegiem morza, zajął się przerobieniem „Jerozolimy wyzwolonej.“ W roku 1594 papież Klemens VIII przeznaczył mu zaszczyt publicznego uwieńczenia na Kapitolu. Poeta przybył do Rzymu w listopadzie, lecz uroczystość odłożono do wiosny. Tymczasem przez zimę siły jego coraz bardziej upadały; czując blizki swój koniec, kazał się przenieść do klasztoru ś. Onufrego, gdzie umarł 25 kwietnia 1595 r. W ośm lat potem kardynał Bevilacqua w kościele tego klasztoru kazał mu wystawić pomnik, ten sam który dziś jeszcze pokazują podróżnym.

## ZAMEK I MOST Ś. ANIOŁA W RZYMIE.

Niepodobna zbliżyć się do Rzymu bez wzruszenia, bez zapalu, zwłaszcza kto go ogląda po raz pierwszy. W tych murach klassycznych porzucane są karty dziejowe narodów całego świata; imię tego grodu olbrzymiej sławy już w latach pierwszej nauki było nam powtarzane i zapaliło młodocianą wyobraźnię; obraz jego oddawna stawał nam przed okiem, a teraz dotykamy go w rzeczywistości. Jest coś niezmiernie uroczystego w uczuciu jakiego doznajemy stawiając pierwsze kroki wśród tych pomników, oddawna z opisu nam znanych. Niektórzy podróżnicy poprzestają na oglądaniu samych pamiątek historycznych; inni starają się wyczytać myśl ręką czasu na nich wyrytą, i ci tylko prawdziwą postępują drogą. „Nie podziwiam w tobie, mówi Tasso o Rzymie, ani kolumn, ani łuków tryumfalnych, lecz szukam śladu krwi za Chrystusa rozlaną, szukam kości męczenników rozrzuconych po twój ziemi poświęconej.“ I w istocie, w tej myśli jedynie jest wielkość i znaczenie stolicy dawnego świata. Rzym chrześcijański, tylokrotnie za wiarę prześladowany lub ręką barbarzyńców burzony, a jednak żyjący

Pod względem historycznym Sorrento pamiętne jest zwycięstwem odniesionem w r. 1283 przez Lauria, admirała Piotra arragońskiego, nad księciem Salerno, synem króla Karola, które pierwszym z nich zapewniło posiadanie Sycylii. Później miasto to było miejscem schronienia dwóch malarzy: Dominichina i Guido Reni, zmuszonych ująć z Neapolu przed sztyletem zazdrosnych współzawodników. Nad brzegiem jego zakończył również życie w ucieczce Michał Caravaggio a Polidori Caravaggio padł przeszyty skrytobójczym pchnięciem, gdy właśnie wstępował w czółno, w zamiarze powrócenia do Neapolu. L. J.

i zwycięzki, najdotykalszemu jest godłem wiekowania idei. Na sklepieniu tych świątyń, wzniesionych obok szczątków społeczeństwa, które tę ziemię dzierżyło jak folwark, a jej mieszkańców jak trzodę bydła, w tajemniczym napisie jaśnieje przyrzeczenie, że to co jest, nie upadnie. Te zabytki tu i owdzie porzucane, te części kolumn rozstawione po ulicach zamiast słupków, owe zwaliska pałaców cesarskich rozorane plugiem wieśniaka, trofea poganizmu, pod władzą dziś chrześcijaństwa, wygłaszają zbawienną naukę o znikomości wszech rzeczy; lecz zarazem przekonują, że jeśli krótkie jest życie dla dzieł próżności i rozkoszy materialnej, to nie przemija ono nigdy dla ducha, dla wzniosłych czynów i myśli. Dla chrześcianina, którego wiara wystawia żywot doczesny jako czas próby, jako przejście do żywota wiecznego, te głązy stają się zachętą do wytrwania w nocy i ucziwej pracy. Biada temu kto nie rozumie ich głosu!

Przebiegając to miasto wspomnień, zasypane gruzami przeszłości, gdzie dzieła sztuki tak wymowne dają świadectwo, gdzie tylu męczenników



spełniło czyny poświęcenia, powszednie życia sprawy wydają się tak nędzne i blahe, iż trudno pojąć jakim one sposobem stały się celem naszych zabiegów. Namiętność uspokaja się, żądza usypia; pojmujemy, że jest coś wyższego nad korzyści materialne, a duch nasz w części uchyla zasłonę przeznaczenia.

Pomiędzy mnóstwem wspaniałych pomników Rzymu niepoślednie zajmuje miejsce zamek św. Anioła, niegdyś grobowiec, dziś więzienie, którego ogrom obok piękności wślawił imię cesarza, a razem architekta, który go wystawił. Imperator Adryan, nasyciwszy się rozkoszami tego świata, zapragnął wystawić mauzoleum dla siebie i dla przyszłych władców wszechpaństwa rzymskiego. Wzniesione na przeciwnym brzegu Tybru przez Augusta groby, wydały mu się nieodpowiednie wielkości przeznaczenia swego: rozkazał więc, i stanął gmach potężny, co dziwne w biegu wieków przeszedłszy koleje, do naszych przechował się czasów.

W czworobocznej podstawie jego grobowe mieściły się komnaty, wyższa część, tworząca okrąg kolosalny, jakby zarodek wieży, przeznaczoną była, jak się zdaje, na świątynię. Na samym szczycie olbrzymia wznosiła się szyszka, którą dziś widzieć można w ogrodzie watykańskim. Ściany pomnika, pokryte najpiękniejszym marmurem z Paros, ozdobione były dokoła kolumnami, między którymi stały posągi. Kolumny te, z jednej wyciosane bryły, użyte później zostały do frontonu bazyliki św. Pawła i dopiero w czasie jej pożaru rozsypały się w gruzy. W czasie oblężenia Rzymu przez Gotów, mauzoleum obrócone na warownię, wandalskiemu uległo barbarzyństwu. Obrońcy bowiem, w braku pocisków, strącali z jego szczytu na głowy oblegających posągi, arcydzieła sztuki, o ile wnosić można z przechowanych szczątków. Następnie, gdy zupełną zrobiono z niego cytadelę, kopiąc fosy znaleziono ich ulamki i parę całkowitych posągów, między niemi sławnego fauna, zdołującego teraz muzeum bawarskie.

Fortyfikacye tego zamku wykonał Bonifacy IX papież, gdy po powrocie swym do Rzymu, w czasie jubileuszu r. 1400, otrzymał od ludu znakomitą sumę pieniężną. Odtąd dawne mauzoleum, w czasie niespokojności lub wojny, służy papie-

żom za schronienie. Alexander VI Borgia kazał je połączyć z Watykanem podziemnym przejściem, którym, w razie niebezpieczeństwa, papież i dwór jego dostać się mogą do twierdzy, nie będąc przez nikogo spostrzeżeni. Urban VIII wziął się do jego przyozdobienia, i wtedyto, zamiast zrzuconej z wierzchołka szyszki, postawiono olbrzymi posąg archanioła Michała, z podniesionym mieczem, dzieło Flamandczyka Wenschefeld, zamek zaś zamiast *Mole Adriano*, zaczęto nazywać *Castello di San Angelo*.

Klemens VII oblężony tu był przez wojska cesarskie; w obronie zaś Jego Świątobliwości słynny rzeźbiarz Benvenuto Cellini kierował artylerją.

Z platformy, na której stoi archanioł, zachwycający jest widok na Rzym i okolice jego. Ztąd także w drugi dzień święta Wielkiéjnocy i w uroczystość ś. Piotra i Pawła, jaśnieje głośny żyrandol ognisty, pomysłu Michała Anioła, a ulepszony przez Bernini'ego, któremu nie jeszcze na świecie w tym rodzaju nie dorównało. Ze wszystkich uroczystości Rzymu, pod względem przynajmniej zmysłowym, ta niezawodnie jest najwspanialsza.

Stojąc nad brzegiem Tybru, na placu *Arco di Palma*, z kądem właśnie zdjęto załączoną rycinę, widok tych sztucznych ogni, co w tysiącnych zmianach odrazu cały zamek różno-kolorowymi otaczają pajakami, prawdziwie jest zachwycającym.

W starożytności siedm mostów łączyło mauzoleum Adryana z Janiculum i górą watykańską, z których jeden tylko, dzisiejszy most św. Anioła, istnieje dotąd, lubo w odmiennéj nieco postaci. W roku 1450, gdy jubileusz nieprzeliczone zgromadził na nim tłumy, most ten zawalił się, przy czém mnóstwo ludzi utraciło życie. Papież Mikołaj kazał wznieść nowe łuki na dawnych filarach; później Klemens IX ozdobił go poręczami i dzieściami kolosalnymi postaciami aniołów, niosącemi narzędzia męki Pańskiej, dłuta Bernini'ego. Jeden z tych posągów uważają za dzieło Michała Anioła Buonarotti.

Most ten, najpiękniejszy w Rzymie, z jednej strony daje widok cudowny na kościół św. Piotra, z drugiej na zamek św. Anioła, który, w rażącym przeciwieństwie z dawniejszym przeznaczeniem swo-

jém, obecnie zalany jest żołnierstwem. W pośmiertnym przybytku, gdzie grobowy panować miał spokój, wojenna teraz szerzy się wrzawa, a sklepienia podziemne, co miały przyjąć zwłoki

światowładców, zapełnione dziś przez zbrodniarzy i przestępców różnego rodzaju, odbijają brzęk kajdan i jęki więźniów.

L. J.

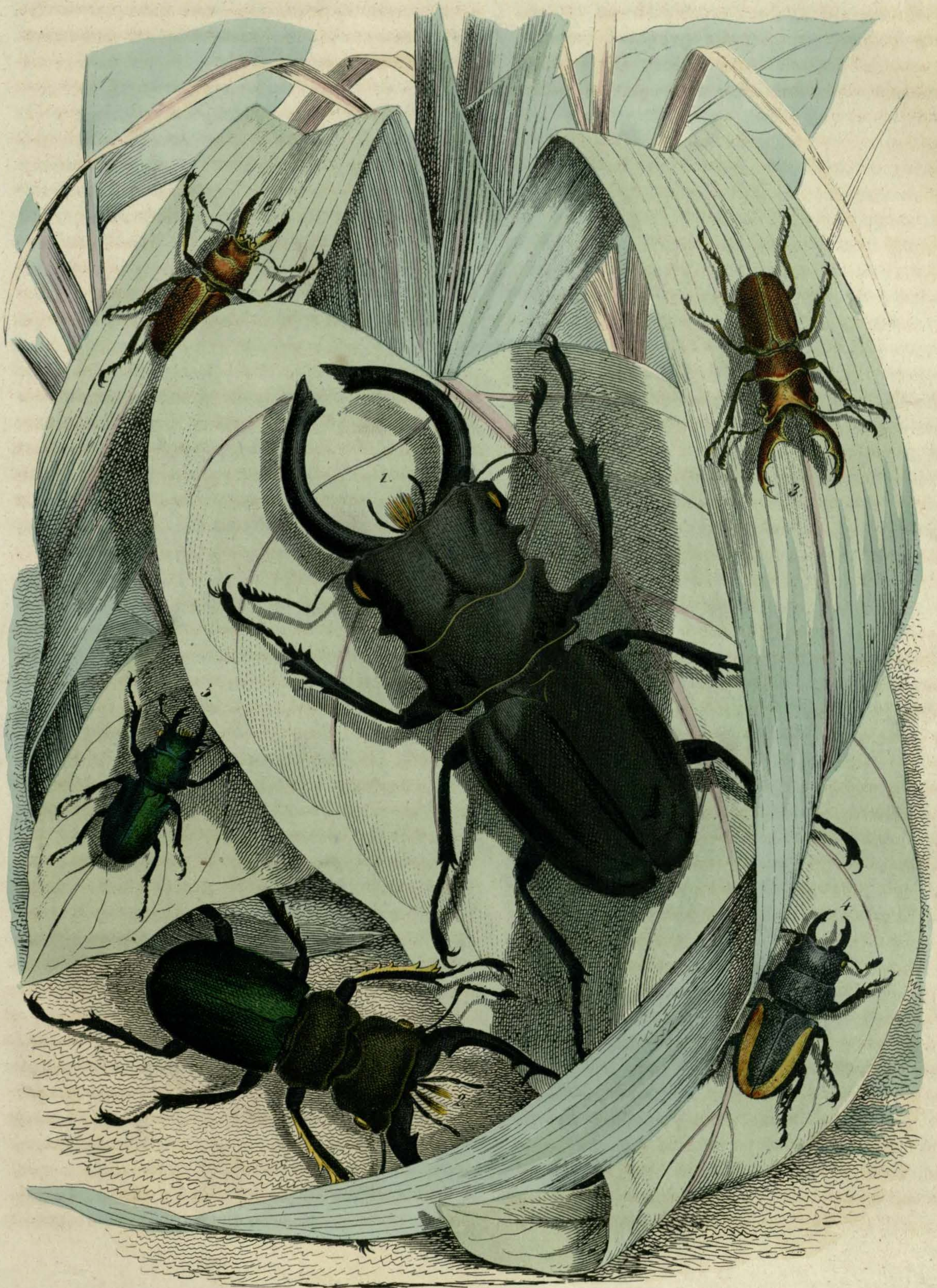
## J E L O N K I.

*Jelonki*, a w dziele ks. Krzysztofa Kluka *ogniczki* (lucani), stanowią najokazalszy rodzaj w rzędzie owadów pochwoskrzydłych czyli chrząszczowatych (coleoptera); należą do oddziału takich, co mają nogi złożone z pięciu członków, a do rodziny chrząszczów, u których pałeczkowate końce różków składają się jakby z delikatnych listków. Cechy tych owadów są: różki składające się z dziesięciu członków, z których pierwszy jest tak długi jak wszystkie inne razem wzięte; nie ma wyraźnej żuwaczki; macki żuchwowe o trzech członkach, z których środkowy od innych krótszy; języczek zakończony dwiema wązkiemi klapkami jedwabistemi; macki szczękowe o czterech członkach, z których drugi bardzo duży.

Jelonki oddawna już były znane i pierwsze między chrząszczowatemi owadami, nie samych tylko naturalistów, ale i każdego uwagę na siebie zwróciły. Bo też prawie wszystkie ten rodzaj składające gatunki, swoją wielkością są okazałe; głowa samca, dźwigać mająca potężne szczęki, jest bardzo wielka; zwykle bywa daleko szersza niż tułów, czworoboczna, ukośna, zakończona rogami mniej więcej wysokiemi; szczęki długością prawie równają się głowie i tułowowi; są mniej więcej łuskowate, na odśrodkowej stronie u różnych gatunków różnie ząbkowane lub sękate; gorset czyli tułów czworoboczny, a tylna część ciała czyli odwłok, prawie tak samo szeroki, owalowaty; piszczele nóg ząbkowane po bokach, a stopy prawie równe im długością; cztery pierwsze ich członki są niemal równe, zaś piąty, wraz z silnemi pazurami, jest tak długi jak cztery tamte razem; mię-

dzy pazurami obdłużna przysadka, zakończona dwoma rozłożystemi włóknami. Wszystkie te części składu ciała jelonków bardzo wyraźnie gołym okiem widzieć i rozpoznać można; dlatego i rozróżnienie ich gatunków łatwiejsze jest, niż innych tego rzędu owadów. Wszystkie wielkością celują nad inne chrząszcze. Napotkać je można w lasach, a szczególnie liściowych, w różnych krajach po całej kuli ziemskiej, gdzie pęzelkowatemi dolnemi żuwaczkami soki młodych gałęzi drzew ściągają, zraniwszy je wprzód swemi długimi górnymi szczękami rogami. Samica różni się od samca krótkiemi szczękami górnymi, które nietyle za głowę wystając, trochę od niej są krótsze.

Jelonki, jak inne tego rzędu owady, przechodzą trzy przemiany nim się staną doskonałym owadem. Będąc gąsienicą, żyją w starych drzewach, które na próchno toczą; mając się przemienić gąsienica, w miejscu gdzie żyła, robi sobie pewny rodzaj jakby łupiny z drobnych okruchów drzewnych i w tej komórce przemienia się w poczwarkę, z której dopiero wychodzi w postaci doskonałego jelonka. Dojrzałym już teraz będąc owadem, samce szukają towarzystwa samic; dlatego np. nasz jelonek łazi na parę łokci nad ziemią, po pniach starych dębów, mianowicie stojących nad polami, na wstępie do lasu, lub też, w czasie pogodnych wieczorów lipcowych, brzęczy z szumem daleko słysząc się dającym; ten bowiem gatunek w nocy tylko lata, ciało wtedy prawie pionowo utrzymując, a dzień przepędza ukryty zawsze w cieniu. W stanie doskonałym, jak większa część owadów, żywiąc się sokiem młodocianych gałęzi drzew,





mało im szkodzi, lecz w stanie gąsienicy, gdy się bardzo rozmnoży, może sprawić znaczne zniszczenia, mianowicie w drzewach owocowych.

Rodzaj jelonka, dosyć liczny w gatunki, ma kilku w Europie reprezentantów. Najpowszechniejsze z nich u nas gatunki są:

*Lucanus cervus* i *L. parallelepipedus*, mianowicie pierwszy, największym jest nietylko pomiędzy naszymi chrząszczami, ale i w ogólności między owadami; wszakże, jak bardzo gęsto napotykalismy go na powieślu w lasach gubernii lubelskiej, tak nie zdarzyło się nam widzieć go w gubernii augustowskiej. Samiec mierzy swą długością, nie licząc w to potężnych szczęk, od ośmnastu linii do dwóch cali. Samica nie przedstawia nic osobliwego; głowa jej mała, szczęki krótkie; jest czarna, a głowa i pokrywy skrzydłowe ciemno-kasztanowate. Drugi gatunek ledwo od dziesięciu linii do jednego cala bywa długi; głowa i szczęki prawie takież u samicy jak u samca, szczęki długością nie przechodzą długości głowy, i ku środ-

kowi tylko uzbrojone są jednym dużym zębem. Wystawione na załączonej tablicy gatunki wszystkie są azyatyckie.

*L. Dux* (fig. 1) bywa 4 1/4 cala długi, cały czarny, wielkością z porządku następuje po naszym największym gatunku; znajdują go na wyspach manilskich. Fig. 2. *L. mearesii*, ciemno-grynszpanowozielony, lśniący, do 3 cali długi, jest mieszkańcem Indyj Wschodnich. Fig. 3. *L. strigiceps*, koloru brunatno-kasztanowatego, metalicznie połyskowy, 1 1/2 cala długi, pospolitym jest w górach himalajskich. Fig. 4. *L. inquinatus*, wielkości prawie takiej jak poprzedzający, czarny, z szeroką ciemno-pomarańczowo-czerwoną pręgą na pokrywach skrzydłowych; powszechny w Indjach Wschodnich. Fig. 5. *L. platycephalus* czarno-zielony, metalicznie błyszczący, ledwo na cal długi; żyje na górach Assam i Kasyah. Fig. 6. *L. multidentatus*, kasztanowaty, wszędzie drobno-kropkowany; powszechny jest na stałym lądzie Indyj Wschodnich.

L.

## TRZODY I ZŁOTO AUSTRALSKIE.

Nowemi dary fortuna obsypała szczęśliwą Anglię: Indye jeszcze niewyczerpane; czterdzieści milionów zażądane od Nisana wypłacone będą niezadługo przez tego ostatniego potomka Mongołów, inaczej musiałby oddać wszystkie dzierżawy swoje nieprzeblaganą wierzytelce, jak bankrut zwyczajny, — aż tu Anglicy dowiadują się nagle, że w gruncie jednej ich osady, mieszczą się na wierzchu złotodajne pokłady napływowe, że drogi kruszec umyślnie tam dla nich nagromadzonym jest od wieków, w tych potopowych wydrążeniach, gdzie szkielety i kości diprotodum i nototherium ukazują się wyobraźni jako szczątki olbrzymich potworów, którym powierzona była straż nad temi bajecznemi skarbami. Codzień nowe wiadomości przychodzą do dzienników angielskich o nowój Kali-

fornii, wiele w ogólności podobieństwa mającej z geologicznym bogactwem gór uralskich. Nim zebrane będą bliższe w tym przedmiocie dokumenta, podajemy tymczasowo niektóre uwagi z różnych dzienników powybierane.

Niejaki W. B. Clarke, mieniący się australskim kolonistą, obecnie w Anglii bawiący, utrzymuje, że on pierwszy odkrył złoto w Australii i wskazał jego pokłady. List jego do dzienników zawiera rzeczywiście nieocenione podania o położeniu warstw złotodajnych, i nowe wskazówki, któreby warto sprawdzić w praktyce. Ale zwrócić także trzeba uwagę na pierwsze następstwa jakie odkrycie złota pociągnęło za sobą, i zbadać skutki jego na obecny kapitał całej kolonii, to jest na kapitał w trzodach, których los oddziałać najprzód

musi na ważną gałęź rękodzielnictwa macierzystego kraju, w chwili właśnie, kiedy inna gałęź, przemysł bawełniany, wielce już cierpi dla braku surowego materiału.

W katalogu wystawy londyńskiej, produkta Australii są prawie wyłącznie kopalniami, jak niedokwasy i węglany miedzi, miedź rodzima, malachity i próbki złota, zebranego częścią po rzekach, częścią w gniazdach geodezycznych. Pomimo że wełna australiska nie ukazała się w kryształowym pałacu, wszystkim wiadomo że fabrykanci angielscy najcieńszą wełnę zakupują z Australii. Trzody owiec były do tej pory głównym bogactwem kolonistów tamecznych, którzy je rozmnożyli na olbrzymią stopę, wyprzedzając niesłychanie słynne *mesta* hiszpańskie. Owce w Australii dzielą się na trzody od czterechset do tysiąca sztuk; każda trzoda oddana jest jednemu pasterzowi; dwie takie trzody prowadzone zwykle bywają razem do jednej stacji, gdzie przebywa trzeci sługa, zajmujący się rozdziałem owiec, przenoszeniem żłobów i drabek ruchomej owczarni na inne miejsca, i czuwaniem nad nimi w nocy. Ponieważ w kraju tym pełno jest psów dzikich, szkodliwszych jeszcze od naszych wilków, zawsze ktoś w nocy musi być na straży; jednakowoż trzech ludzi wystarcza do obrony tysiąca dwustu owiec. Owoż, w 1848 r. liczba owiec w Nowej Wallii południowej i w Port-Philipie przechodziła 11 milionów sześćkroć sto tysięcy sztuk, nie licząc trzód w południowej Australii czyli kraju Van Diemen.

Można więc śmiało powiedzieć, że w ciągu trzech lat od tego czasu upłynionych, liczba owiec wzrosła przynajmniej do czternastu milionów. Ogromny ten kapitał w owcach istnieje i utrzymuje się tylko przez nieustanne starania i czujność strużów, będących znowu pod nadzorem centralnego zarządu. Gdyby nie ten system surowy, w tydzień wszystkoby zostało naruszone, zniweczone. Poniżej zobaczymy, jaki wpływ odkrycie pokładów złotodajnych wywarło na mieszkańców miast, na wszystkie klasy przemysłowej i handlującej ludności, na kobiety a nawet na poważnych urzędników tej ludności, pierwotkowo powstałej z deportowanych i skazańców rozlicznych, a w której potomkach ocknęły się chciwe przodków popędy. I pasterska ludność w Australii arkadyjskiego nie jest pochodzenia; sami tylko właściciele przekła-

dać mogą istniejący kapitał nad widoki w kopalniach; ale ich podwładni, prości pasterze, dozorca, wydaleny do smutnych szałasów i bud, nie dadzą się żadną miarą wstrzymać, skoro się dowiedzą że złota manna spadła tajemniczo z australskiego nieba. Zaproponują im podwyższenie płacy: dobrze, ale w jakim stosunku? kiedy skarby tam nagromadzone mogą być niewyczerpane.

Nie na tym koniec. Strzyża owiec odbywa się koło października. Roboty tej w Australii nie powierzają zazwyczaj samym pasterzom, ale koczującym strzygaczom, którzy w tym celu okręgi przebiegają. Strzyży niepodobna długo odkładać, z powodu że w runach wbite są ziarka pewnej rośliny, bardzo szkodliwej, a dobrze znanym kupującym australskie wełny. Jeżeli runa nie zostaną ostrzyżone przed listopadem, niszczą się bardzo i wiele tracą na wartości. Owoż, ci strzygacze koczujący pewno najpierwsi pobiegli zwiększyć zastęp szukaczy złota. Ale pójdźmy na złotodajne pola.

W Kalifornii, odkrycie placerów nastąpiło w okolicy, gdzie istniejąca społeczność była dopiero w pierwszym stadium cywilizacji, społeczność szorstka i twarda, nietrudniąca się jeszcze rozlegle żadną gałęzią przemysłu. Stan kalifornijski jest rzeczywiście utworem samego odkrycia złota: ludność jego składa się z awanturników bez regularnego zatrudnienia nabiegłych ze wszystkich kątów świata, a których wyjście było raczej dobrodziejstwem jak stratą dla ich współobywateli. Odkrycie złota w Australii przeciwnie, zburzy społeczność już uorganizowaną, ludność która się odkupywała z pierwotkowej plamy, życiem porządnym, zamiłowaniem w życiu rolniczym i pasterskim. Obawiać się przychodzi, ażeby sceny, straszliwsze jeszcze, jak te, które zakrwawiły Kalifornię, nie wybuchły w Australii; pewno niebardzo szanować tam będą prawo wspólne, przyrodzone, prawo pierwszeństwa i własności. Niedawni zbójcy, czyż teraz wytrwają w poprawie, może niezupełnie dokonanej, w obliczu tego nęcącego kruszcu, który do zbrodni nakłania tylu wytrwalszych ludzi? Wojska angielskie nieliczne są w tej kolonii. Rząd zapewne ogłosi że pokłady złotodajne należą w części do korony, w części do kolonii miejscowej, że trzeba nabywać prawne własności, ustąpienia i t. p., ale jak wymódz, wobec takiej ponęty, poszanowanie dla praw?

Ostatnie doniesienia z Australii potwierdzają wszelkie podania o złotodajnych pokładach bardzo bogatych. Wszystkich oczy zwróciły się ku Sydney i Bathurst, w Nowej Wallii południowej, skoro się dowiedziano, że złoto znajduje się pomiędzy obfitemi rudami téj ziemi, dziś licznie zaludnionej w większej części dziećmi tych, których żądza złota obłąkała niegdyś i rzuciła, jako *skazanych na deportację*, na te dalekie brzegi. Choroba po ojcach szybko się ocknęła w synach! Cała kolonia rzuciła się zbierać złoto, opuszczając wszystko: sędzia swój trybunał, kramarz kram, bakałarz szkołę, i niejedna matka nawet dzieci w kolebce. Każdy zaopatrzył się w rydel i drążek żelazny, żeby sprawdzić na miejscu czy to prawda, że p. Neal, piwowar, znalazł rzeczywiście bryłę złota na powierzchni ziemi, jedenaście uncyj ważącą, a p.

Hargram dobył za pierwszym czerpnięciem z błotnistej kałuży, pełną misę złotego piasku.

Kopacz w Australii nie będzie walczył z przeszkodami i niebezpieczeństwami, jakie często spotykały awanturników w Kalifornii. W miejsce wojowniczych i dzikich plemion Sierra Nevada, kolonista angielski ma dziś przeciwko sobie plemię całkiem upokorzone, które niepojęte wyroki Opatrzności widocznie skazały na zatracenie zupełne. Gorączka, dyssenterya, skwar palącego słońca w lecie i silne podbiegunowe mrozy, plagi spikające się na kalifornijskiego kopacza, nieznanne są australijskiemu, który nie będzie cierpieł głodu i pragnienia Tantalowego przy kupach złota; lecz może żyć w szczęśliwej mierności, w kraju, gdzie potrzeby do życia w każdej porze niezmiernie są tanie. P.

## SKRÓCONE KOMMUNIKACYE NA POWIERZCHNI ZIEMI.

### I. MIĘDZYMORZE PANAMA.

Kto się wybiera do Kalifornii i bierze mapę do ręki, aby się przyjrzyć drodze jaką ma odbyć, ten spostrzeżga natychmiast bardzo niemiłą przeszkodę swój podróży. Główna bowiem droga na powierzchni ziemi, ocean Atlantycki, oddzielonym jest od Spokojnego kawałem wschodniego lądu, i niepodobna dostać się z jednego na drugi bez nadłożenia kilku tysięcy mil, to jest bez opłynięcia przylądka Horn. Rozpatrzywszy się bliżej na karcie ujrzymy, iż mielibyśmy przeprawę w najprostszym kierunku, gdyby nie ten wążki przesmyk lądowy, który w porównaniu do łożyska oceanu, ziarnkiem piasku się wydaje. Przerznąwszy kanałem ten jęczyczek ziemi, zwany między-morzem Panama, w jednym miejscu 28 mil angielskich tylko szeroki, możnaby sobie oszczędzić podróży od 6 do 8000 mil i wprost na ocean Spokojny wypłynąć. Równie jasno przekonywa mappa,

iż gdyby w podróży na wschód można przeciąć między-morze Suez, nietrzebaby okrążyć przylądka Dobrej Nadziei. Na wschodzie trudność ta jest przynajmniej w części usunięta, zaprowadzeniem poczty krajowej przez porucznika angielskiego Waghorna. Lecz na zachodzie pierwsze dopiero zawady pokonywać trzeba, nie bowiem jeszcze w téj mierze nie zrobiono. Teraz, kiedy za pośrednictwem tygodniowych parostatków w 12 dni uścisnąć możemy dłoń *brata Jonathana*, (\*) albo koleją żelazną przenosić się szybko z pól sławiańskich na italskie, lub francuzkie; kiedy nawet myśli nasze, prędkiej jeszcze jak lotem wiatru, bo

(\*) *Brat Jonathan* żartobliwe przezwisko dawane Amerykanom Stanów Zjednoczonych, przez Anglików, których ci wzajem zowią *John Bull*, a raczej tém imieniem uosabiają cały naród; podobnie jak Niemcy, którzy uszczypliwą nazwę *Der deutsche Michel* dla całego plemienia Germanów przyjęli.

drutem elektrycznym, dalekim przesyłać możemy przyjaciółom; kiedy jedném słowem parostatki, koleje żelazne, telegrafy podwodne i lądowe, pojęcie, że tak powiem, odległości zniszczyły, bo i ta do woli człowieka zastosować się musi, dziwną się rzeczą wydaje, że wcześniej nie pomyślano o tém połączeniu Atlantyku z oceanem Spokojnym, a tém samym o uniknięciu niebezpiecznej podróży, prawie 8000 mil wynoszącej, przez otwarcie jakiegobądź komunikacyi na przestrzeni tylko 7 mil polskich. Trudno pojąć, że w tym czasie olbrzymich przedsięwzięć, genialnych wynalazków, nie użyto dotąd tak prostego środka zaradczego przeciw tak wielkiej niedogodności; tém bardziej, gdy weźmiemy na uwagę iż w okolicy obudwóch międzymórz wyraźne są ślady istnienia takich połączeń w wiekach, które my nazywamy barbarzyńskimi.

Może natura stawia jaką przeszkodę niezwyciężoną projektom względem Panama? Nie zaiste! Dla tych, którzy wystawili wodociąg Kroton, (\*) tunele pod Tamizą i na kolejach, oraz brytański most tubowy, niema żadnych przeszkód na powierzchni ziemi. Może poziom oceanu Spokojnego i zatoki Meksykańskiej jest tak odmienny, że woda zalalaby okolicę niżej położoną? Nauka i doświadczenie odpowiadają również, nie! — Posłuchajmy Humboldta co do tych wątpliwości. On jeszcze przed 40tą laty powiedział: „jestem przekonany że przez międzymorze Panama można zrobić kanał, mniej szluz potrzebujący, niż Kaledoński, zdolny w każdej porze roku do żeglugi dla tego rodzaju statków, jakie krążą między New-Yorkiem i Liwerpołem, oraz Chili i Kalifornią.

W nowém wydaniu jego *Ansichten der Natur* (Obrazy Przyrody) powiada, iż niema powodu zmienić pojęcia, jakie raz sobie utworzył o tym przedmiocie; angielscy zaś i amerykańscy inżynierowie, przez czynne poszukiwania, jego zdanie matematycznie ustalili i potwierdzili. Jeżeli więc do téj pory angielska zręczność, angielski kapitał, angielska energia połączona z takimiż przymiotami północnych Amerykanów — najwięcej postępowego i przedsiębiorczego narodu na kuli ziem-

(\*) W Stanach Zjednoczonych, na wyspie Mauhalton, przy ujściu rzeki Hudson, jedno z najpiękniejszych i najsmielszych dzieł hydraulicznych. Zasila on New-York wodą słodką, którą o 44 mil z rzeki Croton sprowadza, przechodząc przez rzekę Harlem.

skiej — w tak ważnym przedmiocie niczego nie dokonały, komu i czemu przypisać tu winę? Krótką damy na to odpowiedź: przedsięwzięcie takie do teraz nie byłoby się jeszcze opłacało. Wielkie tego rodzaju dzieła, jeżeli rzeczywiście mają sprowadzić rozwinięcie handlu na stopę najobszerniejszą, muszą już zastać pewną ludność do tego handlu sposobną. Złotnik może pokryć złotem z jednego tylko luidora, jeźdźca razem z koniem (wiadoma jest bowiem ciągliwość złota), ale musi mieć naprzód luidora. Nie dlatego też wyłącznie kolej żelazna między Londynem i Liwerpołem dopiero w r. 1836 została urządzoną, że do tego czasu użyteczność szyn żelaznych ku szybkiemu przewożeniu wielkich ciężarów jeszcze należycie ocenioną nie była, lub że Stefenson swojej raketowej maszyny jeszcze nie był wynalazł. Owszem, przypuściwszy nawet istnienie wszelkich warunków materyalnych, to zawsze urządzenie podobnej komunikacyi będzie trudnem, dopóki handel między złączyć się mającemi punktami, nie dojdzie do takiej rozległości i wartości, że przedsięwzięcie istotne przynieść może zyski.

Jakież były, w niedawnym jeszcze czasie, położenie i wzajemne stosunki ludności krajów, na które uwagę naszą zwracamy? W r. 1839 cała ludność amerykańskiego międzymorza południowego w państwach środkowej Ameryki i Nowej-Grenady nie przewyższała jeszcze 3 milionów. Liczba mieszkańców czysto europejskiego pochodzenia wynosiła z początku tylko 100,000 dusz, a w szczupłej téj liczbie niewiele można było znaleźć europejskiej zamożności, europejskiego przemysłu i ducha przedsiębiorczego; resztę składali krajowcy i pochodzący z ras mieszanych, biedni, nieoświeceni, ledwie w okresie połowicznej cywilizacyi będący. Kraje te mało zaludnione, przyciśnięte nędzą, nie znaly ani praw, ani rządu. W Stefensona „Środkowej Ameryce“ znajdujemy zajmującą powieść pielgrzymstwa nieszczęśliwego dyplomaty amerykańskiego do jakiegoś państwa, co je w środkowej Ameryce miał odszukać. Wędrowiec, który nocą przez błota i bagna za zwodniczym goni ognikiem, nietyleby doznał niebezpieczeństw, co nasz poseł; skończyło się zaś na tém, iż nie znalazł nikogo z kimby mógł jakie stosunki zawiązać.

Na południu międzymorza wzdłuż brzegów oceanu Spokojnego, jedna jest tylko przystań,



Valparaiso, w której kupcy mogą mieć nadzieję lepszego odbytu. Wszystkie na pobrzeżu oceanu Spokojnego leżące państwa Ameryki południowej, wyjąwszy Chili, zamiast postępować naprzód w oświacie, przemyśle i handlu, zaczęły iść wstecz, a resztki cywilizacyi, jakimi się jeszcze chlubić mogły, zdawały się nikać zupełnie przy ciągłych rewolucyach i drobiazgowych, do niczego niewiadących, zmianach rządu. Na północnej stronie międzymorza stan rzeczy w ogólności nie o wiele był świetniejszy. W Meksyku od ostatniej rewolucyi wszystko się także cofać zaczęło, a handel jego ograniczał się w ostatku na jedynym okręcie, który corocznie z Akapulko do wysp Filipińskich żeglował. W Kalifornii i kraju Oregon, prócz niewielu Europejczyków i mieszanców, znalazłeś tylko dzikie pokolenia krajowców. Rosyjskie osady na północnym krańcu prowadziły handel futrami z Kameczatką, ale korzyści z niego ledwie wystarczały na pokrycie kosztów. Liczne wyspy Spokojnego oceanu nie przedstawiały również nic takiego, coby do utworzenia krótszej drogi zachęcić mogło. Cała Polinezja leżała jeszcze poza granicami cywilizacyi. Na Tahiti, wyspach Sandwich i północnym półwyspie Nowej Zelandyi, misyonarze zaledwie dopiero pierwsze ziarna uobyczajenia i oświaty rozrzucili. Handel, i tak ograniczony, z Chinami i Wschodnim Archipelagiem, stał się prawie wyłączną własnością Europy i odbywał się drogą około przylądka Dobrzej Nadziei, z wyjątkiem kilku okrętów, które stany przybrzeżne Związku Północno-Amerykańskiego do Valparaiso i Kantonu corocznie wyprawiały. Amerykańskie statki, trudniące się połowem wielorybów, zwiedzały ocean Spokojny, lecz żeglarze tego narodu prowadzili czasowy tylko i nie nieznaczący handlowi z Kalifornią, a żółwiemi skorupami i perłową macicą z Polinezją. Jakież więc korzyści byłoby przyniosło założenie kanału, przez któryby ledwie pięć statków na rok przepływało?

Lecz ostatnie lat 20 w potrzebach i bycie tych krajów ogromną zrzuciły zmianę. Handel Chili rozwinął się znacznie i trwałość jego rządu została ustaloną. Zamożność w Portorico, którego ludność po większej części jest europejskiego pochodzenia, ciągle wzrastała. Osadnicy amerykańscy kraj Oregonu osobnym uczynili Stanem. Wyspy Sandwich stały się wielce korzystną kolonią

Amerykanów. Handel z Chinami, do których projektowany kanał ctwarcie zachodniej drogi, zamiast dzisiejszej wschodniej, znacznieby ułatwił żeglugę, nie ograniczał się już na samym tylko Kantonie, ale otwarty dla wszystkich narodów aż do Yangse-Kiang na północy, nierównie większe przybrał rozmiary.

Żegluga na Amurze skutkiem układów otwartą została dla Rosyi, a tém samym i dla Anglików oraz Amerykanów, między Meksykiem i rosyjskimi koloniami osiadłych, długo już zamkniętą być nie może. Tahiti jest teraz rodzajem etapu dla kupieckich okrętów. Angielskie kolonie w Australii i Nowej Zelandyi zawiązały bezpośrednie stosunki handlowe z Indyjskim Archipelagiem i Chinami. Bezustanne osiedlanie się pojętnych i przedsiębiorczych Anglików i Amerykanów w Polinezji, tudzież na wschodnim i zachodnim wybrzeżu oceanu Spokojnego, tworzy tam mnóstwo przystanków dla śmiałych żeglarzy kupujących z licznymi wyspami tego oceanu, i łowców wielorybów. Najważniejszym jednak i najbardziej wzrastającym punktem jest Kalifornia, której nazwisko w świecie handlowym i przemysłowym cuda dziś wywołuje; bo tam jest obfitość złota, złota, głównej sprężyny wszelkich działań handlowych i przemysłowych, nagrody za najmłodniejszą pracę, metalu, dla którego ludzie zawsze gotowi tysiące znosić przykrości, i narazić życie, nietylko swoje, ale i cudze. Zanim odkryto tę ziemię złotodajną, okrążano obojętnie przylądek, to w dół, to w górę postępując; teraz ta zwłoka wydaje się nieznośną. Panama stało się głównym siedliskiem wielkiego, ciągle trwającego i coraz bardziej rozwijającego się handlu tranzytowego. Konieczne ztąd następstwo, że ludność tam się pomnaża i wzmacnia w dobry byt i oświatę.

Na tychto zasadach opieramy nasze przekonanie, że teraz nadeszła chwila, w której połączenie obu oceanów, czyto za pośrednictwem kanału, czy kolei żelaznej, koło samego Panama lub w pobliżu, stało się koniecznym. Uznał to świat przemysłowy i z dwóch sposobów komunikacyi wybrał ostatni, aczkolwiek pierwszy dla handlu byłby może korzystniejszy. Dziś 1500 ludzi pracuje nad koleją żelazną od Nary-Bay do Panama; za 8 miesięcy ma ona dojść do Gorgona, a za 1 1/2 roku, a najdalej za 2 lata będzie ukończoną. Wypada nam tu przytoczyć fakt pocieszający, że

ludność miejscowa, ocknąwszy się z umysłowego letargu, żywo i licznie bierze udział w budowie téj kolei, mającój zapewnić jój pomyslnosc; choćby więc robotnicy europejscy, używani do tego przedsięwzięcia, w porze deszczów ulegli zwykłym tu chorobom, zostaną zastąpieni przez krajowców.

Prócz tego, istnieje jeszcze kilka projektów połączenia obu oceanów, od Stanów Zjednoczonych do San-Francisco w Kalifornii, koleją żelazną, która przebiegając najbogatsze strony nowego świata, znakomity wpływ wyrze i na losy starego. Plany panów Withney i senatora Benton bardzo są praktyczne; lecz istnieje nowszy projekt, według którego połowa, i to najtrudniejsza, téj niezmiernéj drogi żelaznéj zostałaby wykonaną przez Mormonów <sup>(1)</sup> z Great-sal-lake-city. Zamierzają oni wybudować koléj żelazną od jezior Słonych aż do San-Francisco; kapitaliści zaś owéj kalifornijskiéj stolicy, i wszyscy ludzie pragnący jój wzrostu i pomyslnosci, mocno ten plan popierają, jako najświetniejsze rokujący korzyści.

Stronnicy jednak drogi kanałowój przez międzymorze Panama utrzymują, że dla kupców zyski z takiego połączenia byłyby wyższe, niż z kolei żelaznéj; mniejsze bowiem ponosiliby koszta i mniejszój doznaliby zwłoki, gdyby towary swoje wprost z jednego portu do drugiego, bez żadnego przeładowywania wysyłać mogli. Przy drodze żelaznéj wypadnie towary wyladowywać z okrętów, pakować w wagony, wyjmować z nich, i znowu wkładać na statki, przez co takowe uleżą mogą zniszczeniu lub uszkodzeniu, a szkody te, wraz z kosztami ładowania i frachtu, wielkie dla kupców utworzą wydatki.

Miejscowość nawet sama zdawała się więcej sprzyjać wykopaniu kanału, które w 2 punktach szczególniej, małoby było trudności napotkało. Jeden z nich znajduje się w pobliżu Panama, i kilkakrotne, jak się zdaje dosyć dokładne obserwacye przyniosły niewątpliwe przekonanie, że przy budowie kanału, na stosunkowo małej bardzo przestrzeni, punkta wysokości będą nieznaczone, a przyływ wody obfity. Drugie miejsce leży

(1) Mormoni, nowa sekta religijna. Jakkolwiek fanatycy, zasługują na podziw z powodu swéj czynności, energii i wytrwałości. Stanowią oni już potężną ludność w samym sercu dzikich plemion, a stolica ich liczy 25,000 mieszkańców.

dalej nieco ku północy. Międzymorze jest tu szersze wprawdzie, ale większą część jego zajmują jeziora słodkiéj wody Nicaragua i Managua. Pierwsze zostaje w związku z Atlantykiem za pośrednictwem rzeki, którąby łatwo można usplawnić, lub zamienić w rezerwoar dla bocznego kanału. Przestrzeń gruntu między obu jeziorami niewielka i mało przedstawia przeszkód. Wzniesienie jeziora Nicaragua nad poziom oceanu Spokojnego nie jest znaczne; gór także żadnych niéma między niém a zatoką Conchagua. Sir Edward Belcher kapitan statku Sulfur, wysłany na rozpoznanie rzeki Estero Real, co niedaleko od jeziora wypływając, do zatoki téj uchodzi, żeglował po niéj w górę 60 mil ang. Linia kanału Panama, przedstawia, jak to już Humboldt uważał, te same korzyści i ułatwienia, co linia kanału kaledońskiego. Linia Nicaragua nie jest trudniejszą od linii kanału langwedockiego, który został wykopany między r. 1660 i 1682, a zatém w czasie kiedy handel na nim pewno rozleglejszym nie był, od tego co się obecnie na międzymorze obrócił; kiedy większa część kraju okolicznego była tak słabą, i tak biednie i nędznie zaludnioną, jak dziś międzymorze; kiedy wreszcie niedawno przebyte okropności wojen domowych i dragonad Ludwika XIV zmęczyły mieszkańców, a życie i własność każdego były ciągle narażane.

W ogóle jednak, jakakolwiekby droga połączy ocean Spokojny z Atlantyckim, wodna czy żelazna, zawsze następstwa dobroczynne tego wzniesłego przedsięwzięcia nie dadzą się nawet w przybliżeniu ocenić. Cywilizacya na pobrzeżach oceanu Spokojnego olbrzymio rozwijać się będzie. Zbawienny wpływ na wzajemne stosunki oświeconych krajów już teraz jest widocznym. Przez wzgląd téż na owe stosunki neutralność téj drogi w czasie wojny, jako konieczny warunek jój trwałego istnienia, przez rządy poręczoną być winna.

Oceniliśmy wielkie to przedsięwzięcie głównie ze strony korzyści handlowych i ekonomicznych; tym bowiem względem winni jesteśmy blizkie jego urzeczywistnienie. Ale stronnicy ogólnego, wiecznego pokoju między ludami, i ci co w rozkrzewianiu świętych prawd wiary chrześcijańskiéj widzą rękojmię jego ustalenia a tém samém zamienienia w czyn marzeń tylu znakomitych ludzi obu światów, pojmują całą ważność tego połączenia

oceanów. Tą myślą wiedzeni, przytoczymy tu wyjątek z mowy mianej przez księcia Alberta, na obiedzie w Mansion-House, danym z powodu projektowanej, a dziś już dokonanej wielkiej wystawy przemysłu. „Ktokolwiek z uwagą sledzi szczególne objawy naszej epoki, ten ani na chwilę nie wątpi, że żyjemy w tym nadzwyczajnym, zadziwiającym okresie przejścia, którego jedyną dążnością jest spełnienie wielkiego ostatecznego zadania, do jakiego zmierzają wszystkie wypadki dziejów: zjednoczenie całego rodu ludzkiego. Zjednoczenie to jednak nie powinno niweczyć charakteryzujących znamion i cech wy-

bitnych narodowości; ale widzę w niem spójnię, która najsprzeczniesze nawet interesa pogodzi. Odległości dzielące różne kraje i ludy kuli ziemskiej, nikną dziś pomału przed potęgą coraz nowych wynalazków; możemy je przebiegać z bajeczną prawie szybkością; języki wszystkich narodów są znane, a nauka ich każdemu ułatwiona; myśl nawet z szybkością błyskawicy może być przesyłana. Każda bliższa droga, poprowadzona na powierzchni ziemi, silniejszym węzłem łączy człowieka z jego dalekiemi braćmi, przyspiesza zgodę, szczęście i pokój.“

## II. MIĘDZYMORZE SUEZ.

Wązki przesmyk między północnym krańcem Czerwonego i zatoką Ghaza Śródziemnego morza, jest powodem, że handlujący, żeglując ku Wschodowi, okrążyć muszą dwa najdłuższe boki trójkątnego stałego lądu Afryki, zamiast udawać się bliższą drogą, której zwykle używają podróżujący tak zwaną pocztą krajową. Gdyby przez to między morze komunikacja wodna została otworzoną, natenczas główna droga dla towarów, jako i dla podróżnych z Europy, Indyj, Chin i Australii, szłaby przez morze Śródziemne, Czerwone i ocean Indyjski; podróż byłaby o wiele krótszą, koszta jej tém samém daleko mniejsze, a wygody podróżnych znacznie powiększone.

Taki stan rzeczy porównać można do komunikacji między dwoma miastami, gdzieby gościniec dużo był nadłożony, a ścieżka dla pieszych prosto przez łąki poprowadzona. Listy w handlowych interesach bywają bliższą drogą przesyłane, ale towary, o których one donoszą, powoli i kołując ogromnie, za niemi zdążają. Jeżeli zatem w téj chwili np. zawartą jest korzystna umowa względem zamiany towarów, to nim te dojdą miejsca swego przeznaczenia, co następuje w 3 lub 4 miesiące po ich wysłaniu, rzeczy mogą tymczasem zupełnie inny wziąć obrot. Nadto, przyspieszona dosyć wysyłka pism, a zbyt powolna dostawa towarów, zamienia wszystkie stosunki handlowe

Anglii z Indjami w igraszkę losu, przez co i tak już zbyt ożywiony duch śmiałych lecz niepewnych przedsięwzięć jeszcze więcej podsycany bywa. Dopóki inna będzie droga dla podróżnych a inna dla towarów, dopóty i koszta podróży będą większe, i wygody mniejsze niżby być mogły. Kompanie dróg żelaznych przy układaniu taryfy, zniżają opłatę od osób, w nadziei powiększenia się ich liczby, jeśli tylko spodziéwać się mogą, że zysk na przewozie towarów tę stratę im wynagrodzi. Gdyby więc towary, równie jak podróżni i listy, tą krajową pocztą, (której droga przez cały ląd zaledwo 200 mil ang. wynosi), przewożone być mogły, to opłata od osób uległaby wielkiemu niżeniu, i droga ta stałaby się główną drogą lądową, przez znaczną liczbę podróżnych uczęszczaną, dla których staranoby się naturalnie zapewnić wszelką wygodę.

Fizyczne przeszkody zachodzące przy otwarciu skróconych komunikacji, jakto już raz twierdziliśmy, mówiąc o międzymorzu Panama, łatwiej zwyciężyć się dają, niż te, co z finansowych powstają względów; każda bowiem przeszkoda fizyczna może być pokonana, jeżeli się tylko posiada dostateczny kapitał i umie nim właściwie kierować.

Gdybyśmy chcieli zakładać towarzystwa przedsiębiorcze i rozrzucac w tym celu wiele obiecujące prospekta, wtedy rzeklibyśmy może, iż trudności

zajść mogące przy zakładaniu żeglownego kanału będą małe, a zyski z przedsięwzięcia znakomite. Lecz jako bezstronni widzowie zmuszeni jesteśmy wyznać z żalem, że wiadomości nasze o stanie tej krainy są bardzo niedostateczne, a to co wiemy, bynajmniej nie upoważnia do tak świetnych oczekiwań.

Uwaga publiczności naumyślnie odwróconą została od najwłaściwszej linii kanału, który ma być poprowadzonym przez między-morze Suez. Zmarły Mehmed-Ali, pokój jego popiołom! byłto lis pierwszego rzędu, i wybornie umiał korzystać z usług jemu podobnych ludzi. Dostatecznie oswojony z uczuciami i urojeniami Europejczyków, wmawiał w nich z łatwością, że działa w widokach ogólnych, kiedy w istocie własnemu dogadzał interesowi. Nie przestawał prawić o tém, jakby komunikacją między Indjami i Europą ułatwić, a tymczasem starał się tylko, aby droga w jak najdłuższej przestrzeni kraj jego przerzynała, a tém samym aby podróżni znagleni byli jak najwięcej pieniędzy w jego państwie zostawiać. W tym celu otaczał się zbieraniną różnych Europejczyków, po większej części ludzi próżnych, bez wiadomości i za zyskiem tylko ubiegających się, a służących mu niejako na wabika; co jest stanowczym świadectwem zdrowego rozsądku i taktu z jakim wybierał ich umiał.

W istocie dla ułatwienia związku Europy z Indjami, koniecznym jest poprowadzenie przez między-morze Suez kanału w jak najkrótszym i najmniejzawad przedstawiającym kierunku, Mehmed-Alemu zaś chciało się lądowej, i jak można najdłuższej drogi przez jego państwa. Naturalny kierunek kanału byłby w prostej linii od Suez do wschodniego krańca jeziora Menzaleh, a zatwierdzona przez Mehmed-Alego linia komunikacyjna idzie z Aleksandryi przez Kair; jest zatem prawie trzy razy dłuższą od tamtej. Pierwsza poprowadziłaby przez niską, bogatą w wodę okolicę; druga oprócz żeglugi kanałem i rzeką, czyni konieczną jeszcze podróż lądem przez pustynię. Podróż pierwszą drogą możnaby odbyć bez odpoczynku jednym dniem; druga wymaga kilku dni i zatrzymywania się w hotelach Aleksandryi i Kairu. Ale Mehmed Ali i jego podwładni odwrócili uwagę od pierwszego projektu, prawiąc o kolejach żelaznych i innych rzeczach niedających się wykonać, i tym sposobem obalamucili publiczność europej-

ską. Z Londynu każdego czasu można wygodnie, rozkosznie nawet, w ciągu dni czternastu stanąć w Egipcie, a jednak, rzecz dziwna! kraj ten, między wschodnim końcem jeziora Menzaleh i Suez, nierównie mniej znany jest Europie, niż między-morze Panama. Z niejaką pewnością o tym punkcie komunikacyjnym wiemy tylko co następuje:

Żegluga na morzu Czerwonym w bliskości Suez dosyć jest przykra i niebezpieczna, z przyczyny skał podwodnych; można tam jednak bezpiecznie zarzucić kotwicę. Głębokość wody wystarczająca jest nawet dla okrętów handlowych ze znacznym ładunkiem. Morze Śródziemne, poniżej wschodniego krańca jeziora Menzaleh jest dosyć płytkie i zasłonięte od wiatru zachodniego, który przez pewną część roku w tych stronach panuje, lecz zato wystawione na północny. Między Suez i zwałiskami Peluzyum, na wschodnim końcu jeziora, kraj jest niski i równy, i tworzyłby najdogodniejszą część drogi między poziomem obu mórz. W porze deszczów cały kraj niższy zalewanym bywa wodami płynącymi z górnego, który jest przedłużeniem pasma gór między Suez i Akaba leżących. Oprócz tego ma jeszcze ta okolica na wschód od tych gór a na północ od pasma Mokattam, kończącego się niedaleko Kairu, podwójną pochyłość, większą na północ od Śródziemnego morza, mniejszą na wschód od tej linii kraju, którą opisujemy. Pierwiastkowo musiała być w tém miejscu odnoga Nilu, która tam, gdzie dziś są ruiny Peluzyum, do morza wpadała; musiały być i pomniejsze łachy między tą odnogą a odnogą Damietty. Pierwsza teraz nie istnieje, druga zaś niebardzo do żeglugi sposobna; wszelako wody jej, choć zmniejszone, możnaby sprowadzić ku brzegowi przez roboty hydrauliczne; zdaje się nawet że z nich głównie powstało jezioro Menzaleh. Mamy więc 60 mil geogr. kraju niskiego z małemi tylko wyniosłościami, skrapianego w właściwej porze wodami Arabii skalistej, do którego skierowałby można i znaczną część Nilu, gdyby ta rzeka biegła po naturalnej pochyłości. Nie zbywa zatem na wodzie do kanału potrzebnej. Powierzchnia w niektórych miejscach pokryta jest piaskami ruchomemi, ale nierówno i w niewielkiej ilości. Niższa warstwa ziemi jest zato twarda, i składa się z gliny lub krzemionki. Aby te piaski umocnić, trzeba by je wierzbami i innemi łatwo przyjmują-

cemi się drzewami obsadzić, jak to oddawna czynią w Holandyi; po usunięciu zaś téj przeszkody, spodnią warstwę możnaby wybornie przekopywać na kanał. Największą trudnością przedstawiają roboty hydrauliczne, za pomocą których trzeba się będzie dostać ze Śródziemnego morza do kanału. Te bowiem przyrządy muszą być głęboko w morze wysunięte, a tém samém narażone na ciągłe zasypywanie piaskiem niesionym przez bałwany, które przez większą połowę roku wiatr północny pędzi ku brzegom. Aczkolwiek te trudności są znakomite, nie można ich jednak uważać za niezwyciężone, a przy tak wielkich dziś postępach w hydraulice i budowie machin łatwo nawet pokonaćby się dały. Trzebaby tylko otworzyć znowu odnogę Peluzyjską i wprowadzić w nią te wody, które dotąd uchodziły odnogami, Tanizyjską i Medezyańską, a wtedy możnaby przy Peluzyum tak znaczną masę wody puścić na morze Śródziemne, że przyływ jój otworzyłby i utrzymał przeprawę. Chociaż bardzo oględnie tylko wy-

pada nam mówić o téj miejscowości, jako niezupełnie jeszcze poznanej, o ile wszakże z posiadanych dziś wiadomości jesteśmy w stanie wnioskować, to nicby nie przeszkadzało budowie z Peluzyum do Suez kanału przystępnego i splawnego dla statków od 300 do 350 ton; ten zaś rodzaj okrętów uznany właśnie został za najwłaściwszy do użytku handlowego.

Najgłówniejszej jednak zawady nie wymieniliśmy dotąd, a tą jest stan rządu i bezpieczeństwa kraju. Niebrakłoby przedsiębiorców z ucywilizowanej Europy, jako też robotników z Malty lub z Syryjskiego i Afrykańskiego wybrzeża. Lecz dopóki kraj ten podlegać będzie tureckiemu berłu, dopóty ani na uczciwe postępowanie, ani na dostateczną opiekę ze strony władz miejscowych liczyć niepodobna. Trudno też przypuścić, aby mocarstwa Europy chciały się szczerze połączyć, i dać przedsiębiorcom takie rękojmie, żeby ci plany swoje, dotyczące tego przedsięwzięcia, mogli bezpiecznie uskutecznić.

## WASHINGTON I MOUNT-VERNON.

Gdy kongres amerykański w r. 1791 zatwierdził plan założenia centralnego miasta, przeznaczonego na siedzibę rządu; gdy na wzniesienie téj siedziby obrano zachwycającą przestrzeń pomiędzy rzekami Potomac i Anacostia; gdy nakoniec postanowiono nadać jój imię wielbionego Washington'a, sypnął się zaraz grad projektów, zamierzających stworzenie nowego cudu świata. Amerykanie mistrzami są w sztuce wymarzenia olbrzymich lecz niewykonalnych pomysłów, w stawianiu zamków na lodzie. Kto temu nie wierzy, niech się przekona ileto kosztorysów niewzniesionych budowli, ile spisów nieistniejącej ludności zapełnia teki spekulantów nowego Yorku; niech wspomni, jak tam codziennie sprzedają i odprzedają grunta, co, według oblicze-

nia na papierze, oddawna już powinny były pokryć się rzędami świetnych pałaców i bogatych zakładów przemysłowych, a w rzeczywistości sąto puszcze gęstym pokryte lasem, lub nieprzystępne trzęsawiska.

Krótko mówiąc, miasto noszące imię wielkiego założyciela wolności amerykańskiej, siedlisko rządu pierwszej w nowszych czasach rzeczypospolitej, pod względem zarówno ogromu rozmiarów, jak wykonania i rozkładu, miało być najpyszniejszym grodem na całej kuli ziemskiej. Traf zrządził że w obranej przestrzeni osada jakaś nazywała się Rzymem, a zraszający ją strumyk Tybrem. *Rzym i Tybr*, jakąż w tych dwóch wyrazach czarodziejska potęga! Zdawało się, iż dawna kró-

łowa świata, strojna w wawrzyny swoje, z orszakiem senatorów i kohort, przybyła sama uświęcić dzieło kongresu.

Dla nadania nowemu miastu bardziej imponującego charakteru, uchwalono przyłączenie doń części Maryland i Wirginii i utworzenie tym sposobem oddzielnego stanu w centralnym punkcie rzeczypospolitej, coś naksztalt stolicy apostolskiej i państwa kościelnego. Skreślono tedy olbrzymie plany, według których Washington miał być wzniesionym. W samym środku obszaru miał stać kapitol, gmach reprezentacji narodowej, a ztamtąd dopięro, jako z głównego ogniska, rozbiegały się na papierze ulice, rozpościerały place i budowle. Gdy wszystkie już rachuby architektoniczne i trygonometryczne najdokładniej były wykonane, podzielono cały obszar na części numerowane, wypuszczono losy i zaczęto takowe sprzedawać, w mniemaniu że będą rozchwywane z niecierpliwością gorączkowego patryotyzmu. Lecz o dziwy! ów patryotyzm, nie znajdując w tém przedsięwzięciu ani widoków dla handlu, ani korzyści przemysłowych, pozostał zimnym, jako prawdziwy samolub. Tam i sam kupowano wprawdzie losy, ale bez ciągu i porządku, jak zdarzył przypadek; posiadacze zaś stawiali swe domy jak się tylko któremu podobało, nie troszcząc się bynajmniej o myśl falangi macedońskiej, co ją miasto tworzyć miało wokół świętego proporca, wokół kapitolu. Skutkiem téj fatalnej obojętności na dzieło tak dobrze pomyślane, tego jakiegoś widzimi się zuchwiałych jednostek, kapitol stoi dziś na wzgórzu, samotnie w końcu miasta, a co najgorsza, niesumieni mieszkańcy, co nieraz o milę drogi od owéj arki przymierza siedziby swoje założyli, nie wyrzucają sobie nawet, jak się zdaje, téj zbrodni.

Washington nie jest *zależkiem stolicy*, jak je nazwał Tomasz Moore, ale czémś więcej rozwiniętem; najstosowniej nazwaćby je można miastem *wspaniałych odległości*. Podróżny, przybywszy tu z listami polecającymi, jeśli je sam chce doręczyć, a nie odebrał z rąk matki natury szczególniej trwałości podkolanków, musi koniecznie uciec się do tak zwanych kab'ów, rodzaju parokonnych powozów, któremi kierują negrowie. Niemalą téż trudność stanowi pamiętanie i wynajdywanie numerów; Amerykanie bowiem taką mają słabość do liczb, że kładą je wszędzie, gdzie tylko zdarzy się

sposobność. W wielu miastach Stanów Zjednoczonych ulice nie mają oddzielnéj nazwy, tylko oznaczone są numerami; jeśli zaś pragniesz bliższego określenia, to przytoczą ci zaraz przedziwny jaki szczegół, którego zastosowanie wymaga użycia busoli. Dajmy na to, że szukasz mieszkania bankiera, na którego masz weksel; w hotelu udzielają ci informacją tak matematycznie dokładną, że nic do życzenia nie pozostawia, bo każą ci iść na *południo-południo-zachód* dwudziestéj lub czterdziestéj ulicy. Puszczasz się więc w drogę, a nie mogąc wybrnąć z odmętu nieznanego miasta, z kapeluszem w ręku przystępujesz do jednego z usłużnych obywateli Washington'u i mówisz głosem najśłodszym: *Sir, if you please, where is the twentieth street?* (Panie, chciéj mi powiedziéć, gdzie tu dwudziesta ulica). Zapytany mierzy cię wzrokiem zadziwienia, a potém, oddalając się, odpowiada szorstko: *I don't know!* (nie wiem!). Jeżeliś zaś przypadkiem natrafił na człowieka mającego pretensyą do uprzejmości, to już zupełnie co innego, bo ci odmrukie łagodnie: *Farther!* (tam dalej!), i pójdzie w swoją stronę, dumny zapewne z tak grzecznego znalezienia się.

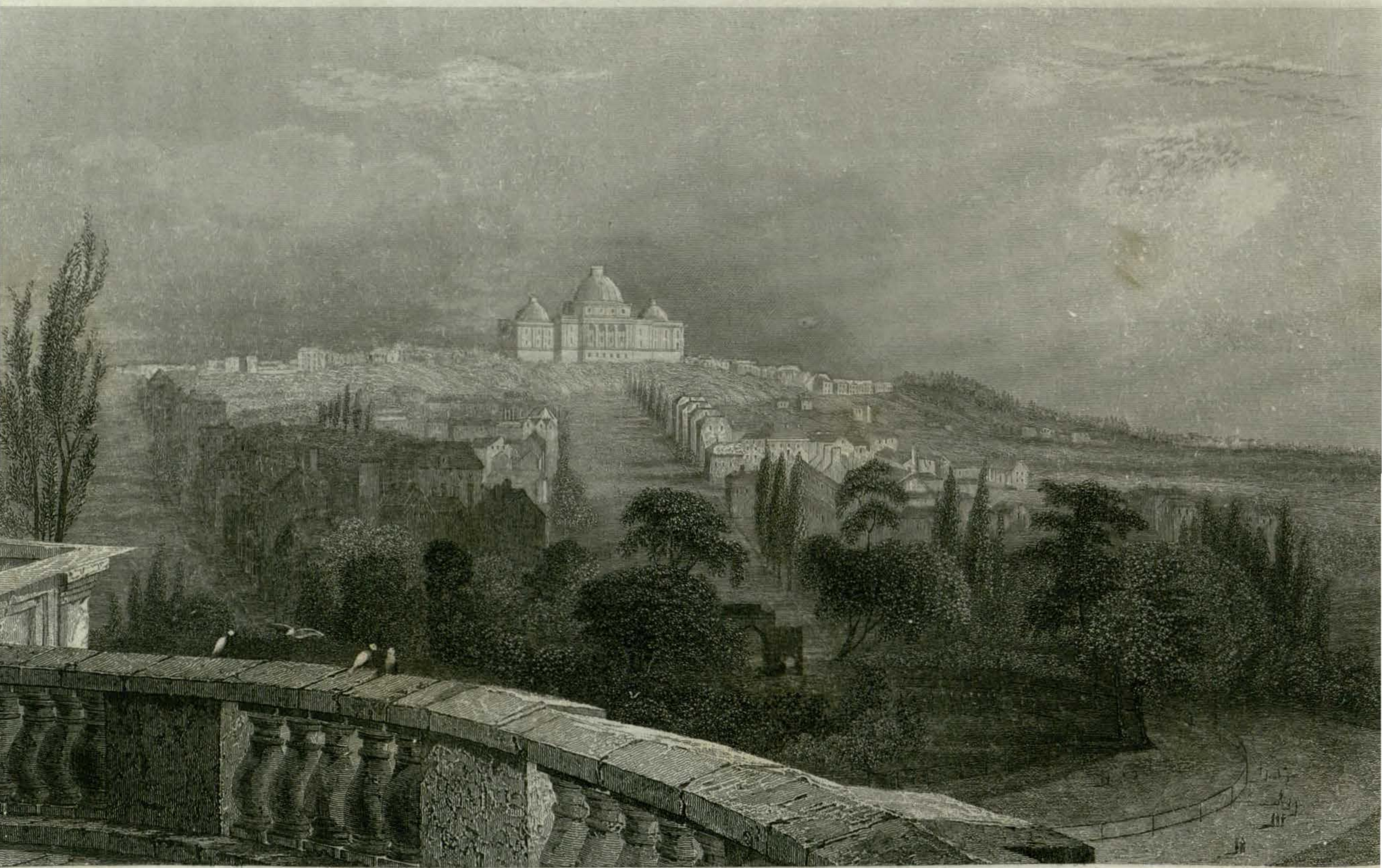
Nie obejdiesz się więc bez negra, ale téż łatwo o niego, bo w Washingtonie wszyscy słudzy hotelowi, wszyscy woźnice, wszyscy tragarze są negrami. Ameryka północna, ten kraj równości i powszechnego braterstwa, otrząsa wprawdzie karki nieszczęśliwych Afryki synów z jarzma rzeczowéj niewoli, lecz je pochyla brzemieniem twardego, niecofnionego niczém służebnictwa. Negr, chociażby był wzorem prawości i poświęcenia, nie wydzwignie się tu nigdy ze stanu poniżenia. Sam Faustyn I, choćby tam przybył z berłem i koroną, tak misternie w Paryżu wykonaną, z czarną jak heban małżonką swoją i orszakiem stworzonych naprędce książąt i księżniczek, nie mógłby zasiąść w publicznym omnibusie, albo przy table d'hôte najlichszego hotelu.

Wsiadasz nareszcie do powozu, którego drzwiczki, z uśmiechem na ustach otwiera ci negr, odsłaniając dwa rzędy zębów tak białych, jak kły młodego słonia. Przejeżdżasz przez szereg długich i szerokich ulic, każda o kilkunastu domach, przebywasz place obszerne i w spodziewaniu wspaniałe, lecz w roku Pańskim 1851 puste jeszcze i samotne. Te rzędy pagórków i równin z po-





Dom Washingtona.



Washington.



rozrzucanemi gdzieniegdzie budowlami, mają pozór nie miasta, ale pięknej okolicy wiejskiej. Jeżeliś przepędził czas jakiś w którym z ognisk handlowych Ameryki północnej, gdzie wieczny ścisk i wrzawa, to cię zachwyci to miasto nic w sobie miejskiego niemające, ten krajobraz tak świeżym jaśniejący wdziękiem, tak powabny i spokojny.

I Washington wszakże przez znaczną część roku bywa tłumny, ożywiony; bo otóż zbliża się pora posiedzeń kongresu, pora ruchu, pracy i zboru dla miasta, które żyje z parlamentu, jak Baden z gry hazardowej. Deputowani licznie się zjeżdżają: w hotelach, po bufetach pełno landlordów, zapijających grokiem namiętności polityczne; stronnictwa gotują się do walki. Od sześciu już dni reprezentanci silą się na wybór prezesa; głosowania szybko po sobie następują, ale zawsze bezskutecznie. Whigowie mają swojego kandydata, demokraci swojego; oba zaś stronnictwa trzymają się tak ostro, że jedno drugiemu ani na piędź nie ustąpi. Whigowie są wprawdzie liczniejsi, lecz demokratów zato wspierają locofoco'wie.

Zapyta kto może, co znaczą te nazwy stronnictw politycznych. Otóż whigowie, którzy w arystokratycznej Anglii, wobec torysów, są przedstawicielami postępu, w demokratycznej Ameryce reprezentują umiarkowanych konserwatystów. Stronnictwo to mieści w sobie wszystkie znakomitości pieniężne i rozrządza większą częścią dzienników. Demokraci znaczne już robią ustępstwa na korzyść instytucyj ludowych. Locofoco'wie nareszcie są prawdziwemi, czystej krwi radykalistami, nieprzyjaciółmi przywilejów i ucisku. Różaniec frazeologiczny tej partyi tak jest znajomy, że nie będziemy go tu ziarko po ziarku powtarzać; ale ciekawy jest początek dziwnego jej nazwiska. Przed kilkunastą laty demokraci w jakimś mieście najeli byli salę, dla odbywania w niej obrad wyborczych. Radykaliści, nie mogąc znaleźć dla siebie równie dogodnego pomieszczenia, użyli wybiegu strategicznego, który dowodzi ile to stronnictwo, we wszystkich krajach, posiada zręczności politycznej. Pewnego wieczoru, gdy demokraci robili właśnie zasługi różnych kandydatów, liczny oddział radykalnych wkracza do sali, i w jednej chwili gasi wszystkie światła. Przerażeni demokraci, obawiając się zasadzki, zaczynają wynosić się omackiem, a gdy już zupełnie z pola ustąpili, przemysłni na-

pastnicy zatarasowali drzwi, wydobyli z kieszeni zapalki, nazywane tu locofoco, i zapaliwszy świece, najspokojniej objęli w posiadanie opuszczone przez nieprzyjaciół bojowisko. Wieść o tym srodku dowcipnym rozbiegła się szybko po Stanach Zjednoczonych, i odtąd radykalistów ochrzczono imieniem locofoco.

Zwykle jednak w walkach parlamentarnych łączą się oni z demokratami, i tym sposobem, chociaż małowalczni, równoważą głosy whigów. Co rano przemysłowcy Washington'u powtarzają sobie: dziś będziemy mieli *speaker'a* (mówcę, czyli prezesa), a znów co wieczór cieszą się, jeśli wybór spelzł na niczem. Poczciwi mieszkańcy tego miasta niemają widać dosyć bezinteresownego patryotyzmu, by pragnąć szybkiego rozwiązania zawilosci politycznych. Im dłużej trwają posiedzenia, tém obfitsze dla nich żniwo; cóż więc dziwnego, że radzą się próżnym głosowaniom i sążnistym mowom parlamentarnym. Rzeczywiście, skoro tylko deputowani się rozjadą, właściciele hotelów smutnym wzrokiem mierzą bezużyteczną teraz rozległość swych zakładów, kupcy z westchnieniem na puste spoglądają składy, a cała masa urzędników, cudzoziemców i ciekawych, zwabionych tu przez kongres, w kilka dni się rozpierzcha. W osamotnionym grodzie zostają tylko członkowie ciała dyplomatycznego i urzędnicy miejscowi.

Tymczasem inne miasta, wychodząc z nader prostej zasady, że każdy reprezentant pobiera dziennie ośm dolarów, zaczynają się niecierpliwie długimi rozprawami nad wyborem prezesa. Za każdą depeszą telegraficzną donoszącą o uroinionem posiedzeniu, gazeciarze prowincjonalni zaostrzają pióra i zaczynają perorować zgromadzenie. Jedni oskarżają whigów o dumę niepomiarkowaną, drudzy potępiają demokratów, inni znów piorunują przeciw locofocom; ale to wszystko nie pomaga. Dwa główne stronnictwa stoją na przeciw siebie; jak dwaj zawzięci zapaśnicy z dłonią opartą na szabli, gotowe w każdej chwili ją wydobyć, byle tylko nie ustąpić z szranek. Mówią, że przesilenie prezydyalne trwało raz sześć tygodni; jesteśmy dopiero przy końcu pierwszego, a więc cierpliwości! Już z obu stron niegrzeczne dosyć nastąpiły przymówki, już miały miejsce wyzwania, gotują się pojedynki; a pojedynki w Ameryce nie jestto, jak gdzieindziej, wymiana strza-

łów w przyzwoitej odległości, ale prawdziwa utarczka, w której koniecznie krew musi popłynąć.

Lecz otóż bije południe; za chwilę rozpocznie się posiedzenie kongresu; idźmy więc za tłumem, by się przypatrzeć tym turniejom czasów nowożytnych. Wejdźmy do kapitolu.

Kapitol washingtonski jest rzeczywiście gmachem wspaniałym, godnym wielkiego narodu, najpiękniejszym z pomników architektury w całych Stanach Zjednoczonych. Zbudowany jest na wzgórzu, z którego oko ogarnia lasy Maryland i Wirginii, okalające śliczną równinę, zroszoną wodami Potomac'u. Wysoki i okazały jego fronton, z posągami zdobiącymi jego szczyty, z przepyszniemi kolumnami i kapitelami, tworzy całość równie imponującą jak wdzięczną. Szkoda tylko, że dla oświecenia go z góry, oszpecono kopułę jego rodzajem szklanego koszyka, podobnego do przewróconej salaterki.

Na samym wstępie stoją posągi allegoryczne: sprawiedliwości, pokoju i zgody, tych cnót tradycyjnych, którym dziś wszędzie wznoszą piedestały, tych szumnych niejako prospektów, co je narody naprzód wystawiają, chociaż w zakresie drobnych interesów domowych codziennie bywają pogwałcane. Najznakomitszym z tych dzieł rzeźbiarskich jest bez wątpienia grupa marmurowa, przedstawiająca Krzysztofa Kolumba w rycerskim przyborze, trzymającego w prawym ręku półkulę nowego świata; obok niego postać kobiety, z wyrazem zadziwienia patrząca na wielkiego odkrywcę: jestto uosobiona Ameryka. Przypadek szczególnie niekiedy zrzędza podobieństwa. Naprzeciw Kolumba, w małej odległości, umieszczony jest posąg Washington'a; zdaje się więc, jakoby wielki admirał podawał glob nowego świata w ręce bohatera amerykańskiego.

Pałac kapitolu służy jednocześnie dla rady najwyższej Stanów Zjednoczonych, dla senatu i dla izby deputowanych. Członkowie rady, jedynym w tym kraju wyjątkiem, mianowani są dożywotnie, i oni też jedni na posiedzeniach oddzielne przywdziwiają ubranie, coś naksztalt togi czarnej, poważną nacechowaną prostotą. Senat póty jest nieczynny, póki kongres nie obierze *speaker'a*; razem z wiadomością o tym wyborze otrzymuje on poselstwo (zdanie sprawy) prezydenta rzeczypospolitej, które w mgnieniu oka zredagowane, wy-

drukowane i ogłoszone w dziennikach, na skrzydłach telegrafów elektrycznych przebiega całą przestrzeń Stanów Zjednoczonych, skoro tylko między whigami a demokratami nastąpi porozumienie.

Jednakże te stronnictwa nie okazują dotąd chęci poczynienia sobie koncesyj. Reprezentanci przebiegają z galeryi na galeryą, zatrzymują się w korytarzach, wracają do sali posiedzeń, i głośno rozprawiając stają na środku. Zdaje się, że rząd konstytucyjny we wszystkich krajach jednakie wywołuje następstwa; tylko że deputowani Stanów Zjednoczonych obok tego odrębne jeszcze mają zwyczaje. W ciągu posiedzenia rozkosznie żują sobie prymkę i plują z zadziwiającą zręcznością na piętnaście kroków odległości. Nadto z miejsc swoich, bo niéma tam trybuny, wygłaszają oni mowy, których wstęp przypada w poniedziałek, a konkluzya niekiedy aż w sobotę.

Przeczekawszy trzy głosowania, równie bezskuteczne jak poprzednie, udajmy się do biblioteki i sal jej przyległych. Wszystko tam urządzone wytwornie i z szlachetną wystawnością. Wszeh władny naród, w pałacu przedstawicieli swoich, wznosił sobie pomnik prawdziwie królewskiego przepychu. Biblioteka składa się z około 40,000 tomów, dobrze uporządkowanych i bogato oprawnych. Przytyka do niej sala, której ściany pokryte są wielkimi obrazami historycznymi, przedstawiającymi główne momenta dziejów amerykańskich. Jest tam wylądowanie Kolumba na brzegach nowego świata, przybycie do Plymouth purytanów angielskich, traktat Wilhelma Penn'a z Indyanami, chrzest Pocohanty, oswobodzicielki walecznego Smith'a. Po drugiej stronie ogłoszenie niepodległości młodej rzeczypospolitej, poddanie się angielskiego generała Bourgoyne (1777) i lorda Cornvallis (1781).

Cel tych obrazów jest zapewne chwalebny, lecz wykonanie bardzo mierne. Sztuki piękne nie zakwitły jeszcze w odmęcie przemysłowym Stanów Zjednoczonych. Później, kto wie czy i tu może nie powstanie oligarchia, która, podobnie jak w Wenecyi, zapragnie mieć swoich Tycyanów, Veronesów i Michałów Aniołów. Dziś zapewne na samo brzmienie wyrazu oligarchia zdrząłby lud amerykański, bo wierzy tylko w rozwój demokracji; lecz czas, który wszystko niszczy, może ze-

rdzewieć także żelazny piedestał spartańskiej równości. Człowiek nie dlatego wzdycha do majątku, by mieć przyjemność liczenia dollarów lub zgromadzenia banknotów. Dószcz złoty, który urzekł Danaę, na miękkie padł wezglowie. Róg obfitości otoczony jest kwiatami. Razem ze złotem, co je fortuna w nagłym sypnie przelocie, rodzą się żądze, którym ono posługuje. Czyliż już teraz rozszczenia arystokratyczne nie wyziérają zpod grubéj opończy demagogii? Już bogaty negocyant spogląda pogardliwie na ubogiego kramarza, co żyje i umiéra w swym sklepiku. Same nawet dzienniki wchodzą na drogę przez siebie potępianą, ogłaszając uroczystości i małżeństwa móżnych, tak szumnie, jak w Londynie *Times* lub *Court-magazine*. A dawne rodziny Pensylwanii, nie mówiąż o nowo-przybyłych osadnikach: *What is it? People of yesterday!* (Coto za jedni? to gmin wczorajszy!). O zaprawdę, na nic się nie zdały urzędowe zaręczenia równości, wobec odwiecznego prawa ruchu, a tém samém nierówności, które sam Bóg ludzkości nałożył. Gdybyście nawet, panowie marzyciele, z idealnéj rzeczypospolitéj swójéj wygnali wszelką wystawność i żądze odznaczenia się, to i tak jeszcze ta sama właśnie żądza urągać wam będzie zpod łachmanów, lub pawić się w beczce Dyogenesa, który podobno był także dumnym arystokratą.

Nie mogąc się dotąd poszczycić utworami oryginalnemi, Stany Zjednoczone wzięły się z zapalem do naśladownictwa. Nigdy może porządki dorycki, joński, koryntski i mieszany nie zatrudniały tyle rąk w Grecyi, ile ich od lat kilku zatrudniają w surowéj rzeczypospolitéj amerykańskéj. Nigdy w Rzymie cześć balwochwalstwa nie wzniosła tyle kolumn i kapiteli. Kolumny! wszędzie kolumny! nie obejdzie się bez nich żadne miasto, żadna wieś nawet; napotkasz je w pomnikach narodowych, przed progiem finansisty, przed sklepem kupca: kolumny ciosane i lane, z marmuru, kamienia, drzewa, żelaza, jakiegokolwiek zresztą, byle kolumny; każdy je stawia w miarę możności i gustu.

W Washington'ie znajduje się z pół tuzina wspaniałych gmachów publicznych, porozstawianych w przestrzeni, jak oddziały sztabu, oczekujące na bataliony domów. Z gmachów tych każdy przedstawia jakiś pomnik starożytny. Pałac kommissyi skarbu naśladuje świątynię Minerwy w Ate-

nach, *Patent office*, dawny Panthenon; a poczciwi mieszkańcy najzupełniéj są przekonani, że kopiując Greków, prześcignęli swe pierwowzory.

Ze wszystkich tych zabudowań poświęconych służbie krajowéj, najbardziéj zajmującym jest *Patent office*, którego imię nie wskazuje wszystkiego co zawiera. Jestto muzeum razem przemysłowe, historyczne i etnograficzne całych Stanów Zjednoczonych. Po jednéj stronie ujrzysz tam modele wszystkich machin obdarzonych patentami swobody; po drugiéj kollekye zoologiczne i ornitologiczne, zebrane przez kapitana Wilkes w wyprawie na wyspy Oceanii; daléj portrety naczelników dzikich pokoleń, sporządzone z polecenia biura do interesów indyjskich. Nakoniec, w oddzielnych przegrodach, pokażą ci niektóre pamiątki narodowe: oryginalny akt niezawisłości rzeczypospolitéj, laskę Franklina, szlify, surdut i palasz Washington'a, widelec żelazny i talérze, których używał w obozie. W malém miasteczku Alexandryi, o kilka mil ztąd odległém, przechowują sukienkę dziecinną, w którój Washington został ochrzczonym, scyzoryk podarowany mu przez matkę, kiedy miał lat dwanaście i guzik z jego surduta. Zapewne, że wszystko co się wiąże z pamięcią wielkich ludzi, na głębokie zasługuje poważanie. Narody, czcząc imiona prawodawców i wojowników swoich, uświetniają same siebie. Ale dlaczego purytanie amerykańscy wyśmiéwają się z relikwii katolickich? Święci kościoła więcéj dla świata uczynili, jak wszyscy ich bohaterowie. Jeżeli szermierze walki o niepodległość uwolnili Amerykę od jarzma angielskiego, to święci męczennicy ochronili nas wszystkich od barbarzyństwa; jeżeli wychodźcy purytańscy byli założycielami kolonii, która olbrzymie przybrać miała rozmiary, to i walczący za wiarę, w dzikich nieraz krainach, wśród największych niebezpieczeństw, stali się rozsiewcami oświaty.

Niepodobna opuścić Washington'u, nie poznawszy największój w nim znakomitości, prezydenta rzeczypospolitéj. Przyjemności téj łatwo zresztą dostąpić. Prezydent mieszka naprost dwudziestéj ulicy, w wykwintnym pałacu, którego ściany białomarmurowane dały powód do nazwania go *White house* (dom biały). Przybytku tego nie strzeże ani warta, ani w nim zgraja galonowych służalców broni wstępu biédakowi w wiejskiéj siermiędze,

Raz na tydzień podwoje otwarte są dla wielkich i małych, dla panów i sług, bez względu na położenie towarzyskie, bo wszyscy tam są równi, wszyscy jednego używają prawa. Pierwszy lepszy kolonista, przybywszy w piątek do miasta za sprzedażą, jeśli wieczorem nie wie co z sobą począć, widząc oświecone okna białego pałacu, mówi sobie: pójdę do prezydenta. Nie potrzebuje nawet wyszczotkować kapelusza, lub bóty z kurzu otrześć, bo jest obywatelem rzeczypospolitej, a prezydent piastunem władzy ludowej.

Cudzoziemca nieposiadającego tej godności, przedstawia zwykle ktoś osobiście prezydentowi znany. Przebywa się przedpokoje, w których ani znaku służącego, i wchodzi wprost do salonu, bez poprzedniego zameldowania. Tam prezydent, mimo podeszłego wieku, stojący czyni honory. Towarzysz twój zbliża się do niego, podaje mu rękę i rzecze: *How do you do?* (Jak się pan ma); potem wymawia twoje nazwisko, prezydent zwraca się do ciebie, i podając ci również rękę, powtarza: *How do you do?* I tak każdy z nowo-przybyłych wymienia z nim uściśnienie ręki i sakramentalne: *How do you do?* Za tę przyjemność przyjmowania w marmurowym swym pałacu czeredy, której gdzieindziej do

przedpokoju by nawet nie wpuszczono, prezydent pobiera rocznie pięć tysięcy dolarów. W istocie licha to płaca!

Z Washington'u statkiem parowym w przeciągu godziny stanąć można w Alexandryi, na zachodnim brzegu Potomac'u. Ztamtąd po ścieżce wiodącej przez lasy kasztanowe, wzgórza i równiny, przybywasz pieszo do *Mount-Vernon*, niegdyś mieszkania amerykańskiego Cyncynata. Poświęcony to przybytek, do którego każdy Amerykanin z religijnym zbliża się uszanowaniem. Tu nieśmiertelny Washington, wywalczywszy niepodległość swjej ojczyzny, spoczywał w wiejskiej samotności, opodal od życia publicznego. *Mount-Vernon* jestto willa w stylu włoskim, otoczona obszernym parkiem, rozciągającym się aż do brzegów Potomac'u. Nad rzeką pokazują podróżnemu dawny grób Washington'a, zupełnie dziś zniszczony. Drugi grobowiec, z trwalszego materiału, wystawiono mu w znacznym od rzeki oddaleniu. W roku 1830 przeniesiono tam zwłoki bohatera, na którego mogile, zamiast szumnych pochwał, prosty tylko napis: *Jam jest zmartwychwstaniem i życiem!*

L. J.

## Ł O Ś.

Zwierzę to, którego ojczyzną są kraje północne dawnego i nowego świata, napotykanie niegdyś we wszystkich niemal prowincjach naszego kraju, przed kilkudziesiąt laty zamieszkujące już tylko puszcze po lewym brzegu Wisły, a niedawno jeszcze widziane w lasach około Rajgrodu, dziś znikło zupełnie, i chyba jako wędrowiec spłoszony z lasów pruskich lub litewskich, niekiedy się pokaże. U nas więc pozostała jedynie 'pozgonna pamiątka po rodzie tej niegdyś znakomitej ozdoby lasów naszych: ustne między ludem podania, gdzienie-

gdzie jeszcze między łowieckimi trofeami rogi, nazwy osad, wsi, miast, a nawet rodzin, które nam losia długo będą przypominały. Za przyczyny wytępienia tego zwierzęcia podają jużto powiększenie się ludności, postęp uprawy kraju, ciągły ubytek lasów; już przemagającą ilość drapieżnych zwierząt i nieporządne polowanie, owo zapamiętałe dybanie na zwierzynę, bez względu na czas, wiek zwierzęcia i jego liczbę w kniei. Niech tylko rozejdzie się i dziś między ludem jakiej okolicy wieść, że na czteromilowej tam przestrzeni znaj-





duje się gdzieś para bobrów, a w obszernym na milę lesie gnieździ się para ptasząt zwanych remiż, zaraz wszystkich okolicznych mieszkańców poruszy nieoporna ciekawość, (bo ta zwykle przewodniczy wszystkim tego rodzaju szkodom), i wszyscy ją zaspokoić zechcą: starsi, dojrzały wyszukają bobrów, choćby się nie wiem jak kryły; chłopcy nie odpoczną aż wyśledzą remiże. Czy poprzestaną na podziwianiu wodnych budowli i osobliwych obyczajów bobra, a prawdziwie sztucznej i mozolnej tkaniny gniazda remiża? Nie. Starsi pozabijają bobry, rozrzucają ich kopce, tamy; młodzi zabiorą gniazdo z jajkami, czyhać będą na same ptaszynki i wrócą smutni, gdy się im wandalizmu zupełnie dokonać nie uda. Nie można uniewinnić ludzi, że wytępił bezbronny i płochliwy łosia, aby im szkód nie wyrządzał, bo te były nader małe; ani dlatego, że ubicie sztuki jego znaczne im przynosiło korzyści, bo taka rachuba najmniejszą pewno dla nich była pobudką. Jakiż ma zysk z ubicia dzikiej kozy Szwajcar, Tyrolczyk, a widzieliśmy już ile razy na dzień, na godzinę, naraża się na wieczne kalectwo lub utratę życia.

Naznaczając powyższą ogólną, a główną przyczynę wytępienia u nas łosia, nie mam bynajmniej zamiaru obwiniać samych tylko współziomków o ten brak u siebie gospodarstwa; nie lepiej postąpili Niemcy północni, u których niegdyś ten rogacz równie był pospolitym, a obecnie ledwo w pewnej części Prus wschodnich, i to pod najściślejszą strażą, zachować go jeszcze zdołano. Ten sam los spotkałby żubra, choć żyje w tyle obszernej puszczy białowiezkiej, gdyby go opieką surowych na niszczycieli praw i pilną strażą nie otoczono. Sąto jednak wyjątki, które nie wiem na jak długo ród niewinnego zwierza od ogólnej zagłady ochronić zdołają. O gdyby z takim skutkiem polowano i dybano na szkodnego wilka i podobnych mu niszczycieli! Byłaby to godniejsza odwagi człowieka walka; bo wilk, jak z natury jest przebiegły, śmiały, gdy go potrzeba nasycenia żarłoczności podżega, tak sposobem żywienia się, w gospodarstwie wiejskim w ogólności i w lesnym jest nader szkodliwy i przytém mnożny. Ale wytępienie go jest nierównie trudniejsze; onto bywa główną zaporą ku doprowadzeniu w lasach naszych szacownej zwierzyny do należytego stanu

i sprawcą zupełnej zagłady niektórych jej gatunków.

W rzedzie zwierząt przeżuwających czyli bydła, łoś, należąc do bardzo licznej w gatunki rodzaju *jelenia* (*cervus*), nie zdołał nadać mu, jak widzimy, swego imienia, chociaż jest w nim największy wzrostem; szlachetniejsza, estetyczniejsza, iż tak powiem, postać, ruchy ciała, fizyognomia i charakter jelenia, więcej zajmowały uwagę człowieka i bardziej się mu w tym pełnym życia i ognia gatunku podobały.

Łoś liczbą, gatunkami i kształtem zębów, (przednich w szczęce dolnej ośm, w górnej żadnych, trzonowych w obudwóch szczękach z każdej strony po sześć, czyli razem trzydzieści dwa, bo kłów, których nie braknie jeleniowi, nie ma żadnych); dalej rogami co rok zrzucającymi, wysmukłymi, wysokimi nogami, które się kończą we dwie racice i dwa z tyłu nieco wyżej osadzone na nich kopytka, krótkim ogonem, szorstką, kruchą, bez puchu na ciele sierścią, w ogólności ciemno-brunatną lub kasztanową, z wiekiem atoli i porą roku odmienną, jest dosyć podobny do jelenia. Różni się zaś od niego mniej powabną, cięższą postacią i budową ciała, przemagającą siłą, wyższym wzrostem, i w ogólności większą wagą, długą na szyi, łopatkach i podgardlu sierścią, w kształcie grzywy, którą rozgniewany najeżać może; tułów jelenia jest walcowaty, wysmukły, lekki, łoś zaś beczkowaty, ciężki; głowa zadługa, szyja zakrótka, wargą górną grubą, od spodniej dłuższą. Pierwszy, obdarzony bystreimi zmysłami, ostrzeżony niemi o zbliżającym się niebezpieczeństwie, rączym jak wiatr unika ich biegiem; kiedy drugi, spuścić się nie mogąc na swe tępsze zmysły, w bezustannej tylko lęklivosti i unikaniu nieprzyjaciół szukać musi ocalenia. Ztąd, lubo obadwa te gatunki żyją w lasach, odmiennie jednak okolice przeznaczyła im natura na mieszkanie. Jakoż jeleni lubi lasy wzgórzyste, a na równinach te miejsca wybiera, gdzie grunt jest twardy, dla jego biegu dogodny; oprócz trawy ulubione mu są młode liście i dojrzałe zboża, i dlatego pokazuje się w gajach naokoło zbożem obsianych. Nie lęka się zbyt nie sąsiedztwa ludzi, ztąd widzimy go w krajach nawet gęsto zaludnionych, byleby miały dość jeszcze obszerne lasy; pewny jest, że swych nieprzyja-

ciół zdaleka zobaczy lub zwietrzy i uchroni się niebezpieczeństwa. Wcale inaczej rzecz się ma z łosiem; przyrodzenie skazało go na mieszkanie w dzikich i odludnych okolicach. Wielkie i gęste puszcze są jego siedliskiem, i to jeszcze takie, do których trudny jest przystęp ludziom; których położenie jest niskie, grunt trzęski, wilgotny i w rozległe bagna obfitujący. Mówią, że zbyt grzazkie błota przebywać ma leżąc na boku i popychając się długimi nogami, jak wiosłami. Rokicina, olsza, brzoza, trzcina i tym podobne gatunki drzew, krzewów i ziół głównie mu za pokarm służą. Nie dziw więc, że łosć ustępuje z krajów zaludnionych, gdzie przerzedzają się lasy, osuszają bagna, gdzie częściej zdarza mu się napotykać ludzi, którym on, równie jak najslabszemu ze swych nieprzyjaciół nie ufa. Skoro zaś raz okolicę opuści, nie wróci już do niej, bo tulać się i błakać nie lubi, tylko stale trzyma się miejsca w którym się urodził i wychował.

Powiedzieliśmy już, że łosć w swym rodzaju największym jest gatunkiem; samiec w ogólności większy od samicy, rogaty, kiedy samica zawsze bezrożna; w przodzie wysoki bywa do siedmiu stóp, a zatęm wyższy od konia, którego wzrost rzadko kiedy, w tej części ciała, sześć stóp przechodzi; w tyle niższy i ogólna długość ciała znacznie mniejsza od jego wysokości, co jest wyjątkiem w ogólnym ukształtowaniu zwierząt. Dlatego ani tak bieży, ani do takich skoków zdolny jak jelen; zwyczajnie łosć biegnąc lub uciekając, klusuje tylko, ale dlatego samego że nogi ma dłuższe jak u jelenia, robi kroki bardzo szerokie, a robi je tak prędko, iż w chyżości biegu nie ustępuje jeleniowi. Na ziemię kładzie się i podnosi z największą łatwością. Dłuższa, jak nadmieniliśmy, warga wierzchnia od spodniej o trzy cale, dała powód dawniej do błędnego mniemania, że łosć ścina trawę w tył się cofając.

Głowę trzyma zwykle na dół spuszczoną, jakby jarzmo lub inny ciężar dźwigał, czego może krótkaszyja jest przyczyną; w rzeczy samej dźwiga na niej potężne rogi, częstokroć pięćdziesiąt i więcej funtów wążące. Rogi te, jak u jelenia, co rok rzrucane, są pełne, kościane, w tém od jelenich różne, że ich łodyga nie jest gałęzista, ale płasko coraz bardziej ku końcowi rozszerzona, dłoniasta, na jednej tylko zewnętrznej krawędzi sękata, któ-

rychto sęków bywa na rogu tém więcej, im łosć jest starszy. Waga starego, rosłego samca wynosi sześćset i więcej funtów, a sama skóra surowa wazy do sześćdziesięciu funtów.

W miesiącu wrześniu, kiedy pora grzania się przeminie, łosć ciągnie w okolice wzgórzyste, wodami niezalane, gdzie jednak są gęstwiny osiki, brzozy, topoli, rokiciny, a nawet młodocianych sosen, i tam bawi aż do kwietnia. Latem, i dopóki gorąco, prawie nigdy nie trafi się spotkać go w wzgórzystych okolicach; na tę bowiem porę obiera sobie mieszkanie po nizinach, po lasach wilgotnych, w bagna i wody obfitych, bez których łosć nigdy obejść się nie może; zimą tylko pragnienie śniegiem gasi; latem częstokroć zwykł plawić się w wodzie, lub cały, prócz głowy, nurzać się i tarzać w błocie, którym, podczas upałów cały bywa pokryty, dla ochrony przed dokuczliwymi owadami.

Pożywieniem łosia, jak się już nadmienilo, są młodociane gałązki, pączki i liście drzew krajom północnym właściwych, zjada także latorosle drzew iglastych, zresztą trawy, mianowicie wysokie, na miejscach wilgotnych; na zboża dopóty tylko wychodzi, dopóki są w trawie, młode, dojrzałych zaś i wykłoszonych nie tyka. Nie można więc obwiniać go o szkodliwość dla wiejskich gospodarstw. Korę z drzew liściowych obgryza na wiosnę, z iglastych zaś w lutym i marcu. Gdy gałęzi pyskiem dosięgnąć nie może, nagina odnogi i młode pieńki rogami.

Łosć jest zwierz towarzyski, żyje familiami, częstokroć z kilkunastu sztuk złożonemi, mianowicie z dorosłej samicy, z jednej pary dwuroczniaków i kilkorga młodych niedawno urodzonych łosiąt. Za zbliżeniem się pory grzania, w końcu sierpnia lub we wrześniu, samica oddala się od stada, jak gdyby nie chciała mieć dzieci świadkami nowych związków; potem jednak do nich wraca. Za jedną samicą, w tej porze, ubiega się czasem, mianowicie w lasach gdzie mało jest tej zwierzyny, kilku samców, i owe łagodne, kiedyindziej zwykle w największej zgodzie żyjące z sobą zwierzęta, teraz zacięte i krwawe zwykły staczać boje. Pokonany samiec natychmiast ustępuje placu zwycięzcy i gdzieindziej idzie szukać szczęścia. Samica około dziewięć miesięcy plód nosząc, w połowie maja lub czerwca, instynktem wiedziona, szuka na ustroniu miejsca w niedostępnej zarośli i tam



składa, pierwszy raz i za młodu, jedno cielątko, potem zwykle po dwoje. Młode łosiątko, poleżawszy pół godziny na ziemi, podnieść się na nogi usiłuje, czego gdy dokaże, jeszcze nie stąpa, ale matka liże je, i pyskiem lekko potrącając, zdaje się zachęcać je i dawać pierwszą lekcję chodzenia. Przez cały dzień pierwszy matka na krok nie odstępowała dzieci, jest z nimi sam na sam, a one ssaniem się zabawiają. Drugiego dopiero dnia wychodzi za wyszukaniem sobie pokarmu. Po trzech lub czterech dniach dzieci już biegają za matką, która je wtedy w grono rodziny wprowadza. Nie są one z młodu pstrokate, jak jelonki, ale jednej prawie maści płowej, i z dwojga zwykle jeden samczyk druga samiczka. Matka wodzi je zawsze, troskliwie ma o nich staranie i broni od wszelkiej napaści.

Oprócz ludzi którzy się najwięcej do wyniszczenia łosi przyczyniają, oprócz chorób jakimi są dyarye, suchoty i zapalenie śledziony, którym to zwierzę podlega i które kres jego wieku (ośmnaście lat) rzadko kiedy przechodzić mu pozwalają, nieprzyjaciółmi jego są wilk, niedźwiedź, lis, pies domowy i owady. Zmysłem słuchu najwięcej się ratując, łos leżący, posłyszawszy najmniejszy szelest, podnosi się i nie uciekając zaraz, stara się wprzód przekonać o niebezpieczeństwie; zatem stojąc wietrzy i pilnie na wszystkie strony ogląda się. Łosie tak są trwożliwe, że będąc nawet w kilkunastu, gdy spostrzegą człowieka który się do nich przybliży lub skrada, pierzchają natychmiast i póty biegną, póki się dostatecznie od swego nieprzyjaciela nie oddalą. Zoczywszy kogo na koniu, na sankach lub wozie jadącego, wcześniej zmykają, i ta ostrożność, jak się zdaje, musi być u nich skutkiem doświadczenia. Huk strzelby zbyt nie łosia nie przeraża, i dlatego gdy strzał był chybiony, bieży on dalej z jednostajną spokojnością i niewiększą prędkością. Wtedy, zachodząc mu drogę, można raz jeszcze do niego zbliżyć się i powtórnie strzelić. Z tego się przekonujemy, że każdy ze strzelbą w ręku, bez psów, łatwo go zabić może. Załączona tu rycina wystawia polowanie na łosie, do których, oblawa nad błotną strugę napędzonych, konni strzelcy, na przeciwnym jej brzegu czekający, strzelają.

Wilk najstraszniejszym jest w Europie i Azji nieprzyjacielem łosia; zamało on wprawdzie ma odwagi, iżby przy największym głodzie, pojedyn-

czo nacierał na starego łosia, który, spostrzegłszy go, staje śmiało do obrony i silnym wierzganiem tylnymi, lub deptaniem przednimi nogami, zmusza go zawsze do odwrotu; ale w zimie, wilki w stada połączone, wspólnie go napastują, przyciśnione zaś głodem na całe stado napadają, usiłując albo którego odłączyć, albo napędzić na niezamierzone oparzeliska, lub na gołe lody, po których łosie bez upadku, biegać prędko nie mogą. Widziano nieraz jak gromada wilków całe stado łosi otoczywszy, pędziła je w strony śliskim lodem pokryte, i skoro się tam który potknął, stawał się ich zdobyczą. Taki fortel powtarzają niezmordowanie póty, póki im się nie uda, lub póki się łosie daleką ucieczką nie ocala. Czasem wilk pojedynczo, ukradkiem napada paszącego się łosia, rzuca się nań z tyłu, a łos szybko uciekając ciągnie go w gęstwinę, gdzie go wilk, mocno tylko zranwszy, puścić musi. Lecz biedne młode łosie nie ocali się tym sposobem. Polują także na nie wilki w czasie wielkich, po wierzchu zeskorupiałych śniegów, po których łosie grzęznąc, prędko uciekać nie mogą.

Niedźwiedź, lubo w lasach europejskich mniej od wilka gęsty, i w ostatniej tylko potrzebie mięsa na pokarm szukający, ale zato niezmiernie silny, czasami, według zapewnienia myśliwych, rzuca się na pojedynczo paszącego się łosia, wskakuje mu na grzbiet i trzymając się łapami, ściska, bije, i albo z tyłu w głowę albo w szyję zadaje mu ranę, z której krew wysysa. Nadaremnie wtedy łos z nim ucieka, rzadko kiedy wymknie się spod morderczych łap drapieżcy, i często w parę minut upada; wtedy go niedźwiedź kilkakrotnym uderzeniem dobija, wydziera mu wnętrzności, pożera płuca, wątrobę, serce, a nasyciwszy się do woli, resztę przykrywa liściem, mchem, gałęziami, czém może, robiąc sobie zapas na inny czas, w braku świeżej zdobyczy, i kilka razy potem na ucztę przychodzi.

Lis, najprzemysłniejszy z pomiędzy drapieżnych kraju naszego zwierząt, nie mając odpowiedniej siły, nie napastuje starych łosów ani ich pokonać potrafi, same więc tylko małe łosiąta stają się jego łupem. I na tę jednak słabą zdobycz nigdy otwarcie nie naciera, ale milczkiem podejść i niespodzianie na oparzeliskach wysoką trawą zarosłych paszących się łosiąta podchwycić usiłuje. Krew, serce,

jelita są najulubieńszym jego pokarmem; te tylko części z rozszarpanego zwierzęcia pożera, reszty nie tyka, zostawia na miejscu, i już do niej nie wraca.

Psy domowe, czyto kundle czy ogary, szczególnie gdy im wolno zwiedzać las samopas, napaść wytropionego łosia. Nie lęka się on ich napaści i gotów odeprzeć ją; ale nie lubiąc być niepokojonym, gdy się to często powtarza, opuszcza knieję i przenosi się do innej, tém odleglejszej, że psy gończe daleko ścigać go zwykły, bo łos drogi swój nie krzyżując, a mocny wiatr po sobie zostawiając, daleko ich za sobą prowadzi.

Nakoniec prawdziwą plagą dla łosia, jak i dla wszystkich gatunków zwierząt przeżuwających, są dokuczliwe owady, które, lubo go nie zabijają, to przecież nieznośnie dręczą, jak np. gież, bąk, komar i wiele innych. Jedne ukłuciem wysysają z niego krew, drugie składają swe jaja na wierzchu skóry, między sierścią lub w nozdrzach i otworze odchodowym. Z tych jaj wylęgają się gąsienice, w postaci małych robaczków, z których jedne wgryzają się pod skórę, osobliwie młodych zwierząt, i tam rosną, tworząc pod nią guzy, przez co widzimy skórę tych zwierząt, od połowy lata aż do jesieni, podziurawioną; drugie zaś z nozdrzy dostają się do pyska, albo się głębiej jeszcze zapuszczają. Dlatego łosie w gorącej porze trzymają się błot i wody, niektóre nawet, więcej przemyślnie, starają się być wtedy całe błotem pokryte.

Ilużto, jak widzimy, niewinny łos ma nieprzyjaciół, ilu niebezpieczeństw otoczone jest jego życie? Dziwić się będziemy, iż ród zwierzęcia bezbronnego, bo potężne rogi raczej mu są ciężarem, jak ochronnym orężem, iż mówi ród jego z każdym rokiem uszczupla się na ziemi i przewidzieć można, że, jak wiele mu podobnych, zupełnie zaginie. Probowano oswoić go, w nadziei że jako silne zwierzę, użyć się da do prac człowiekowi po-

żytecznych, ale upór łosia nie pozwolił na takie transakcje. W Prusach wschodnich, złapawszy młode, ledwo kilka tygodni mające łosięta, krowom do karmienia je poruczono; ssaly swe mamki z upodobaniem, pasły się z niemi na łąkach, i dosyć sporo rosły; latem jednak, gdy nastaly gorąca i owady latać zaczynały, uciekały do stajni szukając tam schronienia. Na zimę trzymano je w stajni, uwiązane do żłobu, gdzie chętnie jadły siano, owies i znacznie od tego pokarmu tuczyły się. Ale wszelkie usiłowania aby przyzwycząić łosia do jazdy, dźwigania, ciągnięcia, lub przynajmniej pomieszania go z innymi zwierzętami, były bezskuteczne. Większa ich część w drugim roku pozdychała i bardzo mało do roku trzeciego dochować zdołano. Upały dla nich były zabójcze; w tym czasie niezmiernie chudły, poczem w jesieni lub na początku zimy zdychały. Bo téż naturalnie żyją tylko na północy, od 51 do 64 st. szerokości, i więcej ich jest w północnej Ameryce, niż w Azji i Europie.

Mało jest w naturze zwierząt równie jak łos użytecznych. Jego rogi, szacowne kością, służą do tych samych wyrobów co jelenie. Przednia na zamsz wyprawiana skóra, miękka, ciągła, sprężysta, po wilgoci nawet wysuszona nie twardnieje. Jego mięso lepsze jeszcze jak jelenia, wyborym, zdrowym jest pokarmem. Indianie amerykańscy mówią, że się długo bez zepsucia utrzymuje, a znaczną bardzo dostarczyć go może masę łos przeszło sześć set funtów ważący. Dawniej u nas ubijano łosie w jesieni, a zapakowane w beczkach ich mięso przechowywało się dobrze aż do marca. Róg z racie używa się w tokarstwie; łój daje piękne świece; sierść do tapicerskich wyściełań ma być lepsza od bydłowej; kość w wielu użytkach zastąpić może słoniową i nigdy białości nie traci, a mocne ścięgna posłużyćby mogły, zamiast nici, do zszywania rzemieni.

L.

## PRZYŁĄDEK DOBRÉJ NADZIEI

### I

#### KAFFROWIE.

Na sześć set lat przed N. Chr. Fenicyanie, z rozkazu egipskiego króla Faraona Necho opłynęli całą Afrykę, a zatem i przyładek znany dziś pod ogólnym mianem Kapu czyli przyładka Dobréj Nadziei. Ten sam król miał, wedle podania historyków, rozpocząć przekop przez międzymorze Suez, który aż do jezior Słonych podobno doprowadził, jak inni zaś dziejopisarze twierdzą, całkiem ukończył. Tak więc, po dwudziestu pięciu wiekach, ta sama myśl wraca, ta sama potrzeba czuć się daje, i Anglicy dziś nie żartem biorą się do uskuteczenia dzieła, nad którym już głowa egipskiego Faraona pracowała. Opłynięcie jednak całej Afryki zawsze uważano za rzecz prawie niepodobną. Dzieje Fenicyan wspominają, że jakiś dworak, z łask wypadły u Faraona, skazany był, wedle swego wyboru, albo na śmierć, albo na żeglugę około téj wielkiej części ziemi. Po próżnych usiłowaniach dworak, wróciwszy z niczém, wołał się poddać śmierci, jak powtórnie rozpoczynać przedsięwzięcie.

Dopiero w r. 1493 Bartłomiej Diaz odkrył nowo przyładek wzmiankowany i nazwał go *Cabo dos Tormentos*, to jest przyładkiem burz. *Vasco de Gama*, opływając tenże przyładek w r. 1497, dostał się morzem do Indyj, czém odebrawszy wszechwładną wówczas pani morza, Wenecyi, korzystny monopol handlu, nową epokę, szczęśliwą i pełną pięknych nadziei, dla Portugalczyków otworzył. Ztąd téż ów cypel przezwano przyładkiem Dobréj Nadziei, *Cabo de Bon Esperance*. Okręty portugalskie, przejeżdżając na Wschód nową drogą, zatrzymywały się tu wprawdzie dla nabrania wody i zaopatrzenia się w co się dało, ale o założeniu jakiejś bądź osady nikt nie pomyślał. Przy każdym spotkaniu dzicy mieszkańcy tych krain staczali krwawe z Portugalczycami zapasy, a historia nam opowiada, że w boju z nimi r. 1510 poległo raz 75 Portu-

galczyków, w których liczbie sam wice-król Almeida. Lecz Portugalczycy obmyślili sposób odplacenia dzikim za poniesioną krzywdę. Przejeżdżając około przyładka zostawili na brzegu, jakby w podarunku dla krajowców, wielką armatę, którą aż po czeluść prochem i kulami naładowali, sami zaś oddalili się od pobrzeża. Dzicy zaledwie spostrzegli ciekawy a nieznanym im przedmiot, którego nabyciem z góry się już radowali, gdy tłumnie gromadzić się poczęli około dziwotnej istoty, nie domyślając się bynajmniej, że ona była śmiercionośnym narzędziem. Osmieleni nieruchomością owęj pozostawionej im istoty, jeśli się już brać do zaciągnięcia jej z sobą w głąb kraju, gdy nagle, po dopaleniu się zażgniętego lontu, straszliwy huk się rozległ, z ognistej paszczy sypnęły gromy śmiertelne i kilkudziesięciu nieszczęśliwych padło trupem. Rozbiegli się z przerażeniem pozostali, Portugalczycy zaś, obawiając się zemsty, przez sto lat blisko pokazać się na przyładku nie śmieli, aż dzicy tutejsi zapomnieli już prawie, że biali na świecie istnieją.

Idąc za przykładem Portugalczyków, Holendrzy żwawo się także wzięli do handlu z Wschodnimi Indjami, i około roku 1600 okręty holendersko-ostindyjskiej kompanii często Kap nawiedzały. Był to dla nich wszystkich stacya wypoczynku, gdzie się w wodę zaopatrywali i listy w piasku zakopywali, pod pewnymi znakami, po których wracające okręty łatwo je odszukać i do rodzinnego kraju dowieźć mogły. W r. 1620 Humphrey Fitzherbert i Andrzej Schilling, dając dowód niepospolitej odwagi, z dwoma okrętami kompanii zajęli całą tę krainę w imieniu króla Jakóba I.

W r. 1648 okręt *Haarlem*, należący do holendersko-ostindyjskiej kompanii, rozbił się na brzegach Kapu, a osada, ocalawszy, kilka miesięcy

przebywała na jego ziemi. W czasie tego pobytu miano sposobność zapoznania się z gruntem i płodami tych krain. Jeden z bawiących tam marynarzy, Leendart Jantz, po powrocie do kraju zrobił do rządu przedstawienie, ileby korzyści przynieść mogło założenie warownej osady i ogrodów ponad zatoką Tafel. Handel holenderski zyskałby przez to wiele bardzo pięknych płodów, okręty do Indyj żeglujące miałyby wygodę, a co najważniejsza, Hiszpanie i Portugalczycy nie mogliby już Holendrom żadnej krzywdy w tej drodze wyrządzić. Dyrektorowie kompanii mało zrazu zwrócili na to przedstawienie uwagi, a przynajmniej nie przedsięwzięli coby odpowiadało jego treści; wiadać niebardzo dowierzano zdaniu jednego, i to nieznanego, człowieka. Dopiero gdy doktor Jan van Riebeck, znany chlubnie jako badacz przyrody i mąż wielce uczony, w kilka lat później poparł przedstawienie Leendarta własną opinią o tych krajach, które poznał dokładnie, dyrektorowie szczerze wzięli jego wniosek pod rozwagę. W tym samym jeszcze roku oddano mu, za przyzwoleniem rządu, zwierzchnictwo nad trzema okrętami, z poleceniem udania się na przylądek i wprowadzenia tam w wykonanie swych planów. Zręczny w działaniach van Riebeck, podarkami i świecidełkami nieprzenoszącymi wartości 50,000 guldenów, potrafił sobie zjednać przyjaźń okolicznych plemion i przychylność ich zwierzchników, tak iż dozwolili mu urządzać osady wszędzie, gdzie mu się tylko miejsce podoba, na obszarze całego kraju.

Holendrzy nazwali dzikich krajowców *Hottentotami*, ale dlaczego tak ich ochrzcili, wiedzieć niepodobna. Tęm dziwniejszą ta nazwa się wydaje, że podobnego wyrazu w mowie tuziemców wcale niema. Lud ten podówczas był prawie zupełnie dziki, koczujący, brudny, tępy i leniwy do wszelkiej roboty. Posiadał liczne bardzo trzody, z których miał pożywienie i bydło do pociągu. Niedoleźstwo i tchórzostwo zrobiło go niezadługo igraszką innych poblizkich plemion, które go według woli z miejsca na miejsce przeganiały, dopóki go zupełnie w głąb kraju nie zapędziły. Większa część tego pokolenia Hottentotów wyginęła to w bojach, to tknięta ospą lub odrą, które się między nich zakradły.

Van Riebeck, opisując Hottentotów, powiada, iż żyją rozdzielni na drobne gromady, między so-

bą wzajem się nienawidzące i niszczące, a co do bytu i pomyślności istnienia, nadzwyczaj od siebie różne. Jedno z tych plemion żyło na brzegach zatoki Tafel samemi jedynie korzonkami i ślimakami. Inne plemiona, choć zawsze w przyjaznych z Holendrami zostawały stosunkach, śmieliej im jednak niejednokrotnie stawiały czoła. Niewypowiedziane kłopoty, mokoły i trudy ciągle przewodniczyły wszystkim czynnościom osadników; trzeba było żelaznej wytrwałości i woli, żeby nie popaść w zupełne zniechęcenie. Znajdowali się tacy, co nie mogąc już wytrzymać tych dolegliwości, i mając nadzieję zapewnienia sobie szczęśliwszej doli, puszczali się do Mozambiku, ale i z tamąd, ze skruszonym sercem, wracali napowrót do swoich. Tu choć ciężko było pędzić żywot fraszobliwy zdala od całego świata cywilizowanego, ani słychu nawet o nim nie mając, przyjemniej przecież czas schodził przy wspólnej biędzie, jak w cząstkowym rozdzielaniu. Takto ci pierwsi zasiewacze europejskiej cywilizacji w dzikich jeszcze niedawno krainach, prawdziwymi sprawami jej nazwałby się mogli męczennikami.

Choć najwytrwalszy ze wszystkich i sam zwierzchnik nieograniczony całej osady, której był ojcem, Jan van Riebeck tak jednak niezadługo zmierzył sobie dostojność swą i życie w tych bezludnych puszcach, że gdy 1653 r. zawinęła do jego pobrzeży wracająca z Batawii flota, by w żywność się opatrzyć, przesłał za jej pośrednictwem nagłą do dyrektorów kompanii i do rządu prośbę, o przeniesienie na jakiebądź inne miejsce, wyluszczając w powodach, iż siły go zupełnie opuszczają wśród tak leniwego, cuchnącego, głupiego i ciężkiego narodu, z którym aby dać sobie radę wcale wyższych zdolności posiadać niepotrzeba, i byle kto na takie miejsce się przyda.

Lat dziesięć jednak zostawiono go przy namiestnikostwie Kapu, którego ważność teraz dla wszystkich oczu była już jawną. Sprawował swą posadę van Riebeck, choć mu to nie po sercu było, z męską prawdziwie sumiennością, i w czem tylko zdołał, do pomyślności i dobra osady się przyczynił. Za jego rządów zrobiono kilka wypraw w głąb kraju, dla odkrycia bajecznego miasta Mozopotama, gdzie spodziewano się wynaleźć miejsce, z którego król Salomon czerpał olbrzymie swe skarby.

Roku 1662 Jan Antoni Riebeck przelał zarząd osady na swego następcę, zostawując mu po sobie, jako instrukcją, usilne polecenie: aby zawsze starał się jak najdalej dostać w głąb kraju, zapasy żywności i wszystkiego co okrętom przejeżdżającym może być potrzebnem w pogotowiu trzymał, trzody ciągle powiększał i o uprawie zboża, wina i oliwy jak najpilniej pamiętał. Od owego czasu pomysłność kolonii i dobry jej byt wzrastał znacznie i w ciągłym szedł postępie, aż do chwili gdy ją Anglicy pod swoją zagarnęli władzę; dzieje jej w tym przeciągu czasu nic, prócz zwyczajnego nie przedstawiają życia.

Protestanci francuzcy, unikając prześladowań pod panowaniem Ludwika XIV, dość licznie się tu z rodzinami osiedlili. W roku 1795 gdy Holendrzy popadli pod panowanie Francuzów, których Anglicy najzaciętszymi zawsze byli wrogami, tym ostatnim przyszła myśl przezorna, że najwłaściwiej a wcale korzystnie byłoby, aby przyładek Dobrzej Nadziei należał do nich, jako jedynych panów handlu z Indyami Wschodnimi. W skutek tej głębokiej i logicznej myśli rząd, nie zwłócząc, wysłał flotę pod dowództwem admirała Elfinstone i generałów Clarke i Craig, którzy, wylądowawszy z wyprawą w zatoce Simona, kraj cały zajęli, a Holendrów zmusili do kapitulowania. W rok później Holendrzy chcieli odebrać wydartą sobie własność, wysłali flotę, ale napróżno; Elfinstone pobił wojska i flotę zabrał. Pokój w Amiens dopiero r. 1806 wrócił ukrzywdzonym Holendrom Przyładek, ale nie na długo; bo Anglicy pojeli, ile położenie i posiadanie jego jest ważnem, rzucili się więc zawzięcie na odbicie tego klejnotu, który raz już mieli w posiadaniu. Z przeważną siłą wylądowawszy, zbili na głowę opierające się wojska osady, zmusili je do kapitulowania i od tego czasu na piękne się tam już rozgospodarzyli, ufni w siłę i nienaruszoność swego prawa własności, które im pokój 1814 roku zatwierdził.

Wewnętrzne dzieje kolonii przyładka Dobrzej Nadziei przez długi czas były bardzo proste. Osadnicy holenderscy znacznie się rozmnażali i liczba ich powiększała się, podobnie jak się zwiększał ich dobytek, w licznie rozplodzonych trzodach głównie spoczywający. Spaszone w jednych miejscach łany, nie zapewniały już na przyszłość dostatecznego dla wielkich gromad owiec i rogatego

bydła strawy, właściciele więc ich posuwali się coraz dalej w głąb kraju. Nowo przybywający z Europy koloniści wybierali sobie miejsca nieco oddalone od głównego jądra osady, żeby więcej zyskać na paszy; potworzyły się powoli liczne pojedynczych właścicieli siedziby, szeroko rozprzestrzeniające zakres całej kolonii. Rozpostarciu temu, które raz dalej sięgało, niedołężne pokolenie Hottentotów czyli Quaików żadnego nie śmiało stawiać oporu, koloniści zatem robili sobie co chcieli, dopóki nie doszli na wschód do rzeki Niedzielniej, gdzie silną napotkali zaporę w srogiem i rączem do boju plemieniu Amakosa-kaffrów.

Plemiona Kosa przyszły tu dawnymi czasy z północnej Afryki, w tym samym mniej więcej czasie, gdy Holendrzy pierwsze osady swe nad zatoką Tafel założyli. O ile się zdaje, całą część południową Afryki na zwrotniku Koziorożca zamieszkiwali i w posiadaniu trzymali tak zwani Hottentoci, czyli Quaikowie. Amakosa (*ama* oznacza w narzeczu miejscowem liczbę mnogą od kosa) przybywszy odkupili od nich obszary gruntu, które pod wodzą naczelnika swego Tokuh zajęli. Z postępem czasu, jak Holendrzy z jednej strony, tak Amakosa-kaffrowie z drugiej, coraz dalej się posuwając, i widując się już od lat wielu dość nieprzyjaźnie, nareszcie doszli do krwawych między sobą nieporozumień.

Nazwa *kaffer* wzięta została z języka arabskiego, w którym oznacza *poganina*, niemoślemina, a Europejczycy przejęli ją od mahometańskich handlarzy niewolnikami znad brzegów Mozambiku. Nie jest to nazwa rodzima, ale służy na oznaczenie pewnej rasy murzynów w południowej Afryce, odróżniającej się zupełnie od Buszmanów, Hottentotów, ras Kongo i Loango, (które wraz z Howahami madagaskarskimi, stanowią rodzimą, pierwotną ludność południowej Afryki) barwą skóry jaśniejszą, żółtawą, oliwkowo-brunatną i rysami twarzy mniej wydatnie murzyńskimi, a mianowicie też mniej wystającą wargą dolną. Wszystkie te cechy szczególne naprowadzają na domysł, że Hottentoci, Buszmanie i t. d. pochodzą z krzyżowania się krwi murzyńskiej z pokoleniami azyatyckimi.

Kaffr bywa zwykle dorodny, wysoki, pięknie zbudowany; oczy ma żywe, zuchwałę, dzikością przerażające, wargi i kości licowe mało wystające, a na całej twarzy rozlany jakiś wyraz pojętności

i rozumu. Gęste jak wełna, zbite i kręcące się włosy okrą na czerwono sobie pudruje, a zpod płaszcza ze skór zrobionego, przez Europejczyków zwanego *karros*, widać wyglądające piękne, silne, czarne jego członki, których całość, gdy ujmie w dzielną dłoń dzidę swą długą, albo gdy osadzi sto zeprze się na potężnej maczudze, tak jest wspaniała i nadobna, że postać jego śmiało wtedy rzeźbiarzowi za wzór posłużyćby mogła. Kaffrowie dzielą się na niezawisłe plemiona, czyli klany, z których każdy ma osobnego naczelnika, ci zaś wszyscy pochodzą z rodu Toguh. Jestto naród pasterski, żyjący mléką i rybami; kradzież uważa się u nich za czyn bohaterski, i jako taki, w miarę ważności swój, największą czią i chwałą bywa nagradzana. Nic więc dziwnego, że niebardzo z ich sąsiedztwa mogli być kontenci holendercy Buerowie (Bauer, chłop), co tak spaszle posiadali trzody; jako i nie dziw, że pocziwym Kaffrom musiała ślinka iść do ust, na widok tego bydelka tłusciutkiego, co im pod same progi się pchało i wabić się zdawało do siebie. Mimo to wszakże czas jakiś obie strony żyły z sobą w zgodzie, dopóki Buerowie nie zaczęli tak następować posiadłości Kaffrów, że wypierać ich z dawnych siedzib, jakoby nachodźców zapragnęli. Ci téż, niewiele myśląc, i w prostym rozumie swoim tłumacząc sobie, że nie ma co robić sobie skrupułów z tak niepocziwym i napastniczym ludem, który ich spędza z grzęd ojcowskich, rzucili się zabierać im bydło i na piękne po bohatersku zaczęli się sprawiać około kradzieży trzód holenderskich. Poruszyła się wtedy ciężka flegmatyczność Buerów i prozaicznym wybuchła gniewem.

Od téj chwili zaczął się długi szereg nieprzyjacielskich kroków, które tyle złego sprowadziły na kolonię, a które trwając po dziś dzień, trapią obecnie Anglików niefortunną wojną z Kafframi. Uczucie Kaffrów proste i silne, umie doskonale słusność od niesłusności rozeznąć; długo byli oni cierpliwi i w granicach dziwnej trzymali się łagodności, ale zawiele im dokuczano i mścić się poczęli, a zemsta ich krwawa i straszna, z ojca spadając na syna, niczem się dotąd zatrzyć ani ułagodzić nie daje.

Buerowie wszelkimi siłami starali się Kaffrów wyrzucić z swego sąsiedztwa i niebardzo przebiegali w środkach ku temu. Spółcześni podają, iż

całe pokolenia zdradzieckim sposobem na zabawę lub ucztę zaproszone, nieraz do szcztu mordowano. Długo jednak nie przyszło do zupełnej wojny między Kafframi a Holendrami, bo rozdwojenie wkrało się u Kaffrów z przyczyny chciwych usiłowań Gaiki, jednego z ich naczelników, który wszystkim innym, a mianowicie téż wujowi swemu, Polambie, chciał wydrzść władzę.

Gdy Anglicy objęli w posiadłość cały przylądek, zastali te zwaśnione na siebie sąsiady, prawem mocniejszego spory między sobą załatwiające. Pierwszém usiłowaniem rządów angielskich było zaprowadzić jakiś stały porządek i działanie regularne prawa zapewnić. Buerowie niebardzo chcieli o tém słyszeć, ani wydawanych ustaw uznawać. Anglicy zawarli umowę z Gaiką, biorąc go mylnie za króla całej południowej Afryki. Jakiśmy zaś powiedzieli, Kaffrowie dzielili się na wiele niezawisłych od siebie plemion, pod osobnemi naczelnikami zostających: ztąd umowa Gaiki nie tylko przez innych za obowiązującą uznaną nie została, ale nadto obrazila ich dumę, jako przyznanie jakiejś wyższości temu z pomiędzy nich, który najwięcej wzbudzał we wszystkich gniewu i zazdrości.

Tymczasem na granicach gdzie się Holendrzy stykali z Kafframi Polambie i Kongo, ciągle toczyły się spory. Z jednej strony zabierano grunta, z drugiej odpłacano te zabory uprowadzeniem bydła. Ztąd powstały wyprawy zbrojne, do krwi rozlewu doprowadzające. Dwie cywilizacye, jedna dumna, pyszna, czci, poszanowania i ustępstw wszelkich dla siebie wymagająca; druga prosta, pół-dzika, nietyle zapewne egoistyczna, zaglądały tu sobie w oczy; a chcąc z wzajemnych postępów sądzić o względnej wartości czy wyższości jednej nad drugą, kto wie czyby sąd, na miejscu podówczas przez bezstronnego sędziego wydany, nie był wypadł na wyraźną krzywdę Europejczyków, którzy przecież jako oświeciciele w tamte świata kończyny wyruszyli.

Znużeni wreszcie ciągłym szarpaniem się, Buerowie oświadczyli wręcz rządowi, że niepodobna im chowem bydła się zajmować, dopóki Kaffrowie będą im mieszkać pod progiem. Rząd angielski, nie bacząc na przyszłość, a litując się ich losu, w r. 1811 wydał rozkaz, iż wszyscy Kaffrowie mają się natychmiast z posiadłości kolonistów wynosić i za

rzekę Rybią wydalić. Buerowie z wielką radością i srogością wypędzili zaraz, na mocy tego rozkazu, dawnych wrogów. I nieszczęśliwi Kaffrowie, przed samymi żniwami wygnani, musieli uciekać z miejsc gdzie się rodzili, gdzie ziemia zlane potem ich czoła bujnym plonem uśmiechała się do nich, plonem, który jako łup nieprzyjaciołom zostawiali, sami idąc na niepewne, nie wiedząc czy jutro głodna śmierć w dzikięj ich puszczy nie zaskoczy. Naczelnego wodza Kongów Buerowie nikczemnie zamordowali, gdy we śnie był pogrążony; odplacali za to Kaffrowie gdy kogo z nich w ręce dostali, ale, koniec końców, 20,000 tych ostatnich musiało się wynieść za rzekę Rybią, zostawiając wraz z ziemią uprawną liczne trzody bydła, które im odebrano.

Ustąpili dzielni synowie natury, powodowani zapewne chwilowemi okolicznościami, śmiercią wodza, lub innym wypadkiem, którego dziś wiedzieć nie możemy; ale pamięć takiego z sobą postępuku nie mogła w sercach ich pobudzić miłości do angielskiej kolonii. Silniej jak kiedybądź zawrzała w nich krew rasowa, rozpromieniła się nienawiść ku nieublaganemu wrogowi. Odtąd tém bardziej za czyn bohaterski poczytywano każdemu, gdy jak najwięcej zdołał zabrać bydła, dobytku i wszelkiego mienia nieprzyjacielowi, albo mu w domu najdotkliwsze wyrządzić szkody.

W r. 1817 ówczesny gubernator przyładka, lord Somerset, nowy zawarł traktat z Kafframi. Omyłka ta sama co przed dwudziestą laty i teraz popełnioną została: Gaikę zawsze za jedyne brano króla. Wszyscy inni naczelnicy, a mianowicie wuj jego Polambie, tą razą do tego stopnia się obrazili, że postanowili wyprawić się wspólnie na zuchwałego Gaikę: jakoż istotnie zbili go na głowę. Anglicy musieli ująć się za sprzymierzeńcem, który za nich cierpiał; wysłali więc wojsko i Buerów, aby się pomścili: Polambiego posiadłości zniszczono, 20,000 sztuk bydła mu zabrano i między Holendrów i Gaikę rozdzielono.

Tak niegodziwie zaczepione plemiona, zebrawszy siły swe razem, z niepohamowaną wściekłością rzuciły się w r. 1819 na kolonię, pragnąc pomścić krzywd wszelkich od tak dawna niewinnie cierpiących. Prorok ich Makanna, poświęceniem i zarzeczeniami ciała ich przeciw ranom zabezpieczał, do wytrwałości żarliwie zapalał, na samo nawet miasto Grahams-town napaść zalecał; a byłoto jedyne

w całej osadzie wojskowe stanowisko. Po rozpaczonym boju pobici pod tém miastem, utracili bardzo wiele ludzi, jak zawsze stać się musi, gdy na otwartém polu przyjmą walkę z wojskami europejskimi. Doświadczeniem nauczeni wiedzą już teraz Kaffrowie, że bój skryty, podjazdowy, zapewnia im niezawodne korzyści, i właśnie téż nie innym sposobem najstraszniejsze ciosy obecnie Anglikom zadają.

Po téj porażce Kaffrów nie skończyły się krwawe zajścia. Ci dzielni synowie puszczy pragnęli się bić do ostateczności; ale sam prorok Makanna skłonił ich do uległości, na którą z bolejącém sercem przystali. Makanna za karę swój zawziętości poszedł na wygnanie. Gaika powinien był tryumfować, ale tymczasem i z nim Anglicy nie robili sobie ceremonii. Potrzeba im było gruntu, zabrali mu go z samego środka posiadłości, co najpiękniejsze kawały. Obraził się tém wielce dziki sprzymierzeniec, ale nie było innéj rady, jak dobrowolnym układem zajęte ziemie odstąpić i nazwać je urzędowym wyrazem: „terytorjum ustąpione“ pod którym odtąd często się z niemi spotkamy.

Rząd angielski kolonii nie był bynajmniej zadowolony z Holendrów, mieszkających nad brzegami rzeki Rybiéj, która granicę z Kafframi stanowiła: bo ciągle go mieszały w niesnaski i wojny z tym ludem, a sami nie umieli tak sobie z nim poczynać, aby i wilk był syty i owca cała. Sprowadzono więc w roku 1820 z Anglii i Szkocyi znaczną ilość wychodźców, między którymi znajdowało się wielu ludzi ukształconych, wyższego wychowania, osiedlono ich na obszarze między rzekami Rybią i Buszmańską, i obszar ten nazwano *Albany*. Wychodźcom tym w ojczyźnie jeszcze obiecywało się piękne, zwięzłe kawały urodzajnego gruntu tuż przy sobie; na miejscu zaś, gdy im wydzielono ziemię, przekonali się, że bardzo wiele brakowało, aby się nazwać mogła urodzajną; na pastwiska zaś zamało było téj ziemi, a ztąd nowo przybyłym zupełna zagrażała nędza. Jedni więc poosiadali w miastach, inni puścili się na włóczęgę, wszędzie gdzie tylko jakibądź promyk nadziei zabłysnął; inni nareszcie, jako prawdziwi Anglicy i Szkoci, zawiązali sobie stosunki handlowe z Kafframi. Rząd kolonialny wprowadził zakazywał tego, ale korzyści ztąd wyniknąć mogące tak się wydały świetnymi Sir Rufanowi Dunkin, który pod nieobecność Lorda Somerset

sprawował godność gubernatora przylądka, że chętnie na to zezwolił. Poprzednio już, mimo zakazów rządowych, angielska żyłka była przemogła i istniały już handlu zawiązki; ale teraz dopiero, roku 1821, prawo ustanowiło doroczny jarmark na brzegach Kaikama. Po powrocie jednak samego gubernatora wszystkie te postanowienia cofnięto, i cały handel z Kafframi w zarodku samym został zagrożony.

Nic to wszakże nie pomogło: gdzie Anglicy tylko się znajdują, tam handel iść musi; zakazy wszelkie na wiatr puszczano; poczciwi osadnicy z Albany, nie zważając na nie, targowali z Kafframi to tém, to owém, jak się dało. Nie pozostawało zatém rządowi, jak tylko ustąpić konieczności, i rozwolnić nieco więzy, któremi napróżno poddanych tak długo chciał krępować. Zakazano więc teraz prowadzić handel jedynie prochem, bronią i napojami spirytualnemi. Osadnicy przemogli wszelkie trudności; gdy im szczęśliwie poszło w handlu, zakupili sobie znaczne trzody owiec, którym o paszę na swych ziemiach postarali się wszelkimi środkami, i z owcami temi poczęli sobie jako prawdziwi przemysłowcy. Onito bowiem pierwsi wprowadzili poprawę trzód przez krzyżowanie ich z merynosami, i wyborną produkując wełnę, uczynili ją najważniejszym artykułem swego handlu. Cała osada Albany wzrosła tym sposobem w bogactwa i pomysłność w krótkim bardzo czasie, a Grahams-town wzniosło się niepospolicie, i stało się znaczném już miastem. Na każdym kroku znać było, że tu ci czarodzieje, Anglicy, zakrzętnęli się koło rzeczy.

Nastąpił teraz długi pokój z Kafframi. Kradzieże bydła trwały zawsze, ale wymyślono na nie środek odpłaty: urządzano ekspedycje wewnątrz kraju Kaffrów, zwane *kommando*, które miały na celu zabierać wszystko co się dało, byle nagrodzić poniesione szkody. Na téj stopie przyjaźń i pokój trwał ciągle. Gaika umarł z rozpusty, zostawując po sobie następcą małoletniego Sandilli. Byłto syn z żony *główniej*, których kilka, zwyczajem swego narodu, miał Gaika. Regentem z prawa został Makomo, dorosły syn Gaiki z innej, podrzędnej żony.

Przez środek „terytoryum ustąpionego“ płynie rzeka Kat, nad której żyznemi brzegami zamieszkiwało pokolenie dość liczne, pod przewodem owego Makomo, jako zrodzonego i wychowanego w tych stronach. Anglicy tyle byli grzeczni, że nie zaraz

po objęciu owego terytoryum wzięli się do rugowania osiadłych tam Kaffrów. Po upływie jednak lat dziesięciu, w r. 1829, gdy im więcej potrzeba było ziemi, bez ogródki zapowiedzieli Kaffrom, aby się wynosili gdzie im się podoba. Biedacy, radzi, nie radzi, musieli opuścić rodzinne miejsca razem z królem, i ruszać w świat szeroki dla wyszukania nowych siedzib. Takimi postępkami cechują się koniecznie zdobycze europejskiej cywilizacji, która dla obcych jej narodów tém samym się staje, czém dla Europy niegdyś były zabory owego *bicza bożego*, Atylli. Makomo do głębi serca uczuł haniebny cios sobie i narodowi zadany. Nie osiadł na stałe nigdzie, mówiąc, że gdy mu wydarto ojczyznę, wygnano z rodzinnego kąta, złupiono z praw i mienia, będzie więc czekał dopóki nie zdoła do nich wrócić.

Plemię, któremu przewodził Makomo, wypędzone znad żyznych brzegów Katu, posunęło się dalej i uprawiało ziemię spokojnie i twardo, bo już nie tak była wdzięczna jak tamta. W roku 1833 Anglicy znów im kazali wynosić się z nowych siedzib, zabierając dojrzewające zasiewy i zostawiając ich bez chleba. To przechodziło już miarę wszelkiej cierpliwości; główni przywódcy Kaffrów poprzysięgli wspólnie nieubłaganą na wrogu zemstę. A zemsta, jak przywiązanie dzikiego, to rzeczy których żartem brać nietrzeba.

Knowali plany swe w najgłębszej skrytości; pod powłoką zewnętrznej przychylności i spokojnego poddania się obmyślili wszelkimi siłami najstosowniejsze środki odplacenia za swoje nienawistnej kolonii. W r. 1834 przed samém Bożém Narodzeniem w Europie, a na przylądku około św. Jana, uskuteczнили pierwszy zażarty napad od wszystkich granic kolonii na Anglików, co im tak srogo za skórę zaleźli. Natarcie było straszne i w następstwach dla osady smutne. Domów wiele spalili, trzód wielkie mnóstwo zabrali, ludzi około stu zabili. Szkoda przeszła 300,000 funtów szterlingów wynosiła.

Plemię Gaiki, dawnego sprzymierzeńca, stanowiło główny rdzeń siły napastniczej, któremu do pomocy zbiegały się rozmaite pokolenia. Cała ta zgraja podeszła pod samo miasto Grahams-town, spustoszyła je wokoło, przez miesiąc przeszło plądrowała ziemię kolonii, nim siła zbrojna zdążyła na dejsć i do boju wystąpić. Sir Harry Smith, tera-



źniejszy gubernator przyładka, podówczas jeszcze pułkownik, rozpoczął działania zaczepne. Wojska angielskie bez trudu odparły dzikie zgraje w gęstwinę zarosli, na drugą stronę rzeki Kaiskamma. Naczelną wodz potrafił zjednać sobie sprzymierzeńców w plemienu Zingoe, które Chaba, rodzaj Napoleona dzikiego, z siedzib wyparł, a które on wziął pod opiekę. Mszcząc się za doznane prześladowania od Kaffrów, którzy ród ich w poddaństwo obrócić chcieli i najniemiłosierniej go gnębili, Zingoesowie połączyli się z Anglikami.

Wojna ta z rozmaitem szczęściem i małemi przerwami ciągnie się rzecz można aż po dziś dzień. Wydatki kolonii powiększyły się z jej przyczyny niewypowiedzianie. Pokój zawierano kilkakrotnie. W sierpniu 1835 r. Kaffrowie poddali się Anglikom i prawom angielskim, odstępując im jedną jeszcze prowincję. Rząd Wielkiej Brytanii nie zatwierdził jednak tego pokoju, nakazał gubernatorowi zdobytą prowincję powrócić Kaffrom, obchodzić się z nimi jaknajłagodniej, słowem, we wszelkich stosunkach i zetknięciach, oszczędzać ich jaknajstaranniej. Gdy uczyniono zadosyć woli rządu, któremu jakieś dziwne natchnienie, czy też gabinetowa mądrość, tyle filantropii podyktowała, i gdy Kaffrowie ujrzeni się napowrót panami odebraną im prowincji, a nadto spostrzegli, że inaczej teraz biali z nimi się obchodzą; zaczęli sobie przemyśliwać, że jakoś musieli ostatnim napadem dobrego strachu białemu królowi napędzić, kiedy się taki dla nich zrobił grzeczny. Więc dalej między sobą radzić, czyby takiego samego środka jeszcze raz nie użyć na odzyskanie owych dawniej im wydartych ziem nad rzeką Kat, co były tak żyzne, tak piękne, których zawsze najbardziej żalowali, do których uczuciową jakąś przywiązywali wartość.

Zarzewia zatem do nową wojny nie brakło. Stare krzywdy prędzej czy później kością stają w gardle. Częstkowe napady i kradzieże bydła trwały bezustannie, aż gdy Sandilli doszedł do pełnoletności i Makomo zdał mu władzę, którą w zastępstwie tylko sprawował. Kaffrowie na drodze układów zaczęli się domagać coraz większych ustępstw i ulżenia w warunkach istniejącego między nimi a kolonią traktatu. Gdy zaś rokowania po myśli im nie szły, rzucają je Kaffrowie i w r. 1846 całemi siłami napadają znów na kolonię. Wojna trwała bez ustanku dwa lata, po których upływie tak jedna

jak druga strona równie za zwycięzką uważać się mogła, z tą tylko różnicą, że Anglików kosztowała przeszło dwa miliony funt. szter., a Kaffrowie, jako nieznający budżetu, takiego szwanku ponieść nie mogli. Nie będziemy się wdawali w szczegóły tej wojny, która na chwil kilka ustawszy, wznowiła się tém zacięciój i ciągłą plagą dla Anglików stanowi. Ostatnie wiadomości z r. 1851 i z roku bieżącego nie najpomyślniej brzmią dla Anglików; Kaffrowie nie żartem już ich ciemiężą, mimo coraz nowych wysień, posiłków i kosztów. Dzięki handlowej przebiegłości samych Anglików, dzikie hufce Kaffrów po europejsku już się nieco zaopatrzyły w broń palną i wszelkie przybory bojowe; ale te nietylko dla brytańskich wojsk są strasznemi, jak broń ich własna, którą dopiero w 1851 roku sobie obmyślili i używać zaczęli. Broń tę stanowią wielkie gromady psów ogromnych, do boju zaprawnych i tak zaciekłych, tak strasznych, tak niczém, ani ogniem, ani ostrzem odstraszyć się niedających, że gdy się rzucą na szeregi nieszczęsnych Anglików, trupami pobojożwisko zaścielają, i jak koty za myszami, tak chciwie za nimi się ubiegają. Nie mając jeszcze nigdy do czynienia z takim nieprzyjacielem, sztuka wojenna europejska nie obmyśliła dotąd właściwej na niego strategiki, i ztąd wielka niepewność, która ze stron wojujących górą w końcu zostanie.

Początek osady Port-Natal łączy się z temi bojami Anglików z Kafframi. W czasie tych wojen, zarząd dawał Buerom pewną ilość bydła na przechowanie dla potrzeb wojska; za te starania i wydatki Buerowie podali później rachunki do zarządu, na które nie odpowiedziano i bynajmniej o uiszczeniu należności Holendrom przypadającej nie myślano. Takie postępowanie ubodło wielce flegmatycznych osadników. Przytém Buerowie jeszcze podnosili skargi na to, iż gdy usamowolnili niewolników, stosownie do rozkazu rządowego, wynagradzano ich za każdą głowę wedle miary w Zachodnich Indyach przyjętej, kiedy robota jednego człowieka tutaj dwa razy tyle czyniła, co tam.

Byłoto dla nich krzyczącą niesprawiedliwością: rząd osiągnął cel swój filantropijny względem niewolników, ale im wielka stała się krzywda. Dalej wreszcie odzywali się i z tém, że rząd angielski każe im płacić rozmaite taksy i podatki, a własności ich od plądrowania i rabunku Kaffrów nie osłania.

Narzekania między Buerami wzrosły i porozumiawszy się, wyruszyli oni w znacznej liczbie szukać sobie nowych siedzib, niezależnych od zarządu angielskiego, zpod którego usunąć się pragnęli, gdzieby sami pamiętać mogli o sobie i o obronie swych posiadłości.

Pierwsi wychodźcy Buerów puścili się w głąb kraju Zoolów, którzy ich wymordowali prawie wszystkich; nie zrażając się tak niepomysłnym powitaniem, inni poszli w ich ślady, ufając swój przewadze nad Zoolami, którzy mniej przezorni od Kaffrów, w otwartym polu zwykli do walki występować. Jakoż istotnie zbili tę dzicz, rozpędzili i sami sobie urządzili osadę w Port-Natal, gdzie byłby może powstał nowy Amsterdam; ale się to nie podobało gubernatorowi przyładka. Postanowił wyłamujących się zpod jego władzy Holendrów skarcić, i wysłał przeciw nim sto ludzi piechoty i dwie armaty. Ekspedycya ta nie zastała Holendrów w domu, bo właśnie wyruszyli między dzicz, na tak zwane *kommando*; zburzyła im więc wszystko do szczętu i sama się w opalisanym porcie obwarowała. Uparci a wytrwali Holendrzy żadną miarą nie

chcieli się poddać rządowi angielskiemu, który, jak powiadali, dobrze im się dał we znaki. Wyruszyli więc z miejsc tych jeszcze dalej, o mil jakie 50 od Port-Natal, gdzie założyli świeżą znów osadę, i takową Pieter-Moritzburg ochrzcieli.

W roku 1842 wyprawiono z Grahams-town, które przeszło 600 mil angielskich od Port-Natal oddalone, 300 żołnierzy i 5 armat, żeby Buerów ostatecznie przywieść do posłuszeństwa. Buerowie jednak tak się dzielnie spisali, że całą tę wyprawę, znużoną tak ogromną podróżą, wniwecz zniesli, armaty zabrali i panami u siebie zostali. Pod koniec roku 1842 cała fregata Anglików przeciw nim wylądowała: wtedy widzieli już Holendrzy, że królowa angielska na dobre się uwzięła, aby ich poddanymi swemi mianować; dotąd spodziewali się od rządu holenderskiego jakiegoś poparcia i posiłków, gdy jednak widzieli, że nadzieje ich i opór byłyby próżne, uznali się wreszcie za poddanych angielskich, oddali łupy wojenne, i z spuszczonei głowami wrócili do Pieter-Moritzburga, by myśleć już tylko o roli i domu. Od tego czasu Port-Natal został ostatecznie kolonią brytańską.

## BALTIMORE. HARPER - FERRY.

Baltimore, stolica kantonu tegoż nazwiska, pod względem ludności jest trzecim, pod względem ważności handlowej piątym miastem Stanów Zjednoczonych. Wzrost jego, podobnie jak Nowego Yorku, nadzwyczaj był szybki w ostatnich pięćdziesięciu latach. Założone w roku 1729, składało się roku 1765 z kilkudziesięciu tylko domostw, a dopiero w roku 1797 zostało do rzędu miast zaliczone. Odtąd, pod opiekuńczą osłoną instytucyj amerykańskich, cudownie się ono wzmogło, tak, że dziś liczy do stu kilkunastu tysięcy mieszkańców, a w porcie swoim, jednym z najpiękniejszych całej unii, przyjmuje rok rocznie około półtora tysiąca okrętów krajowych i zagranicznych.

W przyjemnym położeniu na północnym brzegu Patapsko, czternaście mil od ujścia tej rzeki do zatoki Chesapeak, Baltimore zajmuje przestrzeń przeszło czterech mil kwadratowych. Ulice jego proste i szerokie, domy smakownie zbudowane, po większej części z nietynkowanej cegły, wesołe nadają mu wejrzenie. Mała rzeczka Jones-Falls, płynąca od północy, dzieli je na dwie części, na stare miasto i Fell-Point, połączone trzema kamiennymi i czterema drewnianymi mostami. Otoczone dawniej cuchnącemi bagnami, dziś, dzięki troskliwości władzy, po wysuszeniu bagien i zaprowadzeniu wodociągów, cieszy się zdrowym powietrzem i doskonałą wodą. W kilku dzielnicach miasta wznoszą



Baltimore.



Harpers Ferry.



szą się wspaniale studnie, w kształcie świątyń, przeznaczone do użytku publiczności, a dostarczające mieszkańcom wybornego napoju krynicznego.

We względzie handlowym, Baltimore głównym jest ogniskiem płodów Maryland, Pensylwanii i niektórych stanów zachodnich. Dla sprzedaży tytoniu najważniejsze tu targowisko w całych Stanach Zjednoczonych, a dla mąki pszennej największe w całym może świecie. Przemysł podobnie bardzo jest rozwinięty, ku czemu siła wody, w okolicach miasta skupionej, wielką staje się pomocą. Rzeczka Jones-Falls, chociaż mała, ma pęd niezmiernie bystry, a Patapsko, płynąc po spadku wynoszącym 800 stóp na długości mil 30, porusza mnóstwo młynów, rękodzielni bawełnianych i sukiennych, kilka fabryk tytoniu i prochu, papiernie, gisernie, huty szklane i pracownie chemiczne. Oprócz głównej komunikacji wodnej przez zatokę Chesapeak, ważne drogi lądowe łączą już, lub połączą wkrótce, to miasto z centralnemi unii punktami. W kierunku północnym kolę żelazna poprowadzona do Havre de Grace, styka się z linią filadelfijską; na zachód budująca się wielka linia Baltimore-Ohio, rozstrzela się w odnogi, z których jedna dosięga Washington'u, stolicy unii. Już około stu mil tej drogi wykończono, a jeśli Amerykanie doprowadzą ją kiedyś aż do Wheeling, to stanowić ona będzie najprostsze połączenie oceanu Atlantyckiego z doliną Mississipi. Linia Baltimore-Susquehanna prowadzi do miasta York w Pensylwanii i schodzi się tam z siecią filadelfijską.

Jakkolwiek przemagajaco handlowe, miasto to posiada jednak liczne zakłady naukowe. Uniwersytet Maryland, założony w roku 1812, dzieli się na kilka fakultetów, z których szczególniej medyczny w kwitjącym znajduje się stanie. Kollegium katolickie N. Panny Maryi ma 25 profesorów i blisko dwustu uczniów. Instytut marylandski do rozpowszechnienia wiadomości naukowo-mechanicznych drogą publicznych odczytów i doświadczeń, posiada wyborną pracownię chemiczną i gabinet fizyczny. Akademia naukowo-literacka rozrządza znakomitemi zbiorami z dziedziny nauk przyrodzonych i sztuk pięknych, a kollegium Asbury szacowną biblioteką. Księgozbiór miejski składa się z 40,000, a biblioteka kollegium N. Panny Maryi z 12,000 tomów. Oprócz tego przy giełdzie i przy szkołach rzemieślniczych znajdują się wyborowe

czytelnie. Szkół rządowych i prywatnych jest przeszło sto, a kościołów 42, pomiędzy któremi sześć katolickich. Z zakładów dobroczynnych Baltimore ma obszerny szpital, instytut ociemniałych i głuchoniemych, oraz kilka domów ochrony dla sierot; z miejsc poświęconych zabawie: dwa teatry, cyrk, muzeum i liczne akademie muzyczne.

Przechodząc do gmachów publicznych, wymienimy z nich najznakomitsze, nie wdając się w opisanie takowych, które zwykle czytelnikowi tyle daje wyobrażenia o rzeczywistości, co tabakierka grająca o muzyce Meyerbeer'a, lub kółko żółtym kolorem namazane o tarczy słonecznej. Pierwsze miejsce zajmują kościół św. Pawła i giełda; dalej zasługują na wspomnienie: ratusz, więzienie miejskie, więzienie kantonowe, tak zwana City-Hall, miejsce posiedzeń rady miejskiej, biblioteka, ateneum, muzeum i sześć bazarów. W całym mieście podróżny nie napotyka tej nużącej jednostajności, która cechuje większą liczbę grodów nowego świata: każda dzielnica ma właściwy swój charakter, właściwe wejście. Spoglądając na Baltimore z punktu wyniosłego, widok jest prześliczny, nie tylko na same zabudowania miejskie, lecz także na rzekę i okoliczne włości, a oko spostrzega w oddaleniu z jednej strony srebrzyste zwierciadło zatoki Chesapeak, z drugiej lasy marylandskie, co ciemno-siną wstęgą czarujący ten krajobraz okalają.

Lecz najglówniejszą ozdobę jego stanowią dwa przepyszne pomniki narodowe: kolumna Washington'a i druga wzniesiona na pamiątkę zwycięskiego odparcia napadu angielskiego generała Ross. Pierwszy z tych pomników z białego marmuru, na 140 stóp wysoki, dźwiga kolosalny posąg Washington'a, u spodu zaś w płaskorzeźbach brązowych przedstawia niektóre sceny z jego życia. Na szczycie drugiego wznosi się statua bogini zwycięstwa, a poniżej wyryte są nazwiska poległych w dniach 13 i 14 września 1814 r. Szczegóły tej walki i całej wyprawy generała Ross, jakkolwiek społeczne dla wielu z naszych czytelników, tak mało w ogólności są znane, a raczej tak się zatarły w pamięci wśród nawału zdarzeń późniejszych, że odświeżenie takowych w głównych zarysach uważamy za stosowne; przyczem, dla uchwycenia wątku dziejowego i wyjaśnienia przyczyn ponowionych niesnask pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi, wypadnie nam zasięgnąć pierwszych lat bieżącego stulecia.

Gdy w roku 1803 wojna między Anglią a Francją na nowo wybuchła, do której w r. 1804 wplątała się i Hiszpania, Amerykanie, pod zasłoną neutralnej flagi, prowadzili cały handel kolonialny Francuzów, Hiszpanów i Holandczyków. Upoważniała ich do tego uchwała gabinetu brytyjskiego z 11 kwietnia 1801 roku. Lecz w maju 1805 r. rząd Wielkiej Brytanii, niezawiadomiwszy nawet o tém Stanów Zjednoczonych, zniósł tę uchwałę, ograniczając handel z koloniami nieprzyjacielskimi na wolnych portach angielskich w Indyach Zachodnich, i kazał zabierać okręty amerykańskie wiozące towary kolonialne z osad nieprzyjacielskich. W odwecie kongres amerykański, aktami z 18 i 23 kwietnia 1806 r., zakazał przywóz większej części płodów angielskich do Stanów Zjednoczonych. Zawiązane w tym przedmiocie z Anglią układy rozbiły się o to, że kongres odmówił swego współdziałania w oparciu się dekretowi blokady, wydanemu przez Napoleona przeciw Anglii w Berlinie 21 listopada 1806 r. Kiedy zaś w czerwcu 1807 r. okręt wojenny angielski zabrał przemocą fregatę amerykańską, z powodu że znajdowało się na niej kilku dezertersów brytyjskich, którzy przyjęli byli służbę na flocie Stanów Zjednoczonych, naród zażądał głośno wypowiedzenia wojny przeciw Anglii. Skutkiem tego prezydent Jefferson 2 lipca 1807 r. wydał rozkaz zamknięcia wszystkich portów unii przed okrętami angielskimi, a następnie, z obawy żeby wykonanie dekretu berlińskiego tudzież uchwały brytyjskiej rady tajnej z 7 stycznia 1807 r. (1) nie uwłóczyło godności rzeczypospolitej, kongres amerykański, pod dniem 22 grudnia t. r., ogłosił akt embargo, zabraniający krajowcom żeglugę za obrębem terytorium unii. To śmiałe postanowienie paraliżowało wprawdzie handel Ameryki, którego wartość do końca r. 1806 wynosiła w przecięciu 63½ mil. dolarów, a w r. 1807 nawet 108 milionów, lecz było koniecznym dla ochrony okrętów amerykańskich od grabieży fran-

(1) Wiadomo że Napoleon, dla zgnębienia Anglii, którą napróżno zwalczał siłą oręża, wymyślił tak zwany *system kontynentalny*. Pierwszym środkiem takowego był dekret berliński z 21 listopada 1806 r., ogłaszający wyspy Wielkiej Brytanii w stanie blokady i zabraniający wszelkiego z niemi handlu. Na mocy tego dekretu każdy Anglik schwyty w kraju zajętem przez Francuzów lub ich sprzymierzonym uważany był za jeńca; magazyny i towary angielskie za zdobycz wojenną. Okręty przybywające z Anglii lub jój kolonij nie

cuzkiej lub angielskiej. Rokowania względem usunięcia dekretów ograniczających nie odniosły żadnego skutku, a kongres w d. 1 marca 1809 r. wyłączył zupełnie z swych portów flagę angielską i francuską, na czas trwania owego systemu blokady, cofając zarazem częściowo akt embargo, przez dozwolenie okrętom swoim żeglugi do obcych krajów, wyjąwszy Anglią i Francją.

Teraz Anglia, przez pośrednictwo posła swojego, Erskine, podała rękę do zgody; lecz obie strony nie mogły się porozumieć co do warunków, a zawarty przez Erskine'a układ tymczasowy nie uzyskał potwierdzenia rządu brytyjskiego. Nakoniec, 16 sierpnia 1810 r. Francja zniosła dekrety berliński i medyolański (z 17 grudnia 1807), o ile takowe dotyczyły Ameryki, z warunkiem wszakże jeśli i Anglia cofnie swoje uchwały; poczem prezydent kongresu, Madison, przywrócił wolny handel między Francją i Stanami Zjednoczonymi. Już i Wielka Brytania oświadczyła gotowość do ustąpień, lecz Madison, nie znosząc jeszcze wyłączenia względem flagi angielskiej, czekał ich spełnienia. W kongresie partya republikańska (czyli francuzka), do której należał sam prezydent, odniosła wtedy zwycięstwo nad federalistyczną (czyli angielską), co stało się powodem odwołania posła amerykańskiego Pinkney z Londynu, w marcu 1811 roku. Jednocześnie zamiary Ameryki północnej względem zajęcia obu Floryd, nową w Anglii obudziły zawiść. Już bowiem, na żądanie mieszkańców Florydy zachodniej, Madison zarządził okupację tego kraju aż po Perdido, a gubernatorowi Georgii rozkazał układać się o poddanie podobnie Florydy wschodniej. Anglia energicznie przeciw temu protestowała. Obie strony negocjowały i uzbrajały się.

W marcu 1812 r. kongres zezwolił na pożyczkę dziesięciu milionów dolarów i na wystawienie 25 tysięcznego korpusu. Pierwszego czerwca ogłoszono odezwę prezydenta do kongresu, wyliczającą jędrnemi wyrazy wszystkie krzywdy, jakich Ameryka w ciągu ostatnich lat pięciu ze strony

miały być wpuszczane do żadnego z portów stałego ładu, a te z nich, któreby obejść chciały zakaz przez fałszywe deklaracje, miały być zabierane. W odwecie za to, angielska rada tajna wydała uchwałę, z d. 7 stycznia 1807 r., na zasadzie której okrętom neutralnym niewolno było wpływać do portów Francji albo jój sprzymierzeńców, a niestosujące się do tego rozporządzenia, miały być również konfiskowane.

Anglii doznała, a 18 wreszcie czerwca nastąpiło formalne wypowiedzenie wojny. Wprawdzie Anglia 23 czerwca cofnęła swoje uchwały w odnośzeniu do Ameryki, a tém samym rzeczywisty powód zatargów został usunięty, lecz obustronne rozjątrzenie wzrosło do tego stopnia, że już o zgodzie trudno było pomyśleć. Pierwszego września poseł amerykański wyjechał z Londynu, a 9 stycznia 1813 Anglia ogłosiła deklaracją wyluszczającą mniemane jej powody do wojny, której istotną pobudką była dawna zawiść handlowa, i świeże rozdrażnienie z przyczyny przechylenia się kongresu na stronę Francji.

Jeszcze w lipcu 1812 r. admirał Hoop wyplął był z pięciu okrętami dla blokowania portów rzeczypospolitej. Amerykanie ze swój strony uzbroili mnóstwo okrętów korsarskich, a komodor Rogers zabrał kilka bogatych ładunków angielskich. W pierwszym roku wojny 218 statków, 574 armat i 5,106 jeńców dostało się w ręce Amerykanów. Walka toczyła się ze zmiennym szczęściem na morzu i na lądzie, mianowicie w wyższej i niższej Kanadzie; lecz szczegóły jej, jako niewchodzące w zakres tego artykułu, pomijamy. Dopiero 24 grudnia 1813 r. udało się Anglikom opanować warownię Niagara, przez co otworzyli sobie drogę do Stanów Zjednoczonych. Dwudziestego piątego kwietnia roku następnego 1814 admirał Cochrane ogłosił całe pobraże unii za będące w stanie blokady i wojska angielskie w kilku miejscach wylądowały. W sierpniu wice admirał Cochrane i generał Ross wpłynęli do rzeki Potomak, a jeden okręt wojenny z kilką małemi statkami posunął się w głąb zatoki Chesapeake, aż powyżej Baltimore, jak gdyby wyprawa zwrócona była przeciw temu miastu i przeciw komodorowi Barney, który z flotyllą baltimorską stał na kotwicy przy ujściu Patuxent'u. Tymczasem plan skierowany był rzeczywście na miasto związkowe Washington, położone nad rzeką Potomak, dwanaście mil powyżej portu Warburton. Jedna część floty ostrzeliwała tę warownię, a druga, pod dowództwem generała Ross, wylądowawszy 19 i 20 sierpnia pod Benedict, ciągnęła wzdłuż Patuxent'u, prowadząc za sobą majtków na czólnach okrętowych. Komodor Barney, nie czekając napadu, spalił swoje szalupy kanonierskie w liczbie siedemnastu, poczem nic już nie tamowało pochodu Anglików na Washington.

Generał Ross z sześćo-tysięcznym oddziałem 24 sierpnia stanął pod tém miastem, bronioném przez generała Winder na czele ósmiu tysięcy nowo-zaciężnego wojska. Przy piérwszém zaraz uderzeniu milicya amerykańska, zmieszana rzuceniem rac kongrewskich, poszła w rozsypkę, pozostawiając wszystkie armaty na polu bitwy. Tego samego dnia jeszcze, o godzinie 8 wieczorem, zwycięzcy wkroczyli do wspaniałego siedliska rządu związkowego i zaczęło się barbarzyńskie pustoszenie. W kilku godzinach kapitol, miejsce posiedzeń senatu i izby reprezentantów, pałac prezydenta, gmachy ministerstw wojny i skarbu, arsenał, warsztaty okrętowe i most na Potomaku stały się pastwą płomieni. Dokonawszy łupieżkiego zamiaru, Anglicy w nocy z 25 na 26 opuścili miasto i 29 wsiedli na okręty, uwożąc z sobą 206 zdobytych armat. W tym samym czasie kapitan Gordon zniszczył warownię Warburton i zajął Aleksandryą, w której podobnież wszelką własność rządową zniszczono i zabrano 21 statków.

Teraz Cochrane i Ross umyślili wyprawę na Baltimore. Flota zarzuciła kotwicę przy ujściu rzeki Patapsko, a 12 września wojska angielskie wylądowały o cztery mile od miasta. Lecz Amerykanie mężny stawili opór. W jednej z piérwszych utarczek z lekkimi ich oddziałami, sam genérał Ross poległ, poczem pułkownik Brook objął naczelne dowództwo. Półtoręj mili od Baltimore spotkał się z sześćo-tysięcznym korpusem amerykańskim, który wszakże na krótko tylko wstrzymał przeważne siły angielskie. Trzynastego września 1814 r. Brook stanął pod Baltimore; lecz gród ten, naprędce obwarowany, broniony był dzielnie przez piętnasto-tysięczną załogę. Wkrótce téż przybył goniec od wiceadmirała Cochrane z doniesieniem, że flota nie może wpłynąć do Patapsko, gdyż ujście téj rzeki zawałone jest szczątkami zatopionych okrętów i bronione przez baterye. Po kilku więc małoważnych potyczkach, których właśnie pamięci poświęcono ową kolumnę, wojsko lądowe cofnęło się nic nie wskórawszy.

Kończymy na tém rys historyczny téj wojny zaciętej, której podpisany w Gandawie 24 grudnia 1814 r. przez obustronnych pełnomocników pokój, kres wreszcie położył, opuszczając dalsze jej szczegóły, jako niezwiązane z treścią naszego artykułu. Wojska amerykańskie, a szczególniej flota, utrzy-

mały w niej chlubnie sławę oręza republikańskiego. Odtąd też Stany Zjednoczone zwróciły szczególną bacność na podniesienie swój marynarki, która dziś, jak wiadomo, pod względem liczby i bitności, oniemal równa się angielskiej.

Baltimore zasługuje jeszcze na uwagę jako miejsce zebrania w r. 1831 pierwszego w nowym świecie

soberu katolickiego. Zasiadło na nim sześciu biskupów, jeden administrator i jedenastu teologów. Zgromadzenie wydało list pasterski do wszystkich katolików w Stanach Zjednoczonych, ostrzegający przeciw zbląkanom protestantyzmu i obojętności religijnej.

### H A R P E R — F E R R Y .

Miasteczko Harper-Ferry, wyobrażone w dolnej części naszej ryciny, znajduje się w bardzo przyjemnej i malowniczej dolinie, w stanie Wirginii, kantonie Jefferson, przy ujściu rzeki Shenandoah do Potowmak'u. Jefferson utrzymywał, że okolice jego są jednym z najpiękniejszych krajobrazów całego świata. Lecz szanowny prezydent, oprócz szczytu Montmartre i Londynu, niewiele podobno widział poza obrębem swój ojczyzny; zdanie więc jego w tym względzie nie można uważać za stanowcze. To jednak pewna, że Harper-Ferry niepoślednie zajmuje miejsce w liczbie sławionych przez podróżników miejscowości. Mieszkańców liczy już do 8,000, a położenie niedaleko kanału łączącego oce-

an Atlantycki z doliną Mississipi, wiele przyczynić się może w przyszłości do podniesienia jego przemysłu i bogactwa. Z zakładów mechanicznych zasługuje na wspomnienie fabryka broni, najznacniejsza w całej unii, w której pracuje 240 robotników. W arsenale rządowym znajduje się ciągle na składzie 80 do 90,000 sztuk broni palnej, a skoro ta liczba zostanie naruszona przez zapotrzebowanie władzy wojskowej, fabryka natychmiast ją dopełnia. Odkąd kolej żelazna Baltimore-Ohio zbliżyła to miasto na sześć godzin drogi do Baltimore, mieszkańcy ostatniego grodu częste doń robią wycieczki, spotykając się z mieszkańcami Washington'u, których również tam zwabia rozkoszne miejsce położenie.

### S Z Y M O N O K O L S K I .

Zpomiędzy pisarzy, którzy idąc za duchem czasu poświęcali swe pióra heraldyce, najznakomitsze trzymają miejsce : Paprocki, Okolski i Niesiecki.

Dzieła ich, pełne cudownych legend, dziwacznych i często do śmiechu pobudzających wywodów, panegiryków, przechwałek, są jednak znakomitym skarbem pamiątek, które zamarłyby w podaniach rodzinnych, gdyby ich byli owi pracownicy mężowie nie przekazali potomności.

Ocenili wartość tych skarbów Zaluscy, krakowski i kijowski biskupi, i przy pomocy Goetze'go zamierzali, oczyściwszy tę bogatą niwę z chwastów, zasiać na niej gruntowny dla przyszłości pożytek. Dobre ich zamiary nie przyszły do skutku; prace tych mężów nie otrząsnęły się z pierwotnych grzechów i pozostały w danych im od rodziców szatach. Nie zrażajmy się tém jednak; bierzmy je do ręki w przekonaniu, że nawet słabości naszych



ojców szanować powinniśmy, a szukajmy pomników ich dawnych cnót, poświęceń i pracy. Tam prawie każda herbowa tarcza osłonięta jest promieniem świetnych czynów; na każdej z nich zasługa wyryła swoim rylcem odezwę do przyszłych wieków. Dłaczegóż odstraszać nas mają uprzedzenia, kiedy zdrowy sąd umie odrzucić plewę od czystego ziarna, a ziarnem tém zapełni coraz bardziej wyczerpujące się składy pamiątek!

Rodzina Okolskich, osiadła w b. województwie sandomierskiem, nosiła herb Rawicz. Jan Okolski, dworzanin Myszkowskiego, starosta nowomiejskiego, który był ojcem sławnego Zygmunta Myszkowskiego, marszałka koronnego; zostawił trzech synów: Szymona, starostę czyli ekonoma kieleckiego w biskupstwie krakowskiem; Stanisława, który po wyprawie wołoskiej na Podolu osiadł, i Jana towarzysza chorągwi Zamojskiego, który w czasie bitew, staczanych z wojewodą wołoskim Michałem, zginął. Szymon pochodził od średniego, Stanisława, i po odebraniu nauk w akademii krakowskiej, idąc za powszechnym owych czasów popędem, który wszystkich zdolniejszych mężów garnął w mury zakonne, wstąpił do Dominikanów (1).

Niewiadome są początkowe dzieje jego życia klasztorne, nie podał ich Okolski, zamilczeli współcześni, i spotykamy się dopiero z wyświęconym już kapłanem, sprawującym missyą obozową w r. 1637, przy Marcynie Kalinowskim, hetmanie polnym koronnym, a następnie w r. 1638 przy hetmanie wielkim koronnym i kasztelanie krakowskim Mikołaju Potockim (2).

Działo się to w połowie panowania Władysława IV. Kraj od postronnych używał spokoju; we wnętrzu tylko jego zbierały się żywioły, mające wkrótce z całą gwałtownością wybuchnąć. Lud, który był dotąd przedmurzem zasłaniającem Polskę od potęgi tureckiej, obruszył się na doznawaną obojętność, i pod wodzą Pawluka zburzył fortecę Kudah. Mikołaj Potocki hetman wielki koronny, z Kalinowskim hetmanem polnym, który nie przewidywał, że w kilkanaście lat później, na polach Bato-wa położy siwą głowę, poszedł poskromić zuchwałych, zaczynających próbować własnych sił. Zastał ich okopanych w obozie: otoczył, przeciął drogi

którymi zaopatrywali się w żywność, i nieprzesłając niepokoić szturmami, zmusił wkrótce do rozpaczliwego czynu. Wydano mu Pawluka z czterema innymi przywódcami, przyjęto nowe ustawy i przyrzeczono rozejść się spokojnie, choć czas i doświadczenie nauczyło, czém były te i późniejsze przyrzeczenia.

Naocznym świadkiem i uczestnikiem tych wypraw był Okolski, i znosząc z prawdziwie kapłańskim poświęceniem obozowe trudy, narażając życie wlicznych potyczkach, tam, gdzie chodziło o ocalenie walczących braci, przygotowywał jeszcze dla powszechnego użytku dzieje tych wypraw, które wyszły z pod prasy w drukarni akademii w Zamościu, pod następnym tytułem:

„Dyaryusz transakcyi wojennej między wojskiem koronnem i zaporozkiem w roku 1637 miesiącu grudniu, przez JW. JMC. P. Mikołaja z Potoka Potockiego, wojewodę braclawskiego, hetmana wielkiego koronnego, generała podolskiego, kamienieckiego, łatyszowskiego, nizińskiego & starostę, szczęśliwie zaczętej i dokończonój. Przez ojca Szymona Okolskiego, zakonnika dominikańskiego, kaznodzieję wojskowego, w Zamościu, w drukarni akademii, drukował Jędrzej Jastrzębski r. 1638.“

Dzieło to, obejmujące druku jednaście arkuszy, przypisał Stanisławowi Potockiemu, wojewodzie podolskiemu; i oceniono wartość tej pracy, bo wkrótce wyszła druga jej edycja, u Franciszka Cezarego w Krakowie 1639 r., przypisana Stanisławowi Konięcpolskiemu, kasztelanowi sandomierskiemu, podkomorzemu koronnemu.

Po powrocie z wojennych wypraw, przy końcu r. 1638 obrany został Okolski przeorem zgromadzenia OO. Dominikanów w Konstantynowie; w trzy lata potem przeszedł do Kamieńca, następnie w roku 1646 do Tyśmienicy; w r. 1648 do Jeżopola; później został professorem teologii i rządcą głównych szkół zakonnych we Lwowie, a w ostatku prowincyałem ruskim (1).

W tym czasie, obok licznych kapłańskich zatrudnień, napisał i wydał:

„Kijowscy i czernichowscy biskupi kościoła katolickiego rzymskiego, porządkiem kolejnym spi-

(1) Obr. Pol. T. II. pag. 600.

(2) Niesiecki, her. T. III. pag. 427.

(1) Quet: script: Ord. Proed. T. II. pag. 360, 361.

sani. Drukowano we Lwowie u Michała Słuszki, roku 1646.

Dzieło to w języku łacińskim napisane, należy do najważniejszych prac Okolskiego, lecz dla małej liczby egzemplarzy mało też komu było znane. Nie wiedzieli o niem pisarze biblioteki dominikańskiej, a podobno i Załuski biskup kijowski nie miał go pod ręką gdy wydawał: *Conspectum collectionis scriptorum Ecclesiasticorum Polonorum*; dopiero opisał je Janocki (1), i do rzadkości bibliograficznych policzył. Zaleca się to dzieło wielką znajomością historyi, oraz nagromadzeniem mnóstwa nieznanych szczegółów; brak mu tylko wiadomości o stanie oświaty i wspomnienia mężów, którzy do wzrostu jęj dopomagali. Trzeciém z kolei dziełem Okolskiego jest „*Ruś kwitnąca, czyli historya prowincyi dominikańskiego zakonu, drukowane we Lwowie u Sebastjana Nowogórskiego.*“ Przypisał je Stanisławowi Grocholskiemu, naówczas prowincyałowi ruskiemu OO. Dominikanów i zawarł w niém wiadomość o Rusi i jęj dawnych mieszkańcach, władcach i obrządkach, o początku prowincyi zakonnęj ruskięj, o jęj wikarych i prowincyałach, o przywilejach papieżkich tęg prowincyi nadanych, o męczennikach i znakomitych ludziach; krótko zaś bardzo nadmienił o uczonych, rozwodząc się szeroco, i częstokroć bardzo sucho, o rzeczach mniejszęg wagi. Jednak Janocki poważał bardzo to dzieło, i nie mógł znaleźć podziękowań biskupowi Naruszewiczowi za to, że mu je przysłał. Dzieła te, choć pod względem wewnętrznej wartości bardzo szacowne, nie obudziły jednakże tyle powszechnego zajęcja, ile wyszły u Franciszka Cezarego w Krakowie w trzech tomach w języku łacińskim „*Świat Polski czyli Herbarz.*“ Pięrszty tom przypisał Władysławowi IV, drugi Stanisławowi Koniecpolskiemu kasztelanowi krakowskiemu i hetmanowi w. koronnemu, trzeci Jerzemu Ossolińskiemu, kanclerzowi w. koronnemu.

Jak wszyscy pisarze, którzy przed nim i po nim poświęcali się heraldyce, nie uniknął i Okolski potwarzy, szkalowań i zawiści; bo czy jest trudniejsze zadanie, jak dogodzić miłości własnej i dumie tylu ludzi? Markiewicz utrzymuje, że dekret trybunalski przedaży tego herbarza zabronił, a nawet o mało go na stos nie skazał. Lecz pamiętać należy, iż

Markiewicz, procesując się z Żardeckim, nie mógł strawić tego, że obrońca przeciwnęj strony, wynosząc zacność rodu swego mandanta, przytoczył wypis z Okolskiego i wobec świadków przyciął tęg Markiewiczowi.

Zarzucano mu, że przez względy dla niektórych domów hojnie sypał im panegiryki i zaszczyty, ujmując ich tym, którzy rzeczywiście na nie zasłużyli; nazywano go chciwym mnichem, który wycierając kominy szlacheckie, za wyproszone łaski sypał pochlebstwem, przytaczając takie genealogie, że z nich, jak z przemian Owidyusza, można się wywieść potomkiem Jowisza.

Zabawną dykteryjkę puścił Braun, a Janocki ją potwierdził, że jednego razu, po wyjściu trzeciego tomu herbarza, przyjechał do Okolskiego szlachcic z poblizkięj zagrody, prosząc aby z domu jego wygnał biesa, który mu nie daje spokoju. Okolski się wymawiał, chciał posłać innego zakonnika, ale szlachcic, ujmując za kolana wielebnego ojca, wciąż prawił, że tylko w jego świątobliwości pokłada nadzieję. Wzruszył się prośbami Okolski i pojechał. W pół drogi zastępuje im liczny orszak zbrojnych, każą jadącym zatrzymać się, dobywają herbarza, i wykluwszy na oczy niesprawiedliwość pewnej rodzinie wyrządzoną, wydają wyrok, aby naprzód z wielebnego ojca wygnać biesa, który w nim siedzi i prawdy mu widzić nie pozwala. Wypraszał się Okolski, składał czém mógł, ale nic nie pomogło i wyrok co do joty wykonano.

Niesiecki, który pięrszty stanął w obronie Okolskiego, zaprzecza tym wszystkim potwarzom, i kładzie za dowód, że trybunał lubelski nie mógł zabronić sprzedawać herbarza, bo sam jedną sprawę o sukcesyą z naratywy Okolskiego rozsądził, a Braun nic nie pominął co tylko duchownym mógł zarzucić (1).

Sprawiedliwie rozbierając tę pracę Okolskiego, wyrzec można że styl jego jest rozwlekły, napuszony, że często sili się na niepotrzebne koncepta i szczególne tłumaczenia herbów, a to przez jakieś allegorye i własne a nieforemne domysły; że o wielu znakomitych i na pamięć zasługujących czynach nie wspomina, wynosząc to, co wzmianki nie było warte. Obwinić go można o niewdzięczność i zazdrość przeciwko Paprockiemu, z którego wiele

(1) Janotzki, Rare Bücher, T. III. pag. 32.

(1) Korona T. III.





wiadomości czerpał, i powiedzieć z Żaluskim biskupem kijowskim, że to jest kapusta z grochem. Choć z drugiej strony przytoczyć należy, że łatwiej jest sądzić jak tworzyć i że herbarz Okolskiego znalazł wzięcie u cudzoziemców. Bayle utrzymuje iż wart jest czytania<sup>(1)</sup>. Laboureur przetłumaczył z niego nazwiska herbów z ich opisaniem<sup>(2)</sup>, a Bałbin, heraldyk czeski i Jan Senopius, rektor lignicki, wydawca dzieła o szlachcie szlązkiej, często się do niego odwołuje<sup>(3)</sup>. Darować więc można niektóre usterki, bo jak wprzód powiedziałem, niewdzięczny jest zawód heraldyka, i przy najusilniejszej pracy niepodobna jest zgromadzić tyle kadzidel, aby one wszystkim, a często dziwacznym wymaganiom wystarczyły.

Téjże zasady trzyma się Niesiecki w obronie Okolskiego i dodaje, że ci sami, którzy na niego narzekali, nie pospieszili się z przesłaniem wiadomości, posłużyć mogących do uzupełnienia lub udołkowania położonej o ich rodzinach wzmianki.

Goetze był zdania aby herbarze z błędów oczyścić, co niepotrzebne odjąć, historyczne usterki sprostować i ułożyć z nich dzieło na wzór dykeyonarza. Myśl ta podobała się Żaluskim; czas nie pozwolił jej ziszczenia; a jednak ileżbyto z téj pracy osiągnęło się korzyści? Mielibyśmy pod ręką

(1) Mérite d'être lu, dict. Hist. Crit.

(2) Histoire et relation du voyage de la reine de Pologne, T. I. p. 58.

(3) In Miscelaneis Bohemicis dec. II.

słownik tytu sławnych ludzi, wspomnienia tytu zdarzeń, godnych wiecznej pamięci.

Jakby zniechęcony przeciwnościami, które go po wydaniu herbarza spotkały, porzucił Okolski pióro, i nie wziął się już do niego, pomimo licznych wezwań jakie go dochodziły. Złamany wiekiem i trudami, poświęcił się zupełnie swemu powołaniu, zwłaszcza, że obowiązki prowincyała czynnego wymagały zajęcia.

Do mniejszych prac jego policzyć jeszcze należy: „Wiadomość o miejscu cudami wstawioném, pod miastem Podkamieniem, w biskupstwie łuckim znajdującém się,“ drukowaną w Krakowie u Łukasza Kupicza r. 1648, i kilka kazań na pogrzebach różnych osób, szczególnie Adama Kalinowskiego, starosty braclawskiego; księżnej Januszowej Radziwiłłowej, Mikołaja Cetnera i Zacharyasza Domaszewskiego, pisarza grodzkiego, łatyńskiego mianych, które go przecież jako dobrego mówcę nie zalecają.

Umarł roku 1654 we Lwowie, w późnym wieku; lecz ile rzeczywiście miał lat, oznaczyć trudno, bo nigdzie wzmianki o dacie jego urodzenia znaleźć nie można było.

Życie Okolskiego niebogate w wypadki, ubiegło wśród cel zakonnych; prace naukowe przyniosły mu w plonie gorycz; a jednakże dorzucił on niejedną cegielkę do ogólnej budowy; więc pamięć słusznie mu się należy.

Ant. Wieniarski.

## L I S.

Sposób życia i obyczaje *lisa* pokazują że należy do rzędu zwierząt *drapieżnych*, coto w potrzebie rzucają się na inne zwierzęta i wyłącznie lub po części żywią się mięsem. Postacią i całym składem ciała podobny jest do *psa*, owego w rządzie zwierząt drapieżnych bardzo licznego w gatunki rodzaju; do niego téż, wraz z wilkami i szakalami u naturalistów jest policzony. Dla uniknienia zamieszania

i niepewności w nazwach różnych tego rodzaju zwierząt uważać trzeba, że wyraz łaciński *canis* jest rodzajowém nazwiskiem nietylko właściwego psa, ale i innych gatunków, dodany zaś do niego wyraz *lupus* oznacza wilka, a *vulpes*, *lisa*.

Znaki w składzie ciała, wszystkim należącym do rodzaju psa zwierzętom wspólne, są te, że u nóg przednich mają po pięć, a u tylnych po sześć pal-

ców i na palcach chodzą; że pazury ich nie cofają się ani kryją pod skórą, jak u kotów; język mają gładki, a zębów ogółem po czterdzieści dwa, to jest po sześć przednich w każdej szczęce, cztery kły, a czternaście zębów trzonowych; pysk mniej więcej ostry, koniec nosa wystający, zaokrąglony. Lecz lisy różnią się od psów i wilków tём, że są raczej nocne jak dzienne zwierzęta, że źrenice mają podłużne, wąskie, usposobione do nocnego widzenia; zęby przednie nieznacznie wyrzynane; ogon kudłaty, jak u wilka zwisty, lekki, kiedy u psa zawsze bywa zakręcany. Pysk bardziej niż u psa lub wilka kończysty. Lisy po największej części wydają woń nieprzyjemną, lecz dostarczają szacownych futer. Kopia w ziemi głębokie kryjówki, jamy, w których zwykle dzień przepędzają; żyją w różnych częściach świata, wyjąwszy Nową Holandya, gdzie ich dotąd jeszcze nie widziano.

Tyle wiadomości zoologicznych o lisie uważanym względnie innych zwierząt tego rodzaju; pozostaje nam teraz zająć czytelników jego historya naturalną, mianowicie obyczajową.

Wąż, coto skusił pierwszą niewiastę, uchodził zawsze, i do dziś dnia uchodzi między ludem, za najchytrzejsze zwierzę. Nie chcemy bynajmniej osłabiać wiary przekazanej nam tekstem ksiąg świętych. Wiemy, że i dziś jeszcze wąż używa pewnej władzy czarowania, ale już nie przeciw kobiecie, zapewne od czasu jak kobieta w przebiegłości stała się od niego zręczniejszą; wiemy także, iż obok lisa nie dałoby się powiedzieć o wężu że jest: *Callidior cunctis animantibus* (chytrzejszy nad wszelkie zwierzęta). Lis, jak to uważają moralisci, Lafontaine i nasz Krasicki, szczywany w rzemiośle oszustów, filutów, dostarczył z siebie przysłowia. Lavater, chcący poprzeć swój system dowodami czerpanymi z królestwa zwierząt, upatrywał związki między fizyognomią człowieka przebiegłego, przenikliwego a fizyognomią lisa; Galli Spurzheim, twórcy innego systematu, również spostrzegali na czasce tego zwierzęcia znamiona, mogące potwierdzić ich mniemanie o tём lub owęj przeważnej skłonności.

Nie znamy zwierzęcia, któreby miało na pogotowiu tyle co lis środków i sposobów obrotu; żadne nie ma tak giętkiej na wszelkie przypadki zmyślności. Do cierpliwości czapli, lis łączy zwinność i zręczność kota. Samato jest przebiegłość, chy-

trość, przezorność i roztropność. Przypatrzmy się mu, gdy od psów gończych wytropiony, unika ile możności wybiedz w miejsce otwarte, bo tam mógłby być na oko ścigany lub przez strzelca ugodzony; zawsze więc największemi biegnie gęstwunami i nawet drogi pomija, a mianowicie utorowane. Nawzajem ścigając swą zdobycz, okazuje właściwą sobie wielką roztropność i zmyślność, używając sposobów różnych, według gatunku zwierzyny. Gdy spostrzeże stado kuropatw, lub gdy je zwietrzy węchem, usiłuje podejść je niespostrzeżony, zbliża się czołgając na brzuchu jak kot, kryje się za wszystko co napotka dogodnie swym zamiarom, a jeżeli kuropatwy spostrzegłszy jego zamiar, zerwą się na skrzydła, pędzi jak strzala w tym samym co one kierunku, pewny, że niedaleko podleciawszy koniecznie upadną; zwykle tём przybywa z niemi prawie równocześnie i znowu je podejść usiłuje, zawsze czołgając się i kryjąc, iżby go widzieć nie mogły. Tём napaści nie przestaje dopóty, aż zmęczy biedne kuropatwy i zmusi je do rozłączenia się; wtedy zaczyna ścigać jedną z nich, która tём rzadko kiedy ujdzie jego napaści. Lecz kuropatwy unikają zwykle drugiej pogoni, jużto daleko odlatując, już za rzekę uciekając. Dodajemy jeszcze, że lis puszcza się w pogoń za uciekającymi kuropatwami, słysząc daje pewne skomlenie, niby głos goniącego ogara.

Polując na zająca, na króliki (których niszczy wiele w krajach gdzie się dziko chowają), wcale innych używa fortelów! Wtedy już nie ściga, lub bardzo rzadko: raczej czeka cierpliwie. Przypatczamy tu zdarzenie, które uważamy za wiarogodne, tём bardziej, że aż nadto przekonani jesteśmy o doskonałej, iż tak powiemy, cudownej zmyślności tego zwierzęcia. Tu, jak zobaczymy, lis postępuje według dobrze wprzód obmyślonego planu.

Wiadomo, że zające około czwartej lub piątej godziny rano, nażerowawszy na równinie, wracają do swych legowisk, temiż, któremi wyszły, dobrze sobie znanymi szlakami. Nie wracają do lasu ani wychodzą na wzgórze inaczej, tylko utorowaną drogą lub ścieżką. Osoba, od której słyszeliśmy następujące zdarzenie, od pewnego już czasu znajdowała się na stanowisku, ukryta w krzakach, czekając na powrót zająca, gdy z zadziwieniem spostrzegła o dwadzieścia kroków na ścieżce lisa, który schował się

za krzak jałowcowy, i wkrótce znowu się zjawił. Zakręciwszy się tam i sam, jak gdyby czego szukał, usiadł pod tymże jałowcowym krzakiem, i nagle jak z procy skoczył na ścieżkę. Potém wróciwszy na miejsce, znowu wyskoczył i znowu wrócił się pod krzak jałowcowy, gdzie spokojnie usiadł. Widocznie, owemi skokami mierzył odległość ścieżki od krzaku, i na niej doświadczał swój zręczności, albowiem wkrótce potém schwytał zająca przebiegającego ścieżkę, skoczywszy nań zpod krzaka, tak samo jak był wprzód wypróbował. Nie jestżeto dowód osobliwszej przezorności lisa?

Wiele się zdarzy słyszeć opowiadanych o lisie rzeczy, które z historyi jego obyczajów wymazane być winny; są jednak inne godne przechowania. I tak, rzeczą jest pewną, że lis pamięta o niebezpieczeństwie w jakim się kiedyś znajdował, i wtedy nie ufa i wystrzega się uważnie wszystkiego, co mu owo niebezpieczeństwo przypomina. Zastawiane nań łapki muszą być bardzo starannie ukryte i najmniejszy ślad ręki ludzkiej pozostać na nich nie powinien. Głód swój zaspokoiwszy, resztę zdobyczy zakopuje w ziemię; w tym celu grzebie jamę odpowiednią schować się w niej mającemu przedmiotowi. Rzecz osobliwsza, że temi pozostałymi szczątkami bywają zwykle wnętrzości. Zdaje się, że zachowuje reszty, aby mu w potrzebie posłużyły do nasycenia głodu; ztémwszystkiem, ile razy nam się zdarzyło znaleźć je, zawsze były tak zepsute, iż niepodobna aby przypadły do smaku wybrédnego w tym względzie lisa. Nie można uwierzyć temu, co wielu utrzymuje, aby lis miał władzę czarowania kur, tak, iżby mu do paszczy same z grędy spadać miały. Polując na kury bierze się do nich taksamo jak polując na kuropatwy, i też same zachowuje ostrożności. Skrada się i krąży w nocy około folwarków, osad, podsuwa się pod ściany, i chwyta co mu się zdarzy. Gdy może, zakrada się do kurników, i w braku kur zjada jaja. Upodobania do jaj nigdy nie traci, nawet gdy jest w niewoli, lub gdy przyswojony i między ludźmi jest chowany. Wiadomo zresztą, że lisy niszczą bardzo wiele jaj kuropatwich. Napadają również, gdzie mogą, ule pszczoł dla miodu. W krajach winorodnych lubią zjadać winogrona; jedzą także ryby, raki, chrząszcze, szarańcze. Pilnie wyszukują ułowionę w sidła zwierzyny i zjadają ją; szczególnież zaś lubią jago-

dy gatunku jałowcu, zwanego po łacinie *Juniperus oxycedrus*.

Lisy grzeją się w zimie. Samica nosi plód dziewięć tygodni; wydaje siedmioro lub ośmioro szczeniąt, które się rodzą ślepe, a we dwa lata dopiero zupełnie dorastają. Zawsze szerzą około siebie mocną, odrażającą woń, i mają na sobie dużo pcheł, po bytności których przed jamą myśliwi poznają obecność w niej lisa.

Dotąd naturaliści liczą do trzynastu gatunków lisów. Pomijając inne, kładziemy tu krótkie opisy dwóch gatunków, których załączająca się obok tablica wizerunki przedstawia; sąto obadwa tak zwane lisy chyleńskie czyli amerykańskie.

1. *P. Lis płowonogi*. *C. vulpes fulvipes*. Z wierzchu czarny, biało popruszany. Głowa i boki ciała ciemno-śniade, brunatno biało i czarno popruszane. Wierzch pyska i podbródek śniado czarniawe. Podgardle, wargę wierzchnią i uda z przodu brudno-białe, piersi i spód ciała śniadawe. Konchy uchove rudo kasztanowate. Nogi przednie wewnątrz, stopy i palce śniado płowe. Nogi tylne zewnątrz ponad ostrogą śniado-czarniawe. Nasada ogona jednakięj z ciałem barwy, koniec czarny. Ciało krępe; członki krótkie. Jest daleko mniejszy od lisa pospolitego europejskiego. Sierć na wierzchu ciała krótka, twarda, spodem zaś welnista, miękka; futro więc mniejszój niż z naszego lisa wartości. Żyje na wyspie Chiloe. Jest bardzo zwinny, drapieżny, ale jako zwierzę małe mniej niebezpieczny od następującego gatunku.

2. *P. Lis magellański*. *C. vulpes magellanica*. Z wierzchu czarno i biało upstrzony, boki ciała płowo i śniado pociągnięte. Głowa śniado, żółto i białawo popruszona; pysk z wierzchu ciemniejszy. Konchy uchove i członki zewnątrz żółtawo-rude. Spód ciała brudno-żółtawo-biały; piersi płowo pociągnięte; podbródek żółtawy. Ogon płowo-śniady z czarnemi końcami włosów; pod spodem bledszy; nasada i koniec jego czarny. Długość ciała, prócz ogona, 3 stopy, ogona 17 cali; zatém lis ten większy jest od pospolitego europejskiego. Budowa ciała silniejsza, członki krótsze i stosunkowo grubsze, uszy mniejsze, a ogon włosistszy. Włos długi, gruby, rzadki. Żyje w południowój Ameryce, od ciałniny Magellańskiej aż do Chili. W naturze tego lisa uważano osobliwość, że spostrzegłszy czło-

wieka, przybiega do niego, staje o kilka kroków, i jakby zdumiała, ciekawie się przypatruje, a wtedy częstokroć bywa ubijany. Podobnie jak europejski grzebie sobie nory, ale w tém różni się od naszego,

że we dnie wiele biega; okazuje znaczną siłę i wielką zwinność i zręczność. Równie jak nasz dla drobiu jest bardzo niebezpieczny, z którego to powodu mieszkańcy tamtejsi zawzięcie go ścigają.

## WYCIECZKI NAUKOWE PO PARYŻU.

PRZEZ DRA. T. TRIPPLINA.

### I. OGRÓD BOTANICZNY (JARDIN DES PLANTES).

Dlaczego ogród botaniczny paryzki najpierw ciekawość cudzoziemca obudza? Bo jest największą osobliwością Paryża, bo mieści w sobie płody wszystkich części świata, których daleko poza morzami szukaćby trzeba. Mieszkaniec Warszawy łatwo sobie ten zakład wyobrazi, i w dotykany pojmie go sposób, idąc w ślad za naszym opisem. Niech sobie wystawi ogród botaniczny w Warszawie, z jego okratowaniem i z całym dolnym ogrodem do Łazienek dotykającym, niech go połączy z ogrodem Belwederu, otoczy to wszystko budowlami wspaniałego Kazimiérowskiego pałacu, niech przeniesie z nimi razem ich bogate zbiory muzea i gabinety, a będzie miał w przybliżeniu ogród botaniczny paryzki, tylko bez cedru Libanu i bez Sekwany, która swe nurty toczy wzdłuż ogrodu. Wchód główny do zakładu jest od nadbrzeża Sekwany, wprost mostu austerlickiego, od którego i główna brama nazwisko swe przybrała. Wchodzisz przepyszną drogą i wprost siebie widzisz w oddaleniu, w pięknej perspektywie, *Muzeum główne*, gmach dwupiętrowy, który Buffonowi istnienie swe zawdzięcza; na lewo i na prawo las roślin podzwrotnikowych, lekarskich, najrzadszych i najosobliwszych. Dla ubogich darmo je rozdają; to przywilég ogrodu, to jego ważna między innymi zasługa. W pośrodku wielkiej drogi, pomiędzy bramą Austerlic a gmachem muzeum, krzyżuje się

z nią jeszcze piękniejsza drożyna, wysadzona kasztanami cudnej piękności. Prowadzi ona na lewo do bramy Buffona, na prawo zaś, do tak zwanéj doliny szwajcarskiej. W pośrodku błyszczy piękny wodozbiór, kwadrat formujący, marmurem wyłożony, w którym hodują najrzadsze rośliny wodne.

Nie będziemy się zapoznawać z nazwiskami tych roślin, bo liczba ich, wraz z zasuszonemi w zielnikach, do 350,000 gatunków dochodzi; czyż wiecej pamięć objąćby to zdołała? Muzeum zoologiczne, według obliczenia z roku 1841, posiadało 152,000 egzemplarzy zwierząt wszelkiego gatunku i 60,000 mineralów; lecz co rok prawie po 30,000 egzemplarzy nowych bogactw przybywa. Tu więc odwaga do nauki upada, tu człowiek swoją nieudolność uczuwa i widzi niepodobieństwo poznania wszystkich utworów przyrodzenia, objęcia ich choć w części pamięcią.

Ogród botaniczny winien swój początek wiekowi Ludwika XIII. Założono tu naprzód ogród roślin lekarskich i gabinet osobliwości natury, na wniosek Herouarda, pierwszego królewskiego lekarza. Działo się to w r. 1635; lecz nazwisko *Muzeum historii naturalnej* nadano temu zakładowi dopiero 23 czerwca 1793 roku. Instytucya ta wzrastała w XVIII wieku, pod głównym nadzorem nieśmiertelnego Buffona, który objął kierunek zakładu



w 1739 roku i prowadził go do 1788. W tymto czasie doszedł on do posiadania bogactw historyi naturalnej wszystkich części świata. Nigdzie, w żadnym kuli ziemskiej zakątku, tyle środków naukowych w jednym nie nagromadzono miejscu, i nigdzie z tylu nie połączono ich przyjemnościami. Przy muzeum pozostaje 15 profesorów, bibliotekarz, 2 rysowników, 14 pomocników, 18 preparatorów, 74 dozorców i 8 wojażerów, których płaca, wraz z utrzymaniem ogrodu, budynków, żywieniem zwierząt, opalem i światłem, rocznie 120,000 rubli srebrem wynosi. Oprócz wielkiego Buffona, do wzniesienia tego zakładu silnie się przyczynili następujący znakomici mężowie: Gui de la Brosse za Ludwika XIII; Fagon, Tournefort-Vaillant za Ludwika XIV; Bernard de Jussieu, Antoine i Laurent de Jussieu, Lessory, Winslow, Duverney, Dufay za Ludwika XV i XVI żyjący; Daubenton, którego zwłoki blisko cedru Libanu spoczywają; Tomasz Portal, Antoni Petit-Desfontaines, Fourcroy, Rouelle młodszy, Brogniart, Vicq-d'Azir, Bernardin de St Pierre, Lacépède, wielki Cuvier, i niespracowany Geoffroy St. Hilaire, co mając lat 88, w początkach 1852 roku życie pełne zasług zakończył. Dzieło tych mężów utrzymują teraz pp. Bernard i L. Couailhac, którzy ważną uczonemu światu wyświadczyli przysługę, wydaniem u Curmera w Paryżu sławnego dzieła: „*Le jardin des Plantes*,” obejmującego opis zupełny, pod względem dziejowym i malowniczym, muzeum historyi naturalnej, menażeryi, cieplarni, gabinetu mineralogicznego i anatomicznego, słowem wszelkich bogactw tego zakładu, z 400 rycinami na stali.

Przebiegnijmy teraz ogród i przypatrzmy się bliżej ciekawościom które w sobie zawiera. Opuśćmy ogród botaniczny, którego rozpołożenie już poznaliśmy, a udajmy się od wodozbioru, środkową aleją na prawo do tak zwaną *doliny szwajcarskiej* wiodącą, w której, jak wspomnieliśmy, wszystkich stref zwierzęta dały sobie schadzkę. U wejścia do doliny szwajcarskiej wznoszą się szklarnie gorące (*serres chaudes*) dwa pałace z żelaza i szkła zbudowane, naksztalt gmachu wystawy londyńskiej, tylko daleko mniejszych rozmiarów. Blisko nich, opodal na prawo, szklarnie umiarkowane (*serres tempérées*), podobnej struktury. Te minawszy, napotkasz naprzód ptastwo wodne ciężkiego kalibru, między którym odznaczają się czarne łabędzie wspaniałej

postawy. Ztąd ujrysz rotundę dla wielkich zwierząt żujących wystawioną, gdzie zamieszkują słonie, nosorożec, żubry i długoszyjna żyrafa. Tu poznasz tych zwierząt charakter: słoniów ociężałość przy lekkości ruchów, siłę nosorożca, dzikość żubrów, łagodność żyrafy. Opodal ujrysz małą przejrzyste mieszkanie; tam ciśnie się publiczność, tam zgiełek jest największy. Mały człowiekowi, człowiek przygląda się małpom, i niewiadomo kto więcej zadowolony, bo małpy lubią towarzyskość i to je zabawia. Wokoło małpiarni w oddzielnych ogrodzeniach pasą się barany, skaczą kozy długowłose, jelenie Wirginii, reny Laponii, strus ociężałe się przechadza, czolgają się żółwie i zebry płasają. Co krok to w innym klimacie, w innym znajdujesz się kraju; dopiero byłeś w Afryce, już do Chin przechodzisz. Niedaleko małpiarni wznosi się główny gmach menażeryi, gdzie dzikie zwierzęta obrały sobie zamieszkanie. Tu lew wspaniały i dzika hyena, tygrys chytry i lampart ognisty klatki swoje zalegli. Z pogardą spoglądają na przypatrujących się, i z ich ciekawości zdają się urągać; 22 klatek, 22 dzikich stworzeń zawiera.

Zwierzęta te najlepiej widzieć o trzeciej godzinie, gdy im jeść przynoszą; lecz na to potrzeba oddzielnego pozwolenia, bo karmienie wewnątrz menażeryi się odbywa. Tu się gromadzą miłośnicy *silnych wrażeń*, tu lichwiarz do srogości serce swoje zaprawia, a kochankowie tulą się do siebie, rykiem lwa przestraszeni. W dziedzińcu menażeryi chowają psy najrzadszych gatunków i wilki żarłoczne, których wzrok strachem przejmuje. Lecz najdziwniejszym jest kot ostrowidzem zwany; wściekłość jego jest nie do opisania. Zwierzęta najdłużej lat dziesięć w menażeryi żyją, co lat dziesięć zatem jej ludność się odnawia. Wyjątek stanowią egzemplarze w menażeryi zrodzone; te zwykle dłużej się chowają, jako już zaaklimatyzowane.

Od dzikich zwierząt do dzikich ptaków przejście naturalne; klatki ich ztąd niedaleko; przedzielają je tylko klomby i parki, w których łagodniejszym, cieplejszym stref stworzeniom przypatrzeć się można. Dalej, w klatkach, są: sępy, orły, jastrzębie, sokoły olbrzymiej postaci i olbrzymiej siły; w posrodku urozmaicają ten widok papugi najpiękniejszych gatunków i wiele innych ptaków, błyszczących wszystkimi tęczy kolorami. Drapieżne ptaki także o trzeciej bywają karmione, i wówczas

najlepsza do przypatrzenia się im pora. W bażantarni opodal odznacza się paw cudnej białości. Na prawo droga prowadzi do żywych gadów i płazów umieszczonych w małym pawilonie; między niemi odznacza się grzechotnik, wąż dusiciel, krokodyl i python, największy z węzów. Mieszkania gadów dotyka gabinet anatomiczny, staraniem Cuviera założony, a przez pp. Rousseau i Laurillard z największą troskliwością utrzymywany. Na dole w bramie leżą żebra wieloryba, a w dziedzińcu szkielet tego olbrzyma, w którego kościotrupie doskonale na liczną orkiestrę jest miejsce. W salach dolnych, koni, zebrów, jednorożców i tapirów szkielety; dalej słoni, hipopotamów, żyraf, niedźwiedzi, hyen, turów, tygrysów, delfinów, antylop, wielbłądów i lam; dalej jeszcze różnych ras ludzi, a między niemi najciekawsze szkielety wenery Hotentotów i sławnego Karla Bebe; obok wypchany morderca Klebera w Egipcie, zapaleniec beduin. U schodów porozwieszane różnych zwierząt czaszki. Szafy trzeciej i czwartej sali obejmują szkielety zwierząt mniejszych rozmiarów, ptaków i płazów; w szóstej mieści się gabinet do nauki muszkułów; w siódmej organa czucia; w ósmej organa trawienia; w dziewiątej organa cyrkulacji; w dziesiątej monstra i t. d.

Kto znieść nie może widoku trupów, niech nie chodzi na drugie piętro; liczba nagromadzonych preparatów 15,000 wynosi. Wyszedłszy z gabinetu anatomicznego, ujrzyś jeszcze alpaki i kozy angora i jesteś przy amfiteatrze. Tu profesorowie kursa uczniom wykładają, w tych salach wstawili się Buffon, Cuvier, Geoffroy St. Hilaire, tu duch ich i gieniusz następców ożywia. W tyle amfiteatru wznosi się skromny dom Cuviera, w którym ten wielki mąż życia dokonał, z bogaciwszy świat cały światłem swój nauki. Ostatnią ciekawością którą zwiedzić należy w dolinie szwajcarskiej, są doły zawierające niedźwiedzie. Doły te graniczą z ogrodem botanicznym. Niedźwiedzie mają w nich swoje nory, w środku drzewo, po którym na zawołanie wylazą. Jest tam piękny niedźwiedź biały nadzwyczajnej wielkości. Niedźwiedzie wielce ściągają ciekawych i nader są z ludźmi oswojone. Przewracają się brzuchem do góry i chleb sobie rzucony dosyć zgrabnie chwytają. Nie przeszkadza to jednak że pożarły inwalidę i kilkoro dzieci, które przypadkiem do ich nor się dostały. Każdy niedźwiedź nazywa się *Martin*, i tak na nie wołają,

lecz odwiedzająca ich publiczność, zwykle do niższej należy klasy.

Zwiedziwszy menażeryą, trzeba opuścić dolinę szwajcarską i udać się w górę do *labiryntu*, z kądem cudny widok na Paryż i jego okolice. Labirynt leży w północnej stronie ogrodu, najwięcej od Sekwany oddalony, zasadzony jest drzewami i winnicą. U podnóża jego wznosi się słynny cedr Libanu, który tu w 1735 r., przez Bernarda de Jussieu z Anglii przywieziony i zasadzony, przesłiznie się przyjął i już 117 lat nad całym panuje ogrodem. Niewiadomo kiedy piorun weń uderzył i nie dozwolił mu dalej rozłożystych konarów rozstaczać; tworzy więc jakby dach liściowy, pod którego osłoną burza cię nie dosięgnie. Cedr Libanu ma kilkanaście stóp obwodu; naokoło niego są ławki, gdzie liczne towarzystwo wygodnie pomieścić się może. Jest to jedyne we Francji drzewo tego rodzaju. U szczytu labiryntu wznosi się kiosk na brzozywych kolumnach, spoczywających na pięknej balustradzie. Ztąd oko odkrywa czarujące widoki: Salpêtrière, Panthéon, kopułę inwalidów, kolumnę lipcową, cmentarz Père La Chaise i jego 40,000 grobowców. Na wypoczynek najlepiej udać się do przyległej biblioteki. Otwartą jest codziennie od 11 do 3, i obejmuje wszystko, co kiedykolwiek o zoologii, botanice i mineralogii napisano. Zawiera ona 35,000 dzieł li tylko o historii naturalnej.

Otóż i cały ogród zwiedzony. Muzeum, zoologiczno - botaniczno - mineralogiczne oddzielnegoby dzieła wymagało. Ma ono 180 stóp długości, 13 szerokości, a 10 wysokości; w środku popiersie Buffona i Cuviera. Muzeum to trzy razy w tydzień zwiedzać można: w poniedziałki, czwartki i soboty od 11 do 3 z południa. Za okazaniem paszportu w biurze administracji wydają cudzoziemcom na ten cel bilety. Dla oglądania menażeryi żadnych niepotrzeba dopełnić formalności, wyjąwszy gdyby kto życzył zwiedzić jej wnętrze, gdzie wstęp bez biletów jest wzbroniony. Muzeum tak jest ułożone, że przedstawia, od zwierzokrzewów do człowieka, szereg istot między sobą zbliżonych, że się zdaje iż to wszystko jedną, z mało znaczącymi zmianami, stanowi rodzinę. Wychodząc można się posilić w kawiarni lub restauracji, których tu jest kilka w różnych punktach ogrodu. Obszerność dzisiejsza ogrodu wynosi 84 morgów, to jest 3 razy powierzchnią ogrodu saskiego. Sama dolina



Stahlstich v. Carl Mayer's Kunst-Anstalt in Nürnberg.

Missouri.



szwajcarska ma 458 metrów długości, a 220 szerokości, czyli w ogóle 294,640 łokci □ powierzchni.

Ogród botaniczny jest tém dla naturalisty, czém *Luwr* dla artysty: ogromnym labiryntem, warsztatem i szkołą praktyczną. Tu, w małym obrębie, professor i uczeń, uczony i amator znajdują nagromadzone wszystkie płody natury; tu można nabyć wiadomości, których dawniej w dalekich krajach, w długoletnich podróżach za morzami trzeba było szukać. Tysiące dzieł wyszło z tego ogniska nauki, tysiące odkryć dla przemysłu, dla rolnictwa, dla rzemiosł, a więc dla całego świata pożytecznych wzięło tu początek. A przytém ten ogród ma powab nadzwyczajny, usposabia do nauki, uczy nie natężając umysłu. Ileż uroku w tém połączeniu wszystkich odcieni zieleności, wszystkich barw, zapachów i woni! Tu cedr Libanu podaje dłoń jo-

dle alpejskiej; palma Afryki wita akacją Nowej Holandyi; tu lew Sahary głośny ryk podbiegunowego niedźwiedzia; koza szwajcarska skacze obok gazelli arabskiej. Mniemasz być w Egipcie, a krokiem dalej jesteś w Japonii, dalej jeszcze w Brazylii, Senegalu, i Jawie. Tu girafa, tam słoń się przechadza; tu król ptaków wznosi poważne swe czoło, a sępy, kondory, sokoły, holdy mu składają. Tylu bogactw natury razem zgromadzonych nigdzie nie napotkasz, i dlatego ogród botaniczny jest dotąd największą osobliwością Paryża, dlatego on cudzoziemca przedewszystkiém pociąga, i go dzień jest stanąć na czele tego zbioru wycieczek, złożonego z sześciu artykułów, w których objąć zamierzam wszystko, co podróżnikowi wiedzy chciwemu ułatwić może korzystanie z bogatych skarbów naukowych Paryża.

## WAŁY SKALISTE

### NA BRZEGACH GÓRNEGO MISSURI.

Rzeka Missouri, potężna tętnica całego terytorium tegoż nazwiska, w ciasnym zrazu zamkniętym łożysku, zaledwo strumykiem nazwać się może w porównaniu do objętości, jakiej nabywa po zasileniu się wodami White River, Platte i wielu pomniejszych rzeczek. Na brzegach górnego Missuri nie znajdziesz tak zwanych bottom'ów, urodzajnych naniowości, pokrytych bujną gęstwiną lasu, które gdzieindziej wabią osadników, a dostarczając wybornego budulca, ułatwiają zarazem kolonizację sąsiednich równin. Znamionującą ich cechą są wały skaliste, po obu stronach rzeki do znacznej napiętrzone wysokości. Od szczytu takowych rozciągają się łąki, już zupełną tworzące płaszczyznę, już rzędem zielonych wzgórzów łagodnie pofalowane. Sąto stepy dzikie jeszcze i puste, których zaludnieniu brak drzewa, brak wody źródlanej, obok trudności wykopania niewysychających studzien

i zaprowadzenia komunikacji, nieprzeparte stawia zawady. Ten zbieg niepomyślnych warunków tłumaczy nam, dlaczego obszary górnego Missuri, w stosunku przynajmniej do żyznych okolic Ohio i Missisipi, zupełnie są bez wartości.

Wały skaliste, czyli bluffy, bywają prostopadle ścięte i w kształtach fantastycznych, na podobieństwo murów i wieżyc wzniesione. Dziwna ta igraszka przyrody, spotykana już na brzegach górnego Missisipi, ku zachodowi coraz staje się częstsza i dochodzi aż do pasma gór skalistych na północo-zachodzie. Fremont widział podobne tworzydła na wschodnim spadku tego pasma, nad jedną z odnóg rzeki Platte, i w dziele swoim (*Exploring expedition to the Rocky Mountains, 1842*) następujące w tym przedmiocie przytacza uwagi: „Góry na południe wąwozu Goshen Hole w uderzający sposób przypominają ogromną warownię, z wszel-

kiemi jej szczegółami. Łomy tych gór, formacyi marglowo-wapiennej, bez żadnej roślinności i barwy białawej, w oddaleniu podobne są do murów. Otaczają one płaszczyznę mającą 400 — 600 stóp średnicy w kształcie półksiężyca, z potężnymi po końcach basztami. Z za przedpiersnia wystrzelają kopuły i wieże na 40 — 50 stóp wysokości, tak, iż całość ma pozór fortyfikacyi starego grodu. To samo zauważyłem nad White River i nad górnym Missouri, gdzie owe zamki i baszty naturalne są dziwowiskiem Kanadyjczyków, podróżujących za handlem futrami. Niekiedy skały grupują się na kształt wielkiego miasta z pysznymi gmachami, w których liczbie Kanadyjczyk umie zawsze dopatrzyć i karczmy. Niekiedy znów pojawiają się niby starożytne zamczyska, z podziemnymi jaskiniami, a w tych podróżni nocują z końmi i pakunkiem, dla zabezpieczenia się od napadu rozbójniczych Indian.

Missuri wytryska z pasma gór skalistych między 44 a 45 stopniem szerokości północnej; zrazu, aż do 47 stopnia szerokości północnej, płynie ku północy, potem zwraca się ku wschodowi i północno-wschodowi, a pod 101 stopniem długości zachodniej wielkimi skrętami toruje sobie drogę na południe i południo-wschód, i przebiegłszy 3,096 mil ang. wpada do Missisippi. Nazwisko swoje otrzymuje dopiero po złączeniu się z trzema rzekami Gallatin, Maddison i Jefferson. Przy zwrocie ku wschodowi przebywa wąwóz skalisty, gdzie tworzy szereg malowniczych wodospadów, ustępujących w wspaniałości jednemu chyba tylko Niagary. Od tego miejsca przyjmuje w swe łóżysko niemało rzek i rzeczek pomniejszych; objętość jego szybko się powiększa, a mętne nurty z nadzwyczajną bystrością toczą się ku ujściu.

Pod względem żeglugi Missouri niewiele przedstawia korzyści, bo w czasie niskiego wodostanu statki parowe krążyć mogą tylko w przestrzeni od ujścia jego aż do Council Bluff, na granicy Jawy; powyżej zaś, aż do wodospadów, jedynie podczas przyboru. Nic wreszcie na tém nie zależy w okolicy, gdzie, jak wspomnieliśmy, oba brzegi niezmiernie tylko zalegają łąki. Inny jeszcze powód, wpływający z polityki Stanów Zjednoczonych, przeszkadza osiedleniu się białych nad tą rzeką. Wiadomo, że kongres washingtonski dwie odrębne przestrzenie przeznaczył na pomieszczenie mie-

szkańców indyjskich: jedną od Kansas do Texas dla pokoleń południowych, drugą nad górnym Missouri dla szczepów północnych. System stopniowego wywłaszczania, na wielką rozwiniętą skalę, trzyma tam na uwięzi nie tylko ludność miejscową, lecz nawet z konstytuowanych już Stanów przenosi corocznie pewną liczbę kolonistów indyjskich. Po długim więc chyba lat szeregu lemiesz białego osadnika rozorze stepy Missouri, a dłużej jeszcze oświata obcą będzie tym stronom. Dotychczas z białych podróżników ujrzyć tu można jednych tylko kupcyków kanadyjskich (*commis voyageurs*), zostających w służbie towarzystw handlarzy futer, oraz myśliwych udających się za połowem zwierzyny i bobrów. Jednym i drugim, a mianowicie ostatnim, zagrażają bezustannie napady zawistnych o prawa swoje tuziemców. Użytek bowiem z polowania należy wyłącznie do szczepów miejscowych, które w dzikości i swobodzie życia myśliwskiego, opodal od cywilizacyi najeźdźców, nie zatępiły jeszcze w sobie właściwości rasy czerwonej. Ztąd też obszary górnego Missouri obfitsze są w zwierzynę od położonych więżej na południe nad rzeką Platte, kędy przeciągają tłumy białych wychodźców do Oregonu i Kalifornii. Łąki tameczne są żerowiskiem trzód bawołów amerykańskich (*bison*), bliżej zaś rzeki pomiędzy górami blakają się właściwi miejsc tych mieszkańcy, jak np. gatunek jelenia (*cervus Macrotis*), skalnica amerykańska (*antilope americana*), owca skalna (*ovis montana*) i t. d.

Gromadkę tych ostatnich zwierząt wyobraża załączona rycina. Przebywają one w całym pasmie gór nadbrzeżnych, rozciągających się aż do północno-zachodniej części rzeczypospolitej meksykańskiej. Ponieważ te strony długo dla reszty świata były nieznanne, nie wiedziano też o istnieniu owiec skalnych, dopóki w latach 1804, 1805 i 1806 słynni podróżnicy Lewes i Clarke nie odbyli wyprawy naukowej do źródeł Missouri. Učení ci, nagromadziwszy mnóstwo szczegółów dotyczących geografii i historii naturalnej zwiedzonego kraju, przywieźli oraz pierwsze tych zwierząt okazy. Odtąd wielu podróżnych zwróciło na nie uwagę; dla trudności atoli wypatrzenia ich w stanie dzikości, dotąd niewiele o ich życiu wiadomo.

Owca skalna żyje w trzodach od 15 do 30 sztuk, pasząc się w miejscach najurwistszych, dla czło-

wieka prawie nieprzystępnych. Z niepojętą siłą i zręcznością skacze przez szerokie nieraz rozpadliny, i na tej zwinności polega główna jej obrona przeciw żarłocznym napastnikom z królestwa zwierzęcego i przeciw człowiekowi, który z narażeniem tylko życia może ją zpolować. Samiec od samicy różni się najbardziej wielkością i zagięciem rogów; wyrastają one blisko oczu, wybiegają zrazu nieco wtył, potem zwijają się ku przodowi, i zakończają stercząco. Dolna ich część trójkątna, od przodu najszersza i do połowy głęboko rowkowana. Fremont widział rogi samca ważące 11 funtów i mające w podstawie 7 cali średnicy. Przeciwnie rogi samicy są małe, cienkie i lekko tylko rowkowane. Uszy tego zwierzęcia są proste i kończate, ogon

krótki. W porze zimowej pod zwierchnią warstwą grubych kudłów, a raczej szorstkiego włosa, wyrasta cienkie runo, wyrównywające w delikatności welnie kóz kaszmirskich. Mięso, podług Fremont'a, bardzo jest poszukiwane przez myśliwych, skóra zaś nie ma dla nich wartości. Nie podlega zaprzeczeniu, że z tych owiec, podobnie jak z bawołu amerykańskiego, możnaby wychować rasę zwierząt domowych, podstawę przyszłej cywilizacji; lecz pokolenia krajowców nie posiadają dosyć zmysłności i dobrej chęci, aby korzystać z darów przyrody; spożytkowanie takowych ogranicza się więc dotąd na najprostszym ze wszystkich sposobów, na ubiciu przez łowy.

## DZIEŁA CZŁOWIEKA I DZIEŁA PRZYRODY.

Zastanawiamy się nieraz nad potęgą dzieł ludzkich, nad ogromem przeistoczeń jakie praca człowieka od początku świata na powierzchni globu naszego zdziałała. Patrząc na olbrzymie piramidy i grody ręką jego wzniesione, mimowoli prawie nasuwa się myśl: czy rodzajowi ludzkiemu nie zabraknie kiedy materiałów budowlanych, gdy bezustannie góry całe i lasy do siedzib swoich przenosi. Lecz kto tak myśli, ocenia tylko szczegół, a nie widzi ogółu żyjącego świata. Wyobrażenie o wielkości zupełnie jest względne; orzeł, co u nas jest królem powietrznych przestrzeni, karłowacieje obok kondora, mieszkańca Andów; dziecię, przyglądając się gliście, strasznego widzi w niej węża, bo oko jego nie posiada jeszcze miary wielkości. Tak i my, starsze dzieci, podziwiamy dzieła człowieka, bo nie widzimy tego, co tajemniczo tworzy przyroda na podziemnych swych i podmorskich warsztatach. Herodot podaje, że koło piramidy Cheopsa 100,000 ludzi przez 20 lat dniem i nocą pracowało; a jednak bryłowatość tej budowy kolosalnej równa się zaledwo jednej milionowej części mili

sześcienną; wszystko zaś razem, cokolwiek siły ludzkie, przy pomocy najdowcipniej pomysłanych machin, od 6,000 lat z miejsca poruszyły, nie wynosi zapewne jeszcze całkowitej mili sześcienną.

Przypatrzmy się natomiast działaniu pierwotnych sił natury. Dwa strumienie lawy, które w roku 1783 wypłynęły z czeluści wulkanu Skeptaar-Yokul w Islandyi, tworzą pokład mający 20 mil długości, 3 szerokości, a miejscami 600 stóp grubości; masa ich przeto przechodzi sześć razy bryłowatość góry Białej (Mont-blanc) i obejmuje co najmniej  $\frac{3}{4}$  mili sześcienną, a zatem równa się prawie sześćdziesięcio-wiekowej pracy ludzkiej. Przyływ i odpływ morza przenosi w sześciu godzinach około 200 mil sześciennych wody z jednego krańca oceanu na drugi. Ren pod Emmerich toczy na godzinę 265 milionów stóp sześciennych wody, Nil pod Syout przy niskim wodostanie 80, przy wysokim 640 milionów, Ganges pod Sikligully 1620 milionów; ogólna zaś masa wody płynącej corocznie przez rzek tych łożyska czyni w Renie  $\frac{1}{6}$ , w Nilu  $\frac{2}{5}$ , w Gangesie przeszło jedną milę sześcienną.

ną. Tak więc w przeciągu roku jedna rzeka większe porusza massy, aniżeli praca całego rodu ludzkiego od początku jego istnienia. W każdej rzece znajdują się męty mulaste. W Renie wynoszą one  $\frac{1}{16,000}$ , w Nilu  $\frac{1}{132}$ , w Gangesie  $\frac{1}{98}$  część wody; pokłady przeto ziemne i szlamowe, jakie te rzeki corocznie przy ujściu swoje n osadzają, pokryłyby na stopę wysokości w Renie  $\frac{1}{11}$ , w Nilu 73, w Gangesie aż 250 mil kradratowych; w jednym zaś stuleciu sam Ganges więcej stałego nagromadza materiału, niżli go dotąd użył człowiek do wszystkich swych budowli.

Zwróćmy się teraz do świata organicznego, zobaczmy jak budują zwierzęta i rośliny. Oto z pośredka morza, za ledwo pokryty przejrzystymi jego faly, wзира zielony kobierzec, wdzięcznie krzewiną przystrojony, na której w świetnych barwach wzorzyste błyszczą kwiaty, a wokoło igrająca rzesza drobnych, lecz niezliczonych rybek zdaje się walczyć o pierwszeństwo z kwiatami w cudownej grze kolorów. Zbliżamy się: lecz po kilku uderzeniach wiosła ten sad czarodziejski znika, mieszkańcy jego rozpraszają się, a owe kwiaty błyszczące, zmienione w ostre kończyny rafy koralowej, sterczą groźnie kamienną swą pierś nad powierzchnię oceanu. Przeszkodziłszy koralnikom w spokojnej ich robocie. Mikroskopijne te zwierzątka stawiają całe wyspy, ogromnej niekiedy rozległości, jakich tysiące zapelniają mianowicie ocean południowy. Tworzą one najczęściej gęsto zbite gromady, których łańcuchy na kilkaset mil nieraz w morze wkraczają. We wnętrzu tych wysp znajdują się zwykle małe jeziora, spółkujące z morzem za pomocą kanałów, a z głębi ich wystrzelają stromo koralowe szczyty. Do głębokości 2,000 stóp i więcej, cała ich bryłowatość składa się z obumarłych koralów, podczas gdy po brzegach żywe jeszcze zwierzątka ciągną dalej dzieło przez tamte rozpoczęte. Częstokroć budowa z nadzwyczajną postępuje szybkością. Kanał sztuczny na Keeling w dziesięciu leciech przez pracę koralników stał się niespławnym, a mieszkańcy wysp malediwickich co kilka lat burzyć muszą tamujące ich żeglugę konary koralowe. Darwin opowiada, że w zatoce Perskiej pobity miedzią spód okrętu, w przeciągu dwudziestu miesięcy pokrył się warstwą koralową na dwie stopy grubości. Lecz przyjąwszy nawet że czynność tych drobnych architektów w ogóle jest wolniejszą, przy-

puściwszy, że miliony lat złożyć się musiały na budowę owych cudów podmorskich, czyż się téj liczby ulęknie badacz przyrody, naznaczający ośm milionów lat tworzeniu się węgla kamiennego? Widzi on te żyjątko krzątające się niezmiernie dawno przed czasem istnienia rodzaju ludzkiego, widzi jak w morzu, co niegdyś pokrywało stały ląd Europy, z trupów swych tworzą podwaliny wapiennych opok Anglii, Francyi i Włoch. Ilużto bogaczy tych krajów pyszni się z swych pałaców i zamków obronnych, nie domyślając się pewnie, że tak nikczemne napozór stworzenia dostarczyły im materiałów budowlanych!

W pojedynczych odnogach koralowych jest mnóstwo drobnych jamek lejkowatych, gwiazdzisto niekiedy wciętych, z których, gdy się znajdują pod wodą, żywe polipy, (tak zwykle nazywają koralników) wypuszczają swe rożki. Każda z tych jamek przez osobne zamieszkania żyjątko; wszystkie jednak w ściślejszej między sobą zostają łączności, do tego stopnia, że pokarm przez jedno z nich spożyty, przechodzi w ciała wszystkich innych. Gdy łączność ta przypadkiem zostanie przerwana, ustaje tém samym obieg soków pożywnych, kanały się zatykają i koral obumiera. Ale ze śmiercią graniczy tu życie. Na trupach przodków nowe powstaje pokolenie. Choć rozhukane fale część gmachu zdruzgocą i w pył rozbiją długoletnie starania, młodość w pracy nie ustaje i szydzi z nawałnicy, której siła nieokrzesana napróżno walczy z odradzającym się ciągle duchem twórczości.

Inne jeszcze zwierzątka ciałami swojemi przyłożyły się do utworzenia naszego globu. Sąto okiem niedojrzane skorupiaki (foraminifera) znajdujące się szczególnie w kredzie. Cał sześcienny kredy zawiera ich niekiedy przeszło milion; a jednak składają one jedną z najrozleglejszych formacji, tu jako warstwy niezmierne, przysypane innemi już pokładami, owdzie jako góry i skały wysoko nad powierzchnię sterczące. Wapień napotykanym w wielkiej obfitości w okolicach Paryża pełen jest także szczątków tych żyjątek, których trupy służyły do budowy potężnego grodu. Piasek morski składa się częstokroć z samych prawie skorupiek; w jednej uncyi piasku z wysp Antylskich naliczono ich blisko cztery miliony. Znaczna część Pireneów utworzoną została przez olbrzymie w swym rodzaju, bo kilku niekiedy linii dochodzące, foraminifery, zwa-



ne *nummulitami*, a najwspanialsze dzieło ludzkie, największą z piramid egipskich, wystawiono z kamienia nummulitów.

Lecz nie same tylko zwierzęta pracowały nad ukształtowaniem naszej ziemi: i rośliny także przyjęły udział w jej tworzeniu. Każdemu prawie wiadomo, że torf, tak obszerne pokrywający przestrzenie, jest nie czém inném, tylko ogromnym cementem niezliczonych roślin, których szczątki gnijące, z upływem wieków w stałe skupiły się pokłady. Wiadomo także, że niewyczerpane kopalnie węgla kamiennego są torfowiskami, na których przeistoczenie miliony lat się składało. Ale zapewne mało komu znane są dzieła najdrobniejszych istot organicznych, *bacillaria* v. *diatomea*. Rośliny te, czy zwierzątka (bo naturalisci nie zgodzili się jeszcze do którego z tych królestw je policzyć), żyją w morzach i rzekach, w lodach Północy i w strefie podzwrotnikowej i w źródłach gorących Karolowych warów (Karlsbad).

Co oko ludzkie uważa za ziemię lub kamień, częstokroć jest utworem tych roślin. Pokład Berlina na 5, a miejscami na 100 stóp głębokości, zawiera krocie milionów tych istot, po części jeszcze żywych, nieustających w pracy od stworzenia świata rozpoczętej. Łupek polerowniczy, trypla i ziemia jadalna niektórych krajów, napotykana w górach Jawy na wysokości 4,000 stóp, składa się po większej części z takich szczątków organicznych. Tworzą one, w połączeniu z foraminiferami, wielkie masy marglu krédowego lub skały, a twarde głazy, otaczające zwykle góry krédowe, téj saméj są natury. Wulkany wyrzucają z swych

czeluści zagrzebane w łonie ziemi skorupy ich krzemieniste, już w ścisłe bryły stopione, już w kształcie popiołu. Tu człowiek korzyć się musi przed potęgą przyrody. Istoty tak niepojęcie drobne, przez lat tysiące nawet niedostrzeżone, których 41,000 milionów mieści się w calu, a 70 bilionów w stopie sześciennéj, tak olbrzymie wykonywają dzieła! Lecz siła ich żywotna jest tak ogromna, iż jedno indywiduum w przeciągu 24 godzin rozmnaża się na 16 milionów, a we dwie doby może stopę sześcienną ziemi krzemiennej nagromadzić. Czémże są, w porównaniu pracy tych mikroskopijnych mularzów, wszystkie dzieła człowieka? A przecież te żyjątko materiały swoje, ziemię krzemienią i wapno, muszą wprzód wyssać z wody jako pokarm i przerobić; gdy tymczasem człowiek, mając już wszystko niemal gotowe, wprost tylko nagromadza co sobie upatrzy.

Zaprawdę, nie materiał, nie massa, nie pozór stanowi o ważności prac wykonywanych w wielkim gospodarstwie przyrody, ale siły działające. Nietylko to co wielkie zasługuje na uwielbienie, lecz bardziej jeszcze małe, gdy wielkie stworzyć zdoła. Nie stawiamy dziś wprawdzie piramid, lecz zato zawieszamy mosty nad morskimi odnogami, przerzynamy skały, by przez nie poprowadzić nasze drogi, i brzegi oceanu łączymy telegrafami elektrycznymi. Już dzisiaj krocie niewolników nie dźwigają ciężkich głazów do bezużytecznej budowli, a jednak każdy z nas, mimo wiedzy nawet, składa swą cegielkę do niewidzialnej świątyni, którą duch człowieczeństwa wznosi ponad ziemią.

J.

## TRĄBY WODNE.

Jednym z najgodniejszych uwagi zjawisk powietrznych są bez wątpienia tak zwane trąby czyli kręgi wodne; sądzimy przeto że czytelnicy nasi radzi obeznają się z ich naturą, skutkami i domniemaną przyczyną.

Trąby wodne zdarzają się na wszystkich morzach, a nawet na wielkich rzekach, blisko ujścia takowych, szczególnie w czasie parnym, gdy się zanosi na burzę. Częściej jednakże napotykamy je niedaleko brzegów, niż na otwartém morzu, mia-

nowicie na ciśnień malajskiej, tudzież koło po-brzeża chińskiego i na morzu Śródziemnym. Zwy-  
kle przed zjawiskiem nad powierzchnią wody uno-  
szą się gęste masy nizko zawieszonych obłoków,  
niekiedy nawet jeden tylko obłok. Wkrótce dolna  
część jego przybiera kształt ostrokągu i biegiem  
wirowym spuszcza się ku wodzie, która, w miarę  
zbliżania się chmury, w obrębie około stu kroków  
zaczyna falować, a nakoniec wypuszcza gęsty słup  
pary, którego wierzchołek łączy się z kręgiem  
chmury. Przymiennie słychać szum mocny, podobny  
jużto do huku odległego wodospadu, już do sycze-  
nia węzów.

Słup pary w punkcie zetknięcia się z chmurą ma  
około 3 do 4 stóp średnicy, bliżej atoli wody gru-  
bość ta znacznie się powiększa. Wnętrze jego  
podobne jest do rury, i przebija naksztalt mléczne-  
go wydrążenia. Wirując gwałtownie i węzowe za-  
wijając kręgi, zjawisko przesuwają się po powierz-  
chni wody, i coraz większa jej ilość przelęwa się  
słupem do chmury, która coraz bardziej nabrzmie-  
wa i ciemnieje. Po upływie kwadransa lub pół go-  
dziny słup się przerywa, a chmura sypie ulewnym  
dészczem, niekiedy nawet gradem. Wyłonienie na-  
stępuje jeszcze wcześniej, kiedy słup pary postę-  
puje wolniej lub pospieszniej od chmury z którą  
się łączy: w takim razie przybiera on położenie po-  
chyłe, wyciąga się coraz bardziej, a nakoniec pęka;  
lub też kiedy zjawisko uderza o ciało stałe, mają-  
ce dosyć siły do stawienia mu oporu. Uważano  
zresztą, że jedna i ta sama trąba w ciągu pół godzi-  
ny kilkakrotnie rozbijała się i odnawiała.

Wirowanie wody i ostrokągowe jej podnosze-  
nie się trwa zwykle jeszcze czas jakiś po zerwaniu  
trąby i oddaleniu się chmury; zdarza się przeto, że  
za nadejściem drugiej, trzeciej i czwartej chmury  
na tém samym miejscu wciąż nowe tworzą się trą-  
by. Niekiedy słup wodny wznosi się sam z siebie,  
a dopiero za zbliżeniem się jakiej chmury łączy się  
z takową. Żeglarze to ostatnie zjawisko nazywają  
trąbą *wznoszącą się*, w odróżnieniu od opisanych  
powyżej trąb *spadających*.

Częstokroć te tworzydła pojawiają się gruppa-  
mi, od pięciu do dwudziestu i więcej, które kręcąc  
się i kołując w rozmaitych kierunkach, zdają się  
jakiś olbrzymi zawodzić taniec. Towarzyszy im  
zawsze silny wiatr wirowy, chociażby nawet wota-  
czającej powietrzni (atmosferze) zupełna panowała

cisza. Niekiedy płynie z nich światło elektryczne,  
lub biją błyskawice, rzadko bardzo połączone  
z grzmotami.

Parrot mniema, że trąby wodne nie są czém in-  
nym, tylko burzą w szczuplejszym zamkniętą obrę-  
bie; zdaniem jego rozciągająca się pod obłokiem  
powierzchnia wody wstrzymuje zwykle wybuch  
elektryczności. W ogóle jednak przyczyny tych  
zjawisk nie są jeszcze dostatecznie wyjaśnione.  
Trudno przypuścić, aby jedynym ich powodem,  
jak utrzymuje Muschenbroek, był wiatr wirowy,  
wiejący po linii przejścia takowych; bo właśnie do-  
wiedziono, że trąby wodne powstają prawie zawsze  
przy zupełnej ciszy. Dla téj saméj przyczyny zda-  
nie Andoque'a, jakoby one tworzyły się skutkiem  
wiatrów pędzących w kierunku równoodległym, nie  
tłumaczy nam dostatecznie fenomenu.

Inni badacze przyrody przypuszczają, że trąby  
wodne pochodzą z wybuchu gazów podmorskich;  
lecz mniemanie to, zdolne wytłumaczyć wznosze-  
nie się słupa z wody, pozostawia nierozstrzygniętą  
wątpliwość co do spuszczenia się chmury. Becca-  
ria, a z nim Franklin, Wilke i inni, przypisują to  
zjawisko działaniu elektryczności: nie wyjaśnia to  
wprawdzie ruchu wirowego, ale się zgadza wybor-  
nie z zauważanym nieraz łyskaniem i światłem. Za  
tém ostatniem zdaniem przemawia także Cavallo,  
przytaczając, że udawało się Beket'owi tworzyć  
sztuczne wiry z trocin, otrębów lub drobno pokra-  
janego papieru, a to za pomocą dwóch desek po-  
krytych staniolem i przeciwnie naelektryzowanych,  
które zbliżał ku sobie na 4 do 5 cali, a na dolną  
z nich sypał lekkie owe ciała. Że jednak doświad-  
czenie nie zawsze jednakowy miało skutek, wyrasta  
ztań domysł, iż wpływać tam musiał inny jeszcze  
działacz, może stopień siły przyciągania, ilość  
nagromadzonych ciał, odległość desek i tym po-  
dobne okoliczności.

Nowsi badacze utrzymują, że w wyższych war-  
stwach atmosfery spotykają się silne prądy powie-  
trza, różnej temperatury i ścisłości; przez to zawar-  
ta w nich para szybko się zgęszcza, zaczyna wiro-  
wać, i w kształcie zwężonego cylindra spuszcza się  
ku wodzie. Dosięgłszy jej powierzchni, cylinder,  
w którego wnętrzu słup powietrza bardzo jest prze-  
rzedzony, wywiera moc wsysającą i ciągnie wodę  
jak pompa. Elektryczność zaś, według nich, wy-  
wiązuje się nie z nagromadzonego już w powietrzu





tworzywa, lecz jedynie z nagłego zgęszczenia się pary.

Skutki tych zjawisk są niekiedy straszne; unoszą one w powietrze kilkocentnarowe ciężary i zagrażają nieraz okrętom, z którego to powodu żegla-

rze usiłują je rozerwać kulami armatniami. Gdy trąba wodna zajmie kawał lądu, co dosyć często się zdarza, wtenczas niszczy wszystko cokolwiek napotka, wyrywa drzewa, przewraca domy i całą okolicę zamienia w pustkowie.

## GRZECHOTNIK OKROPNY I DRÓZD ŻARTOWNIŚ.

*Grzechotnik* wrzędzie *wężów*, w pokrewieństwie *nierównoluskich*, stanowi rodzaj składający się z kilku gatunków, żyjących po większej części w północnej Ameryce. Różni on się od innych grzechotką na końcu ogona, od której nie tylko w polskim, ale i w innych językach otrzymał nazwisko. I tak po łacinie nazywa się *crotalus*, od greckiego wyrazu *κρόταλον*, znaczącego grzechotkę; po niemiecku *Klapperschlange*, po francuzku *crotale* lub *serpent à sonnettes*. Grzechotka jego jestto szereg paciorkowaty wydętych, sucho-skórkowych pęcherzyków na końcu ogona. Pęcherzyków tych przybywa mu co rok po jednym: sąto szczątki jego skóry po coroczném wyleniu, lubo nie zawsze z liczby pęcherzyków o jego wieku sędzić z pewnością można. Nie upatrzono dotąd innego przeznaczenia téj grzechotki, jak tylko żeby służyła innym zwierzętom za znak ostrzegający o bliskości straszego nieprzyjaciela.

Na załączonej rycinie wystawiony jest gatunek *grzechotnik okropny* (*crotalus horridus*), w chwili gdy się skrada do gniazda piskląt *drozda żartownisia*, o którym niżej powiemy. Uwydatnia ona mniej więcej kształt jego i ubarwienie. Główne tło jest szaro-brunatne, na którym widać zygzakowate, szerokie, czarne pręgi poprzeczne, w liczbie od dwudziestu do trzydziestu. Gatunek ten, właściwy północnej Ameryce, znajduje się we wszystkich częściach Stanów Zjednoczonych. Jest on ze znanych dotąd zwierząt najjadowitszy, a jad jego mieści się w sporych gruczołach pod nasadą przednich zębów, których w górnych żuchwach jest tylko po jednym. Przyciskany siłą szczęki ząb ostrym koń-

cem wciska się w ciało, nasadą zaś ugniata gruczoł jadowy, z którego wyciśniony jad kanalikiem wzdłuż zęba dostaje się w ranę. Szczęście, że grzechotnik jest bardziej jadowity jak drapieżny. Poluje on i zabija tyle tylko, ile mu do nasycenia potrzeba, razi zaś tak okropnie, iż ukąszone przezeń nawet znacznej wielkości zwierzę, w kilkunastu minutach w najokropniejszych męczarniach umiera. Grzechotnik, przy odpowiedniej grubości, bywa pięć do sześciu stóp długi, a widziano i takie co do ośmiu stóp dochodziły. Głowa jego jest sercowata, spłaszczona, od tyłu mocno wydęta; pysk jakby ucięty; oczy duże, bystre; szyja w stosunku do wielkości głowy cienka; ciało wałkowate, z wierzchu pokryte łuskami, jedna na drugą naprzemian zastającami.

Grzechotniki w swéj ojczyźnie nietyle bywają napotymane w głębi lasów, ile w miejscach błotnistych, w krzakach, w zaroślach, przy drogach, na otwartych pochyłościach pagórków. Żywią się zwykle drobnymi zwierzątkami, szczurami, myszami, ptakami, które chwytają rzucając się jak strzała na nieostroźnie przebiegające lub przelatujące; nie uganiają się za niemi, ale leżąc spokojnie srurowato zwinione, z wielką szybkością i sprężystością rzucają się przy nadarzonej sposobności. Czołgają się powoli; na drzewa wpełznąć obwijaniem się, jak to czynią inne węże, nie mogą, ani téż dusić zwierząt swemi zwojami. Zresztą są ociężałe, powolne, i ztąd téż niebardzo się ich lękają krajo- wi mieszkańcy. Na zimę zasypiają i zdrętwiałe leżą jak nieżywe. Wiadome jednak zdarzenie na Angliku Drake, właścicielu menażeryi, który

w Rouen 1827 roku, wzięwszy w rękę tak zdętwiałego grzechotnika, chcąc go ogrzać przy piecu, ukąszony w rękę, pomimo ratunek, umarł w ośm godzin wśród okropnych boleści. Żyjąc w stanie natury nie napastują człowieka, chyba że są same napastowane lub rozdrażnione. Zbliżanie się ich poznać można po grzechotliwym, ale tylko o parę kroków słysząc się dającym szeleście grzechotki, gdyż mając skoczyć poruszają wprzód ogonem. Zresztą mocniejsze uderzenie biczem lub laską rozbraja je, i częstokroć, mianowicie w głowę wymierzone, życia pozbawia. Rzucając się na swą zdobycz, grzechotnik nie ma, jak się zdaje, zamiaru ją przytrzymać; dosyć dla niego aby jęj dosięgnął zębami, a niedaleko już pewno uciecze i w kilka minut padnie nieżywa. Człowiek łatwo przed jego pogonią ujść może.

Moc jadu tego węża ani z czasem, ani przez wyschnięcie nie słabnie. Zpomędzy wielu przykładów tę prawdę potwierdzających, przytaczamy następujący: człowiek ukąszony od grzechotnika przez bót w nogę umarł; bóty po zmarłym sprzedawane były kolejno dwom ludziom, którzy ulegli obadwaj śmierci, w takich zupełnie przypadłościach, jak pokąsani przez węża, i pewnoby tym sposobem więcej jeszcze osób zostało otrutych, gdyby nareszcie nie spostrzeżono, że przyłamany w rzemieniu bóta jadowity ząb węża, był przyczyną śmierci tych którzy te bóty wzuwali. Ukąszenie działa tém gwałtowniej, im w gorętszej następuje porze, tudzież im bardziej wąż został rozdrażniony. Różne podawano środki zaradcze na ukąszenie od grzechotnika, lecz te albo mniej okazały się skutecznymi, albo też nie można ich było użyć nim jad działać zaczął.

Rzecz osobliwa, grzechotnik z natury tak straszny i jadowity, zdolny jest powodować się wpływem muzyki, mianowicie instrumentów dętych, któremu zwykle tylko łagodnej natury zwierzęta ulegają. Chateaubriand ciekawe w tym względzie przytacza zdarzenie. „W miesiącu lipcu 1791 r. mówi on, podróżowaliśmy po Wyższej Kanadzie z kilką rodzinami dzikich, z plemienia Annutangów. Pewnego dnia, kiedyśmy bawili nad rzeką Geneyą, zakradł się grzechotnik do naszego obozu. Mielśmy wtedy między sobą Kanadyjczyka grającego na flecie, który chcąc nas zabawić wystąpił na spotkanie węża z nowym rodzajem broni, bo tylko

z fletem w rękę. Na widok nieprzyjaciela wąż zwija się natychmiast w śrubę, przyplaszcza głowę, nadyma policzki, ściąga wargi, odkrywa jadowite zęby i pokazuje czerwoną paszczę, miota rozdwojonym językiem, błyska oczami, rozżarzonemi jak węgle; nadęte gniewem ciało jak miech opada i wznosi się, rozszerzona i łuskami najeżona skóra i ogon, złowrogi wydając szelest, z niepojętą drgają szybkością. Wtém Kanadyjczyk zaczyna grać na flecie: wąż poruszeniem okazuje zadziwienie i głowę w tył cofając pomalu zamyka płomienistą paszczę. W miarę jak go głos fletu czaruje wzrok jego staje się łagodniejszym, drgania ogona wolniejszą, szelest przezeń sprawiony słabnie i stopniowo ustaje. Zwoje ciała, nie tak już prostopadle jedne na drugich skręcone, rozwijają się i powoli na ziemię opadają; łuski na skórze spokojnie się układają i połysk odzyskują, a wąż lekko głowę obracając, z uwagą i upodobaniem zdaje się przysłuchiwać. Teraz Kanadyjczyk postępuje kilka kroków, przeciągle i jednotonne z fletu dobywając dźwięki; wąż schyliwszy szyję, rozgarnia głowę drobną trawę i zaczyna pelzać wślad za muzykantem, który go zachwyca; zatrzymuje się, gdy Kanadyjczyk stanie i znowu pelza, gdy ten się oddala. Takim sposobem grzechotnik wyprowadzony został z naszego obozu, pośród tłumu przypatrujących się ludzi, tak dzikich jak i Europejczyków.“

Jak grzechotnik sam zdolny jest do przyjęcia wrażeń, tak nawzajem zdaje się wywierać znaczny wpływ na zwierzęta. Jego bystry wzrok, lub, jak dowodzą inni, woń którą z siebie wydaje, przeraża i niejako paraliżuje zwierzęta, co nieświadomi nazywają czarowaniem.

Zdaje się że grzechotnik może być do pewnego stopnia przyswojony. Pan Thiébaud de Berneaud widział tego węża 1823 r. chowanego bez żadnego zamknięcia u doktora Pallais w Nantes. Wychodził on swobodnie ze swęj kryjówki na każde po daném mu imieniu zawołanie; wylaził na stół i jadł przygotowany mu pokarm, nie lękając się obcych nawet osób.

Grzechotniki, podobnie jak zmije, żywo rodzą, czyli składane przez samice jaja żywy plód zawierają. Historia ich rozmnażania się mało jest w szczególach znaną, samice jednak okazują pewną troskliwość dla młodocianego potomstwa swego. Palisat de Beauvais przytacza przykład tęg pieczolo-

witości, który jako osobliwy podajemy. „Podczas mej pierwszej podróży między Czerokiezami, pisze on, napotkałem grzechotnika, jak się zdaje samicę, na ścieszcze którą szedłem, wyprawiwszy się na zbiór roślin. Spostrzegłem go zdaleka i zbliżałem się jak najwolniej, bez szelestu; lecz jakież było moje zadziwienie, gdy podniósłszy rękę, aby go uderzyć, widziałem jak się ruszał i dawał znak odgłosem swęj grzechotki, a natychmiast do otworzonej szeroko jego paszczy schroniło się pięciu małych jak dutka pióra, wężyków. Zdumiony tém widowiskiem cofnąłem się o kilka kroków i skryłem za drzewo. W kilka minut wąż, uważając że już minęło niebezpieczeństwo, otworzył paszczę, a młode potomstwo jego powysuwało się. Gdy się powtórnie pokazałem, znów się tak samo schroniły młode, a wtedy już troskliwa matka poczołgała się spiesźnie i skryła w zarośli.”

Powiedzieliśmy już że teraz znane i często w menażeryach europejskich pokazywane grzechotniki miewają 5 do 6 stóp długości; zdaje się jednak że dawniej znano większe, i że w różnych częściach Ameryki znaczniejsza ich była liczba. Coraz bardziej rozszerzona uprawa gruntów, częściejsze wszędzie podróże, pomnożone osady, powiększona ludność i jej panowanie nad każdą okolicą utrudniają rozmnażanie się tych węzów. Ileżto wyłowiono ich dla samego pokazywania, jako osobliwość, w Europie? Niema znaczniejszej menażeryi, któraby nie posiadała, między rzadkimi zwierzętami grzechotnika.

Amerykanie zbierają zwykle tłustość tych węzów, jako empiryczne na różne choroby lekarstwo, a grzechotkom przypisują własność ułatwiania pógów; dawniejsi zaś krajowcy czcili je jako

groźne i niebezpieczne stworzenia. Nigdy ich nie zabijano, bo mówili dzicy, duch zabitego pobudziłby do zemsty jego potomstwo i pokrewnych węzów, na tych którzyby się dopuścili zabójstwa. Bartram w opisie swęj podróży przytacza z tego powodu anegdotę godną powtórzenia. „Pewnego dnia oznajmiono mi, że jacyś Indyanie pragną widzieć się ze mną. Chciałem się schronić przed natrętnemi ich odwiedzinami, gdy trzech z pomiędzy nich, młodych i bogato ubranych, weszło, prosząc mię abym się udał do ich obozu, dla zabicia wielkiego grzechotnika, który się tam rozgościł. Nie mogąc oprzec się naleganiom, poszedłem, i w rzeczy samej zastałem Indyan w wielkim kłopotcie!... Cisnęli się do mnie mężczyźni, błagając abym ich oswobodził od węża. Wziąwszy więc giętki pręt przybliżyłem się do grzechotnika, który w śrubę zwinięty gotów był bronić się. Uderzyłem go w głowę i od jednego razu położyłem nieżywego. Odebrawszy podziękowanie zagrożonych, powróciłem już był do swego mieszkania, gdy znowu niespodzianie przyszło do mnie trzech Indyan, by, jak mówili, podrapać mię za to, że zabiłem węża szukającego schronienia w ich obozie. Pokazywali mi narzędzia do drapania, i już mnie opierającego się trzymali za ręce, gdy jeden z nich przyskoczywszy odepchnął pozostałych, mówiąc że dzielny rycerz, że nie powinni mnie zaczepiać. Nagle zmieniła się scena: wszyscy razem wykrzyknęli, zaczęli mnie ścisnąć, klepać po ramieniu, przykładali ręce do piersi na znak życzliwości i mówili z uśmiechem, że jestem prawdziwym przyjacielem Seminotów. Wszystko to, jak sędzę, było farsą, odegraną dla zadowolenia ludu i przeblagania cieniów grzechotnika.“

### DRÓZD ŻARTOWNIŚ.

*Drózd żartowniś*, właścińskiej nomenklaturze turdus polyglottus, u Francuzów la grive polyglotte, u Anglików the moching bird, zamieszkuje wielką część północnej i południowej Ameryki, częsty jest na wyspach Karolinie, Jamajce, Nowej Hiszpanii i t. d. Daleko pospolitszy w części południowej jak w północnej, pierwszej jest stałym mieszkań-

cem, a w drugiej należy do ptaków przelotnych. W ogólności lubi żyć w krajach ciepłych, a utrzymuje się w umiarkowanych, w okolicach gdzie lasów lub przynajmniej gajów niebraknie, w miejscach płaskich, w bliskości rzek, jezior lub morza. Gnieździ się, stosownie do klimatu, w kwietniu albo maju. Gniazdo buduje na krzakach lub niskich,

karłowatych drzewkach, rzadko kiedy wyżej od 6 do 7 stóp nad ziemią. Pokład gniazdka robi z suchych gałązek, na których uściela słomę, siano, wełnę, a środek wykłada miękkimi, delikatnymi korzonkami. Znosi 4 do 5 jajek blado-zielonych, brunatnoplamionych i nakrapianych. Gnieździ się do roku 2 lub 3 razy, gdy mu nasiad zostanie zniszczony. Probowano już przywieść go do rozmnażania się w niewoli, urządzając mu umyślnie obszerną klatkę z zielonem drzewkiem, i ta próba dobrze się udała; ale zapewnić mu trzeba zupełną spokojność i właściwy a obfity pokarm. Pożywieniem jego są jagody i owady, któremi także karmi swe pisklęta; broni ich zaś odważnie, nawet z narażeniem życia, od drapieżnych ptaków, kotów, węzów, jak rycina obok zamieszczona pokazuje. Zdaje się że lubi człowieka, rad przebywa w bliskości jego mieszkania, a nawet niekiedy siada aż na kominach. Długi jest cali 9 1/2, a w rozciągniętych skrzydłach 13 cali szeroki. Samca łatwo rozpoznać można od samicy, gdyż jest nieco większy i sporzej ma białych piór w skrzydłach. Zresztą ubarwienie tego ptaka jest wcale niepozorne.

Lecz drózd żartowniś, choć nie uderza świetnem ubraniem ciała, jakie widzimy na mnóstwie ptaków amerykańskich, celuje zato śpiewem wszystkie ptaki na świecie, nie wyjmując nawet miłego naszych gajów śpiewaka. Talent jego nieporównany nie ma współzawodnika; nietylko bowiem zachwyca, jak słowik, miłym układem tonów w swym śpiewie, ale nadto bawi osobliwszą zdolnością naśladowania innych ptaków. Ztądto Francuzi dali mu nazwę *moqueur*, czemu odpowiadać ma polskie *żartowniś*. Ztémwszystkiem *żartowniś* nie przekręca, nie przedrzężnia śpiewów naśladowanych, ale jako doskonały artysta i miłośnik estetycznych dźwięków, po to go powtarza, aby go podnieść, upiększyć. Rozumiałbyś, że przywłaszczając sobie wszystkie głosy uderzające jego ucho wytwornie muzykalne, stara się z bogacić i wydoskonalić własny śpiew, i wyćwiczyć na wszelkie sposoby swoje gardło niezmordowane. Dlatego

dzicy Amerykanie nadali mu w swym języku nazwę znaczącą czterysta języków, czemu odpowiada naukowe imię *polyglottus*, wielojęzyczny. Żartowniś nietylko dobrze i z gustem śpiewa, ale nadto do śpiewu łączy grę i akcyę, albo raczej śpiew jego jest wyrażeniem wewnętrznych uczuć. Ożywia się on, zagrzewa własnym głosem, i towarzyszy mu mierzonymi w takt poruszeniami, stosownemi zawsze do niewyczerpanej różnaitości frazesów, już to naturalnych, już nabytych. Zwykle przegrywkę rozpoczyna wznosząc się zwolna na rozpostartych skrzydłach; potem spuszcza się, głowę na dół schyliwszy, w ten sam punkt z którego się zerwał; po takich kilkokrotnych ćwiczeniach, zaczyna się dopiero śpiew porządny, i ciąg rozmaitych poruszeń, jakby taniec zgodny z charakterem pieśni. Gdy wykonywa żywe, lekkie rulady, wtedy zatacza po powietrzu w takt niezliczone, przecinające się koła. Gdy wybitniejsze nastąpią spadki, tedy towarzyszy im równie żywe i przyspieszone bicie skrzydeł. Skoro zaś nada wyrazistą moc i rozciągłość śpiewowi, w którym dźwięki zrazu pełne, świetne, zniżają się potem stopniami, a w końcu zdają się gasnąć i niknąć w ciszy, zobaczymy go wtedy pływającego w lekkim locie nad wierzchołkiem drzewa, z którego zwykle swój koncert rozpoczyna, zwalnającego ruch skrzydełek w drobne ledwo widzialne niemi falowanie, i w końcu tego pianissimo jakby zawieszzonego nieruchomie w powietrzu. Zdaje się, mówi Vieillot, że różne położenia i namiętności tego ptaka oddzielnym, właściwym wyrażają się śpiewem. Gdy jest spokojny, głos jego dźwięczy słabo, mdlejąco; kiedy spada na ziemię, towarzyszy sobie przyspieszoną ruladą; gdy wzlatuje, wtedy gardło stopniowo zdaje się natężyć w miarę ruchu skrzydeł; skoro zaś jest w obawie, śpiew jego staje się przecinany, krótki, a nie mogąc oddalić nieprzyjaciela od swego gniazda, przybiera tony płaczliwe, żałosne; nareszcie, gdy niebezpieczeństwo przeminie, dobywa z drobnej swój piersi pieśń radosną, tryumfującą.

L.



## J A P O N I A.

Podczas gdy lądy i morza wszystkich części świata bezustannie w każdym zakątku są przetrząsane i *spożytkowane*, że się tak wyrazimy, na korzyść wielkiego ogniska cywilizacji, Europy; podczas gdy mieszkańcy tej części ziemi, pobudzeni żądzą zysku, lub gorączkową ciekawością, lub nareszcie szlachetną chęcią przysłużenia się nauce, najodleglejsze zwiedzają strony, torując sobie drogę wśród dziewiczych lasów Ameryki, wśród lodów przybiegunowych i pustyń afrykańskich, a wynosząc zawsze plon jakiś, bądź dla siebie, bądź dla nauki; — w łonie wielkiego oceanu, od północnego morza chińskiego, aż po morze ochotskie, rozciąga się pasmo wysp i wysepek, przed okiem zarówno badacza jak turysty nieprzejrzaną pokrytych zasłoną: jestto cesarstwo japońskie.

W obecnej chwili, bardziej zapewne niż kiedykolwiek, powszechna uwaga zwróconą jest na ten rozległy archipelag, bo zdaje się że tajemniczość jaką dotychczas umiał się otoczyć, niezadługo zostanie rozwiana. Stany Zjednoczone przedsięwzięły wyprawę do Japonii, której celem, jawnie wyrażonym, jest zawiązanie stosunków handlowych, oraz zapewnienie opieki i gościnności dla okrętów krążących między Kalifornią i Chinami, dla wielorybołowców przebywających corocznie ciasninę Sangar, a których burze rzucają niekiedy na brzegi Nippon lub Jesso, dwóch wysp tworzących przepływ z wielkiego oceanu na morze japońskie. Dotychczas, jeśli wierzyć mamy gazetom amerykańskim, Japończycy okrętom w niebezpieczeństwie będącym nie tylko że odmawiali schronienia w swych portach, ale je razili strzałami działowymi, ilekroć zbliżyły się do brzegów; co więcej, gdy taki okręt strzaskał się o rafy, chwyтали rozbitków, wozili ich po kraju w żelaznych klatkach, jak dzikie zwierzęta, a w końcu na śmierć skazywali.

Zapobieżenie w przyszłości takim nadużyciom i otworzenie jednego z portów Japonii dla handlu północno-amerykańskiego, jest, jakśmy wyżej powiedzieli, *jawnie wyrażonym* celem wyprawy. Czy rychło późno, z tej owczej skóry nie wyskoczy zaszyty w nią wilczek, to niedaleka przyszłość okaże. Stany Zjednoczone potrzebują widocznie

nowego pola dla olbrzymio już rozwiniętej i coraz bardziej wrastającej działalności swojej. Stały ląd Ameryki jest już prawie wyczerpniętym; w Afryce niema widoków; Europa szuka ich owszem sama na półkuli zachodniej; nie pozostaje im przeto jak Azja, i bardzo być może, że raz się usadowiwszy w Japonii, pomyślą tam o zdobyczach terytoryalnych. Kommodor Perry wypłynął już z Nowego Yorku na czele czterech okrętów parowych, z których dwa pierwszego rzędu, a po złączeniu się przy brzegach japońskich z eskadrą indyjską, rozrządzać będzie najsilniejszą flotą, jaką Ameryka kiedykolwiek na wschód wysyłała; trudno więc nie dostrzedz, że tu się kryje coś innego jak spokojna demonstracja handlowa.

Tymczasowo wszakże, nie wchodząc w dalsze przypuszczenia, trzymać nam się należy tego, co jest urzędowo wiadome. Kongres washingtonski zażądał od prezydenta Stanów Zjednoczonych dokumentów względem wyprawy do Japonii. Według ostatnich wiadomości z Nowego Yorku prezydent Fillmore uczynił zadosyć woli kongresu, a dzienniki amerykańskie ogłaszają list jego do cesarza japońskiego, powierzony kommodorowi Perry, następującej treści:

„Przesyłam W. C. Mości list ten przez jednego z oficerów zajmującego wysoki stopień w naszym kraju, *i nie będącego missyonarzem*. Zleciłem mu złożenie W. C. Mości mojego uszanowania, oraz zawiązanie stosunków przyjaznych, szczególnie pod względem handlowym, między obudwoma krajami. Wiadomo W. C. Mości że Stany Zjednoczone rozciągają się dziś od jednego do drugiego morza, że rozległe przestrzenie Oregonu i Kalifornii są częściami ich posiadłości, i że odpływając od tych krajów obfitujących w złoto, srebro i drogie kamienie, parostatki nasze mogą w mniej niż dwudziestu dniach dosięgnąć brzegów szczęśliwego państwa W. C. Mości.

„Wielka liczba okrętów naszych krążyć teraz będzie pomiędzy Kalifornią a Chinami, i przepływać około brzegów japońskich. Burze rzucić je mogą na te brzegi; spodziewamy się więc po przyjaźni W. C. Mości, że w takim razie nie ze-

chcesz im odmówić gościnności i opieki w osłonięciu ich własności. Pragniemy aby ziomkowie nasi przypuszczeni zostali do prowadzenia handlu z poddanymi W. C. Mości; lecz nie upoważniamy z nich żadnego do gwałcenia praw w krajach W. C. Mości obowiązujących. Celem naszym jest rozwinięcie handlu, i nic więcej.

„Państwo japońskie posiada obfite kopalnie węgla; plód ten paropływowi naszym, w podróży ich między Kalifornią i Chinami, ważne świadczyć może usługi. Byłoby więc bardzo pożądanym abyś W. C. Mość wskazać raczył jeden z portów Japonii do którego poddani Jego sprowadzaliby węgle, a nasze okręty z tamtądby je zakupywały. W wielu też innych względach handel między obudwoma krajami byłby bardzo pożytecznym. Rozważmy nowe interesa jakie z biegu zdarzeń mogą dla nich wyniknąć i starajmy się aby uczucia przyjaźni łączyły serca tych, którzy niemi rządzą.“

Widzimy z tego listu jak prezydent Stanów Zjednoczonych skwapliwie unika pozorów propagandy religijnej, wymieniając zaraz na wstępie, że obrany przez niego posłannik *nie jest misyonarzem*. W istocie też rząd japoński niczego bardziej się nie obawia, jak prozelityzmu chrześcijańskiego, który kilkakrotnie już, jak to mówią, załazł mu za pazury, a na początku wieku XVII stał się powodem ogólnego prześladowania; o czém poniżej obszerniejsza będzie wzmianka. Od tego czasu potrójna zapora przesady, nienawiści i postrachu, wzbrania cudzoziemcom przystępu do państwa japońskiego. Z narodów europejskich jedni tylko Holandczycy ograniczony bardzo prowadzą tam handel i posiadają faktoryę na wyspie Dezima; lecz i tych surowe prawo krajowe trzyma jakby na uwięzi.

Nie wątpimy bynajmniej o szczerości zapewnień p. Fillmore; wierzymy, że nie ma na celu krucjaty religijnej, tylko nateraz widoki handlowe, później może polityczne. Ale choć się wyrzeka nawracania, nie zapobieży tém szerzeniu się chrystyanizmu, którego ziarno gdziekolwiek padnie, rośnie i rozkrzewia się, dopóki całej nie pokryje ziemi. Wiemy, że to nie społeczność prawna, co ją rządem nazywamy, zajmuje się prozelityzmem: rządy radeby owszem powściągnąć zbyteczną gorliwość i niekarność misyonarzy, którzy wielkiego czasem nabawiają je kłopotu. Lecz na nieszczęście polityka i wiara odmiennemi zupełnie rządzą się prawidła-

mi; zastępy ochotników misyonarskich rekrutują się w ogólności pomiędzy ludźmi niezawisłymi, słuchającymi tylko głosu osobistego przekonania, bez względu na jakiebądź instrukcje dyplomatyczne. Żadne więc, choćby najuroczystsze, zapewnienia rządu Stanów Zjednoczonych, nie wstrzymają propagandy chrześcijańskiej, jak nie wstrzymają biegu kuli ziemskiej; bo samo już zetknięcie narodów pogańskich, a przytém ciemnych lub nawpół oświeconych, z cudzoziemcami, staje się początkiem społecznego i religijnego w ich łonie przewrotu.

Wierzmy także, iż prezydent nie ma zamiaru wtrącania się do urzędów wewnętrznych państwa japońskiego, a przecież wyprawa jego, w zasadzie i w czynie, obala właśnie jedno z praw narodowych najbardziej nienaruszalnych, prawo *odosobnienia się*. Jak w społeczności każdej jednostce wolno zamknąć się w sobie i żyć zdaleka od innych, tak i narodom niepodobna zaprzeczyć tego prawa. Jestto zasada w teorii najsluszniejsza i ogólnie się zapatrując narzeczy, nicjéj zarzucić niepodobna. Ale w praktyce, w szczegółowym zastosowaniu, zdarzają się przypadki, w których odstąpienie od uświęconych formułek staje się koniecznością i zasługą. Naród małoletni, nieświadomy jeszcze swych obowiązków, swojego posłannictwa, a w szkodliwym dla siebie samego i dla reszty ludzkości żyjący odstrychnięciu, wolno, choćby przemocą, sprowadzić na drogę postępu, i wciągnąć w koło przeznaczeń, całą ludzkość, jako jedną rodzinę, opasujące. Wszakżeż i dzieci częstokroć przymuszamy do dobrego.

Nie miéjmy przeto za złe rządowi Stanów Zjednoczonych, że w nieco zbyt groźnej postawie dopomina się imieniem ludzkości, opieki i poszanowania dla nieszczęśliwych, a przytém stara się o rozwiązanie jakich takich stosunków handlowych. Jestto interes całej człowieczeństwa obchodzący, którego rozstrzygnięcia oczekujemy z niecierpliwością. Zanim jednak gazety doniosą nam o skutku wyprawy komodora Perry, zajmującym bez wątpienia dla czytelników naszych będzie opis cesarstwa japońskiego, czerpany z dzieła p. Siebold, lekarza przy ambasadzie niderlandzkiej, wysłanej w r. 1823, najgruntowniejszego z nielicznych o tym kraju pisarzy.

Uwierzytelniona historia Japonii zaczyna się na 660 lat przed Chrystusem; niéma jednak pewnego śladu czy ona znana była starożytnym. W końcu

XIII wieku Wenecyanin Marco Polo pierwszą Europie podał o niej wiadomość, nazywając ją *Cyn-gapu*: lecz Polo ze słyszenia tylko znał owe wyspy tajemnicze, których cuda w przesłanicznej odysei swojej tak poetycznie opisał. Dopiero w roku 1542 trzech żeglarze portugalscy, płynąc do Chin, zostali burzą pognani ku brzegom japońskim, i zaraz się tam usadowili. W roku 1543 zawinął okręt z nowymi osadnikami, o których przybyciu Siebold w jednej z kronik miejscowych następującą znalazł wzmiankę: „Dnia dwudziestego drugiego, ósmego miesiąca (1) dziwny jakiś statek zjawił się niedaleko Konza. Mieściło się na nim około dwustu ludzi zabawnej powierzchowności. Język ich był niezrozumiały, ojczyzna niewiadoma. Mieli przy sobie Chińczyka, co się znał na pisaniu. Od niego dowiedziano się że to byli *Nanbanowie* (barbarzyńcy południa). Dwudziestego ósmego statek wpłynął do portu Ahu Oki i został rozpoznany przez gubernatora i bonzę, za pośrednictwem Chińczyka, który służył za tłumacza. Na pokładzie znajdowało się dwóch dowódców używających broni palnej. Nigdy w tym kraju nic podobnego nie widziano.“

W tej epoce Japończycy znaczny prowadzili handel; przyjęli więc ohotnie ten zastęp obcych marynarzów, niosących im nowe plody i nadzieję korzystnego odbytu na własne wyroby. Przybyłszy też europejscy zaczęli przemyśliwać o stałym osiedleniu, a wkrótce zjawili się między nimi i misjonarze, owi szermierze religijni, coto w wieku XVI z takim zapalem rzucali się ku nowo odkrytym krajom, by zatknąć w nich krzyż, godło chrystyanizmu, obok chorągwi, godła władzy światowej. Nieustraszeni ci apostołowie, przez łagodne postępowanie i surowość obyczajów, zyskali wkrótce przychylność i uwielbienie krajowców, na których wpływali potęgą zarówno słowa, jak własnego przykładu. Tym sposobem w okolicy jeszcze nieznaną, powstał zakład handlowo-religijny z tak silnym i szeroko rozpostartym wpływem, że dzieło nawrócenia bez mała w całym kraju nie zostało dokonaniem. Lecz inaczej chciało przeznaczenie! Budowa propagandy, tak szybko wzniesiona, runęła wśród huku burzy politycznej.

W końcu XVI wieku, po opróżnieniu tronu Tszogunów, kilku pomniejszych książąt dobijało się

o berło. Nobunaja, książę Owari, pokonał przeciwników swoich, przy pomocy niejakiego Hyde-Josi, dziecięcia ludu, który przez mężstwo i zdolności umysłowe wyniósł się ze stanu służebnictwa do najwyższych dostojenstw hierarchii społecznej. Wstąpiwszy na tron, powierzył Josi'emu dowództwo armii, i tym sposobem stało się, że gdy w kilka lat później Nobunaja został zamordowany, naród, oceniając znakomite przymioty Hyde-Josi'ego, ogłosił go cesarzem. Panowanie jego było świetne, bo odzyskał naprzód Koreę, która pod jednym z poprzedników ogłosiła się niezależną, a następnie, uniesiony zapalem wojowniczym, sposobił się właśnie do podbicia Chin, kiedy śmierć zaskoczyła go niespodzianie w sześćdziesiątym trzecim roku życia. Japończycy mówią o nim z uwielbieniem, jako o jednym z najpięrszych bohaterów. Dziedzicem korony zostawił on dziesięcioletniego syna, którego zaręczył był z wnuczką przyjaciela swojego, Jejas'a, księcia Mikary. Jejas zobowiązał się przysięgą bronić praw małoletniego następcy; lecz zaledwo Hyde-Josi zamknął oczy, gdy przysięga poszła z wiatrem. Nietrudno było Jejas'owi usunąć od władzy dziecię, którego sam był opiekunem; nie uląkł się też żadnego środka dla dopięcia dumnych zamysłów swoich. Pałac zamieszkały przez następcę tronu został podpalony, a młode chłopię znikło bez śladu. Jedni mówią, że zginęło w płomieniach, drudzy, że ocalawszy, schroniło się do miasta Satgumy, i tam w ukryciu zakończyło życie.

Śród zatargów wynikłych z zamachu Jejas'a, chrześcianie ujeli się za synem dzielnego Hyde-Josi, który zawsze okazywał się im przychylnym, za prawym dziedzicem tronu, gnębionym przez chytrego przywłaszczyciela. Postępowaniem ich kierowała zarówno wdzięczność, jak uczucie słuszności: lecz Jejas widział w nich tylko przeciwników politycznych, których trzeba było uprzętać. Objąwszy przeto rządy około r. 1617 i utwierdziwszy władzę swoją, rozpoczął prześladowanie chrześcian, zakończone wypędzeniem misjonarzy, wiecznym wygnaniem Portugalczyków i wytępieniem katolicyzmu w granicach państwa japońskiego (1637).

I na wschodnim więc krańcu Azyi, jak na ziemi Neronów i Dyoklecjanów, ewangelia miała swych męczenników. Przed panowaniem Jejas'a połowa

(1) Nasz wrzesień, bo rok japoński zaczyna się w lutym.

prawie Japonii wyznawała religią chrześcijańską, a Portugalczycy, jużto kupecząc, już głosząc słowo Boże, kraj cały przebiegali: teraz, jednym zamachem, dzieło tak szczęśliwie rozpoczęte upadło. Do miliona nowowierców, w ciągu kilkudziesięciu lat krwawego prześladowania, utraciło życie. W roku 1665 we wszystkich miastach ustanowiono sądy inkwizycyjne, które corocznie ponawiały śledztwa, wymierzając najsrozsze kary na potajemnych wyznawców ewangelii. Napróżno rząd portugalski wysłał poselstwo do cesarza japońskiego, by otrzymać złagodzenie tych okrucieństw: członkowie ambasady sami padli ofiarą. Dwóch tylko puszczono na wolność, żeby było komu opowiedzieć w Europie, jakimto sposobem Jejas wykonywa władzę.

Od tego czasu Portugalczycy wyklęci są z Japonii. Podobnież Anglicy i Rosssyanie kilkakrotnie, lecz napróżno, usiłowali zawiązać z tym krajem stosunki. Obecnie dwa tylko narody na świecie mają tam przystęp: Chińczycy i Holandczycy, lecz pod jakimiż warunkami! Pierwszym niewolno wyprawiać więcej towarów, jak za 600,000 talarów, drugim zaś jak za 300,000. Holandczycy posiadają wprawdzie faktoryą handlową na wyspie Dezima, ale siedziba ich istnieniem jest więzieniem. Zabarykadowani jak dzikie zwierzęta, strzeżeni jak gdyby dzumą byli dotknięci, wychodzą tylko za szczególnym pozwoleniem i pod najściślejszym dozorem.

W istocie nie mieszkają oni nawet na ziemi japońskiej. Oddano im małą wysepkę Dezima, pod miastem Nagasaki, mającą sześćset stóp długości, a dwieście czterdzieści szerokości, i tamto mieszczą się oni jak mogą. Wyspa połączona jest z miastem za pomocą mostu; lecz przejścia tego dniem i nocą strzegą oddziały wojska i policji. Faktorya holenderska z jednej strony wysokim otoczona murem, z drugiej dotyka morza; niewolno z niej przecież nikomu puścić się statkiem na wodę, a czółnom krajowców przystęp do wyspy podobnież surowo jest wzbronionym.

Naczelnik faktoryi nie może bezpośrednio znoś się z Europą; zostaje on pod kontrolą gubernatora Jawy, i z nim tylko prowadzi korespondencyą. Corocznie, w oznaczonym czasie, kompania holenderska dla handlu indyjskiego wysyła z Batawii do Dezimy ani więcej ani mniej, jak dwa okręty z towarami. Rozstawione po brzegu warty oczekują

ich przybycia; skoro więc tylko zjawią się na widnokręgu, zaraz ajenci japońscy wypływają na ich spotkanie, zadając kapitanom okrętowym na piśmie różne zapytania, i odbierając od nich również pisemne odpowiedzi.

Zeznania kapitanów składane są gubernatorowi, który je rozpoznaje, a następnie wyprawia naczelnika policji, w towarzystwie kilku agentów i jednego z członków faktoryi holenderskiej, dla przekonania się naoczno, czy téż to rzeczywiście są okręty kompanii indyjskiej. Po dopełnieniu téj ostatniej formalności wolno im wreszcie wplynąć do portu, nie inaczej wszakże, jak za oddaniem wszystkiej broni i amunicji do magazynów rządowych, z kąd przy odjeździe dopiero bywa im powracaną. Co do ładunku, ten całkowicie przechodzi w ręce władzy miejscowej, która go sprzedaje, i w zamian dostarcza okrętom towarów wywozowych. Jeśli szanowny p. Proudhon uważa się w istocie za wynalazcę banku zamiany, to w wielkim zostaje błędzie; widzimy bowiem że w szczęśliwym państwie japońskim genialna teoria jego od dawna znalazła zastosowanie. Rzeczywiście, cały stosunek handlowy faktoryi do rządu spoczywa na zasadzie banku zamiany. Wszystko zresztą odbywa się jak najzgodniej, bo gubernator Nagasaki nie lubi żeby przeglądano jego rachunki i sprawdzano działania arytmetyczne. Urządzenie to jest ideałem przywileju z jednej, a wyrozumiałości z drugiej strony, przy pomocy którego unika się niepotrzebnych sporów i rozpraw przed trybunałami handlowymi.

Dopóki trwa wyładowanie i naładowanie okrętów, osada strzeżoną jest przez żołnierzy, a przytém nieustannie wybadywaną przez tłumaczy, którzy zwykle wybornie mówią po holendersku. Siebold'a, z powodu że akcent jego zatracił nieco niemieczyzną, wzięto za intruza i skazano na wydalenie z granic Japonii. Szczęściem zakłopotany podróżny tłumaczył się, iż jest rodowity *Hoogduitscher* (*Hochdeutscher*) <sup>(1)</sup>, co Japończycy przetłoczyli na: *Holandczyk z kraju górnego*, a ponieważ w Japonii narzeczają różnych okolic dosyć są odmienne, wyrozumowali więc sobie że to samo mogło

(1) Wiadomo iż język niemiecki na dwie główne rozpada się gałęzie: na *Hochdeutsch*, język książkowy i używany w Niemczech południowych, i na *Plattdeutsch*, którym mówi po większej części lud Niemiec północnych.

mieć miejsce i w Holandyi. Dzięki téj pomyłce, dozwolono Siebold'owi pozostać w faktoryi jako lekarz.

Rząd japoński czuwa nad tém, aby w kantorze na wyspie Dezima nie znajdowało się więcej jak jedenastu Europejczyków, a mianowicie: naczelnik, *Oppelhoofd*, zwany przez tuziemców *Hollanda* albo *Horanda capitan*, dozorca magazynu, sekretarz, lekarz, pięciu pomocników i dwóch chłopców magazynowych. Biedacy ci, na czas przebywania w faktoryi, muszą się pożegnać ze wszystkiém co przypomina Europę. Jeżeli są żonaci, niewolno im mieć przy sobie ani żon, ani dzieci. Usługują im Japończycy, którzy co rano udają się na wyspę, a co wieczór nieodzownie wracać muszą do miasta. Żywność dla całego zakładu dostarczają wyznaczeni przez rząd przekupnie, a zmieniać ich niewolno, pod żadnym pozorem, chociaż nielitościwie zdzierają. Podobnież tragarzy do przenoszenia towarów nasyła gubernator; każdy z nich otrzymuje bilet, służący mu za paszport, i na mocy téj legitymacyi codziennie zwidzać może wyspę, lecz pod przysięgą najuroczystszą, że nie zawiąże bliższych z Holandczykami stosunków, że nie udzieli im żadnych objaśnień względem praw i zwyczajów krajowych, słowem że ograniczać się będzie na tém, co bezpośrednio z podjętą wiąże się służbą.

Zaiste żądza zysku silnym jest bodźcem dla człowieka, i nieraz już stała się ona dźwignią najsmielszych przedsięwzięć. Lecz gorszą stokrotnie od niebezpieczeństw i trudów pierwszych odkrywców lub osadników nieznanych przestrzeni, jest nudne i posępne życie téj garstki Holandczyków na Dezimie, odgradzonej od świata z jednej strony murami nieprzystępnego prawie miasta, z drugiej wodami oceanu, strzeżonej czujnym wzrokiem zgrai agentów policyjnych, narażonej na ciągle upokorzenia, z zawieszonym nad sobą mieczem Damoklesa, którego spadnięcie zależy od widzimisie barbarzyńskiej i samowolnej władzy.

Dwa razy do roku naczelnik faktoryi miewa posłuchanie u gubernatora Nagasaki. Jestto jedna z prerogatyw jego godności, chociaż wątpić nie można, że chętnieby się zrzekł tego zaszczytu. Naczelnik zbliża się do dostojnika japońskiego z kornie pochyloném czołem, gdy ten tymczasem zaledwo odkłonić mu się raczy. Potém następuje między niemi wymiana kilku frazesów ceremonialnych,

z góry raz na zawsze umówionych. Nie nieznaną ta rozmowa ciągnęłaby się najwyżej kilka minut, gdyby etykieta japońska nie rozwlekała jój bez miary. Ale wysoka godność gubernatora nie pozwala aby cudzoziemiec wprost do niego przemawiał; naczelnik, jakkolwiek w czasie pobytu w Japonii mógł się wyuczyć języka krajowego, oświadcza grzeczności swoje tłumaczowi, który takowe powtarza po japońsku sekretarzowi, a ten dopiero bezpośrednio już znosi się z gubernatorem. Odpowiedź tym samym idzie porządkiem; poczem naczelnik kłania się znów aż do ziemi, i posłuchanie jest skończoném.

Niekiedy, dla rozpedzenia nudów, zachciewa się Holandczykom zwiedzić miasto Nagasaki. W takim razie władza daje im wprawdzie pozwolenie, lecz tylko na jeden dzień, a wycieczka ta drogo ich kosztuje. Towarzyszy im ciągle kilku urzędników policyi i tłumaczy, z których każdy ma prawo przyprowadzić pewną liczbę przyjaciół, a cała ta zgraja w ciągu przechadzki żyje na rachunek mieszkańców Dezimy. Kawalkada przebywa miasto dość porządnie zbudowane, przenosząc się z dzielnicy w dzielnicę, wśród niezliczonych tłumów ciekawych i krzykliwej hałastry dzieciaków wołających: *Horanda! Horanda!* zatrzymuje się w ogrodach publicznych, w kawiarniach, a raczej herbaciarniach, przypominających Holandczykom ojczyste w tym rodzaju zakłady. Lecz jakkolwiek ponętne być muszą dla samotników Dezimy rozkosze tego dnia szalu, przecież z zachodem słońca wracają nieodzownie do swego zamknięcia, zawsze pod eskortą policyjną.

Corocznie faktorya przesyła cesarzowi japońskiemu podarunki do jego stolicy Jedo; co cztery lata zaś sam naczelnik składa ten haracz u stóp groźnego władcy. Ta podróż peryodyczna nie odbywa się już z przepychem, jaki Holandczycy niegdyś w niej rozwijali; wszelako orszak poselski otacza się jakąś zewnętrzną okazałością, a ceremonialne obrządki Japończyków nadają całej wyprawie charakter dosyć imponujący. Naczelnikowi faktoryi towarzyszą zwykle tylko sekretarz i lekarz; ale gubernator Nagasaki przydaje im eskortę z trzydziestu pięciu urzędników, tłumaczy i agentów policyjnych, z których każdy zabiera swą służbę, tak, iż cała karawana składa się z przeszło stu osób.

W tej ważnej okoliczności naczelnik przybiera nazwę ambasadora. Ma on dostąpić zaszczytu przedstawienia się cesarzowi, duma więc narodowa Japończyków pragnie otoczyć go jak największymi honorami. Podróżuje w *norimono*, rodzaju noszów, przeznaczonych tylko dla wysokich dostojników. Co rano urzędnik japoński przewodniczący karawanie zapytuje go uniżenie, gdzie raczy zatrzymać się na obiad, gdzie na nocleg, chociaż każdy popas, każdy zajazd z góry nieodmiennie jest oznaczonym. W hotelach dają mu najpiękniejsze pokoje, a właściciel domu, w godowych szatach, wychodzi na jego spotkanie. Każdy z książąt, których dzielnice orszak przebywa, daje mu straż honorową aż do granicy swego kraiku; wszędy zaś po drodze ludność obraca się tyłem do niego, co według etykiety japońskiej jest najwyższym stopniem ugrzecznienia, oznacza bowiem niegodność oglądania oblicza napotkaną osoby.

Odległość od Dezimy do Jedo wynosi dwieście siedm mil geograficznych; podróż odbywa się lądem i wodą. Jakkolwiek przeciw drogi w dobrym są stanie, a statki przewozowe oczekują już rozkazów ambasadora, karawana wszakże małemi tylko posuwa się dniówkami, jak tego wymaga godność wysokich podróżujących, a cała przeprawa trwa zwykle do siedmiu tygodni.

Ze wschodem słońca ambasada opuszcza ostatnią stacyą i zwraca się ku Jedo, eskortowana przez oddział wojska wysłany od cesarza na jej spotkanie. Torując sobie drogę śród ścisku niezliczonych tłumów, przybywa nareszcie do stolicy i zajmuje mieszkanie poprzednio własnym jej kosztem urządzone. Wtedy rozpoczyna się długa kolej ceremonij japońskich. Nasamprzód, mówi p. Siebold, zjawia się deputacya od gubernatora Nagasaki zamieszkałego w Jedo<sup>(1)</sup>, która składając ambasadorowi pozdrowienie swojego zwierzchnika, wręcza mu notę przypominającą zwyczaj, jakim poddać się powinien. Potem, z tém samém zleceniem, przybywa deputacya od naczelnika handlu zagranicznego, nakoniec trzecia od ministra wyznań. Holandczycy przyjmują tych wysłańców z najsurowszą etykietą, częstując ich słodkimi na-

pojami. Po tych przedstawieniach urzędowych następują odwiedziny negocyantów i innych mieszkańców Jedo, którzy, za pośrednictwem tłumaczy, dostępują zaszczytu rozmawiania z ambasadorem i niosą mu płody krajowe, w nadziei otrzymania wzamian upominku europejskiego.

Jednakże, mimo tylu grzeczności, naczelnikowi ambasady niewolno opuszczać mieszkania ani wchodzić w układy handlowe, aż do chwili w której dostojny Tszogun powołać go raczy przed siebie. Zamykają go i strzegą w Jedo, podobnie jak na Dezimie, a chcąc, jak się zdaje, podnieść znaczenie przyrzeczonej łaski, niekiedy przez cały miesiąc oczekiwać mu każą jej spełnienia.

Zaświtał nakoniec wielki dzień posłuchania: podwoje pałacu cesarskiego stanęły otworem. O godzinie szóstej rano ambasador, ubrany w suknię z czarnego aksamitu wyszywaną złotem, wybiera się w drogę z swym orszakiem, przebywa zewnątrz dziedziniec pałacu, i wysiadłszy z *norimono*, wchodzi do salonu wstępnego, gdzie mu podają herbatę. Ztamtąd przeprowadzają go do drugiej sali, w której urzędnicy dworscy wykładają mu szczegóły ceremoniału, i z obawy zapewne aby ich nie zapomniał, formalnie go musztrują, każąc mu kilkakrotnie bić pokłony i powtarzać przepisane frazesy. Tym sposobem upływa kilka godzin; ale wielki Tszogun nie myśli jeszcze tak prędko odsłonić promiennego oblicza; mogłoby się zdawać, że z niecierpliwością oczekiwał przybycia nędznych cudzoziemców. Ze schyłkiem dnia dopiero ambasador, w towarzystwie gubernatora Nagasaki, wstępuje do sali tronowej, na której progu przyklęka, chyląc się aż do ziemi i oczekując w tej postawie przybycia cesarza. Po chwili jeden z heroldów wykrzykuje: *Hollanda capitan!* Ambasador pozostaje nieruchomy, nie podnosząc nawet wzroku, i nie powstaje, aż gdy gubernator pociągnie go za suknię. Wtedy posłuchanie jest skończone, a poseł powraca do sali wstępnej, gdzie cały dwór obsypuje go powinszowaniami z powodu niewysłowionej łaski, jakiej dostąpił. Poczciwy Holandczyk zmuszony jest na dobitkę udawać wielce szczęśliwego, i kłaniając się wokoło uprzejmie, dziękować za życzenia.

Z pałacu Tszogun'a ambasada udaje się do następcy tronu, a potem do ministrów. Począwszy od tego dnia uroczystego, używa ona większej już

(1) W Japonii każda prowincya i każde miasto znaczniejsze ma dwóch gubernatorów, którzy kolejno pełnią służbę w stolicy lub w miejscu właściwego urzędowania.

swobody; wolno jój zwiedzić miasto i zawiązywać stosunki, zawsze jednak pod okiem pewnej liczby dozoruujących. Wkrótce téż udaje się w podróż powrotną, by złożyć po drodze uszanowanie drugiemu władcy Japonii, zwanemu *Mikado*. Jestto duchowy naczelnik państwa, ubóstwiany wprawdzie, ale bez władzy, potomek słońca, lecz pozbawiony dóbr tego świata. W Japonii, jak w Europie, więcej ludzie nadskakują ręce która miecz dzierży, jak téj co udziela błogosławieństwo.

Pomimo ścisłego dozoru pod jakim zostaje faktorya na Dezimie, pomimo surowych postanowień zakazujących lub utrudniających znoszenie się z krajowcami, mały ten zakład holenderski pochwyca jednak ukradkiem zajmujące szczegóły o prawach i zwyczajach państwa japońskiego. Wpośepnej samotni swojej mieszkańcy Dezimy wyuczają się języka krajowego; w czasie wycieczek do Nagasaki i podróży do Jedo badają obyczaje, charakter i życie publiczne ludności miejscowej, spisując o tém wszystkiém ciekawe notaty.

Nie tak to łatwo przecież studyować Japonią: składa się ona z trzech tysięcy ośmiuset wysp i wysepek, na ogromnej rozrzuconych przestrzeni. Prawda, że w większej części sąto nagie, niezamieszkałe skały, ale téż niektóre bardzo są ludne i obszerne. Od najznacniejszej wyspy rozległego archipelagu, tak wielkiej jak Irlandya, pochodzi miano całego cesarstwa. Tuziemcy zowią ją *Nippon*; Chińczycy *Jih-pun*, zkąd poszło francuzkie *Japon*, niemieckie *Japan* i nasze Japonia. Miasto Migako, rezydencya władcy duchowego, liczy 600,000 mieszkańców. Co do stolicy, téj kilku pisarzów bajeczną bo siedmio-milionową przypisuje ludność. Liczba ta bez wątpienia jest przesadzoną, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa przyjąć zawsze można, iż Jedo ma tyle dusz co Pekin, to jest przeszło dwa miliony, a zatém więcej jak Londyn. Ludność całego kraju wynosi 25 do 30 milionów.

Jeżeli kiedy, to mówiąc o Japonii, użyć można oklepanego frazesu: „początek dziejów jój gubi się w pomroce wieków”. Jakaż to biedota, ta nasza chronologia, za ledwo kilka tysięcy lat obejmująca, w porównaniu ze wspaniałą tradycją japońską! Według podań kosmogonicznych tego kraju bogowie, wyszedłszy z chaosu, miriady już lat żyli

sobie w błogim spokoju, kiedy jeden z nich, pragnąc urozmaicić jednostajność niebiańskiego żywota, powziął myśl stworzenia pod stopami swojemi mieszkalnej ziemi. Zanurzył więc dziuryt w wodę, a ściekające zeń krople skrzepły i powstał świat, to znaczy archipelag japoński. Ów bczek był wiadać natury przedsiębiorczej, bo stworzył następnie ośm milionów jestestw, do tego dziesięć milionów rzeczy, i rządy nad tém wszystkiém powierzył najukochańszej córce swojej, bogini słońca. Potężna ta władczyni panowała tylko dwakroć pięćdziesiąt tysięcy lat, i zostawiła berło czterem bożkom, którzy jeden po drugim piastowali takowe w niewielkim przeciągu dwóch milionów kilku kroć sto tysięcy lat. Ostatni z nich, zachwycony wdziękami pięknej ziemianki, splodził z nią syna, a od tego w prostej linii pochodzą Mikado'wie.

Pod jednym z Mikadów, zwanym Zin-mutenwos (niebiański zdobywca), na 660 lat przed erą chrześcijańską, zaczyna się, jakieśmy wyżej powiedzieli, uwierzytelniona historia Japonii. Klaproth<sup>(1)</sup> mniema, że to był chiński wojownik, który owdładnął wyspę Nippon, a za nią cały archipelag. Potomkowie tego zdobywcy łączyli długo w swój osobie najwyższą godność świecką i duchowną; aż nareszcie (około roku 1135) jeden z nich, sprzykrzywszy sobie władzę, przelał takową na trzyletniego syna swojego. To stało się powodem mianowania regencyi; z regencyi wynikły zatargi, a z zatargów wojna domowa. Poprzedni Mikado został wtrącony do więzienia, z którego uwolniła go wierność dowódcy straży przybocznej. Zasiadł więc po raz drugi na tronie, lecz oswobodzicielowi swojemu udzielił w nagrodę stopień Tszogun'a, czyli naczelnego wodza. Późniejsi Tszogun'owie zagarnęli zwolna władzę, i zostali istotnymi cesarzami; Mikado zaś zmienił się w bożyszczę, czczone wprawdzie, lecz niedołączne. Dziś nie jestto już mocarz światowy, tylko coś naksztalt żyjącego mytu.

Ponieważ Mikado w prostej linii pochodzi od bogów, więc uwłóczonoby jego świętości zaprzatając go marnemi tego świata sprawami: do niego należą tylko rzeczy religijne. Kanonizuje on po śmier-

(1) Znakomity ten badacz Wschodu był niegdyś adjunktem cesarskiej akademii języków azyatyckich w St. Petersburgu. Znany jest z podróży swoich po Kaukazie i Georgii w latach 1807 i 1808, oraz z kilku dzieł dotyczących dziejów, języka i pokrewieństwa szczepów azyatyckich.

ci wielkich ludzi wskazanych przez Tszoguna oznacza dnie świąteczne i rozstrzyga spory teologów. Mikado ma trzech ministrów, jednego prawej drugiego lewej ręki, trzeciego spraw wewnętrznych; lecz są to tylko mamidła bez znaczenia politycznego. Wolno mu pojąć dziewięć razy dziewięć (najdoskonalsza u Japończyków liczba) czyli osmdziesiąt żon, zwykle jednak bierze ich tylko dziewięć, z których zato każda ma znów po dziewięć służebnic. Noszą one suknie jedwabne tak sztywne, że zaledwo poruszać się w nich mogą. Święty ród jego nigdy nie wygasa: jeśli sam nie ma dzieci, to niebo zsyla mu potomka, to znaczy że pod drzewami swojego pałacu znajduje dziecię, wybrane, rozumie się, z dostojnej jakiej rodziny japońskiej.

Codziennie Mikado przesiedzieć musi przepisaną liczbę godzin na tronie, nieruchomy jak posąg, dla zachowania przez tę nieruchomość spokojności państwa; skoro zaś sam się podniesie, kładzie na swém miejscu koronę, jako godło również niewzruszoności. Istota jego jest tak wzniosła, iż rokrocznie, przez miesiąc cały, bogowie składają mu odwizyny. W tym czasie Mikado odpoczywa, a świątynie, jako opuszczone przez bożków, stoją pustkami.

Jednym z najważniejszych względów należnych boskości jego, jest uchrona od profanacyi. Dla zapobieżenia takowej, niewolno mu wychodzić za obręb ogromnego i dobrze obwarowanego pałacu. Gdy Mikado, co rzadko się zdarza, ma użyć świeżego powietrza w swym ogrodzie, służba bierze go na barki, by stopa jego nie dotknęła ziemi, i wszystko co żyje ucieka, żeby oko ludzkie niepoświęconém spojrzeniem nie zbezczeszcilo syna słońca. Raz tylko, podczas nieurodzaju w r. 1732, wyszedł on boso na miasto, dla przeblagania potęg niebieskich. Włosy jego i broda, a nawet paznogie są nietykalne. Wszystko co w ciągu dnia służyło do jego użytku, suknie, bielizna, sprzęty, wieczorem zostaje spalone. Wielkito wprawdzie zaszczyt dla dostojnego władcy duchownej piastuna, ale wypływa ztąd niekoniecznie przyjemne następstwo, iż zbytek wyklęty jest raz na zawsze z jego pałacu i najlichsze otaczają go wyroby.

Mikado znaczną pobiera daninę w towarach i płodach rolniczych, powiększoną jeszcze dochodem ze sprzedaży tytułów honorowych, który do niego należy. Rozkazy wydawane są w jego imieniu, i Tszogun, w ważniejszych sprawach, pozornie za-

sięgać musi jego rady. Dawniej nawet naczelnik świecki udawał się corocznie do Migako, by złożyć głowie duchowej podarunki. Zwolna jednak te odwizyny stawały się rzadszemi, a dziś odbywają się przez poselstwo. Gdy Mikado umrze, Japończycy mówią że zemdlal; i rzeczywiście, byłoby nie logicznie z ich strony, gdyby przyznali, że potomek słońca po ziemsku dług ostateczny spłacił naturze.

Wszelako i władza świecka, choć trzyma duchową na uwięzi połączonych kajdanów, nie jest bynajmniej niezawisłą. Tszogun'a krępuje rada państwa, złożona z trzynastu członków, z których pięciu należy do książąt, a ośmiu do szlachty. Podobnie jak senat szwedzki w czasach oligarchii tego państwa, rada japońska zagarnia kierunek spraw publicznych, a uchwały swoje przedstawia do zatwierdzenia Tszogun'owi. Gdyby zaś co się nie zdarza, Tszogun odmówił sankcyi, w takim razie rzecz sporna idzie pod rozstrzygnięcie trzech książąt, a wtedy nie będzie to już, jak w stariej Europie naszej, sprawa o przyjęcie porządku dziennego, lub obalenie ministerstwa. Japonia nie wdaje się w te przejścia łagodne systemów konstytucyjnych. Jeżeli sędziowie przyznają słuszość radzie, to cesarz obowiązany jest natychmiast abdykować, i zstąpić do stanu prywatnego; jeżeli przeciwnie, to twórcy odrzuconego prawa muszą sobie brzuchy sztyletami rozplatać.

W istocie więc Japonia jest państwem feudalnym, z tą tylko różnicą, że równowagę pojedynczych ogniw jej społeczności nie utrzymuje, jak w średniowiecznej Europie, wiara i rycerskie posłuszeństwo, ale system powszechnego niedowierzania i przespiegów. Mikada dozoruje Tszogun, Tszogun'a rada, radców sekretarze i t. d. Gubernatorowie zostawiają w stolicy żony swoje i dzieci, jako zakład wierności. Kolejno, co sześć miesięcy, mieszkają oni w Jedo lub na prowincyi, gdzie niewolno im żadnych mieć stosunków z sąsiadami, dla zapobieżenia niebezpiecznym związkom. Aby przeszkodzić nagromadzeniu w ich ręku wielkich majątków, bo mogliby użyć ich na złe, Tszogun każe im własnym kosztem liczne utrzymywać wojsko, a w Jedo żyć muszą bardzo wystawnie. Jeżeli mimo to wszystko zanadto który w pierze obrośnie, to cesarz wyborny przeciw temu ma środek. Nie posyła mu jedwabnego postronka, jak sułtan swoim baszom, nie szuka zaczepki, aby pod prawnym



pozorem jakim odrzucić go z własności, tylko poprostu zaprasza się do niego na obiad, a wydatki na tę biesiadę zniszczą go już niezawodnie.

Na tym systemie wzajemnego dozoruowania się spoczywa cała budowa państwa, a tęp samym nie ogranicza się on na wyższych jedynie warstwach towarzystwa, ale przesiąkł do najgłębszych jego pokładów. Miasta i wsie podzielone są na grupy po pięć domów, których obowiązkiem jest nieustannie się kontrolować, i donosić władzy o przekroczeniach sąsiadów. Każdy z nich oprócz tego jest dozorcą części ulicy rozciągającej się przed jego domem, i odpowiedzialny za wypadki zdarzyć się tam mogące, jeśli wcześniej o nich nie zawiadomi właściwego urzędu.

Można powiedzieć, że całe życie Japończyków upływa na przespiegach; wyłamujących się zaś zpod tego obowiązku dotyczą kary pieniężne lub areszt domowy, sroższy od najcięższego więzienia w Europie. Jeżeli przestępcą jest urzędnik, to mu wstrzymują płacę na czas kary; jeżeli rzemieślnik, to niewolno mu wykonywać rzemiosła. Policya zamyka drzwi i okna jego mieszkania, i wszelka komunikacya na zewnątrz surowo jest wzbroniona. Z czego biédak taki żyje w czasie odosobnienia swojego, jestto zagadką, której żaden z pisarzy o Japonii dotąd nie rozwiązał. Przyznać atoli należy, że prawo krajowe, co z jednej strony wkłada tyle odpowiedzialności na głowy mieszkańców, z drugiej szanuje ich spokojność, pozwalając im wybierać sąsiadów. Żaden Japończyk nie może przesiedlić się, bez okazania świadectwa moralności od dawniejszych współmieszkańców, i bez wyraźnego zezwolenia gminy, w której osiąść zamysła. Ztąd wynika, że człowiek złego prowadzenia z trudnością tylko znajduje tam siedzibę; nigdzie też może po wielkich miastach zbrodnie nie są tak rzadkie, jak w Japonii. Jakiémże szczęściem dla naszych stolic oświeconych byłoby choć częściowe zastosowanie tego barbarzyństwa!

Religia Japończyków na trzy panujące rozpada się wyznania: na *Sinto*, *Buddyzm* i *Sukdo*. Pierwsza oddaje cześć duchom niebiańskim, i zdaje się być pierwotną religią krajową. Naczelnikiem jój jest Mikado. Bóstwami pierwszego rzędu są: bogini Ten-sio-daj-sin (wielki duch światła niebieskiego), której świątynia Najku, pod Uza w prowincyi Ize, odznacza się prostotą; bożek Togo-keo-daj-sin

(wielki duch, twórca nieba i ziemi), uważany za bóstwo opiekuńcze Mikada; nareszcie Fatsman, brat bogini światła, bożek wojny, który z świątyni swojej w Uza, prorocze niekiedy ogłasza wyroki. Prócz tego, wyznawcy religii Sinto czczą ziemię, księżyc, wiatr i inne zmysłowe przedmioty. Świątynia Fatsman'a, według kronik miejscowych, zbudowaną została na 570 lat, a świątynia Najku, na 4 lata przed Chrystusem. Buddyzm, czyli religia Buddy, przeszła tu, jak się zdaje, z Indyj, około 552 r. przed Chr. Ma ona najwięcej wyznawców, a ztąd najwięcej też świątyń; jedna z nich w Migako, posiada najokazalszy dzwon w całym świecie. Buddyści japońscy dzielą się na ośm sekt i mnóstwo drobniejszych gałęzi. Trzecie nakoniec wyznanie, Sukdo, jest naśladowaniem nauki filozoficznej Konfucyusza.

Podobnie jak dawne społeczeństwo feudalne, ludność japońska dzieli się na klasy, które rzadko kiedy wychodzą z zakreślonego sobie obrębu. Pierwszą klasę stanowią książęta wazale korony; drugą szlachta, dzierżąca ziemię prawem lenności, z warunkiem utrzymania na swym koszcie pewnej liczby wojska. Z tej klasy rząd zwykle wybiera generałów i gubernatorów. Do trzeciej klasy należą księża; do czwartej wojskowi, wazale szlachty; do piątej niżsi urzędnicy, lekarze, nauczyciele i t. p.; do szóstej kupcy; do siódmej kramarze i rzemieślnicy; do ósmej włóścianie i wyrobnicy. Cechującym znamieniem czterech pierwszych klas jest szpada. Wielcy panowie noszą ich dwie; niższa szlachta tylko jedną. Rząd dobrotliwie przyznać raczył tę ozdobę naczelnikowi faktoryi holenderskiej.

Rasa japońska, obok piękności typu fizycznego, posiada dużo energii umysłowej. Kraj ten nie był nigdy podbitym, a dzieje jego mnóstwo szlachetnych przedstawiają rysów, godnych zaiste pióra Plutarcha. Przytoczymy z nich dwa przykłady, mniej więcej jednoczesne, z których pierwszy może być porównanym z dumną cnotą rzymskiej Lucrecyi, drugi z męstwem stoickim Mucyusza Scevoli.

W roku 1646 niejaki Jakate, szlachcic z Firato, ożeniwszy się niedawno, zmuszony był w dosyć daleką udać się podróż. Tymczasem inny szlachcic, co kiedyś nadaremnie zalecał się jego żonie, korzystając nieszczęśliwie z nieobecności Jakate'go, napadł

mieszkanie téj, która nim wzgardziła, i dokonał przemocą czego pragnął. Nie mogąc zemścić się natychmiast, młoda kobiéta ukrywa czasowo śmiertelną swą urazę. Dopiero za powrotem męża zaprasza na biesiadę krewnych i przyjaciół, a między niemi i wroga swojego. Pod koniec obiadu gospodyni powstaje i pyta towarzystwa, na jaką karę zasługuje żona, co sama, bez obrony, przez męża zostawiona, pada ofiarą niecnego zamachu. Wszyscy obecni wyrokują jednogłośnie, że ona nie może odpowiadać za zbrodnię spełnioną mimo swéj woli, lecz sprawca jéj hańby, powinien być śmiertelnie karany. „A więc, zawoła niewiasta, jam jest ową żoną zniesławioną, a zbrodniarzem ten!” To rzekłszy, przebija się, a wskazany przez nią zdrajca pada również pod ciosami zgromadzonych.

W roku 1651 młody książę Tszuga, którego ojciec za udział w spisku srodze był karany, zawiązał nowe sprzysiężenie dla pomszczenia jego śmierci; lecz i to również zostało odkrytém. Przytrzymany z dmoma współwinnemi, i skazany na tortury, zniósł najstraszniejsze cierpienia z niezachwianą stałością, chociaż dla wymuszenia na nim zeznania, na piekielne silono się pomysły. I tak: obłożono mu ciało wilgotną ziemią, a potém pokryto je węglami żarzącymi, dopóki ziemia rozpalona nie przystała mu do skóry, jak suknia Dejaniry, i nie weszła w jego członki. Gdy pierwsza ta próba nie odniosła skutku, porobiono mu na grzbiecie wcięcia kilkocalowe, i lano w nie miedź roztopioną, którą po ostygnięciu wydobywano z kawałami spiekłego mięsa. Śród téj okropnej męczarni dzielny młodzieniec rzekł do sędziego: „Czegóż chcecie ode mnie? Mówiłem wam, że nie miałem jeszcze lat dziewięciu, kiedym już marzył o pomszczeniu swego ojca. Oto moje zeznanie. Więcej ze mnie nie wyciśniecie. Urağam waszym katuszom!” Nie mogąc innego otrzymać wyznania, sędziowie skazali go na ścięcie. W chwili kiedy ofiarę prowadzono na rusztowanie, jeden z kolegów młodego Tszugi, zupełnie obcy spiskowi, rzucił się w jego objęcia, prosząc żeby mu wolno było umrzeć razem z przyjaciелеm.

Żaden zapewne naród tak silnie przywiązanym nie jest do dawnych zwyczajów, jak japoński. Na téjto zasadzie prawa tradycyjnego, Japończyk będący pod zarzutem jakiego występku, zgromadza rodzinę swoją, i w jéj obecności sztyletem brzuch

sobie rozpara, dla uniknienia hańbiącego wyroku. Honorowy ten obowiązek, ciąży na najwyższych nawet warstwach społeczeństwa, a lud z religijną wypełnia go pokorą. Niektóre ich zwyczaje w dziwnéj z naszemi zostają sprzeczności. Powiedzieliśmy już wyżej, że odwrócenie się tyłem do wysoko postawionéj osoby, jest tam dowodem najgłębszego uszanowania. Podobnie młoda dziewica, chcąc podbić serce kochanka, farbuję sobie zęby na czarno, dopóki polyskiem i barwą nie wyrównają hebanowi. Japończyk znów, zaproszony na biesiadę, byłby uważanym za gbura, gdyby wszystkich kieszoni nie napchał resztkami potraw. Niektórzy do tego stopnia grzeczność swoją posuwają, że biorą z sobą kilku służących, i tym w koszykach każą wynosić szczątki pasztetów i kompotów.

Pomimo wszakże téj dbałości o przekazane tradycyą zwyczaje, Japończycy znacznie są posunięci w sztukach pięknych, naukach i przemyśle. Przed zjawieniem się Europejczyków tuziemcy rozległy prowadzili handel, a żegluga ich wzdłuż północno-zachodnich brzegów Ameryki, poza cieśninę Bering'a, sięgała dalej, jak odkrycia europejskie. Zwidzali mianowicie Chiny i Indye Wschodnie, aż do Bengalu. Później jednak rząd, obawiając się wpływu cudzoziemców na zmianę wyobrażeń ludności, ograniczył zakazami handel zewnętrzny. Słynne ich tkaniny jedwabne i bawełniane, cacka z porcelany i blachy lakierowanéj, bardzo są poszukiwane jako przedmiot zbytku; wyroby zaś stalowe, szczególnie broń wszelkiego rodzaju, nieocenioną mają wartość, lecz wywóz takowych bezwarunkowo jest wzbronionym.

Siebold, pod względem inteligencyi, stawia ich nierównie wyżej od Chińczyków, i utrzymuje, że jeśli utrudniają cudzoziemcom przystęp do swego kraju, nie czynią tego przynajmniej przez śmieszność zarozumiałość. Przeciwnie, ile razy do tego zdarzy się sposobność, zasięgają oni chętnie wiadomości o oświacie europejskiej. Przekładali nawet na swój język kilka naukowych dzieł professorów z Lejdy i Utrecht'u, i naśladowają doskonale nasze barometry, teleskopy, tudzież inne narzędzia fizyczne i matematyczne. Znają oddawna użycie ruchomych czcionek drewnianych, i za pomocą takowych wytłaczają dzieła w znacznej liczbie egzemplarzy. Zadawniony przesąd nie pozwala im dotknąć się trupa, z czego wypływa, że sztuka lekarska nie może się

u nich wzbogacić znajomością członkostwa (anatomii). Tenże sam brak spostrzegamy w ich malowidłach. Lecz zato lekarze krajowi celują w stosowaniu ziół i wszystkich środków naturalnych, artyści zaś w doborze kolorów, mianowicie przy wyrabianiu przedmiotów lakierowanych, których my w Europie podrzędne tylko oglądamy próbki, bo wszystko co lepsze, pozostaje w kraju.

Nakoniec są oni wybornymi agronomami. Grunty w Japonii po większej części nieurodzajne, a jednak, dzięki pracy i wytrwałości mieszkańców, nie masz nigdzie nieużytków. Najważniejszymi płodami, obok zboża, są: ryż, z którego bardzo mocne wyrabiają piwo, i herbata, uprawiana prawdziwie po amatorsku. Jeden jój gatunek sadzą na ustroju, opodal od mieszkań ludzkich, by go uchronić od wyziewów, a oskubane zeń liście suszą w piecach, poczem natychmiast pakują je w skrzynie, żeby nie straciły woni. Jestto herbata wyborowa, cesarska, której nie kosztowały może nigdy usta europejskie.

Terazniejszy handel wywozowy ogranicza się na stosunkach zamiennych z dwoma okrętami holen-

derskimi i dwunastą dżonkami chińskimi; lecz handel wewnętrzny w kwitnącym znajduje się stanie. Przez samą rozciągłość swoją, od 24 do 50 stopnia szerokości północnej, Japonia mieści w sobie przestrzenie klimatu zwrotnikowego i temperatury lodowej. Między temi strefami odbywać się musi, i odbywa, ciągły przewóz produktów ziemią i wodą. Na wodzie Japończycy używają małych statków o sześćdziesięciu beczkach, któremi zrzecznie kierują za pomocą żagli i wiosł. Na lądzie stosunki ich ułatwia piesza służba pocztowa, nader dokładnie urządzona: biegacze rozstawieni w pewnych odległościach zmieniają się stacyami, a ruch ten odbywa się z tak zegarkową ścisłością, że za ledwo jeden dosięgnie celu, już drugi pędzi dalej.

Zebraliśmy w krótkim zarysie wszystko, co dotychczas wiadomo o tym kraju, jakby zaklętym w łonie oceanu. Może już niedaleki jest czas, kiedy ułatwienie stosunków jego z Ameryką i Europą, bliższych i pewniejszych dostarczy nam szczegółów; ale mimo to wszystko długo jeszcze Japonia, podobnie jak pobratymcze jój Chiny, sfinksową dla nas pozostanie zagadką.

L. J.

## RZUT OKA NA OŚWIATĘ I ZARZĄD

PAŃSTWA CHIŃSKIEGO.

Po raz trzeci w wędrówce naszej po ziemi zwracamy badawcze spojrzenie na rozległe państwa Niebieskiego obszary. W dwóch artykułach zeszłorocznej Księgi Świata wyswieciliśmy postać zewnętrzną téj krainy zagadkowej, od lat tysiąca w zwyczajach i obyczajach, w myślach i uczuciach, w moralności i oświacie, zakrzepłej, skostniałej. Badaliśmy jój kulturę ze strony fizycznej i przemysłowej; lecz najciekawsza ze wszystkich strona intelektualna, wcale nie lub przelotnie tylko została przez nas dotknięta. Nie rozejrzeliśmy się również w jój systemie administracyi, tak osławionym, a jednak w wielu szczegółach praktycznym i godnym naśladowania. Pod dwoma przeto względami,

oświaty i zarządu wewnętrznego, zamierzamy dziś zastanowić się nad ojczyzną Konfucjusza, biorąc za przewodnika sławnego orientalistę Rémusat'a, a mianowicie jego „Coup d'oeil sur la Chine“ w tomie pierwszym dzieła „Mélanges asiatiques.“

Wyższość duchowa była zawsze od niepamiętnych czasów, i jest dotąd, w największym u Chińczyków poważaniu, a cały porządek społeczny spoczywa na instytucjach zmierzających ku poparciu interesów ogólnych. Wolne od ciemnienia religijnego i wojskowego, jakie islamizm w reszcie Azji zaszczerpił, Chiny, na ostatecznym krańcu

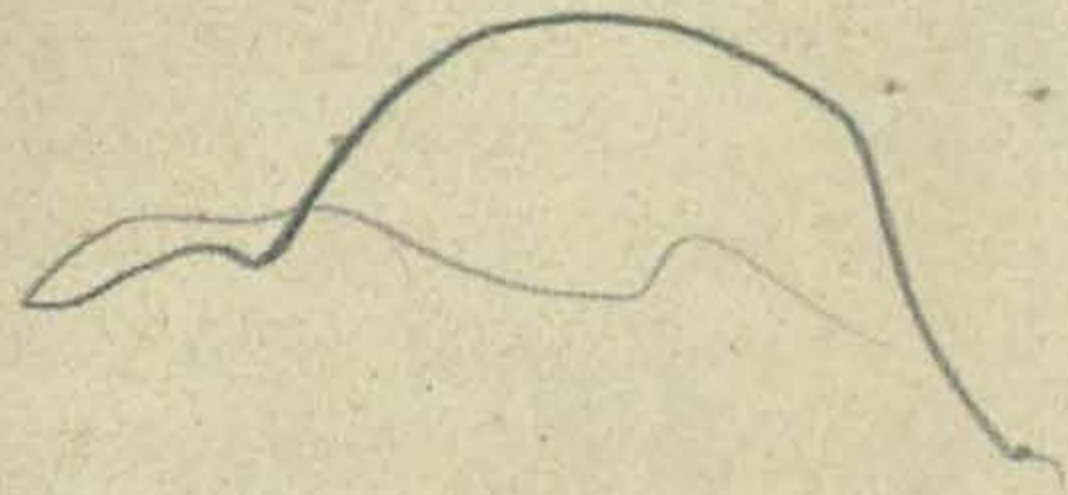
dawnego świata, pośród otaczających je scen przemocy i spodlenia, pocieszający przedstawiają widok. Miłość dzieci ku rodzicom jest zasadą wszelkiego wychowania, a poważanie dla nich przybiera niemal charakter czci religijnej. Wieleżństwo jest wprawdzie dozwolone, lecz związek mężczyzny z kobietą większe ma znaczenie jak u wyznawców Mohameda. Jedna tylko niewiasta posiada stopień i prawo małżonki, inne są służebnicami i w zarządzaniu domem żadnego nie biorą udziału. Niemasz żadnych kast przywilejowanych: każdy Chińczyk o najwyższe starać się może posady, byle złożył przepisany egzamen naukowy; wymagają zaś od kandydatów głębokiej znajomości dzieł filozofów krajowych, prawa publicznego, przekazanych ustnie lub w kronikach dziejów i przepisów moralności. Pierwsze też miejsce w hierarchii społecznej zajmują uczeni, po nich idą rolnicy, dalej rzemieślnicy, a na ostatku kupcy. Wielkie chyba bogactwo zmienić może ten porządek, oparty na głęboko zakorzenionym przesądzie narodowym.

Jedną z cech charakterystycznych Chińczyka jest ślepe przywiązanie do raz przyjętych zwyczajów, drobiazgowo zachowywanie form i ceremonij. Wszystkie ich stosunki towarzyskie, wszystkie czynności publiczne i prywatne, odwiedziny, biesiady, wesela, pogrzeby, podlegają niezliczonym, stosownie do stopnia, wieku i stanu, przepisom, od których, pod karą zgubienia się w opinii publicznej, nikomu ani na włos odstąpić niewolno. Uczty ich np. w których dziwne dla nas przysmaki, jak słonie ogony, psie łapy, płetwy ludojadów, gniazda ptasie, zapijane wrzącym odwarem z ryżu i baraniny, niepoślednią odgrywają rolę; nieraz do pół dnia się przeciągają, a grono biesiadników każdy ukłon, każde machnięcie ręką, oblicza i mierzy według najsurowszej etykiety. To niewolnicze przywiązanie do odwiecznych tradycyj szkodliwie wpływać musi na rozwój życia społecznego, a raczej zupełnie go tamuje. Zmarły w roku zeszłym misyonarz Gutzlav w czasie pobytu swego w Warszawie opowiadał, że młody jeden uczoney chiński wykazał i zebrał na piśmie mnóstwo błędów administracyi wewnętrznej swego kraju, podając zarazem trafne bardzo i praktyczne przeciw takowym środki zaradcze. Wielki Kaloo przyjął łaskawie jego pracę i przedstawił ją nawet monarsze, który autorowi oświadczyć kazał swe zadowolenie.

Wkrótce jednak młodego reformatora schwymano i ścięto, a Gutzlav'owi, gdy się ośmielił zapytać o przyczynę tak sprzecznego postępowania, odpowiadano poufnie: „Niech miecz katowski dziesięć tysięcy głów zmiecie z kadłuba, a niechaj nikt nie pomyśli żeby w państwie Niebieskiem cokolwiek-bądź mogło być lepiej.“

Język chiński przez długi czas uważany był za najtrudniejszy z istniejących na świecie; od lat kilkudziesięciu atoli, odkąd Europa bliżej się z nim zapoznała, trudności te w większej części zostały usunięte. Pismo było pierwotnie obrazowem, później przeszło ono w zgłoskowe; a chociaż liczba używanych w niem znaków jest prawie nieokreślona, to przecież, według nowozaprowadzonej w uczelniach europejskich metody, w krótkim dziś czasie obznajmić się można dostatecznie i z pismem i z mową, mieszkańców państwa *środkowego*. Chińczycy posiadają wyborne słowniki, obejmujące wszystkie ich znaki i wyrazy, w bardzo systematycznym porządku. Wyrazy niezłożone kończą się bez wyjątku albo na samogłoskę lub dyftong, jak: *pe* biały, *lao* stary, albo na spółgłoski *n*, *ng*, jak: *jan* mówić, *sching* święty. Rémusat podaje ich liczbę tylko na 450, lecz subtelne nader różnice w wymawianiu podnoszą ilość wyrazów pierwotnych, do tysiąca kilkuset. Oprócz tego w języku chińskim jest wiele wyrazów złożonych. Przypadkowanie i czasowanie odbywa się za pomocą przyrostków, stawianych przed lub po wyrazie. I tak: *wang* znaczy książkę, *wang-tschi* księcia, *iuwang* księciu i t. d. Słowo pytać oddaje się przez *wen*, *u* znaczy ja, *tsiang* czas przyszły; zatem *u tsiang wen*, znaczy: będę pytał. W ogólności więc język chiński nie jest trudniejszym od innych obcych języków; cała tajemnica polega na obznajmieniu się z jak największą liczbą znaków piśmiennych, które u Chińczyków oznaczają nie brzmienia pojedyncze, lecz całe zgłoski. Wprawdzie takich znaków jest 20 — 30,000, lecz poznawszy ich kilka tysięcy, można już wszystko prawie czytać i rozumieć. Niektóre pojęcia dziwnie są określone: słowo np. słyszeć pisze się dwoma znakami, z których jeden wyraża drzwi, a drugi ucho; właściwie więc słyszeć znaczy u nich *mieć ucho pode drzwiami*, co daje zarazem wyobrażenie o charakterze narodowym Chińczyków.

Literatura chińska, liczbą, ważnością i wiarogodnością swych pomników, niewątpliwie pierwsze





między siostrami azyatyckimi zajmuje miejsce. Dzieła klassyczne, z których filozofowie szkoły Konfucjusza zaczerpnęli swe badania nad polityką i moralnością, bardzo odległego sięgają czasu. Podobnież niwa dziejów krajowych starannie zawsze przez Chińczyków była uprawiana. Roczniki ich są zbiorem najzupełniejszym i najlepiej ułożonym, jaki istnieje w którymkolwiek ze znanych języków. Nauka geografii poszczycić się może kilką dziełami znakomitej wartości; zwyczaj zaś współubiegania się o urzędy wysoki nadał popęd wymowie. W religii i metafizyce Chińczycy posiadają liczne z Sanskrytu tłumaczenia. Oprócz tego ogłaszają oni mnóstwo bibliotek zbiorowych i encyklopedyj, a wybór pism rozmaitych, którego druk rozpoczęto jeszcze w zeszłym stuleciu, obejmować ma 180,000 tomów. Książki odbijane są porządnie, na papierze cienkim lecz trwałym; słowem, niemasz zapewne kraju na świecie, gdzieby tyle użytecznych, a równie tanich znaleźć można książek, co w Chinach.

Astronomia z dawien dawna wysoko była u Chińczyków ceniona, lecz postęp ich w tej nauce stosunkowo bardzo jest mały. Bezpośrednie ich spostrzeżenia dosyć są zajmujące; często atoli mylą się w rachubie. Rok kalendarzowy składa się u nich z sześciu miesięcy większych po dni 30, i z sześciu mniejszych po dni 29, a siedm razy na lat 19 dodaje się po miesiącu przybyszowym. Doba podzieloną jest na 12 godzin, z których pierwsza zaczyna się o naszej jedenastej wieczornej. Układ kalendarza był zawsze w Chinach przedmiotem wielkiej ważności; zajmowali się nim początkowo astronomowie mohametańscy, po nich Jezuici, a w nowszych czasach przeszedł w ręce astronomów krajowych, którzy tę pracę bardzo niedokładnie wykonywają. W ogólności wyższa matematyka jest dla Chińczyków ziemią nieznaną; odbywają jednak szybko działania arytmetyczne, za pomocą przyrządu podobnego do szachotów. Sztuka lekarska oparta na ślepym empiryzmie; teoria jej zupełnie urojona, zagmatwana mnóstwem zabobonnych zwyczajów; lecz pracownicy ułożone dzieła lekarskie i farmaceutyczne, świadczą przynajmniej o zamiłowaniu ich w tej odrośli wiedzy.

Budownictwo w Chinach niezmiernie jest udoskonalone. Miasta, wszystkie prawie według jednego stawiane planu, tworzą najczęściej kwadrat otoczony wysokimi murami. Na placach publicz-

nych wznoszą się łuki tryumfalne, wieże kilkopiętrowe, świątynie z posągami bożyszczów indyjskich i starożytne pomniki z napisami na cześć sławnych ludzi. Wszędzie prawie główne ulice są szerokie i okazałe, a boczne, lubo wąskie, porządnie jednak zabudowane. Mieszkania bogatych, przeciążone zewnątrz kosztownymi wykwiutami rzeźbiarskimi, urządzone są w środku z przepychem prawdziwie wschodnim. Izdebki w nich małe, lecz lśniące od złota, jedwabiu i drzewa drogocennego, ozdobione przytém sentencyami mędrców, wymalowanemi na różnokolorowym papierze. Gmachy cesarskie kryte są dachówką żółtą, książęce zieloną, inne szarą. Zabudowania po większej części stawiają z drzewa lakierowanego, a okna robią ze szkła, papieru, lub rodzaju muszli, zwanój szkłem chińskiem. Domy klasy średniej, obok skromniejszej nieco powierzchni, odznaczają się przecież tём samém w snyderstwie zamiłowaniem. Ubodzy zato mieszkają w nędznych lepiankach, pokrytych matami i słomą, lub mieszczą się na wodzie, w tak zwanych szampanach, rodzaju tratw pływających po rzekach i jeziorach. (1)

Największą atoli staranność zwracają Chińczycy na budowle przeznaczone do użytku publicznego. Mosty, zwykle kamienne, oparte są na łukach ogromnej rozciągłości i siły. Najwspanialszy z nich w prowincyi Fu-kian, przeprowadzony przez morską odnogę, ma 2,520 stóp długości, a 20 szerokości; olbrzymie jego arkady, z potężnych łomów ciosowego kamienia, tak są wysokie, że okręty pierwszej wielkości wygodnie pod niemi przepływają. Wały ziemne i mury wzniesione wzdłuż rzek, dla zabezpieczenia od wylewu, kanały, jak Ju-bo, łączący Kanton z Pekingem, a mający 150 mil geogr. długości, dowodzą wysoko rozwiniętej sztuki, niezmierniej wytrwałości i zwrotu takowej do prac ogólnie użytecznych. Inaczéj rzecz się ma z najgłówniejszym, lecz dziś zupełnie bezcelowym pomnikiem budownictwa krajowego, z rozslawionym murem chińskim. Potworna ta fortyfikacja ciągnie się na 600 mil francuzkich; wysoka na stóp 20—25, szeroka u dołu stóp 25, u góry 4 1/2, co 300 kroków obwarowana kamiennymi wieżami, jakby ręką czarodzieja z ziemi wydobyta, przebywa gór

(1) Obszerniejszy opis domów chińskich i szampanów podaliśmy czytelnikom naszym w zeszlorocznej Księdze Świata, na str. 382 i 383.

grzbiety i doliny. Budowę jęj rozpoczęto na 244 lat przed Chrystusem, w celu zabezpieczenia Chin od napadu dzikich hord azyatyckich. Okazało się jednak w doświadczeniu, że nie zdołała ona wstrzymać najazdów pokolenia Mandszu, Turków i Mongołów. Dziś, kiedy Chiny podbiły całą Azyą środkową, wielki ten, lecz niewładny wymysł strategiczny tém bardziej jest bez użytku.

Sztuka rysownicza w Chinach za ledwo wyszła z pieluch. Malarze posiadają wprawdzie biegłość mechaniczną w przyrządzaniu i nakładaniu kolorów, lecz nie znają perspektywy, a raczej znać jęj nie chcą, podobnie jak malarze starożytni. Rzeźbiarstwo chińskie odznacza się drobiazgowym wykończeniem, ale grzeszy często przeciw rysunkowi. W ogólności smak chiński, według naszych przynajmniej pojęć, jest dziwaczny i wymuszony. W ogrodach tylko naśladowują naturę, i od nichto ogrodnictwo nasze przejęło parki, mylnie zwane angielskiemi.

Nauczanie publiczne bardzo jest upowszechnione. Najprostszy rzemieślnik tyle chociaż zna się na czytaniu, że może użytkować z książek profesyi jego dotyczących. Mnóstwo ludzi piśmiennych, którym przy egzaminie powinęła się noga, rozprasa się po miastach, i rozrzuca w nich ziarno początkowej nauki. Szkoły wyższe nie mają płatnych nauczycieli, tylko egzaminatorów i nadzorców, obowiązanych kierować konkursami naukowemi i rozciągać dozór nad młodzieżą. W Pekingu jest kollegium tłumaczów, w którym wykładają języki narodów Chinom podwładnych, jak tybetański, turecki i t. p.

Forma rządu w Chinach długo uchodziła za despotyczną; teraz wszakże wiadomo, że prawo reprezentacyi służące pewnej klassie urzędników, a bardziej jeszcze obowiązek panującego wybierania dostojników korony z grona uczonych, znacznie władzę najwyższą ogranicza. Uczeni składają jedyną arystokracją narodu, której zastęp, drogą publicznych konkursów, bezustannie się dopełnia. Młodzież wszelkiego stanu bez różnicy przypuszczaną jest do egzaminów, nadających stopień literacki trzeciego rzędu. Zaszczyceni tą godnością ubiegają się znów z sobą o stopień drugi, torujący im drogę do urzędów publicznych, a nakoniec o piérwszy, i ten do najwyższych prowadzi już do stojeństw.

Urządzenie to, istniejące od XVII wieku w swęj formie obecnej, zastępuje szlachectwo i przyczynia się wiele do utrzymania porządku. Dziedziczne tytuły posiadają tylko książęta krwi cesarskiej i potomkowie Konfucjusza; niekiedy jednak bywają udzielane patenta z mocą wsteczną, nadające pewne tytuły przodkom nagradzanego, co Chińczykowie za wielką uważają łaskę.

Władza najwyższa spoczywa w ręku cesarza. Korona jest dziedziczną, a następstwo idzie po mieczu, bez względu wszakże na pierworodztwo. Religijne przywiązanie do dynastyi stanowi jedną z głównych podstaw towarzystwa chińskiego. Zdarzały się wprawdzie przewroty polityczne, lecz te uważano zawsze za wpływ bezpośredni nieba na porządek fizyczny i moralny świata podświetlonego, nie uwłóczyły więc bynajmniej głębokiemu dla panujących poszanowaniu.

Cały zarząd wewnętrzny rozpada się na sześć części czyli ministerstw, zostających pod kierunkiem najwyższych radców czyli prezesów; na ministerstwa urzędów, skarbu, wyznań, kar, budowli publicznych i wojny. Oprócz tych sześciu ministerstw, mających siedlisko w stolicy, istnieje także rada stanu i akademia, której członkowie, wybierani z najslawniejszych uczonych, piastują zarazem po kilka urzędów politycznych; dalej zarząd spraw zagranicznych, biuro do układania kalendarza, drugie dla spraw lekarskich i najwyższe kollegium naukowe. Odkąd Chiny przeszły pod władzę Tatarów, liczba wysokich urzędów została podwojoną, i w równej części podzieloną między Tatarów i krajowców.

W administracyi państwa panuje oddawna system odosobnienia (decentralizacyi). Prowincjami zarządzają urzędnicy zupełnie niezawisli, którzy w ważniejszych tylko wypadkach odnoszą się do dworu cesarskiego. Najczęściej dwie prowincye zostają pod władzą jednego namiestnika. Oprócz tego każda prowincya ma intendenta generalnego, intendenta oświecenia, dyrektora finansów, sędziego kryminalnego i dwóch inspektorów, jednego dla kopalń solnych, drugiego dla magazynów zbożowych. Powiaty i okręgi oddzielnęj znów podlegają zwierzchności, a ztąd liczba niższych urzędników bardzo jest wielką. Na każdą posadę właściwe ministerstwo przedstawia po trzech kandydatów, z których sam panujący jednego obiera i mianuje. Po-



stanowienia cesarskie bywają ogłaszane w gazecie rządowej wychodzącej w Pekingu, i następnie powtarzane w główniejszych pismach prowincjonalnych.

Wymiar sprawiedliwości niezmiernie jest surowy, mianowicie w przedmiocie kradzieży i zaburzeń publicznych. Kary według prawa powinny być odpowiednie wielkości przestępstwa, w stosowaniu atoli takowych częste zachodzą nadużycia. Najczęściej są: kary pieniężne, chłosta, policzkowanie, wkładanie obróży drewnianej, więzienie, wygnanie do prowincyj środkowych lub Tataryi, i nakoniec śmierć przez uduszenie lub ścięcie.

Dochody państwa chińskiego obliczają na rub. sr. 333,000,000. Dziesiąta część wpływu z samych tylko dóbr koronnych wystarcza na pokrycie żołdu dla wszystkich oficerów armii, którzy, podobnie jak prości żołnierze i urzędnicy, połowę płacy pobierają w pieniądzu, połowę w płodach naturalnych. Co do liczby wojska podania chwieją się między 800,000, a dwoma milionami. Najlepszą część jego stanowią pokolenia Mandszu, Chalchas i Mongo-

łów, najgorszą sami Chińczycy. Taktyka wojenna zasadza się u nich na bardzo skombinowanej teorii; obroty odbywają się regularnie, lecz artylerya licho jest obsłużona, a ręczna broń bardzo niedokładna. Mimo więc wyższości liczebnej, armie ich nie mogą stawiać oporu wyćwiczonemu wojsku europejskiemu, jak o tém przekonało starcie z Anglikami w r. 1839 i 1840, o kwestyą handlu opium wynikłe.

Gdy rychło późno niezmordowany duch spekulacyjny Anglików zdoła otworzyć sobie drogę do państwa chińskiego, ku czemu trwające tam obecnie zaburzenie sposobną może nastreczy chwilę, to przekonają się zapewne, że za tą zasłoną nieprzebytą, której tajemniczości tak pilnie strzeże zawistna polityka odstrychnienia, miasto cudownego bożyszczka ukrywa się lalka wystrojona, lecz martwa. Niewiele dowiedzą się nowego o narodzie chińskim i jego obyczajach; dla nauk zato przyrodzonych z wycieczki po Chinach środkowych nader obfitego spodziewaćby się można plonu.

L. J.

## ZAWZIĘTOŚĆ WILKA WĘGIERSKIEGO.

Niemasz równości pod słońcem, nawet pomiędzy zwierzętami. Jeżeli z kształtu, rozmiarów, maści do siebie mniej więcej podobne, to znów dzikością, instynktem i skłonnościami bardzo się różnią w rozmaitych strefach naszego globu, tak, że z postępem nauki i sztuki spostrzegania, wkrótce może pisać będziemy etnografią zwierząt, chociaż dzisiaj jeszcze etnografia ludzi w kolébee. Inaczéj być nie może; zmysły nasze zaostrzają się dzień dziennie, w miarę powiększania się ludności na ziemi, w miarę jak się stajemy bliższymi sąsiadami wszystkich istot rosnących i żyjących na naszym globie, bujających w jego atmosferze, pomocnych nam, lub szkodliwych.

Są zwierzęta, których dotychczas człowiek, pan wszystkiego co żyje na świecie, żadnym sposobem

podbić nie umiał, ani na swe obrócić usługi; ale nie braknie i takich, które mu są wprost szkodliwymi, nienawistnymi, a które napróżno stara się wytępić.

Do tych ostatnich bez wątpienia należy wilk, zwierzę podłego wejrzenia, dzikiego wzroku, głosu okropnego, woni nieznośnej, charakteru przewrotnego, obyczajów szkaradnych. Wilk nienawistny, szkodliwy nam za życia, a do niczego nieprzydatny po śmierci.

We wszystkich strefach zimnych i gorących stałego lądu i wysp naszego globu żyje wilk, wszędzie do siebie podobny kształtem i maścią, i srogim usposobieniem. A jednakże, gdy mu się zbliżka przypatrzemy, wyznać musimy, że w téj srogości którą się znamionuje, są pewne stopniowania, że wilk, równie stały wróg ludzi, jak wiernym ich

przyjacielem jest pies, brat jego przyrodni,—że i wilk, mówię, w pewnych miejscowościach, z większą lub mniejszą otwartością, odwagą i zapalczywością objawia nam swą nieprzyjaźń. I tak, w Norwegii wilk nienawidzi człowieka, pozrze go gdy jest trupem; ale żywego się boi, nie śmie napastować nawet kobiety lub dziecka. U nas w Polsce wilk jest zuchwalszym, śmielszym; rzuci on się i na człowieka, ale tylko wtenczas, gdy jest do walki wyzwany, albo głodem pobudzony. W Węgrzech wilk tyle nabiera zuchwalstwa, że na człowieka czatuje, że się na uzbrojonego rzuca i często go pokonywa.

W jednym tedy kraju wilk jest żarłocznym, krwi chciwym, ale podłym, lęklwym;—w drugim staje się okrutnym i odważnym, gdy go głód przyprze; w innym jeszcze, jak w Węgrzech, wilk z natury nieubłaganym jest nieprzyjacielem rodu ludzkiego, a człowieka chętniej niż inne stworzenia napastując, krwawą wypowieda mu wojnę, przemocą i podstępem zawziętą toczy z nim walkę.

Zkądże ta różnica w skłonnościach zwierząt, zkąd te odcienie w wewnętrznym ich usposobieniu? Mamyż je przypisać wpływowi oświaty ludzkiej i wnosić, że srogość nawet najdzikszego zwierzęcia zmniejsza się w stosunku oświaty ludzi pomiędzy którymi żyje? że charakter jego słabnie, że odwaga się zwątpia, lub że człowiek, im więcej umie być panem siebie samego, tćm więcej podbija otaczającą go przyrodę?

Wiele już pisano o zwierzętach i względnej łagodności ich obyczajów. Niektórzy fizyologowie logicznymi, przeświadczeniami, a częstokroć niezbitymi argumentami dowodzili, że oświata i z niej wypływająca łagodność wywiera wpływ jakiś, powolny, tajemny, ale w skutkach widoczny i pewny na usposobienie niższych stworzeń, usługujących nam wiernością, czujnością, pracą, produktami, lub po prostu mięsem. Jednakże zwierzęta opodal od nas żyjące, kryjące się przed nami lub na nas czyhające, jakżeby korzystać mogły z powiewu ludzkiej oświaty? Trudno to pojąć, chociaż łatwoby było dowieść, że o tyle wyżej stoimy w oświacie nad Węgrami, ile wilk węgierski prze-

wyższa naszego w srogości, i że łagodność wilka norweskiego w doskonałym jest stosunku z oświatą w owym kraju panującą. Zwiastunem cywilizacji jest pismo, temu nikt nie zaprzeczy; wyrokując zaś o oświacie według rozpowszechnienia znajomości pisma, przyznać musimy, że w Norwegii ludzie czytać i pisać nieumiejący są nadzwyczaj rzadkimi wyjątkami, że u nas w kraju ledwie 35 część ludności czytać i pisać umie, ale że w Węgrzech jeszcze gorzej, bo tam częstokroć szlachcic, nawet pisarz komitatu, nie nauczył się korzystać z pożytecznego Fenicyan wynalazku; z czego wyprowadzićby można wniosek, iż srogość wilka jest w stosunku odwrotnym oświaty kraju w którym przebywa.

Nieprzyjaciele Północy, zwłaszcza niektórzy filozofowie włoscy i francuzcy, utrzymywali, że dzikość zwierząt i ludzi rośnie w miarę bliskości bieguna, i tym pewnikiem teoretycznym tłumaczyć chcieli owe baśnie niestworzone o barbarzyństwie narodów północnych. Biedny Lapończyk, tak łagodny i dobry, Finlandczyk pracowity i roztropny i wilk norweskiki, uznający w człowieku swego pana, najlepiej dowodzą płytkości owych rozumowań uzasadnionych niby na wpływach klimatycznych. Owszem zimno i długie noce zbliżają człowieka do człowieka fizycznie i moralnie, i uzdalniają go do wyrobienia w sobie strony sercowej, do ocucenia tych pięknych, rzewnych, przyjaznych uczuć, jakimi słusznie się chlubią synowie Północy; owszem gościnność ich i serdeczność lepszym są dowodem prawdziwej cywilizacji, *cywilizacji serca*, jak wszystkie owe utwory pędzla, dłuta i lutni, którymi się zastawiają dzieci Południa przed zarzutem barbarzyństwa dochodzącym ich z naszej Północy.

Niezaprzeczoną więc zdaje się prawdą, że srogość klimatu nie wyradza srogości w charakterze; że co do zwierząt przynajmniej odwrotny zachodzi stosunek. A teraz, wyswieciwszy co potrzeba było dla objaśnienia tego co nastąpi, przejść mogę z argumentacji wstępnej do opowiedzenia przygody, której sam byłem świadkiem, a która w części przynajmniej zdanie moje potwierdza-



Stahlfisch v. Carl Meyer's Kunst-Anstalt in Nürnberg

*Wilki w. Wogreck.*



## I.

Na samych stopach Karpat spiskich, o trzy mile drogi od góry Babiéj i o tyleż od miasta Kesmarku, znajduje się wieś sławna z piękności położenia i z skuteczności wody siarczanéj, zwabiającej do siebie co lato wielką liczbę reumatyków z okolicznych miast, zwłaszcza z Lewoczy, Koszyc i z Kesmarku. Wieś ta należy do barona Okuliczany'ego, od dwóch lat wdowca, a od trzech opłakującego w ponurém swoim zamczysku stratę jedynego potomka którego mu dała pani baronowa, zdrowego, silnego, pełnego nadziei młodzieńca. Syn umarł na tyfus, matkę zabił żal nieutulony.

Baron sam siedział w zamku. Zawsze ponury i zasepiony, nigdy z niego nie wychodził, tokajem i śliwownicą słodząc sobie smutek. Czasem tylko wyjeżdżał ze zgrają psów i licznym poczem hajduków na polowanie, to w górach pomiędzy śnieżystemi wierzchołkami uganiając się za dziką kozą karpacką, ostrożną i szybką jak skalnica alpejska, to znów w pobliskich lasach i borach ścigając sarny, jelenie lub wilki, których tu w zimie wyły całe stada. Często zapadał na podagrę, skutkiem niewstrzeżliwego życia i zniesionych niewygód; wówczas nie przyzywał lekarzy z miast sąsiednich, sławnych z biegłości w swym zawodzie, nie wierzył bowiem sztuce która nie była w stanie ocalić mu syna i żony, lecz sprowadzał do siebie w pomoc przeciw chorobie i nudom starego słowaka strzelca, mieszkającego latem i zimą w jaskiniach karpackich, strzelca oddanego całą duszą dzikiemu, niebezpiecznemu rzemiosłu myśliwskiemu, a znanego na piętnaście mil wokoło z swéj biegłości w wytropieniu wszelkiego rodzaju grubéj zwierzyny. Nazywał się ten słowak Jakób Ciarysz, a był jednym z ostatnich może typów owych dziarskich górali, tak pięknych, rosnących i silnych z postaci, tak żelaznego zdrowia i nieugiętego charakteru, których plemię, zgębione długotrwałym uciskiem madziarów, już teraz dogorywa i słabe tylko wlecze życie, pokornie poddając karki pod jarzmo upokorzenia i nędzy.

Znałem tego słowaka, kiedy miał już lat przeszło sześćdziesiąt, i nigdy okazalszego starca nie widziałem. Czarne jak smoła włosy, grube i lśniące, gładko na szerokie spadały barki; siwe, ale wielkie i poczciwe oczy bystro wyzierały zpod rozumnego, gęstą brwią przyćmionego czoła. Rysy jego marsowéj, uwagą napiętéj twarzy były czysto sławiańskie, szlachetne, choć wszérz biegnące i głęboko worane; kości policzkowe wystające, nos mierny, kształtny, w górę cokolwiek zadarty, usta ścieśnione, mile dobrotliwością, a zarazem siłą jakąś postanowienia i pewności odznaczone, skore do śmiechu i skore do gniewu, a czy się śmiały czy gniewały, zawsze odsłaniały dwa rzędy najpiękniejszych, bieluteńkich zębów, w których ani jednego, jaki Bóg dał, nie brakowało. Nosił wąsy przyszczygane, ale zapuszczał i bródkę, i tém się jedynie różnił od naszych sławiańskich górali, starannie golących brodę i faworyty. Olbrzymia jego postać, pokryta czapką śpiczastą z wilczego futra, obcisłym kaftanem i obcisłymi spodniami z takiego futra na wewnątrz wywróconego, giętką się wydawała jak trzcina, silną jak stal; w każdym ruchu jakaś godność ujmująca i sprężystość zarazem. Nogi miał małe w stosunku ciała, wysokie na podbiciu i skoczne.

Takiemi byli niegdyś wszyscy górale słowaccy; dziś sąto rzadkie tylko wyjątki, bo wielkie oddawna brzemie nędzy i prześladowań ciśnie ten lud nieszczęśliwy, trwający stale, siłą jakąś bezsilności czy czynném zamięłowaniem, przy swéj narodowości; bo ciężko pokutować on musi za słuszny wstręt ku madziarom.

Tak tedy baron Okuliczany przyzywał do siebie górala Jakóba Ciarysza, nie tylko dlatego, żeby mu nudy rozgadywał opowiadaniem swych przygód i figłów myśliwskich, ale i dlatego, żeby stary strzelec, uchodzący w całej okolicy za rodzaj czarownika i lekarza, wysmarował mu zbolące nogi maściami cudownymi, jemu tylko znanymi, a sporządzanymi z ziół które tylko raz w rok o północy kwitnąć mają na najwyższych szczytach karpackich.

## II.

Posyła baron po Ciarysza saniami; młody hajduk szesnastoletni, wychowany na dworze Okuliczy, niemi powozi, a towarzyszyć mu chce koniecznie pacholę jakieś ośmioletnie, podrzutek z imienia i nazwiska nieznany, wypielegnowany przez kucharkę cygankę w kuchni zamkowej. Nie wiem czy pan baron widział to pacholę nawet trzy razy w swém życiu. Do kuchni nie zachodził nigdy, a gdy je zoczył na dziedzińcu zamkowym, wówczas pacholę co tchu umykało przed panem i chowało się w kuchni pod kotliną, lub do kurnika uciekało; bo pan, chociażby był dobrodziejem i najlepsze miał serce, gdy zawsze jest ponurym, fantastykiem, półpijany i burzącym, nie wzbudzi miłości nawet w tych, którym dobrze świadczy.— Pacholę to nazwano Nagy, zapewne dlatego, że do szóstego roku życia chodziło w szacie natury, a opiekowała się niém kucharka, śniada, koścista cyganka, z długimi, czarnymi, kudłatemi, spadającymi jak grzywa końska włosami, z oczami jak głownie. Piękną, bardzo piękną musiała być kiedyś; wysoka jój kibić, rysy regularne jeszcze o tém świadczyły.

Nagy, teraz w oponczę jakąś futrzaną ubrany, przystał już od lat kilku za giermka do hajduka Giejzy, forysia wysłanego po Jakóba Ciarysza, i pomimo zakazu kucharki wziął się towarzyszyć mu w téj wyprawie. Cyganka okropnie narzekała, klęła i groziła Nagy'emu mrozem i wilkami; ale upór wszystko przemógł, i Nagy z Giejzą już w podróży.

Mróz był okropny; gruby śnieg zmarzły skrzypiał pod kopytami dziarskich koników, unoszących lekkie sanki jak na orlich skrzydłach przez lasy i góry, pomiędzy skały i wąwozy, gdzie tylko najwprawniejszy, w miejscu wychowany woźnica umie sobie dać radę. Ale przedziwnym téż był forysiem hajduk Giejza. Choć zaledwie 16 lat liczy, nie lęka się ani mrozu ścinającego krew w żyłach, ani burzy, ani śniegu, wymija przepaści, drogę znajduje pomiędzy największemi zaspami; tu mu kamień, tam dąb, tam sosna służy za cel i wskazówkę; zachęca sam rumaki świstem i klątwy madziar-

skiem, a broń ma w pogotowiu i każe jój pilnować małemu Nagy, chuchającemu w palce i podziwiającemu zręczność hajduka, swojego ideału.

Pędzą po zmarzłych wodospadach, pędzą po górach śniegu, napiętrzonych ponad dachy chat i szałasów góralskich, których ledwo kominy wyziwiają. Już tu się ani dopytać drogi, żywej tu duszy nie napotka; wszystko martwe, opuszczone; nawet wilki nie wyją i kruki nie krakają, i drzewa gdzieś pierzchły z drogi, bo tu już skołał wszelki objaw życia. Ledwo przez trzy miesiące w roku niezmierne te strome płaszczyzny pokryją się trawą i zieleń woniejącą, i wówczas wstąpią tu kosiarze i liczne owiec wysypią się trzody.

Ale teraz okropnie nago, bialo i zimno; a wiatr tumany, gęste jak plachty, wznosi w powietrze i zasypuje konie, sanki i młodych woźniców.

— Zimno, zimno okropnie—mój paneczku Giejza—rzecze płaczliwym głosem mały Nagy, tuli nogi pod siebie i dmucha w skrzeple palce.

— Zimno ci, Nagy! tul się do mnie; patrz, mnie nie zimno, a przecież wyteżone mam ręce i wstrzymać muszę te djabelskie konie, co gotowe wtrącić nas w przepaść, gdybym na chwilkę jedną przestał niemi władać. Patrz tu,... ha, k' sobie bassam-teremtetel! bassoma ha!—krzyknie dziarski Giejza, pasując się z zimnem, z zawieruchą i z końmi.

— Bo wy paneczku, wy mocni i krzepcy, wy gorsi jak djabeł—rzeknie znów Nagy.

— Ja tak, jak prawdziwy madziar, bassoma lölkedet! bo ja madziar, ja się mrozu, wilków i śniegu nie boję. Ha! dalej! Wy tylko syny słowackie niewytrzymałe! wy słabe dusze!—zawoła Giejza i popędza konie biegnące w zygzag po stroméj, zmarzłej, ślizkiej ścianie, na której wierzchołku w pomroku zachodzącego słońca sterczy opoka całkiem śniegiem przywalona.

— Ha! patrz Nagy, patrz! oto cel naszej podróży, oto jaskinia Ciarysza. Dalej! jeszcze dzie sięć pacierzy tylko!

— To je zmówię, paneczku Giejza; może to mnie obroni od zmarznięcia—rzecze biedny Nagy i skrzeple ręce składa do paciérza.

— Bassoma!—krzyknie Giejza, ale spojrzawszy ukosem na pacholka, a widząc go rzewnie modlącego się, przerwał przekleństwo, do którego madyarskim zwyczajem już za młodu nawykł, i dalej ruszając z kopyta, stanął niebawem u celu.

Nielatwo było dostać się do jaskini Ciarysza. Słaba tylko wstęga dymu, wydzierająca się z pod grubiej skorupy śniegu, ślad jej oznaczała.

— Bogu niech będą dzięki!—zawoła drżąc z zimna pachole.—Ciarysz musi być w domu, kiedy się pali w jaskini.

Nielatwa to była sprawa wyrąbać w śniegu, grubą skorupą lodową pokrytym, otwór dość wielki na przeprowadzenie koni Giejzy do jaskini Ciarysza; ale stary strzelec zagrzewał do pracy, dodawał ducha nie przestając wołać: — dalej, dalej dziatwa! silnie i prędko, nim konie ostygną, bo wtenczas przepadły!

Mądre góralskie rumaki roztroptym okiem spozierały na pracujących; wiedziały że o nie tu głównie idzie, i spostrzegłszy że wyrąb już dostateczny, niecierpliwie targaly się w uprzęży. Gdy je wyprzęgnięto, zaraz bez zachęcenia wdzierać się zaczęły do otworu jaskini; powstrzymywać je aż musiano tak im było pilno. Kopiając się, i zapadając powlekły się do jaskini, gdzie im porządnie skórę słomą wytarto, i niebawem w najlepsze jeść zaczęły podane sobie siano.

— Teraz do was dziatwa! siadźcie tu koło ogniska i powiedzcie pociście tu przybyli w tak srogi czas, czemu was wystawiono na postrach mrozu i wilków?— odezwie się stary strzelec.

— Pan baron nudzi się, podobno chory, i wzywa was do siebie — rzecze Giejza, rzuciwszy się na wiązkę rozeslaną słomy.

— Pan baron nudzi się, i wysyła was po mnie, w połowie stycznia, na ten czas okropny?—odrzeknie Ciarysz, marszcząc czoło, a cierpki uśmiech, głębokie wzruszenie błysnęło na tej twarzy, zorańej twardemi jak spiż zmarszczkami.

Giejza wstrzymał konie, oddał lejce w ręce Nagy'ego i pobiegł ku otworowi.

Zaraz też z pod śnieżnego wału psy szczekać i wyc zaczęły; kopiając się ku górze, parskają, już wyłom zrobiły. Stary Ciarysz wyrzucił naprzód rurami swój dubeltówki, potem oczami jeszcze straszniejszemi; nareszcie, poznavszy kto go odwiedza, wyszedł całkiem, trzy rydle z sobą wywlókł i jął się do wykopania większego otworu. Przed wschodem księżyca bowiem jechać nie sposób; księżyc wejdzie za godzin cztery, a trzeba utorować drogę, żeby i ludziom i koniom dać przytułek w jaskini.

### III.

— Nie inaczej, masz jechać natychmiast. Dalej, zabieraj się starcze, bo gdy pan baron rozkazuje, wiész że z nim żartów niema. Bassamteremteszen!—rzecze dalej dość niegrzecznie młody hajduk.

Srodze zgorszyła starego strzelca zuchwałość z jaką wysłaniec barona do niego przemawiał, i po chwili, zmierzwszy od stóp do głowy swego gościa, za wołał:

— A ty zkadże masz prawo tak do mnie się odzywać? jam nie jest poddanym twego pana, tylko wolnym człowiekiem, i jako taki drwię sobie z rozkazów, zwłaszcza gdy je przynosi służalec ze dworu. Ty jesteś niewolnikiem, szanuj ludzi niepodległych!

Teraz gniew i zapalczywość błysły w pięknej, rumianej twarzy hajduka: podskoczył z posłania, ręką uderzył w pałasz, nogą, butem węgierskim i ostrogą przyodzianą, o palącą się głownię, i krzyknął:—Bassoma teremtete! bassoma lölkedet! Ja służalec? ja jestem madyar, a madyar nigdy nie był sługusem. Mnie wolno mieć znamiona szlachectwa, pałasz i ostrogi, tak jak każdemu madyarowi, a zasię od tego słowakom. Mnie nigdy nie używano do niskich posług hajduczych, do których tylko słowaków przyuczamy, do chędożenia butów, do chłostania przestępnych poddanych, do wsadzania ich w dyby lub wieszania. Zatrudniałem się powożeniem, ujeżdżaniem koni, łowami i polowaniem, sciganiem zwierzyny i zbuntowane-

go chłopstwa. Tak, do milion czartów piekielnych! Stary Ciaryszu pomiarkuj się, uznaj we mnie pana, bo słowak, gdy nie jest szlachcicem, niewolnikiem być musi!

— Nie uznam!—odpowiéd Ciarysz—nie uznam, dopóki mi nie dowiedziesz, żeś istotnie z rodu madyarskiego. Zkąd ty wiész żeś ty madyar, kiedy ciebie przyniesiono już rocznym chłopaczkiem do zamku Okuliczanych i podrzucono gdzieś w kuchni czy w mleczarni. Ty nie znasz ani ojca, ani matki, i wiedziéd nie możesz czyś madyar lub słowak. A możesz ty cygan lub żyd.

Żywym purpurem pokryły się policzki Giejzy; wstyd i gniew oczy krwią mu zalały; jęknął ze złości, porwał się do pałasza i byłby głowę rozplatał staremu Ciaryszowi, gdyby ten, przewidując napaść, nie był wytrącił swym czakanem wzniesionéj broni przeciwnika.

— Uspokój się Giejza, uspokój; nierówna ze mną sprawa. Powiédz nam lepiej z czego wnosisz żeś się rodził z madyarów? Czy kiedy madyar lub madyarka porzuca plód swój, jak to słowak, głodzony, ścigany, często czynić musi? Ja wierzę żeś ty madyar, boś śmiały, odważny, dumny, zręczny i wytrzymały. Ale z kądże możesz mieć pewność o swoim pochodzeniu?

Udobruchał się młody Giejza na te słowa, wyrzeczony z ujmującą dobrocią, krew ustąpiła z jego twarzy, a oko lżą się zalało.

Stary strzelec, widząc tę zmianę w uczuciach młodego gościa, podniósł pałasz jego leżący na ziemi, podał go hajdukowi jedną ręką, a drugą czule go uściśnął.

— Ja tobie ubliżyć nie chciałem, dobry Giejzo, zawsze cię kochałem, wykształciłem cię w myśliwstwie, niejeden ci powierzyłem sekret strzelecki, i teraz ci wybaczam słowa miotane na biédnych słowaków. Ale powiédz, zwierz mi się, z kądże masz pewność żeś z rodu madyarów? Mów śmiało, nikt cię nie zdradzi; mały Nagy śpi jak zabity.

Ochłonął zupełnie z gniewu i wstydu młody Giejza. I on także kochał starego strzelca, wiele mu był winien chwil przyjemnych w życiu, i wiedział że téj wiernéj, silnéj duszy można było zaufać.

— Widzisz stary Ciaryszu, co tobie powiem, te-gobym nikomu innemu nie wyjawiał; przyznam się nawet, że oddawna pragnąłem ci się zwierzyć, bo osoba którą najwięcej kochałem, za którą sto razy

byłbym oddał życie, poleciała mi przed śmiercią uważać cię za przyjaciela, choć jesteś słowakiem. Trzeba ci wiedziéd, że mnie ani w kuchni, ani w mleczarni nie podrzucono, tylko że mnie jednego dnia znaleziono śpiącym w powozie pani baronowéj, właśnie kiedy pan baron wyjechał do Pesztu na sejm, a ztamtąd na całe pół roku do Siedmiogrodu na polowanie; obok był list pisany w języku madyarskim do pani baronowéj. Chowano mnie razem z dziećmi fraucymeru pani naszéj, ubierano wykwinicie, uczono katechizmu, czytać i pisać; później dopiéro, gdym dorósł, użyto mnie, nie do służby kuchennéj, lecz do służby kredensowéj, a potém posunięto na pazia, i przeznaczono na usługi pana Ferenza, młodego barona.

Pan Ferenz obchodził się ze mną dobrze, bo ja go téż kochałem jak Boga, i wszędzie mu towarzyszyłem, na łowy, komitata i uczyty. Wtenczas mnie zapisano pomiędzy hajduków szlachty komitatu, dano mi pałasz i ostrogi, i pozwolono nosić trzykolorowe pióro narodowe. Ale nasz panicz zmarł, pani baronowa ze zmartwienia zapadła w ciężką chorobę; rzadko ją bardzo widywałem, i to tylko przypadkiem, nigdy mnie już bowiem do siebie nie wołała. Raz tylko jeden, bardzo już wówczas była chorą i śmierci blizką, widząc mnie w przedpokoju okurzającego meble, kazała mi przystąpić do siebie, i spytała jaką teraz pełnię służbę, czy usługuję panu baronowi, czy szczęśliwy jestem. Odpowiedziałem, że służby właściwie żadnéj nie mam, że się zatrudniam jak mogę, że mnie pan baron widać niebardzo lubi, kiedy do siebie nie wzywa do zamkowej posługi, że mu jednakże towarzyszę na łowy, choć nieraz najniewinniej harapem oberwę, gdy mnie koń blizko pana zaniecie, gdy chybię zwierzyny, lub ją zabiję, strzelając przed panem, że już chwile szczęścia mego minęły ze śmiercią panicza i z chorobą pani.

Pani baronowa bardzo była wzruszoną, nawet płakała; potém powiedziała, że i ona na tym świecie długo nie zabawi, że radaby przed śmiercią coś dla mnie zrobić, jako dla swego wychowawca, który zawsze się dobrze sprawował, rodzinie wiernie służył i nieboszczyka panicza bardzo kochał. Nareszcie radziła mi pod sekretem, żebym po jéj śmierci w domu nie pozostał.

— Gdzież się obrócę, szlachetna pani?— odrzekłem— nie mając nazwiska, należéd muszéd jako



własność do pana, który mnie przyjął, karmił i wychował, winienem się uważać jako poddany, a może i niewolnik. Prawa krajowe nie wezmą mnie w opiekę; więc gdybym się nawet zpod władzy pana barona wylamał, nigdzie nie znajdę służby, chyba u chłopca madziarskiego w banacie, i tam w pocie czoła paść będę bydło i orać rolę. Ale, dodałem, widząc że pani coraz więcej zmartwiona, ale w najgorszym razie dam sobie radę, pójdę gdzieś w góry i żyć będę jak stary Ciarysz, polując po górach i lasach i kryjąc się w jaskiniach przed uciskiem.

Gdym to wymówił, pani baronowa podniosła się, jak gdyby jej życia przybyło, i rzekła:—Nie, nie, tego nie zrobisz Giejza, tego nie zrobisz! Chłopem być nie możesz, ani też włóczęgą dziko żyjącym w lasach i jaskiniach. Szlachetna krew w żyłach twoich płynie, wiem o tém z pewnością. Nie wyrzekaj się swego pochodzenia żadnym postępkiem niebacznym.

— Kto jest mój ojciec, i kto moja matka?—zapytałem baronowej,—możesz mieć szlachetnych rodziców ten, który był porzucony w niemowlęctwie?

Pani baronowa znów padła na poduszkę i o mało co nie zemdliała. Płakała, dwa czy trzy razy sięgała do szkatułki, wyciągała z niej jakieś pismo, kładła mi je w rękę, i znów odbierała. Nieboga okropną toczyła walkę: bladła, szlochała, nareszcie znów mi oddała papier i tobie go Ciaryszu wręczyć kazala; ale gdym wychodził z pokoju, zawołała mocnym głosem: Giejza! spal ten papier—nastychmiast—w kominku!

— I tyś go spalił, nieszczęsny?—przerwie opowiadanie stary strzelec.

— Spaliłem go, spaliłem bez wachania—odpowiéd Giejza—i sam byłbym się spalił, gdyby była rozkazała pani baronowa.

— Dobrze zrobił, dobrze, bardzo dobrze—rzecze Ciarysz, ocierając pot z zasępionego czoła—ale co dalej było, mów!

— Pani baronowa złożyła ręce i rzewnie się modliła, potem klęknąć mi kazala i położyła rękę

na mój głowie. Czulem że ręka ta drżała. Nareszcie rzekła: wstań i idź, i módl się za mnie, gdy mnie nie będzie. Długo po mój śmierci nie pozostawaj w domu. Poradz się Jakóba Ciarysza co masz z sobą zrobić, gdy zapragniesz zmiany losu; a milcz, i barona unikaj.

Już potem nie widziałem pani baronowej, aż w trumnie, i rok blisko siedzę w zamku nie wiedząc co postanowić, ale serdecznie stęskniony, bo pan nasz codziennie więcej poddaje się trunkowi, smutkom i gniewom, i otóż jestem u was Ciaryszu, by zasięgnąć waszjej rady: na wasze zaś pytanie, dlaczego się mam za madziara, odpowiadam, że czuję to w swoich żyłach. Wy może wiecie więcej, ale nic mnie przekonać nie zdoła, że to uczucie jest zwodnicze. Ja madziar, i dwóch tylko kocham słowaków: was, stary Ciaryszu, i tego malca, mego giermka. Was kocham dlatego, że mi służycie i mnie kochacie; ale resztę nienawidzę, bo to tchórze, co chmarami przed jednym uciekają Madziarem. Nie cierpię ich z gruntu serca!

Widać było, że dziwne jakieś uczucia miotaly starym strzelcem, bo długo z założonemi rękoma patrzył w twarz dumnego hajduka, w którym tak ognista wrzała dusza, zamyslał się i jakby z sobą pasował.

— No cóż, nic mi nie powiecie nowego, stary Ciaryszu?—zapytał wreszcie Giejza—czemuż tak dziwnie na mnie spoglądacie? Czy się boicie wyjawiać mi prawdę? Bassoma Krysztusa! czyż istotnie mam jej się lękać?

Każde słowo Giejzy odbijało się w silnej duszy Ciarysza głośnym jakimś echem; poznać to było można po jego twarzy błyskającej niezwykłym wzruszeniem.—Giejza—rzekł potem—jeszcze nie czas; wierz mi dumny madziarku, że wszystkiego jeszcze nie wiem, że ledwo nic prowadzącą do prawdy uchwyciłem. Nateraz przestańmy o tém mówić i myśleć; napij się z tej oto butelki, to stary tokaj, i spocznij na chwilę. Za dwie godziny puścimy się w drogę.

#### IV.

Malowniczy przedstawiała widok jaskinia Ciarysza. Wielkie, mocne wrota, drągami podparte, że-

by je śnieg z zewnątrz nie wywrócił, zamykały wejście dość obszerne. Jeden tylko w tych wrotach u gó-

ry znajdował się otwór, którym dym z ogniska wychodził. Z jednej strony wejścia stały konie, i chrupały sobie obrok najspokojniej, jakby w najlepszej stajni. Koza i dwie owce w zażyłość z niemi weszły; widać że nie pierwszy raz z sobą się spotkały.

Sklepienie jaskini w środku może na stóp dwaście wysokie; wiszą na niem jak franki poczerzone dymem stalaktyty. Tu zwężają jaskinię, tu ją zniżają, tu na pomniejsze dzielą kryjóWKi. Część pieczary, tam gdzie stoi łoże gospodarza, wysłane korkową korą, żeby wilgoć nie dochodziła, ziemia zaś wyłożona tarcicami. Na ścianie kilka strzelb wiszą, pokrytych woskowanym płótnem, a kilka par pistoletów, szabla i kordelas nad łożem, obok obrazu Matki Boskiej, przed którym goreje lampka okopiała.

Głęb' jaskini dzieli się na rozliczne ganki, galerye, szyje i przesmyki. Kilka z nich w inne wchodzi pieczary i przerzyna się na zewnątrz. To istna jama lisia, labirynt podziemny, nie tak olbrzymi jak pieczary w Ojcowie, nie tak wspaniałe, ale wyżej daleko nad poziom ziemi wyniesiony, warowny, niedostępny.

Ganki, galerye, szyje i przesmyki na które się rozpada jaskinia, spożytkowane są przez gospodarza na drwalnię, spichrz, stodoły, spiżarnię i piwnicę. Wszystko tu znajdziesz, bo Ciarysz człek przemyślny, boi się biedy, bo żebrać nie umie; wolałby umrzeć, jak wzywać czyjéjs łaski. Dwory okoliczne zaopatrują go w żywność za usługi które im świadczy, a czego mu nie dadzą dobrowolnie, to on sobie kupi za cenę kóz dzikich, głuszców, jarząbków, zajęcy, sarn przez siebie ubitych, a sprzedawanych w Kesmarku, Lewoczy lub Koszycach. Wewnątrz jaskini, koło ogniska żywym gorejącego płomieniem, leżał na snopku słomy Giejza, dumny hajduk. Zdjął z siebie dołman, kołpak, i pokrył się gunią, ale nie zzuł butów, nie odpiął pałasza i pistolety ma przy sobie. Obok Giejzy wyciągnął się Nagy, pocziwe pacholę, kochające dobrowolnie przyjętego pana, jak dziecię kocha mamkę, póki ssie jeszcze pokarm jéj piersi. Przy Nagym położyli się Nemrecz, Szedwad Arus, trzy psy Ciarysza, ogromne, kudłate, ogrzewając go swém ciepłem, liżą po rękach i po twarzy. Zaprawdę, jest coś w naturze psa pocziwego, choć temu przeczą hipokondrycy; pies zawsze

tam się ulituje gdzie człowiek częstokroć zna tylko wzgardę.

Stary Ciarysz usiadł obok Giejzy śpiącego i wlepił weń oczu swych bystre źrenice. W rękę trzymał jakieś papiery i jakąś księgę; czytał, porównywał, potem odkrył pierś Giejzy, a znalazłszy tam jakieś znamię, chciał je pocałować, ale nie śmiał.

— Tak jest, tak, już wątpić o tém nie mogę; ta księga ocalona tak cudownie z płomieni umyślnie podłożonych, te nazwiska przekrecone, a jednak tak podobne, ten jéj list do mnie pisany, i te kosztowności przeznaczone dla jéj wychowanka, który do mnie się zgłosi w razie potrzeby, ta czułość przed zgonem, to znamię na piersiach... tak, już wątpić niepodobna, to mój syn Wiktor. Giejza go przewali po madziarsku, bo to jednoznaczne. To mój syn; tylko zupełnej pewności dać mi nie chciała, mnie człowiekowi żyjącemu poza światem, zpod prawa niemal wyjętemu. Ale walczyła z sobą, i o mało co serce macierzyńskie nie odniosło zwycięstwa nad dumą. Uległa jednak przesądom krępującym towarzystwo; dla człowieka którego kochać nie mogła, lecz który był prawnie jéj mężem, którego nosiła nazwisko, poświęciła istność tego biedaka, bląjącego się pomiędzy nienawiścią ku własnemu plemieniu, a miłością dla największych jego wrogów.—

Tak dumiał człowiek ów prosty, surowy, żyjący, jak sam mówił, poza światem, pod żadną w swym kraju niepodciągniętą kategorią, zatrudniony jedynie ściganiem zwierzyny, a co gorsza rozpędzaniem nudów szlacheckich. Tak z sobą rozmawiał samotnik, wyższy sercem i wychowaniem nad obecne położenie swoje.

— Czy mam zataić przed nim wszystko, pograć z tę sprawę w wieczną otchłań zapomnienia? czy wyjawić tajemnicę, a zarazem kazać mu się wyprzec nienawiści, oddawna zaległej w duszy jego przeciw rasie podupadłej, znikczemnionej, a może i spodłonej? oto pytanie! Lecz nie, milczenie nateraz! Może pioruny tego nieba chmurnego rozjaśnią nam drogę, może wypadki późniejsze wyrwą duszę tak zapalną z ciasnego kółka w którym się obraca.—

Zerwał się stary Ciarysz, koniom podał obroku; potem znów siadł obok Giejzy, oparł czoło na rękę, i usnął...

Tymczasem księżyc wzniósł się ponad góry, a niezmierne łany śniegu, usrebrzone jego blaskiem, skrzyły się i migały w milionowych kryształach.

— Działwa, do pracy!—krzyknął strzelec, zerwał się na nogi, obudził młodych, psy zaszczeptały, odwalono wrota, śnieg odkopano, konie wyprowadzono, zaprzęgnięto, i już ruszają w drogę. Ale mróz coraz cięższy i śnieg nie przestaje walić się tumanami.

Krajobraz od wczoraj inną przybrał postać. Tam gdzie wprzód były góry, dziś ujrzysz szczeliny i przepaści; gdzie gór nie było, a sterczały opoki, wiatr naniósł kopce śniegu. Już trudno się pokierować: podróżni dążą jednak naprzód, bo pan baron się nudzi.

Dziwny zaiste, cudowny prawie, jest instynkt góralski, i dobrze powiedziano, że góral, to orzeł między ludźmi; bo istotnie, w porównaniu z doliną, nieskończenie wiele posiada sposobów uniknięcia srogości powietrza i uchronienia się od przypadłości klimatycznych, które życiu tamtego zagrażają. Szybkim pędem przebyto już góry. Dalej, dalej, w pola i krzewiny, pomiędzy zmarzłe, skrzypiące gałęzie, któremi wichur wściekle potrząsa i gradem skrzepłych tajaków podróżnych osypuje.

Mróz okropny, jeszcze większy jak wczoraj; nigdzie znaku nawet życia. Ptaki uleciały w niziny, sęp z orłem jeszcze gdzieś spoczywają w swych gniazdach niedostępnych; wilki poszły w dolinę, a lis siedzi w jamie, oblizując śpiczastą mordę, której nie tak prędko zapewne nawinie się kura, kurapatwa lub zajaczek.

Wilki wszystkie, włócząc się po lasach, czatują na zdobycz; znajdują czasem ptaszka albo szaraka zmarzłego; lecz to niedosyc dla tych żarłoków nienasyconych.

Wilk węgierski dławi sarny i jelenie, pożera z chciwością psy, nienawistnych sobie pobratymców, wdziera się do owczarni, wydusza całe trzody, rzuca się na podróżnych, choćby w najliczniejszym ciągnących orszaku, bo ludzkie mięso przekłada nad wszystkie inne; a licznie się rozmnaża, gdyż tylko szlachcicowi broń wolno nosić, a szlachcic nad życie chłopca przekłada przyjemność polowania, i żadnemu nie przebaczy wieśniakowi, jeśli go spotka ze strzelbą.

Już nasi podróżni niedaleko zamku Okuliczy; ale wjeżdżają w bór gęsty, ciągnący się wszędy i wzdłuż na trzy mile, w którego środku leży posiadłość barona.

— Teraz dzieci ostrożnie!—krzyknie Ciarysz—już mnie dochodzą wycia wilków zdaleka, a z nie-mi bój niełatwy, bo jeśli zwietrzyli zdobycz, wówczas chmarą na nas uderzą. Dalej Giejza, bierz lejce i poganiaj jak możesz. Ty biedny Nagy, truchlejący ze strachu i zimna, weź pistolety, a strzelaj celnie, bo każdy zraniony nieprzyjaciel od kilku nas zdrowych uwolni. Wilk pozrze wilka rannego, choć mówią że kruk krukowi oka nie wydziobie. Ja tu z czterema strzelbami i z czakanem pozostanę w tyle, i bronić was będę od napaści. Ho! ho! Nemrecz tu! Szedwad tu!— Arus tu! ho ho! dalej moje pieski! blisko sani, blisko tak!—W imię Boga, jedźmy prędej! przez las ten djabelski trudna będzie przeprawa. Czterdziestu siedmiu ludzi wilki tu pożarły, od czasu jak mieszkam w jaskini.—Ha! tam, widzicie? już są niedaleko, już się skupiają, już za nami pędzą. Dalej Giejza, zacinaj konie, nie bój się, prawdziwy madziarze!

Ledwo przebyli trzecią część boru, gdy wilcy, w sile może sześćdziesięciu, z przodu, z boków i z tyłu na naszych podróżnych uderzyli. Nemrecz, Szedwad i Arus, po bohaterskiej walce, padli ofiarą pierwszego zaraz ataku. Mały Nagy dzielnie się trzymał, żaden strzał jego nie chybiał, a jęk zdychających wilków, wycie nacierających, w dzikiem pomieszaniu rozlegały się po lesie. Sam Ciarysz w największej tylko potrzebie dawał ognia, i zawsze tak mierzył, żeby dwóch wilków zranić odrazu. W końcu jednak zabrakło i nabojów, a wilcy ciągle tuż, tuż dopędzają. Dwudziestu przynajmniej ścigało zasaniami. Konie pędziły pędem szalonym; ogień pryskał z ich nozdrzów, a z kopyt sypały się żużle śniegu, twarde jak kamień, i jak kamień ciężkie. Już niejedyn wilk rzucił się koniom do gardła, ale go dosięgnął bicz Giejzy, lub głaz lodowy rzucony przez Ciarysza. Giejza, choć oczy na wierzech mu wyszły z przerażenia, przytomności jednak nie traci; zgubił czupurzysty kołpak, lecz silnie dzierży lejce, oganiając się zewsząd, a stary Ciarysz dopomaga mu czakanem. Biedny Nagy, wystrzelawszy naboje, wyrzuciwszy pistolety na wilków nacierających, już zwątpił o życiu; tuli się do Giejzy, i krzyczy w niebogłoso.

Ha! już ich obskoczyły. Ciarysz znużony, prawie podnieść nie może czakana; już wszystko stracone! Padniecie ofiarą nieubłaganych napastników.

Wtém z głębi lasu dwadzieścia na raz padło strzałów; dziewięciu wilków legło, rumieniąc śnieg swą posoką, reszta poszła w rozsypkę. Z za drzew wypada całe towarzystwo myśliwych, pomiędzy niemi baron Okuliczany, z obwiniętymi, jak dziecko w pieluchach, nogami, a na ich czele owa cyganka, która wychowała Nagy'ego, która zdaleka przeczuła, usłyszała lub odgadła, że temu pacholęciu zagraża niebezpieczeństwo. Uzbrojona w fuzję, głowę ma owiniętą rodzajem turbana, i twarz w tym stroju dalibóg piękną. Rzuciła się w objęcia Nagy'ego, zowiąc go swém dzieckiem, i barona scho-rzałego ciągnęła jakos ku niemu.

— Moje dziecko, mój synu! — krzyczała cyganka, szlochając i ściskając Nagy'ego.

— Giejza, Wiktorze! uściskaj swego ojca! Jam ojciec twój, chociaż słowak! — zawołał stary Ciarysz, i dumny hajduk komitatowy padł mu do nóg.

Ojciec Nagy'ego stał obok swego syna, zimny jak marmur.

Matka Giejzy od roku leżała już w grobie, Nagy dotychczas może nie wie, kto jego jest ojcem, a Giejza kto jego matką; ale ojciec jednego, był mężem matki drugiego, za to ręczyć mogę z pewnością.

Dr. T. Tripplin.

## S A L Z B U R G.

Od r. 1648, to jest od pokoju westfalskiego, aż do 1802, Salzburg, z wyjątkiem trzech elektorstw duchownych, jedyném było w Niemczech arcybiskupstwem. W czasach kwitnienia swojego miało ono 180 mil  $\square$  powierzchni, liczyło 16 miast, 23 wsi jarmarcznych i 250,000 mieszkańców. Później atoli, a mianowicie na początku 18go stulecia, znaczna część ludności, z powodu prześladowań religijnych, emigrowała do Prus, Holandyi, Anglii, Rossyi, Szwecyi i Ameryki północnej, tak, iż zostało tylko około 190,000. W r. 1802, po nastąpionój sekularyzacyi arcybiskupstwa Salzburg, przeznaczono takowe arcyksięciu Ferdynandowi austryackiemu, w wynagrodzeniu za Toskanią. Pokój wiedeński w r. 1809, oddał ten kraj pod rozrządzenie Napoleona, który go ustąpił Bawaryi. Dopiero po zawarciu pokoju paryzkiego Salzburg powróciło do Austryi, z wyjątkiem kilku okręgów przydzielonych do Tyrolu, i dziś, jako obwód tegoż nazwiska, liczy około 150,000 mieszkańców.

Miasto Salzburg, stolica tego obwodu, mało znaczące pod względem statystyczno-politycznym, bo ludność jego nie przenosi 14,000, lecz może najpiękniejsze, nietylko w górnej Austryi, ale w całych Niemczech, leży po obu brzegach rzeki Salzy, przez którą prowadzi most drewniany, na 370 stóp długi, a na 40 szeroki. Salza, przepływając między

górami Mnisią i Kapucyńską, tworzy wąską kotlinę, w którą miasto zdaje się jakby gwałtem wtłoczone. Niedalekie łomy marmurowe dostarczają w takiej obfitości przepyszny materiał budowlanego, że nawet progi i oprawy okien w prywatnych mieszkaniach są z czerwonego marmuru. Hojność arcybiskupów i zamożność obywateli miejscowych tyle w Salzburgu wzniosła gmachów, że słusznie to miasto nazwano *małym Rzymem*. Domy prawie wszystkie zbudowane w stylu włoskim, z płaskimi szczytami, przedstawiają zdziwionemu oku widok grodu, obleczonego w cały urok i bogactwo architektury południowej, pośród śnieżystych wierzchołków alpejskich.

Początki historyczne Salzburga sięgają czasów rzymskich. Tu stała Juvavia, zwana także Hadriana lub Retena. Religia chrześcijańska, szybko w tych stronach się krzewiąc, licznych też wywołała męczenników; święty Maksym z 50 towarzyszami poświęcił tu życie za wiarę; tu nauczał św. Seweryn, tu św. Rupert dźwignął zgębnioną ewangelią, a tam gdzie dziś stoi pałac zimowy, był niegdyś dworzec Karola Wielkiego. Patrząc na te szczątki starożytnych gmachów, na owe massy skaliste, w których wnętrzu ręka ludzka, jakby targając się przeciw naturze, ozdobne potworzyła siedliska, przypominamy sobie, jak pod wiekowym pastorału zarządem



Stahlschich v. Carl Mayer's Kunst-Anstalt in Nürnberg.

Salzburg.



zlewały się na tę ziemię dobrodziejstwa ojcowskiej opieki, jak z drugiej strony dowolność i ucisk niejednokrotnie nad nią zaciężyły. Widzimy ją w czasie późniejszym opromienioną światłem gieniuszu; widzimy w niej miejsce rodzinne Mozarta i Neukomm'a, kolébkę artystyczną Haydn'a i Webera. Zaprawdę, od czasu sekularyzacji Salzburg stracił ważność polityczną, lecz znaczenia estetycznego wieki nawet pozbawić go nie zdołają.

Otoczone murami i basztami, miasto Salzburg rozciąga się na powierzchni 119,800 stóp □ i jest stolicą arcybiskupa. Domy wewnętrznego miasta, wszystkie prawie piękne, na 3—4 piętr wysokie, lecz niekiedy zaledwo w połowie zamieszkane; na przedmieściach przeciwnie mniej wykwintu, ale zato więcej ludności. Ulice wąskie i kręte, a place szczupłe, lecz regularne, ozdobione po większej części wodotryskami, z których jeden, na placu zamkowym, jest może najpiękniejszym w Europie. Z zakładów publicznych Salzburg posiada: liceum z biblioteką obejmującą 36,000 tomów, ogród botaniczny i muzeum zoologiczne, gimnazjum, księgozbiór przy klasztorze św. Piotra liczący 40,000 tomów, czytelnię, teatr, trzy szpitale cywilne a jeden wojskowy, dom obłąkanych, dom podrzutków i t. p. Pomiedzy gmachami miejskimi odznacza się szczególnie kościół katedralny, z przepyszną fasadą z białego marmuru, którego wewnątrz zdobią obrazy znakomitej wartości. Dalej kościół św. Piotra, z pomnikami sławnego kompozytora niemieckiego Haydn'a i Staupiz'a, przyjaciela Lutra; kościół św. Małgorzaty, wystawiony w r. 1485; kościół św. Kajetana, wzniesiony w stylu włoskim przez Kacpra Zugalli z Monachium; kościół Benedyktynek, z wybornymi na szkłe malowidłami; nakoniec kościół św. Sebastjana, z pomnikiem głośnego Teofrasta Paracelsa (1) i słynnym cmentarzem. Z budowli świeckich zasługują na wzmiankę: zamek arcybiskupi, niebardzo symetryczny, lecz odznaczający się pięknymi rzeźbami; tak zwany nowy zamek, dziś miejsce posiedzeń władz rządowych; przed gmachem tym stoi odwach z wieżycą, obejmującą sławną harmonikę dzwonkową, na której utrzymanie

(1) Philippus Aureolus Theophrastus Paracelsus de Hohenheim, przezwany Bombastus, sławny w pierwszej połowie XVI wieku lekarz, alchimista i astrolog, a przytém niepospolity szarlatan, umarł w Salzburgu 23 września 1541 r., jak się zdaje śmiercią gwałtowną.

fundator, arcybiskup Jan Ernest, przeznaczył rocznie 12,000 złp.; dalej wspaniały pałac Mirabell, z rozległym parkiem, niegdyś letnie mieszkanie duchownych książąt Salzburga; koniusznia na 130 koni, z prawdziwie książęcym wystawiona przepychem, w której przeszła i żłoby są z białego marmuru, dziś obrócona na koszary kawaleryi; wreszcie ratusz, teatr, muzeum i kilka pałaców prywatnych. Znakomitą ozdobę miasta stanowi pomnik Mozarta, odkryty z wielką uroczystością d. 4 września 1842. Spizowa statua tego mistrza, odlana w Monachium według modelu Schwanthalera, stoi na placu św. Michała, gdzie ustąpić jój musiał miejsca brązowy posąg jakiegoś świętego, mimo głośnych protestacyj niższego duchowieństwa.

Wspomnieliśmy już wyżej, że strony te były niegdyś zamieszkane przez Rzymian. W liczbie wykopanych tu starożytności najznakomitsze miejsce zajmuje obraz mozaikowy, przedstawiający historią Tezeusza, znaleziony w r. 1815, a później przewieziony do Wiednia. Niemniej godną uwagi jest łaźnia rzymska, odkryta w dziedzińcu szpitala św. Jana. Po tych pierwszych wykopaliskach nastąpił szereg innych, nader ważnych pod względem archeologicznym, które teraz po większej części znajdują się w Monachium. Jeszcze r. 1837 napotkano ślady trupiarni rzymskiej, gdzie znaleziono urny, popielnice, lampy, łzawnice, żelazne monety, a mianowicie szkielet mężczyzny, który według wszelkiego prawdopodobieństwa żył w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej.

Malownicze położenie Salzburga najlepiej ocenić można, spoglądając z wysokości gór Mnisięj i Kapucyńskiej. Udawszy się na pierwszą, ujrzemy przed sobą rozległą panoramę, której granicę północno-wschodnią tworzy ściana góry Kapucyńskiej; miasto rozesłane pod naszymi stopami, a płaskie szczyty jego domów, ugrupowanych w półkole po tamtej stronie Salzy, zamek Mirabell i powabne wille rozrzucone po wzgórzach, przypominają Neapol; w końcu oko spoczywa na fortecy Hohensalza, obróconej dziś na więzienie. Przejdźmy teraz na tamtą stronę rzeki, i wstąpmy na górę Kapucyńską. Słońce chyli się ku zachodowi, a ostatnie promienie jego, ozłacając gór szczyty, żywy odblask rzucają na miasto, i nadają mu owę barwę południową, owę grę cudowną kolorów, która zachwyca podróżnego. Miła tu dokoła harmonia, na-

wet w niejednostajnych kształtach górzystych. Jasną, przejrzystą Salza wdzięcznie przez kwitnące wiję się lany. Rzecz można, że przyroda w tych stroinach łączy rzewność pełną powabu, z wspaniałością i poważną prostotą. Zestawienie nagości wyższej części gór, z bujną wegetacją niższej oraz równin, stanowi prawdziwe studium dla malarza krajobrazów. W którąkolwiek stronę przedsięwzięte wycieczki coraz nowe podają widoki, i tylko zgodne, harmonijne ich zespolenie, ujęcie w ramy jednego obrazu, stanowi zasługę artysty, przebieierającego w tak bogatym materyale. O kilka godzin dalej, znajdziemy się w strefie północnej, gdzie glezery lodowe zsuwają się zwolna ku dolinom, a wszelka roślinność obumiéra.

Z okolic Salzburga słynie pięknoscią zamek Hellbrunn, wystawiony w roku 1615. Ogród jego, w smaku staroświeckim, posiada liczne i kunsztowne wodotryski. Szczególny w swym rodzaju jest teatr obok zwierzyńca: scena, kulisy, miejsce dla orkiestry i galerya dla widzów, wszystko to w skałach wykute i otoczone lasem. Kilka przedstawień scenicznych, danych tutaj przy świetle pochodni, urocze sprawiać miało wrażenie. Rozkoszne także

jest położenie zamku Aigen, niegdyś własności księcia Ernesta Schwarzenberga, biskupa Raaby, ze sławnym na całe Niemcy parkiem angielskim. Ale nad dzieła sztuki wspanialszą jest piękność przyrody, nietkniętej ręką człowieka, nierozmierzonej pod cyrklem i sznurem. Lubownik téż dziewiczych jej powabów, nad wszystkie inne przeniesie wycieczkę na tak zwaną górę Niższą (Untersberg). Przy pomocy przewodnika podróżny w pięciu godzinach stanąć może na szczycie, odznaczonym piramidą kamienną. Ztamąd otwiera się widok cudowny na całą przestrzeń od lasów czeskich, aż do Monachium, którego wież dostrzedz można za użyciem dobrego przegładnika (1). Góra Niższa wznosi się na 5,515 stóp nad poziom morza. Niezliczone jej groty podziemne przez całe niemal lato przechowują masy śniegu i lodu. Po cyplach samotnych pasą się daniela, a dzikie kozy tu i owdzie lekkim rzutem przeskakują szczeliny i przepaści.

(1) Wyraz *przegładnik*, zamiast perspektywa, uważamy za właściwszy od utartego już nieco *dalekowidza*; *dalekowidz* bowiem oznacza raczej kogoś daleko widzącego, jak narzędzie, przez które się patrzy.

## WIELKOŚĆ I MAŁOŚĆ W PRZYRODZIE.

Człowiek za pomocą martwego rachunku chciałby panować nad światem; już bowiem nauka niemal wszystko okuła w niewolnicze więzy liczebne. Narzędziami swemi mierzy ona najdrobniejsze przedmioty, pyłki na skrzydłach motyla, atomy krwi naszej, niewidzialne skorupki krzemieni, chociażby na oznaczenie ich wielkości nie znalazła innej liczby, jak tysięczną linią cząsteczkę. Mierzy wysokości i głębie naszej ziemi i oblicza tysiące wieków, w których powstały pokłady jej powierzchni. Liczy ciała niebieskie, mierzy ich wielkość, ruch, oddalenie. Przez liczby ujmuje w karby życie i stosunek pierwiastków chemicznych, drgania światła i tony; nawet zamożność narodów, ich stan pod

względem zdrowia, sztuki i oświaty, umie ona podciągnąć pod rachunek.

Olsnieni tym ducha ludzkiego tryumfem, o bardzo ważnych częstokroć zapominamy względach. Zapominamy, że liczba nie zawsze staje się wyobrażeniem, że ona nie daje nam jeszcze dokładnego pojęcia o wielkości i małości. Liczby otrzymujemy za pomocą mierzenia; wszelkie zaś mierzenie jest tylko porównaniem z wiadomą jednością, czyli miarą. Im więcej takich jedności rozróżniamy, tém przedmiot mierzony wydaje nam się większym. Nawet oko nasze niezdolne jest objąć odrazu rozleglejszej przestrzeni; łukowym rzutem przebiega ono linią od jednego jej końca do drugiego, szu-



kając punktów spoczynku, których jeśli nie znajdzie, tuła się błędnie czas jakiś, i nareszcie, znużone, daje nam wyobrażenie *nieskończonej wielkości*. Przeciwnie, gdy oko dla drobności przedmiotu, nie może wykonać ruchu, przestaje również mierzyć, gubi pojęcie wielkości, i daje nam wyobrażenie *nieskończonej małości*. Któż kiedy nie doświadczył pierwszego, postępując drogą wysadzaną równiej wysokości drzewami, lub ulicą której domy, sposobem koszarowym, pod jedną miarę i na jeden sposób stawiane, albo spoglądając z wysokości na odmet wzgórzów zielonych lub nagich i potarganych skał? Któż nie przekonał się o drugim, zwracając oko na punkt pojedynczy, na pyłek czy iskierkę? Lecz skoro się oswoi z jednostajnością widoku i nauczy rozróżniać pojedyncze jego części, już wtedy zniknie wrażenie bezmiarowości; a gdy ów pyłek pod działaniem mikroskopu okaże się zbiorem organicznym, wtedy człowiek nauczy się podziwiać wielkość i w nieskończenie nawet małym.

Gdy sąd nasz o wielkości polega na mierzeniu, wtedy miara której używamy za jedność służy do jego wyrażenia. Dlatego człowiek, po wszystkie czasy i we wszystkich narodach, brał miary pierwiastkowe z własnego ciała, z rąk swoich, palców i nóg, jako najbliższe, najlepiej sobie znajome i nigdy zatraceniu uleż niemożące. Bo gdyby miara służąca do porównania kiedykolwiek została zagubioną, wtedy i liczby na nicby się nam nie przydały w wyobrażeniu naszym o wielkości.

Jeżeliśmy przywykli do małych rozmiarów, do pojęć drobiazgowych, wtenczas nowość każda tém silniej nas zajmuje. O tém zapewne przekonał się każdy, gdy z równin np. Mazowska przeniósł się w górzyste okolice krakowskie, lub z wioski rodzinnej wśród wrzawy rozległego miasta, albo gdy jednostajność wypadków dziejowych przerwie na chwilę burza polityczna. Zwolna jednak przywykamy do tych wymiarów powiększonych: widok gór niebotycznych i przepaści nie sprawia nam już zawrotu, przestajemy dziwić się wspaniałości stolicy, a wielkie postacie historyczne stopniowo w oczach naszych maleją.

Wszystko zatem jest wielkie i wszystko jest małe, stosownie do tego, czy uważać je będziemy w odosobnieniu, czy w porównaniu z innymi przedmiotami. Nieuzbrojone oko nasze nie spostrzega wymoczków; lecz kiedy w r. 1843, za pomocą 185

centnarów prochu, rozsadzono skałę Dowru, gdy 20 milionów centnarów gruzu wapiennego pokryły na 30 stóp wysokości przestrzeń 24 morgów, wtedy zdumiono się nad wielkością tych samych istot niedojrzanych, którym ta skała winną była swe istnienie, których dzieło człowiek nie inaczej zniszczyć zdołał, jak za użyciem najpotężniejszej z sił burzących. Z uczuciem mimowolnego podziwu i uwielbienia patrzymy na ogrom góry Chimborasso, co olbrzymie swe sklepienie skaliste na 20,000 stóp wznosi pod obłoki; a przecież czém ona jest w porównaniu do masy naszej ziemi? — ziarnkiem piasku na kuli bilardowej. Rzeka amazońska, przebiegająca przestrzeń 750 mil geograficznych, której cała powierzchnia obejmuje 90,000 mil kwadratowych, a ujście, 30 milową szerokością, zdaje się morze w morze przelęwać, wydaje nam się cudem, feniksem pomiędzy rzekami. Ale gdy rozważymy że w morzu mieści się  $4\frac{1}{2}$  miliony mil sześciennych wody, że wszystkie rzeki naszego globu musiałyby przez 40,000 lat bezustannie toczyć swe nurty, by zapełnić głębię oceanu, wtedy rozmiary jej karłowacieją i wielką już tylko widzimy w niej strugę. Mało zwykle zwracamy uwagi na sól w łonie morza zawartą, a jednak cała jej masa wynosi 150,000 mil sześciennych, czyli pięć razy bryłowość Alp naszych, a blisko  $\frac{2}{3}$  urwistego łańcucha Himalaja. Najobfitsze z naszych źródeł solnych, jakim jest źródło pod Minden, dostarczające w 24 godzinach 64,800 stóp sześciennych wody, musiałyby płynąć przez dwa miliony lat, by złożyć jedną tylko milę sześcienną soli! Pokład węgla kamiennego mający 44 stóp grubości wydaje nam się niewielki, lecz kiedy myśłą przebieżymy dzieje jego powstania, gdy sobie przypomnimy, że wśród najbujniejszej nawet vegetacji zwrotnikowej, utworzenie 9 calowej warstwy czarnoziemiu (humusu) wymaga blisko wieku, że warstwa ta, po ściśnieniu dopiero na  $\frac{1}{27}$  część swojej masy, nabiera gęstości węgla kamiennego, że przeto ów pokład jest dziełem 1,500 wieków, wtedy, przejęci poszanowaniem, podziwiamy wielkość przyrody w tak niepozornym nawet objawioną czynie. I małe zatem okaże się wielkiem, skoro je ocenimy w związku z przedmiotami otaczającemi, skoro nam się przedstawi jako utwór zbiorowy z mnóstwa szczegółów złożony.

Lubimy pomniejsze stosować miary, tam gdzie nam idzie o wystawienie czegoś wielkiem, lubimy kła-

mać samym sobie i drugim przez użycie szumnych cyfer. Lepiej brzmi jakoś gdy powiemy 50 mil angielskich, niż 10 mil geograficznych. Godzina wyda się długą, jeśli ją na 86,400 rozłożymy sekund. Silniej uderza wyobraźnię kapitał 10,000 franków, jak 400 funt. sterl.

Lecz gdzie nie zależy nam bynajmniej na omamieniu pojęcia, gdzie pragniemy mieć jasne o wielkości wyobrażenie, tam owszem staramy się upośredniczyć liczby, przyjmując za miarę coraz większe jednostki. Lecz miary te powinny być jak najprostsze, dla rozumu naszego przystępne. Niejeden zapewne miał sposobność przekonania się, jak trudno jest wskazać odległości, których się nie przebyło samemu. Gdy go naprzykład zapytamy jak daleko z pewnego miejsca do Londynu lub Madrytu, to jeśli szkolne wspomnienia żywo bardzo nie utkwily mu w głowie, najczęściej tém sobie poradzi, że odległość żądaną porówna, na mappie lub w myśli, z innemi które dokładnie pamięta. Podobnie postępuje badacz zgłębiający niezmiernie światów przestwory. Rozgościwszy się zwolna w najbliższym sobie systemie planetarnym, przywykł on oddalenie ziemi od słońca uważać za wiadome, za wchodzące już w zakres jego pojęć. Jak wieśniak, którego mało obchodzi odległości, wie przecież jak daleko do sąsiedniego miasta, chociażby nigdy w niem nie był, tak i mieszkaniec ziemi pamięta doskonale, że 21 milionów mil rozłącza go od słońca. Jako zaś tamtemu wiadomo, że dobrym krokiem idzie się do miasta tyle a tyle godzin, tak temu, że szybko bieżące światło przebywa drogę od słońca w ośmiu minutach. Badaczowi przeto nie idzie o to, czy umie sobie wyobrazić owę odległość miliony mil wynoszącą, bo już ją przyjął za jednostkę; nie idzie mu o to, czy zdoła zmierzyć bryłowatość ziemi, wynoszącą 2,650 mil sześciennych, lub zważyć jej ciężar, obliczony na  $13\frac{1}{2}$  kwadrylionów funtów, bo za pomocą tych danych przywykł już mierzyć i ważyć planety sąsiednie. Zamienia sobie w myśli ziemię na ziarnko wyki, i stawia ją na 63 kroków od słońca, któremu daje 14 cali średnicy; na 329 kroków umieszcza Jowisza, na 616 Saturna, na 2,500 ostatnią z planet znajomych, i widzi krążące komety w dwumilowej odległości. Lecz kiedy lot ducha jego dosięgnie gwiazd stałych, już wtedy i ta skala, choć nieskończenie zmniejszona, podaje mu krocie i miliony, których właśnie unika.

Szuka więc nowój jednostki, i znajduje ją w drodze jaką światło odbywa w ciągu roku. Ten rok świetlany, obejmujący 63,000 odległości ziemi od słońca, czyli 1,300,000,000,000 mil, jest wprawdzie miarą urojoną, ale podaje rozumowi możliwość tworzenia liczb bardziej jeszcze uproszczonych. Człowiek przykłada ją do przestworu gwiazd stałych, i mierząc drogę mlęczną od krańca jej do krańca, znajduje 8,000 jednostki. Dochodzi nareszcie do owych tysięcy plam mglistych w głębi firmamentu; i znów odległości wzrastają na miliony lat świetlnych. Lecz wyobraźnia badacza i temu jeszcze zaradza, zamieniając te systemy olbrzymie na punkciki, i używając ich do mierzenia, jak stopy lub mile. Czém zrazu był system planetarny, tém został kolejno system gwiazd stałych i świat marzeń tylko dostępny, świat mglisty. Takim sposobem otrzymujemy wyobrażenie o rozciągłości wszechświata w liczbach prostych, chociaż nad wszelkie pojęcie streszczonych.

Opowiadają, że w mowie pierwotnych Nowej Holandyi mieszkańców niemasz wyrazu na oznaczenie liczby wyższej od siedmiu; wszystko co przekracza jej obręb, jest u nich „niezmiernie wielkie.“ U nas liczy się wprawdzie na tysiące i miliony; ale uderzmy się w piersi i wyznajmy, że częstokroć te liczby są tylko brzmiącym frazesem. I nasze pojęcie ma swoje granice, poza któremi oznaczona nawet liczba nieokreślona staje się ilością. O ile codzienne użycie otrząsało nas z wyobrażeniem summ wielkich, o tyle dane, jak 100,000 talarów lub stóp, mają swoje znaczenie. Lecz tam, gdzieśmy nigdy sami nie liczyli, ani liczyć nie byli w możliwości, zastawiamy się chętnie ogromnemi cyframi, o których znaczeniu rzeczywistego nieraz nie mamy nawet pojęcia. Gdybyśmy np. zapytali czytelnika, ile gwiazd widzi na bezchmurném niebios sklepieniu, to odpowiedziałby niezawodnie: miliony! A gdybyśmy na to odrzekli, że najlepsze oko nieuzbrojone na całej półkuli północnej nie dostrzeże ich więcej jak 2,342, to możeby nie uwierzył, gdybyśmy na dowód nie rozłożyli przed nim mapy, i nie wymienili mu wszystkich gwiazd gołym okiem widzialnych, od pierwszej do szóstej ich wielkości.

W podobném położeniu znajdowaliśmy się niedawno, kiedyśmy w artykule: „Dzieła człowieka i dzieła przyrody“ obliczyli ilość materyałów budowla-

nych od początku świata przez człowieka nagromadzonych. Gdybyśmy byli, przed jego rozwiązaniem, podali to zapytanie czytelnikowi, byłby najpewniej odpowiedział owym wyrażeniem nowoholenderskiem: „Niezmiernie wiele.“ *Jak* wiele zaś, nie śmiałby i nie umiał powiedzieć, bo nigdy o tym przedmiocie przybliżonego nawet nie wyrobił sobie pojęcia. Kiedyśmy następnie sami podjęli rzucone zagadnienie i wykazali, że wszystkie dzieła człowieka, od 6,000 lat wzniesione, mają zaledwo milę sześcienną bryłowatości, wtedy niejedyn zapewne z czytelników naszych niedowierzająco potrząsnął głową. Jaki taki wziął się może do rachunku, i otóż znów obliczenie nasze wydało mu się za wielkie.

Jakiż jest powód tej sprzeczności? Zapewne nie inny tylko ten, że nie miano dokładnego wyobrażenia o znaczeniu mili sześciennój. Na określenie wielkiej rzeczy, wielkiej też spodziewano się liczby, a myśmy podali jedność. Lepiej bez wątpienia byłoby brzmiało, gdybyśmy zamiast prostego wyrażenia *mila sześcienna*, położyli byli 13,824,000 milionów stóp sześciennych. Można było także, za pomocą porównania z wiadomemi już miarami, uzmysłwić pojęcie przedmiotu. Mogliśmy byli powiedzieć: wystawcie sobie wszystkie budowle od 6,000 lat przez człowieka wzniesione na płaszczyźnie 24,000 mil  $\square$ , czyli mniej więcej na powierzchni Francji i Niemiec, a gruzy ich pokryłyby tę przestrzeń na jedną stopę wysokości. Takie określenie niezawodnie bardziejby czytelników zadowoliło. Inaczej jeszcze można było powiedzieć: rozpostrzyjcie olbrzymie Pireneów grzbiety po całej Francji, a podniesiecie ją na 108 stóp co najwięcej; zwaliska zaś pracy ludzkiej, na tej samej rozsypane przestrzeni, dałyby podwyższenie  $2\frac{1}{2}$  stopy; wyrównywają ony przeto 44 części jednego z najpotężniejszych łańcuchów górzystych. To byłoby może czytelników zdumiało. Lecz od woli naszej zależało podnieść ich zdumienie do wysokości niedowierzania przytoczeniem, równie prawdziwym jak poprzednie, bo opartem na rachubie, że z gruzów budowli ludzkich możnaby napiętrzyć 270 gór objętości Wezuwiusza. Miasto tych szumnych orzeczeń, użyliśmy skromnego wyrażenia „mila sześcienna,“ zniszczyliśmy przeto urok niezwykłości, i to, co rzeczywiście jest wielkiem, wydało się malém. Tak bywa zawsze, ilekroć człowiek sto-

suje miary leżące poza obrębem utartych już wyobrażeń swoich.

Liczby nie są czém inném, tylko wypadkiem rachunkowym. Wzywamy czytelnika by wespół z nami obliczył i zmierzył pomniki 6-wiekowej pracy człowieka. Na ziemi żyje teraz około tysiąca milionów ludzi, z których mniejsza część tylko stałe zamieszkuje siedziby. Przyjmijmy więc, że od początku świata 300 milionów indywiduów zajmowało się budowaniem; jestto zasada, przynajmniej w starożytności, niezawodnie wygórowana. W Petersburgu na jeden dom wypada w przecięciu 57, w Paryżu 28, w mniejszych miastach 11-12 osób; w przybliżeniu zatem na jeden dom liczymy 10 mieszkańców. Niech każdy dom taki w przecięciu ma 50 stóp długości, 30 szerokości i tyleż wysokości, niech obejmuje dwa piętra; każde o sześciu pokojach, niech będzie murowany, a ściany jego zewnętrzne niech mają stopę, wewnętrzne  $\frac{1}{2}$  stopy grubości, to bryłowatość jego wyniesie 8,700 stóp sześciennych. Trzysta milionów przeto ludzi reprezentować będzie 261,000 milionów stóp sześciennych materiału budowlanego. Przypuśćmy teraz, że te budowle co 120 lat ulegają zniszczeniu, że gruzy ich pozostają nietknięte, to w ciągu 6,000 lat otrzymamy 13,050,000 milionów stóp sześciennych, czyli niespełna jedną milę sześcienną.

Niewieleby nam zresztą pomogło, gdybyśmy nawet tę liczbę, i tak już przesadzoną, podwoili; ogół czytających nasz artykuł niemniej przeto pozostałby niezadowolonym. Przyczyny tego szukać należy w obrażonej dumie człowieka, który mniema iż rodzaj jego posiada władzę przeistoczenia całej ziemi; w upokorzeniu, jakie zawsze wywołuje uczucie własnej niemocy. Przywykliśmy według wielkości tworu oceniać siłę tworzącą; zmysłową naturę naszą uderza wielkość fizyczna; podziwiamy lub czcimy to, co silnie na zewnątrz się objawia, a zapominamy o roli jaką czas w każdej czynności odegrywa, czas, który najdrobniejszym usiłowaniom ogromne częstokroć nadaje rozwinięcie. Gdy morze burzą zakipi, gdy wrą dokoła i huczą nurty wodospadu, wtedy zdumiewa nas siła żywiołu; a przecież nierównie potężniejszej potrzeba było dźwigni, na wzniesienie tej wody w kształcie pary pod cłoki, tylko że to działanie nastąpiło stopniowo, niepostrzeżenie. Gdy pod stopami naszymi zatrząsie się ziemia, człowiek przejęty trwogą chroni

się przed wybuchem zagniewanej przyrody; a jednak na brzegach Szwecyi, wznoszących się od wieków, lecz zwolna, coraz wyżej nad powierzchnią oceanu, cały naród żyje swobodnie, oddany pracy i przemysłowi. Podziwiamy olbrzymie ciała wielorybów i słoni, okazałe pnie boababów, cisów i dębów, a gardzimy małemi polipami, niewidzialnemi wymoczkami; tamte giną bez śladu, te całe góry i wyspy zostawiają nam w puściznie.

Prawdziwój przeto wielkości nie szukajmy w fizycznych dzieła rozmiarach, lecz w sile która ta-

kowe, nagle czy stopniowo, stworzyła. Rzeczy zmysłowe mogą być mierzone według czasu i przestrzeni, duchowe w duchu tylko znajdują ocenienie. Gdyby człowiek nie miał wyższego zadania jak polip lub wymoczek, to małość dzieł własnych słuszenieby go wstydzila. Niechże więc wielkość istotną zakłada na czynach chrześcijańskich, a niech zapyta sumienia, czy może się szczycić udziałem w budowie gmachu poświęcenia i miłości.

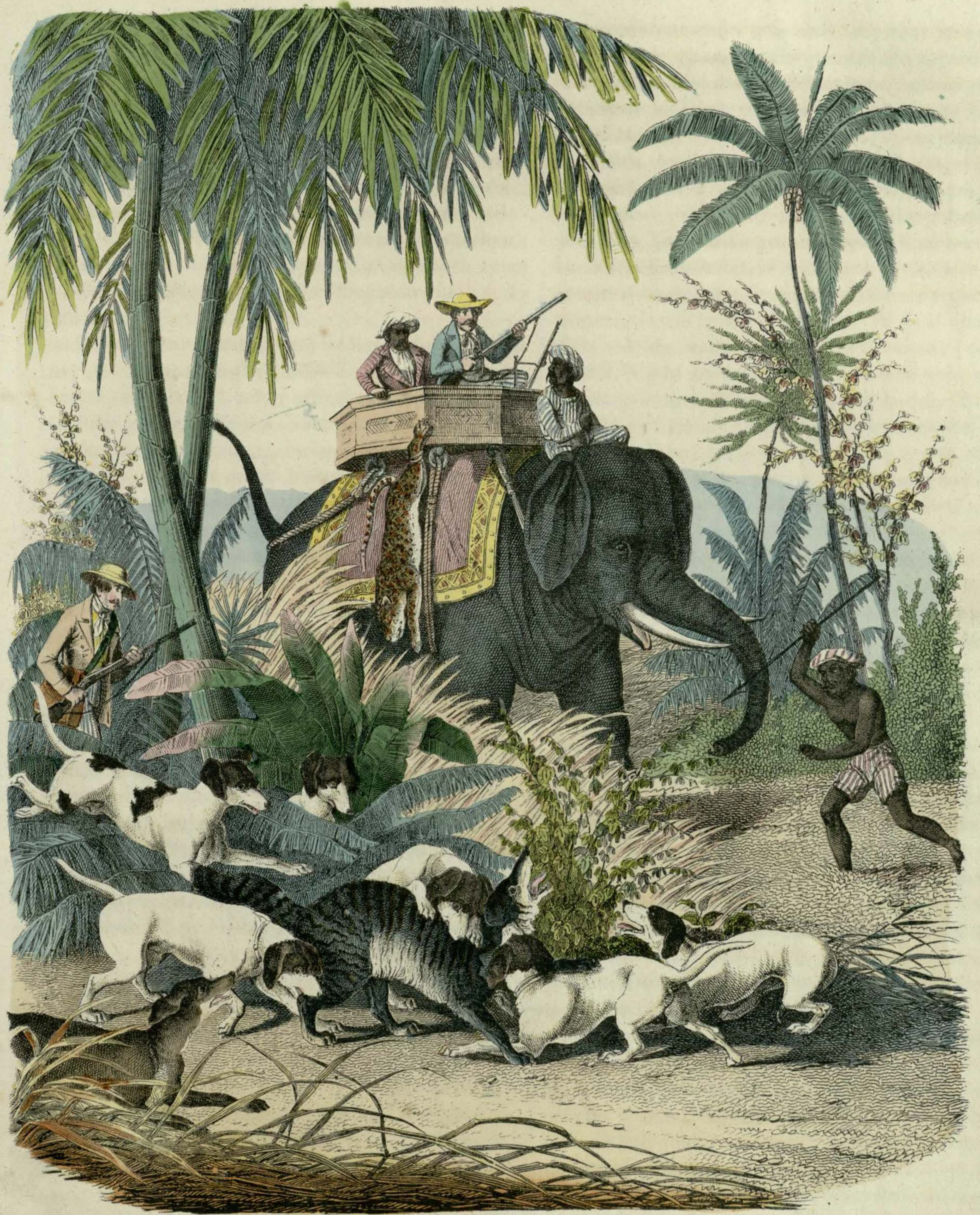
J.

## W I W E R A.

*Wiwera* albo *Lasza*, po łacinie *Viverra*, po francuzku *Civette*, po niemiecku *Zibeththier* lub *Zibethkatze*, jest rodzajowe nazwisko owych zwierząt ssących, chodzących jak koty na palcach, a z ukształcenia i obyczajów policzonych między drapieżne. Takimi są rzeczywiście wszystkie gatunki rodzaju *wiwera*, pokazuje to skład ich ciała; mają bowiem zębów przednich w obu szczękach po sześć, równych, równo-ostrych i prosto ustawionych; klów dość długich ostrokończystych po jednym u dołu i u góry z obydwóch stron; zębów trzonowych, także w obu szczękach, u dołu i w górze po sześć, razem wszystkich zębów czterdzieści sześć, z którejto liczby i ukształcenia większej ich części sądzić można, nawet nie widząc reszty zwierzęcia, że musimić skłonności drapieżne. Takiemu układowi głównych narzędzi pokarmowych odpowiada ukształcenie innych części zwierzęcia. Obdłużna głowa kończy się ostro zbiegającym pyskiem, z szeroko otwartemi nozdrzami; język szorstki, kościanemi, ostremi brodawkami najeżony; konchy uchove zaokrąglone; źrenice ściągają się w wąskie, poprzeczne linie, co już zapowiada zdolność u tych zwierząt do widzenia w nocy; nogi wszystkie cztery niemal równo wysokie, pięcią wolnemi, naprzód obróconemi palcami zakończone; pazury łukowate, wpółwsuwalne; ogon przedłużony, gęsto włosami pokryty; między otworem odchodowym a częścią-

mi płciowemi woreczek tłuszczowy, wyraźny, mniej więcej głęboki, a w nim, u większej liczby gatunków, zbiera się ciecz tłusta, mocno piżmem woniąca, dla której, jak o tém niżej powiemy, pewne gatunki *wiwery* dawniej wysoko były cenione. Zresztą, jak prawie wszystkie zwierzęta drapieżne, *wiwery* mają ciało wysmukłe, długie, chód na palcach, lekki, cichy, zwinny, poruszenia zręczne, szybkie; łążą po drzewach łatwo, jak kuny lub *wiewiórki*, i żywią się mniejszemi od siebie zwierzętami, na które najwięcej w nocy polują, znienacka, zdradziecko je napadając.

Kilka gatunków rodzaj ten składających rozrzucone są po różnych stronach dawnego świata, tak, iż każda część ziemi ma sobie właściwe odmiany. U niektórych autorów nazwisko *zibetha* i *civetta* do tegoż samego stosowane bywają gatunku, kiedy właściwie oznaczają ony dwa oddzielne gatunki, wprawdzie bardzo do siebie podobne, ale jednakże różne. *Wiwera cyweta* (*civette* po francuzku) mieszkanka najgorętszych krajów Afryki, żyje szczególnie w Abissynii, w Gwinei, Kongo i t. d.; *zybety* zaś ojczyzną są Indye Wschodnie. Wszystkie gatunki pokryte są gęstą, porządne futro stanowiącą sierścią, różniąc się tylko jej barwą i długością. *Cyweta* kształtem podobna jest do *lisa* pospolitego, ale ciało jej stosunkowo dłuższe, i na nogach mniej wysokie. Na tle ogólnie czarném ma





pręgi poprzeczne wąskie, jedne względem drugich równoległe idące, szersze na bokach ciała i na udach, a niekiedy tak zbliżone i zwinięte, iż tworzą plamy oczkowate: na ogonie do dwóch trzecich części cztery obrączki brunatne, reszta całkiem czarna; szyja spodem biała, czarno pręgowana. Cywety są zwierzęta okrutne, drapieżne, mięsa chciwe; lubią wychodzić w nocy na łowy mniejszych zwierząt ssących i ptaków. Przebywają w okolicach piaszczystych lub na górach; w ludniejszych żyjąc okolicach, rade, zwyczajem lisa, zakradać się do kurników.

Wystawiony na załączonej tablicy gatunek przez psy gończe opanowany, jest *wiwera zybeta* lub *zybuczek* (vi. zibetta), różny od poprzedzającego tém, że lubo jest w ogólności siwo-popielaty, mniej jednak ma na sobie pręg, a więcej plam czarno-brunatnych. Ogon w części biały, reszta ku nasadzie czarno obrączkowana. Pysk ostro-kończysty, prawie trójkątny; przez grzbiet idzie wzdłuż czarna pręga; podgardle białe, z dwiema czarnymi pręgami po bokach. Oczy jego w nocy świecą się, a w dzień prawie zawsze są zamknięte, podobnie jak u kota. W ogólności zwierzę to, kształtem i obyczajami, przypomina kota lub kunę. Poniżej otworu odchodowego zybeta ma woreczek dwu-komórkowy, w który z właściwych gruczołów sączy się i zbiera ciecz tłusta, piżmem mocno woniejąca, za świeża koloru jasnego, potem do brunatnego zbliżona, nazwana *piżmem zybuczkiem*. Płyn ten, któremu przypisują własność działania na nerwy, uśmierzenia kurczów i wzbudzania potów, dawniej w wysokiej był cenie. Oprócz na lekarstwo, używano go do roboty pachnidła, przechowywano w sukniach i t. p. Dlatego sprowadzano go z Egiptu przez Aleksandryę do Europy, mianowicie do Wenecyi, a w krajach gdzie żyje zybuczek zbierano tłuszcz jego po kamieniach, po pniach i t. p. przedmiotach, o które się to zwierzę ociera. Kupcy, mianowicie holendercy, celem pozyskania tej tłustości, chowali po kilkaset zybuczków w klatkach, żywiąc je drobnymi zwierzętami i ptastwem; dla ułatwienia zaś podbioru tłuszczu, każde zwierzątko miało tylną część ciała przewiązaną sznurkiem, którego długi koniec wychodził za klatkę, aby w potrzebie podbierający mógł zwierzę do małego otworu klatki tylną częścią ciała przyciągnąć i małą łyżeczką tłuszcz odebrać. Do tej czynno-

ści przystępowano dwa lub trzy razy na tydzień. Podebraną ciecz, dopóki jeszcze nie zgęstła, czyszczono, potem na słońcu suszono, i w małych oliwianych słoikach zachowywano. Użyty w małej ilości tłuszcz zybuczki ma dość przyjemną woń piżmową, w większej zaś ten zapach staje się nieprzyjemnym, a dla niektórych nieznośnym, odurzającym. Psy, skoro choć odrobinę połkną tego tłuszczu, koniecznie go napowrót oddać muszą.

Wschodnio-indyjski zybuczek żyje w krajach z tej i z tamtej strony Gangesu, na wyspach Sumatrze, Jawie i na Filipinach. W swój ojczyźnie liczy się do najszkodniejszych zwierząt drapieżnych. Nigdy go we dzień na otwartym polu nie dostrzeże; w nocy tylko na łowy wychodzi. Jest tak drapieżny i śmiały, iż żadnego nie oszczędzi zwierzęcia, byle mu tylko podobał; dusi, gryzie, nietylko dla zaspokojenia głodu, ale i przez złośliwość. Szczególniej jest niebezpieczny dla prosiąt, jagniąt i ptastwa domowego. Do wielkiej drapieżności łączy żarłoczność wilka, zręczność kota i chytrą zmyślność lisa. Głos jego ma być chrapliwy, a w gniewie podobny do wycia i skomlenia psa.

Jak opisany wyżej gatunek afrykański lubi okolice suche, piaszczyste, górzyste, tak przeciwnie azyatycki żyje szczególniej w miejscach błotnistych, w gęstych zaroślach, nad brzegami rzek, gdzie przez dzień się ukrywa. W swych łownych wycieczkach jest tak przezorny, tak zmyślny i ostrożny, iż nigdy go złapać na uczynku nie można; ztąd szkody przezeń zrażone przypisują najczęściej szakalom, wilkom i innym drapieżnym zwierzętom. Lubo nie jest większy od naszego lisa pospolitego, znacznej jednak wagi zdobycze unosi lub zawleka, a ponieważ bardzo zręcznie na drzewa wlaźć umie, przeto, ukryty w ich pniach wypróchniałych, nielatwo przez myśliwych może być wysledzonym.

Ukąszenie jego jest bardzo mocne i głębokie, a przytém w muszkulach szczękowych taką ma siłę, iż częstokroć ścigającym go psom gończym za jednym cięciem nogi gruchocze i ugryza. Dzielnie też zawsze z niemi walczy, a gdy przez kilku, jak wyobraża załączona tu rycina, zostanie napadnięty, wtedy żwawo i zwinnie na wszystkie strony się odcina. Inne zwierzęta drapieżne, jak np. szakale, lisy, czasem nawet wilki, rzucają zdobycz gdy są ścigane, byle same uszły cało. Nie tak wiwera azya-

tycka; zwierzę to bowiem, czy łakomsze od innych, czy bardziej w swęj sile zaufane, trzyma swą zdobycz nietylko w ucieczce, ale nawet ranione jeszcze puścić jęj nie chce. Obrawszy sobie bezpieczne schronienie, statecznie dąży do niego z upolowaną zwierzyną, i tam ją dopięro spożywa. Ztądto przy jego kryjówce kupami kości różnych zwierząt znajdują.

Polowanie jednak w tym rodzaju, jak przedstawia rycina, nie bywa przedsiębranęm wyłącznie na zybuchów, gdyż w taki sposób wyprawiają się na łowy wschodnio-indyjscy Anglicy, czy to się zdarzą szakale, wilki, tygrysy, czy inne pomniejsze zwierzęta. Tym razem naganiacz ze psami wypłoszył zybuchka, którego wiatr właściwe, a przykre zawsze, na psach myśliwskich sprawia wrażenie. Goniąc za wiatrem inne zwierzę, gdy wpadną na ślad wiwery, poczuwszy woń jęj mieszają się, tracą wiatr zwierza które ścigały, zatrzymują się, i nie zważając na głos myśliwych, na przywoływanie ich w inną stronę, rozdrażnione przykrą dla nich wonią zybuchka, uporczywie nacierają na jego kryjówkę, szczekając, dopóki ich nie odpędzi mocnęm pokąsaniem; zraniony dopięro pies gończy traci zwykle odwagę do dalszęj napaści. Ztąd szakal lub inne zwierzę, zdążywszy do kryjówki zybuchka, prawie zawsze bezpieczne znajduje w nięj schronienie; skoro bowiem psy poczują woń tego zwierzęcia, zwłaszcza gdy miały już kiedy z nim spotkanie, przestają ścigać i zwracają się. Wiatr zybuchka tak mocno działa na węch psów, choćby najlepszych, iż po jego napotkaniu przez cały dzień zwierzyny zwietrzyć nie mogą, i stają się niezdadne do dalszego polowania.

Znajdujemy inne jeszcze zwierzęta, które z wymienionemi wyżęj gatunkami mają podobieństwo.

Z tych godne są wzmianki *ženetnice* (vi. genetta), przez niektórych za podrodzaj wiwery uważane. Żenetnic liczą kilka gatunków; podobne ony są do wiwery postacią ciała, liczbą zębów i obyczajami; różnią się jednak tęm, że ich woreczek tłuszczowy jest pojedynczy, prosty, kiedy u wiwery składa się z dwóch wyraźnych torebek, a nadto pazury ženetnic całe ściągają się i chować mogą w skóre, podobnie jak u kotów, i źrenice ich oczu są pionowe. Gatunek ten również należy do dawnego świata, a szczególnięj do Afryki i Azji. *Żenetnica pospolita* (genetta vulgaris, lub vi. genetta), mieszka właściwie w Afryce, podobno i w Azji, lecz zdarza się także w południowych krajach Europy, mianowicie w Hiszpanii, Francyi, we Włoszech i w Grecyi. Gatunek żyjący na wyspie Madagaskar (g. fossa lub vi. fossa), obyczajami podobny jest do lasicy; jęj wprawdzie i mięso, przeciwnie jednak naturze większęj liczby tego rodzaju zwierząt, nad wszelki pokarm przekłada owoce, a szczególnięj banany. *Żenetnica pantera* (vi. pardalis), tęm osobliwa w swęj maści, że zamiast pełnych plam okrągłych lub podługowatych, jakie widzięć się dają na innych gatunkach, ma plamy obrączkowe, częm zbliża się do pantery. Zwierzę to mało jeszcze co do obyczajów poznane, dwie i pół stopy długie, sprowadzone zostało z Senegalu do Europy. Dopóki je wolno w pokoju zostawiano, okazywało się łagodnęm; nawet obce osoby mogły się go bez obawy dotykać, brać na ręce, podnosić, i chyba wtedy tylko usiłowało z rąk się wydobyć, gdy chciało wleźć komu na ramię. Skoro zaś oddane zostało do menażeryi w Paryżu i w klatce zamknięte, przybrało charakter tak złośliwy, iż kąsało zbliżających się do klatki, z wyjątkiem tylko swych dozorców, dla których nie przestało być powolnęm.

L.

## K S I Ę Ż Y C,

### JEGO POWIERZCHNIA, MIESZKAŃCY I WPLYW NA ZIEMSKIE STOSUNKI.

#### I.

Spotkawszy się z podróżnym, co z dalekich powraca krajów, wypyujemy go ciekawie o cuda ja-

kie oglądał. Ztąd prosty wniosek, że astronomia, którego dociekania zupełnie się oddalają od ście-



żek życia powszedniego, który zmierzył przestrzenie nieba, zbadał kształt i przyrodę planet i wskazał odwieczne prawa ich bytu, należałoby słuchać z nierównie większym jeszcze zajęciem, z gorączkową nawet niecierpliwością. Tymczasem dzieje się przeciwnie: ogół nie troszczy się bynajmniej o odkrycia astronomiczne, mówiąc że ich nie rozumie, zastawiając się tym ogólnikiem, że opisy krajów, zwierząt i roślin, choćby zupełnie nieznanych, więcej przecież do pojęcia jego są zbliżone, niżeli szlaki gwiazdzistego namiotu, w niedościgłej rozpiętego wysokości, po których od dzieciństwa przywykł toczyć tylko wzrokiem przelotnej ciekawości, lub co najwyżej, nieświadomego siebie uwielbienia.

Dziwna to zaprawdę obojętność! bo czyliż ciała niebieskie, przez wzajemne na siebie i na ziemię działanie, nie zostają w równie bliskim, a może i bliższym do nas stosunku, jak płody odległych części naszego globu? Czyliż one nie łączą się ściśle z naszym bytem, nie krewnią z naszą myślą? Nie cudowność téż świata niebieskiego odtrąca ogół od jego zbadania, gdyż człowiek owszem rad się ubiega za cudownością, lecz mózół i zawikłanie prowadzącej doń nauki. Wzywamy więc czytelników do odbycia, pod przewodem naszym, wycieczki astronomicznej, przyrzekając że ubitym powiędziemy ich torem. Celem jej będzie na ten raz księżyc, ów nieodstępny ziemi naszej towarzysz, a wykład, dla niewtajemniczonych nawet choćby w pierwiastki astronomii, zupełnie zrozumiały.

Postawmy się w położeniu, jak gdybyśmy żeglując po niezmiernym oceanie, rzuceni zostali na nieznaną sobie wyspę. Przebyliśmy odległość 50,000 mil geograficznych i przybijamy do świata niewiększego od Ameryki; obwód jego równa się mniej więcej długości Azyi, powierzchnia bowiem księżyca jest przeszło trzynastą raz mniejszą od powierzchni naszej ziemi. Rzućmy teraz okiem na rozłożony przed sobą krajobraz, którego urozmaicenia domyślaliśmy się już nieraz, w czasie pełni księżyca, po ciemnych i światłych plamach na tarczy jego rozsianych.

Wchodzimy oto w górzystą okolicę. Jakże tu wszystko obce i dziwaczne! Jakaż różnica od naszych Alp szwajcarskich, z wyczubionymi szczytami, o rozległym grzbiecie, przeplatanych rozkosznymi dolinami, od olbrzymich nawet Kordyllerów, co

w świętych prostopadle stopniach piętrzą się wsporniale, i dumnie-sklepioną czaszką sięgają pod obłoki! Na księżycu widzimy koliste wały, otaczające głębokie przepaści, od 2—10 mil średnicy; indziej znów wały przerywane, rozległą obejmują płaszczyznę. Pierwsze nazwiemy górokęgami, drugie równinami wałowemi. Najmniejsze z górokęgów, dla podobieństwa swego do odpowiednich kształtów ziemskich, noszą miano kraterów. Przypadkowe to zbliżenie nazwy i formy nie upoważnia nas wszakże do wyprowadzenia bezzasadnych wniosków; na księżycu niemasz wulkanów, a dostrzeżone przez Herschla świetne punkciki, sąto wierzchołki gór najwyższych, połyskujące w promieniach słonecznych.

Udajmy się naprzód do jednej z owych równin wałowych, z których największa rozciąga się w stronie południowo-zachodniej księżyca. Należą one niezawodnie do najdawniejszych formacji księżycowych: w ich wałach widać krater, wyłomy, długie, przepaścisto-zagłębione wąwozy, a wpośrodku rozrzucone wzgórza, grzbiety górzyste i bankowate wydęcia.

W kolei zamierzonego przeglądu przypatrzmy się teraz jednemu z górokęgów. Astronomowie naliczyli ich przeszło tysiąc, a w niektórych okolicach księżycowych mieszczą się one tak gęsto, iż tworzą jakby tkankę komórkowatą. Wały ich, jednostajnej prawie wysokości, zniżają się amfiteatralnie ku środkowi i na zewnątrz. We wnętrzu tych górokęgów stoi zwykle odosobniona góra centralna, niedochodząca jednak nigdy wysokości okrążających ją wałów.

Nierównie liczniejsze jeszcze są krater, których zwyczajny już teleskop pokazuje do dwudziestu tysięcy. Czeluście ich, niezmierniej głębokości, widzimy w kształcie plam ciemnych, powierzchnię księżyca dziurkowato przesiewających. Niektóre wszakże na pełni świetnym odznaczają się połyskiem, bo promienie słońca, w ich wklęsłościach zestrzelone, odbijają się ztamtąd jak od zwierciadła optycznego.

Lecz najdziwniejszą formacją księżyca niezapreczenie są szczeliny, przerzynające w prostym niemal kierunku płaszczyzny, góry i krater. W czasie pełni przedstawiają one wąskie linie świetlane, w kwadrach odrzynają się wyraźnie w kształcie czarnych pręgów; muszą więc mieć co najmniej po

kilka tysięcy stóp szerokości. Nie posiadamy nic podobnego na ziemi, bo nawet straszne rozpadliny gór Texas'u nikną obok takich rozmiarów. Dopóki uczonych naszych trawiła gorączka wynajdywania podobieństw między ziemią a księżycem, dopóki w ciemnych plamach ostatniego widziano morza, w jaśniejszych lądy stałe, dopóty i w tych szczelinach upatrywano już wielkie rzeki, już sztuczne kanały lub gościńce. Byłyto marzenia, których bezzasadności dowodzi zdrowy rozsądek; i rzeczywiście ten tylko śnić może o kanałach i drogach bitych na księżycu, kto mniema widzieć na nim miasta, warownie i domy.

Jakżeż ogromne musiały być wstrząśnienia, co na powierzchni księżyca potworzyły owe góry olbrzymie, na 26,000 stóp wysokie, owe wały koliste, owe wklęsłości i szczeliny! Jak drobne przy nich wydają się rewolucye naszej ziemi, której najpotężniejsze wulkany nie mogą się równać z najmniejszym nawet kraterem księżycowym! Jednostajnie okrągłe kształty wszystkich wyniosłości na księżycu nasuwają nam przypuszczenie, że wszystkie też z jednej powstać musiały przyczyny. Zdaje się iż masa składowa tego ciała niebieskiego była kiedyś płynną, że w łonie jej, przed skrzepnięciem, wywiązały się siły chemiczne i sprawiły wybuchy, może na podobieństwo jak kiedy w kisielu cięście wydymają się bańki, a pękając zostawiają wklęsłość z podniesionym nieco brzegiem.

Takich procesów kilka musiało nastąpić po sobie, a ztąd powstały górokregi, równiny wałowe, krater i tym podobne formacje. Krzepnąca już skorupa zaczęła się wreszcie rozsychać, a tak potworzyły się szczeliny. I otóż człowiek, mieszkaniec ziemi, ma już gotową teorią fizycznego rozwoju księżyca, na którym nigdy stopa jego nie postąpiła, zmierzył jego góry i ułożył karty księżycowe.

Niedosyć jednak na tém: mając wykończoną kartę, potrzeba było wymyślić nazwy dla różnych jej punktów. Dawniej obierano w tym celu nazwiska znakomitych filozofów; nowsi jednak badacze korzystali z następczącej się sposobności, dla obdarzenia najslawniejszych astronomów, których udziałem tak często bywały gorzkie zawody, dobrami choć na księżycu. Tak Keppler, za życia narodził się głodu, posiada teraz jeden z najświetniejszych górokregów, a Tycho, Kopernik, Hipparch i Albategnius sąsiadują z nim, bez względu na system, rodowość i wyznanie. Nawet Humboldt ma już donacyą na księżycu.

Rzućmy raz jeszcze wzrokiem na powierzchnię księżyca i zadajmy sobie pytanie, z kąd pochodzi ciemność i światłość różnych jego części. Nie podlega wątpliwości, że za jedyną zjawiska tego przyczynę uważać należy zmienność gruntu. Ciemniejsze miejsca każą się domyślać gruntu lekkiego, jaśniejsze przeciwnie powierzchni twardej, zdolnej silnie odbijać promienie słoneczne.

## II.

Dotychczas byliśmy sami na księżycu, grobowym otoczeni milczeniem. Nie spotkamyż się nareszcie z istotami żyjącymi i bytu swego świadomymi? a przyjąwszy za pewnik zaludnienie księżyca, jaka będzie przyroda jego mieszkańców, uwarunkowana ciężkością tego ciała niebieskiego, składem powietrzni (atmosfery) jego i gruntu? Czy wznoszą oni budowle i grody? czy błękit nieba jaśnieje dla nich jak dla nas? czy im tryskają chłodzące źródła? Sąto pytania, na które, w krótkości przynajmniej, będziemy się starali odpowiedzieć.

Kiedy Jan Herschel (syn) bawił na przylądku Dobrej Nadziei, badając tam cuda południowego nieba, zjawiała się w r. 1836 broszurka, która w ko-

łach nawet ukształconych ogromne zrobiła wrażenie. Donosiła ona, w imieniu Herschla, o świetnych odkryciach, jakie ten astronom miał poczynić na księżycu, o owcach np. dziwnego kształtu, o ludziach ze skrzydłami nietoperza, o miastach i drogach bitych. Pokazało się jednak wkrótce, że pismo to było pufem jakiegoś Amerykanina, puszczonym dla zażartowania sobie z łatwowierności współczesnych. Nic dziwnego przeto, że skoro przed szesnastą laty najrozumniejsi ludzie mogli stać się ofiarą grubiej mistyfikacji, i dziś jeszcze znajdują się tacy co wierzą, iż skutkiem nieustannego doskonalenia narzędzi astronomicznych, ujrzemy kiedyś mieszkańców najbliższego nas ciała niebieskiego.

go. Astronomowie nawet, jak Schröter i Gruithausen, marzyli o budowlach na księżycu. Zanim więc w dalszą puścimy się drogę, nie od rzeczy będzie określić granice naszego wzroku i wskazać o ile zbliżenie się nasze do sąsiadów księżycowych jest możliwém.

Przypatrując się jakiemu przedmiotowi przez powiększający przyrząd optyczny, ten sam rzeczywiście otrzymujemy wypadek, jak gdybyśmy się do niego zbliżali. Wyrażenie bowiem „teleskop powiększa tysiąc razy” znaczy, że przy pomocy tego narzędzia widzimy przedmiot badany w odległości tysiąca stóp tak dokładnie, jak gdyby oddalony był tylko o stopę. Gdy wszakże odległość księżyca wynosi 50,000 mil, przypuściwszy więc, że gołym okiem moglibyśmy dostrzedz o milę człowieka lub konia, to i tak potrzebaby przyrządu powiększającego 50,000 razy, aby te same przedmioty ujrzyć na księżycu. Lecz gdyby nawet przyszłość rzeczywistnie miała tak nadzwyczajne dzisiejszych teleskopów udoskonalenie, nie należy przecież zapomnieć, iż w stosunku siły powiększającej narzędzia rosną trudności atmosferyczne. Już w używanych obecnie przegładnikach trudności te tak są wyraźne, że astronomowie rzadko kiedy stosują całą ich potęgę. Szczególniej przy obserwacjach księżycowych zaledwo szkła 300 razy powiększające okazały się praktycznymi. Chciawszy więc zoczyć na księżycu ludzi lub zwierzęta, trzebaby mieć teleskop blisko 170 razy mocniejszy od używanych dotychczas; ograniczywszy się już wreszcie na życzeniu widzenia choćby budowł odpowiednich rozmiarem najogromniejszym z istniejących na ziemi, musielibyśmy i tak jeszcze 34 razy powiększyć siłę naszych przegładników. Spostrzegamy teraz na księżycu przedmioty mające 4—6,000 stóp średnicy; kiedyś może postęp nauki dozwoli nam ujrzyć budowle wielkości naszych piramid; lecz zawsze pozostaną one dla nas drobnymi punkcikami, których kształtu rozróżnić nie będzie w naszej mocy.

Jakkolwiek przecież rozum dowodzi niemożności widzenia okiem cielesnym co się dzieje na księżycu, to z drugiej strony ta sama władza umysłowa każe nam wierzyć, że ciała niebieskie nie dla igraszki rozrzucone są po przestworze. Miałaby jedna tylko ziemia, wśród gwiazd milionów, dzierżyć przywilój życia organicznego? Miałaby reszta nie-

zmierzonego wszechświata być pustynią? Jeżeli człowiek jest tylko najwyższym utworem, wcieloną myślą życia ziemskiego, to myśl taka wionąć musiała w życie każdego świata, i w każdym niezawodnie siła tworząca zdobyła się na wydanie istot rozumnych. Nauka przekonywa nas, że prawa zasadnicze naszej ziemi i dla innych służy światów, chociaż jedność warunków bytu nie wyłącza różnaitości kształtów. Już w naszym świecie zwierzęcym jedność ta w najodmienniejszych rozwija się objawach. Jakież różne np. są narzędzia oddychania i ruchu: znajdujemy płuca, skrzela, krtanie, ręce, nogi, skrzydła i pletwy, stosownie do natury żywiołu, w którym zwierzęta oddychają i żyją. Bogatszym jeszcze i bardziej urozmaiconym może być świat organiczny innych ciał niebieskich; zawsze jednak, według odwiecznych praw przyrody, i na zasadzie danych warunków, będziemy w możności utworzenia sobie ogólnych o mieszkańcach tych światów wyobrażeń. Długie wprawdzie i mozolne będą drogi, po których przyszłe pokolenia, oparte na ściślejszych coraz badaniach, dojdą do wyrobienia sobie mniej więcej prawdziwych pojęć o życiu księżycowym, lecz wszystko zdaje się zapowiadać, że to nastąpi prędzej czy później.

Udajmy się przeto raz jeszcze na księżyc, i postawmy się znów w położeniu podróżnego, co na odległą rzucony wyspę, nie znając mieszkańców, i tylko z tego co widzi i dostrzega, tworzy sobie przypuszczenia względem warunków fizycznego ich bytu.

Uderza nas nasamprzód nadzwyczajna łatwość ruchów cielesnych, wywołująca potrzebę innych zupełnie muszkułów. Przyczyną tego zjawiska jest zmniejszone na powierzchni księżyca ciężenie; gdy bowiem masa jego jest tylko  $\frac{1}{81}$ , a średnica  $\frac{3}{11}$  częściami w porównaniu do masy i średnicy naszej ziemi, ciężkość zaś zmniejsza się w stosunku prostym masy, a w odwrotnym kwadratów z średnic, przeto ciężenie na księżycu sześć razy jest mniejsze niż na ziemi. Tém samym więc nateżeniem muszkułów, jakim tu podnosimy 18 funtów, poruszamy tam centnar; ta sama siła co tutaj miota kamień na 50 stóp wysokości, wyrzuci go tam na trzysta. Nierówności gruntowe na księżycu nic nieznaczającą prawie są przeszkodą; szybko się tam przesuwamy przez góry, których przebycie na ziemi wymagałoby robót ziemnych na olbrzymią roz-

winiętych skałę. Nie pomyśleli zapewne o tój różnicy marzyciele, co niedawno jeszcze usiłowali zaludnić i zabudować księżyc w sposób zupełnie ziemski.

Lecz płuca nasze potrzebują powietrza, spieczone usta orzeźwiającego pragną napoju; a tu podobno jednego i drugiego, przynajmniej w składzie właściwym dla ziemskich organów, daremnie wyglądać będziemy. Powietrze, gdziekolwiek się ono znajduje, łamać zawsze musi i osłabiać przechodzące przez nie promienie światła; w atmosferze zaś księżycy zupełnie tego nie spostrzegamy. Okolice nadbrzeżne odrzynają się równie dobitnie jak środkowe, a gwiazdy, w przejściu swoim przez tarczę księżycową, za zbliżeniem się do jój brzegu, nie tracą bynajmniej blasku. Podobnież obecność wody na powierzchni księżycy musiałaby koniecznie objawić się przez parowanie; wiadomo zaś, że para wodna posiada także własność łamania światła. Jeżeli przeto, puszczając samopas wyobraźnię, nie przysądzimy wyłącznego przywileju używania powietrza i wody odwróconej od nas stronie księżycy, co mówiąc nawiasem, nie zgadzałoby się z płynną ciał tych naturą, to nic nam nie pozostaje, jak przypuścić atmosferę i wodę tak małej ściśłości, że w oddaleniu 50,000 mil śladu ich nawet dostrzedz nie możemy. Podług najściślejszych obliczeń możliwą na księżycu byłaby tylko atmosfera blisko tysiąc razy rzadsza od ziemskiej; a ztąd wypływa przekonanie, ile odmienną być musi organizacja jego mieszkańców. Inną krwią tętnić muszą ich żyły, inaczej oddychać płuca; namby tchu nie stało w tём powietrzu nieujętém.

Jeżeli niepodobna nam było oddychać powietrzem księżycy, tём bardziej zapewne nie zgodzimy się z jego kalendarzem. Tam dzień i rok jednakowój są długości, a oba równają się naszemu miesiącowi. Różnice pór roku zaledwo są dostrzegalne. Mieszkańcy równika wieczne mają lato, mieszkańcy biegunów nieustanną zimę. Brak powietrzni, łamiącej światło słoneczne, pozbawia ich

dobrodziejstwa mroku, a jasność olśniewająca i ciemność nocy następowałyby po sobie z szybkością pioruna, gdyby powolność wschodu i zachodu słonecznego nie łagodziła nieco tój zmiany. Przypuściwszy, że mieszkańcy księżycy mają oczy podobne do naszych, nie znieśliby rażącego przeciwieństwa światła i cieniów, nie znalazłyby owych przejść powabnych między czarną a białą barwą, tworzących u nas cudowną grę kolorów. Niebo ich, czarnym pokryte kirem, nie promieniałoby błękitem, a gwiazdy, śród dnia nawet, nie przestałyby błyszczyć obok słońca.

Głęboka ciemność cechuje nocy odwrotnej strony księżycy; gwiazdy tylko i planety skrzę się na czarnej powłoce, okrywającej przez dni blisko 15 tę jego połowę. Przeciwnie strona ku nam zwrócona nie zna zupełnej ciemności, bo ją oświeca nasza ziemia, światłem 14 razy mocniejszym od księżycowego. Poznajemy to, przed nowiem i po nowiu, po słabo przebijającym brzasku nieoświetlonej części księżycy, która rzucone jój z ziemi promienie napowrót nam przesyła. Tarcza ziemi te same przebywa tam zmiany, co u nas tarcza księżycowa; ma swoje pełnie, nowie, pierwsze i ostatnie kwadry. Całe niebo dla mieszkańców księżycy w 29½ dniach obraca się koło swój osi; jedna tylko ziemia napozór stoi prawie w miejscu, nadstawiając im kolejno, w ciągu 24 godzin i 50 minut, wszystkie części swój powierzchni. Tym sposobem nie tylko że glob nasz służy im za kalendarz i zegar, lecz nadto mają sposobność skreslenia kart ziemnych, których dokładności, pod niejednym względem, pozazdrościliby niezawodnie nasi geografowie.

Na odwróconej od nas stronie księżycy mieszkańcy nie wiedzą nic o ziemi, chyba że ją zaznają z wieści lub podróży; lecz zato ta strona najwyborniejszą jest gwiazdziarnią całego systemu słonecznego. Tam, w czasie nocy 15-dniowej, najśłabsze nawet światło nie przeszkadza obserwacyom, nie tłumią wzroku mgły ani wyziewy; tam byłaby ziemia obiecana astronomów.

### III.

Z powyższych uwag nad powierzchnią i przyrodą księżycy dwa ważne wypływają pewniki: że księ-

życ posiada życie organiczne, lecz nie jest kopią naszej ziemi, i że mieszkają na nim istoty rozumne,

zupełnie wszakże różne od człowieka. Jak drzewa bez liści i owoców, tak świata bez życia organicznego wystawić sobie nie umiemy; jestto odwieczne prawo ręką Stwórcy stworzeniu zakreślone. Ziemia nasza gwałtownie przeszła wstrząśnienia; potężna siła przyrody pobruzdowała jej powierzchnię, poszarpała jej wnętrze. Ale zaledwo czasowy osiadł na niej spoczynek; już ona ukształtowała sobie życie świeże, młodzieńcze, zrazu nieokrzesane, jak sama przyroda, lecz doskonalące się nieustannie w postępie ogólnego rozwoju. I księżyc miał swoją epokę burzliwą, przekonywa nas o tém dziwny kształt jego skorupy; i on także odpoczywał, a w tym spoczynku poczęło się życie, z martwego wskrzeszone prochu. Możemy nawet przypuścić że pierwiastki życiodawcze te same są w całym wszechświecie. Jedyne ciała obce z któremi w bezpośrednie wchodzimy zetknięcie, aerolity, zupełnie ziemskiego są składu; mimo to wszakże warunki życia zaziemskiego muszą być odmienne. Dwie główne siły żywotne, zasadnicze podstawy wszelkiego bytu, ciepło i światło, rozlane po całym świecie przestworze, wszystkich jego zakątków dosięgają; woda jednak i powietrze, żywioły organizmu, w których ziemskie istoty oddychają i wzrastają, w nieskończenie chyba różnej postaci znajdować się mogą na księżycu: a więc i mieszkańcy jego nie mogą być ludźmi. Weźmy tylko pod uwagę sam wpływ atmosfery na wyrabianie się ciała! Życie nasze zawisłóm jest od ilości kwasorodu jaką wdychamy. Już na wysokich górach, z powodu rzadkości powietrza, płuca nasze szybciej robić muszą. W niezmiernie przeto rozrzedzonej powietrzni księżycy oddychanie wtenczas tylko będzie możliwóm, jeśli i proces spalania kwasorodu w naszym ciele odbywać się będzie powolniej. Lecz w powietrzu tyśiąć razy rzadszóm od ziemskiego, siła roślinienia w tym samym wątléc musi stosunku; a skutkiem znów zawisłości świata zwierzęcego od roślinnego, ciała zwierzęce o tyleż mniejszej będą ścisłości lub objętości. Jeżeli więc budowie fizycznej mieszkańców księżycy nadamy treściwość naszych kości i muszkułów, to otrzymamy dla nich rozmiar zaledwo jednej linii, czyli wielkość zwyczajnej mrówki. Jeżeli przeciwnie obleczemy ich kształtem podobnym do naszego, to gęstość ich ciała nie o wiele przeniesie gęstość ziemskiego powietrza.

Wszelako z innego jeszcze względu nader ważnym dla nas jest poznanie najbliższego ziemi sąsiada: księżyc, jako ogniwo systemu wszechświata, wywiera działanie na inne ciała niebieskie, a mianowicie na ziemię. Tyle dawniej mówiono i pisano o użyteczności księżycy dla ziemi, iż zdawać się mogło rzeczywiście, jak gdyby on dla niej tylko istniał. Wymieniano między innymi że oświeca nasze nocy i prowadzi żeglarza po toniach nieznanego morza; że zmianom jego zawdzięczamy początki chronologii, a ruchowi oznaczenie odległości na ziemi. Nareszcie przesąd do tego stopnia ważność księżycy powiększył, że każde zjawisko niewytłumaczone przypisywano jego wpływowi, i wkrótce płodność wyobraźni z marzeń takich usunęła całkowity system. Przypuszczano nawet bezpośredni związek księżycy z naszą ziemią, za pomocą aerolitów wyrzucanych z wulkanów księżycowych. Ale mniemanie to upada, nietyle przed zarzutem jakoby rzadkość atmosfery tworzenie się ognia wulkanicznego czyniła tam niepodobnym (wiadomo bowiem że ogień, niezależnie od kwasorodu, może być wynikiem wielu innych procesów chemicznych), ile raczej przed koniecznością przyjęcia siły rzutowej 20 — 30 razy większej od siły naszych wulkanów. Nadto tak potężne wybuchy musiałyby nieodzownie na powierzchni księżycy trwale wypiętnować ślady, czego również nie stwierdzają spostrzeżenia.

Zaiste, ciała niebieskie nie działają na siebie rzucaniem głazów, jakby bawiąc się w piłkę, tylko wymianą światła, ciepła i siły przyciągania. Prawda, że światło księżycy w pełni jest 90,000 razy słabsze od słonecznego, a zdaniem ogółu promienie jego nie grzeją; niektórzy nawet, wnosząc zapewne po chłodzie nocy księżycowych, przypisują im wpływ oziębiający. Lecz ileżto razy ludzie zjawiska przypadkowo powiązane uważają za przyczyny lub skutki! Księżyc świeci dlatego, że niebo jest pogodne; z téj samój przyczyny ziemia ostyga, bo czystość powietrzni sprzyja jej promienieniu; lecz księżyc na to stygnięcie żadnego nie wywiera wpływu. Badania Melloni'ego w roku 1846 dowiodły owszem, że światło księżycowe, zgodnie z wymaganiami rozumu, ma w sobie cząstkę jakąś ciepła, chociaż wielkość takowój nie została jeszcze oznaczoną.

Już dawni Fenicyanie widzieli w księżycu coś więcej jak biernego ziemi obiegacza; wiadomo im było, że przyływ i odpływ morza, potężne owotchnienie oceanu, za jego powstaje sprawą. Tylko że wówczas obawiano się tej władzy księżyca, jako nadprzyrodzonej, gdy tymczasem dziś dowiedziono, że ona jest skutkiem siły przyciągania. Jakkolwiek słońce i księżyc, pod których wpływem ziemia nasza odbywa swą drogę, wspólnie to zjawisko wywołują, przecież działanie księżyca, jako 400 razy bliższego, przeważa prawie trzykrotnie działanie słońca. Ponieważ zaś wszelkie przyciąganie jest wzajemne, więc samo z siebie wynika, że i ziemia w przypuszczalnych morzach księżycowych musi sprawiać ruch peryodyczny, nierównie jeszcze silniejszy. Cała nawet masa księżyca, w pierwotkowo płynnym stanie swoim, nie mogła się widać oprzecz przyciąganiu ziemi, a ztąd na zwróconej do nas jego połowie powstała wydatność około 1,000 stóp wynosząca.

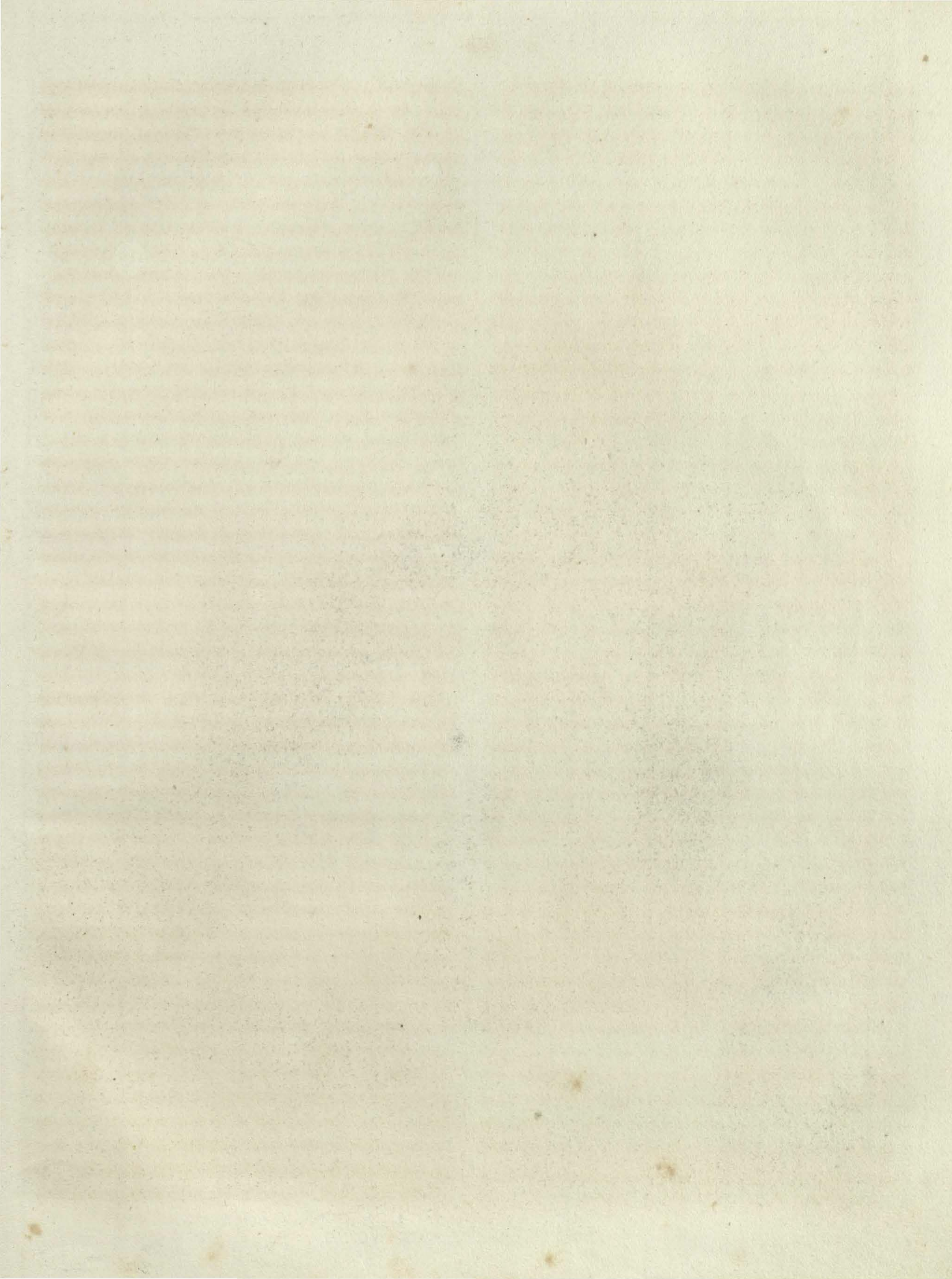
Podobnie jak morze, i powietrzna nasza doznawać musi wstrząśnienia skutkiem wpływu księżyca; ale według doświadczeń barometrycznych jest ono tak nieznaczące, że w niczem nie usprawiedliwia mniemania, jakoby pogoda zawisła u nas była od zmian księżycowych. Zadawniony wszelako przesąd nielatwo z pola ustępuje, stawiając w miejsce badań naukowych spostrzeżenia bezpośrednie. Zebrano z 28 lat liczbę dni dżdżystych, dla przekonania się jaki jest stosunek ilości spadłej wody w różnych położeniach księżyca, i znaleziono w wypadku, że masa deszczu zmniejsza się lub powiększa w miarę ubytku lub przybytku księżyca. Zauważano również, że deszcze bywają obfitsze w czasie przyziemności, niż w czasie odziemności<sup>(1)</sup>. Atoli wszystkie te spostrzeżenia w pojedynczych latach sprzeczne częstokroć dawały rezultaty, a tém samém niepodobna z nich wnioskować z niejakiem prawdopodobieństwem o zmianach atmosferycznych.

Mimo to jednak, tradycyjne mniemanie, że z kwadrą zmienia się pogoda, stoi dotąd jak mur niewstrząśnione; każdy do własnego odwołuje się doświadczenia, a w gruncie przysięga tylko na wiarę s. p. prababki swojej. Co więcej, ludzie tworzą sobie nawet stałe prawidła meteorologiczne: jeżeli,

(1) Przyziemność najmniejsze, odziemność największe oddalenie jakiego ciała niebieskiego, jak tu księżyca, od ziemi

mówią, od nowiu do pierwszej kwadry pogoda jest stała, to pozostanie taką do pełni, a dopiero na ubytku księżyca przechodzić zacznie stopniowo w przeciwną. Na zbitcie tych twierdzeń dosyć będzie przytoczyć, że gdyby piękny lub dżdżysty czas zawisłym był tylko od księżyca, tedy regularnie co lat 18 ta sama wracaćby musiała pogoda, bo księżyc co lat 18 to samo zajmuje położenie. Tym sposobem przepowiedzenie zmian wszelkich byłoby nader łatwém, a nasi kalendarzowi wróżbici nie tak częstoby pewnie chybiali. Lecz stan powietrzni wynikiem jest wielu, po części nieznanym jeszcze, przyczyn. Właściwości miejscowe, wiatry, ciepło słoneczne, magnetyzm ziemi, elektryczność, wszystko to wpływa silnie na pogodę. Zanim więc istota tych połączonych działaczy nie będzie w zupełności zbadaną, wszelkie wróżby meteorologiczne pozostaną igraszką snów fantastycznych. Jestto w naturze człowieka, iż rzeczy tajemnicze nowemi tłumaczy lubi tajemnicami. Zagadkowe zjawiska życia nerwowego przypisuje magnetyzmowi zwierzęcemu, którego przebieg grubą także pokryty jest zasłoną. Za dziwne zmiany powietrzne zwała winę na księżyc, dlatego właśnie że nic o nim nie wie, a chciałby przecież żeby ten włóczęga był na coś ziemi przydatny.

Jak ziarnko między plewą, tak w szczątkach średniowiecznych przesądów znaleźć można tu i owdzie trafne bardzo spostrzeżenia. Uważano np. że drzewo ścięte na przybywającym księżycu jest słabe, kruche i prędko gnije. Podobnie utrzymują włóścianie, że zasiów wszelki najlepiej się przyjmuje podczas pierwszej kwadry i pełni, a nasiad tak trzeba urządzić, żeby młode pisklęta wykluwały się mniej więcej także koło pełni. O wpływie księżyca na vegetacyę przekonywa zrobione w okolicach zwrotnikowych doświadczenie, że rośliny pozbawione zieloności skutkiem odjęcia promieni słonecznych, odzyskiwały takową na świetle księżycowém. Wiadome jest działanie księżyca na różne choroby: wola w czasie pełni podobno nabrzmiewają, cierpienia wątrobiane powiększają się, a napady wściekłości u obłąkanych bywają częstsze. Szkoda tylko że nauka nie rozjaśniła dotąd tych zjawisk, może dlatego właśnie że ony tkwią w wierze ludowej, a badacze widzą w nich tylko zabobony. Odkąd wszakże wejrzeliśmy głębiej w tajniki życia nerwowego, odkąd istnienie magnetyzmu nie ulega już zaprze-





Stahlsich v. Carl Mayer's Kunst-Anstalt in Nürnberg.

Kościół Katedralny w Worms.



czeniu, odkąd przyznać musieliśmy, że światło działa na organizm, bez dotknięcia nawet wzroku, od-  
tąd i na powyższe objawy należałoby dojrzałszą  
zwrócić uwagę, należałoby drogą ścisłego dostrze-

gania rzetelną ich ważność ocenić i odkryć tym  
sposobem tajemnice, od których w części pomysł-  
ność rodu ludzkiego zawisała.

## W O R M A C Y A.

Wormacya (Worms), stolica kantonu Hessyi nadreńskiej, dawniej wolne miasto rzeszy niemieckiej i stolica biskupa, położona na lewym brzegu Renu, dziewięć godzin drogi od Moguncyi, liczy dziś około 10,000 mieszkańców, trudniących się po większej części uprawą wina, handlem drzewa i żegluga po Renie. Panującą w mieście jest religia protestancka, wszelako katolicy posiadają dwa kościoły, a reformowani jeden.

Gród ten, należący bez wątpienia do najstarszych i najslawniejszych w dziejach Niemiec, zamieszkanym już był przez Rzymian, którzy tu zbudowali warownię Borbitomagus. Następnie został on siedzibą, a przynajmniej miejscem dłuższego pobytu Karola W. i późniejszych Karolingów. Tu odbyło się owo zgromadzenie ludowe, na którym Karol W. postanowił wojnę przeciw Saksonom. Cesarze Henryk IV i V zwołali do Wormacyi kilka sejmów, a cesarz Maksymilian ogłosił tam w r. 1495, tak zwany wieczny pokój. W kwietniu 1521, Luter, przed cesarzem Karolem V i książętami całej rzeszy, z siłą i zapalem bronił tu swęj nauki, odmawiając żadanego odwołania w imię sumienia, a w końcu wyrzekł owe słowa historyczne: „Jeśli to ludzkie jest dzieło, to upadnie samo przez się; jeśli zaś boskie, to wy go nie zburzycie!”

Ku końcowi wieków średnich Wormacya, jako należąca do związku miast nadreńskich, wielkiego nabrała znaczenia w niesnaskach sąsiednich książąt. Ruch przemysłowy i handlowy, tudzież znakomita ludność, dochodząca za Hohenstaufów do 60,000, a jeszcze w końcu wojny trzydziestoletniej wynosząca 30,000 dusz, ściągały na to miasto i bogactwo i znaczenie. W dwóch ostatnich atoli wiekach stan jego kwitnący, dla wielu przyczyn, a mianowicie z powodu ponawianych wojen z Francją,

znacznego doznał uszczerbku. W roku 1689 Wormacya, podobnie jak Spira (Speier), zburzoną została ze szczętem przez Francuzów, pod dowództwem Louvois. Później porządnie ją wprawdzie odbudowano, lecz dotąd jeszcze poznać można gdzieśgdzie zgorzeliska, przeistoczone dziś na ogrody. W roku 1843 Wielka Brytania, Węgry i Sardynia zawarły tu traktat w obronie Maryi Teresy i sankcyi pragmatycznej przeciw koalicji burbońskiej. W pierwszych latach rewolucyi francuskiej i wojny rewolucyjnej miasto niezmiernie ucierpiało, będąc kolejno zajmowanem przez obie strony walczące. Pokojem lunewilskim w r. 1801 część biskupstwa wormacyjskiego, położona na lewym brzegu Renu, przyznana została Francyi, reszta zaś, na przeciwnym brzegu, wcieloną w r. 1803 do Hessen-Darmstadt.

Najznakomitszym w Wormacyi pomnikiem architektonicznym, jedynym, który się oparł zniszczeniu z r. 1689, jest tum czyli katedra (zob. rycinę), budowla w stylu byzantyńskim, odznaczająca się zarówno wspaniałością kształtów zewnętrznych i wewnętrznych, jak szlachetną ich prostotą, rozpoczęta już w VIII wieku naszej ery, lecz ukończoną dopiero w XII. Długość téj świątyni wynosi stóp 470, szerokość 110; cztery potężne wieżycy okrągłe wspierają oba jęj boki, nadając całości pozór niezmiernie uroczystry i poważny. Jedna z tych wież nowszego jest pochodzenia, odbudowano ją bowiem w wieku XV, i widać że na kształt starodawnęj już wówczas sąsiadki tyle tylko zwrócono uwagi, ile wymagała konieczna symetria gmachu, zresztą zaś zastosowano się do smaku współczesnego. Podobnież świeższej daty są boczne kaplice, przystawione w wieku XIV i XV w stylu niemieckim. Z wyjątkiem wszakże tych

małoważnych przeistoczeń, cała budowla jest czysto bizantyńska, i znaleźć w niej można wszystkie cechy charakterystyczne epoki z której pochodzi, mianowicie: gładkie mury z kamienia ciosowego, galerye szczytowe, okna małe, półkolisto zakończone, rzędy ozdób łukowych pod gzymsami i kostkowe główlice (kapitele) wielu kolumn galeryj.

Wstąpmy teraz do wnętrza katedry. I tu uderzy nas zaraz spokojna powaga i massowość kształtów, do czego niemało zapewne się przyczynia widok czystego, bez żadnej powłoki, kamienia ciosowego. Jedenaście ogromnych filarów kwadratowych, ozdobionych półkolumnami na sposób rzymski, wspierają po obu stronach śmiało rzucone łuki, na których spoczywa sklepienie. Zdaje się, że nawet brak zupełny dzieł sztuki i pomników statuarnych nowego tej świątyni przyczynia uroku,

## ANGLICY U SIEBIE.

Od niedawnego czasu towarzystwo przedsiębiorców francuzkich urządziło wycieczki spacerowe (trains de plaisir) na statkach parowych z Boulogne do Londynu. Szczęśliwyto pomysł, bo ułatwia wzajemne stosunki dwóch wielkich sąsiednich narodów, wązkim tylko przesmykiem oceanu rozdzielonych, a jednak różnych całym światem pojęć, wyobrażeń i obyczajów. Odkąd telegraf podmorski łączy oba brzegi, przenosząc z niepojętą szybkością myśl z jednej strony kanału na drugą, przedział ten nie istnieje już dla ducha; trzeba było usunąć go, a przynajmniej zmniejszyć, i dla ciała. W czasie zeszłorocznej wystawy przemysłowej statki spacerowe przewoziły tysiące ciekawych, którzy z niewielkim

i lepiej jeszcze uwydatnia jej prostotę, obok wielkości. Wspomniane wyżej najście Francuzów w r. 1689 pozbawiło tum wormacyjski wszystkich niemal starożytności zasługujących na wspomnienie pod względem dziejowym lub estetycznym; pozostała tylko w jednej z kaplic bocznych wmurowana płaskorzeźba, przedstawiająca Daniela w lwiej jamie, tudzież kilka dawnych obrazów bizantyńskich. Resztę pomników, z wyjątkiem jedyne grobowca zesłowiecznego, postawiono w najnowszym już czasie.

Odznacza się jeszcze ta świątynia licznym zbiorem dzwonów różnej wielkości, starannie na głosy dobranych, których odezwanie się w pełnej harmonii, podczas wielkich uroczystości, robi wrażenie godne wzniosłego całej budowy charakteru.

kosztem, a wielką wygodą, mieli sposobność zwiedzenia w przeciągu tygodnia Londynu i pałacu kryształowego, ze wszystkimi jego cudami. Krótko wprowadzie czas na obejrzenie wszystkiego, a szczególnie na rozejrzenie się w charakterze i zwyczajach angielskich; ale zręczny dostrzegacz więcej w kilku dniach zauważy, aniżeli inny w kilku miesiącach. Dowcipny autor podanego tu szkicu obyczajowego nie przesunął się po samej tylko powierzchni towarzystwa angielskiego, lecz wniknął w jego głębię, i zbadał ducha zwyczajów i instytucyj jego. Przytaczamy odtąd słowa podróżnego.

### I.

Płynęliśmy na pokładzie statku parowego „Miało Boulogne”. Noc była łagodna i cicha, niebo bez chmury, a morze bez zmarszczek. Siedziałem w mil-

czeniu, oparty o galeryę, przypatrując się igraszce zapienionych fali, roztrącanych kołami paropływu, gdy za mną ktoś się odezwał:

— Otóż czterdziestu pięciu pasażerów wybrało się do Londynu.

Obejrzałem się, i poznałem znajomego z Boulogne, z którym niekiedy spotykałem się przy obiadach.

— W téj liczbie, mówił dalej, zaledwo trzech może znajdziesz pan zdolnych do zrozumienia tego co zobaczą. Co do mnie, niewiele dbam o pomniki, których wszędzie pełno, lubo ich nie pomnę, lecz najważniejszym przedmiotem mych badań w téj wycieczce będą obyczaje.

Pretensya jego nieco mnie rozśmieszyła, ale wejrzawszy w siebie, przekonałem się, że i moje usposobienie było podobne; tylko żem sobie nie wyznał jeszcze tych chęci tak jasno i dobitnie jak mój towarzysz. Bez wątpienia przesadzał on w myśli możliwą korzyść z ośmiodniowej podróży, lecz wychodził z prawdziwej zasady. W istocie, rzeczą najbardziej zajmującą w Anglii, są Anglicy. Odrębne życie tych warstw społecznych tak ściśle oddzielonych, bieg tajemniczy téj czynnej i potężnej cywilizacyi, co z łona wyspy północnej świat cały opromienia: oto przedmiot godny najgłębszego zastanowienia. Cała trudność, jak temu podolać w przeciągu jednego tygodnia, mając do obejrzenia tyśiące ciekawości.

Jak gdyby odgadł com myślał, towarzysz mój dodał:

— Czas krótki, to prawda, sposobność rzadka; ale kto zechce szukać, ten ją znajdzie. Aby być spostrzegaczem, nietrzeba ani długiego czasu, ani przewodnika, ani książek; potrzeba tylko nim się urodzić. Kto umie słuchać, do tego wszystko przemawia; pomniki rzucają światło na instytucye; wejście ulic, domów, zewnętrzność przechodniów, sąto widome skutki ukrytych przyczyn; nawet w głazach przeszłość żywym do nas odzywa się językiem.

Ufność w sobie tego poczciwca mogła zaiste dodać mi otuchy. On tylko ośm dni miał przed sobą; ja zaś postanowiłem razem z wyprawą zwiedzić wszystkie osobliwości, a potem, oswoiwszy się nieco z Londynem, zamieszkać w nim przez miesiąc w łonie rodziny angielskiej. Miałem listy polecające do mieszkańców téj stolicy, różnych stanem i położeniem, mogłem więc cieszyć się nadzieją zebrania ściślejszych spostrzeżeń, i poznać, jeśli nie wszystko, to przynajmniej wiele. Wykonanie te-

go planu dowiodło mi, że Anglia rzeczywiście mało na stałym lądzie jest znaną. Nie mam wszakże zamiaru narzucenia mych wyobrażeń; opowiem tylko com widział, ani mniej ani więcej; zdjęte zaś z natury zarysy dopełnię prostém sprawozdaniem. Anglia jest krainą zimnego rozsądku, życia czynnego, rzeczywistego, do którego jeśli dodasz by odrobinę wyobraźni poetyckiej, już obraz przestaje być prawdziwym.

Statek nasz postępował, zostawując za sobą fosforyczną smugę; na lewo długie pasmo światel drgających na falach, jak koronka gwiazdzista, oznajmia nam że jesteśmy pod Dowrem. Różany blask jutrzeńki pojawia się na niebie w miejscu zupełnie niespodzianém, bo nas pomylił niejednostajny bieg paropływu idącego w zygzag, dla uniknienia mieelizn; pierwsze jój promienie odsłaniają domy Ramsgate i wille, rzucone jak kwiaty pomiędzy drzewami. Dalej Margate, wieńczący skaliste pobraże, gładkie i białe jak ściana, rozpościóra swe gmachy z brunatnej cegły, i wystrzela dzwonnica o rzeźbionym szczycie.

Noc przeszła, ale dzień nie zaświtał jeszcze jasnością zdolną przełamać cienie; brzegi bieleją w półbarwach, a mgliste nocy wyziewy, kłębiąc się ponad wodą, gaszą bladawe światło widnokręgu.

Zwolna brzegi się zniżają; na prawo czarna ciągnie się ława; mniemałbyś że to ujście Tamizy, ale nie! poza nią znów widać morze. W miarę jak statek zwraca się ku wschodowi, coraz to nowe uderzają nas widoki. Na pochyłości wzgórza wznoszą się białe, ogrodzone domy miasteczka Herneby, znanego z kąpieli, które jak dziewica zalotna przegłąda się w siném zwierciadle oceanu.

Pod drugą ławą piaszczystą, sławną rozbiem się okrętu Adelaida, zaczyna się, jak mówią, Tamiza; lecz oko po jednej tylko stronie może spocząć na lądzie, po drugiej gubi się w niezmierzonej przestrzeni. Niedaleko Barnstaple dopięro brzeg drugi wynurza się z fali, wyzębiony jak piła, nizki i ponury.

Ale już słońce powstało i budzi uspioną Tamizę. Pierzchają mgły, a za niemi wychyla się rój białych żagli, sunących po wodzie, jak stado gołębi po powietrzu.

Tamiza jest drogą największą i najbardziej uczęszczaną w świecie. Nie jestto rzeka, ale płynny gościniec. Od źródła swego aż do Londynu podo-

bną do arkadyjskiego strumyka, wijącego się po łąkach i dolinach pełnych świeżości i wdzięku. W Londynie staje się olbrzymim składem towarów; domy bowiem zbudowane nad samym brzegiem, odbierają takowe wprost z okrętów. Od Londynu do Gravesend o sześć mil angielskich poniżej, Tamiza jest portem, w którym statki wszystkich narodów stoją nagromadzone setkami. Od Gravesend nareszcie zamienia się w morską odnogę.

Od tego miejsca podróżni doznają dziwnych i przejmujących wrażeń, jakie budzi w nich widok życia angielskiego. Na prawo brzeg płaski i piaszczysty hrabstwa Essex; na lewo miasto Gravesend, zalotnie ponure. Widziałem tu po raz pierwszy próbę fantastycznego budownictwa krajowego: zakład kąpielowy Clifton, wzniesiony w stylu ściśle gotyckim, z tureckimi minaretami. O ile jednak ziemia przedstawia się pustą i samotną, o tyle kanał ożywiony i pełen urozmaicenia. Lecz milczący porządek panujący w tej ciżbie, cudowne zbliżenie tylu ludzi zupełnie sobie obcych, którzy ściągają się tutaj, nie patrząc się nawet na siebie; powaga tych istot przypadkowo nagromadzonych, a odstrychniętych różnością interesu, mechaniczna ich ruchliwość i nieustanna praca, to wszystko żywo przejmuję, a razem mrozi uczucie, jakby technieniem lodowém. Jakiś smutek pełen podziwu, obawa prawie, ściska ci serce na widok tego ruchu, obok takiej cichości; zdaje ci się że wstępujesz w krainę cieniów. Słońce nawet, pokryte białym całunem, bladawym tylko blaskiem przyświeca tym scenom fantastycznym. Po brzegach łany mało uprawne, a drzewa wysokie okolone darnią, posępną zielonością odbijają na rozłogu.

Im więcej posuwamy się naprzód, tém statki stają się liczniejsze. Wkrótce cała okolica zdaje się niemi pokryta; Tamiza bowiem wije się wężowo, to w prawo, to w lewo, a ponad płaskim jej brzegiem, kryjącym te liczne zagięcia, widać krążące, jakby po ziemi, kominy paropływów, rozpięte żagle brygów i trzymasztowych okrętów, których szczyty przesuwają się wśród wiązów, lip i dębów. Drzewa stałego lądu łączą się z drzewami morza.

Zbliżamy się do Woolwich, miasta czysto wojskowego, w którym mieści się arsenał, gisernia armat, koszary z parkiem artylerji, szkoła wojskowa i ogromne warsztaty okrętowe. Widząc to miejsce poświęcone pracom wojennym, łatwo się

przekonać, iż Wielka Brytania nie ma ani wejrzenia, ani obyczajów żołnierskich. Gród napelniony wojskiem wszelkiej broni, ma pozór rozległej fabryki; na brzegu i na wodzie nie widać tylko rzemieślników i wyrobników. Mniemałbyś że to Birmingham lub Manchester, gdyby nie rozstawione gdzieniegdzie warty w pasowych mundurach, piastujące niedbale długie karabiny, z których nigdy nie strzelają. Wszystko tam poświęcone użyteczności, wszystko służy do pracy i wszystko pracuje. Na przeciwnym brzegu wznosi się dziesięć lub dwanaście domków zaledwo wykończonych, małe lecz zalotne siedziby zbudowane w stylu gotyckim z arkadami i wieżyczkami. Po upływie roku takich domków będzie czterysta. Stawia je jakaś kompania na pomieszkanie dla wyrobników, w celu bardziej politycznym niż chrześcijańskim; każda bowiem z tych posiadłości opłaca 20 liwrów podatku gruntowego, a tém samym czterystu osadzonych tam rzemieślników staje się zaimprovizowanymi wyborcami, posługującymi pewnemu stronnictwu. Dziwny to kraj ta Anglia, w której na korzyść jakiegoś tam kandydata do izby niższej, zakładają nowe miasteczka.

Mijając Woolwich, spostrzega się nieco na lewo dwa bliźnie tumy w Greenwich, które opływa się łukiem dwumilowym. Odtąd widok coraz bardziej staje się zajmującym, a umysł tak silnie odbiera wrażenia, że zapominamy o czasie. Jesteśmy już w pobliżu Londynu: lewy brzeg Tamizy, dotychczas smutny i opuszczony, zaczyna się ożywiać; rzucone miejscami warsztaty fabryczne, składy i zabudowania przygotowują podróżnego do widoku wspaniałej panoramy, która ma się roztoczyć na prawym jej brzegu, strojnym w długi różaniec z okrętów.

Tu i owdzie pojawiają się już tak zwane waterman'y, statki parowe licznie zawsze zajmowane, których do czterystu pełni służbę nadbrzeżną. Krążą one obok brygów i trzymasztowych okrętów kompanii Wschodnio-indyjskiej; pomiędzy niemi zaś uwija się mnóstwo bark i czólen. Obok tej pełni życia i ruchu na rzece, która zdaje się obejmować ramiona i kołysać na swym grzbiecie całe miasto, brzegi, choć ludne i pokryte zakładami fabrycznymi, mają pozór martwości.

Już blisko południa; słońce srebrnym połyskiem oświeca węgliste wyziewy, co gęstą chmurą wzbi-

jają się ku niebu, ćmiąc jego błękit. Okręty w gęstym stojące szyku wzdłuż tego bulwaru płynnego, tworzą las masztów, przez które widać rzędem magazyny, składy, rękodzielnie, z wybiegającymi wysoko kominami. Na ziemi i na wodzie każdy się krząta i pracuje; rzeka, smagana kołami parochodów, nieustannie się pieni, a lubo w powietrzu najłżejszego niema powiewu, powierzchnia jęj faluje się, jakby śród burzy.

W miarę jak statek posuwa się naprzód, dziwny ten dramat coraz więcej nabiera życia. Gdziekolwiek spojrzysz, sterczą ogromne kadłuby okrętów, a cała szerokość kanału, jakbądź niezmierna, tak niemi zapelniona, iż zdaje ci się że uwięzniesz w tym chaosie. Pod Greenwich ciżba już wielka, lecz trzykroć większa za zbliżeniem się do Londynu. Ten olbrzym handlowy rozsiadł się wygodnie po obu brzegach Tamizy; dwakroć sto tysięcy kominów sterczy nad nim, jak obeliski zionące dymem i ogniem; setkami wznoszą się dzwonnice, kończate i rzeźbione; jego domy z ciemnej cegły, pokryte czerwoną dachówką, piętrzą się jedno nad drugie, służąc za podstawę wspaniałej bazylice i tumowi św. Pawła, co dumnie sklepionym szczytem całemu miastu króluje.

Londyn nie posiada nadbrzeży; zabudowania nad rzeką dotykają prawie fali, i wprost z okrętów odbierają ładunki wszelkiego rodzaju, których City głównym jest składem. Domy te, na rozmaity przeznaczone użytku, bardzo téż różne w kształcie i wejściu zewnętrzném; koło nich pełno mostków łyżkowych łączących je z rzeką, i wind do podnoszenia ciężarów; w środku zaś niezliczone mnóstwo towarów i materyałów surowych. Brzeg prawy poświęcony wyłącznie przemysłowi; jestto olbrzymie przedmieście zaludnione przez rzemieślników. Porozrzucane w pozornym nieładzie warsztaty, tumania tam bezustannie kłębam dymu, wyrzucanego z ich szczytów. Brzeg lewy na pierwszym planie mniej więcej podobny przedstawia widok; lecz między dzielnicą nadbrzeżną i gmachami środkowego miasta wznosi się las masztów i powrozizn, co każe się domyślać że tam płynie odnoga Tamizy. Sąto doki londyńskie, św. Katarzyny i kompanii indyjskiej; kanały wykopane wzdłuż rzeki prowadzą tam okręty, których tysiące mieszczą się w nich grupami.

Brak pobraży, i powstająca ztąd nieregularność w rozkładzie budowli, niemile zrazu czyni wrażenie. Lecz wspaniałość Tamizy, tak szerokiej, że może wygodnie pomieścić tyle paropływów i trzy-masztowych okrętów, ile bulwary paryzkie mieszczą fiaków i powozów, wielkość ogólnych zarysów i różnaitość szczegółów, zacięra wkrótce to uczucie przelotne. Spoglądasz z zadziwieniem na statki różnej wielkości, wpływające do zabudowań, jak gdyby do siebie; porywa cię to życie tak czynne i ruchliwe. Śród tego portu osutego tyłą istot pracowitych, zapominasz że jesteś na wodzie! Domy miasta, pomieszane z żaglami i tułowami okrętów, zdają ci się przedłużeniem Tamizy; pojmujesz teraz, że ten ogromny gościniec nie może być przerwany wzniesieniem pobraża, że byłoby skrepowaniem wielkości, zniszczeniem harmonii jego. W istocie dźwignią Londynu, ogniskiem jego ruchu, jest morska odnoga nazwana Tamizą, która wnika wszędzie i wszystko ożywia, jak strumyk wijący się po dolinie użyznia ją swym chłodem.

Pośród téj dziwnej panoramy dwa tylko pomniki świadczą o dawno ubiegłej przeszłości. W oddaleniu kościół św. Pawła, a bliżej wieża londyńska, niezgrabny gmach kwadratowy, z cienkimi dzwonnickami nalepionemi po rogach, którego pomysł wyszedł chyba z mózgu jakiego dozorca więzienia. Z wyjątkiem tych dwóch olbrzymów, owe rzędy fantastycznych zabudowań, owe składy i warsztaty z czarnymi kominami, pokryte dzikiem winem lub bluszczem, owe kioski malowane z czerwonymi dachami, wszystkoto ma pozór wschodni czy indyjski. Wspominasz o Tyrze, o Kartaginie; przenosisz się myślą nad brzegi Gangesu, do Ameryki; mającą ci się dziwaczne państwa Niebieskiego siedziby, lub obrazy dawnych mistrzów szkoły flamandzkiej. Pragniesz zdać sobie sprawę z doznanego wrażenia i dlatego szukasz porównań; ale widok jaki masz przed sobą tyle jest odrębny, że nie znajdujesz nigdzie podobieństwa, a umysł twój zdumiony napróżno wszystkie przerzuca wspomnienia.

Lecz scenę tę, godną podziwu, smutna jakaś i mroźna owiewa atmosfera. Widziałeś jak Tamiza, samotna przy ujściu, stopniowo się zaludniała, śledziłeś wzniesienie tego ruchu, i w kilka godzin z pustyni przeniosłeś się w główne życia ognisko;

poruszasz się śród niego, boć to rzeczywistość najdotykalniejsza; a jednak prawie w nią nie wierzysz. Nieokreślone jakieś uczucie osamotnienia ściska ci serce; w tym tłumie okrętów chłoszczących spienione fale, po których snują się roje postrojonych mężczyzn i kobiet, mieszczan i rzemieślników, w tej ciżbie ludzi każdego stanu i wieku, jest życie, jest czynność nieustająca, ale patrzymy na nią jak na marzenie, jak na ciosane laleczki mechanicznej cykloramy.

Bo otóż tej dramie wspaniałej zbywa na wrzawie, na hałasie. Życie Tamizy jest jakby pantomina. Usta zamknięte, twarze lodowate; nie usłyszysz ani śmiechu, ani krzyku. Wyrobnicy nie przyspieszają sobie w pracy; każdy spogląda obojętnie i milczy. Kiedyniekiedy za ledwo odezwie się na okrętach głos piskliwy dziecięcia, powtarzającego jednotonnie sygnały przez kapitana na migi udzielane.

Anglicy wyrobili sobie oddzielny sposób rozmowy, odpowiedni ich zwyczajom: jestto półgłośne mruczenie, przerywane lekkim poświstem. Wyrazy nie wymawiają się prawie, bo skoro tylko Anglik używa piersi lub gardła zamiast zębów, mowa jego staje się trudną do zrozumienia, a przytém przykrą dla ucha. W Londynie każdy bawi się sam z sobą i pracuje dla siebie, szczerze, lecz w milczeniu.

Ale już paropływ zbliża się do mostu londyńskiego; koła ustają w ruchu, przybijamy do brzegu i wchodzimy na dziedziniec komory, pełen kommisjonierów i tragarzy, którzy przyjmują nas i otaczają, nie wymówiwszy ani słowa.

Podróżny, co kiedykolwiek miał powód narzekania na komory stałego lądu, niechaj jedzie do Londynu, a niezawodnie pogodzi się z niemi. Tam zakłady celnicze mają wprawdzie pazury, ale i zwinność kota; tu łączą one z drapieżnością hyeny powolność węża dusiciela, trawiącego swą zdobycz. Ceremonia cała trwa najwięcej 5 do 6 godzin, jeśli przypadkiem nie przyjechał w dzień świąteczny, bo w takim razie musisz czekać do południa dnia następnego; odbywa się zaś następującym porządkiem: kommisjonery dowiadują się w którym staniesz hotelu; potem prowadzą cię pod strych, gdzie jest biuro komory. Tam dają ci karteczkę z numerem, tenże sam numer przyczepiają do twojego tłumoka, i rzeczy twoje przechodzą w ręce urzę-

dników, którzy je przetrząsną w twojej nieobecności; ciebie zaś z niczém wyprawiają na miasto. Zwyczaj ten, oddawna w Anglii utarty, przejmuje nieufnością cudzoziemców; szczególnież damy nasze polecały celnikom swe pudła od kapeluszy z taką troskliwością, jak gdyby tam się mieściły rodzone ich dzieci.

Odtąd wyprawa przechodzi pod kierunek tłumaczy, czyli przewodników, którzy w liczbie czterech dzielą między siebie podróżnych. Przewodnicy ci mówią po francuzku, po niemiecku, po włosku i po hiszpańsku, i zwykle są dosyć ukształceni.

Wypada nam wspomnieć naprzód o moście londyńskim (New-London-Bridge). Zaczęty w roku 1825, otworzonym został dla publiczności w r. 1831. Chociaż rzeka w tém miejscu jest najszersza, cały most, zbudowany z granitu szkockiego, na pięciu tylko opiera się łukach, z których środkowy szczególnież zadziwia olbrzymiością rozmiarów i śmiałością rzutu, skrajne zaś obejmują swém sklepieniem nadbrzeżne obu stron ulice. Tym sposobem przebywają tam pojazdy obok okrętów, piesi obok płynących, a ruch przemysłu wre na nim i pod nim.

Przy moście stoją cztery waterman'y, jeden tuż obok drugiego. Aby się dostać na ostatni, trzeba przebyć trzy pierwsze; każdy więc bieży z pośpiechem, szukając swego miejsca. Jeden z tych omnibusów parowych miał nas powieźć blisko hotelu zamówionego dla wyprawy. Z przyjemnością poraz pierwszy ujrzelśmy się pomieszani z tłumem Anglików; ale choć brody nasze i wąsy znamionowały cudzoziemców, nie byliśmy jednak przedmiotem niczyjej ciekawości.

Na stacyi Southwark jakiś gentleman przybył w towarzystwie dwóch kobiet, jedno tylko miejsce było niezajęte; Anglik rozsiadł się na niem wygodnie, nie troszcząc się bynajmniej o damy. W jednej chwili zerwało się czterech z naszego towarzystwa, ofiarując im z wdziękiem opróżnione siedzenia. Damy z początku nie wiedziały jak to przyjąć, w końcu jednak usiadły, dziękując uśmiechem za grzeczność, którą mężczyznom, ile mnie się zdawało, niekoniecznie dobrze uważali.

Koło mostu Blackfriar, wprost kościoła św. Pawła, z kąd widać już Somerset-House, obszerny pałac architektury klassycznej, Tamiza zwraca się w lewo, a zabudowania nadbrzeżne wspanialszą

przybierają postać. Mijamy Temple-Bar, z przeszlicznym ogrodem i zgrabnym pawilonem gotyckim w czerwone cegielki: uderza nas okazałość mostu Waterloo, którego powierzchnia wznosi się na 50 stóp ponad rzeką; podpięra go dziewięć arkad, po 120 stóp długości a 35 wysokości; cała zaś długość jego wynosi 2,456 stóp angielskich. Most Waterloo zbudowany jest w stylu rzymskim, cały z granitu i w olbrzymich rozmiarach. Na nimto, obok biura poboru mostowego, znajduje się ów głośny kozielec czy kołowrot żelazny, który przepuszczając po jednej tylko osobie, obrotem swoim posuwa skazówkę na tarczy umieszczonej w izbie dozorca, i tym sposobem sam znaczy liczbę przechodniów. Pomysł to prawdziwie angielski.

W głębi miasta Tamiza jest nietylko gościńcem, lecz oraz miejscem zabaw, rodzajem parku wodnego. Pomiedzy mnóstwem paropływów krążących we wszystkich kierunkach, uwijają się tysiące małych czółen, jak na ładzie jeźdźcy koło powozów. Anglicy lubią się ścigać, czyto konno, czy na wodzie; często też brzegi rzeki pokryte są tłumem ciekawych, wyglądających z niecierpliwością rzućnia petardy, jako znaku zwycięstwa. Na łodziach tych, lekkich i smagłych, wiosłarze poubierani są, jak żokeje, w kurtki i czapki różnokolorowe. Patrząc na tę wesołą mieszaninę, w której góruje barwa czerwona i niebieska, mniemałbyś że wszystkie maczki i bławatki pól okolicznych, znudziwszy się między zbożem, przybiegły musnąć powierzchnię Tamizy.

Z żalem pożegnaliśmy tę widownię spokojnej pracy i ożywionych zabaw; przeprowadzono nas przez rynek, w którym na marmurowych stołach, ubranych w szkiełka brylantowane, wystawiano na sprzedaż raki morskie, jesiotry i łososie. Nareszcie, minawszy Leicester-square, stanęliśmy przed hotelem „Książę Gallów”, gdzie już nas czekało mnóstwo przekupniów ulicznych, zwabionych tu nadzieją sprzedania obrazów, nożów i brzytew.

Po rozdzieleniu numerów, co dużo zajęło czasu, bo każdy z 45 podróżnych domagał się najlepszych pokojów, wrzeszczał, spierał się i unosił, większa część towarzyszków moich wysypała się na miasto, pałając niecierpliwością zwiedzenia jego ulic, jak gdyby nazajutrz mieli wyjechać: i ja też udałem się z nimi. Szliśmy gromadnie, rozmawiając głośnie gestykulując, a przechodnie, zdziwieni tą wrzawą

niezwykłą, z ojcowskim na nas spoglądali uśmiechem.

Plac Trafalgar, dokąd powiedli nas przewodnicy, jest wielki, lecz nieszykowny, zabudowany w kształcie trapezu. Ze środka jego bije wodotrysk, za którym wznosi się kolumna Nelsona. Ten pomnik narodowy na wstępie zaraz niekorzystne o guście Anglików daje wyobrażenie. Wystawiony, jak mówią, z marmuru, mnie wydał się biało lakierowany. Rowkowana kolumna, uwieńczona ogromnym kapitelem korynckim, dźwiga posąg Nelsona. Zwycięzca zpod Trafalgar ubrany jest w kapelusz mocno po brzegach wyżłobiony, tak iż końce jego wyglądają jak rogi, a cała statua, widziana od strony rzeki, podobna bardzo do diabła. Za bohaterem artysta umieścił linę okrętową zwiniętą w ślimaka, która najpocieszniesze obudza myśli; na dobitkę wzdłuż grzbietu jego wybiega gromochron, mierzący całą wysokość posągu, jak skórzana podziałka krawiecka.

Dodajmy, że w Anglii wierzchołki kolumn, na które wstępuje się po schodkach wewnętrznych, są zwykle z boku i wierzchu okratowane, tak, iż zwiedzający siedzą jak w klatce. Jestto ostrożność potrzebna ze względu na manię krajowców, którzy szczególnego nabrali byli gustu; lubili bowiem wchodzić na te pomniki sławy i z tamąd o bruk się rozbijać. Nie wiem tylko, czy w ojczyźnie spleenu kapitele nawet bywają nim dotknięte; widziałem bowiem w Belgrave-square olbrzymie głownice korynckie otoczone gęstą kratą żelazną. Miało je to może ochronić od jaskółek; lecz te kolumny klasyczne w drucianym czepku, zabawny przedstawiają widok.

Zresztą Anglicy, jeśli tylko nie silą się na tworzenie pomników, umieją stawiać piękne i okazałe budowle, starają się o przyozdobienie ulic, zachowując ścisłą symetrię, i stosując nowowznoszone domy do stylu dawniejszych. Gmachy rządowe, lub przeznaczone na jakikolwiek użytek publiczny, nietylko im się udają, bo Anglik zna się tylko na komforcie życia wewnętrznego. Jakże nieskładną naprzykład jest galeria narodowa obrazów; wysoka, chuda, źle oświetlona, dźwiga małą kopułkę, podobną do zostawionej na platformie czapki żokeja. Miejsca w niej tak mało, że chociaż zawiera tylko 214 obrazów, i ta przecież szczupła liczba pomieszczona ciasno, częstokroć w niewłaściwym świetle.

Pierwszym zawiązkiem tego zbioru było nabycie w r. 1824 trzydziestu ośmiu obrazów z galeryi Angerstein; we dwa lata później wzbogacony został darem sir Jerzego Beaumont; i otóż, wzrastając stopniowo, dziś jest już przepelniony, chociaż budynek ukończono dopiero w r. 1838.

W tym kraju tradycyjnego porządku i czystości, jedne tylko zakłady poświęcone sztukom pięknym utrzymywane są niedbale. Stajnie czyste i błyszczące jak muzea; muzea brudne, jak gdzieindziej stajnie. Podczas gdy arcydzieła mistrzów różnych epok butwieją w pyle zapomnienia, tymczasem tłumy wykwiutnej publiczności cisną się do ogrodu zoologicznego dla widzenia hippopotama. Ten potwór długo był klejnotem wyższego towarzystwa. Trudno wyobrazić sobie więcej drobiazgowych starań w uprzedzaniu potrzeb tego ulubieńca, a z drugiej strony więcej obojętności na stan tak ważnego zakładu, jakim jest galerya narodowa. W tej ostatniej jedno tylko urządzenie wydało mi się właściwem; chcę mówić o gęstym rozstawieniu ławek i fotelów, z których wygodnie przypatrywać się można obrazom.

A jest się czemu przypatrzeć, bo zbiór ten, chociaż nieliczny, bogaty wszakże w dzieła wyborowe. Zdaje się, że na jego utworzenie mistrze sztuki złożyli najświętsze swych wieńców listeczki. Francya dostarczyła obrazów Poussin'a i najpiękniejsze z krajobrazów Klaudyusza Lorrain. Włochy obfitą także przyniosły daninę; wymienimy dwa obrazy Rafaela, to jest portret Juliusza II, i wielką kompozycją rodzajową, przedstawiającą *rzeź niewiastek*, arcydzieło siły i życia.— *Wskrzeszenie Łazarza*, przez Sebastjana del Piombo, jest najznakomitszym obrazem tego artysty, jaki kiedykolwiek widzieć mi się zdarzyło.— *Sen życia ludzkiego*, dziwaczny utwór Michała Anioła; pięć obrazów Tycyana, między niemi *lekcya muzyki*, szacowny nabytek Karola I; sześć obrazów Corregio, z których trzy jednak wydały mi się podrobione; najlepszy z nich *Kupidyn nauczany przez Merkurego*, kupiony przez Karola I od księcia Mantui. Wyborny pod względem kolorytu i perspektywy krajobraz Salvatora Rozy, tudzież pomniejsze dzieła Pawła Veronese, Giorgion'a, Canaletta, Garofola i innych, dopełniają oddziały szkoły włoskiej.

Świetniej jeszcze reprezentowaną jest szkoła flamandzka. Dziewięć obrazów Rubensa, między

któremi dwa krajobrazy śmiało i szeroko nakreślone; trzy portrety i przepyszne studia koni Van Dyk'a; portret Van Eyck'a i rodzina święta Jordans'a, podarowana przez księcia Northumberland. Równie znakomitych przedstawicieli ma szkoła holenderska. Na czele ich stoi Rembrandt, którego gieniusz wszechstronny jaśnieje równie w krajobrazach i portretach, jak w obrazach historycznych. Ze szkoły hiszpańskiej znajdujemy tu dwa obrazy Murilla, *wieśniaka* i *Rodzinę świętą*, tudzież Velasquez'a *turnieje na murawie*, w którym figurki pierwszego planu przedstawiają Filipa IV i dwór jego. Vernet, Greuze, Lancret i Sebastyan Bourdon niedokładne dają Anglikom wyobrażenie o malarstwie francuzkiem; wspomniane bowiem wyżej twory Poussin'a i Klaudyusza Lorrain, włączyli oni, przez niewiadomość czy zawiść, w poczet szkoły rzymskiej.

Sama wreszcie Anglia dała obrazy Angeliki Kaufmann i Wilkie'go, portrety Lawrence'a, szkice Reynolds'a, nakoniec piękne krajobrazy Wilson'a. Są to malarze utalentowani; lecz jedynym gieniuszem, jedynym twórcą samodzielnym tego kraju jest William Hogarth. Oto mistrz, który osobny wykształcił rodzaj; rysunek jego śmiały i pewny, koloryt gorący, a wykończenie drobiazgowo; przytém w każdym obrazie jego przebija jakaś myśl filozoficzna lub moralna; jestto Szekspir pomiędzy malarzami. Przeważne zamiłowanie Anglików w pracach rytowniczych, czyni ich obojętnymi na sławę malarza-humorysty, jedynej znakomitości szkoły, która bez niego nie istniałaby wcale.

Kto zechce przekonać się o niewykształconym smaku krajowców pod względem sztuk pięknych, niech wstąpi do muzeum Vernon, znajdującego się pod schodami galeryi. Zbiór ten kopij dla delikatnych oczu jest rzeczywiście przerażającym; zdaje się, jakoby artyści nakładali kolory wprost bez żadnego podmalowania, a często, ubiegając się za jasnością, ujmują oni cienia, przez co obraz staje się płaskim. Są wprawdzie wyjątki od tej reguły; lecz właśnie najwięksi bazgracze lubią wszczepiać tym sposobem szlachetny zraz mistrzów w swój własny pień nieokrzesany, lubią przesadzać różę pomiędzy głogi.

Galerya narodowa w Londynie jest drogocennym klejnotem, w oprawie ołowianej; a co dziwniejsza, że w kraju tak bogatym podobny zakład istnieje







dopiero od lat kilkunastu. Lecz w Anglii zbyt surowość obyczajów przeszkadza rozwinięciu się sztuki. Rewolucya r. 1648 przycięła jej skrzydeł, któremi już się wzbijała do lotu pod Karolem I, gorliwym jej wielbicielem. Galerya tego króla była najbogatszą w Europie; Cromwell, zagorzały przeciwnik wszystkiego, co mogło przypomnieć wystawność kościoła rzymskiego, kazał ją sprzedać o ile było można, a resztę zniszczyć. Angliacy nie mogą mu wybaczyć tego czynu fanatycznej ciemnoty.

Miałem nieraz sposobność przekonania się, ile opinia publiczna w Anglii niesprawiedliwą jest względem Cromwell'a, twórcy materyalnej pomysłowości swego kraju. Obyczaje angielskie, surowe i zimne, jego są dziełem. Ta bigoterya, granicząca z świętoszkostwem, ta oziębłość zewnętrzna, ten ciasny formalizm przypada do smaku narodowi. Ceni on swój charakter, kocha się w uświęconych zwyczajach, nie oddalby ich za nic w świecie, a jednak nie ma litości dla swego wzoru, i nie może odpuścić Cromwell'owi, że go zrobił tępym, czem jest. Żal ten jest głosem pogwałconej natury, nieokreśloną tęsknotą za swobodą wyobraźni, której powaby i ułudy prawie tam nieznane.

Zajmującą jest rzeczą wnioskować z porównania o przyszłym losie dzisiejszych koryfeuszów politycznych. Staralem się więc usilnie zasięgnąć zdania o Cromwell'u w różnych klassach społeczeństwa angielskiego, i spostrzegłem, że urok tej postaci historycznej zupełnie jest rozwiany. Synowie Brytanii, dumni z niezależności swojej, widzą w protektorze obalonego tylko despotę. Życie Cromwell'a, jak je skrył Bossuet, zupełnie jest prawdziwe w oczach rozczarowanych Anglików.

W społeczeństwie tępym, poświęconym zupełnie interesom terażniejszości, wspomnienia niewiele wywierają wpływu. Dla poparcia tego twierdzenia przytoczę dwa tylko przykłady. Na dzisiejszym Trafalgar-square wzniesiono statwę konną Karola I, pierwszy posąg który stanął na ziemi angielskiej. W czasie wojny domowej parlament sprzedał ją kolarzowi na przetopienie. Przewidujący rzemieślnik zachował ją nietkniętą, i po restauracyi zwrócił Karolowi II, który ustawić kazał posąg w miejscu gdzie się teraz znajduje. Przed tymto pomnikiem, w obliczu White-Hall, gdzie stracono Karola I, heraldowie ogłaszają dziś wstąpienie na tron królów Wielkiej Brytanii.

Dalej ulicą parlamentu idzie się do Westminster, grobowca monarchów, którzy przyjąwszy koronę tam, gdzie kiedyś spoczywać będą ich zwłoki, w pół drogi napotykają ziemię zbroczoną krwią jednego z swych poprzedników. Z dawnego pałacu White-Hall, zniszczonego przez pożar w r. 1695, pozostała tylko sala godowa, wystawiona przez Jakóba I; powała w niej ozdobiona olbrzymim malowidłem Rubens'a, wyobrażającym apoteozę tego króla. Do jednego z okien tej sali, przemienionej dziś w kaplicę protestancką, przymocowane było wiązanie szafotu, na którym ścięto Karola I. Przewodnicy nasi nie mogli się jednak zgodzić co do miejsca: jeden naznaczał je z frontu, drugi z przeciwniej strony, i pokazało się koniec końcem, że Angliacy nie wiedzą już nawet gdzie się odbył krwawy ten dramat. Widać jak mało u nich popłacają pamiątki historyczne, tak drogie dla serc poetycznych, marzących.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## MOTYLE.

*Nimfa fioletek* (*Argynnis aglaja*), zwany także *Rusałka*, motyl dzienny na rycinie załączonej (fig. 1, c. d.) wystawiony, ma skrzydła z wierzchu czerwono-pomarańczowo-żółte, a na tępym tle ogólnym czarne,

mniej więcej zaokrąglone plamy. Obwód ich stanowi szereg plamek trójkątnych, czarnych, przedzielony wąską, przerywaną linią, tegoż co tło czerwono-żółtego koloru. Na tylnych skrzydłach pla-

my środkowe zebrane są w szereg mocno, łukowato krzywy; poniżej tego szeregu, składającego się z plam podługowatych, niemal połączonych, jest drugi rząd plamek mniejszych, okrągławych, obrzednio rzuconych; powyżej zaś, ku nasadzie skrzydeł, nieforemna grupa plam podłużnych, krzywych, jakby kółko swém zbliżeniem tworzących. Na spodniej stronie końce przednich czyli wierzchnich skrzydeł są zielonawo-żółto ubarwione, z takimież, częstokroć srebrzysto połyskującymi, plamkami. Spodnia strona tylnych skrzydeł ma tło ogólne blado-żółte, po niem idą żyłki nieco ciemniejszego koloru, a wszystko narzucone jest gęstemi, dużemi, od nasady aż za środek sięgającymi plamami koloru blado-zielonego. Obwód przedni przy nasadzie srebrzysto połyskowny; na nim trzy małe srebrne plamki, dalej trzy większe, a w środku łukowaty szereg siedmiu plam srebrnych, które od środka oddzielone są linią czarną, z brzegu zaś brunatnawymi lub zielonawymi plamami otoczone. Wzdłuż zewnętrznego obwodu, który przedzielony jest podwójną ciemniejszą linią od frezlowatego obrębka, leży siedm okrągłych, wewnątrz zielono lub brunatnawo obwiedzionych, srebrzystych plam. Od dwóch innych bardzo podobnych gatunków, różni się fioletek skrzydłami w większej części na spodzie zielonemi, i tém, że nie ma rdzawych plam na ich obwodzie.

Gąsienica (fig. 1 a) tego motyla jest czarniawa, a środkiem przez grzbiet jej ciągnie się żółta, czarna linią przedzielona pręga; po bokach idą rzędy ceglasto-czerwonych kropek. Znaléć ją można w maju i czerwcu dorosłą na dzikich fiołkach. Poczwaraka jest ciemno-brunatna, zwykle cieńszym końcem na nitce delikatnej zawieszona, i zawsze zgięta w ten sposób, jak widać na załączonej rycinie (fig. 1 b).

Motyl ten, niemal w całej Europie dosyć pospolicity, zjawia się w drugiej połowie czerwca i lata aż do połowy sierpnia. Napotkać go można szczególnie pod lasami, na łąkach leśnych i t. d. Lot jego jest dosyć szybki, ale rzadko kiedy ciągły; buja zwykle z kwiatu na kwiat, gdzie mu się nadarzy pożywienie, lecz najczęściej spotkać go można na dzikiéj dryakwi.

*Nimfa srebrnokres* (*Argynnis Paphia*, fig. 2 a) motyl także dzienny, na pierwszy rzut oka bardzo do poprzedzającego podobny, widziéć się daje również po całej Europie. Jego gąsienica (fig. 2 a) żyje przy końcu maja i w czerwcu na liściach rośliny zwanéj fiolek dziki; rzadko jednak napotkać ją można, jużto dlatego że po wylęgniéciu się z jaja w ciągu dwóch tygodni dorasta i przemienia się, już znowu że roślinki któremi się żywi są małe, między innymi ziołami ukryte. Rycina pokazuje jak ta gąsienica różni się od poprzedzającego gatunku długimi kolcami i jak się przemienia w bardziej jeszcze niepodobną, siwo-żółtą, złocisto-kropkowaną poczwarkę (fig. 2 b). Zawieszona bywa u spodniej strony liścia, a we dwa tygodnie po przemianie wykluwa się z niej motyl. Na rycinie wystawiona jest samiczka; u samca mniej bywa czarnych plam na wierzchniej stronie skrzydeł, tylko kilka czarnych, po bokach ciągnących się krések. Atoli różnica ta nie jest tak wielka iżby za pierwszym rzutem oka nie można było poznać, że obydwaj motyle do jednego należą gatunku. Znaléć je można w lipcu i sierpniu w lasach liściastych i rzadkich zaroślach, a częściej jeszcze na zasiewach lucerny; chętnie także siada na kwiatach ostu, na jeżynach a niekiedy i na pokrzywach.

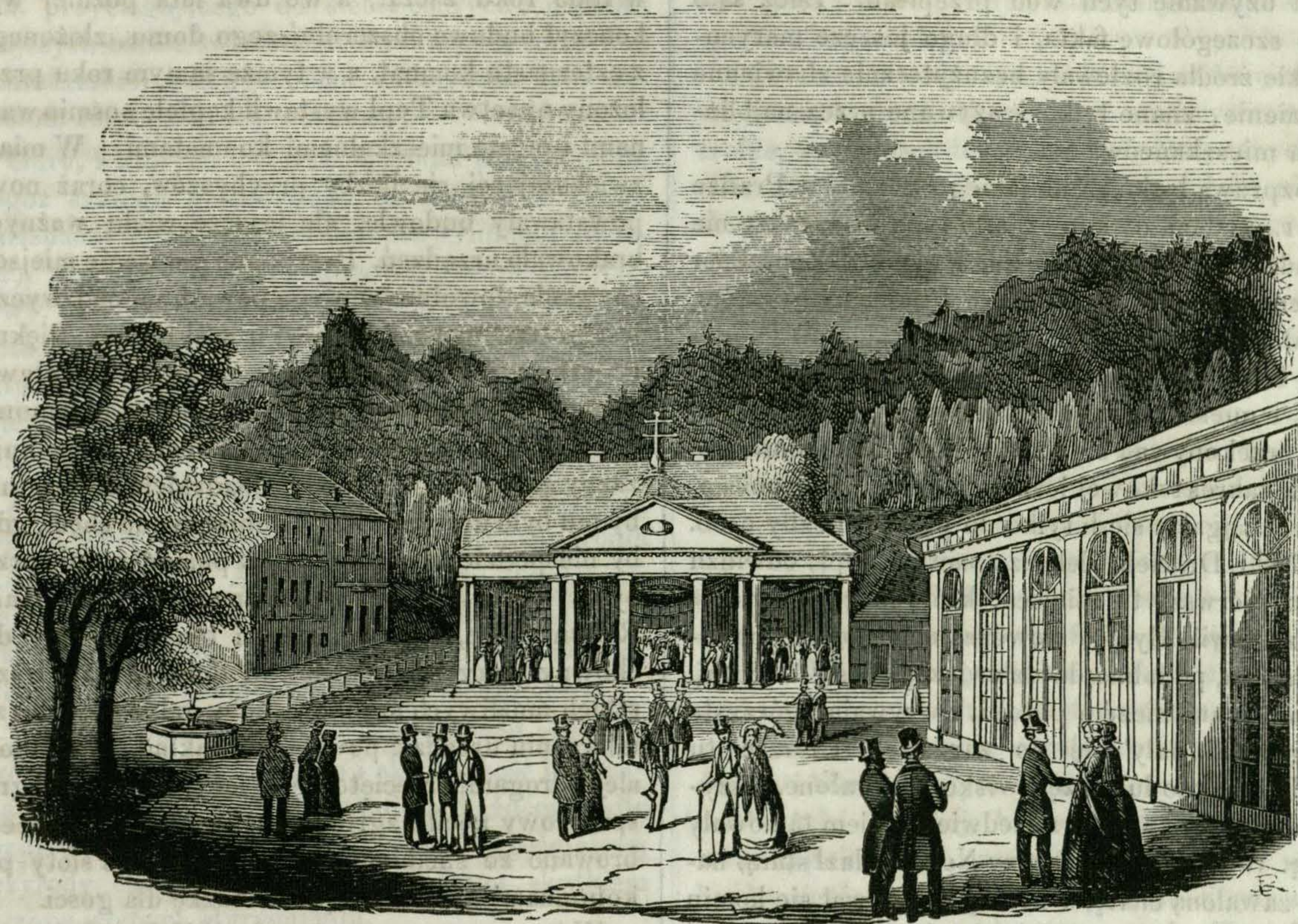
## M A R Y E N B A D

PRZEZ

DRA. T. TRIPPLINA.

Piękne są okolice Maryenbadu. Dolinę w której leży, na 1932 stóp nad poziom morza wzniesioną, otaczają wyniosłe góry, których wierz-

cholki gęstemi, iglastymi drzewami uwieńczone. Ten mur skalisty, dobroczynną ręką natury wzniesiony, z trzech stron obejmując Maryenbad, nie-



Kreuzbrunnen (źródło krzyżowe) w Maryenbadzie.

dozwala szaleć zachodnim ani północnym wiatrom; tylko łagodny powiew południa może sobie tu czasem poigrać.

Miejsce to, dzisiaj tak uczęszczane i całemu ucivilizowanemu światu znajome, przed niespełna stu laty było jeszcze dziką, zarosłą, prawie niedostępną puszczą, której uroczystą ciszę przerywała tylko pieśń samotnego wędrowca, okrzyk myśliwego lub loskot zgrzybiałego drzewa, walącego się na ziemię.

W pilzeńskim okręgu, o dziesięć mil od Pilsen, a pięć od Eger i Karolowych warów (Karlsbad) leży wieś Auszowic, według którejto nazwy dzisiejsze marienbadzkie wody dawniej auszowickimi słonemi źródłami mianowano. Zaraz po zamieszkaniu tej okolicy musiały już źródła te zwrócić na siebie uwagę ludności i zbawienna ich własność musiała być

znana małej liczbie osób. zanim się stała powszechnie wiadomą. O bogatej treści mineralnej wód auszowickich już w XVI stuleciu dobrze, jak się zdaje, wiedziano, kiedy cesarz Ferdynand I miał myśl założenia warzelnii soli przy źródle, dzisiaj od jego imienia nazwanem. List tego monarchy poleca ówczesnemu przełożonemu opactwa Tepl, do którego włości i ta okolica należała, aby wysłał kilka flaszek auszowickiej wody do Pragi, gdzie biegli mieli zająć się dokładniejszym jej rozbiorem. Mierna stosunkowo ilość soli kuchennej w źródle Ferdynanda, była zapewne przyczyną, że plan ten nie doszedł do skutku i że dalszych szczegółów tej okoliczności nie znamy: ale to z pewnością wiadomo, że przy końcu XVI stulecia doktor Hörnigk w Karlsbadzie pacjentowi swojemu, radcy Rudolfa II Prudentius, doktor zaś Reudenius w Schla-

kenwald 1603 r. Joachimowi Liebstejnsky z Kolowrat i doktor Düler w Karlsbadzie prałatowi Rajmund używanie tych wód przepisali. Lecz sąto tylko szczegółowe fakta, i długo jeszcze maryenbadzkie źródła rozlewały bezużytecznie zbawienne strumienie, znane tylko i używane przez najbliższych mieszkańców.

Rozprawa łacińska niejakiego Scrinici w Pradze 1760 r. wydana o skuteczności tych wód, także nie wzbudziła wielkiego zajęcia, i dopiero Zeuschner pismem w roku 1768, także w Pradze ogłoszonym, zdołał pilniejszą na nie zwrócić uwagę. Wybudowano kilka zakładów do wydobywania soli glauberskiej, i mieszkańcy poblizkiego opactwa Tepl zaczęli przekonywać się o zbawienną działalność źródła; ale zakres takowej jeszcze bardzo był ograniczony, rozciągając się li tylko do pewnej liczby osób. W 1799 r. Dr. Nehr, lekarz opactwa Tepl, odwiedził po raz pierwszy te miejsca, których ciekawy opis nam zostawił. Byłato wówczas niedostępna, ponura puszcza, podobna do dziewiczego lasu Ameryki. Niehamowane niczém potoki, rozrywając górzyste brzegi, rozlewały się po zarosłach, tworząc tu i owdzie bagno lub trzęsawisko. Powalone, mszyste drzewa za każdym nieledwie krokiem tamowały drogę. W środku téj puszczy Nehr znalazł starą, napół zawaloną chatę, w której znajdował się komin z dwoma wmurowanemi kotłami, gdzie widać sól glauberską wywarzano. Przenikliwy i bystry jego umysł zrozumiał całą ważność tych skarbów natury. Od czasu więc jak się przekonał o nieomylności postrzeżeń swoich, założył sobie za cel życia rozgłosić takowe i przysłużyć się ogółowi nowym żywiołem do poratowania zdrowia, które tak łatwo jest utracić, a tak trudno odzyskać. Przedsięwzięciu temu szlachetny ów przyjaciel ludzkości poświęcił wszystkie siły swego życia.

Skutek uwieńczył dzieło, wprawdzie stopniowo tylko, dosyć jednak szybko w porównaniu z innemi kąpielami i wodami. Zaczęto wycinać lasy, zatrzymano potoki w łożyskach, osuszono bagna, powstawiano budynki i dużo lat przeszło, zanim udało się Nehrowi, bardzo mało poparcia mającemu, przyczynić się zewnętrznem upiększeniem do rozgłosu sławy miejsc dotąd nieznanych, a tak zbawiennych. Zmieniono urządzenie krzyżowego źródła (Kreuzbrunnen), ulepszono jej wybudowano kąpiele na cztery części podzielone, ale szczupłe, nieod-

powiednie ilości osób, już wtedy pragnących korzystać z dobrodziejstw źródła. Jednakże Dr. Nehr w 1805 roku zaczął, a we dwa lata później wykończył budowę obszerniejszego domu, złożonego z czternastu komnat, a w tymże samym roku przełożony opactwa Tepl wystawił kąpiele z ośmiu wannami i pięciu mieszkalnemi komnatami. W miarę zwiększającej się liczby przybyszów, coraz nowe powstawały budowle, ale jeszcze wielu ważnych brakowało urządzeń. Przyjemne położenie miejsca, używanie dowolne świeżego powietrza, nadzwyczaj jest potrzebne przy kuracyi u wód branój. Piękne, majestatyczne widoki natury, szczęśliwie wpływając na umysł chorego, każą mu poniekąd zapominać o dolegliwym cierpieniu. I o tém nie zapomniał zacny założyciel wód maryenbadzkich; ale trudno by mu było urzeczywistnić dobroczynne chęci, gdyby niespodziewane poparcie w pomoc mu nie przybyło. W 1812 r. sekretarz opactwa Tepl, Karol Reitenberger, został opatem i ten czcigodny duchowny wszystkich usiłowań dołożył, użył wszystkich możliwych środków, żeby odpowiednio zamierzeniu urządzić powstający zakład. Porobiono aleje, drogami przecięto gęste lasy, obszerny ogród spacerowy nęcił i zgromadzał licznych gości; ocembrowano ze smakiem źródła, i na czas słoty pod kolumnami urządzono przechadzkę dla gości.

W tymże samym czasie ogłosił Nehr: *Opis mineralnych źródeł w Maryenbadzie, Praga 1813*, w niemieckim języku, w którym wyjaśnia wszystko co dotąd zrobiono i co jeszcze dla dobra ludzkości do zrobienia pozostaje. Pismo to, jakoby zaproszenie do odwiedzania nowo odkrytych źródeł, nie pozostało bez skutku, bo wkrótce, za napływem przybywających, pokazała się potrzeba nowych budynków. W miarę rozwijania się, zakład obudzał coraz większe zajęcie w tych, co bliżej mogli mu się przypatrzyć, zwłaszcza téż w przełożonym opactwa Tepl. Koppmann, Nehr i Heil, wstępując w ślady poprzednika swojego, zaczęli rozwijać coraz większą czynność, wsparci przez lekarzy Schen'a i Heidler'a, który w 1815 roku był mianowany lekarzem przy tych wodach. W tymże samym roku rząd uznał Maryenbad za publiczne źródło. Dzisiaj miejsce to posiada więcej jak osmdziesiąt smakownych i wygodnie urządzonych budowli. Liczba gości, z rozmaitych krajów przybyłych, wynosiła w roku 1844 3,373, liczba zaś użytych kąpeli 35,307.

Im krótszą jest historia Maryenbadu, tém oczywiście się wykazuje ważność lekarska tego miejsca, przyciągającego do siebie chorych z najodleglejszych okolic świata. Zastanówmy się teraz nad charakterami geologicznymi nadającymi tym kąpielom szczególne ich własności.

Góry, z których wytryskują źródła Maryenbadu, tegoż samego granitowego są składu co i góry karlsbadzkie. Glina i świetniolupek (Glimmer-schiefer), razem z skwarcem stanowią główne ich warstwy. Prócz tego łoże bagniste w dolinie zawarte i otaczające źródła, mieści w sobie siarkę i drzewo bitumowe, z których przez rozkład naturalno-chemiczny powstaje ogromna ilość kwasu węglowego i innych gazów.

Z wielkiej liczby źródeł użyto głównie siedmiu, to jest: Kreuzbrunnen, Ferdinandsbrunnen, źródła Maryi, Karoliny, Ambrożego i Eola. Trzy pierwsze należą do rzędu alkaliczno-gorzko-solnych, trzy następne do alkaliczno-solno-żelazniaków, ostatnie zaś do solno-alkaliczno-kwaskowców.

Trzy odrębne charaktery owych wód mineralnych każą się domyślać, że i skuteczność ich rozmaita jest i w nierównym stopniu w każdym źródle rozdzieloną. Tak też jest w istocie. Najróżniejszej przyrody choroby mogą być z dobrym skutkiem leczone wodami Maryenbadu.

*Kreuzbrunnen* (źródło krzyżowe), najslawniejsze jest ze wszystkich, i jemuto Maryenbad winien głównie swą wziętość.

Według Berzeliusza w skład wody Kreuzbrunnen wchodzi:

Siarczanu sody	38,115
Solanu —	13,563
Węglanu —	7,133
— sithionu	0,114
— magnezyi	2,718
— wapna	3,934
— stroncyanu	0,003
— żelaza	0,175
— manganu	0,038
Fosforanu gliny	0,003
Krzemienia	0,387
<b>Razem</b>	<b>66,189</b>

Przytém kwasu węglowego 8,4 objętości.

Cieężkość gatun. — 1,0094.

Temperatura 11°—12° R.

Nie posiada ta woda żadnego zapachu, smak ma słabo kwaskowato-słony; świeża zupełnie jest przezroczystą i silnie perłuje; atmosferyczne powietrze strąca z niej osad.

Skuteczność wody tego źródła objawia się mianowicie na organach do trawienia służących, na wątrobie, naczyniach brzusznych, limfatycznych i na skórze. Pod wieloma względami działanie jej zbliża się do wód Karlsbadu, dlatego też przezwa-  
no Maryenbad zimnym Karlsbadem.

Sposób używania także podobny: zaczyna się od 3 do 4 kubków w przedziałach piętnasto-minutowych, i postępuje wolno aż do 10 kubków, pozostając w ciągłym a umiarkowanym ruchu. Gdyby niedość rozwalniała, należy przyczynić do każdego kubka łyżeczkę od kawy soli karlsbadzkiej.

Dyeta winna być zachowaną dość ściśle. Potrawy tłuste, surowe, zanadto pożywne, podlegające, sprawiają przy użyciu tych wód niestrawności, a nawet mogą spowodować febrę gastryczną.

Choroby dające się najłatwiej uleczyć używaniem wód maryenbadzkich, są następujące: zebrania długotrwałe żółci i szlamu w żołądku, kwasy, zatwardzenia i niemoc w tym samym organie i w systemacie żyły wrotniej, hemorrhoidy, choroby nerwów, hypokondrya, zawrót, zatwardzenia wątroby, kamienie wątrobiane i nabrzękłości gruczołów.

Szkodliwemi stać się mogą wody Kreuzbrunnen osobom krwistym, do zapaleń skłonny, krwotokami trapiącym, na błędy organiczne serca lub wielkich naczyń krwistych chorującym.

*Źródło Maryi*, inaczéj nazwane *krynicą kąpielną*, bo służy do kąpania, silnie wspiera skuteczność wyżej wymienionej wody. Posiada tylko 1,195 granów stałych pierwiastków, 9 granów kwasu węglowego i odrobinę gazu wodorodno-węglowego, nadającego mu zapach cokolwiek nieprzyjemny. Ciężkość gatunkowa téj wody 1,00078, temperatura 11°—14° R. Odznacza się to źródło przed innemi obfitością gazu kwasu węglowego, który wydobywając się z pryskiem z wody, tworzy nad jej powierzchnią, jako ciało cięższe od atmosferycznego powietrza, warstwę gazu nieraz na ośm stóp wzniesioną. Wysokość téj warstwy zależy, jak łatwo się domyśleć, od stanu temperatury i spokojności powietrza. Zawierając w sobie bardzo mało stałych części, woda *Maryi* jest zupełnie przezroczystą; smak ma nieco kwaskowaty. Około cia-

ła zanurzonego w téj wodzie zbiera się niezliczone mnóstwo perełek powietrznych, skóra się czerwieni, lekki chłód przejmuje ciało, a następnie jakaś przyjemna rzeźwość rozchodzi się po całym organizmie. Bóle jednakże, jeśli jakie były w miejscach zranionych lub artrytyzmem trapiionych, srożej występują na czas niejaki; toż samo i wysypki chroniczne. Wody te, używane czasem wewnątrz, najczęściej znajdują zastosowanie razem z innymi wodami Maryenbadu jako kąpiele, i wybornie skutkują przeciw paraliżom, osłabieniom skóry, reumatyzmom, artrytyzmowi oraz stwardnieniu różnych części i organów.

*Źródło Ferdynanda*, toż samo, które ściągnęło na się uwagę cesarza Ferdynanda I, zaliczyć wypada pomiędzy najwięcej skuteczne krynice téj miejscowości. Położone o dobry kwadrans drogi od Maryenbadu, na lewój stronie Auszowicy, dobrze jest ocembrowane i pokryciem od deszczu zasłonięte. Według rozbioru Berzeliusza składa się ta woda:

Z siarczanu sody	22,536
— chlorku —	8,996
-- węglanu —	6,130
— — sithionu	0,068
— — magnezyi	3,049
— — wapna	4,011
— — stroncyany	0,005
— — manganu	0,092
— — żelaza	0,399
— Fosforanu glinki	0,005
— Krzemienia	0,670

Przytém ślady fluoranu i fosforanu wapna i jodku sody. Kwasu węglowego zawiera tylko 1,45 objętości. Temperatura 7—8° R. Przezroczystą jest, perlącą i przyjemnego, słono-kwaskowatościągającego smaku.

Skuteczność téj wody prawie taż sama co i poprzednich, jednakże mniej roztwarza i rozwalnia, a system nerwowy więcej podnieca jak inne; służy zatem lepiej osobom bladój cery i słabego żołądka, a stać się może niebezpieczną osobom krwistym, do krwotoków skłonny.

Od południa, naprzeciw krynicy krzyżowój (*Kreutzbrunnen*), wytryska z trzęsawisk inne źródło, niegdyś nazwane *nowém*, dziś zaś *krynica Karoliny*. Ozdobiono ją pawilonem na słupach koryntskich noszonym, i malowidłem, przedstawiającem cesarzową Karolinę, małżonkę Franciszka I. Za-

wiera nieco gazu wodorodno-siarczanego, i skuteczną się okazała przeciw osłabieniu błon śluzowych.

Jest jeszcze kilka innych źródeł, mianowicie *źródło Ambrożego*, *Eola* i *krynica leśna*, które okazały się skutecznymi przeciw chorobom płuc, hysterycznym cierpieniom i chronicznym słabościom. Pospolicie używają się te wody z przymieszaniami mleka i serwatki. Źródło Maryi jednocześnie służy do kąpiei i do picia. Skuteczność wód maryenbadzkich najlepiej się wykazuje z ciągle wzrastającą liczbą gości i z liczby butelek rozsyłanych na wszystkie krańce świata. W r. 1850 dostarczono ich 658,000. Łaziennych gabinetów jest przeszło sto dwadzieścia.

Skarby lekarskie Maryenbadu nie kończą się na wodach. Jest tam i w powietrzu przesyconém gazami żywioł dobroczynny, jest i w błotach i szlamie téj ziemi potęga uzdrawiająca.

Co do składu chemicznego niewiele się różni błoto maryenbadzkie od francensbadzkiego, mniej tylko zawiera żelaza, a więcej nierozpuszczalnych substancyj; przytém wyziewa mocny, przykry, cokolwiek siarką trącający zapach. Wiele już temi błotnemi kąpielami wyleczono najupartszych skrofulów, atonicznój podagry, reumatyzmu i wysypek chronicznych. Szlam, zmieszany z wodą mineralną i ocieplony, używa się także z dobrym skutkiem na przykładania.

Fenomenami dla naturalisty bardzo ciekawemi są owe źródła gazu, powstające wszędzie, gdzie się w ziemi dół kilkostopowy wykopie. Cały grunt maryenbadzki przesiąkły jest wskrós różnorodnemi gazami węglowemi, solnemi i siarczanemi. Winniśmy to doktorowi Struve z Drezna, że i te gazy na dobro zdrowia ludzkiego spożytkowanemi zostały. Urządził on wanny, w których pacjent, z wyłączeniem głowy i organów oddychania, bierze kąpiele wzmacniające. Wpływ tych gazów na skórę jest zadziwiający; wzbudza on uczucie jakiegoś przejmującego, swędzącego ciepłika, i leczy zadawnione reumatyzmy, choroby skóry i skrofuly. Wystawiono tu niedawno osobne łazienki powietrzne, bardzo wykwiłtne i wygodne.

Dzięki postępowi chemii i innych nauk przyrodzonych, wydoskonalono w czasach ostatnich do wysokiego stopnia środki zastosowania żywiołów leczących zawartych w wodzie, w powietrzu i w zie-



mi maryenbadzkiej, a zrobiono je co do ceny przystępnymi dla wszystkich klas ludzkości. W szpitalu publicznym kilkaset ubogich używa rok rocznie dobrodziejstwa Maryenbadu bezpłatnie. Działaniu zbawczych źródeł piękne położenie Maryenbadu nadzwyczaj dopomaga, pozwalając osłabionemu używać świeżego powietrza bez wielkich wysiłen, silniejszemu zaś za pomocą ruchu wzmacniać ciało i przyspieszać kuracyę. Powiedzieliśmy już, że Maryenbad leży w dolinie z trzech stron górami otoczonej, które tak jak w Karolowych warach (Carlsbad) mają dziwaczne nazwy. Chociaż Maryenbad łagodniejszą ma temperaturę od miejsc sąsiednich, wieczory jednak stosunkowo z dniami bywają chłodne, bo słońce dosyć wczesnie przestaje przyswiecać dolinie. Dlatego też chory musi pilnie baczyć na swoje ubranie.

Jak w pierwszych chwilach istnienia tego zakładu założyciele jego dbać tylko mogli naprzód o konieczne wygody dla zwiedzających, tak z wzrostem jego stało się ich zadaniem połączyć wygodę z przyjemnością. Dlatego też w miarę przybywających gości zaczęto dbać nietylko o urządzenie mieszkań, ale zamieniono miejsce to z przyległościami w piękny ogród, w którym mnóstwo dróg, drózek i ścieżek przerzyna dolinę, ciągnie się przez łąki, prowadzi po górach do miejsc z kąd cudne widać krajobrazy, z kąd ujrzysz Czechy, tę piękną, pobratymczą nam ziemię. W długim półkolu ciągnie się rząd ładnych domów maryenbadzkich, otaczając plac gęstemi aleami z topol poprzerzynany.

Szczególniej odznacza się między budowlami kościół w bizantyńskim stylu, wybudowany z wielkim kosztem według wspaniałego planu architekta z Monachium, profesora Guttensohn, przez teraźniejszego prałata opactwa Tepl, Maryana Heina, który już tyle położył zasług pod względem upiększenia Maryenbadu. Cieniste chodniki rynku nawpół otoczonego domami wiodą do sali przechadzkowej, co w razie niepogody gości zgromadzając, tworzy towarzyskość, ten węzeł najmiłszy oświeconej społeczności. Tutaj także kupcy urządzili kramy, świetniące rozmaitemi towarami potrzeby i wykwińności.

Z bliższych okolicznych spacerów przytoczymy znaczniejsze. Na samej granicy zwierzyńca königswertherskiego jest pałacyk strzelecki, a raczej altana, gdzie się zawsze pełno osób zgromadza; ztam-

ąd bowiem cudny widok narzekę Eger, przerzynającą srebrnym pasem majowe błonia, wzgórze i doliny. Zstąpiwszy z tej wyżyny na wąską płaszczyznę, dochodzi się do leśnego źródła i do młyna maryenbadzkiego, gdzie można nieco wypocząć, a potem dostać się do belwederu na wzgórzu *Steinhau* wzniesionym. Miejsce to od 1827 r. nazywają wzgórzem Amalii. Wszedłszy nań, widać w głębi majestatyczną *Niewieścią górę* (Frauenberg), a na niej zwaliska obronnego kiedyś zamku. Prócz tego ciekawe są: pomnik Waldsteina, cmentarz starozakonnych, pawilon na wzgórzu Hamelika, góra Krzyżowa Auszowic, wieś Hohendorf i huta szklana, gdzie fabrykują butelki do wód mineralnych używane.

Goście jednak, nie ograniczając się na pobliżu, często dalsze robią wycieczki, zwłaszcza do opactwa Tepl, o trzy godziny drogi na wschód od Maryenbad odległego. Zdaleka już imponują wyniosłe budowle, jakby na wzór jakiego zamku wystawione. Bogate i szczodrze obdarzone opactwo posiada piękny kościół i kosztowne naukowe zbiory, przez wieki starannie i pilnie gromadzone. Duchowny ten zamek ma w pobliżu staw Tepl, ze środka którego omszona wystaje skała; potrzeba sześciu godzin na opłynięcie całego stawu. O milę od Maryenbad leży miasto Königswarth, własność b. kanclerza Austrii, księcia Metternich; liczy ono 11,000 ludności. Między budowlami odznacza się zamek nowy, wybudowany w stylu włoskim przez generała wojsk c. a. hrabiego Metternich u podnóża góry, na której szczycie wznoszą się zwaliska odwiecznego grodu przez Szwedów w czasie trzydziesto-letniej wojny zburzonego. Piękna w tym zamku kaplica z wielą relikwiami i gabinet numizmatyczny. Posiada także to miasto źródła mineralne, co niedawno zwróciły na siebie uwagę chemików i lekarzy.

Daliej leżą jeszcze miasteczka: Einsiedel, Plau, dawniej bogate górnicze zakłady mające, i probostwo Pistau z pięknym kościołem. Jedną z najmiłszych przechadzek jest także wycieczka na *Niewieścią górę* i do zwalisk Frauenburgu, z kąd obszerny widok na czeskie równiny. Nietylko okolica opactwa Tepl, ale i Maryenbad z bliższymi i dalszymi przyległościami dla geognosty, botanika i zoologa bardzo jest zajmujący. Specjalnemu badaczowi natury prędko czas upłynie w tym miejscu ciekawym, nieznawca zaś z przyjemnością czytać może

książkę tutejszego lekarza Heidler'a, „Opis Maryenbadu pod względem historii naturalnej. Praga 1837.“ Botaniczny oddział téj książki powstał ze zbiorów i badań przez dzisiejszego króla saskiego w roku 1834 i 1835 wykonanych; mineralogiczny z prac Goethe'go i innych znakomitych geognostów. Wydawca uzupełnił tylko, pododawał i zaokrąglił całość. Wspomnieliśmy o Goethe'm, tym dziwnie, potężnym gieniuszu, oddającym się z równym zapalem naukom przyrodzonym, jak bozkim poezyi natchnieniom. Osiwiał autor Götza i Fausta, nieśmiertelny piewca Germanii, bawiąc u wód w Maryenbad, zachwycony dwiema Polkami tu goszczącymi, pięknnością piérwszój, talentem drugiej, zostawił wiekuisty ślad wrażenia w dwóch sonetach w zbiorze dzieł jego umieszczonych. Wieszczy duch jego może przeczuwał w utalentowanój fortepianistce pani S., że kiedyś jój zięciowi, równie sławnemu u nas jak on w Niemczech mistrzowi, po-

daruje w Weimarze pióro, którém pisał Fausta, oceniając gieniusz pokrewny sobie w twórczości i głębokości.

Życie u wód maryenbadzkich w ogóle cichsze jest i spokojniejsze jak w Karolowych warach, ale téż zato mniej tu przymusu, a więcej prawdziwój towarzyskości. Z rana goście zgromadzają się u źródeł, pod kolumnami, w sali spacerowój. Ponieważ kuracya dużo czasu zabiera, bale i koncerty nie są tak liczne jak gdzieindziej. Do teatru zato bardzo uczęszczają, zwłaszcza w czasie niepogody.

Chociaż mieszkań jest podostatkiem, lepiej jednak wpiérw zamówić lokal, jeżeli się pragnie bawić u wód od środka czerwca do końca lipca. Maryenbad coraz liczniej jest odwiedzany. Dziewiętnaste stulecie wynagrodziło zapomnienie czy niewiadomość poprzednich; nauka zaś, sztuka i staranność coraz sumienniej przychodzą w pomoc wrodzonój dzielności auszowickich źródeł.

## HOHENSCHWANGAU.

Niedaleko miasteczka Füssen, na granicy Tyrolu i Bawaryi, leży starożytny zamek Hohenschwangau, bogaty w wspomnienia historyczne, który terażniejszy król bawarski obrał sobie za letnie pomieszkanie. Wznosi się on na wysokiej skale, okolonój wyższemi jeszcze szczytami, u stóp zaś jego w ciemnej oprawie sosnowego lasu błyszczy zwierciadło jeziora Łabędziego (Schwansee).

Niewiele może w Europie, a przynajmniej w Niemczech, znajdzie się miejscowości, któreby tyle łączyły wspomnień dziejowych, co zamek Hohenschwangau. Hiltebold von Schwangau wiernym był towarzyszem księcia Welf w Konstantynopolu, Syrii, a później nad Renem i we Włoszech. Od Welfów posiadłość ta przeszła do Staufów; przebywali w niej cesarze Fryderyk I i II. Tu nieszczęśliwy Konradyn wyrwał się z objęć swój matki Elżbiety, by przedsięwziąć awanturniczą wyprawę do Włoch, którą życiem przypłacił. Ten jeden fakt już nadaje zamkowi Schwangau charakter wysoko

tragiczny. Tu także przesiadywał często cesarz Maxymilian I,—ów „wielki odźwierny przejścia z wieków średnich do nowożytnych,“ jak go nazywa dziejopisarz niemiecki Hormayr — polując z księciem Wilhelmem bawarskim na dziki i niedźwiedzie, a powołując często dla narady dowódców wojskowych, dostojników korony i uczonych. Podanie mówi dalej że Luter, jak z sejmu wormaccyjskiego do Wartburgu, tak z augsburskiego do Schwangau, uwięziony został przez wiernych zwolenników swoich. I nowsze téż dzieje wojenne miejsce to wspominają; w skutek bowiem stoczonój tu potyczki, Moreau wymógł w roku 1800 na Austryakach ugodę w Parsdorf.

Terażniejszy właściciel, król bawarski Maxymilian, odnowił starożytne to gniazdo w duchu zupełnie średniowiecznym. Z dziedzińca zamkowego, wysadzanego cienistemi lipami, otwiera się widok wspaniały na jezioro Łabędzie i przyległe mu wody, aż po brzegi Lechu. Trzy źródła tryskają z opoki:



Zamek Hohenschwangau.



piérwsze z nich zdobi posąg Matki Bożej, drugie wyobrazenie łabędzia, dwie prace znakomitego dłuta, z trzeciego bije wysoka fontanna, spadając w wodozbiór dźwigany przez cztery lwy z lanego żelaza.

W obszerny przedsionek światło pada przez okna kolorowe, a ściany ubrane są w zbroje średniowieczne i przybory myśliwskie. Piérwsza za nim sala zawiera wyobrażenia z legendy o tak zwanym rycerzu Łabędzim, który użyczył miana jezioru i całej okolicy. Szkice do tych malowideł wykonał Szwajcar Ruben; wyborne zaś prace na szkle są pędzla Kellera z Norymbergi. Z sali rycerza Łabędziego wchodzi się do sali Schyren'ów, obejmującej w przeszlicznych obrazach dzieje téj rodziny, praszczurów domu królewsko-bawarskiego. Panowie von Scheuern albo Schyren, podobno potomkowie starożytnego plemienia Skyrów, króre za czasów rzymskiego Augusta mieszkało nad Dunajem, przenieśli się w roku 1096 do Kehlheim i Wittelsbach, i przy-

jęli nazwisko od téj ostatniej posiadłości; jeden z nich, Otto von Wittelsbach, objął później dziedzictwo bawarskie. Następująca sala zawiera pamiątki z podróży na Wschód panującego króla, a między innymi kosztowne dlań podarunki sultana. Na prawo od sali Łabędziej znajduje się gabinet zapelniony malowidłami historycznymi z dziejów zamku, o których na wstępie uczyniliśmy wzmiankę; styka on się z izbą zdobną w obrazy przedstawiające młodość Karola W., w tych stronach, jak wieść niesie, urodzonego. Na piętrze mieści się sala bohaterów, z wyobrazeniami w przedmiocie mitologii północnej; dalej sala Hohenstaufów i sala Tassa, sala Welfów i w końcu izba obejmująca pamiątki rycerskie. Całe urządzenie wewnętrzne, pełne smaku wytwornego i pojęcia arcyzmu, wykonane jest podług planu teraźniejszego króla bawarskiego, którego imię, jako znawcy i opiekuna sztuk pięknych, zamek Hohenschwangau nadługo potomności zachowa.

## PODRÓŻ W PUSTYNI SAHARA.

### II.

Opuściliśmy misyonarza naszego, pana Richardson, co nam najnowszych dostarczył wiadomości o dalekich afrykańskich krainach, w chwili, gdy przebywając piaszczyste stepy Sahary, straciwszy ślad karawany, zaledwo trafem życie ocalił (str. 207 — 209).

Kto wie, powiada sam Richardson, czyby powtórne doznanie takich cierpień nie przyprawiło umysłu mego o zupełne obłąkanie. W przestronności bezgranicznej pustyni, w bezcelowości każdego ruchu jaki się zbłąkawszy w niej czyni, w uczuciu wreszcie ogarniającem człowieka śród pustkowi, jest coś tak sympatycznego dla téj nieśmiertelnej, ale jednak niezbyt w siłę potężnej cząstki naszej, której nadaliliśmy nazwę umysłu, że ciągnie on ku téj przepaści z narażeniem ciała, pchany siłą tą samą, jaką nęci ku sobie ziejąca pod

stopami otchłań, tajemniczym jakimś, niewytłumaczonym urokiem. O! wielkiem jest wejście do takiej potęgi, że łatwo pęknać mogą sprężyny trzymające go w karbach. Jest tu zawiele i zamało dla myśli człowieka, żeby się w równowadze utrzymać mogła. Bezwładność wszystkiego co ją otacza odbiera jej niejako uczucie kształtów, zdolność pojmowania ich i przejmowania w siebie; tym brakiem wycieńcza się ona i pada trupem, jak ptak pod machiną pneumatyczną. Nieskończoność zaś granic pustyni straszne daje pole goniącej za nią wyobraźni, tak, że pod nadmiarem ciężaru zbezwładnia się w kamienną nieruchomość. Uciekajmy z pustyni! ciałem i duszą z niej uciekajmy, radzi nam to pan Richardson, i sam się już nie wdaje w szczegóły kilkunastodniowej podróży, bo mono-

tonność ich tak wielka, że co najmniej do znudzenia doprowadziłyby musiała. Opowiadanie wtedy dopiero staje się ciekawszym, gdy szanowny misjonarz, przebywszy pustynię, zatrzymuje się w zamieszkałych jej osadach.

Ghadames staryto, bardzo stary gród. Zdaje się że stoi na tém samym miejscu, gdzie niegdyś przed wielą wiekami wznosiło się miasto Cydamus, które Korneliusz Balbus zdobył na lat dziewiętnaście przed narodzeniem Chrystusa. Rzymianie to zakładali owe potężne fortyfikacje, których ślady po tylu stuleciach do dziś dnia jeszcze przetrwały, i wszędzie w okolicy oku podróżnego poważnie się przedstawiają. Za czasów Leona afrykańskiego Ghadames bardzo było ludne i liczyło się do miast bogactwy słynnych. Zarząd municypalny samo na własną rękę prowadziło, haracz tylko Arabom opłacając. Od czasu zaprowadzenia islamizmu widok jego zewnętrzny prawie się nie zmienił. Jestto jedną z cech charakterystycznych téj fanatycznej religii, że czyni ludy nieruchomemi, że całe ich życie skrępa w kształty stałe, nieugięte czasem ani postępem.

Ghadames leży pośród lasu daktylowego, nad pięknymi brzegami strumienia gorącą toczącego wodę, który opodal wprost z ziemi szeroką wytryska krynica. Średnia temperatura téj rzeczki, przez naturę ogrzanej, wynosi 20 stopni Réaumur; przy źródle wszakże woda jej wre ukropem i do kąpieli żadną miarą użyć się nie da.

Jak każde miasto na Wschodzie, tak i Ghadames składa się z ciemnych, wązkich, krętych uliczek, wijących się ponuro między niememi murami bez okien i odmiany. Jest coś przejmującego w widoku téj posępnej monotonności: mniemasz być wtrąconym do jakiegoś lochu podziemnego, w którego wysokich ścianach śmierć straszne swe tajnie ukrywa. W głębi miasta ciemne te ulice wydają się jakby tunele, któremi nareszcie dochodzisz do środka, gdzie place widne i dość szerokie przypominają ci przecież, żeś jeszcze nie zstąpił do zmarłych krainy i witają cię mile zielonością palm i licznych tarasów.

Tu znajdziesz w cieniu porozstawiane ławki kamienne, na których rozsiadają się niewiasty, a ociężałe próżniacza ludność pod gołym niebem załatwia interesy. Tutaj poważny kady wymierza sprawiedliwość, tu kupiec zawiera umowy i dopełnia obra-

chunków ze swoimi kmiotkami; tu nareszcie toczą się rozmowy o nowinkach bieżących. Jestto cały objaw życia publicznego Arabów, cała potęga ich *forum*, pod ciężkim obuchem fatalistycznej religii do karłowatych sprowadzonego rozmiarów.

Domy na trzy lub cztery piętra wysokie nie są zazwyczaj budowane w stylu czysto-maurytańskim. Mieszkańcy Sahary mają pewien zasób własnej, rodziméj fantazyi, nadającej budowom ich charakter zupełnie odrębny. Dół zajmowanym bywa zwykle na składy i magazyny; dalej po kamiennych schodach wchodzi się wprost do obszernéj sali, otoczonej wokoło mniejszemi izdebkami, z których często słychać bek owiec lub głosy innych zwierząt, goszczących tu razem z ludźmi. Sala owa jednak nie jest miejscem przebywania rodziny, ta bowiem przesiaduje na wyższym jeszcze piętrze, a w czasie gorących nocy wynosi się aż na dach, gdzie w murach pourządzane są umyślnie wklęsy, jakby przegrrody dla śpiących.

P. Richardson powiada, że gdy raz dom taki z właścicielem jego zwiedzał, gospodyni zoczywszy cudzoziemca zdaleka, uciekła co tchu do odległej izdebki; kiedy zaś odwiedziny podobne w innym domu odbywał pod nieobecność pana, żona nie tylko wyszła sama bardzo chętnie i uprzejmie, ale posłała jeszcze po kilka swoich sąsiadek, zawsze nieodrodných córek Ewy, i wszystkie razem nader ciekawie napawały się niezwykłą rozkoszą oglądania Europejczyka. Zdanie swoje o kobietach tamtejszych w ogóle zamyka p. Richardson twierdzeniem kategorycznym: że mężów swoich boją się strasznie, lecz niekoniecznie cudzoziemców. Brzydkie, których i tu nie brak, a szczególniej z bogatszej klasy, tyle mają dumy, że istotnie chronią się przed wzrokiem obcego; ale przystojne, jakich bardzo wiele, piękne twarzą i budową ciała, bynajmniej nie okazują téj odrazy i bardzo się łatwo dają ugłaskać. Jużto wszędzie i zawsze podobno nowość najponętniejszym jest powabem dla rodu niewieściego.

Od chwili wyjścia z Tripolis pierwszy raz prawdziwy wypoczynek dał sobie nasz szanowny misjonarz w starodawném Ghadames. Z Ghadames chciał się udać do Ghat, żeby jaknajprędzej dostać się do Sudanu. Ghat od Ghadames rozdziela przestrzeń, dla której przebycia potrzeba najmniej dwudziestu dni podróży puszcza. Pan Richardson

wyruszył 24 listopada, a stanął w Ghat 15 grudnia.

Ghat leży na ostatnim krańcu puszczy. Tu już się kończą przeszkody przyrodzone, a następują sroższe, tysiąckroć przykrzejsze, a co najgorsza, do uniknięcia niepodobne. Tu ludzie sami, z przewidującą bystrością dzikich rozumów, stawiają tamę usiłowaniom Europejczyka, spółbrata wyniesionego światłem cywilizacji, ożywionego miłością chrześcijańską, co i tych dotąd zapomnianych spółbraci, udarować chce choć promykiem owego ducha, który ludy wspólnym łączy uczuciem, podnosi je, ożywia i do wyższych usposabia przeznaczeń.

Gdys przybył tutaj, podróżniku, znękany trudami przeprawy, nie spodziewaj się spocząć, nie ciesz się nadzieją że napotkawszy wreszcie ludzi uradujesz się z nimi jako brat zdala przybyły, doznasz słodkich rozkoszy serdecznej gościnności, użyjesz powabów towarzystwa, do którego dusza twoja stęskniła się długim sieroctwem, że odżyjesz świeżym jeszcze tchnieniem młodzieńczych plemion pustyni. Znajdziesz tu smutny ród Tuaryków, mieszkańców owego Ghat, w którego mury dąży nasz misjonarz.

Nie bez obawy Richardson, obeznany ze slyszania z naturą i życiem stron tutejszych, w tak niegościnne wstępował progi. Straszni w dzikości swojej Tuarykowie stanowią liczne i potężne plemię, zamieszkujące całą południową część Sahary i leżące nieprzebytą prawie zagrodą między ciekawą Europą a mało znanym, bogatym Sudanem, oraz innemi środkowej Afryki krajami. Jak smoki mitologiczne strzegą oni tych krain na wstępie, niby hesperyjskich ogrodów. Zazarczi, zapamiętali wyznawcy islamizmu, nienawidzą chrześcijan i pałają zgrozą na samo ich wspomnienie. Do tego łączą niestychaną chciwość i chytrość, zwykłą u narodów dzikich a biednych, nietrudniących się ani rolnictwem, ani też przemysłem. Tłomoki podróżnych drażnią niewypowiedzianie grube nerwy tych brzydkich Afrykanów, i tak nieprzepartą dla nich stanowią ponętę, że wielu już badaczy, misjonarzy i innych podróżnych, pokazawszy przypadkiem ciekawą jakiegoś wyrób europejski, życiem tę swoją nieostrożność przyplaciło.

Plemię Tuaryków rozpada się na wiele rozrosli, które wzajem się nienawidzą i w obyczajach, tudzież w formie rządu zupełnie się różnią od siebie.

Szczep zamieszkujący Ghat i jego okolice uchodzi za więcej cywilizowany, a raczej mniej barbarzyński, od innych bardziej na zachód posuniętych spółplemienników. Ogląda ich większa ztąd musiała wziąć początek, iż osiedli właśnie na drodze prowadzącej z Tripolis do Sudanu, która oddawna przez Anglików była uczęszczaną, i teraz coraz więcej staje się przystępną. Tamci zaś dziksi, załegłszy drogę z Algieru do Sudanu, tamują przejście i zapewne nigdy jeszcze podróżnika europejskiego przez posiadłości swoje żywo nie przepuścili.

Tuarykowie w Ghat mieszkający tworzą rzeczpospolitą arystokratyczną; nietrzeba tedy, pokazuje się, mieć u siebie Lamartine'ów i podobnych im świetności literackich, żeby posiadać ów nieoceniony i przechwalony skarb formy republikańskiej. Wszyscy z rodu są oni szlachtą i jeden tylko stan znają, stan zbrojny, rycerski. W wiejskich siedzibach każdy taki szlachcic rozbija sobie namiot lub chatę na szerokiej, pustej przestrzeni, mieszka tam z rodziną i niewolnikami, i żyje prawdziwie patryarchalnie, wykonywając nieograniczoną władzę nad sobą podległymi. Wyższą powagę uznaje wtedy tylko, gdy jakieś niebezpieczeństwo zewnętrzne naród do obrony powołuje. Wzrost wysoki, potęga ciała z atletyczną siłą i zwinnością złączona, stanowią dlań jedyną rękojmię osobistego bezpieczeństwa wśród stepowej pustyni, w której bez obawy siedzibę sobie obiera.

Gdy wojna wybuchnie, naród się garnie do kupy, i każdy szeik czyli szlachcic, swoją chatą wszechwładnie zarządzający, staje pod rozkazami szeika wyższego rzędu, a ci znów posłuszeństwo winni najwyższemu jakoby sułtanowi, którego szeik-ekbir zowią. W istocie jednak rządzą się oni sami tylko, i wszelkie walne uchwały postanawiają na sejmach z najznakomitszych szeików złożonych. Tuarykowie z Ghat w razie potrzeby wystawiają 10,000 zbrojnego ludu, z czego wnosić można iż ludność ich cała, wliczając starców, dzieci, niewiasty i niewolników, wynosi przeszło 60,000 głów. Uzbrojenie ich składa się zwyczajnie z długiego noża, wiszącego przy lewym boku na skórzanym pasie, tudzież szabli, ogromem swoim krzyżackie miecze przypominającej, która znad ramion wygląda rękojmią potężną i tem zadziwiającą, iż ma formę naszego krzyża. Oprócz tych głównych walki

narzędzi Tuaryk zwykle trzyma jeszcze w ręku sążnistą dzidę, całą z żelaza, ciężką, ostro zakończoną, a którą zaledwie jaki atleta teatralny u nas władaćby potrafił; u najuboższych tylko, i to bardzo rzadko, bywa ona z osadą drewnianą a strzałą żelazną. Zamiast dzidy częstokroć używają krótkich oszczepów, któremi z niesłychaną zręcznością w wielkim nawet oddaleniu nieprzyjaciela śmiertelnie dosięgają. Strzelbami brzydzą się i Arabów za używanie ich w szczególniejszej mają pogardzie, posiadając zupełnie odrębną w tym względzie filozofią strategiczno-bohaterską. Pomieścić im się w głowie nie może, aby godną człowieka i honoru była broń, której użyć można z daleka, z ukrycia i która działa sama z siebie, bez przyczynienia się serca i dzielności walczącego. Arabów dlatego uważają za tchórzów, nędzników, za plemię przez Boga na wzgardę skazane. A wreszcie, cóż pomoże strzelba przeciw mieczowi? powiadają; to trup przeciw żyjącemu człowiekowi! Na pierwsze rozumowanie otrząskany z innym o honorze pojęciem ucywilizowany Europejczyk może niebardzo chętnie, a przynajmniej niezupełnie się zgodzi; lecz drugiemu przyznać musi prawdę i siłę logiczną. Co kraj, to obyczaj: świętato i znana, bo stara jak świat zasada. Ale że niebrak częstokroć i u dzikich krytyki na ucywilizowane wyobrażenia, to prawda, któraby może niełatwo zjednała sobie uznanie, choć uderzywszy się w piersi, kto wie czyby uznać koniecznie jój nie wypadło. Tylko że wiele, bardzo wiele trzeba pokory, żeby świecąc między wszystkimi, i wiedząc o tém że się świeci, przyznać w szczerocie duszy, że to blask sztuczny, nie prawdziwie złoty.

Dalekośmy odbiegli od Tuaryków, co jak wierne cerbery pięknej swojej Sahary pilnują, od nożów ich i mieczów, bo takto zawsze bywa, gdy człowiek choć cokolwiek myśli swój pofolguje; wracajmyż do nich coprędzej.

Widzieliśmy uzbrojonego Tuaryka, widzieliśmy go w pełnym rynsztunku, który on uważa za daleko wyższy i szlachetniejszy od naszych mechanicznie uśmieających przyborów. Nie jestto przecież wszystko na czém polega jego siła. Niezmiernie ważną część uzbrojenia stanowi jeszcze zwierz, na którym rycerz tuarycki zasiada w razie potrzeby, do boju występując. Oczywiście zwierzęciem tém nie może być w tych stronach jak tylko wiel-

bląd, szacowne i wdzięczne dziecię pustyniowych obszarów. Wielbląd to rodzima kolój żelazna piaszczystej Sahary. Natura przeznaczyła mu tam niemniej cywilizacyjną, dobroczynną rolę, jak między nami odgrywa tylą wiekami pracy, tylą poszukiwań wyplodzony wynalazek Cugnault'a, Watta i innych przed nimi i po nich, co go ofiarą własnego rozumu, wolności, całego dostojęstwa ludzkiego przypłacili. My jeździm parą i kolejami, które naprzód rodziców swoich do czubków odwiozły, Tuaryk jak jeździł, tak jeździ na poczciwym swoim wielblądzie; my wielbim rozum ludzki, którego najjaskrawsze objawy patentowanym waryatom zawdzięczamy, Tuaryk wielbi tylko Boga, i zawsze gorąco mu dziękuje że tak szczerze i laskawie go opatrzył. Dobre są koleje żelazne, piękne i dobroczynne: ale jakże mi cię żal Tuaryku, jeżeli kiedy do twoich piaszczystych siedzib zawitają! A zawitają, . . . zawitają i to pewno niezadługo. Ciesz się swoim wielblądem, prostego serca człowieka, napawaj ducha widokiem szerokiej pustyni, podnoś go uwielbieniem Wszechmocnego Stwórcy, którego dziś na każdym kroku czujesz, boisz się i widzisz; bo niezadługo z oczu i z serca wszystko to ustąpi, a z dymem węgla angielskich i hukiem maszyn parowych, spadnie ci na oczy wspaniała cywilizacji osłona, zpod której, prócz siebie dumą wzdętego, nic już w ciasnocie egoizmu nie dostrzeżesz.

Ty zato, Europejczyku, łatwo się wtedy zobaczysz z wielblądem Tuaryka; lecz nim to nastąpi objaśnić cię należy, że jestto rodzaj zupełnie odrębny, ochrzczony tu nawet osobnym mianem *mahry*, który tak się ma stosunkowo do zwyczajnego wielblada, jak pies myśliwski do psa zwyczajnego. Tuarykowie układają go do wojny i biegu, i nie wyrówna jego zręczności, zmyślności i szybkości w pędzie, nie nawet wyobrażenia o tych przymiotach jego dać nie może, dopóki się kto o nich sam nie przekona. Siedząc na swoim mahry, przywdzianym w siodło, które wedle zamożności i gustu właściciela rozmaitego bywa kształtu i przyboru, dzielny Tuaryk z mieczem na plecach, nożem u boku i oszczepem w ręku, niczego na świecie się nie boi, prócz Boga i szatana, bo tego ostatniego, pod tysiącami upatrując go kształtów, strasznie się lęka, kto wie, czy nie bardziej jak Boga samego.



سا



H. 1379



Tuarykowie zwykle jedzą tylko co drugi dzień, a niesłychana ta wstrzeźliwość nie przeszkadza im bynajmniej do posiadania ogromnej siły i zwinności fizycznej, owszem zdaje się, jakby ich jeszcze bardziej hartowała. Każdy bez wyjątku Tuaryk uchodziłby w Europie za olbrzyma z owych czasów, o których już w bajkach tylko, jakie dzieciom niańki prawią, dochowały się wieści. Dziwić to musi niejednego czytelnika, z kąd u ludu dzikiego wyrobić się mogła zasada takiego umiarkowania w jadłach, przeciwna, jakby się zdawało, fizyologicznym warunkom bytu człowieka, a co najbardziej popędem jego zwierzęcym. Otóż nic nad to naturalniejszego: Tuaryk musi być skromnym i wstrzeźliwym w jedzeniu, bo gdyby przez czas jakiś codziennie chciał jadać, to wkrótceby mu zabrakło pokarmu; potrzeba przeto zmusiła go do przyjęcia takiego obyczaju. Żywności w tych stronach nadzwyczaj mało: ztąd wszystkie plemiona w pustyni mieszkające zadziwiają podróżnych tą żelazną na głód wytrwałością.

W Ghat na jednym z publicznych placów znajduje się kilka szeregów ławek, stopniowo ponad sobą się wznoszących. Tutaj co wieczór Tuarykowie sadowią się jeden przy drugim, wysokie dzidy w piasek przed sobą wbijają i poza tym lasem zło-

wrogich żelezców siedzą nieruchomi jak posągi, ust do siebie nie otwierając, coby im wreszcie było trudno, bo całą część dolną twarzy aż po usta zakrywają białymi ogromnymi płachtami, które tu zowią *litham*. Mimowolnie, gdy spojrzysz na tę gromadę postaci zaczerńniętych, strasznych, i jakby kamiennych, przychodzą ci na myśl Miltonowe duchy w pandemonium. Ani razu, powiada p. Richardson, nie przeszedłem bez dreszczu koło tych ławek osłoniętych gęstych dzid lasem, za którymi przeglądały czarne, zagadkowe fizyognomie Tuaryków, ze świecącymi jak gwiazdy oczyma. Tak siedzą po godzinkilka; ale niech tylko ruch jaki zrobi się w mieście, najmniejsza drobnostka niech przerwie ciszę zwyczajną, wszyscy odrazu zrywają się jakby jedna istota, walą się gromadą, skaczą do dzid i z dziecięcą płochością lecą gdzie się co stało. Obejrżeli się, przekonali o co rzecz chodzi, to znów siadają nieruchomi, i z zamurowanemi ustami ani pół słowa do siebie nie przemówią. Tę długotrwałą ciała bezwładność uważają oni za oznakę najwyższej powagi i ukształcenia ludzkiego; w całej bowiem przestrzeni Afryki, zamieszkaną przez plemiona Barbaresków, powolność ruchów i milczenie uchodzą za cechę najdostojniejszą szlachetności krwi i umysłu.

Z.

## POCZĄTEK WOJNY Z KAFFRAMI.

Był to pod koniec r. 1846, gdy dwóch oficerów angielskich, korzystając z urlopu, udało się do Kapu, na przylądek Dobrej Nadziei, by tam, pod wpływem chłodniejszego i zdrowszego klimatu, wyleczyć się do reszty z ran otrzymanych w wyprawie na Pendżab. Istotnie też po sześciu tygodniach kapitan Brown, któremu w Kalkucie grożono już amputacją, tyle doznał ulgi, że prócz lekkiego osłabienia w przestrelonym kolanie czuł się zupełnie zdrowym. Przyjaciel jego, porucznik Lewis, któremu kula karabinowa przeszła piersi, rzadko już

tylko narzekał na trudność oddychania; lecz zato nudy obydwom doskonale dały się we znaki.

Przed samym zachodem słońca, dwaj kole-dzy na lekkiej łodzi przejeżdżali się po zatoce de la Table, strzelając na żagłościgi (*diomedea*); zabawka ta wszakże niezadługo im się sprzykrzyła.

— Nędzneto polowanie—zawołał kapitan—na głupie te ptaki, co siedząc nieruchomie, jak tarcza celowa, same się prawie nadstawiają; a przytém są ony ni z pióra, ni z mięsa.

— Polowanie powinno być walką—przyświadczył mu porucznik—a te puszyste niezdary nie posiadają ani zmyślności, ani szybkości, nie mówiąc już o sile i odwadze.

— Ich temperament prawdziwie jest holandski—rzekł śmiejąc się Brown—strzelanie nawet nie przerywa błogiego ich spokoju.

— Nie wspominaj mi o Holandczykach—odpowiedział Lewis—nie lubię tych ludzi flegmatycznych, z okrągłą, świecąca twarzą i fajką porcelanową w ustach; nie lubię nawet ich domów pstrych i wycackanych. Dotychczas, gdzie tylko stopa angielska postąpiła, tam się przyjęły i nasze zwyczaje; tu przeciwnie, wszystko ma pozór cywilizacyi znad Amsteli.

Właśnie łódka przybijała do schodów granitowych, prowadzących na wspaniałe wybrzeże, i kapitan Brown po raz pierwszy z dawną lekkością wbiegł po nich na górę. Tu obaj przyjaciele wsiedli w najemny palankin, który ich poniósł do jednej z kawiarni Kapu, licznie w tój porze odwiedzanych. Umieściwszy się wygodnie, rzucili okiem ciekawości na różnorodne towarzystwo w tym zakładzie zgromadzone. Większość składali kupcy miejscowi, z rodziców holandskich, lecz urodzeni i wychowani na przyładku, którzy rzeczywiście tak wyglądali, jak gdyby wczoraj dopiero przybyli znad brzegów jeziora Zujder. Ubrani w surduty z cienkiego sukna niderlandzkiego, z ciężkimi guzami złotymi, siedzieli nieruchomie, puszczając z długich fajek kółka niebieskawego dymu. Rażące przeciwieństwo z tym typem flegmatycznej oglady tworzył pękaty plantator (Boer), przybyły do miasta za sprzedażą plodów swojego przemysłu, złożonych głównie z wędlin, skór, tłuszczu, kłów słoniowych i wełny. Sprzątnąwszy właśnie dobrą porcją świeżych ryb morskich i wypróżniwszy butelkę konstancyi, zapragnął teraz ostrzejszego kordyału. Garson murzyn podał mu wazę ponczu, znacznych bardzo rozmiarów, i kilka wybornych cygar jawańskich, którym wielu znawców daje pierwszeństwo nad cygarami nawet Hawanny. Z upodobaniem plantator skosztował jedno i drugie, a potem, nieustraszony bynajmniej objętością naczynia, wziął się skwapliwie do ataku.

Jeden tylko stolik przedzielał od smakosza wojskowych, którzy również z apetytem, zaostrzonym morską podróżą, zwijali się koło udźca antylopy.

Wkrótce między sąsiadami uprzejma zawiązała się rozmowa. Osnową jój były zrazu przedmioty gastronomiczne.

— Rozmaite są gusta—zawołał porucznik—lecz ja nad pieczyste które mamy przed sobą przeniósłbym chyba rozkosz ubicia własnoręcznie gazelli.

— Co znowu?—zaśmiał się Boer rubasznie—toż o tę przyjemność zdaje się nietrudno!

— Lecz gdzie? radbym wiedzieć—zarzucił Lewis—ja sam byłem w Indyach na niejednym polowaniu; lecz chyba w obmierzłej rzezi obław, urządzonych niekiedy przez książąt tamecznych, zdarzyło mi się widzieć ubite te zwierzęta. Pojedynczo dosięgnie ich tylko sokół, lub lampart przyuczony do łowów.

— Nie mówię ja o Indyach i niemęzkim zarzynaniu tego kraju—odmruknął plantator—ale jeśli kochacie się w myśliwstwie i umiecie strzelać, to proszę do siebie na parę tygodni albo miesięcy, a możecie się nacieszyć do woli. Są u nas antylopy wszelkiego rodzaju, a czasem nawinie się i lew albo lampart.

Wojskowi spojrzeli po sobie: takiego polowania nie spodziewali się tu bynajmniej.

— Dalekożto—zapytał kapitan—do tój krainy błogosławionój, i jakże się tam dostaniemy?

— Pojutrze każcie osiodłać konie, zabierzcie broń, kule i proch, i jedźcie ze mną, to dnia ósmego przywita was u siebie wasz sługa, Geert van der Spuy.

— Niejeden wybiera się skubać wełnę, a wraca sam oskubany, mówi nasze przysłowie—odezwał się żartując porucznik.—A niema tam czasem krzakowców (Buszmanów), coby nas uważali za zwierzyne? Wyznaję szczerze, że niewielką mam ochotę zapoznać się z zatrutemi strzałami.

— Niewiele ich teraz—odpowiedział spokojnie van der Spuy—bo ja i chłopcy moi ubijamy to gdzie się nadarzy.

— Strzelacie do nich?—zapytał przerażony porucznik.

— Tak jest—potwierdził Boer zapalając świeże cygaro—inaczéj nie można ich wytępić.

— Wszakżeż to ludzie!—zawołał Lewis.

— Ja mówię o krzakowcach, nie o ludziach—odparł obojętnie plantator.

Oficerowie zamilkli.

— Nieraz już—odezwał się po chwili kapitan Brown, by rozmowie inny nadać obrót—spotyka-

liśmy się w Indyach z tygrysami; radziłyśmy przeto zetrzeć się kiedy i z waszym lwem afrykańskim.

— Postaramy się o to— rzekł Boer nalewając sobie ponczyk, a widząc przeglądające dno wazy, zawołał na kellnera—kochanku, podajno mi drugą taką porcyą; tylko trochę więcej araku! . . . —W tej porze dziec gęsto przybywa nad rzekę. Będziecie się mogli uraczyć.

— Przyjmujemy więc na dni kilka wasze zaproszenie—odpowiedział kapitan z ukłonem.

— Na dni kilka—powtórzył za nim van der Spuy, —tym sposobem nie wygodzicie ani mnie, ani sobie. Powiedzcież przynajmniej na kilka tygodni.

— Rozważcie że przybędziemy z dwoma służącymi i w cztery konie—zarzucił porucznik. Lecz gościnny plantator nalegał o przyprowadzenie po jednym jeszcze koniu zapasowym dla każdego jeźdźca, utrzymując że polowanie z jego będzie korzyścią, bo spodziewa się zapasów na jakie pół roku; a co się nawystrzela lwów, lampartów, buszmanów i psów dzikich, to mu ubędzie z sąsiedztwa.

Na taki argument trudno było odpowiedzieć; przyjaciele więc, dawszy słowo, udali się do siebie, by poczynić przygotowania do podróży, a nazajutrz ze świtem, w towarzystwie mynheera Geert van der Spuy, który wozy swe i powrozy wyprawił już naprzód dwoma dniami, puścili się żwawym kłusem w kierunku północnym.

Z początku droga prowadziła przez żyzne i dobrze uprawione obszary; lecz dnia trzeciego osady coraz stawały się rzadsze, a czwartego popas południowy przyszło im odbyć pod liściowym namiotem niecierpków (mimosa). Na nocleg wszakże plantator umiał zawsze trafić do ludzkiego mieszkania, gdzie podróżnych naszych z gościnnością staro-batawską, bez wielkiego gadania, lecz szczerze i ohotnie przyjmowano. Ósmego nareszcie dnia wieczorem ujrzeli szereg wzgórzów, których stopy przejrzysta podmywała rzeka: byłato rzeka Rybia. Objęty nią w półkole stał dom mieszkalny van der Spuy'a, otoczony zabudowaniami gospodarskimi, a wszystko to, położone wśród ogrodów i pól, wdzięcznie się do znużonych uśmiechało.

W kolonii musiano także dostrzedz kawalkady, bo przybiegło kilku Hottentotów, ofiarując swojemu panu wódkę, w naczyniach z czerwoną przez korek opaską, chleb świeży i mięso solone. Van der Spuy przyjął to wszystko laskawie, wychylił

szklaneczkę gorzałki za zdrowie swych gości, a potem częstował ich z kolei. Każdego z pijących Hottentoci witali okrzykiem „Tkabee!“ (bądź pozdrowiony).

Za zbliżeniem się do osady mefrouw Gertruda van der Spuy wyszła na spotkanie męża aż za bramę; przy niej dwunastoletnia córeczka, która wielkie niebieskie swe oczy zwracała z podziwieniem na przybyszów, trzymając w ręku srebrny taléż z kieliszkami. Gospodyni z kryształowej karafki naląła znów wódki, której przyjęcia, ze względu na szafarkę, odmówić nie było można.

— Jeżeli poczciwy nasz gospodarz—szepnął porucznik przyjacielowi—przez kilka tygodni nie przestanie tak nas zaléwać szlachetnym alkoholem, to za powrotem do Kapu wyglądać będziemy jak ropuchy w spirytusie.

Wnętrze domu obejmowało kilka pokojów, z których dwa, urządzone z wykwintnością holandską, ustąpiono Anglikom; domownicy tymczasowo w jednej, lecz obszerniej mieścili się izbie, za jadalnię zaś służyła sień bardzo przestrona. Potrawy, na olbrzymi obliczone apetyt, bo złożone niekiedy z całego barana lub ćwierci wołowiny, stawiano na miejscu honorowém, przed gospodarzem i jego gośćmi, a ztamtąd, dzielnie atakowane, szły ony coraz niżej aż do drzwi, gdzie Hottentoci z psami dobijali się o resztki.

Nazajutrz zaraz wieczorem wojskowi, pod przewodem Pietra, dozorca niewolników, doświadczonego krajowca, udali się na wycieczkę myśliwską. Tym razem jednak, prócz psa pstrokatego (canis pictus), myszkującego koło stajen, nie im się ubić nie udało. Dopiero rano dnia następnego Pieter przybiegł z nowiną, że przededniem ogromna pantera porwała cielę roczniaka. To poruszyło naszych amatorów, imimo zapewnień gospodarza że niema się co spieszyć, gdyż zwierzę przed wieczorem nie opuści swęj kryjówki, niecierpliwość nie dała im wysiedzieć. Zabrawszy przeto Pietra, z kilkunastą Hottentotami, uzbrojonemi w stare karabiny, i psy posforowawszy, ruszyli w trop pantery, który po świeżo poruszonej rosie i krwi cielęcia łatwo było wynaléźć. Gubił się on w gęstwinie kolczatych ostromleczów (euphorbia), i wątpić nie można było że zwierzę tam się znajduje, bo ogary zagrały, i z najeżonym włosem, to się rzucały ku gęstwi, to znowu skomlać uciekały.

Zupełnie podobne było zachowanie się Hottentotów: wrzeszcząc na całe gardło i klnąc okropnie, wybiegali oni naprzód, pukali w krzaki na ślepo i pędem powracali do myśliwych. Ci zaś, pojmując że tym sposobem zwierzyna może być tylko rozdrażnioną lub spłoszoną, lecz nigdy ubitą, prosili dozorcę o ukrócenie téj swawoli. Pieter krzykliwym bohaterem w baranich kaftanach pokazał harapnik ze skóry nosorożca, i przecieź uspokoił ich nieco. Kazano im otoczyć gęstwinę i podszczuwano ogary; lecz nadaremnie: jeden tylko legawiec porucznika Lewis, zaprawny w Indyach do polowania na tygrysy, śmiało się wysunął.

Dotychczas, mimo hałasu, w zarośli nic się nie odezwało; lecz teraz pies zagrał w jęj głębi, a pantera wtórzyć mu zaczęła wyciem ponurém i przeciąglém. Napróżno wojskowi starali się przedrzeć do chrapu: cierniste krzewy zbyt silny stawiały opór; a wreszcie rozsądek nie pozwalał na zaciśnięcie się w miejscu, gdzie wszelki ruch obronny stawał się niepodobnym. Kilka szmermelów rzuconych w krzaki, pobudziło rozwściezoną panterę do coraz sroższego tylko wycia, lecz żadne usiłowania skłonić jęj nie mogły do opuszczenia téj warowni naturalnej, która, jakby na przekór gniewnemu rzucaniu się Anglików, zdawała się niezdobytą. Wtém jeden z Hottentotów zbliżył się do Brown'a, zapewniając że widzi psa i panterę; rzeczywiście w jedném miejscu od spodu, leżąc na ziemi, można było ujrzeć złocisto-połyskującą panterę, która pod krzewem sporyszów siedziała przykucnięta, a przed nią psa dzielnego w postawie zaczepnej.

Czyto z powodu niewygodnego położenia, czy też że cel jego zachowywał się zbyt niespokojnie, zwykła zręczność tym razem kapitana zawiodła, bo gdy huknęła jego strzelba, pantera z rykiem powstała, i czolgając się węzłem, przelamała krzaki tuż obok stanowiska porucznika, który natychmiast drugą przesłał jęj kulę. Ranione zwierzę sążnistym skokiem podrzuciło się w górę, a potem, zmózone boleścią, lecz zawsze straszny jeszcze przeciwnik, przysiadło, tuląc łapami potrzaskaną szczękę. Teraz Hottentoci z dzikiém wołaniem obścapieli nieprzyjaciela tak gęstym szeregiem, iż żaden z myśliwych nie śmiał wystrzelić; dopiero gdy harapnik Pietra rozpędził niespokojną czerebę, zdołano zakończyć męczarnią pysznego zwierzęcia. Pieter natychmiast z dziwną zwinnością

wziął się do jego obielenia, a Hottentoci rozszarpali mięso; poczem całe towarzystwo, wśród tryumfalnych okrzyków brunatno-żółtej jego części, udało się w drogę powrotną.

Mynheer van der Spuy mężnym Hottentotom swoim, oprócz zdobytej pieczeni, przeznaczył po porcy gorzałki; oficerowie wszakże szczerą udzielili mu radę, aby na przyszłość téj halastrze nie pozwalał marnować prochu.

Pieter, jako wytrawny i znający miejscowość myśliwy, nieodstępnie Anglikom towarzyszył w wyprawach, których jednak wypadek nie był tak świetnym, jak sobie zrazu obiecywali. Wkrótce też przyjaciele zauważyli, iż dozorca w jednym zawsze prowadzi ich kierunku, omijając stronę północno-zachodnią, gdzie prawdo-podobnie obfitszej spodziewać się było można zdobyczy. Zapytany o przyczynę, Pieter wyznał nareszcie, że w tamtéj stronie mieszkają pokolenia Kaffrów, którzy niebardzo teraz są „biali,” to znaczy przychylni Boerom. Wojownicze zwłaszcza plemię Zula, rozdrażnione licznymi ze strony plantatorów krzywdami, uwzięło się, jak mówił, na ich zgubę, a król jego, Mosolekatsi, niedawno jeszcze w nocy księżycowej krwawą poprzysiągł im zemstę. Wiadomość ta, potwierdzona przez samego van der Spuy'a, powinna była ochłodzić zapal Anglików; lecz żądza polowania przemogła głos rozsądku. Wreszcie dwaj przyjaciele, przyzwyczajeni będąc do pokornej uległości mieszkańców Hindostanu, nie mogli uwierzyć aby krajowcy gdziekolwiek targnąć się ośmielili na Europejczyków.

Pewnego poranku zadyszany pastuch przybiegł z oznajmieniem, że trzoda antylop od puszczy Karroo zbliża się ku rzece. W jednéj chwili dwór się ożywił: Hottentoci rzucili robotę, w nadziei że będą się mogli napukać do woli; lecz wojskowi oświadczyli stanowczo, iż conajwyżej zabiorą trzech, i to bez broni, jedynie dla pilnowania koni i ogarów. Młody sąsiad kolonista objawił również gotowość towarzyszenia wyprawie, i po upływie pół godziny trzech jeźdźców i czterech pieszych Hottentotów ciągnęło już brzegiem rzeki. Pieter, trzymając się strzemia kapitana, biegł truchtem koło niego.

Pastuch, co im służył za przewodnika, dobrze widać znał knieję, bo wkrótce za grupą skał porośłych kwitnącemi aloesami, myśliwi ujrzeli trzodę

niewidzianych dotąd zwierząt. Cudaczne postacie antylop gnu, z groźnemi kończatemi rogami, kudłatą brodą i ognistém spojrzeniem, składały większość téj grupy; pojedynczo tylko pasły się pokrewne kaopy, a tu i owdzie igrały gibkie gazelle, i okazałe, wydatnie ubarwione zebry. Przez chwilę przyjaciele napawali się dziwnym urokiem, jaki zwykle obudza w człowieku każdy widok fantastyczny i nowy; potem ułożono plan ataku. Rotmistrz z młodym plantatorem mieli objechać trzodę i popędzić ją ku stanowisku kapitana i Pietra. Po upływie kwadransa zamiar był dokonany: w dziwnych skokach, potrząsając grzywą, nadbiegały gnuki, z szybkością wiatru zwinne wyprzedzały je gazelle. Pieter strzelił i jedno z tych powabnych zwierzątek legło. Kapitan wziął na cel potężnego gnuka; kula uderzyła go w piersi i powaliła na miejscu. Dotychczas Hottentot zdołał jeszcze utrzymać legawca porucznika Lewis, lecz teraz niecierpliwy pies wyrwał się, i wlekąc smycz za sobą, rzucił się do gardła ubitej sztuce. Szczekanie jego spłoszyło resztę trzody.

Kapitan Brown pragnął gorąco spolować zebkę, lecz jedno tylko z tych zwierząt trwożliwych zbliżyło się na odległość strzału, i draśnięte kulą uciekło w puszcę. Rotmistrz, zabiwszy gazellę, powracał właśnie z towarzyszem, w chwili gdy Brown, strasznym uniesiony gniewem, przeklinał biednego Pietra. Gdy bowiem kapitan chciał w pogoń się puścić za postrzeloną zebką, dozorca zaczął mu robić przedstawienia, a gdy to nic nie pomogło, odwiązał konia i kilką uderzeniami bicia na cztery wiatry go wypędził. Młody plantator nie odmówił wprawdzie swojego, lecz dodał z holandzką rubasznością: „Pieter ma słusność; robicie głupstwo! zresztą—as You-t-beleevt!“ (jak się podoba). Zawiesiwszy strzelbę na ramieniu, poszedł spokojnie obejrzeć zwierzynę, patroszoną już przez Hottentotów, podczas gdy wojskowi pognali w ślad mocno farbującej zebry.

Gonitwa szła przez równinę prawie pustą, której ziemia gliniasta rozeschła się w szczeliny, niebezpieczne dla koni i dla jeźdźców. Czerwone opoki na granicy widnokregu w dziko-potarganych odrzynały się kształtach. Postrzelona zebra była niedaleko i odpoczywała niekiedy; lecz zanim kula mogła ją dosięgnąć, już się zrywała z zadziwiającą szybkością, uciekając to w prawo, to w lewo, tak iż

bez kompasu niepodobna się było zorientować. W coraz krótszych przerwach zmęczone zwierzę pokładało się; zawsze jednak w chwili stanowczej dobywszy sił ostatnich, uchodziło. Bieg jego kierował się ku gęstwinie z krzaków nosorożcowych i ostromleców, a myśliwi, wiedząc że tam się dostawszy będzie dla nich straconém, starali się odciąć je od lasku.

Wtém, pośród wycia piekielnego, kilkanaście strzał zafruczało; jedna z nich przewierciła szyję porucznika, który konając pochylił się naprzód i przez łeb koniowi przeleciał. Kapitan, cudem prawie nietknięty, pochwyił strzelbę, i piérwszy z Kaffrów, w ozdobnym pióropuszu na kędzierzawej głowie, padł na ziemię; huknęła druga lufa i drugiego powaliła napastnika. Teraz porwał się do kordelasa i chciał popędzić konia, lecz ten, raniony zatrutą strzałą, śmiertelném drgnieniem jeźdźca wysadził z siodła. Odurzonego obkoczyli Kaffrowie, i związawszy rzemieniami unieśli z sobą.

\* \* \*

Pod gęstą zasłoną niecierpków, których liście delikatne obwisły w skwarze południowym, nad brudną strugą, jedyném źródłem okolicy, leżał na skórze wołowej Moso-lekatsi, król Zulakaffrów. Ulubiona jego małżonka podawała mu szawłok barani z kwaszoném mlékim, druga, trzymając kawał mięsa na dzirycie w jednym, a nóż wyostrzony w drugim ręku, czekała pańskiego skinienia. Lecz groźny władca nie zważał na nie: baczość jego zwróconą była na trzech dziwacznie postrojonych starców, co siedząc przy kupie popiołu, machali rękami, sypali popiół w powietrze i dzikim głosem śpiew jakiś zawodzili. Uśmiech łaskawy skrzywił grube jego usta, nareszcie zaśmiał się głośno, zadowolony widąc z tercetu.

Po chwili z poblizkiego lasku nadbiega pędem wojownik; w oddaleniu stu kroków składa na ziemi łuk swój i hassagaję, rękami obejmuje kolana, i tak pochylony, drobnemi kroczkami postępuje ku poświęconej osobie swego pana. Co dziesięć kroków zatrzymuje się, wołając głośno: *Incósi moniamé, tabesseta incósi oa, méé!* (Mój królu, jakżeś potężny i straszny, o królu!) Potém, zbliżony na dwadzieścia kroków, staje i zasłania sobie oczy.

Byłto posłaniec donoszący o spotkaniu z Anglikami i wzięciu w niewolę kapitana Brown. Na wiadomość o zabiciu dwóch Kaffrów okropny jęk rozległ się dokoła. Moso-lekatsi kazał natychmiast przyprowadzić jeńca. „Jesteś mężny, biały człowieku, zawołał, dlatego sam cię zabiję.“ Warknął dziryt, i kapitan ugodzony w samo serce, padł nieżywy.

Wiadomość o śmierci dwóch powszechnie cenionych oficerów doszła wkrótce do Kapu, i skutkiem tego wysłano oddział wojska dla ukarania winnych. Wszystkie trzody, jedyna własność pasterskich Kaffrów, zostały zabrane, a po upływie roku nie tylko pokolenie Zula, lecz także Griqua, Katla, Metelebe i Kalliharri wplątane były w krwawą wojnę podjazdową, która do dziś dnia jeszcze się sroży.

## ANGLICY U SIEBIE.

### II.

Anglia jest krajem równości wobec prawa, lecz równość ta nie wnikła w jej obyczaje. Synowie Albionu napozór mało wprawdzie cenią zewnętrzne oznaki godności, i częściej u nich widzieć można w dziurce od guzika zatknięty kwiatek, aniżeli wstążkę lub inne tego rodzaju ozdoby; każdy z nich jednak chętnie przybiera tytuł sir, udzielany dawniej tylko członkom izby, baronom i niektórym urzędnikom; później zaś, kiedy ten tytuł zanadto się spopolitował, zaczęli się pisać ecuyer (1), dla odróżnienia od ogółu.

Pod względem praw i znaczenia społecznego mniej tam dbają o pozór, jak o rzecz samą. Taki ecuyer naprzykład może założyć handel winny, bez najmniejszej ujmy swój godności; lecz niechże jaki magnat chybi mu w wyplacie, to zabierze cugi, powozy i wszelką własność wierzyciela z daleko mniejszym zachodem, niżby się to gdzieindziej udało, nawet pomiędzy równymi. Nikt tu nie posiada przywilejów osobistych. Przypominam sobie jak raz pochwycono w moich oczach w Vauxhall'u młodego członka izby wyższej, który trochę zawiele robił hałasu i przechodzących szampańskim winem

gwałtem chciał częstować. Policyanci wyrzucili go za drzwi, poturbowawszy wprzód dobrze, a lud zupełnie był obojętnym na ten wymiar sprawiedliwości. Otóż taka to tu wolność!

Wyjątkowym sposobem Anglicy ubiegają się jednak o zaszczyt posiadania trzech starożytnych orderów: łaziennego, św. Jerzego i podwiązki; mają nadto manią herbów, a niech tylko służy komu prawo przyczepienia jakiej takiej tarczy herbowej do powozu lub szańca, zaraz i dom swój przybiera w żałobę po zmarłych członkach rodziny. To też często dają się tam widzieć po wystawach herby na tle żałobnym, w kształcie trójkąta, z wierzchołkiem na dół obróconym, i ta żałoba ceremonialna trwa zwykle rok cały.

Miałem list polecający od jednego z moich przyjaciół do p. William, zamożnego negocyanta londyńskiego. Ten bardzo uprzejmie odpowiedział wezwaniu, oznaczając dnie, w których może być na moje rozkazy, i zapraszając mnie na obiad do Reform-Club.

Kluby, zwykle nieprzystępne dla cudzoziemców, tak ważne w życiu Anglików zajmują miejsce, że nieznanym tych zakładów należy dać o nich dokładne wyobrażenie.

(1) Tytuł niższej szlachty.



Zwykle pod mianem klubu rozumie się wszelkie stowarzyszenie prywatne, zupełnie niepodległe, składające się z samych tylko mężczyzn. Ale kluby o których tutaj mowa przypominają zebrania zwane gdzieindziej kasynami albo resursami. W ogóle myślą przewodniczącą założeniu klubu jest ułatwienie stosunków między ludźmi jednychże wyobrażeń i jednego stanu. Istnieją przeto kluby wojskowych i uczonych, kluby kupieckie i literackie, kluby wigów i torysów; ale różnice zachodzące między nimi nie są zbyt wydatne. Obecnie znajduje się w Londynie więcej niż sześćdziesiąt klubów, a liczba stałych członków wynosi od 400 do 1,800. W liczbie tych zakładów, ubiegających się z sobą o pierwszeństwo w zbytku, Reform-Club jest jednym z najwspanialszych.

Budynek sam, nie licząc wewnętrznego urządzenia, kosztował trzy miliony złp. Dwupiętrowy, prawie czworoboczny, ma tylko dziewięć okien od przodu, a ośm w ścianach bocznych; lecz zato z góry pada doń światło stu oknami i kopułą szklaną. Sala wstępna, poprzedzona kantorem, gdzie przybywający podają żądania swoje umyślnie na to wyznaczonemu członkowi, otoczona jest kolumnami, na których wznosi się galerya; posadzka wykładana na wzór dawnych mozaik rzymskich; filary ozdobione rzeźbami i marmurem. Kopuła przepuszczająca światło przez rżnięte szyby błękitne, wspiera się na dwudziestu kolumnach jońskich, podstawy ich z czerwonego porfiru dotykają galeryi, na którą wstępuje się po szerokich z białego marmuru wschodach. Galerya ta, wyłożona kościanem, obejmuje kosztowne krzesła, zwierciadła i obrazy. Rodzaj to wspólnego salonu; ale są tam i czytelnie i pracownie, salony do gry i do tańca, i małe pokoje dla oddzielnych towarzystw, wszystkie z osobnymi wejściami do dwóch bibliotek bardzo bogatych, z których jedna poświęcona jest leższej literatury, druga prawu i polityce, każda zaś ma bibliotekarza, utrzymywanego kosztem klubu.

Niższe piętro obejmuje znaczną ilość sypialni. Londyn jest tak rozległy, a czas dla Anglików ma tyle wartości, że każdy stara się go oszczędzać; jeżeli więc kto z należących do klubu ma czynności w tej stronie miasta, a mieszka daleko, każe przynieść sobie rzeczy i nocuje w klubie. Obok pokoju sypialnego mieści się gabinet do ubiera-

nia; w nim umywalnia z białego marmuru, do której ciągle splywa woda zimna i gorąca. Mydelka, pachnidła i wszelkie do stroju przybory znajdują się tam wraz z usługą. W tym budynku jest sala do kąpiel i kuchnie w suterrenach; w nichto na ogromnych blatach pieką całe ćwiercie wołowiny, całe barany i mnóstwo drobiu. Przez drzwi otwarte kucharz lornetuje piekące się przysmaki, nie przybliżając się nawet do ognia. Obok są piece do ciast, dalej schowanie na mléko i spiżarnia, gdzie mięso lodem obłożone sążnistemi sztukami spoczywa w miedzianych naczyniach; a wszystko lśni czystością i odznacza się wzorowym porządkiem.

Obejrzawszy te cuda, weszliśmy do sali jadalnej bardzo obszernej, oświetlonej dziewięcioma oknami, wychodzącymi na ładny ogród. Tu dwudziestu służących w czarnym ubraniu przesuwają się cicho po dywanach, szybko i bez stuku rozkładając niezliczoną mnogość stoliczków; brzęki i szczęki nakrywania sąto przykrości nieznane ludziom obiadującym w klubach.

Zwyczajem angielskim żaden z członków nie może podejmować obcego gościa, nie zaprosiwszy do wspólnej biesiady którego z kolegów klubowych. Tym razem pan William przyprowadził dwóch towarzyszy, z których jeden był oficerem należącym do służby królowej. W Anglii poznaje się zaraz wojskowych po słodczy głosu, skromności postawy i staraniu z jakim ukrywają trącą obozem rubasznosc. Ponieważ zwykle czas wolny od służby spędzają w podróżach po obcych krajach, nie zbywa im przeto na znajomości świata i umieją rozmawiać o czémś innym jak o dostawach, siodłach i awansach. W życiu mojem nie zdarzyło mi się spotkać człowieka tak miłego, ujmującego i dobrze wychowanego, jak wojskowy o którym mówię. Drugim z zaproszonych był młody, nieśmiały, a jednak znakomity autor, p. Patton; trafność jego sądu, światło, rozległe wiadomości, trzeba było odgadywać niejako, bo rzadko się mieszał do rozmowy. Jest on rodowitym Szkotem, i mieszka w Edyburgu. Podczas ostatniej wojny węgierskiej pisywał listy o Węgrzech do Times, które w świecie dyplomatycznym wielkie zrobiły wrażenie.

Po pierwszych zaraz wypadkach politycznych, redakcyja tej gazety wysłała p. Patton, nie jako dziennikarza, lecz jako znajomego tamte kraje, dając

mu listy do obu stron nieprzyjacielskich. Polecono mu udać się na samo miejsce walki, obejrzyć i zbadać wszystko i udzielać swych wrażeń redakcyi, która zdanie jego przyjmie za własne. P. Patton żył w obozach, przebiegał kraj cały, zwiedzał miasta, był świadkiem wszystkich szturmów, i przepędził ośm miesięcy prawie ciągle na polu bitwy. Po skończonej kampanii wrócił do Szkocyi, zadowolony że się wzbogacił wspomnieniami.

Wiele osób pytało mnie jak się obiada w Londynie. Otóż zwyczaj najnowszy, przyjęty w gronie nielicznym i dobranym, jest taki: wszystkie półmiski zastawiają na stole, a gospodarz sam je dzieli i podaje swym gościom. Nieodmienną podstawę obiadu angielskiego stanowi ryba i pieczone; reszta jest tylko dodatkiem. Obiady te odznaczają się szczególniej rozmiarami dań głównych, lecz nigdy ilością potraw. Ryba rozpoczyna biesiadę; znakomitym gościom podają łososa lub jesiotra półtora łokcia długiego, z przyprawą korzenną, którą bardzo lubią Anglicy. Dalej następują zwierzyny, drobie lub ciasta. Pieczone, zastosowane do godności zaproszonych i do ich liczby, objętością swoją przypomina czasy homeryczne. Przydatki są liczne i osobliwe. Najpospolitsze jest ciasto wyłożone konfiturami kwaskowatemi, smażonemi czasem z korzenia rebarbarowego, czasem z porzeczki zupełnie niedojrzałych. Sałatę przyrządzają w główkach na pół tylko przekrojonych, a niektórzy jedzą takową biorąc wprost ręką i maczając końce listków w soli. Jarzyny, bez żadnej przyprawy, najczęściej pożywają z pieczystym. Na zakończenie idą ogromne bochenki chleba z Chester i Stilson, masło i owoce.

Poobiedzie zdejmują zupełnie nakrycia, a przynoszą szklanki i wino. Z napojów jedno tylko wino ma przywilej należenia do zastawy stołu; piwo zaś i ale szkocki podają w wielkich szklankach każdemu z gości na żądanie. W Reform-Club piją wino starym sposobem, to jest przyprawione korzeniami. Wina: Sherry, Porto i czerwone Bordeaux poprzedzają szampana, i następują jedno po drugim przez cały ciąg obiadu.

Żeby dać dokładne wyobrażenie o zbyt kowym urządzeniu klubów, trzeba wspomnieć, że kobierce i bielizna stołowa saska wyrabiane są umyślnie, podług wzorów podanych przez zakład, i z jego znakiem umieszczonym wśród arabesków i kwiatów.

Również porcelana i kryształy bywają zamawiane do wyłącznego użytku klubu. Znawcy tego rodzaju rękodziel oceniają znaczne nakłady spowodowane jednym tém wymaganiami.

Z pokoju jadalnego przeszliśmy przez salon, błyszczący malowaniami i złotem, dla usadowienia się w buduarze. Anglicy, lubiąc rozmowę w małym gronie, nie zaniedbali urządzenia stosownych dla niej schronień; chcą oni, nawet w łonie klubu, zachować niepodległości znaleźć odosobnienie jeśli tego zapragną. Gdy przeto kilka osób znajduje się gdzie razem, już każdy zdaleka grono ich omija; natręctwo zaś i ciekawość, dwie wady tak przeciwne swobodzie umysłowej, zupełnie tu są nieznane.

Czas szybko ubiega w towarzystwie ludzi, którzy więcej z życia jak z książek wyczerpnawszy naukę, widzieli i pracowali wiele, lecz nie chcą nikogo zadziwiać błyszczeniem lub przechwałkami, wolą raczej słuchać niż mówić. P. Patton opisywał nam swe podróże, i bardzo skwapliwie wypytywał się o wrażenie jakie sprawił na mnie Londyn. Zwyczajną ciekawość Anglików: dbają oni bardzo o zdanie cudzoziemców, a sami sądzą się z bezstronnością tém szacowniejszą, im widoczniej każdy wyrok pochlebny lechce ich miłość własną. Nadzwyczaj wydatną jest różnica między Anglikiem podróżującym, a zamieszkałym w kraju; ztądto wypływa nieraz mylne o nich na stałym lądzie wyobrażenie. Rozmowa Anglików nie jest zbyt urozmaiconą, bo nie zapuszczają się nigdy w rzeczy sobie nieznane, i wszędzie, nawet w stosunkach towarzyskich, odznaczają się specjalnością; lecz nosi na sobie piętno powagi i rozsądku. Uprzejmość takich ludzi zaszczyca, bo jest dowodem ich szacunku.

Wielu podróżnych uskarża się na brak przyjemności zewnętrznego życia w Londynie; niemasz tu bowiem ani świetnych kawiarni, ani wykwintnych restauracyj, jak w Paryżu i innych stolicach europejskich; czém zrażony niejedyn powie sobie lekkomyślnie, że Anglicy są niedźwiedzie! Niebyłoby pożyteczniej zastanowić się nad powodem tej różnicy?

Sześćdziesiąt klubów, podobnych do wyżej opisanego, i gromadzących w sobie całą prawie ludność bogatszą, w których przepych z dobrze pojętą wygodą walczy o pierwszeństwo, nie zostawiłoby wiele zarobku kawiarniom i restauracyom pierwszego nawet rzędu. Kluby zastępują najdoskonalej

wszystkie te miejsca, a nawet i czytelnie. Nietylko więc że Anglik nie jest pozbawionym przyjemności zewnętrznych, ale owszem posiada takowe w wyższym jeszcze stopniu, bo skupia je koło siebie i umiła niemi życie, nie marnując go na nie.

Dlaczegoż jednak Anglicy, choć dobrze żyć mogą w swym kraju, tak skwapliwie go opuszczają? Zkąd to upodobanie w przebieganiu całego świata i jaka przyczyna dobrowolnego wygnania, na które oni skazywać się lubią? Dlaczego znów Francuz z pierwszej swój wycieczki do Londynu wraca zachwycony, z drugiej chłodny, z trzeciej zupełnie rozczarowany? . . . . Dzieje się to skutkiem nudzącej jednostajności. Wszyscy Anglicy podobni są do siebie, żyją jednakowo, poddają się tymże samym zwyczajom i skazani są na te same rozrywki. W Londynie jedyną porą do zabawy jest lato; potem każdy ucieka, a miasto staje się nieznośnym, deszcze tylko i mgły pozostają. Zresztą, choćby Anglik i najliczniejsze miał znajomości, skazanym jest jednak na samotność, bo w drugich ciągle widzi siebie, jakby w jakim zwierciadle bez końca. Najlepszym dowodem tożsamości charakteru i sposobu życia Anglików, jest niepodobieństwo rozoznania na rzut oka stanu do jakiego kto należy. Lord, minister, służący, śpiewak uliczny, kupiec, admirał, żołnierz i dowódzca, artysta i urzędnik, bokser i ksiądz, mają jedno oblicze, jedną mowę, jeden ubiór i układ cały; koniec końcem każdy z nich wygląda na Anglika.

Szukając napróżno urozmaicenia, gdy jednostajność zmierznie mu nakoniec, gdy konieczna chęć zmiany, ta przyczyna wszelkiego ruchu, owładnie jego umysł, ubogi Anglik umiera na spleen, bogaty biegnie po całym świecie szukać lekarstwa na zabójcze nudy. Tam, z pyłem dróg, otrząsa on ścieśniające umysł przesady, któremi sucha i mędrkująca religia za młodu już wykarmiła jego duszę, i dzięki popędowi do podróży, po trudach lepiej już smakuje w spokoju i chętniej się poddaje odosobnieniu.

Nieustającym powodem doznawanej nudoty i smutku, na tej zbyt ludnej i zbyt systematycznie rządzonej ziemi, jest zupełne zatarcie osobistości człowieka, przekonanie o własnym nicestwie, jest brak zupełny wspólności i wzajemności. Wśród ruchu ciągłego człowiek czuje się tylko zębem koła w składzie szybko pędzącej ma-

chiny. Wtedy zamyka się w sobie i cierpi, póki nie podda się konieczności zatracenia w ogólnym odmęcie osobistego bytu swojego.

Londyn, wyłącznie prowadzeniu interesów oddany, nie przedstawia nic godnego zajęcia dla serca i umysłu. Nazbyt to wielkie miasto, tak wielkie, że ludzie w niem się gubią. Nawet majątek daje tam tylko życie, dostatnie wprowadzie, lecz nieznanne. Oryginalność niczyjiej nie zwróci tu uwagi, próżność nie ma celu, a chęć odznaczenia się pozostaje marzeniem; i otóż znów jedna z przyczyn, dla których Anglicy są ludem najmniej artystycznym na świecie.

Talent jedno ma tylko otwarte pole — politykę, duma jedyny cel — uczucie narodowości; a że człowiek musi mieć koniecznie jakąś namiętność, Anglicy kochają się w koniach, a hołdy swe składają lordowi Wellington. Na placu banku Wellington wyrzeźbiony jest konno, jak monarcha. Dalej, przy wejściu do Hyde-Park, w końcu trawnika położonego przed samemi oknami lorda, stoi posąg wyobrażający go jako Achillesa, osłoniętego tylko puklerzem. Lacedemońska jego postawa i groźny wyraz twarzy dziwnie odbija przy faworytach okrągło zarysowanych. Bezostłonny ten posąg bronzowy, wystawiono ze składek *dam londyńskich*, dla rozradowania wzroku Wellingtona. Ale niedosyć na tém: kilku ludzi wysoko położonych, protegujących jakiegoś rzeźbiarza, otworzyło zapisy na nowy pomnik dla starego księcia. Dészcz złoty odpowiedział temu wezwaniu, a ponieważ artyście zostawiono ostateczne zajęcie się wykonaniem dzieła, ponieważ użyto do niego metalu ze zdobytych armat, i wreszcie, zamiast zbudowania podstawy, wsadzono po prostu posąg konny na łuk tryumfalny stojący już przed domem lorda; pokazało się koniec końcem, że po odtrąceniu wszelkich kosztów, pozostało rzeźbiarzowi czystego zysku czterdzieści dwa tysiące funtów szterlingów! Smutno pomyśleć, że tylu uzdolnionych ludzi żyje w biedzie, a haniebne nieuctwo tak bywa wynagradzaniem! Pomnik bowiem o którym mowa do tego stopnia jest nieudolnym, że sami Anglicy z niego żartują.

Mimo tej czci przesadnej, oddawanej człowiekowi żyjącemu, żadna śmiesznota nie dotknęła nigdy uświęconej głowy bohatera zpod Waterloo. Takto w Anglii wdzięczność publiczna posunąć się może

aż do niedorzeczności, nie tracąc nic na powadze. Trzydzieści sześć lat minęło od owéj bitwy, a rocznica jéj dotąd obchodzoną jest z tymże samym zapalem co w r. 1816. Widziałem starego lorda udającego się na pokoje królowej. Niepodobna wyobrazić sobie okrzyków z jakimi go przyjmował tłum, zwykle tak spokojny. Lecz Wellington w ogólności zdaje się być dosyć obojętnym na te oznaki czci swych rodaków.

Mówią, że po upadku w roku 1830 jego ministerstwa, lud londyński, wzburzony, wytłukł okna w jego mieszkaniu. Wellington nie kazał wprawić szybowych, a kiedy, w następną rocznicę zwycięstwa pod Waterloo, ten sam lud zbiegł się znowu pod balkon pałacowy dla uczczenia swego bohatera, i krzykliwie domagał się jego osoby, on długo dał się prosić; nareszcie wyszedł, zimny i surowy, okiem wzgardy spojrzął na tłumy, wskazując na wybite szyby, i oddalił się w milczeniu.

Pieśń pochwalna zwycięstwa pod Waterloo, tak ciągle i na różne sposoby od trzydziestu sześciu lat głoszona, poniża wielkość narodu angielskiego. To upojenie radosne właściwszém byłoby dla narodu, co jedną tylko wygrał bitwę i nie ma już nadziei odniesienia innych zwycięstw.

Ciekawy byłem poznać rozslawione omnibusy londyńskie, całe, jak mówiono, wybite aksamitem i wykładane drogocenném drzewem, omnibusy nieznanéj nawet w Paryżu piękności. Mając się udać do kościoła św. Pawła, wsiadamy nareszcie do jednego z nich, ale o dziwy! te zachwalone powozy są wązkie, źle pospajane, roztluczone, zakurzone i niepospolicie brudne. Jedne tylko mają drzewiczki, a konduktor stoi zewnątrz na ławeczce, z kąd wzywa i zaprasza przechodzących. Nikomu przytém, choćby dęszcz lał jak z cebra, niewolno wchodzić do środka omnibusu, póki tylko jest miejsce na wierzchu. Kobiéty, starce i dzieci wlażą tam i zasiadają ławkę wpodłuż przez środek w kształcie litery T ustawioną. Gdy już wszystkie miejsca zajęte, nowo-przybyli cisną się jeszcze jak mogą, deptając po nogach tych co się wcześniej usadowili. Pamiętam że byłem raz szesnastym na wierzchu, kiedy wewnątrz powozu nie było jeszcze zajętém.

Za przybyciem przed kościół św. Pawła nastąpiła opłata kursu konduktorowi, co wiele zajęło czasu; bo Anglicy zanadto są cierpliwi, a przedsię-

biercy wszelkiego rodzaju samowładnie téj ich cierpliwości nadużywają.

Kościół św. Pawła jest jedną z wzorowych i zaszczyt sztuce przynoszących budowli. Trzeba ją podziwiać poważnie, sumiennie, rozumowo, i wyznać sobie samemu, że tam się nie wchodzi dla zabawy. Anglicy wysoko ją cenią, może najbardziej dlatego, że dużo w niéj kolumn korynckich; szal bowiem do frontonów wspartych na czworobocznych filarach, do galeryj i całego grecko-rzymskiego stylu posuniętym jest u nich aż do śmieszności. Gotowi są zepsuć wygodę mieszkań, zmarnować kilkadziesiąt łokci ziemi, byle tylko postawić budynek przypominający świątynię. Bank, giełda, poczta, British-Museum i komora celna, wszystko to przybrane w krój starożytny, jak tragedye Rassyna na Théâtre-Français. Ten zapal do czystego stylu w budownictwie pojawił się za pierwszego z Stuartów, i trwałby dotąd jeszcze, gdyby nie Walter-Scott i szkoła romantyczna, która wznowiła w Anglii smak wiekowej i nigdy zupełnie niezapomnianej architektury spiczastych łuków, w stylu saraceńskim.

Świątynia ta niższą jest o 60 do 80 stóp od kopuły św. Piotra, lecz każdy dobry Anglik przekłada ją nad bazylikę rzymską, a to dlatego, że kościół św. Piotra kosztował sto czterdzieści pięć lat pracy, w ciągu których użyto dwudziestu budowniczych; a tu przeciwnie, w przeciągu lat trzydziestu pięciu, od 1675 do 1710, jeden tylko budowniczy, Krzysztof Wren, pod zarządem dyecezyalnym jednego biskupa, doktora Compton, wznosił cały kościół od fundamentów aż do szczytu. Duch kupiecki przebija się w każdym wyrazie Anglika, a żaden z nich nie przypuszcza nawet, że chwając z takich pobudek, w słuchającym ironiczne obudza myśli. Wiedzą oni co do szeląga ile gmach cały kosztował, ile wozów użyto do wywożenia ziemi i t. d.

Tum św. Pawła położony jest w najludniejszej części miasta, między London-Bridge a City. Trzeba oddać sprawiedliwość sztuce Krzysztofa Wren; umiał on ozdobić czoło téj świątyni dwiema dzwonicami bardzo misternie rzeźbionemi, a jednak pełnemi prostoty, których celem, zdaje się, jest oswoić oko patrzącego z poważniejszém wrażeniem, jakie sprawia surowa postać kopuły. Zewnętrzne mury kościoła pełne są okien, kolumn, gzymsów, wień-

ców, nisz i innych ozdób sztuki; wewnątrz zaś wzniesłego sklepienia uważać można za arcydzieło śmiałości, i trudno pojąć co utrzymuje te masy jedne nad drugimi. Sztuczne zastosowanie ciesielskiej roboty niemniej także godnym jest podziwienia. Widziałem tam schodki, które zdawały mi się, jak schody Jakóba, oparte na samej tylko wierze; lecz opisać ich dokładnie nie zdołam.

Pochylony na poręczy galeryi *Echa*, podobnej z dołu do sztucznie wyrzynanej korony, przyglądałem się malowidłom kopuły, wykonanym przez James'a Tornhill, a wyobrażającym wypadki z życia św. Pawła. Auglicy uważają Tornhilla za najlepszego z historycznych malarzów swoich; nie dowodziłoby to jeszcze wyższości jego talentu, bo oni innego malarza nie mają, lecz artysta ten może istotnie pokonać wielu znakomitych współzawodników. Zostawił on w szpitalu Greenwich jedno z największych malowideł na murze, dowodzące niepospolitych zdolności. Sąto apoteozy królewskie, w rodzaju Rubensa, zajmujące powalę i część ściany. Tornhill może zanadto skupia postacie swych obrazów, lecz koloryt jego jest świetny i prawdziwy. Gdy tak, w wysokości 200 stóp nad ziemią, spoglądałem jeszcze na dzieło Tornhill'a, opowiedziano mi o nim następującą anegdotkę. Malując, stał on z przyjacielem na rusztowaniu bez poręczy. Właśnie tylko co był skończył głowę św. Pawła, i poruszeniem zwykłym artystom odsunął się w tył, dla przyjrzenia jej się zdaleka. Cofał się tak krok za krokiem, cały zajęty swym przedmiotem; wtém nagle przyjaciel spostrzega go tuż nad brzegiem rusztowania. Nie wahając się ani chwili, nie wydawszy żadnego krzyku, przyjaciel, który trzymał pędzel umoczony w ręku, rzuca się szybko jak błyskawica ku ścianie, i smaruje nim twarz świętego. „Co czynisz!“ zawołał Tornhill, biegnąc naprzód, dla zatrzymania mu ręki. „Ocalam ci życie“ odpowiedział spokojnie Anglik. Słuchając tego opowiadania wpatrywałem się wprawdzie jeszcze w pracę Tornhill'a, lecz silnie przytém ścisnąłem kratę poręczy.

Wnętrze kościoła św. Pawła ma kształt krzyża, a kopuła wznosi się, jak zwykle, nad przecięciem dwóch jego ramion. Ogromna ta budowa słusznie uchodzi za najznakomitszą z pomiędzy świątyń protestanckich. Wkoło kościoła nieuprawna ziemia,

dziką tylko trawą pokryta, otoczona piękną żelazną kratą, poza którą rozchodzą się najludniejsze ulice City. Ta ziemia, pod okiem mnogięj ludności, codziennie jest użyznaną trupami. Postępowa Anglia zatrzymała się tutaj na starym przywileju, dozwalającym kilku w każdej parafii rodzinom miejskim grzebania umarłych swoich wśród miasta. Niczem nie można ich było skłonić do odstąpienia tego prawa feodalnego, i dotąd każdy prawie z dawniejszych kościołów parafialnych opasuje się grobami.

Ileżto zmian zbawiennych niepodobnymi się staje w tym kraju, jedynie dlatego, że arystokracja wniknęła we wszystkie stany społeczeństwa! Nie można bowiem przypisywać uszanowaniu dla grobów i ostatniej woli zmarłych tak uporczywego obstawania przy dawnym zwyczaju. Gdzie miłość własna i ponęta odróżnień stanowych jest silną, a zdarza się to i przy równości w obliczu prawa, tam każdy ma swoje bożyszcza, swoje przesady i przywileje do zachowania i utrzymania; wszyscy zaś w tój wspólnej słabości znajdują dostateczną pobudkę do wybaczenia sobie wzajemnie pewnych nadużyć, i dlatego to parlament nie śmie dotknąć arystokracji kupców City. Co do poszanowania urzędowego dla umarłych, ogranicza się ono w Anglii na tём, że sekcyja ciał zabronioną dotąd była szkołom chirurgicznym, co skazywało lekarzów fakultetu angielskiego na zupełną nieznajomość anatomii, lub uczenie się jej z tamtęj strony kanału. Jestto jedna z tych sprzeczności trafiających się często w starych prawodawstwach; rzeczywiście bowiem nigdzie na całym świecie niemasz większego lekceważenia pamiątek pośmiertnych. Udowodnię to przykładem.

Przechodziłem raz w niedzielę o godzinie trzeciej z południa przez plac publiczny, ciągnący się w nierównych zarysach wzdłuż nawy opactwa Westminster. Plac ten, otwarty dla przechodzących i powozów nawet, przedstawia gdzieniegdzie ślady dawnych ogrodzeń, ale tak jest uczęszczany, że ziemia na nim zupełnie gładko ubita. Pokazują się tam miejscami szerokie kamienie, wdeptane nogami przechodniów; sąto stare pomniki grobowe, po których bez myśli tegoczesne przesuwają się plemię. Wtój chwili plac bardzo był ożywiony; przejeżdżały nim omnibusy i różnego rodzaju powozy, unosząc spieszących na wiejskie spacery, a środ-

kiem szły całe rodziny, szły matki z córkami rumanami i postrojonami, udając się na nabożeństwo.

Niedaleko bocznych drzwi opactwa ujrzałem człowieka wykopującego dół, podobny do tych, jakie robią niekiedy dla naprawy rur w ulicach gazem oświeconych, i stanąłem, zdziwiony że prace tego rodzaju odbywają się tu w święto. Działo się to w miejscu największego ruchu: ludzie dążyli w tę i w ową stronę, przydeptując ziemię świeżo na brzegi dołu wyrzuconą; kilka tylko osób przypatrywało się, reszta przechodziła obojętnie, nie zatrzymując się nawet. Dopiero gdy jeden ze stojących przedemną w bok się usunął, ujrzałem zdumiony na skraju dołu trumnę napół odartą z obicia. Trumna leżała tam jak paka oczekująca na tragarza; a tym tragarzem, tym robotnikiem pracującym w niedzielę był . . . . grabarz.

Dwóch braci zmarłego, stojących nad grobem, nie miłosiernie potrącano; młode dziewczęta, z uśmiechem na ustach, usuwały się nieco, z obawy by nie potknąć się o trumnę. Stopy przechodniów roztrącały świeżo wrzuszoną ziemię; i moja niechęć potoczyła przed siebie kość wyrzuconą z grobu. Tu i owdzie biegały igrające dzieci; a wpośród tej rzeszy wesolej, świątecznie przystrojonej, w ziemi okrytej próżniaczami tłumami i tętniącej pod kołami omnibusów, bez czci i pobożności, chowano zwłoki człowieka. Po wybraniu dołu, grabarz rzucił weń ową pakę, a krewni odeszli zwolna, jakby kończąc zaczęta przechadzkę. Ktokolwiek raz tylko kochał lub szanował kogo w życiu, ten pojmie wrażenie jakiego doznałem. Uciekłem ztamtąd ze łzami w oczach, rozżalony wspomnieniem swój ojczyzny katolickiej, gdzie, między ludem przynajmniej, wiara głęboka i szczerą przemaga jeszcze nad mędrkostwem filozofów.

W kilka dni potem, rozmawiając z krewniakiem słynnego Pitta, wyraziłem mu zadziwienie swoje, że pojęcia socyalistowskie tak mało w Anglii znalazły zwolenników. „Ależ bo — odpowiedział mi z głębokim przekonaniem — te pojęcia upowszechniają się łatwiej daleko u ludów posuwających niedowiarstwo aż do ateizmu, ubiegających się tylko za dobrym bytem materyalnym; nas przeciwnie wiara strzeże od złego: lud angielski niezmiernie jest religijnym“ . . . . Uśmiechnąłem się na to; dość już byłem zbudowany religijnością Anglików!

Lecz wróćmy pod kościół św. Pawła, by raz jeszcze rzucić okiem na wspaniałe jego mury. Sadze i kopeć węglowy osmałyły je i zbrudziły, nie nadając im wcale tego piętna starożytności, co cześć obudza w duszy patrzącego. Ta szklista czarność martwą jest i szpecącą, ten kopeć ćmi piękność wielu szczegółów sztuki, rozwodząc po nich swe plamy. Nie znam większej sprzeczności, jak widnokrąg londyński, zamglony wyziewami kominów fabrycznych, z architekturą przenoszącą myśl naszą pod błękity nieba Partenonu.

Od św. Pawła do wieży londyńskiej przejeżdża się przez City, plątaninę uliczek wązkich, lecz czysciutkich, wyłożonych jak kościoły ciosowym kamieniem, i ujętych w ściany murowanych, hermetycznie zamkniętych domów. Tamto znajdują się kantory, agentury rozmaitych interesów, magazyny, biura handlowe, banki prywatne i t. p. zakłady. Część ta miasta, napozór podobna do klasztoru, jest miejscem popisu olbrzymów giełdy i banku; cała też się porusza, jak wewnątrz jakiego ula. Każde drzwi opatrzone są młotkiem do pukania z świecącej miedzi, okienkiem i blachą metalową, z nazwiskiem właściciela domu. Żadnej tam niema ozdoby zewnętrznej, żadnej ponęty dla oka. Małe kantory, w których przeliczają się i wymieniają miliony, mają wszystkie swą odwieczną i stałą klientelę; synowie następują po ojcach, bogatszych jak nababy, a dziedzice tych skarbów tyle może dbają o następstwo po ojcach w swym zawodzie, ile starsi synowie lordów o prawo do parostwa.

Wszelako ta część miasta roi się tłumnie tylko do piątej po południu; potem w niej pustki, bo nikt tam prawie nie mieszka. Ze schyłkiem dnia kupcy tamtejsi wynoszą się skromnie i cichaczem do przeslicznych swych domów na Portland-Place, Regent-Street, Pall-Mall, Burlington, lub Grosvenor-Square; niektórzy idą spocząć w willach niedaleko Londynu na stopę książęcą urządzonych, by nazajutrz, z pokorną miną kramarza, wrócić do kantoru. O ile bowiem gdzieindziej ludzie usiłują pokazać się wyższymi nad rzeczywiste swe położenie, o tyle tam umyślnie zatrzeć się starają stan dostojniejszy wśród ogólnej mierności. Ten rodzaj udawania przechodzi u niektórych w manię: wymieniano mi wielkich bankierów, którzy co rano idą do jatek po kotlety, i wcale takowych nie ukrywając, niosą je do garkuchni na Cheapside albo Fleet-

Street, gdzie jeszcze najczęściej sami je sobie smażą. Kupują potem za trzy pensy żytniego chleba, i pożywając tę spartańską strawę, dają pierwsze posłuchania; czém zachwycona rzesza małych kramarzy, nuż wielbić w nich prostotę obyczajów! Poczciwi, nie widzą że z tą prostotą tak się dzieje, jak z workiem wełny na którym ich kanclerz zasiada w parlamencie; przykryto go aksamitem, a wełna znikła pod złocistą tkaniną. Ów niby wstrzemięźliwiec zjadł dobre śniadanie przed tym chlebem powszednim, a wieczerza Lukullę czeka go za powrotem w pysznym jego pałacu.

Zdaje się że zadaniem tych zręcznych kupców jest sprzedawać niesłychanie drogo, a kupować za bezcen; w tym przeto celu używają wszelkich sposobów i korzystają bez miłosierdzia z okoliczności. Lecz nie trwóż się zbytecznie, bo możesz być pewnym, że choć cię zedrą w cenie, nie będziesz nigdy oszukany na dobroci towaru.

W tej części miasta najwydatniej odznacza się ufność towarzysząca w Anglii stosunkom kupieckim. Bank, bez żołnierskiej lub jakiegobądź straży, dla każdego jest otwarty. Nie znają tam owych klatek żelaznych, w które gdzieindziej zamykają kassjera z jego złotem. Tu stoły kassowe są niskie, łatwo przystępne, bez kratek i odgrodzeń, a przerzucają na nich złoto małemi łopatkami, jak sól albo gwoździe po handlach szczegółowych. W jednej z sal, gdzie leżały bryły złota, podano mi do obejrzenia sztabę ważącą z ośm funtów. Stałem przy wyjściu na korytarz; ktoś ją odebrał odemnie i podał sąsiadowi, i tak, z rąk do rąk przechodząc, sztaba znikła w korytarzu, którego drzwi wychodziły na ulicę. Urzędnik wcale na to nie zważał, mówił o czém inném, a gdy złoto wróciło do niego, przyjął je, nietylko obojętnie, lecz jako rzecz o której już był zapomniął. Na gzymsie banku wyczytałem napis wyrażający całą zasadę religijną kraju; oto jój myśl: „Panie, rządź czynnościami naszymi; szczęście nam, a cześć Bogu!“ Postępując dalej chodnikami City, przechodzi się między King-Street, gdzie się znajduje Guild-Hall, a Mansion-House, gdzie mieszka bardzo niewygodnie, w pięknej greckiej budowie lord-major, pierwszy urzędnik miejski. Powiedzmy słów kilka o tej godności tak ważnej, a mało jednak znaniej.

Lord major łączy w sobie władzę: gubernatora, prezydenta i sędziego pokoju. Obiérany jest na

rok jeden przez najznakomitszych właścicieli domów w City, z pomiędzy aldermanów także przez nich wybranych. Miasto podzielone jest na dwadzieścia sześć cyrkulów, z których każdy wybiera sobie jednego reprezentanta; a ci reprezentanci, w połączeniu z aldermanami i dwoma sherifami, pod prezydencją lorda-majora, stanowią radę miejską. Rada ta zarządza funduszami miasta, wydaje wyroki i mianuje urzędników. Pierwszym urzędnikiem lorda-majora jest assessor prawny (the recorder), mianowany dożywotnie przez swego zwierzchnika. Wymierza on sprawiedliwość w Guild-Hall przy pomocy dwóch sherifów.

Starożytna godność lorda-majora i jego przywileje bardzo są szanowane, a w każdej uroczystości publicznej osoba jego znakomitą odgrywa rolę. Ma liczny poczet przybocznych urzędników, świetną i wspaniałą liberyą, paradny mundur, szamerowany po wszystkich szwach złotem, a na nim zarzucony płaszcz szeroki, podszyty bieliskami. Władza jego jest wielka, a gdy tron opróżniony, lord-major prezyduje w wielkiej radzie państwa, aż do ogłoszenia nowego monarchy. Zwykle sądy odbywa w przedsionku swego pałacu, a wtenczas tylko obleka się we wszystkie oznaki dostojenstwa, kiedy zasiada w gotyckiej sali Guild-Hall. Od rady miejskiej na koszt reprezentacyi pobiera ośm tysięcy funtów szterlingów, lecz prawie drugie tyle z własnej dokładać musi kieszeni, i dlatego rzadko który, i to chyba nadzwyczajnie bogaty, przyjmuje wybór na rok następny.

Z murów otaczających niegdyś City pozostała tylko jedna brama, zwana Temple-Bar, wzniesiona w roku 1670 w końcu Strand'u przez Krzysztofa Wren, z czterema framugami, mieszczącemi w sobie posągi: Elżbiety i Jakóba VI szkockiego z jednej, a Karola I i Karola II z drugiej strony, przystrojone po staroświecku i niezmiernie brzydkie; a wszystko to czarne i okopcone.

Podwoje tej bramy, ciągle dla przechodzących otwarte, zamykają się przed jednym tylko królem, dla zachowania dawnego przywileju służącego municypalności londyńskiej. Kiedy król chce przejechać przez City, poprzedzający go goniec kołacze do bramy, prosząc lorda-majora o wolny przejazd. Po uzyskaném dopiero przyzwoleniu roztwierają się podwoje, i monarcha wjeżdża. Zwykle w takim razie lord-major staje przed powozem swego wład-

cy i oddaje mu szpadę, którą król zaraz powraca, z uprzejmém skinieniem głowy.

Brama ta posępne sprawia wrażenie; przekładarną ją wszakże nad facyatę Guild-Hall (ratusza). W części tego gmachu, pochodzącej, jak się zdaje, z wieku piętnastego, jest sala, gdzie odbywają się wybory i wszystkie wielkie obchody municypalne. Ma ona sto pięćdziesiąt kroków długości; drzwi ciekawie są wyrabiane, okna szerokie, śpiczaste, w głębi zaś widać kolosalne posągi Goga i Magoga. W czasie przyjmowania tam lorda-majora dwie lalki, ubrane za Goga i Magoga, muszą koniecznie należeć do orszaku, a pospólstwo przyjmuje je z okrzykami radości. Gog i Magog, podług Anglików, uosabiają Bretona i Saksona; więcej o nich niewiadomo.

Ale przejdźmy do wieży londyńskiej. Czy pamięta kto ubiór Tyrrhe'a w dramacie *Dzieci Edwarda*? Otóż straż wieży do dziś dnia nosi ten strój starożytny: czapkę czworokątną, ozdobioną piórem, szpadę przy boku, suknię i kaftan czerwone, spięte z tyłu herbem Anglii z godłem Henryka VIII, złotem wyszyte na piersiach, i w ręku starożytną halabardę; z jednych tylko kołnierzyków do naszego należy ona wieku. Pomnik ten dziejowy wznosi się na zieloném wzgórzu, z kąd poważnie spogląda na Tamizę. Rów głęboki otacza grube jego mury, zbudowane przez Wilhelma Rudego w roku 1097 około dawniej wieżycy, jeszcze przez Wilhelma Zdobywcę wystawionój.

W obrębie tego gmachu mieszczą się dwie kaplice, skład artylleryi, starożytne archiwum Anglii, zbrojownia i skarbiec klejnotów korony. Wchodzi się w jego wnętrze przez wąskie i niskie przejście popod okopem, aż czterema furtkami wałowemi. W piérwszej wieży na lewo królowa Elżbieta przepędzała dnie smutku i obawy, trwożona wspomnieniem śmierci swój matki, Anny Boleny, i Joanny Grey, straconej dlatego, że życie jej niepokoiło królowę Maryą. Idąc dalej spotyka się oblączystą i ciężką bramę zwaną *traitors' gate*, przez którą niegdyś wprowadzano więźniów stanu. Wprost niej jest furtka czarna, przyciśniona wieżycą z zakratowanemi oknami: to *wieża krwawa*, gdzie zamordowano dzieci Edwarda. W jej murach, pod kamienną posadzką poddasza, znaleziono niedawno kościotrupy tych młodych książąt. W okrągłej wieży Wakefield-Tower, stykającej się z poprze-

dnia, pozbawiono życia Henryka VI. Wieża Beauchamps. położona ku północo-zachodowi, służyła za więzienie Annie Bolenie, hrabiom Warwick, Arundel i Leicester.

Przeszedłszy dziedziniec, otoczony ze wszystkich stron murem i szczątkami dawniej twierdzy, zostawując na boku starożytne koszary, zastępujące arsenał spalony w r. 1841, przejdźmy do kaplicy św. Piotra. Tam się znajdziemy pośród grobów, gdzie spoczywają: Anna Bolena, Katarzyna Howard, Jan Fischer, Tomasz Morus, hrabina Salisbury, Seymour, książęta: Sommerset, Norfolk, Dudley, piękny hrabia Essex ulubieniec Elżbiety, który i w więzieniu nie nauczył się przebaczać, nakoniec młoda i nieszczęśliwa Joanna Grey, ofiara dumy swych krewnych. O kilka kroków ztamtąd daje się widzieć czworobok czarnym wyłożony kamieniem; jestto miejsce gdzie krew ich popłynęła. Dalej jeszcze ujrysz szczątki Brick-tower, więzienia Joanny Grey, i Bowyer-tower, gdzie Clarence był utopiony w beczce małmazyi.

Pozostaje nam jeszcze White-tower i więzienie Raleigh'a, z pięknym zbiorem puginałów, toporów katowskich i pieńków, poznaczonych cięciami, po których zrachować można liczbę ofiar co tu głowy swe złożyły. Gubernator wieży londyńskiej zajmuje gmach zbudowany jeszcze przez Henryka VIII, strasznego bohatera tej krwawej legendy monarchii angielskiej. Miejsce osławione spełnieniem tylu morderstw, na samym wstępie do Londynu zwiedzane, tak silne i głębokie czyni wrażenie, że wielu cudzoziemców, przerażonych historią wieży, oglądając potem inne pomniki tego miasta, pytają przy wejściu do każdego: „a któż tu został zamordowany?“

Zbrojownia, tudzież zbiór rzędów końskich od trzynastego do siedmnastego wieku, wiele ważnych i ciekawych zawiera pamiątek; ale wszystko źle, ciasno i dziecinnie poumieszczane. Zapewne dla większego wrażenia, ubrano w zbroje i oręż wypchane lalki, tak iż się zdaje że wchodzisz do składu teatralnego. Dziwnie przytém odbijają oprowadzający stróże, o których wspomniałem wyżej, ubrani jak za Henryka Tudor, a pokazujący nam broń zpod Waterloo.

W górnej sali, noszącej imię Elżbiety, może dlatego, że ona tam wielu nieszczęśliwych więziła, znajduje się zbiór broni dzikich ludów, starych



rusznic i mnóstwo ciekawych szczegółów, równie źle ułożonych, między innymi: trzy szpady, kask i pas Tippto Saiba; pień, na którym ścięto Lovat'a i Balmerina po bitwie pod Culloden, w roku 1746; topór którym stracono Essex'a, i topór połączony z pistoletem, którego używał Henryk VIII, gdy szedł na nocne wycieczki; nakoniec zbroja azyatycka, niezmiernie wykończona, niegdyś, jak mówią, własność Bajazeta, mająca na każdym kółku pancerza wyryty wiersz jeden z koranu.

Sala przechowująca kosztowności korony wcale nieozdobna, ciemna, znajduje się w nowym już budynku. Mieści ona w sobie koronę Karola drugiego, berło św. Edwarda i monarsze ozdoby królowej Wiktoryi. Z kamieni najgodniejszym uwagi jest jeden szafir i rubin bardzo duży. Wzbroniono nam zwiedzenia kaplicy św. Jana, która ma być szacownym zabytkiem architektury normandzkiej, z powodu że tam się znajduje archiwum.

Mała przestrzeń kilku tylko kroków przedziela wieżę londyńską od doków czyli przystani, gdzie zawijają bogate floty nowożytnego Tyru. Najbliższą z nich jest przystań św. Katarzyny; zaraz za nią idzie londyńska; dalej znajdują się wielkie zatoki okrętów kompanii wschodnio-indyjskiej. Olbrzymie te prace rozpoczęto nie wcześniej, jak w pierwszych latach bieżącego stulecia, a przystań św. Katarzyny otworzono dopiero w roku 1828. Sąto obszerne czworoboki, przystępne dla okrętów na trzy godziny przed przyływem morza, i otoczone wybrzeżem, pokrytym rozległymi składowami, gdzie wypróżniają się i ładują okręty.

W przystaniach tych cały dzień boży panuje ruch niesłychany; zdaje się że wyczerpnięto wszystkie plody ziemi dla zgromadzenia razem tylu różnorodnych przedmiotów. Miejscami stąpa się prawie po cukrze, a powietrze tak jest napelnione pyłem faryny, że aż drze po gardle; dalej toż samo z innymi przedmiotami. Zpod cienia lasu masztów spogląda się na te czary, a mnóstwo robotników i kommissantów, pełno lin i beczek za każdym spotyka się krokiem, postępując po drodze wyłożonej płytami żelaznymi, wyżłobionymi gdzieniegdzie od kół ładownych wozów.

Tamto szczególniej powziąć można wyobrażenie o bogactwie i przewadze tego narodu, potwornego polipa, wciągającego w siebie soki żywotne wszystkich stron świata, przez tysiączne rozgałę-

zienia owych naczyń ssących, któremi ciało jego wzrasta. Lecz tu także uderza nadzwyczajna sprzeczność rozgraniczająca parą ledwo kroków dostatek aż do zbytku posunięty, od zupełnego ubóstwa. Cała część miasta Wapping zwana, od doku londyńskiego aż do tunelu, jest siedliskiem najokropniejszej nędzy. W rażących nieczystością kletkach mieszczą się całe rodziny, wycieńczone i chorobliwe, na których niedolę serce się ściska. Jednak każdy z tych żebraków, strzępkami tylko odzienia okrytych, musi mieć na głowie choć kawałek kapelusza, toż samo i kobiety. Nieraz widzieć tam można najcudniejszą kapotkę, arcydzieło pierwszej modniarki paryzkiej, jak z przepysznego powozu magnatki przechodzi stopniowo, naprzód w dni kilkanaście na głowę jej sługi, później w kilkanaście miesięcy, zużyta, przenicowana, zbrudzona, na stragan tandeciarski; a ztamtąd, dobrze przepocona i zatłuszczona, rzucona na śmiecie, wala się czasem w rynsztoku i wydobyta z niego, dostaje się na głowę żebraczki, wyciągającej rękę po jałmużnę do pierwotnej tego stroju właścicielki. Ta pewno nie pozna ślicznej kiedyś swój kapotki, i rzuci kilka pensów żebrzącej, która uzyskanym datkiem pospieszy zasilić zgłodniałą rodzinę.

Wieczorem zobaczysz dzieci rojące się po śmietnikach, zjadające głąbie kapusty, surową marchew i obierzyny rozmaitych jarzyn, a potem nocujące razem z całą zgrają żebractwa na trosze zdziebeł stariej słomy. Wykwintność narodowa zagnała zgłodniałe te tłumy do najzapadlejszej części miasta. Środek to wcale nie zaradczy!

Przed wejściem do tunelu, tego mostu podwodnego Tamizy, wstąpiliśmy do winiarni. Wkoło stołu piło stojący kilka osób; przy nich kręciła się przekupka, częstując pomarańczami maltańskimi, znajdującymi się w jej koszyku razem z baraniami nogami na zimno, które podawała na żelaznym widelcu, z trochę soli w papierku. Takie przekąski dla Anglików są tylko skróceniem czasu między zwykłymi posiłkami dziennymi; łatwo więc sobie wyobrazić jak srogim cierpieniem musi być głód, wobec tak olbrzymiej potrzeby jedzenia.

Popod tunelem, w którego wnętrze schodzi się okrągłym, blisko na sto stóp obszernym otworem ze schodami po bokach, smutny, a potrzebą zarobku wywołany, rozwija się przemysł. Skoro się

wejdzie w podwójną galeryę, której sklepienia zakreślają łuk wynoszący trzy czwarte części koła, zaraz czuć się daje powietrze wilgotne, zimne, nasyczone jakimś dziwnym śmierci wyziewem. Zdaje się że dwóch godzin wyżycby niepodobna w tej norze sączącej kroplami wodę, z której brudne potem zbierają się kałuże. A przecież przy każdym filarze są sklepy, gdzie żywo pogrzebane, młode, blade, a uśmiechające się dziewczęta, sprzedają drobne przedmioty szklane i mnogość tuzinkowych cacek jarmarcznych. Pokazują tam marynetki, grają na różnych instrumentach, słowem żyją w tym mieszkaniu śmierci. Jakież choroby, nieznanne na

(Dalszy ciąg nastąpi).

## H Y E N A.

(CANIS HYAENA, LIN.)

Półczwarta z górą wieków przed erą chrześcijańską Arystoteles Macedończyk skreślił nam tak trafnie obraz hyeny, że on byłby powinien wystarczyć na odróżnienie tego zwierzęcia od wszystkich innych. Pomimo tego podróżni, a nawet naturaliści, mylili się często i naprzemian brali za hyenę cztery inne zwierzęta, zupełnie pomiędzy sobą i od niej różne: szakala, żarłocznika czyli rosomaka, wiwerę i pawiana, które pod jednym tylko względem żarłoczności i dzikości są do hyeny podobne.

Wszystkie rodzaje hyen mają po cztery palce u każdej nogi, trzydzieści cztery zębów, z których dwanaście przednich, cztery kły, dziesięć trzonowych w wierzchniej szczęce, a ośm w dolnej. Mocne zgięcie tylnych nóg zniża ich zad ku ziemi; łeb mają pochylony, język szorstki, oczy wytrzeszczone, uszy bardzo wielkie, a pysk okrągły, gruby, jak ucięty.

Hyena pręgowata, (*Hyène regée*, Geoff-Zabo po arabsku, *Kaftaar* po persku), długą jest na półczwartą stopy, nie licząc ogona. Sierść jej żółtawo-siną przebiegają pasy brunatne po bokach i po nogach, pysk zaś i gardło czarnej są barwy, podo-

ziemi ogrzanej słońcem, muszą tam powstawać! Jakażto piękna szklarnia do pielęgnowania osobliwości chorobnych! Zaiste, zdrowie, a nawet moralność publiczna, wieleby zyskały na zamknięciu tych kramów.

Tunel, dziś prawie bezużyteczny, stanie się prawdziwie dogodnym, gdy porobią doń drogi dla powozów. Tamiza bowiem, bardzo w tym miejscu szeroka i zawsze pokryta statkami, nie daje ująć się mostem; dla dostania się więc na brzeg przeciwny powozy muszą teraz objeżdżać aż przez New-London-Bridge, nadkładając tym sposobem blisko pięć mil angielskich.

bnież i długa na grzbiecie grzywa. Zwierzę to zamieszkuje Barbaryę, Egipt, Nubię, Syryę i Persyę.

Hyena na Wschodzie była i jest jeszcze przedmiotem wielu dziwnych przesądów. Niesłychanie nedorzeczne w starożytności już o niej opowiadało baśnie. Pliniusz zaręcza, że hyena zmienia swą płć dwa razy na rok, że przez sześć miesięcy jest samcem, a przez inne sześć samicą. Tenże sam naturalista utrzymuje, że ona doskonale naśladuje głos ludzki, i korzysta z tego talentu ze szkodą dla pasterzy, których płaczącym tonem zwabia w ustroń, a potem dusi i pożera. Buffon, pomimo swój uczoneści bardzo łatwowierny, nie wierzył przecież w przywileje i talenta przypisywane hyenie; jednakże wystawia ją jako zwierzę znakomicie odważne.

Rzeczywiście hyena odznacza się tylko najhambniejszą żarłocznością i srogością; męstwa wszakże i szlachetnej odwagi nie posiada, owszem nadzwyczaj jest tchórzliwą. Najulubiejszą jej potrawą są trupy w zgniliznę przeszłe, które wywącha na sześć stóp pod ziemię, wykopuje i pożera; ale z żyjących zwierząt rzuci się chyba na starą owcę lub



Polowanie na Hyeny.

Stahlsch v. Carl Mayer's Kunst-Anstalt in Nürnberg.



jagnię. Bruce, który lat kilkanaście spędził w Abissynii, zaręcza iż nieraz tam dziecko dziesięcio lub ośmioletnie kijem zabiło hyenę, i że się ta ani bronić nie śmiała. W państwie marokańskim hyena uchodzi powszechnie za tchórza, obżartucha i okrutnika, i nierazkto zdybaną w norach przyprowadzają za uszy do duaru lub do miasta. W menażeryach europejskich, stałych i koczujących, bardzo często znajdują się hyeny do tego stopnia oblaskawione, że się człowiekowi w język kąsać dają, czegośmy zresztą i tu w Warszawie świadkami byli przed rokiem. Hyena, z młodości pomiędzy ludźmi wychowana, nabiera przymiotów psa, jego wierności i potulności. Oficer jeden francuzki armii afrykańskiej w Bonie wychował sobie hyenę, która mu towarzyszyła wszędzie, która go słuchała, lizala po rękach i lasiła się, zupełnie jak piesek.

Hyena Abissynii (*canis hyaenomelas Brucei*), większą jest od hyeny pręgowatęj; często dochodzi do pięciu stóp długości, nie licząc ogona długiego na dwadzieścia dwa cale. Kształtem podobniejsza do psa, zadu tak nisko nie nosi jak tamta; koloru jest czerwono-brunatnego, pysk ma dłuższy i nie tak gruby, zresztą pasy także po bokach czarne, tylko na tylnych nogach nie poprzeczne, lecz wzdłuż biegnące.

Hyena Abissynii, śmielsza nieco od pierwszój, wkrada się pomiędzy ludzi w duary, obozy i miasta; liczba zaś hyen w tym kraju przechodzi liczbę owiec, choć tych nadzwyczaj jest wiele. W mieście stołeczném Gondar pełno ich od wieczora do rana po wszystkich zakątkach ulic. Bruce zaręcza, że powracając nocną porą od króla do siebie, napotykał je każdym razem, i co noc prawie odprowadzająca go gwardya zabiła lub raniła hyenę. Nawet do samych mieszkań wkradają się te brzydkie, największy wstręt wzbudzające stworzenia. Bruce ubił raz hyenę w swój pracowni, gdzie zastał ją pożerającą cały kamień świec łożowych.

Sławny nasz podróżnik i naturalista, p. Cienkowski, który lat trzy na Wschodzie i w głębi Afryki strawił, zapewnił mnie jeszcze tego roku w Ojcowie, że *hyena egipska* zuchwalszą jest i śmielszą od innych, i że w licznej gromadzie nie waha się napadać na ludzi i duary. Raz nawet p. Cienkowski o mało nie stał się ofiarą takiego napadu bardzo taktycznie poprowadzonego i z zastanawiającą wykonanego śmiałością. Rzecz działa się na

brzegu jednego z pobocznych ramion Nilu, jednéj z owych zatok, które wdzierając się między góry skaliste, tworzą zimną wiosną głębokie okropne, latem zaś wysychają. Wówczas miliony ryb, płazów, skorupiaków, a nawet krokodyłów, zdychając w mulegnię i po całym nieraz kraju okropną szerzą zarazę. Tysiące ludzi padało ofiarą morowego powietrza, i żadnym sposobem nie umiano zapobiedz tworzeniu się tych wyziewów mefitycznych.

Opatrzność, czy natura, same sobie poradziły aby ród ludzki ochronić od zagłady. Od lat trzydziestu zjawiał się jakiś nowy rodzaj hyen, wykwintniejszego od innych gustu, bo przedewszystkiém lubiący w zgniliznę już przeszłe ciała mieszkańców wody. Nieprzeliczonemi hordami wałęsają się te żarłoki około zatok górnego Nilu, i często ludziom na ich brzegach koczującym dają się we znaki. Pan Cienkowski świadkiem był jak na patrol żołnierzy egipskich, obozujący pod gruzami starożytnéj Ptolomaidy, nocną porą napadła gromada hyen, jak zatokę przepłynęła, i jak hyena ogromnéj wielkości jednego z żołnierzy, pomimo strzałów i silnéj obrony, z sobą uniosła, porwawszy go z tyłu pyskiem za pas i płynąc z tym ciężarem na drugi brzeg zatoki. Szczęściem że jeden z Arabów, dzielny jakiś pływacz i nieustraszonej od wagi człowiek, puścił się za zgrają uchodzących z pola zwierząt, przepłynął zatokę, i już na ładzie hyenę unoszącą kolegę przebił kindziałem; poczem nawpół umarłego uniósł z sobą na brzeg przeciwny. Początek téj sceny wyobraża dołączony staloryt.

Egipska hyena należy do rodzaju *nakrapianych* (*hyène tachetée*), średnie zajmujących miejsce co do wzrostu pomiędzy *abissyńskimi* a *pręgowatemi*, i tém się odróżnia, że ma na sierści plamy tygrysowe, błony bardzo mocne pomiędzy palcami, i że odwagą wszystkie swego rodu gutunki przewyższa.

Hyeny podobnego bardzo rodzaju, ale mniejsze, znajdują się także daleko od brzegów Nilu, bo aż na przyładku Dobréj Nadziei, gdzie, według p. Barrow, zwierzę to ma się uganiać za gazellami i antylopami, i wtedy tylko pożera trupy i ściérwo, gdy je największa przyciśnie potrzeba. Pan Barrow, którego do łatwowiernych naturalistów policzyć nie można, utrzymuje nawet że w niektórych miejscach chwytają takowe gdy są bardzo młode i do polowania przyuczają. Rzecz to pewna, że hyeny przez wychowanie zyskują przymioty wierności

i potulności, i to w daleko wyższym stopniu jak nasze wilki i lisy. Starością dopiero przygniecione w 15—20 roku tracą w części nabytą łaskawość; do srogości jednakże, która zdaje się być rodzimym charakterem tych brzydkich stworzeń, nie powracają nigdy. Dziwnato rzecz, że zwierzę tak obrzydliwe łatwiej się daje obłaskawić od innych, mniej, jak się zdaje, drapieżnych.

*Hyena Cuviera*, siwa z czarnymi plamami, i *hyena żółta* (*hyaena fusca* Geoffroy), zamieszkuje krainę Kaffrów i Hottentotów. Przesiadując w norach i jaskiniach, unika światła dziennego i dopiero w nocy na żér wychodzi.

Na tém kończymy fizyologią tych dzikich, obmierzłych zwierząt, które człowiek wpływem

swego ducha przeistacza w wierne, usłużne, potulne, przymilające się i nader wesołe istoty. Podziwiamy siłę cywilizacji i czerpmy ztąd naukę i pociechę; zdaje się bowiem że hyeny, których tak ogromne mnóstwo znajduje się w krajach gorących, przeznaczone są do zastąpienia nam kiedyś psów, co skutkiem krzyżowania zupełnie od pierwotnego typu odbiegły, i tracić zaczynają charakter rodzimy. Tak przynajmniej utrzymują jednogłośnie naturaliści angielscy i francuzcy. *Hyena ma się stać zwierzęciem domowem i wielce użytecznem; przepowiednia ta dziwne przez analogią nasuwa myśli: warstwami ma zniknąć dotychczasowa oświata, aby dzikość cywilizować się mogła.*

Dr. T. Tripplin.

## ZDOBYCIE ZAADSZY.

### USTĘP Z WOJNY AFRYKAŃSKIEJ.

OPOWIEDZIANY PRZEZ OFICERA LEGII CUDZOZIEMSKIEJ.

Byłoto 14 czerwca 1849 r. W garnizonie naszym Biskra uderzono na alarm. O godzinie 9 wieczorem wojsko stało pod bronią, a jednocześnie od Resselmy (na północno-zachodnim krańcu oazy) zbliżyło się pędem kilku spahów<sup>(1)</sup> i strzelców afrykańskich; za nimi postępowały dwa bataliony legii cudzoziemskiej i cztery baterie. Oddział ten, w połączeniu z nielicznym garnizonem naszym, przeznaczony był do wyprawy na Zaadszę.

Zaadsza jest oazą w małej Saharze, należącą do prowincyi Konstantyny, a położoną na 35 mil od téj stolicy, w stronie południowo-zachodniej. Otoczona, jak wszystkie oazy téj części Afryki północnej, laskami palmowemi i bardzo ludna, obejmowała ona na przestrzeni 1½ mili □ trzy główne siedziby: warowne miasto Zaadszę, dalej na

wschód wieś Leszanę, na krańcu zaś południowym oazy wieś Farfar. Obszar téj ziemi urodzajnej, zamieszkanym przez jeden z najdzikszych szczepów beduińskich, dużo już krwi kosztował wojska francuzkie. Ciągłe ponawiane wycieczki do bezustannej zmuszały je czujności, a synowie pustyni, lubo nieraz srodze karani, zaledwo przyrzekli posłuszeństwo, już znów zdradziecko napałali karawany i z dzikiem okrucieństwem pastwili się nad spokojnemi Arabów plemionami. Postanowiono więc ostatecznie ich ukrócić.

Mieliśmy wyruszyć tegoż dnia jeszcze; po upływie téż pół godziny kolumny nasze w cichości wysunęły się z bram Biskry. Straż przednią tworzyli woltyżerowie, zasłaniając skrzydła podwójną linią tyralierską; środek składała piechota z artylerją i bagażami, a tylną straż grenadyery; Spahowie puścili się przodem, dla odbycia rekonesansu.

(1) Miejscowa konnica, w służbie francuzkiej.

Księżyc w pełnym blasku oświecał pustynię, która, skorośmy wyszli z lasku palmowego, w nieukończoności swojej przed nami się rozpostarła. Na zachodzie rzędem ciągnęły się wzgórza piaszczyste, stopniowo ku południowi malejące. Postępowaliśmy w milczeniu, lecz krokiem przyspieszonym; bo pułkownik oświadczył nam, że przed wschodem słońca trzeba być pod Zaadszą. Tonęliśmy prawie w piasku, gęstymi tumanami wciskającym się w nasze usta, oczy i uszy. Pragnienie okropnie nam dokuczało; manierki bowiem już w pierwszej godzinie były wypróznione; lecz o wodzie tu ani pomyśleć.

Wtém w oddaleniu padło kilka strzałów. „Oto Spahowie spotkali się z nieprzyjacielem!” Szeregi nasze ożywiły się: o znużeniu wnet zapomniano. Pędzący ku nam jeździec donosi pułkownikowi, że forpoczty Spahów spłoszyły mały oddział nieprzyjacielski, który się cofał ku Zaadszy. W mgnieniu oka strzelcy afrykańscy z jedną baterią artylerii konnej ruszają cwałem naprzód, by odciąć nieprzyjaciela od Zaadszy i zmusić go do walki; piechota zdąża za nimi, jak można najpospieszniej.

Od skraju wzgórzów piaszczystych ujrzelśmy przy świetle księżycowém ciemny pas jakiś: to beduińska oaza. O dwie godzin drogi, nie dochodząc Zaadszy, zatrzymaliśmy się w gaiku przy źródle. Był to rano o trzeciej; księżyc zbliżał się ku zachodowi; rozpaliliśmy przeto, dla jasności, ogromne ognie z cierni i suchych gałęzi palmowych. Żołnierze szybko obmyli się z kurzu; marmity (blaszane kotły) zawrzały i wkrótce wonną pokrzepiły nas kawą. Przy ogniu biwuakowym łatwo się zapomina o niedoli: Francuzi tańczyli i dowcipkowali; legionieści cudzoziemscy wyspiewywali narodowe swe pieśni; cały obóz tętnił życiem i nadzieją.

Tymczasem konnica nasza dotarła już do Zaadszy i obsadziła wszystkie jej wyjścia. Ze wschodem słońca i my też opuściliśmy gaik, a o piątej stanęliśmy na wzniesionej nieco płaszczyźnie skalistej, graniczącej z oazą nieprzyjacielską od strony północno-zachodniej. Ztamtąd pułkownik umyślił pierwszy przypuścić atak; ukryci bowiem za drzewami, panowaliśmy z tego stanowiska nad Zaadszą; widzieliśmy najdokładniej jej wydatny minaret i płaskie, z gliny lepiące domy. W tém miejscu

spotkały nas deputacye zgodniej widać usposobionych mieszkańców Leszany i Farfaru, z gałkami oliwnymi i oświadczeniem przychylności, a jazda nasza zajęła obie te wioski.

Zaadsza przeciwnie dzielnie się uzbrajała; mieszkańcy jej, rozproszeni po lasku i ogrodach, czekali naszego natarcia. Habu-Kassem, marabut hordy, Mahomed Ben Amraki i syn jego Kadur, książęta pustyni, obiegali stanowiska, zapalając do walki z nienawistnymi Romi, jak Arabowie nazywają każdego cudzoziemca.

O godzinie szóstej rano z obozu naszego rzucono pierwszy granat; baterye nasze zagrzmiały, lecz kule więzły w drzewach palmowych, lub w ścianach glinianych, nie zrzadziwszy wielkiej szkody. Tyraliery posunęły się ku ogrodom, których nieprzyjaciela z rozpaczliwą bronią odwagą. Wiedzą oni że to walka o istnienie; marabut, z czerwonym proporcem w ręku, stanął na minarecie; wołania jego rozwścieczają fanatycznych Beduinów. Gęsty grad strzałów sypie się na minaret; lecz marabut stoi nietknięty. Amraki i Kadur uwijają się tam, gdzie walka wre najzacieciej: każdy mur ogrodowy, każdy żywopłot, rów każdy trzeba zdobywać na bagnety. Po trupach krwią zboczonych zwolna tylko postępujemy naprzód, a z szeregów nieprzyjacielskich śmiech szyderczy urąga naszym usiłowaniom.

Już dziesiąta: po czterogodzinnej walce, poniosłszy znaczną stratę, nie dotarliśmy nawet jeszcze do murów zewnętrznych warowni. Termometr Réaumur'a pokazywał na słońcu 59° wyżej zera; zdawało się że potoki roztopionego ołowiu leją nam się na głowy; niepodobna już było przedłużać walki. Spoczęliśmy, by dojrzyć rannych i pochować trupów. Roboty było co niemiara; tu chirurgowie opatrywali rany, wyrzynali kule, amputowali ręce i nogi; tam znów koledzy w piasku grzebali poległych, chociaż wiedzieli dobrze że dzikie zwierzęta pustyni wkrótce je ztamtąd wydobędą.

Po ukończeniu smutnej téj pracy zupełna nastąpiła cisza, bo obie strony potrzebowały wytchnienia. Skwar południowy palącym swém tchnieniem zawisł nad pustynią; po wrzawie bitwy, grobowe panowało milczenie; tu i owdzie tylko rozlegały się strzały forpocztowe. Gdziekolwiek było trochę cienia, grupy nawpół obnażonych żołnierzy legły pokotem, i wkrótce ciężki sen znużenia zamknął im powieki. Przy małych ogniskach gotowano

strawę; ale kucharze tych przysmaków, zmożeni niewywczasem, z trudnością tylko kotłów doglądali.

Słońce powoli schylało się ku zachodowi i lekki powiew wiatru zaszeleścił wśród liści. Obóz nasz, po ciszy kilkogodzinnej, powszechna znów ogarnęła ruchliwość. „Dzieci!, zawołał pułkownik, spieszcie się z jedzeniem; przed zachodem słońca Zaadsza musi być naszą.“ „Vive le colonel!“ wrzasnęły tłumy pokrzepione.

Już jesteśmy pod bronią: grzmią bębny, grają baterye i radosny okrzyk hurra! rozlega się po szeregach. Legia cudzoziemska bez wystrzału, z bagnetem w ręku, rzuca się na nieprzyjaciela i przełamuje jego środek. Beduini uciekają do miasta, przyczem dotkliwą ponoszą stratę, bo ci co naprzód zdążyli zrzucają mosty na fossach, przecinając tym sposobem odwrót znacznej liczbie swych braci. Zakłuliśmy ich bez litości.

Teraz cały nasz oddział podsunął się pod miasto; piechota stanęła poza obrębem strzału działowego, artylerya zaś zaczęła prażyć mury zewnętrzne. Lecz trudno było zrobić w nich wylom, bo kule, to utykały w piasku, to znów, obrywając ziemię, z jej szczątków nowe tworzyły zapory. Nareszcie udało się pionierom wśród największego ognia zarzucić przez rowy ścięte naprędce drzewa palmowe; piechota, z grenadyerami na czele, ruszyła hurmem za nimi. Już dzielne grenadyery pną się na waly, i głośny krzyk tryumfu zwiastuje pozostałym zwycięstwo, gdy nagle na szczycie wału zjawia się hufiec tak zwanych *nietykalnych*, pod dowództwem Amrakiiego i Habu Kassem'a (Kadur śmiertelnie był raniony). Nieustraszeni obrońcy koranu rzucają się na szturmujących i zaczyna się walka ręczna, najzapalczywsza jakiej kiedykolwiek byłem świadkiem. Jatagany, kindzały i pistolety beduińskie biorą wkrótce górę nad pałaszami i karabinami Francuzów; nieprzyjaciel ogromnemi bosakami strąca w fossy pnie palmowe i razem z nimi nacierających, którzy topią się w wodzie lub zabijają. Najlepsi żołnierze nasi legli w tym ataku morderczym, artylerya ucichła, i zatrąbiono na odwrót.

Tak więc zabiegi i straty dnia tego były nadaremne. Pułkownik przetrzebione bataliony zebrał na równinie, ściągnął jazdę z dwóch wsi beduińskich i rozłożyliśmy się w czworobok, na zewnątrz działa, bagaże w środku. „Z zachodem księżycy,

były słowa rozkazu dziennego, rozpoczniemy odwrót; tymczasem korzystajcie ze spoczynku.“ Nieprzyjaciel podobnie jak i my był znużony, mogliśmy więc bez obawy oddać się chwilowemu wywczasowi. Orzeźwiający chłód wieczorny owiewał nasze członki; lecz jakaż różnica między wczoraj a dziś! Wczoraj huczne rozgłosy ochoczego do boju wojska; dziś posępne milczenie zniechęconych niedobitków.

Ale cóż znaczą te ognie na skraju widnokrzęgu? Morze światła okala pustynię; z wież minaretu Zaadszy odpowiadają sygnałem i dziki krzyk radości rozlega się od miasta. To pokolenia z Aurów (górnopółnocnych Sahary) spieszą w pomoc obleżonej braci!

Otrząsnąwszy sen z powiek, zaczęliśmy w największej cichości robić przygotowania do pochodu. Namioty szybko zwinięto, rannych włożono na muły, i cała kolumna, zasloniona z tyłu przez kawalerję, opuściła obóz.

W samą porę rozpoczęliśmy odwrót, bo 3,000 jeźdźców beduińskich spieszyło już na odsiecz Zaadszy; ciemność atoli nocy ukryła przed nami nasze poruszenia. Ze świtem nieprzyjaciel ujrział tylko puste obozowisko. Wściekły, że mu się zdobycz wymknęła, puścił się w pogoń za nami; aleśmy wtedy już byli niedaleko Biskry.

Beduini zwycięstwo to obchodzili z wielkimi uroczystościami, w czasie których zburzyli ze szczętem Leszanę i Farfar. Zaadsza została odtąd punktem zbornym wszystkich nieprzyjaciół Francuzów, a Habu-Kassem odgrażał się, że ich wytepi do nogi. Francya uzbrajała się na piękne, chcąc stłumić to groźne powstanie; lecz w porze letniej kampania była niepodobną. Obie więc strony skupiały swe siły, by z październikiem zawzięciój jeszcze walkę ponowić.

\* \* \*

Zbliżał się koniec września; upały znacznie już sfolgowały, i w obu obozach największą rozwinięto czynność. Według doniesień naszych szpiegów nieprzyjaciel co noc otrzymywał posiłki od górali z Aurów, z odległego Turgut'u i innych oaz południa. Mówiono, że liczni z szeregów naszych zbiegowie chronią się do Zaadszy, i uczą Beduinów taktyki europejskiej. Rzeczywiście nieprzyjaciel



sypał wały, robił zasieki, stawiał ostrokoły; Habu-Kassem ogłosił świętą wyprawę w zamiarze zdobycia Biskry i odpędzenia Francuzów do Konstantyny, a następnie zamierzał kraj cały pobudzić do walki o niepodległość. Ruchome siły Beduinów podawano na 16,000. W Konstantynie, pod prezydencją generała dywizji Herbillon, zebrała się rada wojenna prowincyi, i poleciła skoncentrowanie znacznego korpusu, dla zburzenia Zaadszy i ukarania buntowniczych plemion. Z natężeniem oczekiwaliśmy rozwinięcia wypadków, których obrót pomysłny lub niepomysłny przeważnie wpłynąć musiał na przyszłość kolonij afrykańskich.

Byłoto 5 października. Po duszącym upale dziennym powietrze nieco się ochłodziło, i pierwszy raz od trzech miesięcy łagodny wietrzyk północny orzeźwił spieczoną oazę. Krótki w téjstrefie zmrok wieczorny ustąpił szybko ciemności; na czarno-błękitném niebie żywym blaskiem iskrzyły się gwiazdy. Około północy w stronie Sidi-Oba (mała oaza na południo-wschód Biskry) rozległy się strzały sygnałowe; echo w lasku palmowym stokrotnie je odwodziło. Zerwaliśmy się wszyscy, i wkrótce huk ognia działowego i karabinowego przekonał nas, że nieprzyjaciel napadł na Sidi-Oba. Niezadługo cały garnizon staje pod bronią, a major St. Germain, który po pierwszym zaraz wystrzale dośiadł konia, obejmuje dowództwo.

Tymczasem kanonada się powiększa i wrzawa bitwy coraz głośniej ku nam się przedziéra. Niepodobna już powściągnąć ogólnego zapalu; za daném hasłem majora 1,500 piechoty, 600 jazdy i 4 lekkie baterie ruszają w pochód. Na południowo-wschodnich forpocztach słyhać trzask ręcznych wystrzałów; nieprzyjaciel zbliżyć się musiał do Biskry. W mgnieniu oka mały nasz oddział formuje się: piechota tworzy w środku trzy czworoboki, których skrzydeł broni jazda i artylerya. Już jesteśmy w pustyni okrążonej przez zgraję jeźdźców nieprzyjacielskich. Stajemy w podwójnym szyku bojowym: w pierwszym czworobok środkowy z konnicą po bokach, w drugim czworoboki krańcowe, jako rezerwa. Działa nasze zagrzmiały, granaty śmierć roznoszą w szeregach nieprzyjaciół. Teraz kawalerya przypuszcza atak, za nią krokiem podwójnym zdąża piechota. Beduini ustępują, lecz widać dlatego tylko, żeby nas zwabić w zasadzkę, bo nagle ich tłumy zwracają się i gradem kul na-

cierających osypują. Unosząc się w strzemionach i wywijając jataganem, jeźdźcy ich wściekle się rzucają na nasze czworoboki: uderzenie było okropne; lecz niezłamana piechota nasza wszędzie dotrzymuje placu. Ogień karabinowy i kartacze trupem ściera nieprzyjaciół, podczas gdy strzelcy afrykańscy udaremniają ich zamiar zabrania nam tyłu. Po krótkiej lecz zapalczywej walce Beduini cofają się, straciwszy blisko czwartą część ludzi i przekonawszy się z własną szkodą, że sławny hufiec *nietykalnych* nie zasługuje bynajmniej na to miano, że szable Romich nie zamieniły się w ołów, a kule w wodę, jak zapewniał Abu-Kassem. W bezładnej ucieczce tłumy ich, zbliżka przez nas ścigane, rozpierchły się po równinie.

Po upływie godziny stanęliśmy pod Sidi-Oba, z kąd nieprzyjaciel ustąpił już ku góróm. Idąc w trop za nim, jazda nasza z artyleryą dogania go u wąwozu stanowiącego wniście do jego kryjówek nieprzystępnych. Przyparliśmy go do ściany skalistej i zmusili przyjąć ostateczną walkę. Miejscowość sprzyjała Beduinom; uszykowani bowiem za urwiskami i dziką gęstwiną, na stromém wzgórzu, zajmowali stanowisko trudne do zdobycia.

Tymczasem nadciągnęła i piechota; komendant nasz, St. Germain, zsiada z konia i z dobytą szpadą w prawej, a chorągwią w lewej ręce, staje przed frontem. Na słowa jego pełne zapalu wojsko radosnym odpowiada okrzykiem. Idziemy na bagnety, a granaty torują nam drogę. Nieprzyjaciel, który z długich swych fuzyj powoli się tylko odstrzeżliwa, chwyta za jatagan i sztylet; lecz wkrótce walka na naszą rozstrzyga się stronę. Cały oddział przeciwników ginie pod bagnetem; kilku zaledwo, a między niemi Habu-Kassem, ratuje się ucieczką. Święty proporzec marabuta, konie jego, wielbłądy, namioty i skarbiec dostały się w nasze ręce. I my wszakże straciliśmy 150 ludzi, między niemi dzielnego majora St. Germain, któremu w czasie szturm na wzgórze przestrelono piersi. Jeńców nie mieliśmy żadnych; broń tylko pozbiérano z bojowiska, a trupy nieprzyjacielskie zostawiono na pożarcie zgłodniałej zgrai hyen i szakalów. Swoich poległych i rannych włożyliśmy na zdobyte konie, i cała kolumna ruszyła napowrót do Biskry.

Pilno nam było, bo już o szóstéj rano słońce tak silnie dopiekało, że niezwykłego spodziéwać się należało upału. Niezliczone chmary drapieżnego ptas-

twa, przynęcone widokiem trupów, unosiły się w powietrzu, by tuż za nami rzucić się na zdobycz. O godzinie ósmej dosięgliśmy Biskry i zaraz udaliśmy się do kwater, dla wypoczęcia po trudach wyprawy.

\* \* \*

Nazajutrz, pod dowództwem pułkownika Carabuca, przybyły nam posiłki z Konstantyny, tak iż liczyliśmy w ogóle do 7,000 wojska; korpus atoli ekspedycyjny wzrosł miał do 16,000. W Biskrze założono wielkie magazyny, a pułkownik Carabuca nadzwyczajną rozwinął czynność w zgromadzeniu wszelkiego rodzaju żywności i przyborów wojennych. Trzynastego października przyłączył się do nas generał Herbillon z głównym korpusem. Składał się on z trzech pułków piechoty, dwóch batalionów afrykańskich (5 i 8), jednego batalionu Turkos (regularna piechota arabska), trzeciego pułku szaserów, trzeciego Spahów, trzech kompanij saperów, tudzież sześciu ciężkich i czterech lekkich bateryj. Prócz tego ogromny konwój krajowców przeznaczony był do popędzania wielbłądów i bydła.

Biskra w rozległy zamieniła się obóz; wszędzie broń i namioty, wszędzie wrzawa wojenna. Na budach markietańskich powiewała trzykolorowa chorągiew; wesole śpiewy, połączone z odgłosem trąb i bębnow, rozlegały się po powietrzu. Przeszła już pora duszącego skwaru: upały dochodziły tylko 40° w południe, podczas gdy poranki i wieczory, przy obfitej rosie, chłodzone były powiewem wiatru północnego. Całe wojsko, najlepszym ożywione duchem, czekało niecierpliwie hasła do pochodu.

Nakoniec 16 października, a więc w trzy miesiące po naszej porażce, 12,000 wojska, pod generałem Herbillon, wyruszyło na Zaadszę; 5,000 jako rezerwa zostało w Biskrze i Sidi-Oba. Wyszedszy o siódmej wieczorem, stanęliśmy w miejscu o pierwszej po północy. Dokoła najzupełniejsza panowała cisza; oaza zdawała się wymarłą; lecz groźne bastiony świadczyły, że Europejczyk kierował jej obwarowaniem. Bez przeszkody rozłożyliśmy się obozem na wschodniej pochyłości wzgórza; niedaleko ztamtąd wytryskujące źródło zaspokajało nasze pragnienie. Na drzewie tylko zbywało;

pierwszą atoli potrzebę pokryto z przywiezionych zapasów.

W jednej chwili stanęło płócienne miasto; konie i trzody napojono i rozniecono ognie. Obóz nasz podobny był do spokojnego biwuaku wojska zgromadzonego jedynie dla manewrów. Niezadługo od zachodu tuman kurzu zwiastował zbliżenie się jeźdźców; to hufiec *węza pustyni* (serpent du désert, przydomek szeika Mustafy), który w 3,000 spieszy nam w pomoc.

W namiocie głównego dowodzącego odbyto tymczasem radę wojenną. *Wąż pustyni* raz jeszcze przypomniał, że należy ze szczerem wytepić nieprzyjaciela, i głos jego wymógł uchwałę skazującą na śmierć 8,000 wojowników.

Już od trzech godzin byliśmy pod Zaadszą, gdy generał, dosiadłszy konia, kazał ogłosić rozkaz dzienny. „Dziś, brzmiały słowa rozkazu, macie sposobność powetowania klęski z 16 lipca. Ojczyzna na was spogląda; postanowiła ona upadek Zaadszy; pokażcie się godnemi jej synami. A wy, cudzoziemcy w służbie francuskiej, pamiętajcie o sławie, która po wszystkie czasy chorągwiom waszym towarzyszyła.“ Okrzyki: *vive la France! vive la république! vive le général!*“ obiegają po szeregach. Wojsko formuje się w trzy kolumny przeznaczone do otoczenia Zaadszy od zachodu północy i południa; artylerya szykuje się od wschodu, gdzie fortyfikacje były najsilniejsze.

I w oazie teraz ruch powstał; białe postacie Beduinów jak duchy wynurzyły się z za wałów. Marabut z czerwoną chorągwią znów stanął na minarecie. O godzinie piątej zagrzmiały nasze baterje; tyralery posunęły się ku zasiekom, a z głębi obozu kolumny szturmowe ruszyły do ataku. Nieprzyjaciel spiesznie ustąpił z szańców zewnętrznych do właściwych fortyfikacyj. Piechota nasza jednym zapędem zdobyła przyległe ogrody, tak iż artylerya wielkiem półkolem otoczyć mogła twierdzę. Lecz głębokie fossy tamowały dalsze jej postępy, podczas gdy ogień morderczy przeciwników śmierć roznosił w szeregach nacierających. Wtedy sapersy rozpoczęli swe roboty; wszystkim żołnierzom rozdawano rydło i motyki, i cały oddział ochoczo wziął się do pracy około otworzenia przykopów, których silne nasypy zasłaniały nas przed strzałami.

Dzień zbliżał się ku schyłkowi, a walki prawdziwej nie było jeszcze wcale. Przykopów ukończo-

nych strzegło kilka batalionów piechoty; straż artylerji stały w baterjach z zapalonemi lontami. W obozie zupełna panowała spokojność i wkrótce, oblegających jak obleżonych, okryła ciemność nocy, rozświecona tylko tysiącami ogni biwakowych, co w malowniczym nieładzie rozsypały się po równinie.

Mohamedanom niewolno, podług koranu, rozpoczynać bitwy przed północą: o tej więc godzinie, spodziewając się napadu, w największej cichości stanęliśmy pod bronią. Jeszcze w obu obozach żaden ruch hałasliwy nie objawiał bliskości wybuchu: byłato cisza uludna przedburzy. Strzegącym przykopów kazano nie strzelać, póki nieprzyjaciel w masie się nie zbliży. W natężeniu oczekiwaliśmy hałasu do ataku.

Wtém od strony głównego wału jakaś postać przyczajona, w czarnym burnusie zsuwa się milczkiem do fossy, i pełzając po ziemi, spina się na zewnętrzną jej ścianę. Tu zatrzymuje się chwilę, jakby badając miejscowość, a potem, w kłęb zwinięta, ostrożnie ku naszym podsuwa się szancom. Forpoczty wstrzymują oddech; aż kiedy czarny burnus dosięga już przedpiersnia, kanonier jeden silną chwyta go dłonią i wciąga do przykopu. Stłumiony krzyk trwogi wydobywa się z piersi nieznanego napastnika, — to głos kobiety; burnus spada, i przed zdumioném żołnierstwem stoi młoda dziewczyna. Jednocześnie jakaś wrzawa dochodzi nas z za fossy; żołnierze odwodzą kurki. „Kto idzie?“ woła dowódzca forpocztów; lecz zaledwo wymówił te słowa, gdy dziewczyna wystrzałem z pistoletu powala go o ziemię. „Allah! Allah!“ tysiącne powtarzają głosy, i z poza szanca wyzierają białe fezy Beduinów. Huknęły strzelby, a zpośród dymu, co na chwilę osłonił bojowisko, nieprzyjaciel z dobytym jataganem i sztyletem wściekle na nas nacięra. W szeregach jego, jak zwykle, powiędła czerwona chorągiew marabuta.

Pomimo że napad był niespodziany, przecież straż przykopowa nie traci przytomności: kilka pchnięć bagnetowych przeszywa zuchwałą dziewczynę, a dobrze skierowana salwa ręcznej broni przyjmuje nieprzyjaciół i odpiera ich chwilowo. Zaraz téż cały nasz obóz się poruszył; baterje z dwóch stron przeciwnych sypnęły kartaczami, a Beduni, wzięci we dwa ognie, ustępują do fossy. I tam ścigają ich ręczne granaty, roznosząc śmierć

i popłoch w gęsto skupionym ich tłumie; cała przestrzeń przedzielająca nas od Zaadszy zasłana jest trupami.

Walka trwała zaledwo pół godziny, i znów było cicho jak przedtém. Kiedyniekiedy tylko wysunęło się kilku Beduinów, dla sprzątnienia poległych, co u nich jest obowiązkiem religijnym, wywołując ukazaniem się swoim pojedyncze forpocztów naszych strzały. Było po piérwszej; postanowiliśmy przeto nie układać się już do spoczynku, lecz roznieciwszy ognie, przepędzić resztę nocy na biwaku. Wielbiono powszechnie czyn heroiczny owój dziewczyny z Zaadszy; wychwalano jej piękność i poświęcenie, godne bohaterstwa dziewicy orleańskiej. O godzinie trzy kwadrans na trzecią doboże uderzyli na pobudkę, i piérwszy promień jutrenki błysnął przez drzewa oazy. Rozproszone gromady jeźdźców beduińskich, jak sępy chciwe zdobyczy, obóz nasz okręzały. Generał wydał rozkaz ponowienia działań wojennych.

Przed przypuszczeniem atoli stanowczego szturmu na twierdżę, trzeba było rozsadzić fortyfikacje zewnętrzne, dosyć trafnie pod względem strategicznym rozłożone. Sapery przeto, przy pomocy ochotników z piechoty, zaczęli od przykopów, w kierunku trzech głównych bastyonów, prowadzić kanały minowe. Dla odwrócenia uwagi nieprzyjaciela od prawdziwego zamiaru naszego, zatrudnialiśmy go ciągle udanemi atakami.

Tym sposobem zeszło dni cztery: załoga oazy, przypisując zapewne pozorną nieczynność naszą wahaniu lub obawie, widocznie nabierała otuchy. Nocne jej wycieczki powtarzały się coraz częściej, a jazda, wałęsająca się po równinie, podjazdami ciągle nas niepokoiła. Pracowaliśmy bez wytchnienia nad minami, oczekując z niecierpliwością chwili ich wykończenia.

Czwartego nareszcie wieczora wszystko było przygotowane; o godzinie jedenastej przed północą, w czasie gdy nieprzyjaciel najmniej się tego spodziewał, miny miały być zapalone i jednocześnie ogólny szturm przypuszczony. Żołnierzom z wieczora kazano spocząć kilka godzin; ognie biwakowe paliły się jak zwykle; nic nie zdradzało bliskości katastrofy. O wpół do jedenastej generał, osłoniony płaszczem, wychodzi z namiotu; wojsko w cichości się formuje, kanoniery stają przy działach. Generał z oficerami sztabowemi udaje się do

baterii, w której zażecz miano siarniki, i przekonawszy się że wszystko w porządku, stłumionym rozkazem: „*faites les sauter!*“ daje hasło wybuchu.

Niebieskawy płomyk siarczany z lekkim trząskiem przebiega do wniścia trzech kanałów minowych; chwila jeszcze, i ziemia się zachwiała, jakby trzęsienie wulkaniczne rozdzierało jej wnętrzności; a potem nagle w trzech miejscach, trzy słupy, złożone z ziemi, belek i ludzi, zionęły pod niebiosa. Po krótkim, przejmującym blasku zapalonych min, zupełna nastąpiła ciemność; po huku chwilowym, głuche panowało milczenie. W kilkanaście dopiero sekund jęk przerażenia i rozpachy rozległ się od twierdzy, wtórzony głośnie hurra naszych kolumn szturmowych. Baterie wyrzucają bomby i granaty, i sypią ognistymi kulami, dla pokazania drogi nacierającej piechocie. Przez rozsądzone wały, przez trupy i zwaliska, żołnierze nasi idą na bagnety. Nieprzyjaciel, odurzony jeszcze wybuchem, ucieka do miasta; i znów biegnący przodem zrzucają kładki prowadzące przez fossy, i znów pozostali giną pod naszymi razami.

Ze świtem wszystkie szanse zewnętrzne były w naszych rękach; trzy tysiące nieprzyjaciół poległo, a z minaretu Zaadszy, na znak poddania, powiewała biała chorągiew. General skłonnym był do przyjęcia kapitulacyi, lecz *waż pustyni* stanowczo się temu przeciwił, i z jego porady cały szereg nie szczęśliwy skazano na wytepienie. Okrucieństwo to wkrótce miało być ukaranem, a general Herbillion nieraz może później żałował, że nie poszedł za pierwszym serca swego popędem.

Teraz już zbliżka otoczyliśmy Zaadszę. Obóz nasz mieścił się w oazie, konnica zaś i bagaże stały tam, gdzie wprzód były wioski Lszana i Farfar. Dla osuszenia bagna oddzielającego nas od miasta, i stanowiącego główną jego obronę, porobiono upusty. Niezwykłe w tej porze gorąca sprzyjały tej robocie: bagno szybko wysychało, lecz dobywające się z niego wyziewy szerzyły po obozie jakąś gorączkę zabójczą, połączoną z kurczami, biegunką i wymiotami, która najczęściej kończyła się śmiercią. W początkach niebardzo na tę chorobę zważano, a zmarłych chowano w nocy, by nie przerażać żyjących. Dopiero 27 października, gdy do nas przybył Piotr Bonaparte, synowiec prezydenta rzeczypospolitej francuzkiej, prowadząc w posilku piąty pułk huzarów, jeden batalion żuawów i dwa

działa, dowiedzieliśmy się że to była cholera; sam Bonaparte miał przeszło stu chorych. Wojsko nasze ogarnęła trwoga; żołnierze setkami codziennie umierali, tak iż general, zapobiegając zupełnemu armii zniszczeniu, postanowił niezwłocznie cios stanowczy wymierzyć.

Główny atak miał być wymierzonym na wzgórze panujące nad miastem od południo-zachodu. Obejmowało ono kilka blokuzów—ostatnią zapórę twierdzy—otoczonych wałem głębokim, i wodą napełnionym rowem. Min niepodobna było zakładać w tym gruncie grzęzkim, wilgotnym; nie pozostawało przeto, jak ile możliwości posunąć się naprzód przykopami, a potem szturmem zdobyć warownię. Podczas gdy te roboty energicznie popierano, cholera nie przestawała śmierć szerzyć między nami; siła moralna wojska i karność niezmiernie na tém cierpiała: musiano kordonem kawaleryi otoczyć całą oazę, bo żołnierze gromadami wymykali się do Biskry.

W tak oplakanem położeniu Habu-Kassem w 14,000 jazdy zaskoczył od pustyni nasz obóz. Opuścił on potajemnie Zaadszę, a sygnały ogniste, powtarzane z minaretu, zapowiadały jego przybycie. Już wojsko nasze na płaszczyźnie było atakowane. General, zebrawszy lekką piechotę i artyleryą, tudzież całą konnicę, pospiesza na punkt zagrożony. Część piechoty, z działami w środku, tworzy czworobok, i z ożywionym duchem przy odgłosie bębnow wchodzi na wzgórze; reszta bagnetami odpięra szturmujących nieprzyjaciół; w mgnieniu oka czworobok się rozwija, a z jego środka baterie zionęły kartaczami. Przypięrani od północy przez konnicę francuzką, od południa przez jazdę *węża pustyni*, Beduini w beztładnej ucieczce szukają ocalenia. Klęska ich była znaczną, a nasze piechury, niemalo na bojowisku uzbierawszy rozrzuconej broni, i włożywszy takową na osły i wielbłądy, z tryumfem tę zdobycz odprowadzili do oazy.

Tymczasem w obozie ważne zaszły wypadki. Pod nieobecność chwilową generala, Piotr Bonaparte objął był dowództwo korpusu oblężniczego. Posłyszawszy zdaleka huk armat, pozostałe wojsko zawrzało wojowniczym zapalem, któremu Bonaparte zmuszony był ustąpić. Rozporządzenia wkrótce były wydane, i dzielne hufce, z oficerami na czele, rzucają się ku wzgórzom. Nieustraszeni

gęstym kul gradem, sapery pniami i workami piasku, a w części własnymi ciałami, zapelniają głęboką fosse; piechota przebywa ją krokiem podwójnym, i po ramionach poprzedników wspiąwszy się na wały, kolbą i bagnetem uderza na wroga. Padają pierwsze szeregi, lecz po trupach swych braci przechodzą już następne. Pułkownik Carabuca, przodując szturmującym, zatyka na wale trójkolorową chorągiew; grenadyery legii cudzoziemskiej zdobywają przedpiersień: dziki okrzyk z wyciętwa rozlega się dokoła. Nieprzyjaciel uchodzi do blokuzów, w których z męstwem niezrównanem dotrzymuje jeszcze placu; jego strzały przyjmują legionistów; lecz ci taranami z pniów palmowych rozwalają gliniane ściany i wyłomem wpadają do blokuzów. W kilka minut załoga do nogi wycięta; tylko w mieście kilkaset mężczyzn i kobiet broni się jeszcze przemocy. Próżne usiłowanie: cały szczerp, najdzielniejszy pustyni, przeznaczony na zagładę! Już i działa powrozami wciągnięto na wały; miasto ma być z ziemią zrównane. Żołnierze nasi rzucają się w ulice opustoszałe i z gruzów wywlekają: materye jedwabne, złotolite kobierce, kość słoniową i złoto w ziarnach, zabrane kiedyś przez Beduinów wymordowanym karawanom. Straszny, nieludzki może, lecz sprawiedliwy wykonano tu wyrok!

Generał Herbillon, goniąc za uchodzącą jazdą Habu-Kassema, zapędził się o trzy mile w pustynię; wracając, słyszy kanonadę od Zaadszy, i mniema że nieprzyjaciel zrobił wycieczkę. Lecz jakież było jego zadziwienie, gdy stanąwszy w obozie, ujrzał chorągiew francuzką na wałach zdobytego grodu. Zsiadłszy z konia, uścisnął mężnego pułkownika legii cudzoziemskiej, i wojsku całemu imieniem Francyi złożył podziękowanie.

Tegoż dnia jeszcze (6 listopada) dokonano dzieła zniszczenia. Kamień nie pozostał na kamieniu, rowy zawałono trupami, i przed wieczorem zaledwo

poznać można było, że niedawno w tém miejscu ludzkie stały siedziby. Po raz pierwszy od trzech tygodni mieliśmy noc spokojną; rozpalono ogromne ognie dla oczyszczenia powietrza, i każdy z radością o tém myślał, że jutro opuści ten przybytek śmierci. Rzeczywiście 7 listopada ruszyliśmy w pochód, straciwszy przeszło 5,000 ludzi, częścią w bitwach, a częścią przez cholere.

Kampania wszakże nie była jeszcze skończoną, póki żył Habu-Kassem, niezblagany wróg Francuzów. Jeszcze iskra powstania tlała w górach Aurów; tam przeto zwróciliśmy swoje siły. *Razzie* nasze, pustoszące wsie i osady zabiéraniem trzód i paleniem żywności, zmusiły dzikich góralów do zawarcia pokoju, którego pierwszym warunkiem było wydanie dowódców.

Na tém się skończył krótki ten, ale krwawy epizod wojenny. Ze zburzeniem Zaadszy i ujęciem starego Habu-Kassema spokojność była przywróconą. Wojska nasze najkrótszą drogą powróciły do garnizonu, gdzie 29 listopada ścięto siedmiu naczelników arabskich, między niemi nieposromionego Habu-Kassema trzynastą uderzeniami jata-gana, na znak że w trzynaścioro śmierć ponieść powinien. Głowy ich, na długich zatknięte żerdziach, wystawiono przed bramą miasta, dla pokazania Beduinom jak Francya karze przemieszanych.

Generał Herbillon, w raporcie do rządu francuzkiego, tak się wyraża o działaniach swój dywizyi: „Stare nasze hufce afrykańskie i tym razem utrzymały dawną swoją sławę; pod przewodem nieustraszonych dowódców poświęcenie ich było bez granic. Przez ośm przeszło tygodni obozując pod gołym niebem, noc przepędzając w przykopach i codziennie się potykając, ćwiertowane przytém chorobą, wojsko ochoczo jednak stanęło do walki, i z bezprzykładną wytrwałością szaniec za szanec, dom za domem, piętro za piętro zdobywało. Francya chlubić się może, że takich posiada synów.“

## S Z A F R A N.

*Szafran* (*crocus*), roślina w całym ucywilizowanym świecie dla swych użytków lekarskich, farbierskich, kuchennych, a nawet kosmetycznych szacowana, u nas jednak w swym naturalnym stanie jest prawie nieznaną, pomimo że ją wszędzie liczą, nietylko do użytecznych, ale i zdobnych roślin ogrodowych. Jak u nas anemony (zawilec) czyli *sasanki*, a według Mazurów po prostu *sanki*, tak w krajach cieplejszych szafran jest pierwszym gońcem i zwiastunem wiosny. Skoro tylko stopnieją śniegi, kwiat téj rośliny najpierwszy budzi się z zimowego letargu, i wychyla z ziemi swe świetnobarwne główki tak szybko, iż orszak jego, liście, w kilkanaście dopiero dni za nim zdążają. Jak pierwszy ciepłą porę roku wita, tak ostatni bywa świadkiem jój końca, gdyż *szafran prawdziwy* (*crocus sativus*) dopiero w pierwszych dniach października rozkwita.

Łacińskie nazwisko szafranu *crocus* biorą niektórzy mylnie za tłumaczenie wyrazu *krokosz*, który w polskim języku oznacza wcale inną roślinę, zwaną po łacinie *carthamus*. *Krokosz farbierski* (*c. tinctorius*) znają i powszechnie w swych ogródkach zasiewają nasze wieśniaczki; ale to jest roślina zrosłogłówkowa, wielokwiatowa, łodygowa, gałęzista, na łokieć mniej więcej wysoko wyrastająca, powierzchownie z wielu względów do ostu podobna, i jak dalej zobaczymy, z tego tylko do szafranu prawdziwego zbliżona, że jój listków kwiatowych, podobnie jak znamion kwiatu szafranowego, używają do farbowania na żółto ciasta, nici i tkanin, lub na czerwono i różowo; ale *krokosz* zresztą, niemając ani przedniego zapachu szafranu, ani jego dzielnych skutków lekarskich, jest tylko w pewnych użytkach jego surrogatem. Wszakże i *krokosz* za granicą, gdzie jest więcej jak u nas fabryk, do użytków farbierskich na wielką stopę bywa uprawiany i z tego względu znany jest w handlu pod imieniem *saflor*.

Ojczyzną szafranu, przynajmniej dziko rosnącego, są ciepłe kraje Europy, zaczawszy od Portugalii, Hiszpanii, Francji, dalej Włoch południowych, Niemiec, Węgier aż do Turcji europejskiej i Grecji, tudzież Azja mniejsza, z kąd błędnie niektórzy uczynić go chcieli przybyszem do Europy. Proste niepodobieństwo tego przypuszczenia pokazuje się z tego, że dziki szafran okrywa swym różnobarwnym kwiatem powierzchnię Alp i Pireneów, w wysokościach prawie bezpośrednio graniczących z linią wiecznych śniegów, gdzie go pewno ludzie nie zasieli ani zasadzili. Chyba to się tyczy szafranu prawdziwego.

Szafran stanowi między roślinami oddzielny rodzaj, należący do naturalnej rodziny *kosaciec* (*iris*). Załączony na rycinie jego bukiet pokazuje, że to jest roślina cebulkowa, trzypręcikowa, jednostłupkowa. Właściwa główkowata cebulka, włókniste korzonki w ziemię zapuszczająca, co rok ginie, a nad nią wyrasta kilka do kilkunastu cebulek łuskowatych, na parę cali w ziemi ukrytych. Każda z tych cebulek wystrzela rurkowatą, 8—10 cali wysoką, prostą lub zakrzywioną łodyżką, a na niej jeden, zamiast kielicha pochwę błonkową mający, z jednej sztuki złożony, w obwodzie tylko na sześć płatków podzielony, rurkowaty kwiatek, którego barwy białe, żółte, niebieskie, fioletowe, purpurowe, w rozmaitych odcieniach i mieszaninach dają się widzieć nietylko na różnych, ale nawet na jednym gatunku szafranu. Ztądto naturalisci nie mogli się zgodzić w oznaczeniu liczby gatunków téj rośliny; kiedy Linneusz uważał tylko jeden gatunek, wkrótce po nim liczyć ich zaczęto dwa, kilka, a dziś już niektórzy przyjmują ich do dwudziestu. Rzecz pewna, że szafran, niestały w barwie kwiatu, w każdej porze przybierający, inną, zmienia także cechy gatunkowe, szczególnie gdy jest ręką ludzką pielęgnowany. Przytaczamy tu niektóre z wydatniejszych.

*Szafran wiosenny* (*c. vernus*) żyjący dziko na południowych górach europejskich, mianowicie na Alpach, Pireneach i Apeninach, oddawna już przyswojony w ogrodach jako zdobna roślina, kwitnąć zaczyna od końca lutego lub od początku marca. Na górach kwiaty jego białe lub żółte, sijałkowo-







prążkowane, później się zjawiają, a w okolicach bardzo wysokich pokazują się dopiero w czerwcu lub lipcu. Słupkowe blizny tego gatunku nie mają wcale zapachu. *Szafran mezyjski*, u Francuzów *złotogłowem* zwany, dla świetnego żółtego koloru wielkich jego kwiatów, mówią że pochodzić ma z Mezyi. *Szafran* neapolitański różni się od innych gatunków kupkami włosków gruczolkowatych w otworze rurki korony, tudzież żywo-czerwonopomarańczowemi bliznami, znacznie dłuższemi od pręcików, nareszcie igraszką w mieszaninie różnych kolorów na obwodzie korony. Wymienimy jeszcze *szafran dwukwiecisty*, którego kwiaty żółte, na środku są białe; *szafran karzeł* (c. *miniatus*), początkowo z wyspy Korsyki pochodzący, gdzie rośnie nad brzegami strumieni i nad morzem, z kwiatem ciemno-fioletowym, a jest dwa lub trzy razy mniejszy od innych gatunków; *szafran wielodzielny*, w okolicach Bordeaux we Francyi napotykanym, z kwiatem fioletowym, biało upstrzonym, który zupełnie już zwiędnie nim się liście pokażą.

Wymieniwszy kilka powyższych gatunków, samych tylko miłośników zdobnych roślin ogrodowych obchodzić mogących, wracamy się do gatunku powszechnie z użyteczności cenionego; jest nim *szafran prawdziwy* (*crocus sativus*). Uprawiają go w Węgrzech, w Austrii, w południowych Niemczech, we Francyi, mianowicie w dawniej prowincyi Gatinais, czyli w departamentach Sekwany i Marny. tudzież Sekwany i Oazy. Niemcy mówią że do nich przybył z krajów południowych, a we Francyi rośnie także dziko na górach pirenejskich, z których około środka czternastego wieku zejść miał w okolice Alby, dzisiejszego departamentu Tarn. potem do Angoulême, do Gatinais aż za Rouen; lecz w wielu tamtejszych okolicach, niegdyś słynnych z uprawy szafranu, oddawna ją już pozarzućcano.

Wszyscy autorowie greccy i lacińscy wspominają o szafranie. Używali téj rośliny dawni mieszkańcy Tyru i Sydonu do farbowania na żółto woalów dla nowo-zamężnych; wchodził także szafran w robotę pachnidel, do kuchennych przyrządów i do użytków lekarskich. Obfitowały weń okolice gór Libanu, nad rzeką Eleuteryą, szukano go także w Cylicyi. Egipcyanie i Hebrajczycy używali go również, nietylko do zafarbowania pokarmów, lecz nadto do skrapiania świątyń, teatrów i t. p.

Pili go pewną ilość Sybaryci, oddawać się mający rozkoszom Bachusa lub bogini Cytarei. Rzymianie farbowali nim na żółto materye, z których robili odzież, obuwie i czapki. Dzisiaj także wyciągają z szafranu tynkturę przyjmującą się na przędzy jako farba; z cebulek czyli główek wyrabiają przedni krochmal, z kwiatu otrzymują pachnący, lotny olejek, tudzież narkotyk usmierzający, gdy w małych dozach zostanie użyty; w znacznych zaś ilościach sprawiający ociężałość głowy, sen i śmiech niewczesny, konwulsyjny, częstokroć śmiercią się kończący. Ztémwszystkiém uważają szafran za najlepszy środek zlagodzenia skutków opium. W niektórych krajach, jak u nas, przydają go do ciasta, wchodzi także do innych zapraw kuchennych. Blizny kwiatu, czyli końce słupków, wydają woń przyjemną, przenikającą; używają ich do wielu preparatów farmaceutycznych; usmierzają ony konwulsye, czyszczą krew i t. d., ale używać ich trzeba przezornie i w małych tylko ilościach.

Piękny jest widok pola szafranem zasadzonego, podobnie jak grzędy tulipanów, hyacyntów i t. p. Szafran naprzód zakwitnie, a śladu jeszcze niewidac jego liści. Plantacya téj rośliny przedstawia się na podobieństwo kwitnącego lnu, w żywo fioletowej barwie, na której tle najprzód błyszczą białe pręciki, a potem złoto-żółty ich pyłek i ognisto-czerwone blizny słupkowe. Gdy kwiat zwiędnie, łan się okrywa zielonością liści od ośmiu do piętnastu cali długich, i ta ich zieloność trwa ciągle od października aż do wiosny, w której na paszę dla bydła bywają zbierane. Cebulki w jednym roku zasadzone, dopiero po trzech latach wydobywają się i na nowo sadzą. Niewczesne mrozy, jakie w cieplejszych nawet od naszego krajach zdarzyć się mogą, tak są dla szafranu szkodliwe, iż w 1789, 1820 i 1830 r. w Niemczech i we Francyi zupełnie go zniszczyły. Szafran podlega także chorobom, które w jego plantacyach wielkie zrzadzają szkody.

Nie opisuję tu sposobu uprawy *szafranu prawdziwego*, bo krótka o tym przedmiocie wzmianka na nicby się nie przydała, a wykładu mogącego posłużyć za przewodnika nieobjąłby artykuł zakresowi pisma tego odpowiedni. Nadmieniam tylko, że szafran wymaga gruntu średniego, któregooby spodnia warstwa łatwo wilgoć przepuszczała; dobry grunt jęczmienny, byle nie tęgi, gliniasty, jest dla niego najlepszy. Uprawa ta zresztą właściwa jest tylko ma-

łym gospodarstwom, gdzie w stosunku obszerności ziemi jest wiele rąk do pracy, bo szafran, więcej niż którakolwiek roślina, wymaga robocizny, zachodu. Nietylko bowiem trzeba dobrze uprawiać ziemię, ale szczególnie gdy rozkwitać zacznie szafran, trudnić się należy nieodstępnie zbiorem, osobno blizn słupkowych, które są najważniejszą częścią rośliny, a osobno listków korony czyli kwiatu. Najszacowniejszy szafran składa się z blizn zerwanych zaraz po otworzeniu się korony; taki ma zapach i najlepsze skutki; później zaś zebrane blizny, stosownie do czasu, o połowę mniej są warte. Blizny i kwiat, osobno i starannie powinny być w ciepłym piecu suszone.

Życzenie zacnego *ks. Krzysztofa Kluka*, aby i u nas zajęto się uprawą szafranu, podobno nie urzeczywistni się nigdy, bo nasz klimat jest dla niego za zimny. Szafran rozkwita w najlepsze w pierwszych dniach października, i dla dobra zbioru konieczne pożądaną jest wtedy pogoda; u nas w październiku jużby dla niego było za zimno, a częstokroć przypadające w tej porze ranne przymrozki zupełnieby go zniszczyły. Zresztą, choćby też dobrze rozkwitł, to

jeszcze nie koniec jego udania się, gdyż po zwiędnięciu kwiatu dopiero wychodzą liście, i te przez całą zimę rosną, coby już u nas wcale się udać nie mogło. W ogólności uprawa szafranu tam tylko pomyslny wziąć może obrót, gdzie się wino dobrze udaje, a gdzie wina zbiór niepewny tam już o uprawie szafranu myśleć niepodobna.

Dawniej uważany był za najlepszy szafran wschodni czyli azyatycki, teraz już niema o nim mowy; z europejskich najlepszy jest austriacki, po nim węgierski, a po tych dopiero francuzki. Funt szafranu w Austrii płaci się 100 złp., cent. suchego kwiatu szafranowego 280 złp. Ponieważ właściwy w handlu znany szafran składają blizny kwiatowe, z każdego kwiatu po jednej zbierane, łatwo więc sobie wystawić ile potrzeba przebrać kwiatów dla otrzymania jednego funta. Gdy zbiór liści wynosi sto centnarów, wtedy rachować można jeden funt suchego szafranu, czyli piętnaście funtów świeżego. Zapewniają jednak praktycy, że uprawa szafranu zyskowniejszą jest od uprawy wszystkich innych fabrycznych lub handlowych roślin.

L.

## U W I A D O M I E N I E.

Kończąc z niniejszym zeszytem drugą seryą dwunasto-poszytową Księgi Świata, księgarnia podpisanego zawiadamia Czytelników, iż dzieło to wychodzić będzie i nadal w terminach miesięcznych, w tej samej co dotąd objętości.

Zakres i dążność dzieła pozostają niezmienione; usiłowaniem jednak będzie redakcyi, w miarę wzrastania nagromadzonych zasobów i rozszerzania koła współpracowników, posuwać publikacją swoją na drodze ciągłego postępu.

Nie szczędząc w tym celu starań i nakładu, wydawca w roku przyszłym postanowił dołączać do niektórych poszytów ryciny przedstawiające miejscowości lub sceny krajowe, za granicą umyślnie dla Księgi Świata wykonane.

Cena przedpłaty, pomimo znacznie powiększonych kosztów nakładowych, pozostaje jak dawniej w Warszawie rsr. 6, na pocztamtach i stacyach pocztowych rsr. 6 kop. 75.

**S. H. Merzbach.**

# SPIS RZECZY.

	Stron.		Stron.
Szkocya. Edynburg i pomnik Nelsona . . . . .	1	Warotryski samorodne w Islandyi. . . . .	192
Dziergacz Filipiński . . . . .	6	Jezioro genewskie i zamek Chillon . . . . .	193
Czerniaków . . . . .	7	Lugano . . . . .	194
Tyrol . . . . .	15	Prawo wiatrów . . . . .	195
Salzbrunn . . . . .	18	Hyppopotam . . . . .	197
Smołowe jezioro na wyspie Trinidad . . . . .	22	Podróż w pustyni Sahara . . . . .	200 i 371
Wyspa Borneo i jej mieszkańcy . . . . .	23	Rotterdam . . . . .	209
Tydzień spędzony na wyspach Hebrydzkich . . . . .	28	Natarcie Mingów . . . . .	213
Dzik . . . . .	37	Motyle . . . . .	219
Cuvier i jaskółki . . . . .	40	Śmierć krokodylom . . . . .	222
Klasztor Kartuzów w Pawii . . . . .	42	Połów wielorybów . . . . .	226
Paryż . . . . .	44	Wojciech Jaksą Bobowski . . . . .	230
Historya kryształowego pałacu w Londynie . . . . .	49	Galago . . . . .	234
Goździk korzenny i drzewo muszkatoe . . . . .	54	Wycieczki w północnej Norwegii . . . . .	235
Homburg i Kreutznach . . . . .	58	Waterford i most naturalny pod Kilkee . . . . .	248
Irlandya . . . . .	63	Humañ . . . . .	250
Napoli di Romania . . . . .	66	Foki . . . . .	252
Koza skalnica . . . . .	68	Podróż fantastyczna balonem . . . . .	254
Zwalenie się góry Goldau w Szwajcaryi . . . . .	72	Sorrento . . . . .	264
Linneusz . . . . .	75	Zamek i most św. Anioła w Rzymie. . . . .	266
Pływające ogrody w Meksyku . . . . .	78	Jelonki . . . . .	268
Ślepy rzeźbiarz w Tyrolu . . . . .	79	Trzody i złoto australskie . . . . .	269
Sokoły i ich jaja . . . . .	81	Skrócone komunikacye na powierzchni ziemi . . . . .	271
Kilka słów o telegrafach . . . . .	84	Washington i Mont-Vernon . . . . .	277
St. Petersburg . . . . .	89	Łoś . . . . .	282
Obrządki religijne w Hindostanie . . . . .	99	Przyładek Dobrzej Nadziei i Kaffrowie . . . . .	287
O magnetyzmie zwierzęcym i jasnowidzeniu . . . . .	108	Baltimore. Harper-Ferry . . . . .	294
Wenecya . . . . .	115	Szymon Okolski . . . . .	298
Nowe gatunki porzeczek . . . . .	127	Lis. . . . .	301
Wielka wystawa całego świata w Londynie . . . . .	128	Wycieczki naukowe po Paryżu . . . . .	304
Szlachetne metale . . . . .	150	Wały skaliste na brzegach górnego Missuri . . . . .	307
Kopacze złota na brzegach San Sacramento . . . . .	153	Dzieła człowieka i dzieła przyrody . . . . .	309
Kościół katedralny w Rouen . . . . .	162	Trąby wodne . . . . .	311
Gatunki kruków, czyli wrony . . . . .	172	Grzechotnik okropny i drózd żartowniś . . . . .	313
Pustynia Atakama . . . . .	174	Japonia . . . . .	317
Ogniotrwałość ciała ludzkiego . . . . .	176	Rzut oka na oświatę i zarząd państwa chiń- skiego . . . . .	327
Kanada . . . . .	178	Zawziętość wilka węgierskiego . . . . .	331
Dasznik bojga . . . . .	184	Salzburg . . . . .	340
Mantely, p. Adr. Krzyżanowskiego . . . . .	187		

Wielkość i małość w przyrodzie . . . . . 342  
 Wiwera . . . . . 346  
 Księżyc, jego powierzchnia, mieszkańcy  
 i wpływ na ziemskie stosunki . . . . . 348  
 Wormacya . . . . . 355  
 Anglicy u siebie . . . . . 356 i 380  
 Motyle . . . . . 363

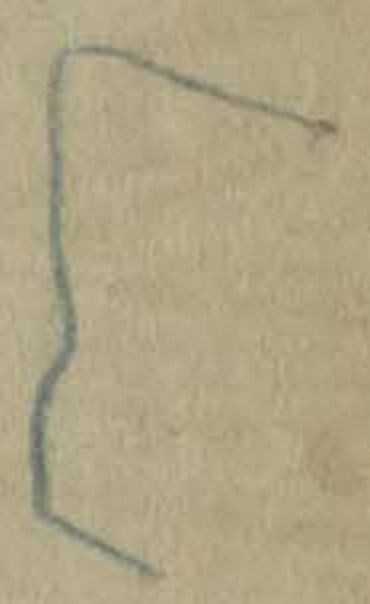
Maryenbad . . . . . 364  
 Hohenschwangau . . . . . 370  
 Początek wojny z Kafframi . . . . . 375  
 Hyena . . . . . 390  
 Zdobyćcie Zaadszy . . . . . 392  
 Szafran . . . . . 400

**INSTYTUT ZOOLOGICZNY**  
**Polskiej Akademii Nauk**  
**BIBLIOTEKA**









Inst. Zool. PAN  
Biblioteka

P. 2790.